

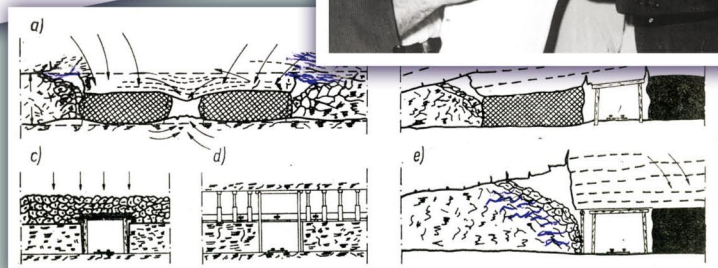
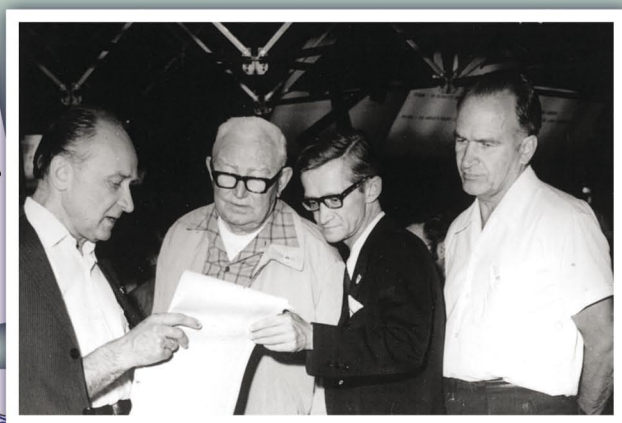
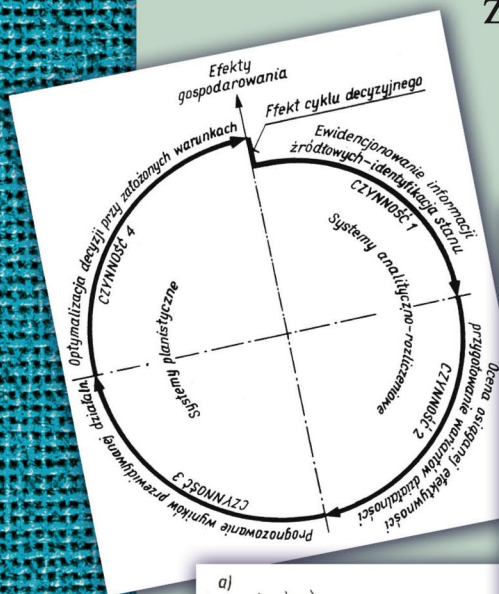
Andrzej Lisowski



W górnictwie – czas sukcesów i klęsk

Wspomnienia osobiste
z epoki wielkich przemian

Tom II





*Andrzejowi
i tym co przyjdą po nas.*

Andrzej Lisowski

Andrzej Lisowski

W górnictwie – czas sukcesów i klęsk

Wspomnienia osobiste
z epoki wielkich przemian
Tom II



Katowice 2011

Opracowanie redakcyjne:
Ewa Gliwa

Skład i łamanie:
Krzysztof Gralikowski

Korekta:
Małgorzata Kuśmirek-Zegadło

Projekt okładki:
Zenon Dyszka

Wydanie II poprawione

Copyright©by
Andrzej Lisowski

Zdjęcia ze zbiorów autora

ISBN 978-83-61061-33-5

Tom II

ISBN 978-83-61061-41-0

Cena 20,24 zł



Katowice 2011

Wydawnictwo
Agencja Artystyczna PARA
ul. Chorzowska 73A, 40-101 Katowice
tel.: 32 258 70 85

E-mail: parawydawnictwo@wp.pl

OD WYDAWCY
(Tekst powtórzony w I i II tomie)

Pierwsze, niewielkie, jednotomowe wydawnictwo WSPOMNIEN OSOBISTYCH... Andrzeja Lisowskiego ukazało się w roku 2010. Było przeznaczone dla Rodziny, Przyjaciół i bliskich Kolegów. Wówczas myśl skierowania „WSPOMNIEN...” na rynek wydawniczy, ledwie „kielkowała”.

Ale po roku – przychylnie oceny tych, którzy książkę przeczytali – zachęciły Autora i wydawcę do przygotowania większego nakładu przeznaczanego na rynek księgarski. Zachęcili też do wydania WSPOMNIEN... w dwóch „cieńszych” tomach, które czyta się „poręczniej” niż jedną książkę o pokaźnej objętości. Brano przy tym po uwagę, że w życiu Autora „epoca wielkich przemian” dzieli się na dwie wyraźnie odmienne części – odpowiadające wydzielonym tomom.

Tom I – „...czas pokoju i wojny” – to wspomnienia międzywojennego dwudziestolecia na polskich Kresach północno-wschodnich i przeważnie tam spędzonych lat okupacji, konspiracji i partyzantki. Tom II – „...czas sukcesów i klęsk” – to wspomnienia ze studiów w Krakowie i zaangażowanej pracy zawodowej na Śląsku – głównie w służbie rozwoju i efektywności górnictwa węgla kamiennego. Specyfikę tego tomu dopełniają – wydzielone w odrębnych podrozdziałach – obszernie wspomnienia z życia prywatnego, z „sentymentalnych” wypraw na Kresy oraz turystyki realizowanej w kraju i „szerokim świecie”.

Decydując się na wydawnictwo dwutomowe – chcieliśmy nie tylko ułatwić korzystanie z książki, ale też utworzyć możliwość sięgnięcia tylko po tę część „WSPOMNIEN...”, która bardziej interesuje potencjalnego czytelnika.

Aby jednak podkreślić, że dopiero obydwa tomy tworzą zwartą całość – w tomie II zachowaliśmy numerację rozdziałów i stron, która występowała w pierwszym jednotomowym wydawnictwie. W każdym z tomów zamieściliśmy też – zaczerpniętą z pierwszego jednotomowego wydawnictwa – wstępną wypowiedź Autora skierowaną „Do czytelnika” oraz jego wypowiedź kończącą WSPOMNIENIA...

Mamy nadzieję, że Czytelnicy zaakceptują to rozwiązanie.

Życzymy przyjemnej lektury!

Spis treści

Do Czytelnika	IX
7. Powojenna „wspinaczka”	226
Droga na studia.....	232
Krakowskie początki.....	238
Drugi rok studiów na Akademii Górniczej.....	245
Akademickie „meandry”.....	252
„Finisz” akademickich studiów.....	261
8. „Wzniechanie w górnictwo”	266
Górnictwo początki.....	272
W dozorze wyższym.....	278
Nieoczekiwane komplikacje – odejście z kopalni.....	286
Początki aspirantury.....	291
Poszerzanie zainteresowań i aktywności.....	296
Rozdroża i rozterki.....	299
Żyły los.....	304
9. Pod „władzą” badawczych pasji	314
Praca doktorska i jej pokłosie.....	316
Koncentracja – „wchodzi na górniczą scenę”.....	320
Technologia podsadzki hydraulicznej pozostała moją badawczą pasją.....	326
Początki prac nad poprawą skuteczności zarządzania górnictwem.....	333
Powstanie i początkowe prace Ośrodka Naukowo-Badawczego.....	336
Największa z moich badawczych pasji i jej „zalamanie”.....	343
Czas urlopów i świąt.....	348
Wszystko się zmieniło.....	359
10. Nowe doświadczenia i aktywności	365
W służbie planowania i organizacji badań.....	368
Zaangażowanie w działalność pozainstytutową.....	374
Powrót do dawnych zainteresowań badawczych.....	379
„Solidarność” i wprowadzenie stanu wojennego.....	384
W Instytucie pracowałem normalnie.....	389
Dalsza działalność pozainstytutowa.....	394
Przedшкольные lata Andrzejka – jakże inne!.....	401
Szkoła podstawowa.....	408
Liceum i matura.....	421
11. Czas rynkowej transformacji – otwarcie na świat	430
Zmiany w GIG i w warunkach mojej pracy.....	438
Podstolik górniczy „Okrągłego Stolu” –1989 rok.....	442
Pierwsze lata rynkowej transformacji (1990–1993).....	449
Zasadniczy etap tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego (1994–2004).....	457
Pozorowanie zmian – krajobraz po klęsce.....	463
Badania w okresie rynkowej transformacji.....	471
Działalność pozainstytutowa – społecznie-zawodowa.....	484
Znów na Kresach.....	488
Otwarcie na daleki świat.....	498
Podstawowy nurt życia prywatnego.....	516
Od autora – zakończenie	527
Publikacje i źródła przywołane w II tomie	529

DO CZYTELNIKA (dotyczy całego dwutomowego wydawnictwa)

Czym jest czas, który nie ma przecież ani początku ani końca – i czym jest pamięć o minionym czasie?

W pierwszych latach XXI wieku, gdy rozpoczęła się ósma dekada mego życia – czas miniony był mi już nieporównanie bliższy niż przed laty. Uwagę przestałem skupiać głównie na czasie teraźniejszym i przyszłym! Zacząłem też wyraźniej zauważać fakt, że w dzieciństwie i młodości perspektywa dwudziestu, trzydziestu czy pięćdziesięciu lat wydawała się niewyobrażalnie odległa. Teraz natomiast, oglądając się na miniony czas – ta sama liczba lat zaczęła być okresem wcale nie tak dawnym. Wspomnienia o zdarzeniach z nawet najodleglejszej przeszłości znacznie się przybliżyły, a wydarzenia w otaczającym świecie – stanowiące realne tło owych przeżyć – uległy „zagęszczeniu”, jakby swoistej „kompresji”. Tym sposobem wspomnienia sprzed lat stały się zadziwiająco bliskie.

Takie postrzeganie przeszłości można sobie wyjaśnić przyjmując, że w naszym subiektywnym odbiorze, *miarka*, którą mierzymy czas, zależy od długości naszego życia. W dzieciństwie czy latach szkolnych nasza *miarka* jest krótka, więc czas nią mierzony – ten miniony i ten przyszły – wydaje się długi. Ale gdy wraz z upływem życia *miarka* się wydłuża – czas miniony skraca się i przybliża a perspektywa paru czy kilku lat już nie straszy. Co ciekawe – także uczuciowo staje się bliższy! Może działa tu świadomość, że jest coraz bardziej zagrożony zatarciem i zapomnieniem?

Prawie przez całe dorosłe życie – gdy tylko zdobyłem się na kupno aparatu fotograficznego – utrwalalem na zdjęciach sytuacje i widoki, które wydawały mi się ważne lub piękne. Zatrzymywałem czas i zamykałem go w „klatce” zrobionej fotografii. Mogłem ponownie oglądać jakieś dawne spotkanie czy świąteczną uroczystość w rodzinnym gronie ... jakiś wspaniały zachód słońca ... coś co było w danym czasie istotne. Gdy jednak rozpocząłem ósmą dekadę życia – zaczęło mi to nie wystarczać. Pojawiła się nieznana dawniej potrzeba przywołania i utrwalenia – nie fragmentów mijającej rzeczywistości – a całej panoramy wielu minionych lat!

Ponieważ nie da się tej potrzeby zaspokoić inaczej niż spisaniem wspomnień – zacząłem się z tą myślą oswajać. Decyzję przyspieszyło narastające przekonanie, że nie przynoszą niestety „skutku użytecznego”¹⁾ wysiłki, które po roku 1989 podejmowałem przez niemal dwie dekady – aby w polskim górnictwie węgla kamiennego (z którym związałem swe życie zawodowe) minimalizować fatalne skutki polityki przyjętej przez WŁAŚCICIELA tego górnictwa. Gdy również „agresywna” argumentacja wskazująca na potrzebę

¹⁾ Określenie używane przez Karola Adamieckiego, jednego z pionierów współczesnej nauki o zarządzaniu¹⁾.

zmian (opublikowana w lutym 2007 roku)⁹⁵⁾ nie wywołała żadnego odzewu w środowisku gospodarczych decydentów i nauki – zniechęcenie przeważało. Przeniosłem się w *świat przeszłości* i zacząłem pisać te wspomnienia.

Pisałem je głównie dla siebie – jako **WSPOMNIENIA OSOBISTE**. Chciałem z perspektywy minionych lat spojrzeć na swoje dzieciństwo i lata szkolne spędzone na Kresach północno-wschodnich oraz głównie tam spędzone trudne lata wojny. Także na nielatyw i pracowity czas dorosłego życia. Chciałem sobie lepiej uświadomić, jak ścieżka mego życia była skorelowana z wydarzeniami, które – tocząc się w tym czasie przez Kraj, Europę i świat – formowały **EPOKĘ WIELKICH PRZEMIAN**. Była to przecież epoka, która w okresie jednego życia – rozpoczętego w latach dwudziestych ubiegłego wieku – przyniosła ludzkości niebywale zbrodnie i tragedie. Także zaskakujące zmiany geopolityczne oraz zupełnie niewyobrażalny postęp w obszarze nauki, cywilizacyjnych zdobyczy i globalnej gospodarki.

Pisząc wspomnienia głównie dla siebie – miałem oczywiście na myśli również swoich bliskich. Chciałem im przybliżyć rodzinne powiązania i kresowe korzenie. Chciałem też by mogli ocenić to, co mają dziś na tle tego co było udziałem ich poprzedników w sztafecie pokoleń. Przekonanie, że kolejnym pokoleniom, budującym swój nowy świat – jest jednak potrzebna wiedza o świecie minionym – wyniosłem z rodzinnego domu, w którym tradycja i historia były wszechobecne.

I właśnie w tym kontekście zadziałała rutyna. W życiu zawodowym do moich obowiązków należało publikowanie wyników badań i kształtowanych nimi poglądów. Chciałem więc potencjalnym Czytelnikom **WSPOMNIENI** przekazać tekst „możliwie czytelny”, z niezbędnymi ilustracjami i wskazaniem wykorzystanych źródeł. Tym „tropem” przyszła decyzja przygotowania **WSPOMNIENI**, w postaci spełniającej wymagania stawiane publikacjom, tak aby osoba czytająca nie czuła się zlekceważona.

Najwięcej wątpliwości i trudności w merytorycznym ujęciu treści wspomnień wiązało się ze znalezieniem właściwych proporcji między relacją o życiu prywatnym i życiu zawodowym. Te dwa nurty są istotnie różne, ale przecież płyną równoległe i nieuchronnie splatają się w jedną całość. Przekonałem się *na własnej skórze*, że **URODĘ ŻYCIA** można znaleźć nie tylko w życiu rodzinnym i towarzyskim, w ciekawej turystyce czy innej rozrywce – ale również w pracy zawodowej. I to nie w pracy intelektualnie finezyjnej, uprawianej przez elity w obszarze filozofii, sztuki ... czy astrofizyki. Przekonałem się, że można ją znaleźć także w pracy „zgrzebnej”, dalekiej od finezji.

Ja znalazłem ją w pracy dla górnictwa. Tak! Dla tego zwykłego górnictwa, które przecież funkcjonuje w naszej rzeczywistości od zarania dziejów. Łatwo można się o tym przekonać, jadąc w rejon Gór Świętokrzyskich do Krzemionek Opatowskich. Liczne zagłębienia terenu znaczą tam miejsca.

w których – głównie w latach 3000–1800 przed naszą erą – zglębiono 700 szybów umożliwiających pozyskiwanie *krzemienia pasiastego* z głębokości 10–20 m. Wyrabiane z niego piękne siekiery i noże eksportowano na duże obszary Europy – dopóki brąz nie okazał się skutecznym „konkurentem” i nie rozpoczął nowej epoki w rozwoju ludzkości.



Przekrój „bulwy” *krzemienia pasiastego*. Współcześnie jest wykorzystywany do wyrobu biżuterii

Twierdzę nieskromnie, że: *„Ludzie od zawsze są żywieni przez przyrodę i rolnictwo, a ich cywilizacja przez górnictwo”*. Bez mineralnych surowców dostarczanych przez górnictwo, cywilizacja by nie powstała, a dziś nie mogłaby istnieć. Ci (niekiedy również znani politycy), którzy górnictwo uznają za *„tradycyjny i nieperspektywiczny dział gospodarki”* i rzekomo z definicji *„nienowoczesny”* – bardzo się mylą. Nie przeczę, że górnictwo to taka działalność gospodarcza, w której znajdują zatrudnienie dziesiątki i setki tysięcy ludzi wykonujących ciężką i niebezpieczną pracę. Jednak przynajmniej od 100 lat pozyskiwanie złóż kopaliny jest działalnością wyjątkowo *„naukochłonna”* – angażującą nie tylko naukę górnictwa i geologii, ale również wiele innych dyscyplin zarówno technicznych, jak i pozatechnicznych.

W górnictwie – głównie węgla kamiennego – znalazłem nie tylko *„chleb powszedni”*, lecz także satysfakcję oraz przekonanie, że robię coś konkretnego i pożytecznego. Ta praca znaczyła w moim życiu zbyt wiele, abym mógł ją wyłączyć ze wspomnień! Mówię więc o niej tak samo jak o życiu pozazawodowym – o sprawach osobistych i rodzinnych. Nie było to łatwe i wiem, że w wielu szczegółach nie będzie łatwe dla Czytelnika, głównie ze względu na wprowadzaną do tekstu górnictwem terminologię. Staralem się minimalizować jej udział – ale ten wysiłek nie zawsze był skuteczny. Trochę przewrotnie to niepowodzenie „osładzam” sobie myślą, że nieco wiedzy o górnictwie – razem z jego specyficzną terminologią i problematyką – przyda się każdemu! Może ułatwić rozumienie fundamentów naszej cywilizacji, która – jak podkreślałem – bez górnictwa po prostu by nie istniała.

Aby ułatwić zrozumienie niektórych górnictwowych terminów użytych w tekście drugiego tomu – wyróżniam je pochylonym pismem (kursywą). Podobnie – aby ułatwić przekaz – używam kursywy (czasem pogrubiam cześć), gdy do tekstu wprowadzam określenia, którymi staram się wyrazić specyfikę opowiadanej sytuacji albo po prostu chcę podkreślić wymowę użytych słów. Często są to również jakiegoś określenia i powiedzonka używane dawniej i dziś już przeważnie zapomniane. Kursywę stosuję także, gdy podaję cytaty lub zapożyczenia, ale wówczas dodatkowo wprowadzam cudzy-

słów, aby podkreślić ich autentyczność. Za tę *samowolkę* językową i redakcyjną – może czasem z naruszeniem przyjętej poprawności – przepraszam. Mam nadzieję, że we WSPOMNIENIACH OSOBISTYCH – *ujdzie mi to płazem*.

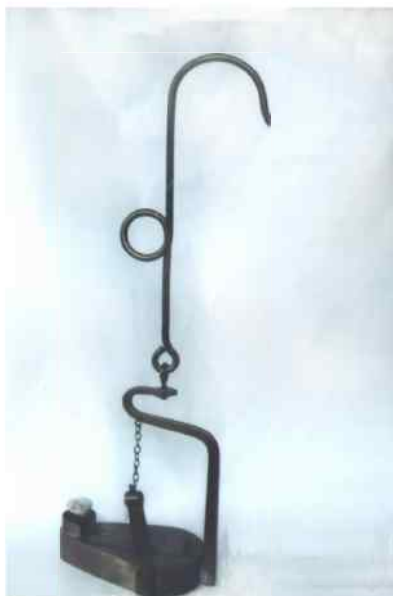
Co jeszcze autor może powiedzieć Czytelnikom jego OSOBISTYCH WSPOMNIENI? Może jedynie wyrazić nadzieję, że nie będą rozczarowani lekturą i nie uznają czasu zużytego na jej przeczytanie za czas stracony. Przekazując Czytelnikom to wydawnictwo – tego obawiałem się najbardziej... i nadal obawiam!

Równocześnie pocieszam się myślą, że książka to przecież wynalazek tym wspniany, że jej czytanie można przerwać w każdej chwili i zająć się czymś zupełnie innym. Pocichę znajduję też w przekonaniu, że przeżycia i doświadczenia każdego z kilkudziesięciu milionów Polaków, po których przetoczył się walec historii w EPOCE WIELKICH PRZEMIAN – są przecież inne! Każde – przekazane we wspomnieniach – mogą stanowić dogodny punkt wyjścia nie tylko do własnych wspomnień, lecz także zupełnie współczesnych, przemyśleń i refleksji. Te zaś są najważniejsze, bo to one nadają życiu właściwy *smaak i sens*.

Oby przemyślenia i refleksje wywołane moimi wspomnieniami były optymistyczne i stymulowały niełatwą walkę o stawiane sobie cele i o udane życie.

Katowice-Brynów, maj 2011–2013 rok.

Andrzej Lisowski



Lampa oliwna używana w Wieliczce w królewskich „żupach solnych”



Karbidowa lampa górnicza



Lampa dozoru górniczego

Takie lampy były używane gdy pracowałem w kopalni „Dymitrow”

7. POWOJENNA „WSPINACZKA”

Kapitulacja hitlerowskich Niemiec najpierw w kwaterze generała Eisenhowera, w nocy z 6 na 7 maja, i powtórna (na żądanie Stalina) w kwaterze radzieckiej, w nocy z 8 na 9 maja 1945 roku oraz całkowite zaprzestanie działań wojennych w Europie – odebrane przede mnie jako sygnał do wyjścia z antykomunistycznego podziemia – nie oznaczały końca wojny. Trwała jeszcze 4 miesiące (bez kilku dni) na wielu pozostałych frontach. To w tym okresie – dnia 6 sierpnia 1945 roku – Amerykanie zrzucili pierwszą bombę atomową na Hiroszimę. Trzy dni później spadła druga bomba na Nagasaki. W tym samym dniu, gdy kapitulacja Japonii była już nieunikniona – Związek Radziecki wypowiedział jej wojnę. Tym sposobem do znacznych korzyści terytorialnych w Europie (państwa bałtyckie, nasze Kresy, Moldawia, Karelia i inne mniejsze terytoria) dodał południową część wyspy Sachalin wraz z przyległymi wyspami oraz Wyspy Kurylskie. Bezwarunkowa kapitulacja Japonii nastąpiła 2 września 1945 roku – i dopiero ten akt podpisany na pancerniku „Missouri” w Zatoce Tokijskiej – oznaczał koniec II wojny światowej.¹³⁹⁾

Bilans tej wojny był straszliwy! Jak „policzył” Norman Davies¹⁴⁰⁾ i inni historycy¹⁷⁾ – wzięło w niej udział 61 państw! W szczytowym nasileniu wojennej mobilizacji walczyło przeciwko sobie 110 milionów żołnierzy – w tym: ZSSR – 12,5 mln, USA – 12,3 mln, III Rzeszy – 10,2 mln, Japonii – 6,1 mln, W. Brytanii 5,1 mln. W działaniach militarnych zostały użyte nieznane dawniej rodzaje broni – głównie: rakiety, samoloty odrzutowe, całe armie czołgów i broń atomowa. Liczba ofiar – nie uwzględniając zaginionych – została określana na 35,5 milionów. Największe straty poniósł ZSRR – około 16,8 mln osób, w tym około 10 mln żołnierzy; ogromna liczba ofiar stalinowskich represji, prowadzonych w tym czasie jest nieznana (straty Niemiec 4,2 mln, w tym 3,5 mln żołnierzy). W liczbach bezwzględnych, straty obywateli zamieszkujących przedwojenne terytorium Polski – są największe spośród wszystkich pozostałych krajów Europy – i wyniosły około 5,8 mln osób: w tym około 2 mln etnicznych Polaków i około 2,7 mln polskich Żydów (całkowite straty Żydów europejskich, około 4,9 mln). Straty demograficzne Polski wyrażone w procentach były największe w całej Europie i wyniosły 17%. Również liczba obywateli polskich objętych deportacjami lub przymusowymi przesiedleniami była największa w Europie. „*Ogólna ich liczba, ostrożnie rzecz biorąc, wyniosła ok. 5,9 mln osób*”¹³⁹⁾.

Postanowienia trzeciej (ostatniej) konferencji Wielkiej Trójki w Poczdamie (prezydent Truman zastąpił Roosevelta zmarłego w kwietniu 1945 r.), w dniach od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 roku – określały dalsze szczegóły powojennego ładu w Europie i świecie – zarysowane już wcześniej w Teheranie

(XII 1943 r.) i Jalcie (I 1945 r.). Granica strefy wpływów ZSSR (po uwzględnieniu przyznanej mu strefy okupacyjnej) i strefy wpływów Zachodnich Sojuszników – została ustalona na Łabie. Polska znalazła się w strefie sowieckiej i to w istocie przesądzało o zakresie jej suwerenności. Historyczne fakty, że Polska – jako państwo i naród – pierwsza przeciwstawiła się nazistowskiemu Niemcom, sprzymierzonym wówczas ze stalinowską satrapią – i że w walce o swą suwerenność poniosła największe straty – nie miały wówczas w Poczdamie większego, a w istocie żadnego znaczenia.

Przekazanie Polski do sowieckiej strefy wpływów ustawiło Stalina na pozycji „rzecznika” naszej terytorialnej rekompensaty za Kresy utracone na wschodzie. Decyzją Wielkiej Trójki „były terytoria niemieckie” na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej oraz terytorium byłego Wolnego Miasta Gdańska i południowo-zachodnia część Prus Wschodnich – „zostały oddane pod zarządek państwa polskiego”. „Ostateczne określenie polskiej granicy” w tych obszarach „zostało odroczone do przyszłej regulacji pokojowej” (która w przypadku Polski nigdy nie nastąpiła). Równocześnie została jednak podjęta decyzja o przymusowym wysiedleniu ludności niemieckiej z ziem przyznanych Polsce – **co oznaczało faktyczne uznanie już wówczas tak określonych granic na zachodzie i północy – za ostateczne.** „USA i Wielka Brytania zobowiązały się w Poczdamie do poparcia – w rokowaniach poprzedzających przyszłe regulacje pokojowe – tych uzgodnień konferencji, które dotyczyły byłych terytoriów niemieckich przekazanych Moskwie (Królewiec z północną częścią Prus). Zobowiązania takiego nie podjęto wobec Polski”¹³⁹. Jak widać, historia alianckiego poparcia była w owym czasie przedziwnie przewrotna i zakłamana.

Oprócz ustaleń, które w trybie kompromisu rozwiązywały problemy bieżącego funkcjonowania sojusznicznych mocarstw – głównie na obszarze pokonanych Niemiec – poczdamska konferencja Wielkiej Trójki przyniosła również postanowienia wykraczające poza doraźne interesy jej członków. W duchu Karty Atlantycznej (1941 r.) i Deklaracji Narodów Zjednoczonych (1942 r.) – zostały przyjęte zasady długofalowej polityki okupacyjnej w Niemczech. „Znalazły się wśród nich: denazyfikacja, demilitaryzacja, demokratyzacja i decentralizacja ustroju politycznego”¹³⁹. Władzę w Niemczech podzielonych na trzy strefy okupacyjne (później doszła strefa francuska) objęła Sojusznicza Rada Kontroli. Niemcy otrzymały nowy podział administracyjny na samorządne kraje (Länder – landy). Otrzymały też gruntownie zreformowany ustrój prawny. Rada, szeregiem ustaw zniósła nazistowskie prawodawstwo i struktury organizacyjne oraz przywróciła strukturę niemieckiego sądownictwa według stanu z 1924 roku. Uregulowała warunki i przebieg przymusowych wysiedleń ludności niemieckiej z Austrii, Czechosłowacji, Węgier i Polski. Jedną z ostatnich swych ustaw zlikwidowała państwo pruskie.

Na mocy układu londyńskiego z 8 sierpnia 1945 roku został powołany Międzynarodowy Trybunał Wojskowy, który 1 października 1946 roku skazał

na śmierć przez powieszenie 12 nazistowskich przywódców oraz uznał Gestapo, Rząd III Rzeszy, Sztab Generalny, SD, SS i kierownictwo NSDAP za organizację zbrodniczą. Podjęta przez Sowietów próba przypisania Niemcom zbrodni katyńskiej – nie powiodła się. Ta zbrodnia stalinowskiej satrapii i ogrom innych – wciąż oczekują na międzynarodowy osąd. Istotnym osiągnięciem Trybunału było wprowadzenie do prawa międzynarodowego odpowiedzialności za czyny przestępne – określone pojęciem „*Judobójstwa*” oraz „*planowania i wywołania wojny*”. Zgromadzenie ogólne Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ – działająca formalnie od 24.10.1945 r.) przyjęło te ustalenia jako obowiązujące. Paryska konferencja pokojowa obradująca od 29 lipca do 15 października 1946 roku – uregulowała status państw satelickich hitlerowskich Niemiec: Bulgarii, Włoch, Rumunii, Węgier i Finlandii.

Mimo początkowych sukcesów – współpraca czterech mocarstw okupujących Niemcy – napotykała na coraz większe trudności. Już w marcu 1946 roku Churchill podczas przemówienia wygłaszanego w USA w Fulton – gdzie otrzymał doktorat honorowy – określił granicę z radziecką strefą wpływów w Europie jako „*żelazną kurtynę*”, która, sięgając od Szczecina do Triestu, pozostawia kraje Europy Centralnej i Wschodniej pod kontrolą Moskwy. Była to zapowiedź, że Mocarstwa Zachodnie – w odpowiedzi na postępującą sowietyzację państw środkowoeuropejskich oraz ekspansjonistyczną politykę Moskwy w wielu rejonach świata – wycofują się z dotychczasowej polityki bierności wobec wzrastającej dominacji ZSSR.

12 marca 1947 roku Prezydent Truman wygłosił w Kongresie przemówienie, w którym przedstawił doktrynę „*powstrzymywania*” – nazwaną później jego nazwiskiem. Jako jeden z dowodów na zwiększający się ekspansjonizm Sowietów – uzasadniający przyjęcie polityki „*powstrzymywania*” – były wówczas w USA wskazywane wybory w Polsce, przeprowadzone 19 stycznia 1947 roku, „*jawnie*” sfalszowane z naruszeniem wszelkich zasad demokratycznych. Truman zapowiedział pomoc finansową i militarną Turcji oraz Grecji nękaną komunistyczną partyzantką *Marcosa*. Dopelnieniem doktryny Trumana był – plan pomocy amerykańskiej dla Europy, ogłoszony 17 czerwca 1947 roku przez sekretarza stanu George Marshalla. W wyniku realizacji tego planu, Europa w ciągu 4 lat otrzymała 12,5 miliarda ówczesnych dolarów bezzwrotnej pomocy. Plan był wyrazem przekonania, że nie wystarczy odstraszać Moskwę amerykańską potęgą militarną. Trzeba ponadto – przez stworzenie warunków szybkiego rozwoju gospodarczego krajów wyniszczonych wojną – ograniczyć pole oddziaływania partii komunistycznych, które w tym czasie w wielu krajach zachodu zaczęły odnosić sukcesy wyborcze. Przyjmuje się, że wypowiedź Churchilla w Fulton i ten zwrot w polityce amerykańskiej – stanowią początek „*zimnej wojny*”.

Stany Zjednoczone, jako jedyny kraj uczestniczący w wojnie – wyszły z niej z dodatnim bilansem ekonomicznym. Wkraczały teraz na arenę świata

jako mocarstwo o największej potędze ekonomicznej i militamej. Dochód narodowy jego obywateli wzrósł w latach 1938–1946 z 550 do 1260 dolarów. Bezpośrednio po wojnie, w USA znalazło się około 75% kapitału i 70% zapasów złota całego świata zachodniego. Na konferencji londyńskiej w czerwcu 1948 roku – postanowiono integrować gospodarkę niemiecką z gospodarką krajów zachodnioeuropejskich (w tym – z nową grupą państw Beneluksu, która powstała w marcu 1947 r.). Po konferencji londyńskiej *„Wspólna administracja czterech mocarstw w Niemczech przestała funkcjonować”*¹³⁹⁾.

Nasilające się konflikty doprowadziły wkrótce do blokady Berlina Zachodniego przez siły okupacyjne Związku Radzieckiego (od VI 1948 r. do V 1949 r.) – co przyspieszyło proces formowania się dwóch przeciwnych bloków – równocześnie: politycznych, gospodarczych i militarnych. 29 stycznia 1949 roku został opublikowany komunikat o powołaniu Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej (RWPG). Czwartego kwietnia w Waszyngtonie 10 państw z zachodniej Europy i USA zawarło sojusz wojskowy zwany Paktem Atlantyckim lub NATO, a 4 maja te same państwa europejskie podpisały konwencję o utworzeniu Rady Europy. Jeszcze w tym samym 1949 roku powstały dwa państwa niemieckie. Niemiecki Kongres Ludowy, 30 maja 1949 roku zatwierdził konstytucję Niemieckiej Republiki Demokratycznej (NRD). 20 września 1949 r. powstał pierwszy rząd Niemieckiej Republiki Federalnej (NRF) z Konradem Adenauerem jako kanclerzem.

Dalsze wydarzenia na arenie międzynarodowej wskazywały na pogłębiający się podział świata i wzrastające zagrożenie ze strony obozu radzieckiego. 25 września 1949 roku ukazał się komunikat agencji TASS o próbie bomby atomowej przeprowadzonej w Związku Radzieckim. 1 października 1949 roku powstała Chińska Republika Ludowa (ChRL), a Czang Kaj-szek – koalicjant Stanów Zjednoczonych w wojnie z Japonią – schronił się na wyspie Tajwan. 14 lutego 1950 roku Związek Radziecki podpisał trzydziestoletni układ o przyjaźni i współpracy między ZSRR i ChRL, co na wiele lat rozszerzyło wpływy Związku Radzieckiego na Dalekim Wschodzie. 25 czerwca 1950 roku wojska północnokoreańskie wkroczyły do Korei Południowej. Rozpoczęła się trwająca trzy lata wojna koreańska, w której głównymi przeciwnikami były Chiny Ludowe i USA, działające pod egidą ONZ. Stany Zjednoczone, które od roku 1945 zmniejszyły swą armię z 8,2 mln żołnierzy do 670 tys. na początku 1950 roku – znów zaczęły zwiększać jej liczebność.

Jak wskazuje to skrótowe przypomnienie niektórych faktów z lat 1945–1950 – był to czas, w którym Europa i Świat wydobywały się z dna, na które zepehnęła je II wojna światowa. Gdy się rozpoczynała 1 września 1939 roku napadem na Polskę jednego z dwóch totalitaryzmów „zbratanych” traktatem Ribbentrop-Mołotow, nikt się nie spodziewał, że skutki tej agresji osiągną tak niewyobrażalne rozmiary. Proces wydobywania się z dna był pełen dramatycznych konfliktów i „zgnitych” kompromisów (np. przymusowa

deportacja do ZSRR około 2 mln jeńców sowieckich znajdujących się na terenie Niemiec, którzy byli przez NKWD mordowani lub zsyłani do lagrów). Zarówno konflikty, jak i kompromisy wynikały ewidentnie z faktu, że jeden z totalitaryzmów – zdradzony przez drugiego – znalazł się raptem po stronie zachodnich demokracji. Gdy jednak wspólny wróg (głównie Niemcy hitlerowskie) – został pokonany – wówczas w sposób naturalny zaczęły się ujawniać sprzeczne dążenia tych „sojuszników z przypadku”. W konsekwencji Świat i Europa bardzo szybko przekształciły się w układ dwubiegunowy, który znalazł się w stadium „zimnej wojny”. Ta weszła następnie w „fazę regionalnych konfliktów”, aby, ulegając różnym „mutacjom” – trwać przez dziesięciolecia aż do upadku Związku Radzieckiego.

Dla mnie ten specyficzny okres EPOKI WIELKICH PRZEMIAN – był czasem powojennej „wspinaczki”. Czas dzieciństwa i lat szkolnych był już tylko odległym wspomnieniem. Teraz trzeba było oderwać się od okupacyjnej i konspiracyjnej rzeczywistości i *stanąć na własnych nogach!* Kierunek życia zawodowego, które miało to umożliwić – obrałem już wcześniej – ale *droga dojścia* była wielką niewiadomą.

Sytuacja w kraju była nacechowana dogasającym oporem zbrojnego podziemia oraz powszechną biedą i walką polityczną. Delegacja polska wezwana do Poczdamu na Konferencję Wielkiej Trójki została zobowiązana do przeprowadzenia w kraju – „w najbliższym czasie” – wolnych wyborów. Polska Partia Robotnicza (PPR) liczyła wówczas 230 tys. członków, natomiast Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL Mikołajczyka) ponad 500 tys. Komuniści, dysponujący w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej realną władzą (resorty siłowe) – do wyborów się nie spieszyli. Grunt do ich przeprowadzenia przygotowywały kolejne dekryty. 16 listopada 1945 roku została powołana Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, która oskarżonych mogła skazywać w trybie administracyjnym na pobyt (do 2 lat) w obozach pracy. „Powstało ich około 100 a liczba więźniów nie spadła poniżej 150 tysięcy”¹⁷⁾. Równocześnie zostały przyjęte dwa inne dekryty: „O przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa” (znowelizowany w czerwcu 1946 r. był znany jako Mały Kodeks Karny) oraz drugi o postępowaniu w trybie doraźnym. Te i następne akty prawne (dotyczące między innymi cenzury) budowały system, w którym prokuratorzy z awansu – niemal każde postępowanie obywatela mogli interpretować jako przestępstwo i wymuszać „oczekiwane” zeznania.

Próba utworzenia przez kierownictwo PPR – „Bloku Stronnictw Demokratycznych”, który w starciu z PSL Mikołajczyka miałby szansę wygrania wyborów – nie powiodła się. W tej sytuacji „Blok...” złożony z PPR, SL i SD ogłosił decyzję o przeprowadzeniu referendum, a PSL musiał w ówczesnej sytuacji poprzeć ten projekt. W referendum (30.06.1946 r.) postawiono trzy proste pytania, które nie prowadziły do wyraźnych deklaracji partyjno-

-politycznych. „Blok...” oczekiwał odpowiedzi 3 razy TAK, ale społeczeństwo zniechęcone biedą, represjami i zajadłą nagonką na legalną opozycję PSL Mikołajczyka – również zastraszaniem i mordami przez „nieznanych sprawców” działaczy tego stronnictwa – nie było skłonne do głosowania zgodnego z oczekiwaniami PPR. Przez niedopatrzenie władz, Komisja w Krakowie ogłosiła prawdziwe wyniki referendum. Odpowiedzi TAK na pierwsze pytanie dotyczące zniesienia Senatu udzieliło 16% głosujących, na drugie dotyczące reform gospodarczych 33% i na trzecie dotyczące nowych granic państwa 68% głosujących. W tej sytuacji wyniki referendum – ogłoszone dopiero 12 lipca – zostały drastycznie sfalszowane (68,2; 77,3; 91,4%).

Później nastąpił okres przedwyborczych „rozgrywek”, w których PPR dążyła do marginalizacji wpływów PSL i całkowitego podporządkowania pozostałych partii uczestniczących w Tymczasowym Rządzie J.N. W początkach listopada Stalin zaprosił do Soczi – gdzie odpoczywał – przywódców PPR i PPS. Wypił *bruderszaft* z Gomółką i Cyrankiewiczem i doprowadził też do ich *bruderszaftu*. Po powrocie, 28 listopada została zawarta umowa przygotowująca zjednoczenie tych partii, a w prowadzonej w związku z tym akcji propagandowej – lansowano hasła „niepodległości” oraz „polskiej drogi do socjalizmu, w której władza jest sprawowana przez wachlarz wszystkich partii demokratycznych”. W ramach przygotowań do wyborów – aresztowano 147 kandydatów PSL do sejmu z list okręgowych i 15 z listy państwowej. Aresztowano też 2 tys. działaczy terenowych i ponad 5 tysięcy kandydatów na mężów zaufania w komisjach wyborczych. Ponadto, do współpracy z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) zwerbowano 22 tys. członków komisji obwodowych (47% ich składu) i 153 członków komisji okręgowych (43% składu). W grudniu i styczniu wysłano na wieś 2,3–2,6 tys. grup agitatorów – w asyście wojska (45–61 tys. żołnierzy). Przed samymi wyborami „prewencyjnie” aresztowano około 80 tys. osób¹⁷⁾.

Wybory odbyły się 19 stycznia 1947 roku. Oficjalnie – 80,1% głosów uzyskał „Blok...” – 10,3% PSL (w Soczi ustalono, że PSL nie może osiągnąć więcej niż 10–15% głosów; w rzeczywistości uzyskało prawdopodobnie 54% głosów). Na pierwszym posiedzeniu Sejmu 4 lutego wprowadzono odpowiednią zmianę w konstytucji i na Prezydenta Rzeczypospolitej wybrano Bolesława Bieruta (jako bezpartyjnego). 418 posłów głosowało na Bieruta, 24 posłów oddało białe kartki i jeden głos był nieważny. Premierem został Józef Cyrankiewicz, a pierwszym wicepremierem i ministrem ziem odzyskanych Władysław Gomółka. Działacze PSL byli nadal represjonowani. 23 czerwca Mikołajczyk wygłosił w sejmie przemówienie, w którym napiętnował tę praktykę. 21 października 1947 roku wobec wzrastającego zagrożenia zdecydował się na ucieczkę z kraju i z pomocą ambasady amerykańskiej – wypłynął z Gdyni do Ameryki. Już parę dni po tej ucieczce – drogą represji i czystek – rozpoczął się proces likwidacji PSL. 29 listopada 1949 roku proces ten został zakończony

powołaniem ZSL (Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego). Rok wcześniej – na Kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS (15–21 grudnia 1948) – została utworzona Polska Zjednoczona Partia Robotnicza (PZPR). Ona przejęła ster rządów na nadchodzące w Polsce lata stalinizmu.

Gdy zaczynałem swą powojenną „wspinaczkę” polityka, w której tkwiłem podczas radiowych nasłuchów i redagowania konspiracyjnej gazetki – była w moim życiu czymś istotnym. Poglądy, które wówczas lansowałem były niewątpliwie bardzo „upolitycznione”, ale tak wówczas przeżywałem obserwowaną rzeczywistość! Po wyjściu z konspiracji szybko się przekonałem, że polityka uprawiana w nowej polskiej rzeczywistości jest całkowicie różna od tamtej. Wówczas na pierwszym planie były działania na frontach wojny i dyplomacji, których celem była Polska, a partie polityczne były owszem, ale w „dalekim tle”. Tak było zarówno na emigracji, gdzie stanowiły zaplecze Rządu Londyńskiego, jak i w kraju, gdzie w Radzie Jedności Narodowej stanowiły reprezentację Polskiego Państwa Podziemnego. Teraz o tamtej Polsce nie można było „nawet myśleć”, a „polityka” sprowadzała się do lojalności wobec ZSRR i do zwalczania jedynej partii opozycyjnej PSL przez agenturalną, prosowiecką PPR i jej satelitów.

Do PSL – ze względu na Mikołajczyka i jego determinację walki o choćby częściową suwerenność – czułem sporo sympatii. Miałem też różne pretensje (m.in. o dołączenie przez Rząd Tymczasowy generała Andersa do listy Polaków pozbawionych obywatelstwa) i nie wierzyłem w skuteczność polityki prowadzonej przez PSL. Równocześnie PPR była dla mnie partią odpychającą, a partie satelickie wydawały się „bez sensu”. Szybko nabierałem przekonania, że – w tej sytuacji – z dawnych „ciągów” politycznych powinienem się „wyleczyć”. Postanowiłem nadal nie ujawniać swojej przynależności do AK (w kolejne amnestie ogłaszane przez władze PRL nikt z naszego środowiska nie wierzył) i od polityki trzymać się z daleka. Tym bardziej od partii politycznych! W kolejnych latach powojennej „wspinaczki” – coraz bardziej umacniałem się w tym postanowieniu. Później – podobnie jak mój Ojciec – zająłem pozycję *bezpartyjnego państwowca*. Jego oddanie pracy społecznej zamieniłem na oddanie pracy zawodowej i pasjom naukowo-badawczym, a polityce nigdy już nie dałem się „uwić”.

Droga na studia

Między zamysłem podjęcia studiów na Akademii Górniczej w Krakowie, a rzeczywistością w której się znajdowałem – jadąc w dobrym nastroju do Bielska Podlaskiego – piętrzyły się trudności, z których w owym czasie nie w pełni zdawałem sobie sprawę. Finansowa „odprawa” – raczej symboliczna – którą przy pożegnaniu wręczył mi por. Korycki, mogła wystarczyć na niedaleką podróż i może parę tygodni „stolówkowego” wyżywienia.

Faktycznie – byłem bez pieniędzy! Miałem też bardzo słabe, litewskie „papiery” na nazwisko Tomaszewicz – „zorganizowane” przed blisko rokiem przez pana Józefa Radziuna. O Rodzinie, stanowiącej istotne oparcie, nie miałem w ostatnich miesiącach żadnych wiadomości. Gdzieś w pierwszej połowie marca Sławek był u mnie na „melinie” i mówił, że Mama z Zosią już dotarły do Białegostoku, a Tadzik – tak jak planował – rozpoczął pracę w Izbie Rolniczej. Później jednak, kontakt został całkowicie urwany. Chciałem więc przede wszystkim wrócić do prawdziwego nazwiska i dotrzeć do Białegostoku, aby u państwa Wolterów dowiedzieć się o bliskich.

W Bielsku Podlaskim czekała mnie miła niespodzianka. Pracownikiem Urzędu Repatriacyjnego (PUR-u) – na którego dostałem „namiary” – okazał się Mietek Moraczewski (jeszcze występował pod fałszywym nazwiskiem). Radość była obopólna! Sprawę mojej „legalizacji” określił krótko: „*jest do załatwienia*”. Przez Bielsk Podlaski i tutejszy PUR „przewalaly” się wówczas liczne transporty i tysiące ludzi dążących na zachód. Wielu z nich dopiero tu „porządkowało” swój repatriacyjny „status”. Załatwienie sprawy wymagało jednak wskazania miejscowości, w której mam zamiar się „osiedlić” – pojechałem więc do Białegostoku na rozpoznanie sytuacji.

Okazało się, że wszyscy moi już dość dawno opuścili Białystok i przenieśli się do Włocławka. Sławek – jeszcze w marcu, wkrótce po naszym spotkaniu, został aresztowany jako podejrzany AK-owiec. Na szczęście zanim rozpoczęło się właściwe śledztwo – po trzech miesiącach odsiadki – Mama wykupiła go z więzienia. Naczelnik mówił po polsku (chyba był Polakiem?) i za 30 carskich rubli w złocie – zwolnił Sławka – z dobrą radą aby „*zniknął z tego terenu*”. Także Tadeusz i pan Suryn (jego szef w Izbie Rolniczej) – nie czuli się bezpieczni. Na Podlasiu było zbyt „gorąco” dla ludzi z AK-owską przeszłością! Pan Suryn załatwił sobie służbowe przeniesienie do Włocławka i namówił Tadeusza, żeby także tam się przeniósł. Wraz z Tadeuszem przeprowadziła się „cała reszta”.

Po tych wyjaśnieniach w odpisie KARTY EWAKUACYJNEJ – „*sporządzonym z oryginału w Rejonowym Inspektoracie Osadnictwa, PUR w Siemiatyczach*” (trójkątna pieczęć Urzędu i nieczytelny podpis) – znalazł się zapis w języku litewskim i polskim, że ja (tu prawdziwe dane osobowe) „*ewakuowałem się 9.II.1945 roku z Wilna do Włocławka*”. Na odwrocie Karty... znalazło się potwierdzenie, że byłem zameldowany w PUR i w gminie Siemiatycze, 14 i 16 maja 1945 roku. Mam ten odpis KARTY EWAKUACYJNEJ do dziś jako cenną pamiątkę z drogi, którą został zalegalizowany mój pobyt w Polsce Ludowej. Najprawdziwszy jest fakt, że autentyczność tego dokumentu nigdy nie została zakwestionowana. Przez pewien czas ułatwiał mi poruszanie się po kraju (na odwrocie są potwierdzenia meldunkowe m.in. z Włocławka i Elbląga)... aż w końcu w Krakowie umożliwił zdobycie akademickiej legitymacji i indeksu.



Ślubne zdjęcie Jany i Tadzia. Ten ślub uświetniały polne kwiaty własnoręcznie przez nich zebrane i parę najbliższych osób (12.V.1945 r.)

było. Znow zamieszkała u rodziny w Warszawie – którą opuściła, gdy w 1941 roku zabieraliśmy ją na Kresy.

Bieda w tym „kolchozie” aż piszczała – nie było mebli, garnków, pościeli, ubrań... wszystkiego! Ale była wielka przyjaźń i wzajemna pomoc. Było też nadspodziewanie dużo radości życia, które jakby dopiero teraz – wbrew wszystkiemu – zaczęło nabierać urody. Przywiozłem niestety z Podlasia fatalną wiadomość dla Jany. Jej brat – Czesław, od dawna „rwał się” do wojaczki, ale był zbyt młody, żeby wziąć udział w operacji „Ostra Brama”. W końcu postawił na swoim i po ewakuacji do Białegostoku – w pierwszych miesiącach 1945 roku zaciągnął się do jednego z poAK-owskich oddziałów. Zginął fatalnie w wieku 17 lat, tuż przed zakończeniem wojny. Jana bardzo kochała swego znacznie młodszego brata i ciężko przeżyła tę śmierć.

O rozpoczęciu studiów myślałem nie tylko ja. Sławek chciał studiować chemię na

We Włocławku zastałem istny „wesoly kolchoz”. Tadeusz i Janka (Jana) byli już po ślubie, który zawarli w maju jeszcze przed wyjazdem z Białegostoku. Mieszkali z Mamą w tej samej kamienicy i klatce schodowej, co państwo Surynowie. Dopiero teraz poznałem dwie ich córki – bardzo przystojne i miłe panienki. Mama i Pani Surynowa dobrze się rozumiały i właśnie te „dwa domy” tworzyły „wesoly kolchoz”. Zosi w nim już nie



Samotny grób Czesława Radziuna na wiejskim, podlaskim cmentarzu. To zdjęcie zrobiłem gdy zawiozłem tam Janę w latach 70.

Politechnice w Łodzi, do której ciągnęły go koleżeńskie kontakty. Tadeusz miał do zrobienia czwarty rok prawa, ale zakończenie studiów odkładał „na później”. W wyniku wielkiej „narady wojennej” powstał rodzinny plan „zdobycia młyna” – w ramach repatriacyjnej rekompensaty za młyn pozostawiony w Jewłaszach. Dochód z młyna miał umożliwić studia Sławkowi i mnie – a gdyby wszystko „szło dobrze”, również Tadziowi!

To był jeden punkt planu. Drugi – nie mniej istotny – polegał na uzyskaniu urzędowego potwierdzenia zdania matury, przed pięciu laty w Warszawie, na kompletach tajnego nauczania. Bez świadectwa maturalnego – dostanie się na studia było niemożliwe. Sławek miał już informację, że Książd Potrzebski zginął w Powstaniu Warszawskim, a dokumentacja naszej matury – zdeponowana przez niego w klasztorze Wizytek – splonęła wraz z klasztorem. Państwowa Komisja Weryfikacyjna – powołana do załatwienia tego rodzaju spraw – może owszem potwierdzić zdanie matury, ale do tego są potrzebne oświadczenia profesorów, którzy wówczas organizowali maturalny egzamin.

Tak więc lipiec, sierpień i niemal cały wrzesień 1945 roku upłynął głównie pod znakiem intensywnych poszukiwań zarówno młyna – jako materialnego zabezpieczenia planowanych studiów – jak też profesorów, którzy mogliby potwierdzić fakt zdania przez nas matury. Mówię „głównie” – bo był jeszcze jeden istotny cel podejmowanych wówczas działań. Trzeba było „równocześnie” zdobywać środki na pokrycie kosztów podejmowanych podróży i kosztów swego utrzymania. „Odprawa” AKO – szybko się skończyła. Pobory Tadeusza jako „Inspektora Izby Rolniczej” i jakaś niewielka pensyjka Jany ledwie wystarczały na utrzymanie ich i Mamy. Jedynym sposobem zarobkowania w warunkach nieustannych podróży był handel – „czym się dało i z kim się dało”! W owych powojennych miesiącach – gdy „wszystkim brakowało wszystkiego” – handlować próbowali niemal wszyscy. Perypetie z tym związane i podróże odbywane w nieprawdopodobnie zatłoczonych pociągach – często na dachu wagonów – nie dadzą się opowiedzieć! To był czas ogromnego wysiłku – często znużenia i zniechęcenia chybnymi usiłowaniami – ale też czas ruchliwego życia i przynajmniej częściowych sukcesów.

Sławek jako pierwszy „namierzył” młyn w Nawiadach na Mazurach (koło Mrągowa) i nawet dość daleko zaawansował starania o jego przydział. Jeszcze na początku sierpnia był pełen optymizmu. Młyn został przez niego uruchomiany i mógł już przynosić dochód – ale właśnie wówczas pojawił się mocno ustosunkowany „konkurent”! Sławek „przydziału” nie otrzymał i musiał młyn opuścić. Ja – jako obszar poszukiwań wybrałem Elbląg i teren przedwojennego Wolnego Miasta, Gdańsk. Za najbardziej zachęcające uznałem młyny wodne na peryferiach Elbląga, na niewielkiej ale rwącej rzece, którą wówczas

nazywano „Wilde Hommel”¹⁾. Była to „kaskada” paru wodnych młynów wielkością dość podobnych do młyna w Jewlaszczach. W urzędzie miasta uzyskałem obietnicę „przydziału” jednego z nich, ale możliwość rzeczywistego objęcia młyna była uzależniona od przekazania go polskim władzom miasta przez Armię Radziecką. Na akcję przekonywania jej przedstawiciela, który „zarządzał” młynami – aby zrezygnował z jednego z nich (tego mnie obiecane) wezwałem Tadeusza. „Podchody” i „pertraktacje” trwały parę dni, a rozmówca – starszy już człowiek – „leutenant” z kwatermistrzostwa, był wyraźnie zainteresowany przeprowadzeniem „transakcji”. Niestety – gdy szczęśliwy finał w czasie suto zakrapianej kolacji wydawał się bardzo bliski – nasz „leutenant” wyznał w przypływie pijackiej szczerości, że „*Kamandir, swołocz*”, z którym musiał się „dzielić” – uparł się i nie godzi na oddanie miastu choćby jednego młyna – „*najwcześniej za 2-3 lata*”. Tak więc również moje usiłowania, aby „zdobyć młyn” – zakończyły się fiaskiem.

Gdy mocno zgnębieni wracaliśmy z Tadeuszem z Elbląga do Włocławka, przeżyliśmy incydent, który nieco poprawił nasze podle wówczas samopoczucie. Otóż przed wyjazdem – żeby „*nie wracać z niczym*” – odwiedziliśmy miejski „bazar” i dosłownie „za grosze” kupiliśmy „*trochę towaru do upłynnienia*”. Z tego zakupu upamiętniły mi się trzy staroświeckie i bardzo ładne żelazka do prasowania bielizny – ogrzewane żeliwną „duszą” rozżarzaną w palenisku pieca – których później nikt nie chciał kupić. W efekcie rozdałem je jako „użyteczne upominki dla pań”. Ale ów incydent wiąże się z naszymi „bazarowymi” zakupami tylko tym, że obok naszych niewielkich tobolek – w przejściu przy drzwiach wagonu – wiózł w okropnym ścisku swój „*trofejnij*”²⁾ majątek jakiś sowiecki oficer z szeregowym towarzyszem. To były rzeczywiście ogromne walizy i paki z jakimś „zdobycznym dobrem”.

W Bydgoszczy był wówczas taki układ torów kolejowych, że pociąg ruszający w dalszą drogę do Warszawy, zamiast kontynuować kierunek jazdy – jechał w kierunku przeciwnym (do wcześniejszego). Nasz sowiecki oficer – widząc, że pociąg rusza w kierunku przeciwnym od spodziewanego – spytał nas nerwowo: „*Tot eszalon ujeżdżajet w Warszawu?*”³⁾ „*Da, w Warszawu*” – odpowiedział Tadeusz. Ale Sowiec spojrzał na niego podejrzliwie i doszedł do wniosku, że jest oklamywany. „*Wańka wybraswaj czamadany*”⁴⁾ – wrzasnął do swego towarzysza i wyskoczył na peron. Wańka rzeczywiście bardzo sprawnie wywalal walizy na peron, a on usiłował je łapać. W końcu Wańka też wyskoczył na peron, a pociąg wolno toczył się do Warszawy. Na peronie – Sowieci bardzo zadowoleni z siebie, że nie dali się oszukać – obciągnęli rubaszki i zaczęli znosić na jedno miejsce czamadany rozrzucone

¹⁾ Dzika Hommel.

²⁾ Zdobyczny

³⁾ Ten transport odjeżdża do Warszawy?

⁴⁾ Wańka wyrzucaj walizy!

po peronie. My – jadąc dalej śmiałyśmy się serdecznie! Wraz z tym śmiechem ubyło nam sporo z poprzedniego podłego samopoczucia i złości na „Kamandira”, który nie raczył polskim władzom miasta oddać choćby jednego młyna – z kilku zajętych. Zaczęliśmy rozumieć, że młyny – tak jak „czamadany” tego oficera – są pewnie przeznaczone do wywózki i że prawdopodobnie od początku nie mieliśmy żadnych szans na realny „przydział” któregośkolwiek z nich.

We Włochach pod Warszawą – szczęśliwym zbiegiem okoliczności – „odkryliśmy” Białoszczyńskiego, naszego profesora fizyki i chemii w grodzieńskim liceum. Jak wspominałem – to On bardzo nam pomógł w uzyskaniu świadectw maturalnych. Potwierdził zdanie matury i podał adresy dwóch dalszych uczestników maturalnego egzaminu. W pogoni za niezbędnymi oświadczeniami trzeba było dotrzeć do Bielska-Białej w Beskidach i do Lublina – ale na tym „froncie” batalii o studia osiągnęliśmy sukces. 19 września 1945 roku otrzymaliśmy „Świadectwo dojrzałości Liceum ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza w Grodnie wydział matematyczno-fizyczny (...) uprawniające do studiów w szkołach wyższych”. Dokument został wydany przez Komisję Weryfikacyjną na podstawie egzaminu zdawanego w tajnym nauczaniu w 1940 roku.

W tym czasie – niespodziewanie duży sukces odniosłem również w „operacjach handlowych”. Kombatant Tadeusza ze szwadronu „Ślepowrona” na Nowogródzczyźnie – służył aktualnie w Wojsku Polskim, w jednostce stacjonującej na Pradze. Jednostka – a ściślej „pan wachmistrz” zatrudniony w kwatermistrzostwie – już poprzednio miał do „upłynnienia” niewielkie ilości samochodowego paliwa – beczkę lub dwie. Transakcje zawierane ze mną jako pośrednikiem – dawały mu gwarancję dyskrecji i niezależności od „macherów” działających na rynku paliw. Tym razem zgłosił gotowość zbycia kilkunastu beczek „czystej benzyny”, na którą było największe zapotrzebowanie. Bez żadnych trudności znalazłem chętnego odbiorcę, który „podstawił” dwie ciężarówki załadowane pustymi beczkami. Mając w ręku potrzebne „asygnaty” i upoważnienia do odbioru paliwa – pojechałem do ogromnych składów wojskowych i bez żadnych przeszkód – jedynie w dość długiej kolejce do „dystrybutora” – odebrałem benzynę.

Przekazanie „towaru”, odbiór gotówki, uregulowanie płatności z panem wachmistrzem – wszystko to odbyło się nadzwyczaj sprawnie. Do dziś nie wiem ile w tej „operacji” było działań legalnych prowadzonych przez jednostkę Wojska Polskiego w ramach upłynniania nadwyżek z przyznawanych jej limitów zużycia paliw – a ile działań nielegalnych – chyba nie samego tylko wachmistrza. Mój „zarobek” wynikał głównie stąd, że wojsko zbywało paliwo w tonach (na wagę), a ja rozliczałem się z odbiorcą w litrach. Był to bardzo pokaźny „zarobek”. W ciągu jednego dnia zdobyłem środki, które znakomicie urealnili planowane studia w Krakowie. Już nigdy później nie

udało mi się zdobyć tak dużo pieniędzy, w tak krótkim czasie i tak małym wysiłkiem! Zdobyta „kasa” została przekazana Mamie, która od razu – nauczona trzema wojnami – zamieniła ją na „złote ruble”. Do losów tej „kasy” jeszcze wrócę.

Krakowskie początki

Zbliżał się koniec września 1945 roku. Miałem za sobą wyjście z podziemia i piekielnie ruchliwe miesiące pokonywania przeszkód na drodze do studiów. Choć nie w pełni tak jak to sobie założyliśmy – ale jednak przeszkody zostały usunięte! Z wcześniejszych kontaktów z Akademią Górniczą wiedziałem, że pierwszy – „normalny, powojenny rok studiów” – rozpoczyna się z początkiem października. Do „roku przyspieszonego”, który rozpoczął się wiosną – nie mogłem dołączyć, bo ich zajęcia trwały już niemal całe lato¹³⁰⁾. Aby zdążyć z załatwieniem formalności wpisowych nawet na „rok normalny” – trzeba było się spieszyć.

Cudownym zrzędzeniem losu – Zygmunt Kuczyński, którego świetnie pamiętałem z przedwojennych wakacji spędzanych przez niego w Lacku (str. 41, 79–80) – pracował już w tym czasie w Krakowie, w prywatnej klinice przy Plantach – wówczas to była chyba ulica Potockiego, później Westerplatte. W każdym razie był to okazały dwu lub trzypiętrowy budynek – prawie pałac – do którego wchodziło się z szacunkiem. Zygmunt był tam początkującym lekarzem, ale już na tyle „zasiedziałym”, że mógł mnie w tej klinice „przechowywać pół legalnie” przez pierwsze tygodnie mego pobytu w Krakowie. Spałem w służbowej komórce na poddaszu na rozkładanym szpitalnym łóżeczku, razem ze szczotkami, wiadrami i innym wyposażeniem sprzętaczek. Wspominam to z rozrzewnieniem, bo byłem z miejsca w tej komórce tak zadowolony, jakbym mieszkał w luksusowym „Francuskim Hotelu”!

Codziennie goniłem na Akademię. Po załatwieniu w dziekanacie formalności, związanych z wpisem na listę studentów przyjętych na Wydział



Gmach Główny Akademii Górniczej, w Krakowie przy alei Mickiewicza⁵⁾

Górnicy Akademii – od razu zacząłem „drażyć” sprawę miejsca w domu akademickim. Okazało się, że domy akademickie dopiero się organizują (duży dom studencki przy ul. Gramatyka 10 był zajęty na szpital Armii Radzieckiej), a te ich „zaczątki”,



Profesor Marian Mięśowicz, opiekun „Bursy” na ul. Mikołajskiej 6 (1939 r.)⁵⁾

które już funkcjonują są całkowicie zapełnione. Sprawa wydawała się beznadziejna, ale znów szczęście mi sprzyjało. Dr Marian Mięśowicz, pracownik Zakładu Fizyki (w następnym roku powołany na profesora nadzwyczajnego) i równocześnie kurator prywatnej „Fundacji im. Kajetana i Józefa Dudziaków dla młodzieży podhalańskiej” – zgłosił w Dziekanacie naszego Wydziału gotowość udostępnienia Akademii mieszkania złożonego z sześciu pokoi i korytarza, na III piętrze kamienicy przy ulicy Mikołajskiej 6 – z przeznaczeniem na małą „Bursę Akademicką”.

Bardzo miła starsza pani, Kierowniczką Dziekanatu (nazwiska niestety nie pamiętam), która trochę mi „matkowała” (ze względu na swoje przedwojenne wspomnienia z Wilna) – powiadomiła mnie o pojawiającej się możliwości. Zostałem włączony do zespołu, który miał urządzać nową „Bursę” z powiększoną liczbą lokatorów. Pamiętam wielkie sprzątanie mocno zaniedbanego mieszkania. Później gdzieś z miasta zwoziliśmy brakujące, bardzo rozmaite łóżka, szafy, stoły i stoliki. Uzupełniające wyposażenie było wyraźnie „zbierane” z miejskich magazynów i innych instytucji – ale kompletowało umeblowanie pokoi – głównie trzyosobowych. Końcowym „akordem” było noszenie z pobliskiej ulicy Stolarskiej – autentycznie na głowie – na III piętro „sienników” wypchanych sianem i słomą, bo materace były tylko na niektórych łóżkach.

Gdy „Bursa” była już urządzona, nastąpiło parodniowe oczekiwanie na formalny przydział miejsca. Decyzje zapadały na poziomie Dziekanatu, kuratora „Fundacji...” i Stowarzyszenia Studentów Akademii Gómiczej (SSAG), które już wcześniej wznowiło swą przedwojenną działalność. Szczęśliwie – głównie dzięki poparciu prezesa SSAG Stanisława Sobolewskiego, który odniósł się do mego wniosku bardzo przychylnie – znalazłem się wśród 18 wybranych i „9.X.1945 roku” własnoręcznie wpisałem się do „Domowej książki meldunkowej, Kraków, Ulica Mikołajska, Nr domu 6”. Gdy w 2007 roku otrzymałem z Archiwum Miasta Krakowa kserokopię tego wpisu – wraz z datą wymeldowania po pięciu latach (1 października 1950 r.)



Brama kamienicy nr 6 przy ul. Mikołajskiej. Nad wejściem charakterystyczna głowa „krakowskiego żaka”

– moja sympatia do tego pięknego miasta moich studiów – i równocześnie miasta „porządnych urzędników” – wyraźnie wzrosła.

Wyprowadzka z lecznicy – spod „skrzydeł” Zygmunta – została uświetniona „pożegnalną” kolacją, na którą zaprosilem go do Wierzyńka. Byłem wówczas pierwszy raz w tej słynnej restauracji! Duże wrażenie robiły zarówno „nastrojowe” wnętrza, jak i wytworna „krakowska publika”. Powiedziałem wówczas Zygmuntovi, że zapraszam go do tego samego lokalu na obławanie dyplomu za cztery lata. Nie mówiłem tego zbyt poważnie, ale dyplom inżyniera górniczego i magistra nauk technicznych przyznany przez Radę Wydziału Górniczego w grudniu 1950 roku – rzeczywiście „oblewałem” u Wierzyńka. Niestety, Zygmunt pracował już wówczas w Nowym Targu i na „obławanie” nie dojechał.

W „Bursie” w wyniku dość przypadkowego przydziału pokoi i kompletowania ich lokatorów – znalazłem się w trzyosobowym pokoju na końcu korytarza, z oknem wychodzącym na wewnętrzne bardzo ciasne i ciemne – „niby podwórko” – raczej „komin”. Współlokatorami byli koledzy z mego roku. Jasio Gęca – był synem inżyniera Dozoru Kotłów, który miał w Dąbrowie Górniczej duży dom w pięknym ogrodzie. Rodzice Zbyszka Rozpędzika mieszkali w Pionkach, a jego ojczym pracował w fabryce amunicji. Obydwaj dostawali ze swych domów paczki z solidną „wałówką” – co w owych studenckich czasach, często dość „chudych”, a zawsze „chudałych” – było okolicznością bardzo korzystną. Zbyszek był w czasie wojny wywieziony na roboty do Salzburga i w tym czasie rozpadło się jego małżeństwo. Bardzo to przeżywał i miał w owym czasie problemy z alkoholem. Jasio był z wzajemnością mocno zaangażowany w uczucia do kształtnej blondynki. Ja w tym czasie uczuciowo się nie angażowałem.

Wszyscy podchodziliśmy do studiów poważnie – choć w stopniu różnicowanym. Stanowiliśmy zgodną „trójkę”, która – nie krępując się wzajemnie – przetrwała w przyjaźni we wspólnym pokoju całe studia. Także obsada pozostałych pokoi była „stabilna” i składała się w większości z kolegów, którzy dopiero rozpoczynali pierwszy rok Akademii – tak jak my. „Bursa” na Mikołajskiej – zlokalizowana dosłownie „w cieniu” kościoła Mariackiego przy Małym Rynku – była wspaniałym, zupełnie unikalnym miejscem! Na Akademię szło się przez Rynek, Stroną A-B, oraz Plac Szczepański, kawaleczkiem Plantów i ulicą Karmelicką. Jestem wdzięczny losowi, że mnie tam pokierował. Bez „Mikołajskiej” w moich akademickich latach – byłoby z pewnością o wiele mniej zarówno beztroskiej zabawy, jak i autentycznie zaangażowanej pracy.

Tymczasem zajęcia na rozpoczętym roku akademickim stopniowo nabierały tempa. Akademia wznawiała działalność z przedwojennym programem studiów (dwa Wydziały: Górniczy i Hutniczy) i przedwojenną kadrą – niestety mocno zdekompletowaną w latach wojny. Prawie wszyscy profesorowie

i część młodszej kadry była w 1939 roku objęta słynną akcją uwięzienia krakowskich naukowców (6.11.1939 r.) i ich deportacji do obozów koncentracyjnych (głównie Sachsenhausen). Gmach główny Akademii został zajęty na siedzibę Gubernatora Hansa Franka, ale w górniczym „bloku” przy ulicy Krzemionki 11 – pod „przykrywką” „Państwowej Szkoły Technicznej Górniczo-Hutniczo-Mierniczej (PSTGHM) – było prowadzone tajne nauczanie akademickie. Kadra Akademii angażowała się też w działalność konspiracyjną – jej łączne straty były więc bardzo duże⁵⁾.

Czteroletni program studiów dzielił się w indeksie na dwa dwuletnie okresy: „Studium ogólne”: 22 przedmioty kończące się egzaminem i „Studium zawodowe”: 28 przedmiotów także z egzaminem końcowym u profesora. W większości przedmiotów, oprócz wykładów, należało zaliczać wielogodzinne ćwiczenia w laboratoriach i salach studyjnych (np. fizyka, chemia analityczna, matematyka wyższa, maszyny górnicze, górnictwo I, II i III...) bądź w terenie (np. paleontologia, petrografia, geologia stosowana, miernictwo górnicze...). Uzyskanie zaliczenia z większości przedmiotów wiązało się z przygotowaniem jednej lub kilku prac (projektów) i przeważnie wymagało zdania „wewnętrznego” egzaminu u odpowiedzialnego adiunkta. Warunkiem przystąpienia u profesora do egzaminu kończącego naukę przedmiotu – było uzyskanie pozytywnej noty z obowiązujących zaliczeń.

Odrębnie, po każdym z kolejnych lat studiów obowiązywała – wpisywana do indeksu – miesięczna lub dwumiesięczna praktyka kopalniana. Musiał ją potwierdzić urzędowym zaświadczeniem dyrektor kopalni, który przeważnie wyznaczał odpowiedzialnego „opiekuna praktykantów”. Praktyka kopalniana odbywana za granicą uzupełniała praktyki odbywane w polskich kopalniach. Oprócz praktyki kopalnianej obowiązywały specjalne dziesięciodniowe „pomiaru polowe” na Wawelu i tygodniowe „pomiaru dolowe” w Wieliczce – z miernictwa górniczego. Po czwartym roku studiów następowała półroczna „praktyka dyplomowa”, po której – jeżeli wszystko „szło prawidłowo” – praca dyplomowa miała być gotowa. Obrona pracy odbywała się przed komisją reprezentującą Radę Wydziału. Ze względu na rozległość programu studiów, dyplom był przeważnie uzyskiwany z rocznym lub nawet wieloletnim opóźnieniem, w stosunku do roku kończącego słuchanie wykładów. W 1949 roku zakończył studia nasz starszy kolega Witold Żabicki – bardzo przez wszystkich lubiany znawca tradycji górniczych, organizator



*Zdjęcie z mego WYKAZU STUDIÓW
(indeksu) na Akademii Górniczej
w Krakowie (1945 r.)*

„skoku przez skórę” i „knajp piwnych”... pracownik Akademii – który zapisał się na Wydział Górniczy w 1922 roku i studiował 54 semestry.

Z pewnością studia na Wydziale Górniczym Akademii Górniczej nie były łatwe. Na podstawie osobistego doświadczenia, które nabyłem w następnych latach – twierdziłem, że „zrobienie” jednego roku na Akademii wymagało wówczas 6 miesięcy „solidnego kucia”, podczas gdy na Wydziale Prawa – „zrobienie” jednego roku „kosztowało” 3 miesiące intensywnej pracy, a na studiach ekonomicznych wystarczyły 2 miesiące. Jest to oczywiście ocena bardzo subiektywna, ale określa z grubsza warunki, w których mijały mi lata studiów w pięknym Krakowie. Wiele zabytków miasta i jego wspaniałych okolic mogłem poznać dopiero po studiach, bo w czasie ich trwania na przyjemności nie było zbyt wiele czasu.

Pierwszy rok studiów upamiętnił się dotkliwym brakiem podręczników i skryptów, co oznaczało konieczność uczęszczania na większość przynajmniej podstawowych wykładów i robienia dokładnych notatek. Można było ewentualnie liczyć na notatki kolegów, ale ja jechałem do Krakowa z wyraźną determinacją szybkiego zrobienia dyplomu i nieszukania „łatwizny”. Wiedziałem też, że chcę dostawać stypendium – gdy tylko akcja stypendialna zostanie uruchomiona. Byłem więc dobrze zmotywowany i chodziłem – w zasadzie na wszystkie wykłady, a moje notatki były wśród kolegów wysoko oceniane. Profesorowie i wykładowcy (bez tego tytułu) wiedzieli, że nie mogą nas odsyłać do podręcznika czy skryptu – i że wymagany materiał musi być solidnie „wyłożony”. I był – w zasadzie we wszystkich przedmiotach.

Przykładem wykładowcy, który zadziwiał solidnością i klarownością wykładu był dr Stanisław Gołąb. W roku 1946 został powołany na profesora nadzwyczajnego. Nam wykładał dwa przedmioty: *matematykę wyższą* i *geometrię analityczną*. Na pierwszym wykładzie, widząc, że większość studentów naszego rocznika już dawno opuściło „ławę szkolną” – oświadczył, że w ciągu sześciu pierwszych godzin wykładów przerobi z nami cały kuis matematyki obowiązujący w przedwojennym liceum matematyczno-fizycznym – bo „*to jest materiał wyjściowy, który musicie znać jeżeli chcecie iść dalej*”. Jak powiedział – tak zrobi!!!

W ciągu 6 godzin wyłożył, nadzwyczaj przystępnie, cały materiał z algebry, trygonometrii i początków rachunku różniczkowego, który w liceum był przerabiany przez 2 lata!! A na zakończenie tego repetytorium opowiedział następującą anegdotę: „*Profesor stoi przy tablicy i coś na niej pisze. Raptem w klasie rozlega się głośny gwizd. Profesor nie odwracając głowy od tablicy mówi: »Sojka gwizdnęła*



Profesor matematyki Stanisław Gołąb przyszedł na Akademię z Uniwersytetu Jagiellońskiego

zarobileś dwóję ze sprawowania». Ktoś z klasy wola: »Panie profesorze dziś Sojki nie ma w szkole!« A profesor na to: »To nie – gdyby był to by gwizdnął!« Staral się nas zachęcić do pracy nad sobą i pokazywał jakie konsekwencje może mieć utrata reputacji.

W latach 1948–1950 był dziekanem Wydziału Górniczego – nadzwyczaj lubianym przez studentów.

Zgodnie ze wskazówką profesora Gołąba starałem się solidnie przygotowywać do egzaminów i zgłaszać do ich zdawania – w pierwszych możliwych terminach. Wówczas w Akademii obowiązywał system indywidualnego zgłaszania się do egzaminu z poszczególnych przedmiotów. Student sam określał termin zgłoszenia – gdy ocenił, że jest już przygotowany. Twierdziłem, że moja „strategia nie zwlekania z egzaminem” umożliwiła uzyskanie najwyższej noty, przy osiągniętym poziomie przygotowania. W systemie punktacji, który wówczas obowiązywał w Akademii, wynik *dostateczny* obejmował punkty od 1 do 1,49; wynik *dobry* od 1,5 do 2,49; wynik *bardzo dobry* od 2,50 do 3. Niektórzy profesorowie poprzestawali na słownym określeniu wyniku egzaminu, ale wielu precyzowało swoją ocenę również w skali punktowej.

Pierwszy w życiu egzamin z akademickiego przedmiotu nauczania zdałem 17 marca 1946 roku z *geometrii wykreślnej*. Przedmiot był wykładany tylko w półroczu zimowym przez prof. Luśniaka. Gdy na początku wykładów zapoznawał się ze studentami i usłyszał moje nazwisko – spytał czy mój ojciec studiował na Politechnice Lwowskiej. Okazało się, że był kolegą Ojea i Stryja i to od niego dostałem ich fotografie z czasów akademickich, zamieszczone na stronie 7 i 31. Lubilem ten przedmiot i byłem w nim dobry. Udało mi się nawet parę razy zwrócić Profesorowi uwagę, na pomyłki, które mu się zdarzyły, gdy z nadzwyczajną wprawą – ale też z pośpiechem – kreślił na tablicy skomplikowane przenikania brył. Wpisał mi do indeksu pierwszą notę i była to nota: *bardzo dobry* (bez punktacji).

Drugi zdany egzamin – 11 kwietnia 1946 roku – wpisał mi do indeksu profesor Gołąb z *geometrii analitycznej*. Ocenil moją znajomość przedmiotu na 2,9 tzn., że do noty najwyższej (celujący), zabrakło mi 0,1 punktu.

Te pierwsze zdane egzaminy dodały mi pewności siebie i wiary w „stabilność” mego akademickiego życia. Nieprawomyślnie pochodzenie (zawsze podawałem: „rolnicze”), AK-owska przeszłość na Kresach i półroczne trwanie w antykomunistycznym podziemiu (nigdy nieujawnione), były w początkowym okresie studiów – źródłem niepokoju nurtującego podświadomość. I właśnie to odczucie teraz wyraźnie zelżało. Było to oczywiście wynikiem nie tyle zdania tych egzaminów, co półrocznego przebywania w studenckim środowisku Akademii. Było to niewątpliwie środowisko patrzące na rzeczywistość *realnie i racjonalnie*. Nie poddawało się *socjalistycznej propagandzie*, ale nie było też *wojująco opozycyjne*. Dyskusje „polityczne” wybuchały rzadko, a ja starałem się do nich nie włączać. I to nie dlatego, że nie miałem zaufania do

kolegów. Czulem, że myślą podobnie jak ja, a niektórzy – być może – mają przeszłość równie „podejrzaną”. Po prostu – zniechęcony obserwowaną wówczas sytuacją – „demonstrowałem” utrzymywanie statusu bezpartyjności i postawę „apolityczną”. Pewnie z tego względu nikt w czasie studiów nie zaproponował mi wstąpienia do ZMS-u, a później do koła PPR, PPS czy PZPR. Również gdy już pracowałem nigdy nie proponowano mi wstąpienia do partii.

Wkrótce po otrzymaniu indeksu – bez jakiegokolwiek „zaproszenia” zapisałem się do Stowarzyszenia Studentów A.G. i przez pewien czas byłem nawet jego aktywnym członkiem. Odpowiadała mi rozległa działalność samopomocowa Stowarzyszenia. Zarząd SSAG walczył o fundusze na remont i wyposażenie domów akademickich, na uruchamianie studenckich stołówek, na stypendia udzielane przez Uczelnię itd. Nie angażując się w politykę, SSAG potrafił też – w porozumieniu z bratnią organizacją Uniwersytetu Jagiellońskiego i innych uczelni w Polsce – upominać się o „samorządność” Akademii, a w 1946 roku, nawet o „skasowane” święto 3 Maja. To było pamiętne wystąpienie SSAG, wyjątkowo wyraźnie wykraczające poza działalność samopomocową.



Pamiętny pochód studentów Akademii Górniczej 3 maja 1946 r., z poczem sztandarowym SSAG. Prowadzi Antoni Kleczkowski⁵⁾

Zebrałiśmy się na zapleczu głównego gmachu Akademii i dużą, kilkusetosobową grupą, szliśmy – z przedwojennym sztandarem Stowarzyszenia – na mszę św. do Kościoła Mariackiego. Gdy ulicą Szewską weszliśmy na Rynek Główny – wypełniał go już gęsty tłum. Były flagi narodowe i sztandary różnych organizacji społecznych. My szliśmy do

kościół Mariackiego stroną E-F Rynku i wołaliśmy do szpaleru milicjantów stojących wzdłuż chodnika: „*Chodźcie z nami! Chodźcie z nami!!*”. W tym czasie po przeciwnej stronie Rynku – na A-B – pojawiły się sowieckie czołgi. Pędząc wśród uciekającego tłumu, strzelały w powietrze, a milicja – wcześniej nieaktywna – sięgnęła po pałki. Zostaliśmy rozproszeni, ale rynek pustoszał powoli. Aresztowano około 1000 osób głównie wśród studentów¹⁷⁾. Część członków Prezydium SSAG została zatrzymana na okres kilku dni, a prezes – Stanisław Tochowicz musiał ustąpić 31.V.1946 r.

Po nim tę funkcję objął świetny Prezes Lech Kobyliński, ale był prezesem ostatnim. W marcu 1948 roku SSAG zostało rozwiązane³⁾.

W czerwcu zdałem *encyklopedię górnictwa* – najłatwiejszy przedmiot pierwszego roku studiów (b.d.) i bodaj największą „kolubrynę”: „*matematykę wyższą*” znów u profesora Gołąba. Tym razem ocenił moje przygotowanie na 2,3 – czyli do noty bardzo dobrej zabrakło mi 0,2 punktu. W pierwszej połowie lipca – jeszcze przed praktyką wakacyjną – zdałem z wynikiem bardzo dobrym dwa ostatnie egzaminy obowiązujące na pierwszym roku: *fizykę* u profesora Mięgowicza i *chemię ogólną* u profesora Staronki. Gdy w lipcowy upalny dzień zgłosiłem się u profesora Mięgowicza do egzaminu – był tylko w koszuli, a ja oczywiście w krawacie i ciemnym garniturze (pożyczyliśmy między sobą te ciemne garnitury). Po przywitaniu, powiedział: „*Proszę zdjąć krawat i marynarkę, żebyśmy mieli równe szanse*”. Mimo, że zdjąłem i marynarkę i krawat – szanse nie były równe. To był wspaniały profesor i badacz, który w owym czasie prowadził pionierskie pomiary promieniowania kosmicznego. Zostałem porządnie „przemaglowany”, ale sądzę, że moja „strategia” zdawania egzaminów w pierwszych możliwych terminach też wpłynęła na bardzo dobrą ocenę. Byłem tej „strategii” wierny przez całe studia.

Na pierwszą praktykę wakacyjną (była określana jako „robotnicza”) – zostałem skierowany wraz z dwoma kolegami – do kopalni węgla kamiennego „Katowice” w Katowicach. Naszym „opiekunem” był inżynier z Działu Planowania (pamiętam, że miał amputowane prawe ramię), który wiedząc, że jesteśmy dopiero po pierwszym roku studiów, bardzo dbał o to, żeby praktyka nie była „nadmiernie robotnicza” – zniechęcająca do górnictwa. Przeważnie polegała na zwiedzaniu podziemnej kopalni w towarzystwie dozoru górniczego i zapoznawaniu się z jej niepowtarzalną specyfiką. To co w ramach przedmiotu „*encyklopedia górnictwa*” opowiadał nam stary profesor R. Rieger i co oglądaliśmy tylko na rysunkach i fotografiach – bardzo się przybliżyło.

Swoje pierwsze, kopalniane wrażenia mogę określić jako dość „nijakie”. To co oglądałem zgadzało się z wyobrażeniami – nieczym nie byłem więc ani oczarowany, ani rozezarowany. Upewniłem się w poglądzie, że zawód górnika jest „twardy”, i że nie ma w nim miejsca na „fuszerkę”. Prawdziwe poznawanie górnictwa zaczęło się dopiero na III–IV roku studiów, a zakończyło znacznie później. Uplłynęło sporo lat, zanim zrozumiałem – głównie dzięki kontaktom z profesorem Bolesławem Krupińskim – że górnictwo to nie tylko „twardy zawód” i wspaniale rzemiosło! To przede wszystkim główna dźwignia cywilizacyjnego postępu, a dla Polski ogromna szansa na rozwój i dobrobyt!!

Drugi rok studiów na Akademii Górniczej

Krótkie ferie po zakończeniu praktyki wakacyjnej – obejmujące koniec sierpnia i wrzesień – spędziłem głównie u Tadzioń. Wraz z Mamą mieszkali

już w tym czasie w Wilczyńku. Był to niewielki folwark, z ładnym dworkiem położonym w sosnowym lesku. Do Wilczyńka dojeżdżało się kolejką grójeczką, do stacji Baniocza (około 20 km od Warszawy), a od stacji szło się spacerkiem 15 minut. Przenosiny Tadeusza nastąpiły jakoś wiosną 1946 roku i były wynikiem splotu dwóch okoliczności. Pierwsza – to okazja wydzierżawienia Wilczyńka na korzystnych warunkach od właścicielki, która należała do rodziny państwa Wolterów w Białymstoku. Druga – to decyzja Tadeusza, aby kończyć studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Rzeczywiście wykorzystał warunki, które dawał podwarszawski Wilczynek – zapisał się na IV rok studiów (1946/47) i 30 czerwca 1947 roku złożył egzamin dyplomowy, uzyskując stopień i dyplom magistra prawa.

Jadąc do Wilczyńka – gdy znalazłem się w Warszawie – coś mnie pociągnęło na Stare Miasto. To wówczas – patrząc jak w tym morzu ruin, pojawiają się już oznaki nowego życia – zostałem „zarażony” pasją śledzenia procesu



Mama i Tadeusz w Wilczyńku nad „glinianką”

odbudowy Warszawskiej Starówki. Przez wszystkie następne lata studiów, gdy jechałem do Tadeusza i mieszkającej z nimi Mamy – na święta czy wakacje – prawie zawsze zaglądałem na ten zadziwiający plac budowy. Jadąc, przeważnie nocnym pociągiem – wysiadałem na dworcu centralnym i wczesnym rankiem docierałem na Stary Rynek lub w jego okolice, aby podziwiać postęp robót dokonany od poprzedniej „wizyty”. Cieszyłem się tempem w jakim „zmartwychwstawało” to „umarłe miasto” – i równocześnie rozpie-rała mnie ogromna satysfakcja! *„A jednak dzwigamy się mimo wszystko i wbrew tym, którzy tak niedawno patrzyli zza Wisły jak walczy i ginie miasto z ponad 200 000 jego mieszkańców!”*

Wakacje, w miłym – zawsze szeroko „otwartym domu” Tadeusza i Jany – minęły szybko. Koło Wilczyńka były dostępne

stawy, glinianki – stawy powstałe po czynnej kiedyś cegielni. Woda była w nich bardzo czysta, a otaczająca łąka nie była podmokła – było to więc idealne miejsce na letnią kąpiel i odpoczynek na trawie. Goście ciągnący do Tadeusza z Warszawy – określali kąpiel w gliniankach jako wielką atrakcję Wilczyńka. W końcu września, z żalem żegnając wakacyjne leniuchowanie – wyruszyłem do Krakowa.

Wraz z nowym rokiem akademickim – Akademia rozpoczęła realizację rozszerzonego programu studiów. Powstały dwa nowe Wydziały: Geologiczno-Mierniczy i Elektromechaniczny. Na naszym Wydziale Górniczym otwarto parę nowych zakładów – w tym Zakład Górnictwa III kreowany przez doc. inż. Bolesława Krupińskiego. Wiedzieliśmy, że jest to jakaś „gruba ryba” w górnictwie węgla kamiennego, a przedmiot obowiązujący dopiero na czwartym roku – obejmuje ekonomikę i inne dziedziny górnictwa dotychczas w Akademii niewykładane. Ten przedmiot mnie intrygował, ale na razie był „odległy”.

Bieżące obowiązki studenta II roku obejmowały głównie słuchanie, zaliczanie i zdawanie dalszych przedmiotów „studium ogólnego”. Mój stosunek do nich był raczej „obojętny”. Mniej lubilem przedmioty wyraźnie „pamięciowe” – takie na przykład jak: *krystalografia* i *mineralogia* oraz *petrografia* u profesora Bolewskiego lub *geologia ogólna* i *paleontologia* u profesora Panowa. Wolalem te bardziej praktyczne i analityczne, jak: *termodynamika* u prof. Dawidowskiego, *mechanika techniczna* i *wytrzymałość materiałów* u prof. Salustowicza lub *hydraulika* u prof. Litwiniszyna (później wybitnego teoretyka *aerologii* i *mechaniki górotworu*. Wiceprezesa PAN). Jednak zaliczać i zdawać trzeba było wszystkie przedmioty – również te zupełnie „nijkie”, jak na przykład *rysunek techniczny*.

Prawdziwie ciekawy był nie tyle drugi rok studiów, który zaliczyłem bez trudności, co następujące po nim praktyki wakacyjne. Najpierw zaliczałem praktykę krajową w kopalni „Barbara-Wyzwolenie” (między Chorzowem a Bytomiem). Po raz pierwszy widziałem tam wspaniałe „tradycyjne” górnictwo: *filary śląskie* w grubym pięcio- siedmiometrowym pokładzie. Nowocześniejsze wrębiarki stosowano w chodnikach, ale we właściwym przodku filarowym górnicy pracowali „jak przed wojną”. Także sztygar oddziałowy był prawdziwym przedwojennym technikiem górniczym, po znanej szkole w Dąbrowie Górniczej – tzw. „sztygarce”. Prawie całą praktykę spędziłem pod „opieką” tego sztygara. Dla studenta po II roku studiów to była dobra „lekcja” górnictwa. Fotografia pokazana na następnej stronie, została wykonana w Kopalni „Hrabina Laura” w Chorzowie – 1929 r.¹¹⁴⁾ W kopalni „Barbara-Wyzwolenie” wybierano ten sam pokład, tym samym systemem. To wówczas rozpocząłem naukę doceniania pracy górniczej oraz górników i górniczego dozoru dbającego autentycznie o swą załogę.

Jeszcze w czasie praktyki na „Wyzwoleniu” otrzymałem wiadomość, że moje wystąpienie o skierowanie na dodatkową praktykę wakacyjną w Jugosławii zostało „rozpatrzone pozytywnie”. Składając wniosek zupełnie nie wierzyłem, że po II roku mam jakieś szanse na ten wyjazd. Jugosławia to był kierunek bardzo atrakcyjny – na całą Akademię było zaledwie kilka miejsc – a wiedziałem, że wnioski składali koledzy z lat wyższych i nawet asystenci. Okazało się, że o moim przydziale zdecydował dyplom „Przodującego studenta”, który w tym czasie otrzymałem „za postępy w nauce”, od Władz Akademii i „czynnika społecznego”.



Takie wyrobisko jak kościół – „las drewnianej obudowy i „górnicy na węglu”! Tak wyglądały filary również w kopalni „Barbara-Wyzwolenie” („Czarne diamenty” M. Steckel, Katowice 1929)

W 1946 roku funkcjonowało już na uczelni „Kolo Polskiej Partii Robotniczej” (PPR) i „Kolo Polskiej Partii Socjalistycznej” (PPS) i to niewątpliwie stamtąd wywodziła się inicjatywa przyznawania dyplomów, które były wyraźnym „echem” sowieckiego ruchu stachanowskiego. Pamiętam, że właśnie z przedstawicielem „czynnika społecznego” – Androsiukiem – wyklócałem się o przyznanie na naszym roku takiego dyplomu nie tylko mnie, lecz także koledze Tadeuszowi Babiszowi i Marianowi Słomczyńskiemu. Twierdziłem, że stanowimy „trójkę” – razem się uczymy i mamy podobne wyniki – więc ja nie mogę przyjąć dyplomu, jeżeli nie dostaną go również oni. „Szantaż” się powiódł! Na naszym

roku – wyjątkowo – zostały przyznane trzy dyplomy, choć żaden z nas nie był partyjny. Muszę przyznać, że „czynnikiem społecznym” obchodził się z naszym „rocznikiem” całkiem przyzwoicie. Mieliśmy spokój – a „agitacja werbunkowa” skupiała się głównie na następnych, młodszych „rocznikach”.

Wyprawa do Jugosławii – od 20 sierpnia do 26 września 1947 roku – była wspaniałym przeżyciem. To był mój pierwszy wyjazd za granicę! Organizatorem naszego pobytu na praktyce była jugosłowiańska „młodzieżówka”

– „*Titowa Omladina*”. Podejmowała nas bardzo gościnnie. Gospodarze zgodzili się, żebyśmy praktykę odbyli w dwóch grupach i dwóch kopalniach: w Trepčy (wówczas największa w Europie kopalnia metali kolorowych, głównie cynku i ołowiu) na terenie dzisiejszego Kosowa oraz w Trbowlie (podziemna kopalnia węgla brunatnego) na terenie dzisiejszej Słowenii. Po dwóch tygodniach grupy miały się wymienić, co dawało możliwość zapoznania się nie tylko z dwiema całkowicie odmiennymi kopalniami, lecz także zobaczenia dwóch przeciwległych prowincji Jugosławii.

W mojej grupie byli starsi ode mnie koledzy: Zygmunt Kawecki (później znany profesor AGH, specjalista z zakresu kopalnianych lin wyciągowych) i Jurek Średniawa (później wybitny projektant *zakładów mechanicznej przeróbki węgla*, które „Kopex” budował wówczas w wielu krajach). Stanowiliśmy zgodną „drużynę”. Kopalnia była arcyciekawa, a złożo wspaniale! Parę dni pracowaliśmy przykładowo jako robotnicy na wydobywczym przodku komorowym. Na tę okoliczność umożliwiono nam kupienie w kopalnianym magazynie – za bardzo małą kwotę – świetnych sznurowanych butów, które jeszcze w Jugosławii i później w kraju służyły mi do górskich wypraw. Po odstrzale „czoła” komory o powierzchni około 8–12 m² – pojawiały się liczne, mniejsze i większe, kawerny. Ich ściany były pokryte wspaniałymi „bukietami kryształów”! Gdy do takiej kawerny przybliżyło się górniczą lampę i oświetliło kryształy – ukazywał się widok niezapomniany! Niestety te wszystkie *cuda natury* – uformowane przed milionami lat w procesach hydrotermalnych – były rozstrzeliwane materiałem wybuchowym i rozbijane młotami, a po załadunku do wozów i wywiezieniu na powierzchnię były „mielone” i kierowane do flotacji^{*)}. Próbowałem ratować piękniejsze okazy – co skończyło się przywiezieniem do kraju paki ważącej chyba 20 kg. Do dziś mam w swoich zbiorach trochę ocalałych kryształów. Resztę „rozgrabili” koledzy, a później znajomi.

W składzie robotniczej załogi i zarządu kopalni Trepča pracowało wówczas wielu Niemców – jeńców wojennych. Największym problemem kopalni był brak stałej, miejscowej załogi. Fluktuacja była ogromna, bo muzułmański „tubylec” – Albańczyk – pracował tylko tyle czasu ile wymagało zgromadzenie kwoty umożliwiającej „kupienie” żony. Później odchodził, a kopalnia nie nadążała ze szkoleniem nowych pracowników. Niemiecki kapitan – też



*Kryształ blendy ołowiowej (waga 1,86 kg)
– przywieziony z Trepčy w 1948 roku*

^{*)} Powszechnie stosowana metoda wzbogacania kopalni w zakładach przerobczych.

jeniec wojenny, przed wojną pracownik naukowy Akademii Górniczej we Freibergu, a aktualnie szef działu planowania robót górniczych – bardzo uprzejmie zaznajamiał nas z geologią złoża i problemami zarządzania tą unikalną kopalnią. W ramach lokalnej turystyki – nasz opiekun z ramienia „Omladiny”, umożliwił nam zwiedzenie w sąsiednim miasteczku Peč – typowego domu muzułmańskiej rodziny z wewnętrznym podwórzem, bez okien od ulicy i z kobietami, które kryły się przed naszym wzrokiem.

Przejazd z kopalni Trepča na Słowenię można było najprościej zrealizować pociągiem przez Belgrad do Lubljany – ale koledzy dali się namówić na inny wariant. Z miasteczka Peč pojechaliśmy transportem samochodowym przez Titograd i Cetinję do Kotoru – małego portu nad Adriatykiem. Dalej lokalną żeglugą, wzdłuż całego dalmatyńskiego wybrzeża do Rijeki i dopiero stamtąd pociągiem do Lubljany i Trbowlje. Tej podróży przez Czarnogórę – amerykańską wojskową ciężarówką, tylko trochę dostosowaną do przewozu



Dubrownik – zwłaszcza gdy się go widzi na pierwszym wyjeździe zagranicznym – robi wrażenie niepowtarzalne (pocztówka pisana do Mamy)

pasażerów, a później zjazdu z górskiej przełęczy (z wysokości 600 m piekielnymi serpentynami), na obsadzone palmami wybrzeże Adriatyku – nie da się zapomnieć. Wrażenie potęgowały wszędzie widoczne ślady wojny, spalone czołgi przy drodze i wraki samochodów. Do Rijeki płynęliśmy małymi statkami trzy dni – zatrzymując się w Dubrowniku, Splicie i Szybeniku – co wiązało się ze zmianą statku,

ale umożliwiało „pośpieszne” zwiedzenie tych miast. Inne miasta i miasteczka oglądaliśmy nie schodząc na ląd. Spaliśmy pod gołym niebem na górnych pokładach naszych stateczków. W dzień wielką atrakcją były delfiny, które czasem nam towarzyszyły. Najbardziej podziwialiśmy wspaniałą panoramę wybrzeża i gór. W następnych dziesięcioleciach odwiedzałem i zwiedzałem to wybrzeże, co najmniej kilkanaście razy, ale tamte wrażenia były najsilniejsze.

Na praktykę w kopalni Trbowlje zgłosiliśmy się z opóźnieniem – ale nikt się tym nie przejmował. Kopalnia nie była ciekawa – wyróżniała się jedynie występowaniem bardzo silnego zaciskania wyrobisk korytarzowych – zwłaszcza wypiętrzaniem spągu. Do jednej z niedziel, przypadających w okresie praktyki, dodaliśmy dzień absencji i zrobiliśmy wyprawę na Triglaw, najwyższy szczyt Alp Julijskich w Słowenii (2864 m). Dla mnie były to pierwsze przeżycia związane z przejściem przez tak wysoki – wcale zresztą nietrudny

– grzbiet górski. Naszych Tatr wówczas jeszcze nie znałem. Z gór zeszlśmy do uroczego miasteczka Bled, gdzie na wyspie niewielkiego jeziora miał wówczas swą letnią rezydencję Broz Tito.

Praktyka górnicza w Jugosławii zakończyła się niespodzianką. Otóż gdy wszystkie grupy z różnych polskich uczelni, odbywające wówczas praktyki wakacyjne w Jugosławii, ściągnęły do Belgradu – „Titowa Omladina” „zafundowała” nam krajoznawczą wycieczkę. Jej trasa prowadziła do Sarajewa – na budowaną wówczas ochotniczo przez jugosłowiańską młodzież – szerokotorową kolej łączącą to miasto z Belgradem – oraz do Dubrownika i Splitu. Zebrali się nas wówczas ponad 30 osób, z różnych kierunków studiów. Także koledzy z Akademii, z którymi dopiero teraz zaczęliśmy mieć wspólny program: Antoni Kleczkowski (później profesor i rektor AGH) oraz Zdzisław Maciejasz (również profesor i dziekan Wydziału Górniczego). W grupie znalazło się kilka polskich studentek, a w towarzyszącej nam grupie jugosłowiańskiej młodzieży też były dziewczęta. Było barwnie i wesoło. Na budowanej linii kolejowej – „Omladinskiej prudze” – polscy studenci na znak międzynarodowej solidarności pracowali cały dzień, z autentycznym zaangażowaniem. Na koniec dnia na tablicy ogłoszeń pokazano ile wykonaliśmy obowiązującej normy i zebraliśmy głośne oklaski. Wiedziałem, że jest w tym propaganda jugosłowiańskiego komunizmu, ale Tito utrzymywał już w tym czasie ożywioną wymianę gospodarczą z Zachodem (wkrótce został przez Moskwę ogłoszony „łańcuchowym psem kapitalizmu”) – i przyznaję, że mi ta propaganda nie przeszkadzała. Na zaangażowanie ich młodzieży – stanowiącej wówczas zgodną narodowościową mozaikę – patrzyłem ze szczerą sympatią.

Powtórne zwiedzanie Dubrownika i Splitu – tym razem z przewodnikiem i obszerną informacją turystyczną – pogłębiły trwający do dziś zachwyt tymi perłami śródziemnomorskiej kultury. Z bardzo sympatyczną i urodziwą koleżanką z Uniwersytetu Warszawskiego – w Splicie zrezygnowaliśmy z miejsc przydzielonych nam w hotelu i wynajęliśmy sobie pokój w kamieniczce przylegającej od wewnątrz do muru obronnego otaczającego pałac Dioklecjana. Z pokoju było wyjście na ten mur – przez balkon i dodatkowe schodki. Można nim było spacerować i podziwiać lśniące morze, rozświetlony port i spory kawałek miasta rozbłyskującego w dole stopniowo gasnącymi oknami. Ta wspaniała księżycowa noc – i romantyzm tego miejsca – zawiązały przyjaźń, która przetrwała niemal do końca studiów.

Ostatnim „akordem” tygodniowej wycieczki, zorganizowanej przez „Omladinę”, było zwiedzanie nowo budowanej dzielnicy Belgradu. Nowoczesność tego budownictwa i „rozmach” gospodarki jugosłowiańskiej – widoczny zresztą nie tylko w stolicy – bardzo mnie frapowały. Jurek Średniawa, który procesy wzbogacania kopalni oceniał głównie na podstawie ich *ekonomicznej*



Lampka naftowa, kupiona od rzemieślnika, który je wyrabiał na rynku w Sarajewie w 1948 r.

efektywności – twierdził, że mają „zdrowszy system ekonomiczny”. Zygmunt Kawecki ten pogląd podzielał. Usiłowałem poznać ich argumentację, więc często zajmowałem stanowisko opozycyjne. Dyskusje były gorące! To wówczas zacząłem odczuwać wyraźną potrzebę bliższego poznania problemów naszej ówczesnej ekonomiki i gospodarki – oczywiście z „górnictwem w tle”. Oprócz tego „kielkującego” zainteresowania – przywiozłem z Jugosławii niezapomniane wrażenia pierwszej zagranicznej podróży, pierwszego zetknięcia z innością kultur i przyrody... z morzem i z górami. Wraz z tymi wrażeniami przywiozłem też, już nigdy niewygasłą, chęć zwiedzania i poznawania świata.

Akademickie „meandry”

Na trzecim roku studiów (który był pierwszym rokiem „studiów zawodowych”) trzeba było zaliczyć trzy „kobyłaste” przedmioty po 6–7 godzin zajęć tygodniowo: *górnictwo I* u profesora Witolda Budryka oraz *maszynoznawstwo* i *maszyny górnicze*. Pozostałe przedmioty – takie jak: *urządzenia elektryczne*, *wiertnictwo*, *miernictwo górnicze*, *geologia stosowana* i parę dalszych – były mniej obciążające. Oceniając zbiorczo przedmioty właśnie rozpoczynanych „studiów zawodowych”, dochodziłem do wniosku, że są bardziej interesujące niż przedmioty „studium ogólnego”, ale wciąż zbyt odległe od praktyki gospodarczej.

W najmniejszym stopniu nie czułem się związany sympatią z Rządem Bloku Stronnictw Demokratycznych (PPR, PPS, SL, SD), które wygrały mocno sfalszowane wybory w styczniu 1947 roku. Jednak trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej – przyjęty przez Sejm w lipcu 1947 roku – intensywnie nagłaśniany w prasie i radiu – wydawał mi się sensowny. Zapowiadał przyspieszenie rozwoju gospodarki – co na tle wrażeń przywiezionych z Jugosławii przyjmowałem jako bardzo korzystną perspektywę.

Jakoś w tym czasie Sławek wystąpił z projektem kupienia dużego samochodu ciężarowego – napędzanego gazem drzewnym („gazogenerator”) – i założenia firmy transportowej. Ze względu na taniość i dostępność przewidywanego paliwa oraz duże zapotrzebowanie na tego rodzaju usługi – miał to być pewny i dobry „interes”. Tadeusz projekt popierał. Na pytanie, czy zgodzę się przeznaczyć na ten cel mój „fundusz na studia” – zdeponowany u Mamy – wyraziłem zgodę. Fundusz w tym czasie nie był znacząco uszczuplony, bo jako „przodujący student”, otrzymywałem stypendium – przy tym dość znacznie powiększone w stosunku do stypendiów „normalnych”. W tej sytuacji, zgodę wyraziłem bez większych wahań.

Niestety, kupiony samochód okazał się bardzo awaryjny. Sprawiał mnóstwo kłopotów eksploatacyjnych. Sławek tymczasem rozpoczął studia na Wydziale Chemicznym Politechniki Łódzkiej, a Tadeusz – po uzyskaniu

dypłomu magistra prawa – od sierpnia 1947 roku rozpoczął pracę na etacie „radcy” w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego w Warszawie. Obaj nie mieli ani dość czasu, ani możliwości, aby solidnie zająć się uruchomionym „interese”. Końcowy efekt był taki, że po rocznym nieefektywnym użytkowaniu samochód został sprzedany na złom. Za uzyskaną kwotę Mama postanowiła kupić mi „na pocieszenie” „porządny garnitur”. Gdy próbowała obciążać siebie winą za dopuszczenie do „lekkomyślnego zmarnowania pieniędzy” – pocieszałem ją powiedzeniem używanym przez Babcię: „*Lekko przyszło – lekko poszło!*” W tym „porządnym garniturze” wystąpiłem pierwszy raz na „Barbórce” w 1948 roku (fot. str. 259).

Wiosną 1948 roku, gdy na Akademii miałem już zdanych 21 przedmiotów „studium ogólnego” i cztery przedmioty „studium zawodowego” – z tego jeden z wynikiem dostatecznym (rysunek techniczny), cztery z wynikiem dobrym i 20 z wynikiem bardzo dobrym – zacząłem poważnie interesować się możliwością podjęcia równocześnie studiów ekonomicznych. Popychało mnie w tym kierunku rosnące zainteresowanie problematyką gospodarczą – przywiezione z Jugosławii i pobudzone realizowanym wówczas „Trzyletnim planem...”. Także pozytywna ocena własnych możliwości podolania rozszerzonym studiom. Przeprowadzone rozpoznanie wykazało, że funkcjonująca wówczas w Krakowie, prywatna Akademia Handlowa – jest dla mnie niedostępna. Czesne było na moją „uszczerploną kieszeń” stanowczo zbyt wysokie. Szanse otwierały się natomiast na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dziekanat Wydziału Prawa informował, że przy tym Wydziale – od jesieni 1948 roku – mają być uruchomione studia ekonomiczne: „*Gdyby w tym terminie do uruchomienia studiów ekonomicznych nie doszło – istnieje możliwość zapisania się na I rok prawa. Gdyby ten rok zaliczył pozytywnie – wówczas mógłbym w roku 1949 przejść od razu na drugi rok studiów ekonomicznych, które w tym terminie z pewnością będą już uruchomione.*”

Droga do poszerzenia studiów w kierunku ekonomii była więc dość „kręta”, ale wydawała się realna. Aby wejść na tę drogę trzeba było uzyskać zgodę Ministerstwa Oświaty na równoczesne studia na dwóch państwowych uczelniach. Zgodę taką uzyskałem – prawdopodobnie dzięki załączeniu do podania dyplomu „Przodującego studenta”. Niestety – załączonego dyplomu już nie odzyskałem. Gdyby uruchomienie studiów ekonomicznych miało nastąpić dopiero w 1949 roku – a ja zdecydowałbym się na „robienie” I roku prawa – musiałbym mieć dodatkowo dokument stwierdzający, że ukończyłem gimnazjum z programem nauczania obejmującym łacinę. Również ten dokument przygotowałem. W maju 1947 roku udało mi się uzyskać odpowiednio „Zaświadczenie” podpisane przez dwóch profesorów szczecińskiego gimnazjum: Kazimierza Omiljanowicza (dyrektora gimnazjum) i Jana Wilka. Tak przygotowany czekałem na rozstrzygnięcia, które miały nastąpić wraz z rozpoczęciem roku akademickiego 1948/1949.

Tymczasem, dalej słuchałem wykładów i zdawałem – możliwie w pierwszych terminach – kolejne egzaminy III roku. Zdałem też (25 czerwca 1948 r.) ostatni egzamin „studium ogólnego” – „geodezję” u profesora Zygmunta Kowalczyka.

Od 1 lipca – wraz z dwoma kolegami – rozpocząłem dwumiesięczną praktykę wakacyjną (do 31.08.1948 r.) w Dąbrowie Górniczej, w kopalni „General Zawadzki” – lepiej wówczas znanej pod przedwojenną nazwą: „Paryż”. W tej kopalni po raz pierwszy zetknąłem się z technologią wypełniania pokładowych przestrzeni piaskiem przemieszczanym z powierzchni wprost do wyrobiska, grawitacyjnym transportem hydraulicznym – rurami, po zmieszaniu piasku z wodą. Byłem zafascynowany prostotą i skutecznością tej technologii – zwanej wówczas *podszadką płynną*, a później *hydrauliczną*. Umożliwiała wybieranie 3–4-metrowymi warstwami pokładu o miąższości przekraczającej 15–20 m, bez strat węgla i nadmiernych szkód na powierzchni. Po raz pierwszy widziałem też akcję gaszenia podziemnego pożaru w pokładzie węgla – przy użyciu *podszadki hydraulicznej*. Nie wiedziałem wówczas, że po kilkunastu latach na jednym z szybów kopalni „General Zawadzki” będę prowadził badania nad usprawnieniem tej technologii i że stanie się ona jedną z moich naukowo-badawczych pasji.

Praktyka wakacyjna w kopalni „Paryż” miała zupełnie niespodziewaną, istotną zaletę. Nieopodal Dąbrowy Górniczej – w Pogorii – było piękne jezioro powstałe w wyniku prowadzonej, od pól wicku, eksploatacji piasku podszadkowego dla dąbrowskich kopalni. Każdą chwilę wolną od zajęć praktyki wakacyjnej spędzaliśmy nad tym jeziorem, z piękną piaskową plażą. Z uwagi na to, że większość zajęć praktyki odbywała się na nocej zmianie – tzw. *podszadkowej* – tych wolnych chwil było dużo. Często całe dnie spędzaliśmy nad jeziorem – odsypiając w cieniu drzew „zarwane” noce. To była praktyka rzeczywiście wakacyjna – nie tylko ze względu na letnie miesiące, ale również rekreacyjną atrakcyjność.

W 1948 roku – podobnie jak w poprzednim – udało mi się uzyskać miejsce na dodatkowej praktyce zagranicznej w Czechosłowacji – od 1 do 30 września. Czas spędzony nad Pogorią był więc w owym roku moim jedynym wakacyjnym wypoczynkiem. Praktyka miała się odbywać w Ostrawsko-Karwińskim Zagłębiu Węglowym (OKD). Trafiłem do kopalni „Swoboda” – istotnie różnej od kopalni, które poznałem wcześniej. Pokłady były cienkie, a w niektórych rejonach silnie nachylone. Po raz pierwszy widziałem górników pracujących na kolanach, w ogromnej ciasnocie. Po raz pierwszy widziałem też górników, którzy w bardzo silnie nachylonym pokładzie pracowali „zawieszani” między stojakami podpierającymi strop i poruszali się po nich jakby to były szczeble jakiejś „gigantycznej drabiny”. Mój szacunek do pracy górnika wzrósł jeszcze bardziej. Nabrałem też przekonania, że nasze

zagłębnie węgla kamiennego – w porównaniu z innymi – jest rzeczywiście zagłębieniem o wyjątkowych walorach.

Zarząd OKD, który koordynował praktyki zagranicznych studentów, zgodził się, aby nasza grupa z kopalni „Swoboda” – było nas pięciu – w ostatnim tygodniu praktyki zapoznała się z dużą, odkrywkową kopalnią węgla brunatnego w Kladnie, w zachodnich Czechach. W istocie chodziło nam o to, żeby „po drodze” zwiedzić Pragę oraz Karlowe Wary i Mariańskie Łaźnie. Czesy koleldzy – praktykanci – bardzo nas namawiali na ten wypad i to oni „wymyślili” marszrutę. Okazała się rzeczywiście bardzo ciekawa! Zarówno Praga, jak i obydwie czeskie kurorty „wyszły” z wojny bez żadnych „strat” – były eleganckie. Imponowały ulicznym ruchem i sklepowymi wystawami. Czeskie społeczeństwo odróżniało się wówczas od naszego wyraźnie większą stabilizacją i zamożnością. Na korzystniejsze warunki życia w Czechosłowacji patrzyliśmy z niezbyt chwalebna zazdrością i chyba z tego względu „kwitowaliśmy” między sobą te obserwacje złośliwą uwagą: „*Cóż dziwnego! Oni wojnę przejechali na świni*”. Także kopalnia Kladno zrobiła dobre wrażenie. Była to pierwsza duża odkrywkowa kopalnia węgla brunatnego jaką widziałem. Wprawdzie górnictwo odkrywkowe wydawało mi się mniej interesujące niż podziemne, jednak rozmiar tej odkrywki i jej wyposażenie mogły zaimponować. Cały wyjazd do „*pepiezków*” wszyscy ocenialiśmy jako bardzo udany!

Po powrocie z Czechosłowacji do Krakowa wpadłem w wir *spraw do załatwienia* na Uniwersytecie Jagiellońskim. Okazało się, że – mimo uprzednich zapowiedzi – ekonomiczny kierunek studiów nie został uruchomiony.

Dzikanat potwierdzał, że jeżeli zrobię pierwszy rok prawa będę mógł w następnym roku przenieść się na drugi rok Wydziału Ekonomicznego. Stałem przed decyzją – zapisać się na Wydział Prawa, czy zrezygnować? Z jednej strony czulem sporo wewnętrznej niechęci do tego rodzaju „akademickich meandrów”, ale z drugiej strony kusila możliwość skrócenia o jeden rok czasu studiów ekonomicznych, które jako „cel strategiczny” nie podlegały żadnym wątpliwościom. Przeważyla nieświadomiana weześniej ciekawość programu studiów, które miał już za sobą Tadeusz, o których wiele opowiadał i które w dzieciństwie bardzo mi imponowały – zwłaszcza *prawo rzymskie*! Ostatecznie – na Wydział Prawa się zapisałem i zacząłem „godzić” te studia z mocno przeladowanym programem ostatniego roku górnictwa w Akademii.

Program w Akademii wciąż uznawałem za podstawowy. W nim – kluczowym dla moich dalszych losów okazał się wspomniany już przedmiot *górnictwo III*. Do dziś mam w pamięci wykład inauguracyjny z tego



Bolesław Krupinski – profesor Akademii Górniczej i wybitny organizator polskiego przemysłu górniczego

przedmiotu – przeprowadzony przez profesora Bolesława Krupińskiego (foto na poprzedniej stronie). Gdy w 1946 roku kroczył ten przedmiot – i wówczas, gdy prowadził ten pamiętny wykład – był równocześnie Kierownikiem Zakładu na Akademii i Naczelnym Dyrektorem Technicznym Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego (CZPW). Był to wówczas ogromny „socjalistyczny koncern” – zarządzający nie tylko wszystkimi kopalniami górnictwa węgla kamiennego, znacjonalizowanego w 1945 roku, lecz także ich szybko rozbudowywanym zapleczem inwestycyjnym, projektowo-badawczym i socjalnym – a Bolesław Krupiński zajmował w nim kluczowe stanowisko z rozległymi obowiązkami i kompetencjami.

Mówił (na owym wykładzie) nadzwyczaj spokojnie. Obrazowość określeń, połączona z precyzją i rzeczowością wykładu, dawały w sumie przekaz wyjątkowo sugestywny, trafiający do wyobraźni. Mówił o górnictwie, jednak jakże inaczej od tych profesorów, dla których rozwiązania techniczne zamykały horyzont ocen i analizy.

Hasłem inauguracyjnego wykładu były: ORGANIZACJA, ZARZĄDZANIE, EKONOMIA. Ale pojęcia te w ujęciu Profesora Krupińskiego nie były czymś abstrakcyjnym i oderwanym od życia. Podstawowe definicje i określenia szybko wypełniały się treścią zrozumiałą i przekonującą. Górnictwo jawiło mi się od zupełnie innej, nieznannej strony: nie jako zbiór luźno powiązanych ze sobą działów wiedzy i rozwiązań technicznych, lecz jako jednolity, szybko rozwijający się organizm gospodarczy. Organizm, który ma swoją historię i tradycję, teraźniejszość i perspektywę, w którym problemy techniki są przerosnięte treścią gospodarności, opłacalności i oszczędności, a takżeładu, porządku społecznego, dyscypliny i solidarności zawodowej.

Ze szczegółów tego wykładu najsilniej utkwil mi w pamięci swoisty podział wprowadzony przez Profesora przy omawianiu czynników decydujących o efektywności produkcji. LUDZIE. RZECZY. PIENIĄDZE. Jakaż fascynacja była w tych hasłach! Ludzie – to kadra robotników, techników i inżynierów, to szkolenie, regulaminy pracy, urządzenia socjalne, mieszkania dla załogi. Rzeczy – to materiały, ich jakość i funkcjonalność oraz majątek trwały: budynki i budowle, wyrobiska górnicze, maszyny i urządzenia wraz z problemami ich wykorzystania i niezawodności, remontów, transportu itp. Pieniądze – to kredyty inwestycyjne, amortyzacja, koszty robocizny, koszty materiałów, rozrachunek oddziałowy... Wszystko to waliło się na mnie jak NOWY ŚWIAT GÓRNICZWA.

Wykład inauguracyjny z *górnictwa III* i dalsze wykłady prowadzone przeważnie przez współpracowników profesora Krupińskiego – także ważne „osobistości” w CZPW – umościły mnie w przekonaniu, że dodatkowe studia ekonomiczne „mogą być potrzebne”. Zresztą wykłady i ćwiczenia na Wydziale Prawa okazały się całkiem ciekawe. Z zainteresowaniem chodziłem na

zajęcia prowadzone przez dr. Woltera, z *logiki*; przez dr. Osuchowskiego, z *systemu rzymskiego prawa prywatnego*; przez dr. Krzyżanowskiego z *dziejów doktryn ekonomicznych*; przez dr. Vetulaniego i Leśniadorskiego z *historii ustroju Polski...* i inne. Były wyraźnie różne od przedmiotów obowiązujących na Wydziale Górniczym – trochę „egzotyczne” i niezbyt trudne. „Godzenie” zajęć na Wydziale Prawa i na macierzystym Wydziale Górniczym – okazało się możliwe i wcale nie nadmiernie uciążliwe.

Sprawczą przyczyną tych możliwości była powszechna już w tym czasie dostępność podręczników i skryptów – na obydwóch kierunkach studiów. Obowiązkowe chodzenie na każdy wykład i nieodzowność kompletowania własnych notatek – już niemal poszły w zapomnienie. Trzeba było owszem „bywać” na wykładach – zwłaszcza niektórych profesorów – i także terminowo „odrabiać” ćwiczenia i projekty – ale czas do wykorzystania na samodzielną naukę bardzo się wydłużył. Dzięki temu – mimo zwiększonych obowiązków i okresowo bardzo solidnego „kucia” – nadal umiałem znaleźć czas na koleżeńskie „popijawy” urządzone z różnych okazji (rozpoczynane tradycyjną „ściepką”); czas na jakieś wypadki do „lokalu” (najczęściej do „Feniksa”) lub na potańcówkę w jednym z domów akademickich, czy choćby na zwykłe pójście do kina bądź teatru (przeważnie „Rapsodycznego”). Z wypadów do „Feniksa” upamiętniło mi się spotkanie z nowym kolegą z Wydziału Prawa – Adamem Wislockim, który czemuś przez najbliższych był nazywany Puciem. Otóż, gdy zobaczył, że przy wejściu na salę rozglądam się za wolnym stolikiem – podszedł i celując wskazującym palcem zaciśniętej dłoni – powiedział groźnie: *„Jeśli nie zgodzisz się przysiąść do naszego stolika będę musiał użyć tego pięcioosobowego Colta”*. Był świetny w towarzystwie, a tym „pięcioosobowym Colt” zdobył wówczas moją dużą sympatię.

Przypomnę w tym miejscu grudzień 1948 roku. Akademia organizowała wówczas wyjątkowo uroczyste obchody „Barbórkowe” – w związku z wizytą prezydenta Bieruta. Wiedzieliśmy, że władze uczelni „rozgrywają” sprawę akceptacji przez Rząd finansowania z budżetu bardzo śmiałych planów rozbudowy Akademii o nowe pawilony na laboratoria i sale wykładowe oraz domy akademickie – więc wizyta „partyjnych bonzów” z H. Mincem (Wicepremierem) i S. Skrzyszewskim nie wywoływała niechętnych komentarzy.

Nasz rocznik miał być „przyjmowany do Górniczego Stanu” – i przede wszystkim przygotowania do tej ceremonii zajmowały naszą uwagę. Jak zawsze ceremonia odbywała się w pięknym holu „starego” gmachu Akademii. „Lis Major” w uroczystym stroju górniczym – był nim wówczas Tadeusz Babisz, z naszego roku, autentyczny górnik z Zaolzia – prowadził powoli schodami, z drugiego piętra młodych kandydatów do „Górniczego Stanu”, też w mundurach. Wraz z chórem śpiewał potężnym basem – tradycyjną pieśń *„Kto z dali idzie tam...”*. Na dole czekały „Stare Strzechy” z fartuchem ze skóry – symbolem starodawnego górnictwa. Kandydat w pełnym świetle

reflektorów stawał na niewielkim podwyższeniu i wówczas padały sakramentalne pytania: *Nazwisko?*, *Skąd rodem?*, *Czy ślubujesz przestrzegać praw Górniczego Stanu?* Odpowiedzi musiały być głośnie – słyszalne w całej Auli. Następnie kandydat – uderzony przez „Lisa Majora” szpadą po ramieniu – zeskakiwał z podwyższenia nad trzymanym przez „Stare Strzechy” fartuchem ze skóry – i to był ten tradycyjny „skok przez skórę”, który zamykał ceremonię przyjęcia kandydata do Górniczego Stanu.

Gdy stojąc na podwyższeniu podałem swoje nazwisko, a na pytanie: *rodem?* – odpowiedziałem: *z Wilna* – na galeriach otaczających aulę rozległy się długie oklaski. To był 1948 rok! Utrata Kresów i Wilna była świeżą „sprawą”, niechętnie „pamiętaną” przez władze. Chyba tym były spowodowane te głośnie oklaski studentów i gości, którzy przybyli na uroczystości *Barbórkowe*. Prawdopodobnie także z tego względu – na moim dyplomie przyjęcia do „STANU GÓRNICZEGO – rubryka „rodem z” jest „pusta”. *Stare Strzechy*, profesorowie: Walery Goetel (wówczas Rektor Akademii), Witold Budryk i Stanisław Gołąb, którzy podpisywali „taśmowo” te dyplomy – prawdopodobnie w ogóle nie zauważyli, że w moim dyplomie ta rubryka nie została wypełniona przez „gorliwych” biuralistów.



Dyplom mego „skoku przez skórę”, Akademia Górnicza 1948 r.



Barbórka 1948 r. – III rok studiów. Od lewej siedzą: Tadeusz Seweryn, Bogdan Kimmel (nieco w głębi), Marek Tęcza, Zbigniew Rozpędzik, Zbigniew Strzelecki, Józef Śliwa, Stanisław Jagiello; stoją: Kazimierz Pawłowicz, Jerzy Ślebodziński, Andrzej Groyecki, Jan Włosok, Tadeusz Babisz, Stanisław Telega, Jan Gęca, Flawjan Cisek, Marian Słomczyński (NN, gość), Zbigniew Gronowski, Gustaw Peterek, Władysław Batko, Włodzimierz Lepiarz, Janusz Zajdel, Andrzej Lisowski

W „Bursie” na Mikołajskiej z okazji tej pamiętnej *Barbórki* zostało zrobione „historyczne zdjęcie” naszego „rocznika” – niestety bez kilku kolegów nieobecnych na spotkaniu. To był dobry „rocznik”! Z tych studentów „wyrosło” kilku profesorów oraz kilkunastu dyrektorów kopalń – bądź wysokiej rangi funkcyjnych inżynierów górniczych – głównie w kopalniach węgla kamiennego, ale też w innych gałęziach górnictwa. Akademia Górnicza nie musiała się wstydzić tych wychowanków. Po zrobieniu „historycznego” zdjęcia urządziliśmy „własną” *knajpę piwną* naszego III Roku studiów z pełnym „ceremoniałem”.

Czas wypełniony bieganiną na zajęcia – do starych „nastrojowych kolegów” Jagiellonki i do nowoczesnego gmachu Akademii (1930 r.) – mijał szybko. Krótkie święta Bożego Narodzenia, jak zawsze spędziłem z Mamą, u Tadiów, którzy – jakoś jesienią – przenieśli się z Wilczynka do Chyliczek. Wynajmowali niewielką willę nad rzeczką płynącą w kierunku Wilanowa. Po drugiej stronie rzeczki znajdował się folwark Pólko i młyn wodny pana Trzeciakowskiego (później



Na „knajpie piwnej” – na Mikołajskiej w 1948 roku. Od prawej: Bogdan Kimmel, Zbyszek Rozpędzik i ja

znanego profesora ekonomii i uczestnika „okrągłostołowej opozycji”). Zarządził nim Janusz Borewicz („Antoni”), którego zobaczyłem tu po raz pierwszy od momentu rozformowania batalionu „Krysi” w Puszczy Rudnickiej. To były bardzo miłe Święta – urozmaicone wzajemnymi odwiedzinami. Janka pracowała w Piasecznie w biurze notarialnym pana Szemiota – znajomego jeszcze ze Szczuczyna. Tadeusz nadal pracował w Warszawie. Ich dojazd do pracy – „kolejką wilanowską” – nie był uciążliwy. Byli zadowoleni – bo mieszkali bardzo ładnie, a zarobki wystarczały na prowadzenie „otwartego domu” na przyzwoitym poziomie, z rozległymi kontaktami towarzyskimi.

Czas płynął. Na Wydziale Prawa – pierwsze egzaminy „szczegółowe” (tak były określane) ze *wstępu do nauk prawnych* i z *logiki* zdałem łatwo w lutym i marcu 1949 roku, obydwie z wynikiem dobrym. *Logika* – gdy już zapoznałem się z całością obowiązującego materiału – okazała się czymś skrajnie różnym od moich wcześniejszych wyobrażeń. Była bliska matematyki i wcale nietrudna. Pozostałe cztery egzaminy warunkujące zaliczenie I roku studiów – zdawało się w czerwcu przed komisją – w jednym dniu. To była praktyka nieznaną na Akademii. Bardzo ją krytykowałem, ale nie było rady.

Cały maj uczyłem się pilnie – często ze wspomnianym kolegą Puciem Wislockim. Na „wzajemne przepytywanie” chodziliśmy na Wawel. Pucio głosił „teorię”, że *„tam – gdy się siedzi na murze wawelskiej blanki w cieniu kwitnących kasztanów – wiedza najłatwiej wchodzi do głowy”*. Może miał rację, bo 11.VI.49 roku obaj zdaliśmy ten „paskudny” egzamin z czterech przedmiotów równocześnie – jednak ja z wynikiem ledwie dostatecznym. Dr Osuchowski, który pamiętał mnie z ćwiczeń z *prawa rzymskiego* i wiedział (nie wiem skąd), że „robie” ten rok prawa równocześnie z IV rokiem AGH^{*)} – egzaminował „bezlitośnie”. Wiem, że wypadłem słabo i to wówczas cały „nabożny podziw”, który czułem do tego przedmiotu pod wpływem opowiadań Tadeusza – całkowicie ze mnie „wyparował”. Zostało tylko uznanie dla drobiazgowości i precyzji handlowego myślenia ówczesnych Rzymian – za którym jednak wyraźnie „nie nadązałem”.

Puciovi – z którym w owym czasie bardzo się zaprzyjaźniłem – dokuczałem, twierdząc, że mój tak słaby wynik, to nie sukces, a kompromitacja jego „teorii”. Do tych wspomnień wracaliśmy także po wielu latach, gdy Pucio był już poważnym prawnikiem. W licznych portach świata prowadził procesy o odszkodowania związane z kolizjami, którym ulegały okręty naszych przedsiębiorstw żeglugowych – co mi bardzo imponowało.



*Adam Wislocki (Pucio)
w okresie „wspólnego
studiowania”*

^{*)} W maju 1947 roku na podstawie wewnętrznych uchwał – uczelni nadano nazwę Akademia Górniczo-Hutnicza. 30.VI.1949 roku nazwa ta została zatwierdzona rozporządzeniem Prezesa Rady Ministrów²⁾.

„Finisz” akademickich studiów

Rok akademicki 1949/1950 kończyłem zaliczeniem I roku prawa i zakończonym „sluchaniem” ostatniego (IV) roku studiów na AGH. W zdawaniu egzaminów i uzyskiwaniu zaliczeń z przedmiotów obowiązujących na studiach górniczych byłem nieco opóźniony, mimo że w końcu czerwca zdałem *górnictwo* III (nota 2,25) i jeszcze dwa mniejsze przedmioty. Jako student po IV roku – miałem przed sobą na AGH: ostatnią praktykę wakacyjną, uzyskanie absolutorium (tzn. zdanie ośmiu brakujących egzaminów) i co najmniej półroczną praktykę dyplomową. Także napisanie i obronę pracy dyplomowej. Sprawa „lokalizacji” moich dalszych studiów ekonomicznych rozstrzygnęła się w końcu czerwca. Było już wiadomo, że studia ekonomiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim nie będą uruchomione, zostanie natomiast upaństwowiona krakowska Akademia Ekonomiczna (dotychczas prywatna) i że tam będę mógł je kontynuować.

Na praktykę wakacyjną – od 1 lipca 1949 roku – miałem skierowanie do kopalni „Janina” w Libiążu. Dyrektorem kopalni był nasz nieco starszy kolega, Józef Wanat, którego poznałem, gdy był jeszcze na studiach (działal w SSAG, gdy byłem w nim członkiem Komisji Rewizyjnej). Ta szczęśliwa okoliczność umożliwiła mi odbywanie praktyki w warunkach „luźnej dyscypliny”. Łatwo uzyskiwałem zwolnienia z obecności w kopalni na zalatwianie sprawy swego etatowego zatrudnienia i nawet na wakacyjny wypad do Chylishczek.

Sprawa zatrudnienia była w tym czasie najważniejsza. Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego – chcąc przejąć do swych kopalń możliwie największą liczbę absolwentów IV roku AGH – utworzył im możliwość niezwłocznego zatrudnienia w wybranej kopalni. Zatrudniony absolwent zobowiązywał się uzyskać absolutorium w ciągu jednego roku i w tym czasie miał otrzymywać bezpłatny urlop na naukę i zdawanie egzaminów. Po tym terminie miał podjąć normalną pracę bez prawa wypowiedzenia umowy przez okres dwóch lat. Dalsza pomoc w uzyskaniu dyplomu miała być udzielana na podstawie obowiązujących przepisów „zbiorowego układu pracy”. Warunki były więc atrakcyjne. Decydując się na ten wariant mogłem wybrać kopalnię i dostawałem pobory zastępujące stypendium, na które po IV roku studiów trudno było liczyć. Gdybym z tej możliwości zrezygnował – czekało mnie, po uzyskaniu dyplomu, *urządowe skierowanie do pracy* w kopalni przypadkowej (nie przeze mnie wybranej); byłbym też pozbawiony środków utrzymania. Tak więc decyzja była ważna, ale nietrudna. Od 1 sierpnia 1949 roku zatrudniłem się w podziemnej kopalni węgla kamiennego „Dymitrow” (do nie dawna „Centrum”) w Bytomiu, „w charakterze sztygara górniczego”. Wówczas mówiło się, że się „sprzedałem” w Bytomskim Zjednoczeniu Przemysłu Węglowego do kopalni „Dymitrow”.

Wybór kopalni nie był przypadkowy. Była to w owym czasie nasza najgłębsza kopalnia – znana z tego, że stosowano w niej wyłącznie system wybierania pokładów długimi przodkami (tzw. *ścianami*) z zawalem stropu (bez wprowadzania materiału *podszadzkowego* do wybranych przestrzeni). Miała opinię „*trudnej, ale bardzo nowoczesnej*” – co przyciągało. Podobało mi się również miasto Bytom z dużym parkiem – a w nim – basenem kąpielowym. Mieszkania służbowe pracowników kopalni sąsiadowały z tym parkiem, tak zresztą jak kopalnia położona na peryferiach miasta. Wraz z zatrudnieniem otrzymałem służbowe mieszkanie – a właściwie pokój w dużym mieszkaniu pana Szewieczka, technika strzałowego kopalni „Dymitrow”. W pokoju były meble państwa Szewieczków – ale dzięki ich uprzejmości miałem je używać do czasu kupienia własnych. Tym sposobem, dysponując nadal miejscem w „Bursie” na Mikołajskiej i nowym mieszkaniem w Bytomiu – oraz mając stabilne zasilanie finansowe z kopalni „Dymitrow” – byłem przygotowany do prowadzenia końcowej „batalii” o dyplom AGH i o pomyślne zakończenie studiów ekonomicznych.

Strategia w tej „batalii” narzucała się sama. Skoro z umowy zawartej z Bytomskim Zjednoczeniem wynikało, że na uzyskanie absolutorium w AGH jest przeznaczony cały rok – do 31 lipca 1950 roku – to czas ten powinienem maksymalnie wykorzystać na zaawansowanie studiów ekonomicznych. Przyspieszanie absolutorium AGH – a z tym przyspieszanie terminu podjęcia normalnej pracy w kopalni – nie leżało w moim interesie, bo utrudniłoby warunki kończenia Akademii Ekonomicznej.

Na AGH, w roku akademickim 1949/1950 – oprócz zdania wszystkich brakujących egzaminów i uzyskania absolutorium – nie miałem żadnych dodatkowych obowiązków. Dopiero po uzyskaniu absolutorium mogłem otrzymać temat pracy dyplomowej i rozpocząć jej przygotowanie. Najwięcej problemów piętrzyło się na drodze studiów ekonomicznych. Na to, abym na podstawie „Świadczenia odejścia” z Uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym były wymienione szczegółowo wszystkie zaliczone ćwiczenia i zdane egzaminy I roku Wydziału Prawa – mógł się dostać od razu na II rok Akademii Ekonomicznej – była potrzebna zgoda Ministerstwa Oświaty. Zgodę taką uzyskałem pod warunkiem, że będąc już na II roku zdam „*obowiązujące egzaminy z I roku studiów*”. To wymaganie było jeszcze jednym argumentem, aby w podejmowanej „batalii” w pierwszej kolejności zająć się realizacją programu studiów na Akademii Ekonomicznej – natomiast uzyskanie absolutorium na AGH traktować jedynie jako „zadanie o określonym terminie”.

Tak więc rok akademicki 1949/1950 był rokiem „przeladowanym” zajęciami na Akademii Ekonomicznej. Wykładane tam przedmioty nie były trudne i było ich mniej niż na AGH. Wiele z nich zostało już w tym czasie ukierunkowanych na „ekonomię socjalizmu” – co po opanowaniu obowiązujących w tej ekonomii schematów myślowych – wyraźnie ułatwiała zaliczanie

ćwiczeń i zdawanie większości egzaminów. Ułatwiał, ale też zniechęcał! Wymagania, które sobie stawiałem na studiach technicznych – bardzo obniżyłem w odniesieniu do Akademii Ekonomicznej. Po upaństwowieniu była już Wyższą Szkołą Ekonomiczną – z trzyletnim programem studiów I stopnia (bez tytułu magistra) – wymagania obniżyłem więc jeszcze bardziej. Zgłaszałem się do egzaminów po jednym przeczytaniu obowiązującego podręcznika lub skryptu (z równoczesnym wynotowywaniem najistotniejszych „punktów”) i po „drugim czytaniu” już tylko niektórych fragmentów wytypowanych do „sprzedaży”. Noty dostateczne i dobre zupełnie mi wystarczały i tylko niektóre przedmioty, które oceniałem jako interesujące – starałem się opanować solidnie. W stosunku do egzaminów zdawanych na Wydziale Górniczym starałem się utrzymać poprzednie wymagania, ale niestety skuteczność tych starań okazała się mniejsza.

Prawie cały czas w owym akademickim roku mieszkałem w Krakowie. Do Bytomia jeździłem tylko po wypłatę. Kopalnia lojalnie nie wymagała mojej obecności – miałem jedynie *„pod koniec lutego i w czerwcu 1950 r. przedkładać indeks w Biurze Personalnym Dyrekcji Zjednoczenia”*. Czas był szczelnie wypełniony *„kuciem”* i odmierzany kolejno zdawanymi egzaminami. We wspomnieniach właściwie jedynym wyraźniejszym akcentem, który wylania się z tej „szarzyzny” – jest praca, którą czasami wykonywałem wówczas jako zwykły pracownik fizyczny w Dziale Wydawnictw AGH. Liczba skryptów i różnych pomocy naukowych wydawanych wówczas w tym Dziale była ogromna. Na AGH wciąż wzrastała liczba Zakładów i kierunków nauczania. Zwiększała się też liczba studentów, którzy już nie chcieli – tak jak pierwsze powojenne roczniki – uczyć się z własnych notatek. Praca, którą wykonywałem polegała na kompletowaniu egzemplarzy określonego wydawnictwa z poszczególnych kartek – wydrukowanych na „jeden stos” przez maszynę drukarską lub powielającą. Jeżeli skrypt miał, na przykład 300 kartek i był wydawany w 100 egzemplarzach, to leżało na stołach 300 stukartkowych stosów, z których trzeba było skompletować 100 egzemplarzy (np. skryptu) – zszywanych następnie przez introligatora. Taka była wówczas technika wydawnicza.

Kadra „składaczy” była placona w systemie akordowym – zupełnie przyzwoicie. Tych pieniędzy nie potrzebowałem na utrzymanie – bo pobory z „Dymitrowa” pokrywały z naddatkiem związane z tym potrzeby. Pieniądze gromadziłem na kupno motocykla! Widziałem w nim jakąś szansę na większą „swobodę” poruszania się i turystykę. Chyba też szansę na uzyskanie poczucia czegoś w rodzaju „niezależności” – lub może raczej „namiastki niezależności”. Dziś trudno to wytłumaczyć i trudno zrozumieć, ale atmosfera, w której żyliśmy w tamtych czasach była „duszna” i ta „dusznosc” stopniowo się zagęszczała. O niektórych obiektywnych przyczynach mówiłem we wprowadzeniu do tego rozdziału – o subiektywnych nie umiem opowiedzieć. Wiedziałem, że chcę mieć motocykl! Byłem zdecydowany zrobić ten

zakup. Czas pokazał, że była to decyzja brzemienna w skutki. Gdybym wówczas opanował tę chęć i inaczej pokierował marzeniami – życie potoczyłoby się innym, łatwiejszym torem. Gdzieś wiosną – chyba w marcu 1950 roku kupilem „wypatrzony” przez Sławka w Łodzi, angielski motocykl z demobilu – Royal Enfield o pojemności 350 cm³. Rzeczywiście zacząłem być „ruchliwszy”. Pojawily się niedzielne wypadki do Ojcowa i Zakopanego na wędrowniki po Tatrach, a przy dobrej pogodzie – po prostu „w plener”... Niewątpliwie poczułem się „swobodniej”!

W końcu czerwca 1950 roku miałem już zdane wszystkie egzaminy z I i II roku – wymagane do wpisu na III rok Wyższej Szkoły Ekonomicznej (WSE). Absolutorium na AGH uzyskałem 14 czerwca – a więc przed terminem, do którego się zobowiązałem. W indeksie AGH miałem wpisanych 50 zdanych egzaminów, w tym 2 noty dostateczne (do noty z rysunku technicznego doszła nota z nauki o Polsce współczesnej – tzw. „marksizmu”), 12 not dobrych i 36 bardzo dobrych. Jedną z trzech not bardzo dobrych – celujących (3) – otrzymałem od profesora Antoniego Salustowicza z *mechaniki górotworu* i tę najbardziej sobie cenilem. Z dniem 1 sierpnia 1950 roku zostałem w kopalni „Dymitrow” przeszeregowany, dostałem dodatek funkcyjny i podjąłem pracę w Dziale Planowania.

Dyrektor Techniczny Bytomskiego Zjednoczenia P.W. – wiedząc, że pracę dyplomową chcę robić z problematyki Górnictwa III – zwrócił się w lipcu 1950 roku do Kierownika Zakładu, prof. B. Krupińskiego – od stycznia 1949 roku już Wiceministra w Ministerstwie Górnictwa – o wyznaczenie mi tematu pracy. Prosił przy tym, żebym w pracy „wyznaczył maksymalną zdolność produkcyjną kopalni „Dymitrow”. Ostatecznie, temat pracy został sprecyzowany przez prof. J. Kolbego – równocześnie dyrektora Departamentu Planowania w Ministerstwie – w formie zadania: „Opracowanie dla kopalni im. Dymitrowa metod jak najszybszego podniesienia wydobywania dziennego do poziomu, co najmniej 7000 ton i wydajności ogólnej, co najmniej do 1,8 ton dniówkę...”.

Z tematu pracy byłem zadowolony. Wiązał się z zakresem działania Działu Planowania – mogłem więc pracować nad nim w ramach „obowiązków służbowych” i w „komfortowych” warunkach poznawać specyfikę kopalni. W końcu sierpnia nadeszła jednak wiadomość z Chyliszek, która „zmroziła” mój optymistyczny nastrój. Jana zawiadamiała, że Tadeusz został w miejscu pracy, w Ministerstwie Handlu Wewnętrznego – aresztowany pod zarzutem „wrogiej działalności”, co miało związek z Jego służbą w Armii Krajowej. Powiało grozą. Nic mogłem sobie wyobrazić siebie w więzieniu. Dręczyło pytanie: dalej tkwić w kopalni i pracować nad dyplomem czy może wyjechać? Może ukryć się i zmienić nazwisko? Przeżyłem parę trudnych tygodni zarówno oczekiwania na wieści, jak i „huśtawki” obaw. W końcu adwokat broniący Tadeusza przekazał uspakajające wiadomości. Oskarżenie prokuratora dotyczyło okresu, w którym Tadeusz był komendantem placówki AK koło Werenowa i okresu późniejszego,

gdy był w szwadronie kawalerii (str. 205). Prawdopodobnie było to aresztowanie „odpryskowe” jakiegoś większego procesu przygotowywanego przez UB i prokuraturę. Tadeusz w śledztwie zeznawał, że nie ma rodzeństwa, więc obawa o rozszerzenie aresztowań w kręgu rodziny – ustąpiła. Zaproponowałem Mamie, żeby przeniosła się do mnie do Bytomia – jednak odmówiła. Chciała, będąc na miejscu, pomagać Janie w „wyciąganiu” Tadeusza z więzienia. W tym czasie przebywał już w więzieniu w Rawiczu, a później w Łęczycy.

Wróciłem do intensywnej pracy nad tematem dyplomowej rozprawy. Analizowałem strukturę geologiczną i stan zasobów, strukturę transportową, stosowaną technologię wybierania pokładów, wykorzystanie czasu pracy przodków i ciągów technologicznych itd. W prowadzonej analizie wyraźnie wystąpiły „echa” inauguracyjnego wykładu profesora Krupińskiego – stosowałem w niej bowiem zasłyszany wówczas podział kopalni na trzy obszary: LUDZIE, RZECZY, PIENIĄDZE. Profesor Kolbe – gdy oceniał pracę (jako jej promotor) skrytykował ten podział i wytknął *„nieśluszne ujmowanie zagadnień ekonomicznych, niezgodne z zasadami gospodarki w ustroju socjalistycznym”*. Pracę ocenił tylko jako *„dobrą, dzięki wnikliwej analizie obecnego stanu kopalni, jego braków i niedociągnięć oraz starannemu opracowaniu wniosków”*. Obrona pracy z wynikiem bardzo dobrym nastąpiła 29 grudnia 1950 roku. Z *kronikarskiego obowiązku* dodam, że według ówczesnych przepisów – gdyby profesor Kolbe nie obniżył mi noty za ową *„...niezgodność z zasadami gospodarki w ustroju socjalistycznym”* i przyznał mi notę bardzo dobrą – wówczas na otrzymanym dyplomie znalazłoby się stwierdzenie, że studia ukończyłem *„z wyróżnieniem”*. Profesor Kolbe wówczas nie wiedział o mojej szansie. Prawdopodobnie czuł się też zobligowany swoim wysokim stanowiskiem w „socjalistycznym górnictwie”. Na szczęście brak tego „wyróżnienia” nigdy mi nie *uwieral*.

* * *

Nowy 1951 rok rozpocząłem więc z tytułem magistra nauk technicznych, inżyniera górnika. Właściwie dopiero od tego momentu – gdy miałem już „dyplom w kieszeni” – rozpoczęła się moja wielka życiowa przygoda z górnictwem. Zakończenie studiów ekonomicznych – do których zrażałem się coraz bardziej – zeszło na jeszcze dalszy plan. Tylko „szczętkową” obecność na ćwiczeniach obowiązujących na III roku studiów usprawiedliwiłem pracą w kopalni. Pracę dyplomową na temat: *„Metody ustalania norm pracy w górnictwie”* napisałem „lewą ręką”. Dyplom ukończenia studiów wyższych I stopnia na Wydziale Planowania Przemysłu, Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie, w zakresie *ekonomiki przemysłu*, z kwalifikacją *ekonomisty planisty*, uzyskałem w marcu 1952 roku. Największym doraźnym „profitem” tego dyplomu był wówczas parotygodniowy urlop, który mi przysługiwał. Bardzo się przydał jako „przerwywnik” w kopalnianej *szarzyźnie*.

8. „WŻENIANIE W GÓRNICTWO”

W 1968 roku, na uroczystym spotkaniu z okazji przeprowadzenia przez profesora Bolesława Krupińskiego setnego posiedzenia Rady Naukowej Głównego Instytutu Górnictwa – Profesor wspominał swoich nauczycieli i starszych kolegów, którzy Go (jak to określił) – „wżeniali w górnictwo”. Zabierając wówczas głos powiedziałem, że tym, który mnie i niemal całe powojenne pokolenie inżynierów górniczych „wżeniał w górnictwo” był właśnie On⁵³⁾.

Dziś mogę to powtórzyć z całym przekonaniem. Profesor Krupiński był „fanatykiem” polskiego górnictwa i wspaniałym jego ambasadorem nie tylko w kierowniczych sferach naszej ówczesnej gospodarki i w międzynarodowych organizacjach. Był nim także – i to przede wszystkim – w środowisku młodzieży akademickiej, której z całym zaangażowaniem starał się zaszcześcić swoje przekonanie o ogromnych możliwościach górnictwa jako siły napędowej gospodarczego rozwoju kraju i dobrobytu społeczeństwa. U mnie zainicjował narastanie tego przekonania już w 1948 roku na pierwszym wykładzie przedmiotu Górnictwo III. Później, jako początkujący inżynier z „dyplomem w kieszeni”, przez parę lat pracowałem w kopalni i poznawałem górnictwo od jego najbardziej praktycznej strony. Następnie – do 1958 roku, w którym się doktoryzowałem – i przez wiele dalszych lat Profesor miał wpływ na rozwój mojej kariery zawodowej. Był promotorem mego przewodu doktorskiego, mistrzem i prawdziwym przyjacielem. Pani Suszyńska – siostra żony Profesora, pracująca wówczas w administracji GIG – powiedziała mi kiedyś, że przyjaźń, którą mi okazywał mogła mieć związek z faktem, że moje imię i rok urodzenia były takie jak Jego starszego syna, który zginął w Powstaniu Warszawskim. Nie wiem ile było w tym prawdy, bo Profesor podobnie – po ojcowsku – traktował wielu młodych ludzi.

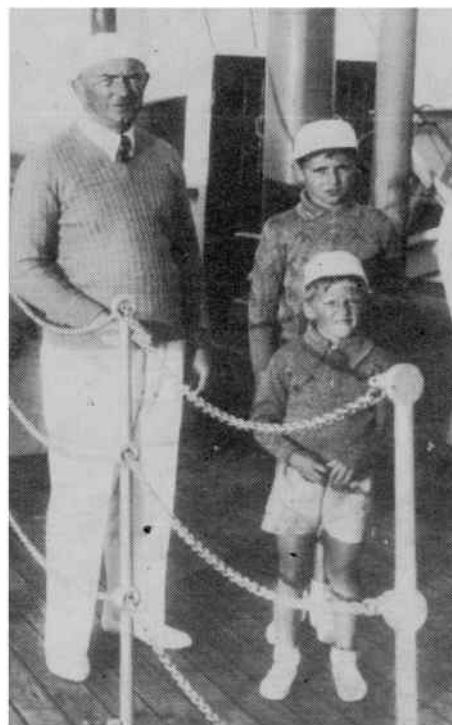
Aby lepiej wyjaśnić skąd brał się tak duży wpływ profesora Krupińskiego na postawę i życiową drogę – nie tylko moją – muszę dokładniej naświetlić Jego sylwetkę. Warto ją poznać, bo był to człowiek wyjątkowy. Wyjątkowy był też Jego wkład w powojenną odbudowę Polski.

Urodził się 15 marca 1893 roku w licznej rodzinie powstańca 1863 roku, który po 19 latach katorgi w nerczyńskich kopalniach srebra w rejonie Irkucka – osiadł na Wołyniu jako administrator Woroneczyna, niewielkiego majątku Czetwertyńskich, z którymi był powiązany losami styczniowego powstania. Robert Jarecki, świątynny biograf Bolesława Krupińskiego, tak pisał o jego dzieciństwie: „siedem pierwszych lat życia przeżył Bolesław w kręgu łagodnych mateczynych rządów. Dworek, park, folwark były światem jego dzieciennych zabaw i wzruszeń...”⁵⁴⁾. Rósł w atmosferze patriotyzmu i wielkiej rodzinnej solidarności, która z czasem przetworzyła się w wyjątkowo silne poczucie solidarności z „górnym stanem”. Gimnazjum ukończył

w Lucku ze złotym medalem. W 1911 roku znalazł się w Petersburgu, w elitarnym Instytucie Górniczym, gdzie zdał egzamin wstępny jako jeden z 2000 kandydatów na 50 miejsc na pierwszym roku studiów. W 1914 roku – po wybuchu wojny – przerwał studia i podjął pracę w Niwce w kopalni węgla kamiennego „Jerzy” należącej do francuskiego Towarzystwa Kopalń i Zakładów Hutniczych Sosnowieckich. W latach 1915–1916 – wraz ze swym kolegą Witoldem Budrykiem – mieszkał u inż. Stanisława Stratilato, który w czasie wielkiego pożaru w kopalni „Paryż” w 1894 roku, jako pierwszy zastosował „*zmulanie*” piasku rynnami do wyrobisk górniczych. W tamtych latach Stratilato, jako dyrektor techniczny Zakładów, był szefem młodych praktykantów, co miało niewątpliwie wpływ na ich późniejsze zaangażowanie w rozwój technologii *podsadzki hydraulicznej*.

W 1919 roku, mając już za sobą praktykę nadgórnika i sztygara zapisał się na powołaną wówczas Akademię Górniczą w Krakowie. Nie przerywając pracy, w czerwcu 1923 roku ukończył studia, zdając egzamin dyplomowy z odznaczeniem. W tym czasie był już zawiadowcą kopalni „Niwka”. Wyróżniająca się praca młodego inżyniera zwróciła uwagę francuskich zwierzchników z zarządu Sosnowieckiego Towarzystwa Kopalń i Hut. Inżynier Krupiński odbywa kilka podróży służbowych do francuskich zagłębi węglowych. Publikuje swe spostrzeżenia, występuje z referatami... jest znany i ceniony. W 1929 roku obejmuje w zarządzie Towarzystwa stanowisko głównego inżyniera – kieruje więc nie tylko kopalniami w Niwce, ale również kopalnią „Klimontów” i „Mortimer”.¹⁹⁾

Gdy w 1934 roku, w warunkach światowego kryzysu, francuski zarząd chciał zamknąć kopalnię „Klimontów”, główny inżynier Towarzystwa walczył o jej utrzymanie. Przegrał, więc odszedł i objął w Rybnickim Gwarectwie kopalni węgla kamiennego stanowisko dyrektora dużej kopalni „Rymer”. Tej też groziło zamknięcie, ale Krupiński po roku szaleńczej pracy „wyciągnął” ją z zapaści, a później wyprowadził na pierwszą pozycję w grupie rybnickich kopalni. Wkrótce awansował na stanowisko Naczelnego Dyrektora wszystkich zakładów Gwarectwa Rybnickiego.



Bolesław Krupiński z synami w lipcu 1934 r. gdy pracował już w Rybnickim Gwarectwie (młodszy syn zmarł w 1936 r.)¹⁹⁾

Cztery lata pracy na tym stanowisku to okres niewątpliwych sukcesów zawodowych. Wprowadzone przez Niego zasady organizacji produkcji, jednolite dla wszystkich kopalń (podbudowane analizą ekonomiczną i skrupulatnie egzekwowaną zasadą porównywania osiągniętych wyników w celu „równania do najlepszych”) dawały wyraźne efekty. Krupiński wyrasta na jednego z najbardziej znanych i cenionych górników międzywojennego dwudziestolecia. Ale to była tylko zapowiedź Jego ogromnych możliwości.

Hitlerowski najazd zaskoczył Naczelnego Dyrektora Rybnickiego Gwarectwa na terenie kopalni „Emma”. Następuje aresztowanie, etapowe więzienia w Rybniku, Raciborzu i Rawiczu oraz tragiczny marsz z Weimaru do obozu w Buchenwaldzie. Skatowany, na granicy śmierci, został uratowany przez kolegów z Gwarectwa – również obozowych więźniów. Wśród nich inż. Tadeusz Laskowski – późniejszy profesor w GIG i Rektor Politechniki Gliwickiej – okazał się prawdziwym organizatorem walki o zachowanie życia w strasznych warunkach „małego obozu”. W marcu 1941 roku – dzięki staraniom przyjaciół – po 19 miesiącach obozowej „walki o przeżycie” zostaje zwolniony i przedostaje się do rodziny w Warszawie. Dochodzi do zdrowia. Nawiązuje kontakty i zatrudnia się w firmie „Torf”. Firma działała legalnie, ale była „przykrywką” dla konspiracyjnej działalności grupy polskich inżynierów. Krupiński włącza się do prac i w kontakcie z delegaturą Rządu Londyńskiego przygotowuje koncepcję powojennej organizacji polskiego górnictwa, przewidując jego nacjonalizację. Ale jako zawsze „bezpartyjny państwowiec” i realistyczny obserwator ówczesnej sytuacji – tak militarnej jak politycznej – stopniowo „oswajał się z myślą o nieuchronnym wpływie Związku Radzieckiego na sprawy polskie. Już przed powstaniem warszawskim był w takiej fazie przemyśleń, że jako człowiek czynu szukał kontaktu z ludźmi Krajowej Rady Narodowej i Związku Patriotów Polskich”¹⁹¹. Po latach w rozmowie z Robertem Jareckim przesłanki swej ówczesnej decyzji scharakteryzował krótko: „Byłem człowiekiem przemysłu (...) Uważałem, że nie ma co lamentować, trzeba pracować”¹⁹².

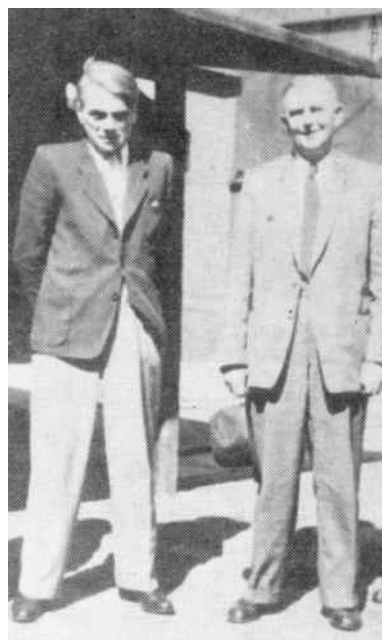
Kłęska Powstania Warszawskiego i śmierć w tym powstaniu syna – żołnierza AK – nie załamały Krupińskiego. Z grupą dawnych współpracowników przedostaje się na Śląsk. W lutym 1945 roku zostaje powołany na kluczowe stanowisko Naczelnego Dyrektora Technicznego Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego (CZPW) i rozpoczyna pracę o rozmiarach trudnych dziś do wyobrażenia. W Jego otoczeniu mówiono, że pracował „nieładzko”, narkotyzując się pracą po rodzinnej tragedii. Swym zaangażowaniem porwał wielu inżynierów górniczych i przedstawicieli inteligencji technicznej – w większości bardzo dalekich od komunizmu – do bezprzykładnej odbudowy i rozbudowy przemysłu węglowego. Był przekonany, że Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego pracuje dla Polski, dla jej najistotniejszych interesów i innym przekazywał to przekonanie. Nawiązuje dobre kontakty

z wojewodą Aleksandrem Zawadzkim i z reprezentantami wojsk radzieckich, dla których Śląsk staje się bezpośrednim zapleczem frontu. Organizuje uruchomienie kopalń i transport węgla, odblokowanie portów i pierwsze eksportowe wysyłki węgla do Szwecji. Rozwiązuje problemy zaopatrzenia kopalń w najniezbędniejsze maszyny i materiały oraz nie mniej istotne problemy żywnościowe i socjalne załóg górniczych. Także problemy fabryk maszyn, zakładów remontowych i biur projektów. Już w marcu 1945 roku organizuje Główny Instytut Górnictwa (GIG) jako naukowo-badawcze zaplecze kopalń.

Dopiero praca w tak ogromnej skali ujawniła pełne możliwości tego inżyniera i jego niezwykłą skuteczność. Jest ceniony. Awansuje. W 1949 roku zostaje podsekretarzem stanu w Ministerstwie Górnictwa. Niemal równocześnie uzyskuje tytuł profesora zwyczajnego. Jednak, gdy z początkiem lat pięćdziesiątych nasila się presja stalinizmu, bezpartyjny specjalista z własnymi, nieukrywanyimi poglądami zaczął być niewygodny. W 1953 roku został odsunięty od pracy w Rządzie, mógł więc całą swoją energię skupić na dydaktyce i rozwoju „Krakowskiej Szkoły Projektowania Kopalń”. Po doniosłych wydarzeniach 1956 roku została powołana Państwowa Rada Górnictwa pod przewodnictwem Profesora.

Wybiegając w przyszłość – poza czas wspomniany w tym rozdziale – dopowiem, że pracując na tym stanowisku przez 16 lat (do śmierci 24.10.1972 r.) inicjował i opiniował rozwój wszystkich gałęzi polskiego górnictwa: węgla kamiennego i brunatnego, miedzi, cynku i ołowiu, siarki, materiałów budowlanych i drogowych oraz wielu innych minerałów. „*Bezpartyjny doradca komunistycznego rządu*”¹⁹⁾ miał autorytet i nie bał się walki o sprawy górnictwa. Jest faktem niezaprzeczalnym, że z okresem, w którym jego koncepcyjno-strategiczny wpływ na rozwój górnictwa był znaczący – wiążą się największe powojenne osiągnięcia w zagospodarowywaniu nowych okręgów górniczych oraz w tworzeniu potencjału przedsiębiorstw budownictwa górniczego i fabryk maszyn górniczych. Osiągnięcia te, na całe dziesięciolecia przesądziły o pozycji polskiego górnictwa w gospodarce kraju i eksporcie.

Na arenie międzynarodowej, w Europejskiej Komisji Ekonomicznej ONZ w Genewie – przez wiele kadencji jako przewodniczący bądź wiceprzewodniczący Komitetu Węglowego tej Komisji – umacniał pozycję polskiego górnictwa i promował polski węgiel jako nośnik energetyczny i surowiec chemiczny potrzebny Europie. Od 1958 roku, jako organizator i nieprzerwanie do śmierci



Naczelny Dyrektor Techniczny CZIP ze swym zastępcą inżynierem Fabrisem (z lewej)¹⁹⁾



*I Światowy Kongres Górniczy w Warszawie (1958 r.).
Profesor Krupiński dyskutuje z gośćmi Kongresu¹⁰³*

Prezydent Międzynarodowego Komitetu Światowych Kongresów Górniczych – utworzył funkcjonującą do dziś platformę prezentacji najnowszych osiągnięć nauki i techniki górniczej z kilkudziesięciu krajów. Po pierwszym Kongresie zorganizowanym w Warszawie, odbył się w roku 2008 – znów w Polsce – XXI Światowy Kongres z udziałem 1200 uczestników z 44 krajów (ponad 200 referatów). Nie było dotychczas niko- go, kto byłby równie znanym i tak powszechnie uznawanym „ambasadorem” polskiego gór- nictwa zarówno w Genewie, jak

i w wielu innych środowiskach górnictwa europejskiego i światowego.

W nauce górniczej profesor Krupiński zdecydowanie występował przeciw zawężaniu obowiązków nauki jedynie do *poznawania rzeczywistości i tworzenia teoretycznych podstaw rozwoju*. Uważał, że nauka ma nie tylko tworzyć podstawy rozwoju, lecz także ma aktywnie w nim uczestniczyć. Kreowanie rozwiązań umożliwiających wzrost gospodarczy oraz wzrost bezpieczeństwa w górnictwie – uznawał za *szczególne obowiązki nauk górniczych*.

Tę krótką charakterystykę – głównie zawodowego dorobku Profesora – zakończę kilkoma cytata- mi ze wspomnień Jego najbliższych współpracowników. To najkrótsza z możliwych charakterystyka jego niezwykle osobowości: *„W towarzystwie przemyły, pogodny człowiek (...) W pracy służbista (...) Uprzejmy i bezpośredni, nigdy wyniosły (...) Potrafił wybuchać gniewem i kląć, ale dominował upór, pracowitość i poczucie obowiązku (...) Oburzał się po ludzku na wszystko, co wiązało się ze źle wykonaną pracą (...) Niezawodna pamięć (...) Za drugą rodzinę uważał zawsze całą bractwo górniczą, o której dobro i najlepsze warunki pracy zawsze zabiegał (...) Jego przyjaźń była wielkim darem dla tych, których wyróżnił (...) Ludzie tego formatu pojawiają się rzadko, w niektórych dziedzinach raz na stulecie (...) Jakże pięknie mówił i pisał o urodzie i bogactwie polskiej ziemi, którą kochał jak mało kto”¹²⁶*.

Lata 1951–1958, w których profesor Krupiński najintensywniej „wze- niał” mnie w górnictwo – przypadł na okres wciąż trwającej „zimnej wojny”. Świat był nadal „dwubiegunowy” – podzielony i wzajemnie wrogie. Związek Radziecki – szermując hasłami wolności i pokoju – rozszerzał swe wpływy,

zwłaszcza w rejonach, gdzie rozpadaly się kolonialne imperia państw europejskich. W 1951 roku Chiny Ludowe zajęły Tybet – z milczącym przyzwoleniem Zachodu na tę agresję i aneksję. Stany Zjednoczone były w tym czasie zajęte wojną w Korei (zakńczoną dopiero w lipcu 1953 r.), a Wielka Brytania i Francja były zaangażowane w spór z Egiptem o Kanał Sueski. W marcu 1953 roku zmarł Stalin. W kwietniu władzę na Kremlu objął: „triumwirat”: Beria, Malenkow i Molotow, ale we wrześniu do władzy doszedł Nikita Chruszczow, a 24 grudnia Beria został uśmiercony. W lipcu 1954 roku skończyła się wojna w Wietnamie, a w listopadzie rozpoczęła w Algierii, aby zakńczyć się dopiero w listopadzie 1958 roku proklamowaniem niepodległej Republiki.

Jednak Stany Zjednoczone i Europa Zachodnia stopniowo organizowały coraz wyraźniejszy opór przeciw sowieckiej ekspansji i szukały dla świata nowych rozwiązań. 5 maja 1955 roku powstała Unia Zachodnioeuropejska, co uruchomiło historyczny proces politycznej integracji Europy Zachodniej – rozpoczęty zawartym wcześniej gospodarczym układem o powołaniu Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali (1952 r.). Odpowiedź Związku Radzieckiego nadeszła bardzo szybko: 14 maja został zawarty Układ Warszawski, obejmujący osiem państw bloku wschodniego. Nie powstrzymało to dalszej integracji Europy Zachodniej. W marcu 1957 roku (5 lat po utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Obronnej) został podpisany Traktat Rzymski o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG), obejmującej: Belgię, Francję, Holandię, Luksemburg, RFN i Włochy. Narodziny realnych perspektyw na zjednoczenie Europy stały się faktem.

W tym czasie, gdy Europa Zachodnia zmierzała do zjednoczenia, a Stany Zjednoczone powstrzymywały ekspansję komunizmu na Dalekim Wschodzie (pakt ANZUS zawarty w 1951 r. przez Australię, Nową Zelandię i USA, pakt SEATO państw Azji Południowo-Wschodniej zawarty w 1954 r., doktryna Eisenhowera – 1957 r.) – Związek Radziecki ulegał wewnętrznym przesileniom. Równocześnie musiał dyscyplinować protestujące społeczeństwa swoich satelitów. W czerwcu 1953 roku wybuchają protesty w Czechosłowacji i w NRD (około 380 zabitych), a w Polsce, aby stłumić narastający opór Kościoła, władze internują kardynała Stefana Wyszyńskiego. W marcu 1956 roku – tuż po XX Zjeździe KPZR i referacie Nikity Chruszczowa „O kulcie jednostki i jego następstwach” – w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR) nasila się wewnętrzna walka. 28–29 czerwca w Poznaniu wybuchają robotnicze manifestacje i walki uliczne. W październiku 1956 roku, VIII plenum KC PZPR wybiera Gomułkę na I sekretarza. Prawdziwa „odwilż”, narastająca już od dłuższego czasu, staje się faktem. Polskie społeczeństwo manifestuje swą solidarność z Węgierskim Powstaniem, które wybucho 23 października, a 4 listopada zostaje krwawo stłumione przez wojska radzieckie. W maju 1957 roku J. Berman i S. Radkiewicz zostają usunięci z partii. Z początkiem

1958 roku rozpoczął działalność Ogólnopolski Komitet Frontu Jedności Narodu i zostały rozpoczęte obchody Tysiąclecia Państwa Polskiego – co miało konsolidować społeczeństwo i wskazywać kierunek „odwilży”.

Z zarysowanego, bardzo pobieżnego, przeglądu wydarzeń, które wystąpiły w Europie, na Dalekim Wschodzie i w Kraju – w latach mego „wznie-
nia w górnictwo” – wynika, że świat zmieniał się szybko. Katastrofalne skutki wojny odchodziły w przeszłość, monolit „stalinowskiej satrapii” ulegał wewnętrznej destrukcji, a Zachód przestał godzić się na bezwzględną dominację ZSSR nad swymi satelitami. Muszę jednak przyznać, że informacje o tych doniosłych wydarzeniach nie poruszały mojej wyobraźni. Nie umiałem w nich dostrzec procesu WIELKICH PRZEMIAN, który wciąż „obejmował” Europę i świat. Informacje podawane w PRL-owskiej prasie i radiu raziły jawną jednostronnością (żeby nie powiedzieć zaklamaniem i *toporną* propagandą). Rozgłośnia radia Wolna Europa, nadająca z Monachium od maja 1952 roku, lansowała inne naświetlenie, ale niestety też jednostronne, niekiedy z rażącym niedostrzeganiem prostego faktu, że to w Kraju społeczeństwo żyją-cce w „twardym reżimie” walczyło zarówno o swe codzienne bytowanie, jak i o tożsamość i przyszłość. Na śledzenie sytuacji w świecie i także polityczno-partyjnych rozgrywek w Kraju poświęcałem niewiele czasu i zainteresowania. Żyłem codziennością! O niej opowiem, bo to ona określiła wówczas moje miejsce w rzeczywistości epoki WIELKICH PRZEMIAN.

Górnice początki

W pierwszych dniach stycznia 1951 roku podjąłem pracę na poziomie 774^{*)} w dużym oddziale wydobywczym sztygara Dryndy – jako sztygar zmianowy, zmiany nocnej. Moim zadaniem – wraz z załogą tej zmiany – było przygotowanie *ściany do wydobywania*. Wprawdzie miałem już za sobą ogląd kilku kopalń – dokonany w czasie praktyk wakacyjnych i także półroczny okres poznawania kopalni „Dymitrow” podczas pisania pracy dyplomowej – jednak dopiero teraz, po raz pierwszy, trzeba było przejąć odpowiedzialność za kilkudziesięciu powierzonych mi ludzi. Także odpowiedzialność za wykonanie określonych zadań zmiany nocnej – które warunkowały wykonanie przez cały oddział jego planu produkcji – około 500 t/dobę. Wiedziałem, że od wykonania planu zależy znaczna część zarobków załogi oddziału i kopalni – i że te zarobki ledwie wystarczają na skromne życie górniczych rodzin. Odpowiedzialność, z którą się zetknąłem nie była blaha ani w aspekcie bezpieczeństwa górniczego, ani socjalnego. Przeżywałem to wówczas jako doznanie wyjątkowe – wcześniej nieznanne.

^{*)} Nazwa poziomu wydobywczego podziemnej kopalni jest przeważnie określana głębokością założenia podszybia z którego są prowadzone wyrobiska udostępniające.

Żeby opowiedzieć, jakie obowiązki wówczas podejmowałem, trzeba zacząć od wyjaśnienia, że *ściana* lub inaczej *przodek ścianowy* – to „jakby korytarz” długości około 100–200 m, zlokalizowany w pokładzie węgla. Po jednej stronie *przodka ścianowego* (tego „jakby korytarza”) jest zawsze *calizna* pokładu węgla (tzw. *ocios*), a po jego przeciwnej stronie – przestrzeń po węglu już wybranym (tzw. *zroby*). *Calizna* pokładu jest *czołem przodka*, który w kolejnych *cyklach* (*krokach*) jest *urabiany* na głębokość jednego *zabioru* (wówczas – około 2 m). Pozyskiwany węgiel jest wytransportowywany przenośnikiem (w tym przypadku – taśmowym^{*)} ułożonym na całej długości przodka. Gdy po wybranym węglu *zabior* jest już oczyszczony (jak na fotografii) – do niego jest przemieszczany (*przekładany*) przenośnik urobku, maszyna urabiająca (wówczas była to *wrębiarka*), instalacja elektryczna i sprężonego powietrza oraz pozostałe wyposażenie pomocnicze. Z opróżnionego pola zostaje usunięta (*wyrabowana*) obudowa podtrzymująca strop – co powoduje jego *zawal*. Tym sposobem *przodek*, który po wybraniu nowego *zabioru* uległ rozszerzeniu – znów zostaje zwężony – co otwiera możliwość wybierania kolejnego *zabioru*. *Ściana*, w której są urabiane kolejne *zabior*y, posuwa się (*kroczy*) od swej inicjalnej *obcinki* w głąb *pola górniczego* aż do jego skraju – przeważnie około 400–1000 m (patrz schemat na następnej stronie).

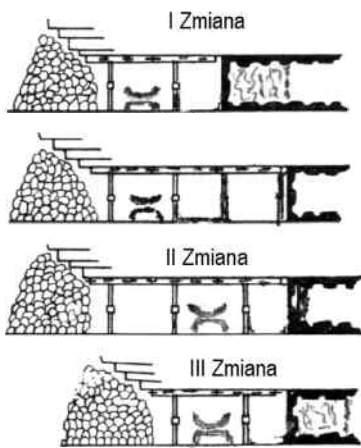
W owych latach w kopalni „Dymitrow” *ściany* miały z reguły długość około 150 m, a grubość (*miąższość*) wybieranych pokładów wynosiła przeważnie około 1,4–2,4 m. Moja *ściana* była niska – około 1,4–1,5 m (średnia w kopalni – 1,9 m). Jak wszystkie w tej kopalni, była prowadzona w cyklu trójzmianowym. Zmiana ranna (I) – była podstawową zmianą wydobywcą. Na popołudniowej (II)^{**)} – usuwano z przodka pozostawiony urobek oraz demontowano i przekładano przenośnik i pozostałe urządzenia. Na zmianie nocnej (III) – odbywało się *rabowanie* (wycofywanie) obudowy z poprzedniego pola i ewentualnie *strzelenie w stropie* celem wywołania wysokiego zawalu (co zmniejszało prawdopodobieństwo występowania *obwałów stropu*



Tak wyglądał przodek ścianowy w ówczesnej stalowej obudowie. Po lewej stronie *ocios* węglowy; po prawej niewidoczny przenośnik taśmowy i za nim *zroby* zawalowe

^{*)} Przenośniki taśmowe były stosowane wyjątkowo głównie w ścianach o bardzo słabym stropie. Szybko były wypierane przez przenośniki zgrzeblowe, które wprawdzie wymagały większego *obciążenia* (dłuższych stropnic), ale były przesuwane bez demontażu, a więc znacznie łatwiej.

^{***)} Aby zapewnić szybom równomierną pracę na dwie zmiany, niektóre ściany wydobywały na zmianie II, a nie I.



Schemat objaśniający trójzmianowy, cykliczny sposób posuwania się przodka ścianowego, poprzez wybieranie kolejnych zabiorów

w strefie pracy załogi). Na odcinku przodka z już usuniętą obudową, był wykonywany *wrqb* maszyną, która rozpoczynała swą pracę na jednym końcu ściany i posuwając się w *połu przyociosowym* „podcinała” (*podwrębiała*) caliznę węglową na całej długości przodka. Ponadto, na odcinku *podwrębionym* były też wykonywane roboty strzałowe zruszające caliznę *zabioru*, który na rannej zmianie miał być wybierany.

Niezależnie od robót w *przodku ścianowym* – na nocnej zmianie były również prowadzone istotne roboty w dwóch *chodnikach* łączących *ścianę* ze strukturalnymi wyrobiskami kopalni – *przekopami* i następnie *szybami*. W obydwóch *chodnikach* obsługujących *ścianę* – na odcinku, o który na I zmianie posunęła się *ściana* – trzeba było ułożyć ze skały pozyskiwanej na miejscu, pasy o szerokości sześciu metrów. Obowiązywało

wymaganie, aby pasy szczelnie podierały strop, bo to zapobiegało momentalnemu *zaciśnięciu chodnika* za postępującym frontem. Ponadto, w każdym *chodniku* długości (w owym czasie) około 500 m – trzeba było prowadzić tzw. *przebudowy* i *pobierki*, aby powiększyć przekrój chodnika na tych odcinkach, na których został nadmiernie zmniejszony w wyniku ciśnienia górotworu. Trzeba też było utrzymywać ruchową dyspozycyjność urządzeń do transportu materiałów (w *chodniku* tzw. *materialowym*) oraz do transportu urobku (w tzw. *chodniku odstawczym*). Bardzo istotne były zwłaszcza roboty utrzymujące sprawność taśmociągu stosowanego do odstawy urobku (czyszczenie trasy i przesypów, szycie taśmy w miejscach naderwanych, prostowanie konstrukcji itd.) – gdyż od niej zależała ciągłość produkcji na zmianie wydobywczej.

Tak więc, „świeżo upieczony” sztygar zmianowy – miał niemało robót do *obłożenia* załogą i dopilnowania jakości ich wykonania. Jego nocna zmiana zaczynała się o godz. 22⁰⁰, zdjęciem znaczka kontrolnego w *markowni*, ale co najmniej 30 minut wcześniej trzeba było zająć do biura sztygarów, żeby sprawdzić, jakie polecenia zostawił *sztygar oddziałowy* po dziennej zmianie i jakie uwagi ma do przekazania sztygar zmiany popołudniowej. Ten – jeżeli jeszcze nie *wyjechał z dołu* – przekazywał telefonicznie informacje o stanie robót, które wymagały kontynuacji lub podjęcia. Ze względu na mnóstwo różnych przyczyn – ale głównie awaryjność urządzeń transportowych – dzienna zmiana często nie potrafiła wybrać i wytransportować węgla z całego *zabioru* (mimo przedłużenia czasu pracy). Wówczas *roboty wybierkowe* kontynuowała zmiana popołudniowa – co z kolei skutkowało przejmowaniem przez zmianę nocną *ściany* z niezakończoną *przekładką* taśmociągu.

Z tego względu uzyskanie informacji o stanie robót jeszcze przed rozdysponowaniem załogi do poszczególnych robót było bardzo istotne.

Specyficzny dla owego okresu był niedobór stałej autochtonicznej (śląskiej) załogi górniczej. Jej brak był uzupełniany więźniami i żołnierzami, którzy do pracy w górnictwie byli kierowani karnie – często za udział w AK lub za „działalność opozycyjną”. Niektórzy żołnierze zgłaszali się ochotniczo, żeby skrócić czas służby wojskowej, ale tych było niewiele. Na szczęście, załoga miejscowych górników, autentycznych Ślązaków – choć nie dość liczna i przymuszana do pracy z niewykwalifikowanymi *gorolami* – odnosiła się bardzo lojalnie do tej w istocie „niewolniczej załogi z przypadku”. Nie wiem, czym to tłumaczyć – może specyficzną powojenną atmosferą i szczególnymi warunkami górniczej pracy na dole, wymuszającej solidarność wysiłku, ale również ta „niewolnicza” część załogi pracowała lojalnie. Nie pamiętam wrogości między ludźmi, zatargów i protestów.

Ze szczególnym sentymentem wspominam miejscowych Ślązaków – w większości starszych już ludzi – mówiących piękną gwara, niemal bez niemieckich naleciałości. Do dozoru zwracali się per „oni”: „*Niech pan sztajger zobaczą*”, „*Oni mi wczoraj kazali przybierać strop...*” itp. Miałem na swojej zmianie starego górnika Stachyrę, o którym wszyscy wiedzieli, że: „*jego węgiel słucha*”. Po odstrzeleniu ładunków wybuchowych w *podwrebionej caliznie*, do *przodka* osuwały się ogromne bryły węgla (tzw. *szafy*), które przed załadowaniem na transporter musiały być rozdrobnione. Otóż to zadanie było zawsze powierzane Stachyrze. On – ze zwykłym kilofem w rękę – najpierw oglądał taką *szafę*, a później uderzał ją, bez widocznego wysiłku, w sobie znane miejsca. *Szafa* bardzo szybko rozpadala się na części, które dalszymi uderzeniami były całkowicie rozdrabniane. Gdy Stachyra nie było w pracy – to samo zadanie musiało wykonywać dwóch „mocnych chłopów” za pomocą *pneumatycznych młotków odbudowy*, używanych do urabiania pokładu.

Dzięki walorom, stałej, autochtonicznej załogi – oraz dzięki nawiązanej od razu, dobrej współpracy z *nadgórnikiem* (awansowanym z *górnika przedowego*), który ją dobrze znał – kierowanie ludzi do poszczególnych zadań zmiany nocnej okazało się sprawą nie tak trudną jak myślałem. Istotną część załogi miała stale – znane jej zadania – i ta nie musiała być każdorazowo rozdysponowywana. Nawet czas jej zjazdu był zróżnicowany i dostosowany do organizacyjnego harmonogramu robót w poszczególnych odcinkach *ściany*. Również ocena wyników pracy wykonanej przez poszczególne zespoły – udzielanie pochwały, zwrócenie uwagi na niedociągnięcia (przeważnie w zakresie bezpieczeństwa górniczego) lub udzielanie „reprimendy” z racji widocznego niedbalstwa czy lenistwa – nie sprawiało mi trudności: przy tym nigdy nie stosowałem tzw. *opieprzania* z użyciem *lacin*.

Nie tyle trudniejsze, co bardziej uciążliwe okazało się codzienne dokumentowanie robót wykonywanych przez poszczególnych robotników – w tzw.

szychtownicach (dowodach zarobkowych). Po wyjeździe z dołu, przeważnie o godzinie 7⁰⁰–8⁰⁰ (a nie 6⁰⁰) – trzeba było bardzo skrupulatnie odtwarzać z pamięci i notatek obsadę poszczególnych robót (zadań) i zaznaczać w *szychtownicach* przepracowane dniówki. Nie lubiłem tej czynności. Przeoczenie jakiegoś nazwiska wywoływało kłopoty w procesie comiesięcznego przygotowania *szychtownic* do obliczania zarobków (tzw. *szlusu*). Błąd był naprawiany, bo była prowadzona dodatkowa kontrola przepracowanych dniówek na podstawie raportów *markowni*, gdzie każda osoba zjeżdżająca na dół musiała pobierać metalowy znaczek kontrolny (*markę*) – ale drażniła mnie ta „urzędnicza” robota. Niestety – od pojawienia się w kopalniach elektronicznej kontroli zjazdu załogi i ewidencji czasu pracy – dzieliło nas wówczas jeszcze ponad ćwierć wieku, a od komputeryzacji procesu przygotowania wypłaty zarobków załodze – jeszcze dodatkowa dekada.

Już po pierwszych tygodniach funkcjonowania na stanowisku sztygara zmianowego w oddziale sztygara Dryndy – wiedziałem, że nasze trudności w realizacji planów produkcyjnych – nie wynikają ze współpracy z ludźmi. Ich przyczyną była fatalna jakość stosowanych maszyn i urządzeń oraz materiałów używanych w procesie produkcyjnym – co wyrażało się ogromną *awaryjnością* tego procesu. Stosowany wówczas w kopalni – system wybierania pokładów *ścianami* prowadzonymi w organizacji „*cykl na dobę*” – nie mógł funkcjonować sprawnie, jeżeli wyposażenie, które obsługiwała załoga uniemożliwiała osiągnięcie ciągłości produkcji.

Używane wówczas taśmy transportowe i ich łącza rwały się często, nawet kilka razy w ciągu zmiany. Konstrukcja nośna transporterów taśmowych nie zapewniała prostolinijności trasy – co powodowało spadanie brył węgla



Chodnikowa obudowa typu „Moll”
– wsparta na drewnianych podciągach

i uszkodzanie taśmy. Szynowe stropnice ścianowej obudowy łatwo się gięły, a *zamki stojaków* nie zapewniały odpowiednio *sztywnego* podparcia stropu na linii zawal. *Noże* stosowane w *łańcuchu wrębiarki* ulegały zniszczeniu w ciągu paru godzin ich pracy. Łukowa obudowa chodników – nawet najbardziej trwała, znana wówczas, obudowa „Moll” – nie wytrzymywała występujących ciśnień. Chodniki w zwykłej obudowie – zwłaszcza, gdy znajdowały się w dwustronnym otoczeniu zrobów – trzeba było odtwarzać niemal „od nowa”. Elektryczne silniki stosowane w napędach transporterów

„przepalały się” przy niewielkich przeciążeniach. Transport materiałów za pomocą kołowrotu w permanentnie zaciskany chodniku przyścianowym nie nadążał za potrzebami... itd. Proces skutecznego poprawiania jakości górniczego wyposażenia i materiałów rozpoczął się dopiero pod koniec lat 50. i był niestety, w całym okresie PRL, bardzo powolny. Na zgrzeblowe transportery ścianowe, zapewniające bezawaryjną obsługę produkcji sięgającej milion ton urobku – trzeba było czekać jeszcze ponad cztery dekady.



Niekiedy – aby chodnik dwustronnie otoczony zrobami doprowadzić do stanu używalności – trzeba było przybierać metrową warstwę wypiętrzonego spągu

Zasada obowiązująca w *cyklicznej organizacji pracy przodka ścianowego*, w myśl której załoga każdej zmiany i każdy zespół pracujący w jej składzie musi wykonać swój specjalistyczny zakres pracy – we wskazanych warunkach niesprawnego (awaryjnego) wyposażenia – powodowała nieuchronnie przedłużanie czasu pracy poszczególnych zespołów i całych zmian. Żeby uniknąć pojawienia się na dole załogi, dla której *front robót* nie był przygotowany – zjazd tej załogi był opóźniany. Ten czas oczekiwania na powierzchni nie był opłacany, choć wydłużał *szychtę* niekiedy o wiele godzin. W sumie powstawały więc warunki nadzwyczajnego wyzysku załogi oddziałów wydobywczych. Był podobny chyba tylko do wyzysku w okresie „przemysłowej rewolucji” w drugiej połowie XIX wieku.

Jednak bardzo silne uzależnienie zarobków załogi od wykonania planu produkcji oddziału i całej kopalni – oraz ogromna presja na wykonanie planu wywierana przez zarząd kopalni i upartyjnione związki zawodowe – tworzyły warunki, w których ludzie to znosili! Ja także to znosiłem!! Wiedziałem, że występującej wówczas fatalnej jakości stosowanego sprzętu i materiałów – możemy przeciwstawić tylko „katorżniczy” wysiłek – swój i załogi. Innych możliwości nie było!

Na zmianie nocnej musieliśmy usuwać te niesprawności (lub ich skutki), które nie zostały usunięte od razu, gdy wystąpiły na zmianie I lub II. Walczyliśmy też z niesprawnościami i ich skutkami, specyficznymi dla robót prowadzonych na zmianie nocnej. Bardzo często czas wykonania naszych zadań przedłużało *zaciskanie stojaków* oraz *łańcucha wrębiarki* przez górotwór osiadający na nie dość sztywnej (*podpornej*) obudowie. Na ogół jednak – głównie dzięki ofiarnej pracy załogi – przekazywaliśmy zmianie rannej *ścianę wyrobowaną, podwrębioną i częściowo odstrzeloną*, z transporterami przygotowanymi do wydobycia.

Gdy sztygar Drynda pojawiał się na *wysypie chodnika taśmowego* i szedł wzdłuż taśmy do *ściany* – było go słychać z odległości kilkuset metrów. „Ryczał” – tak określała to załoga – a właściwie *pieronował* swoją śląską gwarą, gdy tylko zauważył coś zagrażającego ciągłości podejmowanego wydobywania. Głośne *pieronowanie* nie przeszkadzało mu odnosić się do mnie z estymą, należną inżynierowi. Szanowałem i nawet lubilem tego *ogromnego chłopca* – górnika „z krwi i kości” – kiedyś zwykłego *przodowego*. Umiał docenić wysiłek swojej załogi i nadzwyczaj rzetelnie wypełniał obowiązki sztygara oddziałowego.

W dozorze wyższym

Po trzech miesiącach pracy na stanowisku sztygara *zmianowego*, zostałem awansowany (od 1.04.1951 r.) od razu na sztygara *objazdowego* w Dziale Górnym. Przeskoczyłem szczebel sztygara *oddziałowego*, ale w owych latach największe braki kadry występowały w dozorze wyższym. Wielu polskich przedwojennych inżynierów – z bardzo różnych przyczyn – nie wróciło do kopalń (wielu zginęło), a inżynierowie niemieccy odeszli na zachód. Na „Dymitrowie” było nas wówczas tylko czterech inżynierów górniczych – więc awansowało się szybko⁷⁾. Nową funkcję oceniałem jako o wiele mniej stresującą od poprzedniej. Praca nie polegała już na bezpośrednim kierowaniu określonym zakresem robót i zatrudnioną w nich załogą. Sztygar *objazdowy* kontrolował pracę kilku przydzielonych oddziałów – współpracując z *nadsztygarem*, któremu podlegał. W praktyce sztygar *objazdowy* funkcjonował w oddziałach wydobywczych jako zastępca *nadsztygara*, a więc zjeżdżał na zmiany, na które kierował go szef.

W kopalni „Dymitrow” wydobywano w tym czasie około 6000 ton/dobę, prowadząc około 15–18 ścian, z załogą dołową liczącą około 3500 ludzi. Wydobywanie było prowadzone w dwóch *polach górniczych* na poziomie 585 i w jednym *polu* na poziomie 774. Największa produkcja była ulokowana w *polu* 585 Wschód – około 2300–2800 ton/dobę. Produkcja każdego z pozostałych pól kształtowała się około 1000–1500 ton/dobę. Zostałem skierowany na pole 774 Zachód, gdzie nadsztygarem był pan Korzeń, starszy już człowiek – bardzo spokojny, świetny górnik. Był technikiem, absolwentem „sztygarki” w Dąbrowie Górniczej, założonej w 1889 roku, z tradycjami nawiązującymi do założonej przez Staszica Szkoły Akademicko-Górnictwa w Kielcach (1816–1826). W owym czasie, przedwojenni absolwenci „sztygarski” – gdy mieli duże doświadczenie – mogli się starać o tytuł zawodowego inżyniera i z reguły ten tytuł otrzymywali. Ówczesny zawiadowca kopalni

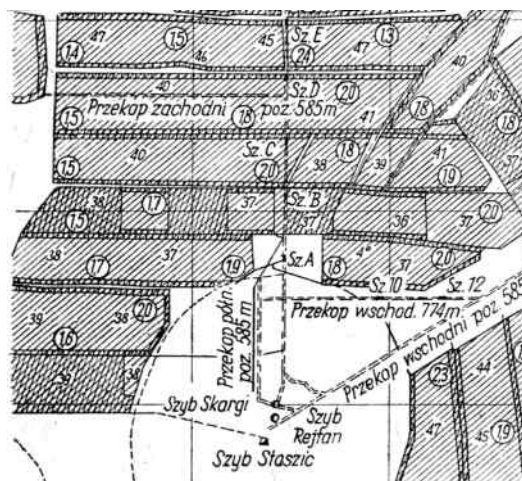
⁷⁾ W latach 1970–1980 w przeciętnej kopalni węgla kamiennego pracowało już 100–150 inżynierów różnych specjalności.

„Dymitrow” pan Gaździk był takim „inżynierem z awansu” – ale pan Korzeń nie chciał wystąpić z odpowiednim wnioskiem. Twierdził, że mu tytuł technika wystarcza.

Poprosiłem go, żeby wprowadził mnie w nowe obowiązki – co odebrał bardzo dobrze jako wyraz zaufania. Przez kilka dni zabierał mnie na swoją zmianę i bardzo skrupulatnie zapoznawał z czterema oddziałami wydobywczymi i jednym oddziałem robót przygotowawczych – które funkcjonowały w *potu* 774 Zachód. Było to jedyne *pole* górnicze w kopalni „Dymitrow” – i bodaj jedyne w całym ówczesnym górnictwie węgla kamiennego – całkowicie „staśmowane”. Oznacza to, że wydobyte było transportowane taśmociągami nie tylko w *chodnikach przyścianowych*, lecz także w *przekopach*, łączących *oddziałowe punkty załadowcze* z *szymbami* wydobywczymi.

W tej sytuacji istotnym obowiązkiem *nadsztygara* i *sztygara objazdowego* było takie skoordynowanie produkcji ścian prowadzonych przez każdy z oddziałów, aby taśmociągi transportu głównego nie były przeciążane i mogły bezawaryjnie odbierać węgiel ze *ścian*. W praktyce oznaczało to, że tylko dwa oddziały mogły wydobywać na zmianie rannej (I), a pozostałe dwa musiały prowadzić wydobywanie na zmianie popołudniowej (II). Zmiana nocna (III) – albo przynajmniej znaczna jej część – była przeznaczona na konserwację taśmociągów transportu głównego w *przekopach*. Ich stan techniczny był nieporównanie lepszy od stanu taśmociągów w *chodnikach przyścianowych*, jednak utrzymanie ich sprawności wymagało dużego wysiłku ekip naprawczych. Oprócz obowiązków związanych z transportem głównym – do obowiązków *nadsztygara* i *sztygara objazdowego* należał oczywiście nadzór nad przebiegiem pracy oddziałów wydobywczych zarówno w aspekcie bezpieczeństwa górniczego, jak i realizacji planu produkcji.

Tak więc, specyfika pracy, którą podjąłem jako *sztygar objazdowy* u *nadsztygara* Korzenia – była istotnie różna od pracy zarówno *sztygara zmianowego*, jak i *oddziałowego*. W miejsce obowiązku bezpośredniego kierowania załogą – pojawił się obowiązek kontroli osób dozoru w oddziałach wydobywczych. Przedłużanie czasu pracy przestało być codziennością. Występowało rzadziej, głównie w sytuacjach awaryjnych, gdy zaistniałe gdzieś trudności przerastały możliwości organizacyjne pojedynczego oddziału. W tej sytuacji zacząłem dostrzegać możliwość wygospodarowania



Fragment mapy pokładu 414 wyeksploatowanego w kopalni „Dymitrow” systemem ścianowym w *potu* 774

jakiegoś czasu na przygotowywanie się i zdawanie egzaminów, z którymi „zalegałem” w Wyższej Szkole Ekonomicznej. Nadsztygar Korzeń, gdy przedstawiłem mu perspektywę krótkich zwolnień na wyjazdy do Krakowa, aby zakończyć rozpoczęte studia – odniósł się do tych postulatów bardzo przychylnie. Chciał tylko, aby zwolnienia były załatwiane formalnie przez Dział Personalny, na podstawie Zbiorowego Układu Pracy.

W końcu kwietnia 1951 roku przyszła dobra wiadomość od Jany i Mamy. W wyniku starań adwokata, który bardzo energicznie zabiegał o uwolnienie Tadeusza – Sąd Wojewódzki, „uznając, że działał w stanie wyższej konieczności”, nakazał jego zwolnienie z więzienia. Radość była ogromna! Tym większa, że Tadeusz z Janą postanowili „zmienić środowisko” – zejść z oczu warszawskim ubekom – i przenieść się do Katowic.

Zamieszkali u pani Chelechowskiej, która wraz z córką (przyjaciółką Jany z Wilna) i z synem zajmowała duże mieszkanie przy Placu Wolności. Była ziemianką ewakuowaną z Wileńszczyzny. Jej mąż, poprzez Syberię, znalazł się w Londynie i ze względu na możliwość represji nie zamierzał wracać do Kraju – uznała więc, że może jeden pokój odstąpić przyjaciołom. To była przemila starsza pani, o ogromnej kulturze osobistej i świetnym poczuciu humoru. Na przyjęciach w dniu swoich imienin kładła niektórym ze swoich gości – obok kieliszka – pigułkę „raphacholiny” na „podtrzymanie wątroby”.



Mama po „przeprowadzce” na Śląsk

Mama – w nowej sytuacji – nie mogła oczywiście mieszkać nadal z Tadziami i przeniosła się do mnie, do Bytomia. Państwo Szewieczkowie zgodzili się na to i nawet wygospodarowali dla nas dodatkowe pomieszczenie, gdzie została urządzona niezależna kuchienka. Mój duży pokój został przedzielony prowizorycznym „przepierzeniem” i umeblowany tzw. kompletem kombinowanym, który po wielu zabiegach, kupilem na raty. Ten PRL-owski komplet okazał się bardzo funkcjonalny i trwały. Służył mi przez wiele lat, a później gdy Mama miała swoją „kawalerkę” – nadal służył Jej. W sumie urządziliśmy się całkiem znośnie. Przestałem jadać w kopalnianej stolówce, a Mama miała gdzie prowadzić gospodarstwo domowe i była uszczęśliwiona tą zmianą.

Zadowolenie ze zwolnienia Tadeusza było tym większe, że właśnie w tym czasie Slawek zaręczył się z Halą Songinówną, którą – jak wspominałem (str. 73) – poznał jeszcze przed wojną w Grodnie. Ewakuowała się z Matką w jesieni 1944 roku do Poznania, gdzie studiowała medycynę. Bezpośredniego kontaktu ze Slawkiem nie mieliśmy bo – zagrożony aresztowa-

niem przerwał studia w Łodzi i pod zmienionym nazwiskiem, jako Lasowski – zamieszkał we Wrocławiu. Wprawdzie jego AK-owskie środowisko nie było powiązane ze środowiskiem Tadeusza i moim, ale – aby nie narażać nas na ewentualne komplikacje – kontaktował się rzadko, z zachowaniem znanych zasad konspiracji. Z Halą ożenił się w grudniu 1951 roku.

Dzięki zmianie, która zaszła w moich kopalnianych obowiązkach, znów – jak w ubiegłym roku – zacząłem wykorzystywać czas wolny na czytanie skryptów i podręczników obowiązujących na trzecim roku WSE. Wymagania, które sobie stawiałem w zakresie uzyskiwanych ocen – były jeszcze niższe niż poprzednio. Uważałem, że praca w kopalni jest ważniejsza od wysokości ocen w indeksie WSE.

Choć na stanowisku *sztygara objazdowego* byłem znacznie „luźniej” zaangażowany w pokonywanie codziennych trudności przez załogi oddziałów wydobywczych – nadal tkwiłem w ich „krwawym fedrowaniu”. Tak określaliśmy ówczesne warunki pracy załogi tych oddziałów w kopalni „Dymitrow”

– która jako pierwsza spośród wszystkich kopalń węgla kamiennego całą swą produkcję uzyskiwała ze ścian – przy tym prowadzonych w systemie organizacyjnym: „cykl na dobę”. Jak podkreślałem robiła to bez zaopatrzenia w maszyny, urządzenia i materiały o jakości spełniającej wymagania tego rodzaju organizacji – i to właśnie było przyczyną owego „krwawego fedrowania”. W następnych latach system *cyklicznego* prowadzenia ścian – jako w owym czasie najnowocześniejszy – był wprowadzany również w innych kopalniach. Nigdzie jednak nie stwarzał załodze oddziałów wydobywczych tak trudnych warunków pracy, bo współwystępował z eksploatacją systemem *śląskich filarów*^{*)} i przy tym już w warunkach stopniowo poprawianej jakości zaopatrzenia. Rzeczywista szansa na zmianę warunków pracy załogi w *ścianowych oddziałach wydobywczych* pojawiła się dopiero w końcu lat sześćdziesiątych, gdy do kopalń zaczęła być dostarczana „samoprzesuwana” obudowa hydrauliczna, „wielocykliczne” wąskozabiorowe kombajny o dużej mocy, nowa generacja przenośników zgrzeblowych i przenośniki taśmowe o usztywnionej konstrukcji. Przy tym, bezawaryjność tej nowej generacji wyposażenia stopniowo ulegała poprawie. Wprawdzie wciąż bardzo powoli – ale jednak zauważalnie.



*Hala Songinówna – żona Sławka
miłość jeszcze z czasów
gimnazjalnych*

^{*)} Wyrobisko pokazane na stronie 248, to *śląski filar*. Eksploatacja *filarowa* nie wymagała *cyklicznej* organizacji produkcji, co sprzyjało „spokojniejszej” pracy załogi.

Kolejne miesiące 1951 roku mijaly szybko. Praca, którą wykonywałem – stopniowo stawała się codziennością. Byłem przez swego nadsztygara kierowany bądź na zmianę II (na której według planu – w dwóch ścianach było prowadzone wydobywanie, a w dwóch wykonywano przekładkę przenośnika) – bądź na zmianę III, na której tylko teoretycznie miało nie być wydobywania. Różnice w mojej pracy na tych zmianach – były niewielkie. Zawsze trzeba było pokonać chodnikami parę kilometrów tras transportowych urobku i materiałów – często mocno *zaciśniętych* – i przejść *przodki ścianowe* o łącznej długości kilkuset metrów. Po drodze trzeba było – z górniczym „Szczęść Boże” – zatrzymać się przy poszczególnych robotach i ocenić poprawność ich wykonywania, głównie w aspekcie bezpieczeństwa górniczego; interweniować wszędzie tam, gdzie opóźnienie robót zagrażało zalamaniami *cyklu* produkcyjnego (co nazywano się *klękniciem ściany*): omówić z oddziałowym dozorem zauważone mankamenty i pilne roboty do wykonania – lub po prostu porozmawiać i wysłuchać narzekań... Wszędzie odchodząc powiedzieć „Szczęść Boże”... i tyle! Zdawałoby się – praca całkiem łatwa!! Ale po takiej dniówce – choć byłem młody i silny – często czulem się autentycznie „padnięty”!



Jedyné moje zdjęcie na motocyklu, zachowane w pamiątkach Mamę

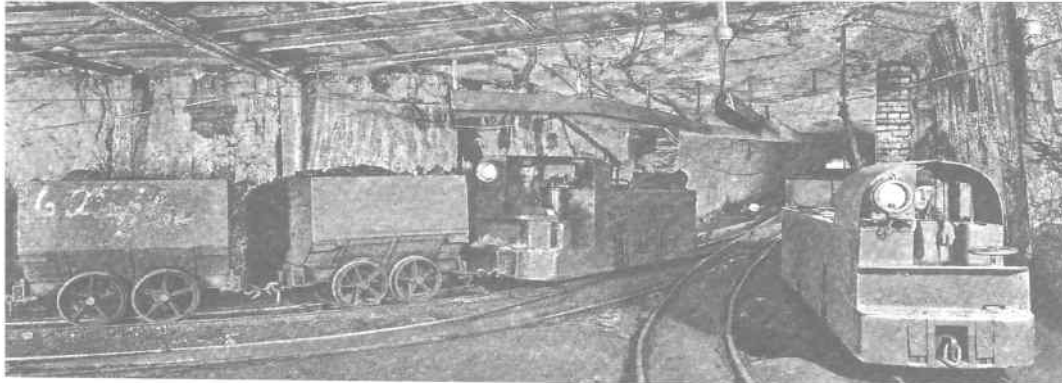
Latem – po zmianie nocej – kierowałem się czasem nie do domu, a na otwarty basen w bytomskim parku. Kąpiel i później solidna drzemka w cieniu drzew – dobrze mi robiła. Dom prowadzony przez Mamę – choć w skromnych warunkach – był oczywiście niezastąpionym miejscem odpoczynku i oderwania od kopalnianej rzeczywistości. Czasami odwiedzali nas Tadzio i ja – ja jeździłem częściej, korzystając z motocykla). Mama zaprzyjaźniła się z panią Szezurowską, żoną Adama, starszego kolegi ze studiów, który był w tym czasie Kierownikiem Robót Górniczych. Był wiekiem młodszy ode mnie, ale w czasie wojny zaliczył parę lat Akademii w tajnym nauczaniu na Krzemionkach i dyplom uzyskał już w 1948 roku. Mama na swoje imieniny

– obchodzone 7 października – otrzymała od pani Szezurowskiej małą doniczkę z *zafflancowanym cistusem*. Ten pięknie zielony bluszcz był przez Mamę pielęgnowany aż do jej śmierci, a później ja – już w ogromnej donicy – miałem go w swoim pokoju w Głównym Instytucie Górnictwa do 2007 roku. Ponad 50 lat był zawsze okazałym i podziwianym zielonym krzewem – rozpostartym na drewnianym „rusztowaniu”. Mama bardzo go lubiła – mówiła, że był dany „*dobrą ręką*”.

Na początku stycznia 1952 roku „wybierałem” należny urlop i dostałem z kopalni skierowanie do Augustowa na „wczasy bojerowe” (nie było innych amatorów na te wczasy). Wspominam o tym, bo był to urlop wyjątkowy! Mieszkaliśmy w budynku przedwojennego jachtklubu nad Jeziorem Białym. Był świeżo wyremontowany po kilkuletnim użytkowaniu i całkowitym „rozgrabieniu” przez Armię Czerwoną. Zajmowałem dwuosobowy pokój z bratankiem Kościalkowskiego – przedwojennego wojewody wileńskiego – świetnym kompanem. Był AK-owcem, a aktualnie parzył się teatralną reżyserią. Ewenementem tych wczasów było to, że na zamrożonych jeziorach leżała gruba warstwa śniegu, uniemożliwiająca „latanie” na bojerach. Wymyśliliśmy więc zwiedzanie jezior augustowskich na nartach: Białe, Necko, Sajno... ujęcie Rospudy... wszędzie docieraliśmy i co ciekawe – opalaliśmy się bez kosztów, leżąc na sągach drewna przygotowanego do wywózki. Pogoda była świetna – trzymał lekki mróz 3–5°, ale w słońcu było wręcz ciepło. Wracając z tych wypraw odwiedzaliśmy restaurację na rynku Augustowa, gdzie Gruda (tak się wówczas nazywał mój „szlafkamrat”) – nauczył kucharzki przygotowywać grzane wino. Po całodziennych wyprawach wracaliśmy w znakomitych nastrojach. Dopiero parę ostatnich dni – „lataliśmy” na bojerach, gdy odwilż oczyściła lód. Ten sport mi się podobał, ale już nigdy do niego nie powróciłem.

Zupełnie „niepostrzeżenie” – minęło 11 miesięcy mego *fedrowania* na stanowisku *objazdowego*. Z dniem 1 marca 1952 roku zostałem awansowany na *nadsztygara pola górniczego* i skierowany na *pole 585 Wschód*. Jak wspominałem, było to *pole* o największym wydobyciu. Dyrektor Stachurski, przedwojenny inżynier górniczy, który powoływał mnie na *objazdowego* – był już odwołany – a jego stanowisko objął pan Spyra, partyjny działacz z awansu. Nowy dyrektor, na rannej odprawie dozoru górniczego, podobno kiedyś wymachiwał pistoletem wyciągniętym z *kabury* i groził najsurowszymi konsekwencjami za „*wyjechanie z dołu bez planu*”. Wiedziałem, że czeka mnie „*harówka*” cięższa niż dotychczas.

Na szczęście miałem już za sobą wszystkie egzaminy na WSE, obronę pracy dyplomowej i związany z tym urlop. Czekalem tylko na wydanie dyplomu, który otrzymałem z datą 20 marca 1952 roku. Teraz podlegałem bezpośrednio Kierownikowi Robót Górniczych, którym był Adam Szezurowski. Obowiązki *nadsztygara* znalazłem dość dobrze, bo od obowiązków *objazdowego* różniły się głównie zwiększoną odpowiedzialnością za wykonanie planu wydobycia: odpowiedzialność za bezpieczeństwo pracy było rozłożone szerzej, również na dozór oddziałowy i Kierownika Robót Górniczych. Słabiej natomiast znalazłem specyfikę *Pola 585 Wschód*, które było klasycznym przykładem pola o strukturze *szybikowej*, z transportem szynowym – pociągami formowanymi z małych wozów (1 m³) i ciągniętymi lokomotywą elektryczną.



Na podszybiu – charakterystyczne kopalniane pociągi małych wozów, ciągnięte elektryczną lokomotywą („Czarne diamenty” M. Steckel, Katowice 1929)

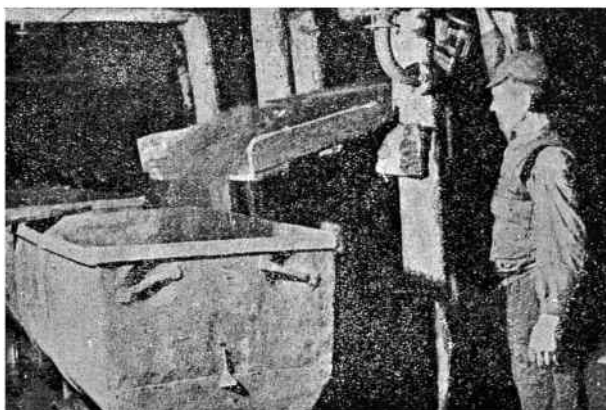
W *przekopie* udostępniającym to pole – długości około 2500 m – trasa szynowa była niestety jednotorowa. „Mijanek” umożliwiających wyminięcie się pociągów jadących do *poła* z pociągami powracającymi z węglem – było niewiele – ze względu na *zaciskanie przekopu* i trudność utrzymywania odpowiednio powiększonego przekroju wyrobiska. „Mijanki” funkcjonowały przede wszystkim przy szybikach obsługujących eksploatację – ta zaś była – prowadzona w „*głębi*” *poła* daleko od szybów głównych. Były to tak zwane *ślepe szybiki* sięgające do pokładów zalegających nad *przekopem* – były z reguły rozmieszczane co 150 m. To ta odległość określała w kopalni „Dymitrow” długość *ścian* prowadzonych od szybików do granic *poła*. W związku z tym, że *ściany* muszą być zawsze obsługiwane przez *chodnik odstawczy* urobku i *chodnik transportowy* materiałów – szybiki były na przemian *materiałowe* i *załadowcze* (*zsypane*). Te pierwsze były wyposażone w klatkowe urządzenia wyciągowe do transportu ludzi i materiałów. W szybikach załadowczych były zainstalowane tzw. *spirale zsypane* (*zsunnie*), które „sprowadzały” urobek (zapobiegając jego nadmiernemu rozdrobnieniu) z poziomu wybieranego pokładu na poziom *przekopu*, gdzie był wsypywany do wozów. W owym czasie były wybierane pokłady leżące w odległości 100–200 m nad *przekopem* 585 *Wschód* i w tych granicach utrzymywała się długość użytkowanych szybików.

Staralem się dość szczegółowo opisać strukturalną charakterystykę *poła*, w którym zacząłem pełnić obowiązki *nadsztygara*, gdyż właśnie ta jego charakterystyka przysądzała w znacznym stopniu o warunkach mojej pracy. Okazało się, że – przy stosowanych rozwiązaniach w transporcie urobku i materiałów – niemal połowę swego wysiłku musiałem angażować w zapewnienie oddziałom zaledwie „znośnych” warunków prowadzenia *ścian*.

Najwięcej trudności występowało na trzech lub czterech *szybikach zsypanych*, z których każdy przejmował wydobyć z 2–3 *ścian* prowadzonych zarówno na zmianie I, jak i II. Plagą były *korki* tworzące się w *szybikach*

zsypanych – z najróżnorodniejszych przyczyn. Najczęstszą było wysyłanie taśmociągami ze ścian zbyt dużych brył węgla, które gdy się zesztorcowały – blokowały zsuwnię. Obsługa szybika, poruszając się po drabinach, musiała lokalizować zatory i likwidować je żelaznym drągiem. Była to praca bardzo uciążliwa ze względu na zapylenie oraz męcząca i niebezpieczna. Przy tym obsada tych prac była często nie dość liczna i źle opłacana.

Transport ciasnymi szybikowymi klatkami i zaciśniętymi chodnikami – ciężkich wozów wyładowanych stalowymi stojakami, stropnicami i łukami obudowy chodnikowej oraz drewnem – był także przyczyną permanentnych trudności, które młodemu nadsztygarowi „zatrwały życie”. Dozór oddziałowy miał stałą tendencję zaniedbywania robót prowadzonych poza ścianą i skupiania całej uwagi na pracy przodka. Prowadziło to nieuchronnie do



Punkt załadowczy. Ładowanie urobku z szybika zsypanego do ostatniego wozu w podstawionym pociągu

przerw w pracy ciągów technologicznych i nierzadko do załamывania cykli produkcyjnych. Wymagania, które stawiałem w zakresie dbałości o należytą obsadę i dyscyplinę robót pozaprzodkowych – nie zawsze spotykały się ze zrozumieniem. Wciąż były potrzebne interwencje i niestety służbowy „nacisk”.

W polu, które nadzorowałem, wydobywanie było prowadzone przeważnie w 8–10 ścianach (nie licząc rezerwowych). Liczba ścian – jak w innych polach odpowiadała przeważnie liczbie oddziałów wydobywczych. Załoga tych oddziałów liczyła łącznie około 1500 robotników, w tym kilkuset żołnierzy i kilkuset więźniów. Plan wydobywania w kolejnych miesiącach zmieniał się stosownie do sytuacji występującej w pokładach, ale utrzymywał się na poziomie 2500 t/dobę. Obowiązkiem nadsztygara było docieranie przede wszystkim w te rejony pola, gdzie działo się źle! W szczególności tam, gdzie trzeba było „ratować” ścianę zagrożoną „klęknieniem” – organizując pomoc z innych oddziałów, przeważnie przygotowawczych i energomaszynowych. Gdy akcje „ratunkowe” nie kończyły się sukcesem – co niestety zdarzało się często – wówczas nadsztygar wskazywał, na którą ścianę rezerwową ma być kierowana załoga ściany tracącej cykl produkcyjny. Uruchomienie ściany rezerwowej umożliwiało przynajmniej częściowe „nadrobienie” strat wydobywania.

Zarówno „walka” o zapewnienie możliwie najsprawniejszej transportowej obsługi oddziałów wydobywczych przez układ szybików i przekopu

– jak i koordynacja działań w oddziałach „gnębionych” nieustannymi awariami wyposażenia – składały się w sumie na pracę nerwową i wyczerpującą. Dopiero po paru tygodniach zacząłem się całkiem dobrze czuć w swej nowej roli. Byłem w pełni zaangażowany i często odczuwałem dużą satysfakcję, gdy widziałem pozytywne efekty tego zaangażowania. Niestety wkrótce zaszły dwa wydarzenia, które popsuly pojawiający się optymizm.

Nieoczekiwane komplikacje – odejście z kopalni

Jakoś w końcu kwietnia 1952 roku otrzymaliśmy od Tadeusza fatalną wiadomość. W wyniku odwołania złożonego przez warszawską, wojewódzką prokuraturę – Sąd Najwyższy – wydał nakaz ponownego aresztowania Tadeusza i wznowienia procesu. Wrażenie było ogromne! W pierwszym odruchu przejrzelśmy z Mamą wszystkie posiadane dokumenty, wyselekcjonowaliśmy te, które mogły wskazywać na „podejrzane” pochodzenie społeczne i kontakty z podziemiem (m.in. moje jedyne fotografie z partyzantki i mój litewski dowód na nazwisko Tomaszewicz). Zapakowaliśmy je do dużej butelki i po zalakowaniu zakopaliśmy w ogródku państwa Szewieczków (niestety później w tym miejscu został zbudowany garaż i dokumenty przepadły). Po rodzinnej naradzie Tadeusz postanowił nie dać się powtórnie aresztować i zdecydował, że będzie się ukrywał. Oznaczało to, że przestaje mieszkać z żoną w miejscu zameldowania; żona twierdzi oficjalnie, że nie wie gdzie przebywa mąż, bo od niej odszedł, pozostaje przy swoim nazwisku, ale nigdzie się nie melduje i stale zmienia „miejsce postoju”. Zawsze miał wielu przyjaciół – widział więc możliwość ukrywania się, tym sposobem, nawet przez długi czas – aż do ZMIANY, w którą wszyscy wierzyliśmy.

Żeby poszerzyć możliwość częstej zmiany „miejsca postoju” – wtajemniczyłem w sytuację dwóch swoich przyjaciół. Obydwaj bez wahania włączyli się w poszukiwanie miejsc, w których Tadeusz mógłby czasowo „przycupnąć”, mając dach nad głową. Adam Wisłoki (Pucio) „wymyślił” mieszkanie w Krakowie na ulicy Kanonicznej 16 u swojej ciotki, pani Nalepiny, której mąż został zamordowany w Katyniu. Bohdan Kimmel wprowadził Tadeusza do swojej śląskiej rodziny w Katowicach-Bogucicach, gdzie był przez nią bardzo serdecznie przyjmowany, ilekroć się zgłosił. A trzeba pamiętać, że był to w PRL-u okres represyjnego stalinizmu, w którym każdy kontakt z człowiekiem ukrywającym się stanowił duże zagrożenie.

Po pewnym czasie Tadeusz zaczął korzystać nie tylko z adresów wtajemniczonych przyjaciół i znajomych, lecz także z miejsc, w których ludzie nie wiedzieli nic o jego kłopotach. Takim miejscem było malutkie gospodarstwo państwa Kwaśnych położone wysoko na zboczach Klimeczoka, nad wsią Mieszna. Wyżej nad panem Kwaśnym było już tylko jedno gospodarstwo, spalone w czasie wojny przez Niemców za kontakty z partyzantką AK. Pan

Kwaśny był małym człowieczkiem, który w czasie I wojny światowej służył w armii Cesarza *Franza Josefa*. Portret Cesarza wisiał w kącie izby „paradnej” – z dwoma bukietami sztucznych kwiatów po każdej stronie obrazu. Pani Kwaśna była równie drobną, bardzo gościnną kobieciną. Dla nich Tadeusz był panem Pietsykoskim, który lubił Beskidy i często u nich przebywał – płacąc nawet więcej niż wynikało to z bardzo skromnego cennika państwa Kwaśnych. Mama, Jana i ja, gdy czasem spotykaliśmy się z Tadeuszem „na górze” (tak wówczas określaliśmy to miejsce) – byliśmy rodziną pana Pietsykoskiego.

Gdy w latach 60., Tadeusz już się nie ukrywał – jego przyjaźń z małżeństwem państwa Kwaśnych trwała nadal. Jeszcze przez kilkanaście lat inicjował niedzielne wypady „do pana Kwaśnego” – co zawsze spotykało się z ogólną aprobatą. Lubilem zwłaszcza wyprawy jesienne – z udziałem Mamy i w pewnym okresie, również Pucia – gdy pod młodymi świerkami, porastającymi sąsiednie spalone gospodarstwo, zbierało się mnóstwo rydźwów.



Małżeństwo państwa Kwaśnych, gospodarzące na zboczach Klimczoka



Tadeusz lubił przekomarzać się z panią Kwaśną



Gdy w latach 60. bywałem „na górze” pan Kwaśny był wciąż tym samym małym człowieczkiem, w tej samej czapce i kurtce

O wzajemnej przyjaźni pana Kwaśnego do Tadeusza najlepiej świadczy fakt, że swoim synom – „*jeden był szewiecem, drugi krawiecem, trzeci służył w polskim gestapie*”^{*)} – nakazał surowo, że mają: „*zaprosić pana Pietsykoskiego na mój pogrzeb*”. Tadeusz rzeczywiście był na pogrzebie pana Kwaśnego, który zmarł w latach 70., trzy miesiące po śmierci żony.

Drugie wydarzenie, które popsulo mój pojawiający się optymizm – miało miejsce w czerwcu 1952 roku. Kierownik Robót Górniczych Adam Szczurowski – mój bezpośredni szef – został nagle aresztowany. Oficjalnie, przyczyną były jakieś nieprawidłowości w sposobie *obudowy ściany* 115 u sztygara Kamińskiego (w moim polu) – gdzie nastąpił rozległy *zawał stropu*. Wiedziałem, że Kierownik Robót był w tej ścianie i przez wpis do „książki obudowy”, wydał polecenie zabudowy dodatkowych kasztów^{**)} – działał więc prawidłowo. Czy były rzeczywiście jakieś błędy w obudowie ściany i co było prawdziwą przyczyną aresztowania – nikt nie wiedział. Według jednej z krążących wersji – aresztowanie miało rzekomo związek z niedawnym wyjazdem Adama do Wielkiej Brytanii w sprawie zakupu angielskiego kombajnu – który rzeczywiście znalazł się w kopalni i został zainstalowany w jednej ze ścian na *poziomie 774*. Informacje „wyciekające” z kopalnianego Referatu Ochrony (RO, agenda UB) były pogmatwane i często sprzeczne, a dyrektor Spyra dalej „grzmiał”, że za niewykonanie planu grozi „kryminal”.

Nie wierzyłem w żadną z krążących wersji. Byłem przekonany, że jest to represja za przypadki niewykonania przez kopalnię miesięcznych planów produkcji, które rzeczywiście miały miejsce. Mój pogląd był zbieżny z poglądem pana Szewieczka – u którego mieszkalem. Twierdził, że „*to robota Małucha* (szefa Referatu Ochrony) – *zemsta za brak planu. On zawsze musi na kogoś »połować«*. *Szczurowskiego miał dawno »na oku«* i teraz, *gdy go już wsadził, będzie wypatrywać następnego. Będę spokojny dopiero, gdy kogoś wybierze – oby nie mnie*”.

Stanowisko Adama zajął Tadeusz Kropel – nieco starszy kolega z AGH – niedawno przeniesiony z kopalni „Chorzów” w Chorzowie. Wkrótce zaczęliśmy się przyjaźnić i zgodnie „ciągnąć wóz” *krwawego fędrawania*. Dnie, tygodnie i miesiące – przeważnie łącznie z niedzielami – były wypełnione jednostajną harówką. Jednak moje *pole* coraz częściej „*ładowało pod planem*”. Prześladowały mnie fatalne załamania cykli produkcyjnych – nawet w najlepszych oddziałach – co powodowało straty wydobycia nie do odrobienia. Bezskutecznie występowałem o zmniejszenie planu – wskazując na niewydolność odstawy urobku zarówno w szybikach, jak i na jednotorowej trasie przewozu w *przekopie wschodnim*; także na rozpoczęcie przez parę

^{*)} Służył w milicji.

^{**)} Stos drewna ułożonego w „kształt studni” (wypełnianej skalą ze zrobów), stanowiący bardzo silne podparcie stropu.

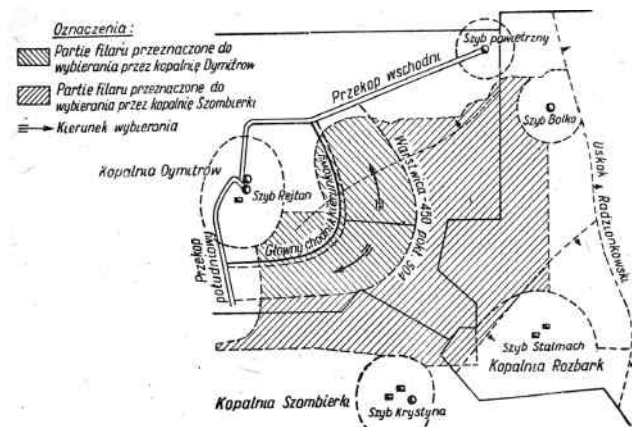
oddziałów eksploatacji w dolnej warstwie *pokładu 410*, znanej ze słabego stropu.

Inżynier Kornecki, który u boku „dyrektora z awansu” – jako Kierownik Ruchu Zakładu, odpowiadał wobec Urzędu Górniczego za bezpieczne funkcjonowanie całej kopalni – doceniał mój organizacyjny wysiłek i zaangażowanie. Jakoś w jesieni – wezwał mnie do siebie i prosząc o dyskrecję – namawiał żebym „*może choć trochę »poprawiła« stosunek towarzysza Malucha do wyników swojej pracy*”. Byłem zaskoczony i od razu skojarzyły mi się uwagi pana Szewiczka. Odpowiedziałem, że nie widzę takiej możliwości, bo przecież „*nie pójdę z Maluchem na wódkę*”. Na tym zakończyła się ta inicjatywa – na pewno podyktowana przychylnością.

Jednak w pracy zacząłem się czuć coraz gorzej. Bałem się, że Maluch „dokopie się” do mojej AK-owskiej przeszłości. Zaczęło mi też coraz wyraźniej przeszkadzać to, że pracuję z więźniami i żołnierzami – często karnie kierowanymi do kopalni, że ludzie są wykorzystywani i nagminnie pracują ponad siły, z jawnym naruszeniem przepisów obowiązującego kodeksu: że Adam został aresztowany w istocie bez przyczyny... Gdy dowiedziałem się, że „*już nie obowiązuje*” zapis zawarty w mojej umowie z Bytomskim Zjednoczeniem, w myśl którego po dwóch latach pracy mogłem wypowiedzieć tę umowę – pojawiło się uczucie fatalnej „duchoty”! Czulem się złe, a chęć odejścia z kopalni zaczęła być coraz bardziej natręczywa.

Na szczęście w początku listopada zostałem „wyciągnięty z dołu” i skierowany do pracy w specjalnym zespole, powołanym przez Bytomskie Zjednoczenie – z zadaniem opracowania projektu eksploatacji pokładów węgla pod miastem Bytom. Z trzech stron *filara ochronnego*⁹⁾ miasta, funkcjonowały w tym czasie trzy kopalnie: „Dymitrow”, „Szombierki” i „Rozbark”. Pokłady zalegające pod miastem miały łączną *miąższość* przekraczającą 50 m – były to więc ogromne zasoby, po które mogły sięgnąć już istniejące kopalnie, przy stosunkowo niewielkich inwestycjach. Naczelny Dyrektor Zjednoczenia – inż. Andrzej Smolarski (wybitny inżynier, jeden z autorów znanych „Wykładów dla wyższego dozoru technicznego kopalń”, zorganizowanych w 1948 roku przez Bolesława Krupińskiego)^{12,31} – zaproponował oryginalną koncepcję realizacji tego przedsięwzięcia. Proponował mianowicie, aby zasoby te podzielić między kopalnię „Szombierki” i „Dymitrow” płaszczyzną poziomą – na głębokości 450 m – a nie w sposób tradycyjny, płaszczyzną pionową. Dzięki takiemu podziałowi obydwie kopalnie mogłyby z istniejących poziomów pozyskiwać zasoby *filara* i metodą odpowiedniej koordynacji *frontów wydobywczych* – zmniejszać (*kompensować*) szkodliwy wpływ wybierania pokładów na zabudowę i infrastrukturę miasta.

⁹⁾ Część złoza, w której – aby chronić obiekty na powierzchni – eksploatacja może być prowadzona tylko z zastosowaniem rozwiązań odpowiednio zabezpieczających te obiekty.



Granica eksploatacji – przez kopalnię „Dymitrow” i „Szombierki” – zasobów pokładu 504, w filarze ochronnym miasta Bytom, wyznaczona warstwicą na głębokości 450 m

miesiąc, z wielkim zaangażowaniem. Projekt został dobrze oceniony i zatwierdzony do realizacji. Jednak po kilku latach zwyciężyła tendencja do uciekania od rozwiązań korzystnych, ale wymagających międzykopalnianej koordynacji. Podstawowe rozwiązanie projektu zostało „wycofane”, a filar pod miastem podzielono między kopalnie płaszczyznami pionowymi. W latach 70. zrezygnowano również z przewidzianego projektem stosowania *podsadzki hydraulicznej* – co zakończyło się fatalnym „zrujnowaniem” pięknego miasta.

Opracowany wówczas projekt – jako przykład rozwiązania przygotowanego dla unikalnej eksploatacji pokładów węgla pod miastem tak dużym jak Bytom – został wykorzystany w III tomie podręcznika Bolesława Krupińskiego: „Zasady projektowania kopalń” (byłem współautorem tego tomu)³³⁾. Jednak dla mojej ówczesnej sytuacji – nie sama tylko praca nad projektem okazała się najważniejsza. Najważniejszy był kontakt z profesorem Tadeuszem Czechowiczem, pracownikiem Katedry Górnictwa III w AGH, który zaproponował mi podjęcie starań – za pośrednictwem Katedry – o uzyskanie tzw. aspirantury. Mówiąc najkrócej było to stypendium doktoranckie³⁴⁾, przyznawane przez ówczesne Ministerstwo Szkół Wyższych. Gdy się je uzyskało – aspirant stawał się pracownikiem Katedry i co najważniejsze – na mocy obowiązujących przepisów – uzyskiwał zwolnienie w dotychczasowym zakładzie pracy. Oczywiście propozycję przyjąłem z radością i niezwłocznie – przez Katedrę – przekazałem do Ministerstwa wymagane dokumenty. Tymczasem – po zakończeniu prac Zespołu – w drugiej połowie grudnia wróciłem na dół do swej pracy *nadsztygara*.

³³⁾ Używany wówczas tytuł naukowy *kandydata nauk* (przejęty ze Związku Radzieckiego) był równoznaczny z tytułem doktora.

Koncepcja bardzo mi się podobała – była nowatorska i trafna. Moim zadaniem w powołanym zespole była merytoryczna i organizacyjna koordynacja całości prac. Wymagany zakres projektu był szeroki. Należało zaproponować udostępnienie zasobów, sposób koordynacji *frontów wybierania*, harmonogram eksploatacji pokładów... i oczywiście przeprowadzić analizę ekonomiczną całego przedsięwzięcia. W kilkunastoosobowym zespole pracowaliśmy ponad

Z dniem 1 stycznia 1953 roku zostałem przeszeregowany i awansowany na stanowisko Kierownika Robót Górniczych. Odnośne pismo podpisał dyrektor Spyra. „*Oddech towarzysza Matucha*”, który przed paru miesiącami czulem bardzo blisko na swoich plecach – wyraźnie zelżał. Nadal z uporem „walczyłem” o wykonanie planu produkcji *poła 585 Wchód*, ale też z niecierpliwością czekałem na decyzję Ministerstwa.

Początki aspirantury

Decyzja nadeszła przez Bytomskie Zjednoczenie, w formie krótkiego pisma informującego, że z dniem 1 marca 1953 roku „*został obywatel przekazany do dyspozycji Ministerstwa Szkół Wyższych w Warszawie, gdzie należy się zgłosić*”. Takim właśnie – zupełnie banalnym zwrotem urzędowego pisma – został dokonany zupełnie zasadniczy ZWROT w moim życiu, nie tylko zawodowym.

Ostatnie lata spędzone w *górnym ruchu* kopalni „Dymitrow” były trudnym przeżyciem i ogromnym doświadczeniem – ale do górnictwa mnie nie zraziły! Odwrotnie! Zacząłem lepiej czuć jego olbrzymie POTRZEBY i dość wyraźnie rysującą się chęć wyjścia im naprzeciw. Niemal codzienne borykanie się z trudnościami, które były nicodłą częścią ówczesnej *eksploatacyjnej* rzeczywistości – oraz jakże częste uczucie kompletnej bezradności i bezsilności – wywołały przekonanie, że tych trudności nie da się usunąć nawet *niehuldyckim* wysiłkiem podejmowanym w kopalni; że górnictwu jest nicodzownie potrzebna pomoc idąca z zewnątrz! Najwyraźniej widziałem potrzebę pomocy ze strony przemysłu maszyn, urządzeń i materiałów górniczych, ale wiedziałem, że pomoc ta musi być równocześnie wsparta innowacyjnością NAUKI.

I oto niespodziewanie – w ciągu paru miesięcy – moja życiowa ścieżka skręciła w kierunku nauki. Byłem z tą zmianą jeszcze niezbyt oswojony, ale nie miałem wątpliwości, że mi odpowiada. Wcale nie musiałem zgłaszać się w Ministerstwie Szkół Wyższych w Warszawie. Wystarczył wyjazd do Katedry Górnictwa III. w Krakowie, żeby załatwić wszystkie formalności związane z podjęciem studiów aspiranckich. Zostałem przyjęty bardzo serdecznie – już jako stypendysta Katedry, w której przed trzema laty robiłem pracę dyplomową.

Dowiedziałem się, że dość „chude” stypendium aspiranckie (wówczas około 900 zł) mogę „podreperować” dodatkowym zatrudnieniem w jednostce naukowo-badawczej, ale tylko na pół etatu i w grupie nie wyższej niż VI (około 500 zł). Szybko zdecydowałem się na zatrudnienie w Głównym Instytucie Górnictwa (GIG) w Katowicach, gdzie zostałem przyjęty z dniem 1.03.1953 roku. O Instytucie wiedziałem tylko tyle, że jest to największa jednostka naukowo-badawcza, powołana na Śląsku wiosną 1945 roku, przez

Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego, z inicjatywy Bolesława Krupińskiego. Mój łączny dochód – w nowej sytuacji – był niewiele mniejszy od poborów w kopalni (zwłaszcza, gdy „łądowałem” pod planem), więc środki na utrzymanie nie były problemem. Nadal mieszkalem z Mamą u państwa Szewieczków, bo nowo zatrudniony pracownik GIG nie miał żadnych szans na przydział mieszkania.

Temat pracy doktorskiej miał wyznaczyć profesor Krupiński, który w tym czasie w swojej Katedrze w AGH bywał rzadko. Trzymały go w Warszawie obowiązki Wiceministra – więc po przygotowaniu swoich „kierunkowych” propozycji i uzyskaniu od pani Nory, sekretarki Ministra, informacji o terminie spotkania – pojechałem do Warszawy. Profesor przyjął mnie bardzo przyjaźnie i ciepło. Wysłuchał cierpliwie moich wyobrażeń o temacie pracy. Podkreślałem, że chcę szukać możliwości poprawy bardzo trudnych warunków prowadzenia *ścian zawalowych, do pola* – z którymi zetknąłem się w kopalni „Dymitrow” – zwłaszcza możliwości wyeliminowania zjawiska fatalnego *zaciskania przyscianowych chodników*. Profesor pochwalił moją tendencję do szukania rozwiązań przydatnych w praktyce i skrytykował prace, których wyniki „są nikomu niepotrzebne. Pracę można napisać nawet o tym zielonym listku – tu wskazał na listek jakiegoś kwiatka stojącego na biurku – ale jaka z tego korzyść dla górnictwa? Napiszcie kolego pracę o kierunku eksploatacji *ścian zawalowych*. To jest istotny problem, z którym górnictwo boryka się od dziesięcioleci”.

Byłem zaskoczony prostotą tematu, ale propozycję przyjąłem. W miarę wglębenia się w jego sens i implikacje – podobał mi się coraz bardziej. Katedra, w której była „ulokowana” moja aspirantura nie obciążała mnie w tym czasie żadnymi dodatkowymi zajęciami niezwiązanymi z dysertacją, a promotor pozostawił mi całkowitą swobodę. Także w Instytucie, choć musiałem być w pracy w połowie tej liczby dni, które obowiązywały pełnoetatowych pracowników – czas dojazdu do Katowic mogłem zmieniać i dostosowywać do swych potrzeb. Co istotne – praca nad tematem wyznaczonym przez promotora została włączona do planu prac Instytutu. Także w Instytucie do prac niezwiązanych z tematem byłem w tym czasie angażowany bardzo rzadko i tylko dorywczo. Rzeczywiście – warunki pracy nad tematem doktoratu miałem idealne.

Tak więc zasadniczej zmiany uległ nie tylko kierunek mego zawodowego rozwoju, ale również tryb życia i codziennych zajęć! Skończyła się ciężka i nerwowa harówka – ze zjazdami na najróżniejsze zmiany i z wciąż przedłużanym czasem pracy!! Wróciłem do „normalności” – co oznaczało, że nie zaniedbując pracy nad doktoratem i solidnie nad nim pracując – zacząłem mieć nieporównanie więcej czasu wolnego. Mogłem go już przeznaczyć na spotkania z przyjaciółmi i na inne przyjemności, a nie głównie na odsypianie zarwanych nocy i na „ociężały” odpoczynek po zmęczeniu, które odbierało chęć do czegokolwiek.

Zacząłem częściej spotykać się z Bogdą, którą znałem już dość dawno. Jako ekonomistka po Wyższej Szkole Ekonomicznej pracowała w jednym z działów kopalnianej administracji, jednak dopiero teraz mogłem spędzać z nią więcej czasu. To była świetna dziewczyna, wesoła i zawsze gotowa do współdziałania! Dopiero teraz mój „Royal Enfield” zaczął dawać mi to poczucie swobody i niezależności, za którym tęskniłem, gdy go kupowałem. Popołudniowe wypadki na leśny basen kąpielowy w Rokitnicy koło Bytomia, niedzielne wyprawy do Pyskowic, gdzie można było korzystać z łodzi i żaglówek wypożyczanych w Górniczym Ośrodku Wodnym... wycieczki w Beskidy, gdzie dodatkową atrakcją były umawiane z Tadeuszem spotkania u państwa Kwaśnych, na „górcę”... itp. Nie brakowało nam ani ochoty, ani pomysłów na coraz częstsze spotkania i wycieczki.

W tym czasie Tadeusz współpracował już ze Sławkiem, który szukając sposobu na utrzymanie rodziny – bez formalnego zatrudnienia w jakimś zakładzie pracy – stał się producentem proszku dentystycznego do plombowania zębów. Choć miał za sobą tylko początki studiów na Wydziale Chemii Politechniki Łódzkiej – zbudował w swym mieszkaniu we Wrocławiu – własnej konstrukcji – dużą instalację, ze szklanych *kolb*, *parowników*, *chłodnic*... i rurek. Wytwarzał na niej proszek, który na „głodnym” rynku cieszył się dużym wzięciem. Sławek był producentem, a Tadeusz dystrybutorem. Nowym odbiorcom zostawiał bezpłatne próbki proszku, z zachętą do sprawdzenia jego jakości. Tak pozyskiwał stałych klientów – którzy odbierając umówioną partię wskazywali termin kolejnej dostawy. Tym sposobem Sławek mógł dostosowywać wielkości produkcji do zapotrzebowania, a Tadeusz mógł układać najbardziej racjonalną marszrutę docierania do klientów. Ta nigdzie nierejestrowana „spółka” dwóch ukrywających się AK-owców funkcjonowała przez ponad dwa lata, zapewniając im zupełnie znośne środki na utrzymanie – bez jakiegokolwiek „oficjalnego” zatrudnienia.

W styczniu 1954 roku – po III plenum KC PZPR (21–24.01.1954 r.) – warunki życia i pracy tej „spółki” znacznie się poprawiły. Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zostało skrytykowane za „przypadki łamania praworzędności” i rozwiązane. Gomułka wyszedł z więzienia. Rygory, które sobie narzucali i Sławek i Tadeusz – jako „obywatelom nielegalnym” – teraz znacznie złagodzili. W czasie Świąt Wielkanocy 1954 roku zorganizowaliśmy rodzinne spotkanie, na którym „fetowaliśmy” uroczyste zbliżanie się



Z Bogdą podczas wypadu „nad wodę”
– do Pyskowic (lato 1953 r.)



Rodzinne spotkanie w 1954 roku – już w czasie „odwilży” z ukrywającymi się braćmi: Sławek, ja i Tadeusz – wszyscy w „dobrych humorach”

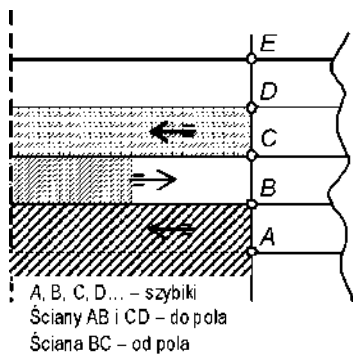
oczekiwanej wielkiej ZMIANY. Jednak nadal dominowała nieufność. Tadeusz zgłosił się w prokuraturze w Łodzi i powrócił do legalnego życia dopiero 31 grudnia 1955 roku. Sławek ujawnił się w IV Departamencie Generalnej Prokuratury dopiero 15 maja 1956 roku. Przestał być Janem Sławomirem Lasowskim i wrócił do legalnego życia z dwiema „nielegalnymi” córkami. Majka urodziła się w grudniu 1952 roku, a Elżbieta w marcu 1954 roku. Także im musiał zmienić fałszywe nazwiska... a sam wrócił na przerwane studia w Politechnice Łódzkiej.

Mnie tymczasem – kolejne miesiące 1953 roku, wypełniała głównie analiza

literatury dotyczącej tematu pracy doktorskiej oraz przygotowywanie publikacji, w których „dyskontowałem” doświadczenia wyniesione z kopalni „Dymitrow”. Lansowałem mianowicie *wahadłowy* sposób prowadzenia ścian zawałowych znamieną możliwością całkowitej eliminacji chodników dwustronnie otoczonych zrobami³⁶⁾. Właśnie te chodniki – z niemożnością utrzymania w nich sprawnego transportu – były dobrze zapamiętaną zgorą mojej niedawnej pracy w górniczym dozorze. Bardzo cieszyłem się ze swoich pierwszych publikacji! Ukazały się w Przeglądzie Górniczym, najstarszym naukowo-technicznym miesięczniku polskiego górnictwa, w którym swe pierwsze prace (w okresie międzywojennym) publikowali również profesorowie Budryk i Krupiński. Nie spodziewałem się wówczas, że w 1968 roku zostaną powołani na redaktora działowego tego szacownego czasopisma i będę funkcjonował w nim jeszcze po 2000 roku.



Sławek po ujawnieniu, jako student Politechniki Łódzkiej



Schemat wahadłowego systemu eksploatacji ścianami zawałowymi

Późną jesienią wiedziałem już, co chcę zawrzeć w tezie doktorskiej dysertacji i jak mam przeprowadzić jej dowód. Najtrudniejszą składową dowodu było wykonanie pomiarów *wysokości zawału*, który

występuje w ścianach zawałowych Górnośląskiego Zagłębia Węglowego. Chodziło mi o pomiarowe określenie grubości warstw stropowych, które w prowadzonych ścianach tracą ciągłość geometryczną i przechodzą w zawał chaotyczny. Z wcześniejszych niemal codziennych obserwacji ścian w kopalni „Dymitrow” wiedziałem, że wysokość tego zawału – wbrew ówczesnej



W październiku 2003 roku „Przegląd Górniczy” obchodził 100-lecie służby polskiemu górnictwu. Kolegium Redakcyjne: L. Pluta, W. Konopko, ja, B. Szklarska (sekretarz) J. Malara (przewodniczący) E. Ragus (zastępca) W. Szuszcik

wiedzy „podręcznikowej” – nie jest duża. Podejrzywałem, że to właśnie mała wysokość zawału – a ściślej mała grubość warstwy skalnego druzgotu (powstającej w wyniku przejścia warstw skalnych w zawał chaotyczny) – powoduje dużą koncentrację ciśnienia w strefie chodników chronionych sześciometrowymi pasami szczelnej podsadzki (układanymi wzdłuż chodnika za jego obudową). Sądziłem, że właśnie wypiętrzenie pasów podsadzki ponad – otaczającą chodnik – cienką warstwę skalnego druzgotu powoduje ich zaciskanie.

Zaplanowałem przeprowadzenie pomiarów w około stu ścianach w kilkunastu kopalniach, w różnych rejonach Górnośląskiego Zagłębia. W owym czasie tego rodzaju badanie trzeba było wykonywać zwykłą stalową taśmą pomiarową i dokumentować ręcznie wykonanym szkicem. O filmie czy choćby fotografii nie mogłem nawet marzyć, bo wykonywanie zdjęć na dole – ze względu na zagrożenie wybuchem metanu – wymagało niedostępnego wówczas sprzętu i specjalnych uprawnień. Procedura uzgadniania z poszczególnymi kopalniami terminu zjazdu zawsze zajmowała sporo czasu – co powodowało, że dni zajęte pomiarami przeplatały się ze sporą liczbą dni wolnych od zjazdu. Znaczną część tego czasu zużywałem na gromadzenie i analizę wskaźników charakteryzujących pracochłonność i koszt utrzymania chodników obsługujących ściany zawałowe prowadzone do pola (pozostających w jednostronnym i dwustronnym otoczeniu zrobów). W tym czasie pojawiły się jednak również inne zainteresowania i zajęcia.

Poszerzanie zainteresowań i aktywności

Rozpatrując przyczyny ogromnych trudności, które musieliśmy pokonywać w kopalni „Dymitrow”, aby zapewnić niezbędny przekrój chodników utrzymywanych w otoczeniu zrobów zawalowych – nie można było nie zauważyć, że w kopalniach stosujących podsadzkę hydrauliczną ten problem w ogóle nie występował. Wypełnienie mało ściśliwym piaskiem przestrzeni po pozyskanym węglu zapewniało chodnikom zakładanym w tej przestrzeni zupełnie „znośne” warunki utrzymania. Przypominałem sobie praktykę wakacyjną w kopalni „Paryż” (str. 254) i choć praca doktorska kierowała uwagę w zupełnie inną stronę – zacząłem coraz częściej wracać myślą do poczynionych wówczas obserwacji. Sprzyjały temu rozmowy z Jurkiem Wyszomirskim, zatrudnionym w Pracowni Podsadzki Hydraulicznej GIG, który tak jak ja, dojeżdżał pociągiem z Bytomia do Katowic.

Opowiadałem mu o instalacji podsadzkowej dla kopalni „Dymitrow”, która według przewidywań Biura Projektów miała umożliwić eksploatację pokładów pod miastem Bytom. Krytykowałem pomysł, aby nadmiar energii potencjalnej występujący w tej instalacji, likwidować bądź tzw. *przeładką*³⁷⁾, bądź *dławieniem przepływu* specjalnym odcinkiem rurociągu o zwężonej średnicy. Jurek opowiadał o pracach organizowanych w Pracowni. Właśnie te rozmowy i dyskusje prowadzone w pociągu, a później stopniowo przenoszone również na „czas służbowy” – doprowadziły do nawiązania naszej bliskiej współpracy i przyjaźni. Jurek był młodszy ode mnie i wiekiem i datą dyplomu (1952) – więc w sposób naturalny stałem się liderem tego „tandemu”.

W tym czasie dojrzał pogląd, który opublikowałem w swoim czwartym artykule³⁷⁾. Bardzo wyraźnie manifestowałem w nim poszerzenie swoich zainteresowań na technologię podsadzki hydraulicznej. Na „rozwinętym sztandarze podsadzkowego neofity” wypisałem cel: *„Osiągnięcie pełnego wykorzystania rurociągów podsadzkowych”*, co miało się wyrażać *„racjonalną i celową... ściśle kalkulowaną gospodarką energią potencjalną mieszaniny podsadzkowej opuszczanej rurociągami”*. Twierdziłem odważnie, że *„z ogromnymi inwestycjami w udostępnianie kopalniom podsadzki hydraulicznej^{**} nie idzie w parze postęp w dziedzinie projektowania i eksploatacji nowych urządzeń podsadzkowych”*, i że *„stosowanie podsadzki hydraulicznej nie powinno hamować postępu przodków eksploatacyjnych”³⁷⁾*.

Przypominając ten „manifest” zainteresowania podsadzką hydrauliczną zdałem sobie sprawę, że realizacji zarysowanych wówczas celów poświęci-

³⁷⁾ Pomocniczy lej podsadzkowy instalowany w szybie na znacznej głębokości, zmniejszający wysokość hydraulicznego naporu mieszaniny transportowanej rurociągiem podsadzkowym.

^{***)} Przemysł węglowy budował wówczas na obrzeżach Pustyni Błędowskiej, tzw. *centralną piaskownicę* (odkrywkową kopalnię piasku podsadzkowego) i *magistralę piaskową* – specjalną sieć linii kolejowych, które łączyły ją z kopalniami.

lem znaczną część swego zawodowego zaangażowania i badawczego wysiłku. Przez ponad 50 lat „walczyłem” o postęp w technologii podszadzki hydraulicznej i dopominałem się o jej szerokie stosowanie – niestety ze skutkiem „mizernym”! Do tej zadziwiającej „historii” jeszcze powrócę.

Gdzieś pod koniec 1953 roku profesor Krupiński – w porozumieniu z Komitetem Górnictwa Polskiej Akademii Nauk oraz Naczelną Organizacją Techniczną – rozpoczął organizację dużego Zjazdu Górniczego pod hasłem „Drogi postępu w Górnictwie”. Zostałem powołany na sekretarza tego Zjazdu i obciążony obowiązkiem prowadzenia Sekcji Referatowej. Wraz z drugim sekretarzem, odpowiedzialnym za Sekcję Ogólnoorganizacyjną – wszedłem w skład Komitetu Wykonawczego, który pod przewodnictwem profesora Krupińskiego miał przygotować w następnym roku trzydniowe obrady Zjazdu. Wówczas było to dla mnie ogromne wyzwanie i równocześnie świetna „szkola” pracy organizacyjnej nad przedsięwzięciem o randze krajowej i rządowej. Wprawdzie profesor Krupiński był już w tym czasie zwolniony z funkcji Podsekretarza Stanu w Ministerstwie Górnictwa jednak – dzięki swemu autorytetowi – potrafił wciągnąć do prac nad referatami najlepszych specjalistów ze środowisk nauki i przemysłu. „Dyskusje wstępne przeprowadzone zostały (...) na trzynastu specjalnych konferencjach, w których wzięło udział przeszło pięćuset uczestników”¹²⁴⁾. W efekcie powstało 61 referatów, które w wydawnictwie pozjazdowym ukazały się w formie dwóch opasłych tomów – każdy o objętości ponad 800 stron¹²⁴⁾.

Do prezentacji na obradach Zjazdu, Komitet Wykonawczy wytypował 21 referatów określonych jako *zasadnicze* (I tom). Zgodnie z ówczesną praktyką ich tekst miał być udostępniony uczestnikom obrad w formie „roboczego” wydawnictwa powielaczowego. Uparłem się jednak, że trzeba je wydać „porządnie” – nie na powielaczu, a drukiem – w postaci odrębnych „zeszycików” i rozdać przed obradami w ładnych teczках. Drukarnia emitująca w Katowicach codzienną prasę dała się wciągnąć do współpracy, więc realizacja tego trochę „ryzykownego” przedsięwzięcia przebiegała sprawnie. Trudność wystąpiła niemal w ostatniej chwili, gdy warszawska cenzura zakwestionowała mapkę w referacie profesora Krupińskiego, ilustrującą rozmieszczenie *filarów ochronnych* w Gómośląskim Zagłębiu Węglowym. Dopiero w przeddzień otwarcia Zjazdu, późnym popołudniem, odebrałem na lotnisku w Pyrzowicach tekst dopuszczony przez cenzurę. Wiele nocnych godzin – wraz z kolegami z GIG, których zmobilizowałem do pomocy – spędziłem w drukarni, oczekując na „zeczerskie złożenie” i wydrukowanie ostatniego referatu, ale nad ranem mieliśmy już kilkaset teczek z kompletem referatów.

Zjazd odbył się w sali Pałacu Młodzieży w Katowicach – wówczas w Stalinogrodzie – w dniach 20–22 maja 1954 roku. W otwarciu wziął udział V Premier i równocześnie Minister Górnictwa Piotr Jaroszewicz. Przybyło

oczywiście wielu rządowych „oficjeli” i partyjnych „bonzów”. Upamiętnił mi się katowicki sekretarz PZPR, towarzysz Trzcionka, który w salce za kulisami sali obrad, bardzo natarczywie domagał się od profesora Krupińskiego zgody na większe „upartyjnienie” obrad, co miało wyrażać się jego otwierającym wystąpieniem jako „gospodarza terenu”. Krupiński był mocno zdenerwowany, ale mimo długich nalegań – odmówił. Na sali wypełnionej do ostatniego miejsca, było wielu prominentnych reprezentantów nauki i kadry zarządzającej całym polskim górnictwem. Bardzo „progórniczne” wystąpienie profesora Krupińskiego otwierającego Zjazd, oraz przychylnie górnictwu wystąpienia Wiceprezesa PAN profesora Wierzbickiego i Wicepremiera Jaroszewicza – zrobiły na mnie duże wrażenie. Pierwszy raz „ocierałem się” o tak wielu ludzi, którzy byli tak wysoko postawieni w hierarchii ówczesnych władz politycznych i gospodarczych kraju. Wielu spośród tych, którzy pisali referaty poznałem osobiście już wcześniej – co łącznie z kontaktami w czasie obrad bardzo poszerzyło moją znajomość ludzi i organizacji ówczesnego polskiego górnictwa – ukierunkowanego wyraźnie na dynamiczny rozwój.

Wkrótce po Zjeździe – w czerwcu 1954 roku – zostałem włączony do innego przedsięwzięcia organizowanego przez profesora Krupińskiego i jego katedrę na AGH. Była to wycieczka zapoznawcza do dużych zakładów polskiego przemysłu górniczego – organizowana dla młodych pracowników naukowo-dydaktycznych katedr górnich oraz dla absolwentów, którzy chcieli specjalizować się w przedmiotach prowadzonych w Katedrze. Wycieczki te były dla „dojrzewających” inżynierów swoistą „instytucją” i całym „uniwersytetem” polskiej gospodarki i jej powiązań z górnictwem. Program obejmował od 10 do 15 obiektów, takich jak: wspomniana już centralna *odkrywka piasku podsadzkowego* i magistrala kolejowa łącząca tę *odkrywkę* z kopalniami Górniośląskiego Zagłębia Węglowego, Rybnicki Okręg Węglowy, kopalnie i koksownie Zagłębia Wałbrzyskiego, kopalnie odkrywkowe węgla brunatnego w Turosszowie i Koninie, kamieniołomy granitu w Strzegomiu, kopalnia pirytów i obróbka marmurów w Górach Świętokrzyskich, Częstochowskie Zagłębie Rud Żelaza, Elektrownia Jaworzno, Cementownia Iwiny i inne. Później doszły: Legnicko-Głogowski Okręg Miedziowy, tamobrzeska siarka, Olkuskie Zagłębie Cynku i Ołowiu i dalsze wielkie inwestycje polskiego górnictwa oraz galęzi przemysłu przetwarzającego nasze własne surowce.

Profesor Krupiński osobiście obmyślał trasy, „otwierał zamknięte bramy i kiesy” zakładów, organizował najlepszych specjalistów i wysoko postawionych dyrektorów do oprowadzania wycieczki i wygłaszania prelekcji. Widział w tych wycieczkach skuteczny sposób „wzniechania” młodzieży w górnictwo – ale nie tylko. Dbal również o krajoznawcze i kulturowe walory tych wypraw „w Polskę”. Zwiedzenie po drodze Paczkowa, Gór Stolowych czy klasztoru na Świętym Krzyżu... uważał za równie istotne jak

zapoznanie się z kolejną kopalnią czy zakładem przemysłowym. Mój udział w owej „*ni to wycieczce, ni to pogłądowej lekcji wielkości górnictwa i jego roli w rozwoju Kraju*” – wspominam jako jedno z najbardziej wyrazistych przeżyć okresu aspirantury.

Rozdroża i rozterki

Po Zjeździe i studenckiej „wyprawie w Polskę” – zaczęła mnie ponosić swoboda i silniejsza niż kiedykolwiek gotowość korzystania z pojawiających się możliwości rozrywki czy przygody. Jeszcze nie tak dawne uczucie niepewności i zagrożenia, które towarzyszyło mi w ostatnim okresie pracy w kopalni – zastąpiła tendencja do „ochoczego” sięgania po „uroki życia”. Tendencji tej sprzyjała niewątpliwie ta okoliczność, że jako aspirant w pełni dysponowałem swoim czasem, a jako tylko póletatowy pracownik instytutu badawczego, w którym z naturalnych względów formalna dyscyplina była dość luźna – umiałem wygospodarować sporo czasu na życiowe przyjemności. Właściwie dopiero teraz – po raz pierwszy od czasów akademickich – pozwoliłem sobie na prawdziwe, długie wakacje.

W minionym roku „stuknąłem trzydziestkę” i czułem, że Mama miała rację, gdy z tej okazji spytała mnie delikatnie „*synku czy nie czas żebyś się ożenił?*” Coraz więcej czasu spędzałem z Bogdą. To było autentyczne uczucie – niewątpliwie pierwsze tak silne. Czas z nią spędzany był prawdziwym darem losu! Bardzo nas zbliżyły wspólne motocyklowe wypadki „w plener”: do Ojcowa, w Beskid Żywiecki... w Jurę. Do dziś mam w pamięci wycieczkę na Dolny Śląsk, szlakiem piastowskich Zamków, którą „zafundowaliśmy” sobie w czasie Jej urlopu – latem 1954 roku. Zamek Bolków z „lochem głodowym”, zamki: Grodno, Chojnik, Gryf... – to były niezapomniane wrażenia. W tym czasie poznałem bardzo miłych rodziców Bogdy, ale na małżeństwo wciąż nie umiałem się zdecydować.

Instytut oprócz kontaktów zawodowych zapewniał też duże możliwości kontaktów koleżeńskich i towarzyskich. Zacząłem je poszerzać głównie w gronie członków GIG-owskiego Koła PTTK. Dobrze pamiętam wyprawę w Góry Świętokrzyskie i pierwsze przejście ich głównym grzbietem z Łysicy na Święty Krzyż. Pamiętam też ciekawą wycieczkę na Mazury – jak się okazało – pełną niespodzianek. Po rejsie statkiem



To wówczas poznałem urok Gór Świętokrzyskich i unikalny klasztor na Świętym Krzyżu (1954 r.)

z Elbląga do Ostródy – słynnym kanałem z pochylniami, którymi statki są przemieszczane po ładzie – kapaliśmy się w jeziorze. Przy samym brzegu pechowo nadepnąłem na dno rozbitej butelki i fatalnie zranilem śródstopie. Wycieczkę zakończyłem w ostródzkim Szpitalu, gdzie założono mi liczne szwy i przez trzy dni kazano leżeć w łóżku. Wówczas odwiedziła mnie, mieszkająca w Ostródzie, córka Wilhelma Skawińskiego, któremu – jak wspominałem – Dziadek przekazał na Kresach swój rodowy folwark Bogudzięki (str. 6). Dopiero wówczas ją poznałem, gdyż Rodzice – w wyniku przedwojennego zatargu z jej mężem, adwokatem Sopoćką – nie utrzymywały z nią kontaktu. Byliśmy cioteczным rodzeństwem, ale była ode mnie starsza chyba o ponad 20 lat – co mnie bardzo zdziwiło. Po kilku dniach – na własne żądanie wyszedłem ze szpitala i już nigdy się z nią nie spotkałem.

Wykorzystując dawne znajomości – jakoś wczesną jesienią – wziąłem udział w szkoleniowym rejsie żeglarskim na Mazurach organizowanym przez Bytomskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego. „Armada” złożona z trójmasztowej, sześciuosobowej „krypy” i trzech dwuosobowych żaglówek typu „Omega” – pod komendą starego kapitana jachtowego – buszowała po Wielkich Mazurskich Jeziorach przez 10 dni. To był wesoły rejs, z załogą nie tylko męską. Jednak żeglarstwo – tak jak bojery – nigdy mnie nie wciągnęło. Zdobyty wówczas stopień żeglarza – okazał się nieprzydatny. Po raz drugi wziąłem udział w rejsie żeglarskim dopiero po trzydziestu latach, gdy syn – jako sternik prowadził pięknego „Maka”, ale o tym opowiem później.

Lato i wczesna jesień – wypełnione niedzielnymi i urlopowymi atrakcjami – szybko minęły. Skończył się nastrój wielkich wakacji – wróciłem do pracy – ale nadal byłem na „wznoszącej fali życia”. Poszerzenie zainteresowań o problemy technologii podsadzki hydraulicznej i zaangażowanie w przedsięwzięcia organizowane przez mego promotora – spowolniło tempo prac nad doktoratem, ale ich nie przerwało. Final był coraz bliżej. Zakończyłem już opracowywanie części literaturowej oraz znacznie zaawansowałem analizę danych statystycznych i częściowo pomiarowych. Zaczęłem opracowywać w szczegółach niektóre rozdziały i załączniki, a końcową treść pracy zacząłem widzieć zupełnie wyraźnie. Teraz najwięcej wysiłku musiałem skupić na pomiarach, gdyż do zaplanowanej setki udokumentowanych pomiarów wysokości zawalu w ścianach – wciąż było daleko.

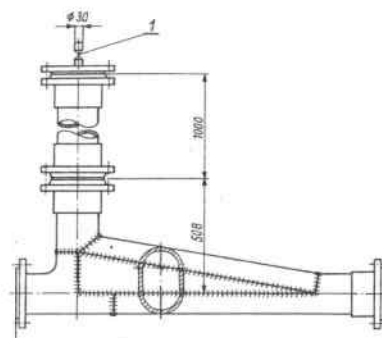
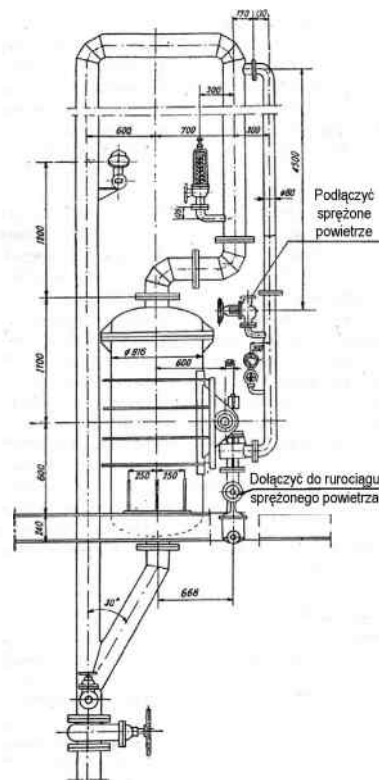
Równocześnie z pracami nad doktoratem – wspólnie z Jurkiem Wyszomirskim nadal „drażyliśmy” problem lepszego wykorzystania potencjalnej energii mieszaniny podsadzkiowej^{*)} transportowanej rurociągiem w podziemnych kopalni. W tym czasie podobała się nam myśl podana przez profesora

^{*)} W owym czasie w kopalniach stosowano mieszaninę, w której na 1 m³ piasku przypadło przeważnie 2–3 i więcej m³ wody, przy czym ilość mieszaniny podawanej do rurociągu była niewielka, co powodowało porywanie ogromnej ilości powietrza oraz związany z tym, nierównomierny przepływ mieszaniny, a w konsekwencji częste zatykanie rurociągów.

Budryka, aby energię, która nie jest zużywana na transport mieszaniny – pozyskiwać z rurociągu w postaci sprężonego powietrza. Opracowaliśmy bardzo prostą konstrukcję *odpowietrzacza* (tak ją nazwaliśmy) oraz bardziej skomplikowaną: *separatora sprężonego powietrza z rurociągu podsadzkowego*. W Zakładzie Budowy Urządzeń i Aparatury Doświadczalnej GIG, uruchomiliśmy wykonanie prototypów tych urządzeń.

Równocześnie rozpatrywaliśmy inne możliwości zagospodarowania nadmiaru energii i w tej kwestii nawiązaliśmy współpracę z Marianem Słomczyńskim – kolegą z mego roku studiów w AGH i „partnerem” w uzyskaniu wspomnianego już dyplomu „Przodującego studenta”. Maniek (tak go nazywaliśmy), który w tym czasie specjalizował się w technologiach *wzbogacania*^{*)} węgla koksowego – zaproponował instalowanie na wylocie rurociągu podsadzkowego – *hydrocyklonów* – do odwadniania mieszaniny. Takie zastosowanie tego nadzwyczaj prostego urządzenia mogłoby umożliwić odprowadzanie rurociągiem wody podsadzkowej z *przodka ścianowego* oraz – w przypadku podsadzania piaskiem o dużej zawartości *frakcji pylastej* – ułatwić osadzanie materiału za tamą podsadzkową^{**)}. Także ten pomysł skierowaliśmy na tor eksperymentalnego sprawdzenia jego atrakcyjności.

Od 1 grudnia 1954 roku zostałem przez prorektora Politechniki Śląskiej w Gliwicach „powołany do pracy w charakterze wykładowcy i prowadzącego ćwiczenia” – w wymiarze 3 godziny wykładów i 7 godzin ćwiczeń”. Sprawcą tego powołania był profesor Krupiński, który w tym czasie rozpoczynał wykłady na Wydziale Górniczym Politechniki z przedmiotu: *Zasady projektowania kopalń*. Spytał mnie czy zechcę mu pomagać w Gliwicach. Oczywiście chętnie się zgodziłem. Wydział Górniczy dopiero od niedawna się organizował, więc Politechnice bardzo zależało na wykładach takiego



Doświadczalna konstrukcja „odpowietrzacza” i zamontowanego nad nim „separatora sprężonego powietrza” z rurociągów podsadzkowych; zainstalowana w kopalni „Chorzów”

^{*)} Tak określa się proces eliminacji skały płonnej z urobku węglowego.

^{**)} Materiał podsadzkowy dostarczany z powierzchni rurociągiem do przodka lokuje się za tzw. tamą podsadzkową, stawianą w przodku z drewna i specjalnego płótna.

autorytetu jak profesor Krupiński. Przy tym kierunek: *projektowanie kopalń* otwierany przez Profesora – był wyjątkowo atrakcyjny. Na Śląsku wyraźnie nasilał się rozległy proces rekonstrukcji oraz budowy kopalń. Inżynierowie przygotowani do prac projektowych byli pilnie potrzebni.

Moje obowiązki polegały na *asystowaniu* Profesorowi, gdy prowadził wykłady i zastępowaniu go, gdy nie mógł dojechać z Krakowa czy Warszawy, gdzie mieszkał. Oczywiście prowadzenie ćwiczeń należało do mnie. Programy zarówno wykładów, jak i ćwiczeń były ściśle wzorowane na doświadczeniach AGH, co bardzo ułatwiało sytuację, gdy musiałem zastępować Profesora. W zasadzie rozwiązywało też problem prowadzenia ćwiczeń, bo nie musiałem „niczego wymyślać”. Sluchaczami byli studenci ostatniego roku – na kierunku, który wybrali – byli więc wyraźnie zainteresowani wykładanym przedmiotem. Był to nieliczny, ale wyjątkowo „dobry rocznik”, z którego w następnych latach wyrosło kilku wybitnych inżynierów tej specjalności. Jeden z nich – Józef Paździora – był później dyrektorem GIG (i moim szefem), a drugi – Eugeniusz Ciszak – został w latach dziewięćdziesiątych katowickim wojewodą. Zarówno wykład, jak i ćwiczenia były skumulowane w jednym dniu, więc nowe obowiązki nie dezorganizowały mi dotychczasowego programu zajęć. Stanowiły oczywiście spore obciążenie, ale na szczęście, dawały też dużo satysfakcji.

W maju 1955 roku Bogda uczestniczyła w kursie narciarskim w schronisku na Ormaku. Umówiłem się z nią, że po zakończeniu kursu, zrobimy parodniowy wypad do schronisk w Dolinie Roztoki i Pięciu Stawów Polskich. Byłem też umówiony z kolegą ze studiów, Januszem Karwackim, na narciarskie „położenie” po Tatrach – już nie zimowych, ale wciąż przykrytych śniegiem. Janusz był urodzonym Zakopianczykiem i świetnym narciarzem, a ja, choć nie raz zjeżdżałem z Kasprowego – byłem raczej „zielony”. Z letnich wypraw znalazłem już dość dobrze polską część Tatr i zaglądałem też na stronę słowacką. Wspaniałe było przejście z Kasprowego przez słowacki Ciemnosmrencyński Bór na Gładką Przelęcz i do Morskiego Oka. Nie gorsze przejście z Morskiego Oka na Rysy, zejście do słowackich Hińczowych Stawów i powrót do Morskiego przez przelęcz pod Chłopkiem. Pamięć o tych letnich przejściach „wzmagała apetyt” na zmianę „optyki” i zajrzenie w tamte rejony Tatr na nartach „wyposażonych w *foki*”¹⁾, które na minioną gwiazdkę dostałem od „Tadziowej” Janki jako pamiątkę po jej nieżyjącym Bracie.

Kiedy okazało się, że Bogda nie ma „papierka” uprawniającego do przebywania w schroniskach tamtej części Tatr – rozezarowanie było ogromne. Czulem, że powinienem zrezygnować z wypraw zaplanowanych z Januszem i wspólnie z Bogdą jakoś inaczej zagospodarować najbliższe dni. Ale egoizm zwyciężył – a może bezmyślność czy głupota? Rozżalona i obrażona Bogda

¹⁾ Pasy przypinane do dolnej powierzchni nart, pokryte krótką (jakby foczą) szczecinią, która nie hamując zjazdu, zapobiega cofaniu się nart w czasie podchodzenia na zbiecze.

wróciła do pracy, a ja – zły na siebie – realizowałem program wyprawy z Januszem. Zoję – swoją żonę wraz z naszymi plecakami – Janusz wystawił saniami do schroniska w Roztoce, a my chcieliśmy do niej dotrzeć na nartach. Mieliliśmy ruszyć z Kasprowego Wierchu, zjechać do Doliny Gąsienicowej, aby mijając Murowaniec oraz okrążając Żółtą Turnię i Wołoszyn, przez Polanę Waksmundzką zjechać do Roztoki.

Rano kolejka na Kasprowy była nieczynna ze względu na silny wiatr. Wyjechaliśmy dopiero w południe. Pogoda zrobiła się piękna, więc mimo opóźnienia postanowiliśmy realizować plan. Zjazd z Kasprowego był świetny, ale dalszy marsz nieprzetartym szlakiem – trudny. Pod Żółtą Turnią zrobiliśmy krótki odpoczynek. Słońce było już nisko. Zjedliśmy nasze kanapki, a Janusz częstował suszonymi śliwkami z cukrem. Jedliśmy je ze śniegiem jako lody. Gdy dotarliśmy na Polanę Waksmundzką, nad głowami wisiało wspaniałe wygwieżdżone niebo. Dalej szlak do Roztoki prowadził przeważnie lasem, było więc ciemno i przy tym miejscami stromo. Janusz dawał sobie świetnie radę, ale ja byłem „biedny”. Wylałem mnóstwo potu. Gdy dopiero koło godziny 22 dotarliśmy do schroniska, wypilem chyba więcej niż dwa litry herbaty i *wrzętku*⁴³ z sokiem.

Następnego dnia Zoja nie czuła się dobrze. Janusz zdecydował, że zostanie z nią, a ja mam iść sam doliną Roztoki. Następnego dnia także oni dotrą do schroniska. Trasa była częściowo bez śniegu i trzeba było iść „na butach”, ale Dolina Pięciu Stawów tonęła w śniegu. Gdyby nie majowe słońce, pękające niemilosiernie – można by myśleć, że to środek zimy. Tu *foki* okazały się prawdziwie przydatne. Dwa dni „buszowałem” po dolinie, paradując w „masce” zrobionej z ręcznika. Dopiero drugiego dnia przyszedł Janusz. Zoja – wciąż trochę chora – miała następnego dnia czekać na nas w Morskim Oku. Trzeci dzień wypełniło więc piękne przejście przez Świstówkę na spotkanie z Zoją oraz przejazd do Zakopanego. Tu panowała pełna wiosna, ale na przedłużenie pobytu nie było szans. Jeszcze tego samego dnia dotarłem do Bytomia, gdzie Mama czekała z niepokojem.

Do pracy wróciłem „wewnętrznie struty” sprawą Bogdy. Fala pogoni za „urokami życia”, która dopadła mnie w czasie minionych wakacji już się cofnęła. Jednak czemuś nie potrafiłem



Tylko „maska” ratowała od poparzeń, które widziałem w schronisku u nieostrożnych warszawiaków (1955 r.)

⁴³ Gotowanej wody.



Odpozynek na Świstówce (1955 r.)

zadbać o uczucie, które przecież było autentyczne. Czy bezmyślność znów była silniejsza, czy może rzeczywiście był w tym jakiś rodzaj egoizmu? Z ogromnym zaangażowaniem pogrążyłem się w pracy. Dysertacja wraz z pomiarami – realizowanymi z trudnościami, ale też z uporem – nadal była priorytetem. Eksperymentalne zastosowanie *odpowietrzaczy* rurociągów podsadzkowych w kopalni „Chorzów” i *hydrocyklonów* – głównie w kopalni „Knurów” – też pochłaniało mnóstwo czasu i wysiłku. W istocie było to u aspiranta zaangażowanie „nadprogramowe”, ale wspólna publikacja, którą przygotowywałem z Jurkiem Wyszomirskim i Marianem Słomczyńskim – poświęcona „Problemom rozwoju podsadzki płynnej” – wydawała mi się wówczas najważniejsza³⁸). Bardzo napięty bilans czasu prac, które sobie narzucałem – domykały zajęcia na Politechnice. Znów uczestniczyłem w wycieczce szlakiem największych zakładów polskiego górnictwa i przemysłu, którą profesor Krupiński zorganizował dla gliwickich studentów, dołączając ich do studentów AGH. Nawet po rozpoczęciu przerwy wakacyjnej, obowiązki na Politechnice wciąż mnie „doganiały”.

Zły los

26 lipca 1955 roku jechałem motocyklem do kopalni „Rydułtowy”, gdzie kolega Palka – technik współpracujący ze mną w GIG – przygotował pomiary w kolejnej ścianie Rybnickiego Zjednoczenia Węglowego. Po drodze miałem wstąpić w Gliwicach na Politechnikę. Paru studentów miało przekazać mi zaległe projekty, aby uzyskać zaliczenie programu ćwiczeń, bez którego Dziekanat nie wydawał skierowań na praktykę dyplomową. Był piękny ranek. W połowie drogi między Mikołowem a Gliwicami zatrzymałem się na chwilę na mostku, nad niewielkim ciekim wodnym biegnącym przez olszynowy zagajnik. Przetarłem motocyklowe okulary. Po chwili jechałem dalej ... i to wówczas, nagle „urwał się film” mojej świadomości i pamięci. Na krótką chwilę odzyskałem przytomność, gdy z przydrożnego rowu przenoszono mnie do karetki Pogotowia. Zobaczyłem znany mi drewniany kościółek przy drodze, którą jechałem i zauważyłem swoje prawe podudzie zakrwawione i jakoś dziwnie zwisające. Do podnoszących mnie sanitariuszy zdążyłem powiedzieć „Nie godzę się na amputację” i znów straciłem przytomność.

Odzyskałem ją dopiero następnego dnia w pooperacyjnej sali gliwickiego szpitala. Lekarz stojący przy łóżku informował rzeczowo: „Otwarte

złamanie prawego podudzia zostało zabezpieczone kinczerm i jest w gipsie. Tu nie powinno być komplikacji. Niestety lewe kolano uległo wewnętrznemu złamaniu i z nim na razie nic nie dało się zrobić. Ramię prawej ręki jest złamane, ale bez komplikacji – jest w gipsie. Ma pan też złamane trzy żebra i przeżył pan wstrząs mózgu. Stan ogólny nie jest zły”. Wszystko, co mówił lekarz – może nie dosłownie tymi słowami – rozumiałem bardzo dobrze. O dziwo – informacje te nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Byłem rozbity, ale pod działaniem środków znieczulających i nie czułem się źle.

Jeszcze tego samego dnia w szpitalu pojawił się Tadeusz. Po rozmowie z lekarzem powiedział mi, że w lewym kolanie został przerwany krwiociąg i są przerwane nerwy – co grozi amputacją. Dopiero teraz ogarnęła mnie groza. Byłem przerażony, jak nigdy przedtem. Wcześniejsza informacja lekarza o „wewnętrznym złamaniu kolana” – nie wydawała mi się groźna. Bałem się raczej o prawe podudzie, które widziałem w złym stanie, przy przenoszeniu do karetki. Tadeusz spytał, czy chcę żeby załatwił mi przeniesienie do Rybnika, gdzie ordynatorem jest dr Juszek znany na Śląsku chirurg ortopeda, który może zdoła uratować nogę. Przy tym jest jego kolegą z Wileńskiego Uniwersytetu, co zapewni mi „protekcijną” opiekę.

Zgodziłem się i jeszcze tego samego dnia znalazłem się na oddziale dr. Juszki. Farmakologiczna walka o uruchomienie krwiociągu w kolanie i podudziu trwała 30 godzin. Operacyjne szycie arterii i nerwów w 1955 roku – w prowincjonalnym szpitalu – nie było brane pod uwagę i nie wiem czy w takim przypadku było możliwe nawet w Warszawie. W trzecim dniu po wypadku martwica objęła całe podudzie i kolano. Dr Juszek przekonywał, że dłuższe zwlekanie grozi albo bardzo wysoką amputacją, która uniemożliwi korzystanie z protezy, albo pewną śmiercią. To była decyzja najtrudniejsza z najtrudniejszych.

Podpisałem zgodę na amputację połowy uda! Miałem wówczas 32 lata, 9 miesięcy i 10 dni.

Zły los rozprawił się ze mną brutalnie. Muszę mu przyznać, że był dość bliski pełnego sukcesu. Że nie dałem się złamać – w dużym stopniu zawdzięczam Tadeuszowi, który parę dni po operacji, gdy byłem jeszcze w fatalnym stanie, przyniósł mi zamieszczone obok zdjęcie, z krótką prasową informacją. W moim ówczesnym stanie psychicznym, to zdjęcie i notatka podziałały jak zaklęcie potężnego szamana odganiającego złe duchy zwątpienia i beznadziejności. Zacząłem powoli odzyskiwać wiarę w siebie i podjąłem walkę



Wycinek prasowy przekazany mi przez Tadeusza po amputacji

o powrót do NORMALNEGO ŻYCIA. Ta walka na „froncie fizjologii” – prowadzona przez medycynę – trwała prawie trzy lata i o niej opowiem możliwie najkrócej. O walce na „froncie psychiki”, toczonej wówczas i nie wiem czy kiedykolwiek zakończonej – wspieranej przez najbliższych – będę się starał nie mówić.

W rybnickim szpitalu pozostałem dziewięć miesięcy. Po kilkunastu pierwszych dniach – z przesłuchań, które przeprowadziła ze mną milicja – dowiedziałem się, że drogę zajęła mi ciężarówka wyprzedzająca inną, jadącą pod niewielkie wzniesienie. Zaskoczony zablokowaniem drogi usiłowałem przejechać między ciężarówkami... i wówczas nastąpiła katastrofa. Młody kierowca, który był sprawcą wypadku – został później skazany na rok i siedem miesięcy więzienia. Jego Matka – biedna zapłakana kobiecina – odwiedziła mnie w szpitalu i przepraszała w imieniu swoim i syna. Mimo informacji o okolicznościach wypadku – w mojej pamięci nigdy nie odtworzył się żaden obraz wyjaśniający jego przebieg. W pamięci pozostała czarna dziura.

Opiekę w szpitalu miałem rzeczywiście bardzo dobrą. „Zrastałem się normalnie”: najpierw zebrał: później ręka (trochę krzywo, ale dała się wyprostować), później amputowane udo (poddawane kilku operacjom „korekcyjnym”). Podudzie zrastało się najdłużej, ale z początkiem maja 1956 roku, już z krótkim gipsem na podudziu zacząłem w domu rehabilitację kolana, stopy i mięśni, których stan po tylu miesiącach unieruchomienia był fatalny (zesztywnienie stawów i zanik mięśni). W tym czasie mieszkalem już z Mamą w Katowicach, gdzie Główny Instytut Górnictwa załatwił mi przydział malego, ale wygodnego mieszkania niedaleko od Instytutu (2 pokoje z kuchnią, 36 m²). Niestety 30 maja został stwierdzony brak zrostu goleniowej kości podudzia i powstanie tzw. stawu rzekomego. Profesor Krupiński – który gdy dowiedział się o wypadku odwiedzał mnie wielokrotnie – załatwił dalsze leczenie w Klinice Uniwersyteckiej w Warszawie, gdzie profesor Gruca dokonał przeszczepu wiórków kostnych z miednicy do podudzia. Znowu nastąpiło unieruchomienie całej kończyny... przez pięć tygodni w szpitalu i przez dalszych sześć miesięcy w domu (z comiesięcznym dojazdem do Warszawy na zmianę gipsu). W grudniu 1956 roku kolano zostało uwolnione z gipsu, a w kwietniu 1957 roku również podudzie i stopa. Ich stan po tym ponownym unieruchomieniu (łącznie: kolano 16, a stopa 19 miesięcy) – był gorzej niż fatalny. Wystąpiło też ogólne zwiócenie mięśni i osłabienie organizmu w wyniku blisko dwuletniego unieruchomienia.

Po czterech miesiącach intensywnej rehabilitacji stan nogi i ogólna kondycja umożliwiały już samodzielne poruszanie się na prowizorycznej protezie wykonanej w Katowicach. Dzięki staraniom Głównego Instytutu Górnictwa – Ministerstwo Górnictwa zgodziło się sfinansować wykonanie w firmie Hanger w Londynie, dwóch protez „lepszego klasy” (jedna proteza rezerwowa), umożliwiających zjazd w podziemia kopalń.

Po dwóch tygodniach pobytu w Londynie (20.09.1957 r.) – w wyniku fatalnego potknięcia na schodach – zrost kości goleniowej podudzia został zerwany. Nastąpił okres sześciomiesięcznego leczenia zachowawczego (długi gips) w szpitalu New End Hospital w Londynie. Szpital opuściłem 3 kwietnia 1958 roku, ale nadal byłem dowożony przez angielską Służbę Zdrowia do Ośrodka Rehabilitacyjnego i do protezowni Hangera. W tym czasie mieszkalem u Dzidki (Wandy), córki stryja Wiktora (patrz foto na str. 8 i 32), która z wojskiem generała Andersa wydostała się z Kazachstanu do Persji, a po wojnie zamieszkała w Londynie. Zaopatrzony w dwie protezy – do kraju przyleciałem 12 maja 1958 roku. Ponieważ jednak w tym czasie w Brukseli trwała Światowa Wystawa, załatwiłem w bilecie lotniczym do Warszawy trzydniową przerwę i zwidziłem ją „po drodze”.

Świetna obsługa Wystawy udostępniła mi pokój w prywatnym mieszkaniu miłych Belgów, w sąsiedztwie terenów wystawowych. Prawie pełne trzy dni zwidzałem pawilony różnych krajów i ekspozycje o najróżniejszych tematyce od wnętrz nowoczesnego budownictwa, przez wyposażenie najróżniejszych gałęzi przemysłu... do dzieł sztuki. Byłem oszołomiony! Pobyt w Londynie, który w okresie rehabilitacji trochę zwidzałem – oswoił mnie z rzeczywistością Zachodu. Ale to, co oglądało się tutaj przyprawiało nie tylko mnie o „zawrót głowy”. Jako najwyrazistsze wspomnienie z tych dni pozostała mi w pamięci rzeźba kozy (naturalnej wielkości) wykonana w brązie przez słynnego Picassa. Stała na „wolnym powietrzu” i była „jak żywa”. Przepaść między naturalizmem tej rzeźby a abstrakcyjnymi obrazami tego artysty – oglądanymi wewnątrz pawilonu – była zadziwiająca.

Następnego dnia po powrocie zgłosiłem się do pracy w GIG – przerwanej 26 lipca 1955 roku. Nieobecność chorobowa trwała 3 lata bez 2 miesięcy. Dalsze zabiegi rehabilitacyjne były prowadzone już w czasie pracy, pod opieką Szpitala Miejskiego w Rybniku i w Reptach.



Pielęgniarka Oddziałowa w szpitalu w Londynie



„Planetarium” – symbol Światowej Wystawy w Brukseli – robiło duże wrażenie



Hanka Mazurkiewiczowa podczas posiedzenia Rady Naukowej (1968 r.). Za stołem obrad siedzą profesorowie K. Dziunikowski i B. Neyman

Ta relacja o „drodze”, którą przebyłem, aby wrócić do pracy – nie byłaby prawdziwa, gdybym nie wskazał na ogromną pomoc okazaną mi – zwłaszcza w sprawie „zaprotestowania” przez Główny Instytut Górniczo-Hutniczy „Motorem napędzającym” tę pomoc była Hanka Mazurkiewiczowa – w Powstaniu Warszawskim „Czarna Hanka” – która obdarzyła mnie w tym czasie serdeczną przyjaźnią. Była sekretarzem Rady Naukowej GIG i „prawą ręką” Przewodniczącego Rady profesora Krupińskiego, o którym kiedyś powiedziała bardzo celnie: „nie musi wchodzić dwa razy żeby go zauważono”. Z racji swej funkcji współpracowała też bezpośrednio z Naczelnym

Dyrektorem GIG profesorem Marcinem Boreckim i jego zastępcą docentem Konradem Meissnerem. To ona – porozumiewając się ze mną – przygotowywała pisma do Ministra Górniczo-Hutniczego i Energetyki, do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, do Zarządu Przemysłu Ortopedycznego... i wielu innych urzędów, aby pokonać biurokratyczne bariery i uzyskać niezbędne pozwolenia na wykonanie protezy za granicą (najpierw była rozpatrywana w Szwecji później Niemcy i wreszcie Londyn)... na jej finansowanie... na wyjazd. Gdyby zabrakło tych przygotowań i podpisów Dyrektorów Instytutu – moje szanse na powrót do NORMALNOŚCI byłyby nieporównanie mniejsze – co podkreślałam z serdeczną wdzięcznością.

Czas spędzony w „reżimie szpitalnym” był trudny do wykorzystania inaczej niż na czytanie literatury i prasy lub... słuchanie radia. W londyńskim szpitalu uczyłem się języka angielskiego – zupełnie „od zera”. W tym, bardzo pomocny okazał się Hindus, długo leżący na sąsiednim łóżku, a później pan Markiewicz – prawnik znacznie starszy ode mnie – Polak mieszkający od czasu wojny w Londynie. Głównie dzięki nim i oczywiście zorganizowanym słownikom i podręcznikom – gdy wychodziłem ze szpitala – porozumiewałem się z Anglikami całkiem swobodnie. Nigdy nie była to angielszczyzna w pełni poprawna. Nie zdobyłem się niestety na zorganizowaną naukę... i nie przejmowałem się popełnianymi błędami.

W domu natomiast – w okresach rehabilitacji – wracałem z zaangażowaniem do prac prowadzonych przed wypadkiem. Niewielkim przerywnikiem w tych pracach były cotygodniowe spotkania brydżowe – najczęściej z udziałem kolegów z GIG: Jurka Wyszomirskiego, Zygmunta Faleckiego i Bronka Zyski – uświetniane „kolacyjką” podawaną nam przez Mamę. To w tym

czasie przygotowałem część wspomnianego już podręcznika opracowanego wspólnie z profesorem Krupińskim i wydanego w Katowicach w 1958 roku³³⁾. W tym czasie – nadal współpracując blisko z Jurkiem Wyszymirskim – przygotowałem też dwie publikacje o wynikach uzyskanych w pracach „nad unowocześnieniem podszadzki płynnej”^{12, 37)} oraz cztery dalsze publikacje (1957 r.), w których lansowałem usprawnienia w technologii podziemnej eksploatacji złóż (przekonanie o celowości tych usprawnień wyniosłem z obserwacji poczynionych w kopalni „Dymitrow”).

Najważniejszym efektem zaangażowania w tym czasie w pracę zawodową – która stanowiła też główny punkt w programie powrotu do NORMALNOŚCI – było oczywiście zakończenie pracy doktorskiej. Plan udokumentowania wysokości zawału w 100 ścianach – nie został wykonany. Musiałem poprzestać na 84 przypadkach, jednak zbiór ten okazał się wystarczający do wyciągania uzasadnionych wniosków. Przygotowany dowód tezy był oparty na obszernym materiale statystycznym i pomiarowym, a jej merytoryczna zawartość miała cechy oryginalności. Do wpływu wyników tej pracy na kopalnianą rzeczywistość, jeszcze powrócę.

Dysertacja⁴¹⁾ uzyskała dwie pozytywne recenzje profesorów Romana Dykacza i Antoniego Salustowicza. Obrona doktorskiej rozprawy – przeprowadzona w auli Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, pełnej nauczycieli akademickich i studenterii – była wielkim przeżyciem. Uchwałą Rady Wydziału Górniczego Akademii Górniczo-Hutniczej – podjętą 11 czerwca 1958 roku i zatwierdzoną później przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną – został mi przyznany stopień naukowy doktora (kandydata) nauk technicznych. Tym sposobem proces mego „wżeniania w górnictwo” – zapoczątkowany przez profesora Krupińskiego w roku 1948 na pierwszym wykładzie przedmiotu Górnictwo III – został w zasadzie zakończony.

* * *

Mówię „w zasadzie”, bo już jako wypromowany doktor – dość swobodnie posługujący się językiem angielskim, niemieckim i rosyjskim – zostałem przez Profesora włączony do prac, które prowadził od ponad roku, aby we wrześniu 1958 roku mógł się odbyć w Warszawie I Międzynarodowy Kongres Górniczy. Do prac tych przywiązywał ogromną wagę! Idea Międzynarodowych Kongresów – w ujęciu profesora Krupińskiego – obejmowała nie tylko same obrady specjalistów, poświęcone wybranej tematyce, lecz także pracę Międzynarodowego Komitetu Organizacyjnego (IOC)⁴²⁾. Komitet miał skupiać wybitnych przedstawicieli światowego górnictwa. Przy tym miało to być grono ludzi dobrej woli – grono przyjaciół zaangażowanych w działalność na rzecz międzynarodowego zbliżenia i współpracy – wbrew „żelaznej

⁴¹⁾ International Organizing Committee – od 1974 r. przekształcił się w Komitet organizujący Światowe Kongresy Górnicze. Wieloletnim Sekretarzem Komitetu był Mieczysław Najbery.¹⁰³⁾

kurtynie”. Z tego względu, spotkania Komitetu Organizacyjnego – poprzedzające sam Kongres – były przez Profesora planowane bardzo starannie jako „wydarzenia uroczyste”.

Jako Przewodniczący Państwowej Rady Górnictwa – podporządkowanej bezpośrednio Premierowi – organizował je w atrakcyjnych ośrodkach Urzędu Rady Ministrów, w świetnych warunkach, między innymi w pałacyku prezydenta Mościckiego w Wiśle. Pamiętam pierwszych członków Międzynarodowego Komitetu – profesorów: J.T. Whettona z W. Brytanii, G. Fettweisa z Austrii, A.W. Dokukina z Moskwy, S. Boshkova z USA... Wszyscy byli ludźmi wysokiej kultury – przeważnie przyjeżdżali z żonami i odnosili się do siebie przyjaźnie. Profesor Krupiński jako gospodarz tych spotkań był niezrównanym organizatorem nie tylko pracy, lecz także odpoczynku i rekreacji; (panie miały zawsze odrębny program). Wiem, że ten styl pracy Komitetu Organizacyjnego był podtrzymywany również przez wiele następnych lat, gdy kolejne Kongresy odbywały się w innych krajach, a ja byłem już tylko incydentalnie angażowany do pomocy w jego pracach.

Upamiętniło mi się jedno z tych późniejszych spotkań w Petersburgu (wówczas Leningradzie), w słynnym Górnicznym Instytucie. Przed pierwszą wojną światową studiował w nim profesor Krupiński – był więc z tej racji przyjmowany ze szczególnymi honorami. Pokazano nam wówczas zamkniętą część zbiorów mineralogicznych Instytutu, gromadzonych od czasów Carycy Katarzyny, która kazała wszystkie mineralogiczne okazy o wyjątkowej wartości – znajdujące na terenach Imperium – przekazywać do tego zbioru. Uroda niektórych okazów była zupełnie bajkowa. Jednak największe wrażenie zrobił na mnie *samorodek złota* wazący 18 kg – wyglądający zupełnie „niepozornie”.

Na kilka Kongresów przygotowywałem referaty i chętnie brałem w nich udział. Ranga, którą umiał im nadać profesor Krupiński – wraz z Komitetem Organizacyjnym (IOC) – owocowała nie tylko licznymi referatami i dużą liczbą uczestników, lecz także atrakcyjnością. Liczba uczestników utrzymywała się przeważnie w granicach 1000–2000, ale w rzeczywistości była większa ze względu na towarzyszące Kongresom ogromne wystawy maszyn i urządzeń górniczych. Władze państw goszczących Kongresy urządzały z reguły uroczyste przyjęcia dla ich uczestników. W Londynie (1965) oprócz przyjęcia zorganizowanego przez Rodzinę Królewską, Mer Londynu w swoim City Hall urządził wspaniały bankiet dla 2500 kongresowych gości. W Moskwie (1967) przyjęcie dla uczestników Kongresu odbyło się na Kremlu. Rumunia – organizująca Kongres w 1972 roku – „nie chciała być gorsza”. Był to niestety ostatni Kongres z udziałem profesora Krupińskiego.

Kongres w Limie (1975) był znamienny serdecznością, z jaką wspomniano tam profesora Krupińskiego (rok przed śmiercią rozpoczął jego organizację). Również przychylnością gospodarzy okazywaną polskiej delegacji

pod przewodnictwem Wiceministra Jerzego Malary. Obrady kongresu odbywały się w wielu sesjach, którym przewodniczyli również członkowie polskiej delegacji. Stół prezydyalny z tabliczką *Presidencia Polonia* – obok wiceprzewodniczących z Francji, Korei i Peru (foto poniżej) nie był czymś wyjątkowym.

Pamiętna była też uroda Limy i raczej rozczarowująca „egzotyka” corridy, którą oglądałem pierwszy raz w życiu.



Profesor Krupiński – ostatni raz przewodniczył obradom na VII Kongresie w Bukareszcie (1972 r.). Rozmawia z profesorami: Aleksandrem Osuchem, Romanem Bromowiczem i ze mną



Jedna z sesji obrad VIII Kongresu w Limie pod polskim przewodnictwem



Piękna Lima – miasto VIII Światowego Kongresu Górniczego

Czymś zupełnie nieprzewidzianym były dwie turystyczne wyprawy członków polskiej delegacji – zorganizowane w dwóch małych grupach. Jedna – mieszcząca się w osobowym samochodzie przyjaznego „polonusa” z Limy – prowadziła

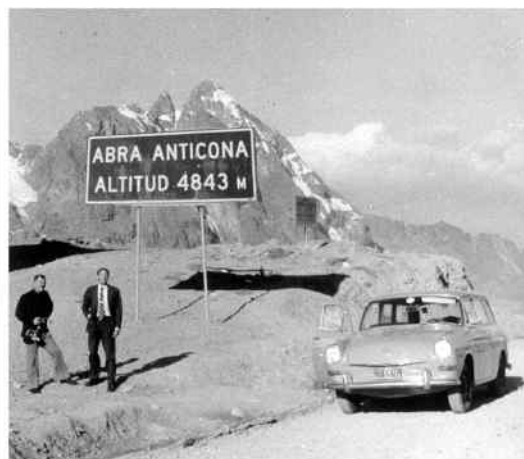


Corrida w Limie – nie podzielałem entuzjazmu „tubylców”

wzdłuż słynnej kolei zbudowanej przez inżyniera Malinowskiego na andyjską przełęcz – przejście do Amazonii. Druga – nieco liczniejsza – samolotem do Cuzco i dalej koleją do Machu Picchu, ostatniej stolicy Inków. Oglądane tam świadectwa kultury – tego niegdyś świetnego imperium – nie dają się z niczym porównać!



Most na linii kolejowej zbudowanej w Andach przez inżyniera Malinowskiego



Po drugiej stronie przełęczy – źródła Amazonki



Ruiny twierdzy Inków w Cuzco



Makczu Pikezu (Machu Picchu)

W sumie z wrażeniem, które zrobiły na mnie zaskakująco wyraźne, tajemnicze znaki i wzory widziane z samolotu na pustyni Nazca – Kongres w Limie zapisał się w mojej pamięci jako najpełniejsza realizacja zasady lansowanej przez profesora Krupińskiego, aby poznając górnictwo krajów organizujących Kongresy, poznawać również ich kulturę i zabytki.

Jak wspomniałem we wstępie do tego rozdziału – w 2008 roku – Światowy Kongres znów został zorganizowany w Polsce. Między I i XXI Kongresem odbyło się blisko 90 spotkań Komitetu Organizacyjnego (IOC) i 19 Kongresów w różnych krajach, w tym: 13 w Europie, 2 w Ameryce Północnej (USA i Meksyk), 1 w Ameryce Południowej (Peru) i 3 w Azji (Chiny, Indie, Iran)¹⁰⁵¹. Idea, którą kreował profesor Krupiński w epoce „żelaznej kurtyny” – okazała się trwała.

Dla mnie Kongresy były jeszcze jednym ze sposobów, którymi profesor Krupiński „wżeniał” mnie w górnictwo, natomiast dla światowej społeczności górniczej stały się niewątpliwie unikalnym forum współpracy na rzecz międzynarodowego zbliżenia oraz cywilizacyjnego rozwoju naszego „coraz mniejszego globu”.



To zdjęcie pustyni Nazca zrobiłem przez okienko samolotu

9. POD „WŁADZĄ” BADAWCZYCH PASJI

Kolejne pobyty w szpitalu i okresy rehabilitacji były głównie czasem walki o powrót do czynnego życia. Choć potrafiłem wypełnić go pracą nad dysertacją i publikowaniem doświadczeń wyniesionych z kopalni „Dymitrow” – był to niewątpliwie czas trudny. Gdy minął i w końcu zacząłem dość normalnie funkcjonować – rozpoczął się w moim życiu okres pracy niezwykle intensywnej. Może „*narkotyzowałem się pracą*” – jak kiedyś profesor Krupiński – a może po prostu dałem się porwać naturalnej atrakcyjności pracy badawczej? Tak czy inaczej, przeżyłem wówczas okres (1958–1974), w którym – jak już nigdy później – byłem pod „władzą” badawczych pasji.

Muszę o nich opowiedzieć, bo odegrały w moim życiu ogromną rolę. Niektórymi z problemów wówczas zauważonych i opracowywanych – zajmowałem się jeszcze w pierwszej dekadzie XXI wieku. Zresztą te pasje – sumując się z urozmaiceniem, które niósł udział w ciekawych spotkaniach grup ekspertów lub udział w naukowych konferencjach i kongresach – dodawały życiu swoistej URODY. Niestety – ta URODA była okupiona pracą zupełnie „*nielimitowaną*”. W popołudniowych godzinach dni roboczych pozostawało w tym okresie niewiele czasu na rozrywkę i „dom”.

Na szczęście, gdy pojawiał się czas wolny – urlop czy święta – umiałem oderwać się od pracy i poświęcać go bez reszty na przyjemności. Z niedzielami było różnie, ale większość była wolna od „pracy GIG-owskiej” – może z wyłączeniem wieczorów. Nigdy nie byłem „groszorem” i nie „gonilem” za dodatkową „płatną robotą”. To co zarabiałem w GIG (i trochę zajęciami na uczelniach – do śmierci profesora Krupińskiego w 1972 r.) wystarczało mi „na życie” i na zagospodarowanie wolnego czasu w sposób, który mi odpowiadał. Ten czas był bardzo ważnym i znaczącym dopełnieniem URODY ŻYCIA pod „władzą” badawczych pasji, więc o nim także opowiem.

Pasje badawcze, które mnie wówczas pochłaniały – prezentuję w odrębnych podrozdziałach. Dopiero na końcu rozdziału relacjonuję ważniejsze wydarzenia z życia prywatnego i rodzinnego. Gdybym zachował czasową „współbieżność” relacji o pracy zawodowej i o czasie od niej wolnym – wówczas wątek zawodowy stałby się bardziej skomplikowany i jeszcze trudniej zrozumiały. Podkreślę, że choć życie prywatne często bywało spychane na dalszy plan – to jednak ono przesądzało o „kolorystyce” całości.

Czy naukowe pasje i zawodowa codzienność, którą żyłem – przysłańiały mi to, co działo się wówczas w bliższym i dalszym otoczeniu? Otóż muszę się przyznać, że w znacznym stopniu – tak. Śledziłem owszem, co dzieje się w Kraju – bo często dyskutowałem o tym w domu i z Tadeuszem. Także z przyjaciółmi – w czasie towarzyskich spotkań – i oczywiście z Kolegami

w GIG. Jednak te „zewnętrzne” wydarzenia „dotykały” mnie bardzo powierzchownie. Kolejne plena i zjazdy PZPR, rocznice powstania PRL (zawsze obchodzone przez władzę z wielką „pompą”) czy przeważnie pozorne zmiany składu sejmu i rządu – dokonywane po wyborach z obowiązkowym udziałem obywateli – mijaly niemal niezauważenie. Jako wydarzenie wyjątkowe wspominam list episkopatu Polski z 18 listopada 1965 roku do episkopatu Niemiec ze słynnym: „*Udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie*”. Do Niemców miałem tak wiele „zapiętych” pretensji, że długo nie umiałem się zdecydować czy jestem z episkopatem – jak moja Mama – czy z PRL-owską władzą, która ten list zaciekle piętnowała.

Tak zwane „wydarzenia marcowe” z 1968 roku – w *nurcie antysemitycznym* – upamiętniły mi się głównie odejściem z górnictwa czterech prominentnych dyrektorów władających inwestycjami (Rózański), centralnym zbytem węgla (Apt), centralnym zaopatrzeniem górnictwa (Herszderfer) oraz planowaniem w górnictwie (Najer). Przyznaję się, że nie byłem tymi zmianami zasmucony – choć pozytywnie oceniałem udział dyrektora Najera w Naukowo-Technicznej Radzie RWPG ds. Ekonomiki i Organizacji Górnictwa Węglowego (gdzie go parę razy obserwowałem). Cenilem też jego poparcie dla prac prowadzonych w GIG – nad usprawnieniem planowania w górnictwie.

Pamiętnym przeżyciem była niewątpliwie wizyta Kanclerza W. Brandta w Polsce (6–8 grudnia 1970 roku) i potwierdzenie uznania przez Niemcy granicy na Odrze i Nysie. W rodzinnych i towarzyskich dyskusjach – jak zawsze – pojawiały się wątpliwości „*czy można Niemcom wierzyć*”, jednak godziliśmy się, że „*jest jakiś postęp*”. Fatalnie przeżyłem natomiast zajścia, które kilka dni później, miały miejsce na wybrzeżu (14–19 grudnia). Informacje podawane przez „Wolną Europę”, że zginęło tam 40 ludzi, a kilkuset zostało rannych – były porażające. Wciąż nie lubilem tej radiostacji za jej jednostronność – jednak wówczas częściej niż zwykle pojawiałem się u Tadeusza, żeby dyskutować te wieści. Wstrząs był tym większy, że – nie włączając się w bieżącą politykę i mało się nią interesując – czemuś wierzyłem, że po październiku 1956 roku, PRL „*jakoś pomalu zbliży się do normalności*”. Rynkowa „odwilż” rozpoczęta przez Gierka nie zmieniła tych odczuć. Te nadzieje po grudniowych wydarzeniach zostały pogrzebane na wiele lat.

W piętnastoleciu (1958–1974), które wypełniły mi badawcze pasje – świat był nadal dwubiegunowy. Trwało „*przeciąganie liny*” i nie było wyraźniejszej przewagi żadnej ze stron. W styczniu 1959 roku Fidel Castro wkroczył do Hawany. W maju 1961 r. proklamował Socjalistyczną Republikę a w październiku 1962 roku – pozwalając na zainstalowanie na Kubie sowieckich rakiet – doprowadził świat na krawędź wojny nuklearnej. W polowie 1960 roku, większość dawnych europejskich kolonii – zwłaszcza w Afryce – proklamowało niepodległość, a we wrześniu te nowe państwa zostały przyjęte do ONZ. Także we wrześniu 1962 roku dołączyła do nich

Algierska Republika Ludowo-Demokratyczna. 22 listopada 1963 roku w Dallas zginął w zamachu J.F. Kennedy. W październiku 1964 roku w ZSSR rozpoczęła się era L. Breżniewa. W styczniu 1965 roku lotnictwo USA przeprowadziło bombardowanie północnego Wietnamu, co rozpoczęło wojnę zakończoną dopiero 27 stycznia 1973 roku. W czerwcu 1966 roku w Chinach rozpoczęła się, tzw. rewolucja kulturalna, ale już w październiku 1971 roku Chińska Republika Ludowa została przyjęta do ONZ i otrzymała miejsce w Radzie Bezpieczeństwa. W czerwcu 1976 roku Izrael wygrał, tzw. wojnę sześciodniową z Egiptem, Irakiem, Jordanią i Syrią – umacniając swoją pozycję na Bliskim Wschodzie. W sierpniu 1968 roku wojska Układu Warszawskiego interweniowały w Czechosłowacji i zlikwidowały reformy zapoczątkowane przez Dubčeka. W styczniu 1973 roku Dania, Irlandia i W. Brytania przystąpiły do EWG. W grudniu 1974 roku, w Związku Radzieckim mieszkańcy wsi otrzymali prawo wjazdu do miast bez zezwolenia – co jak na to „państwo ludu pracującego” było olbrzymim osiągnięciem¹⁷⁾.

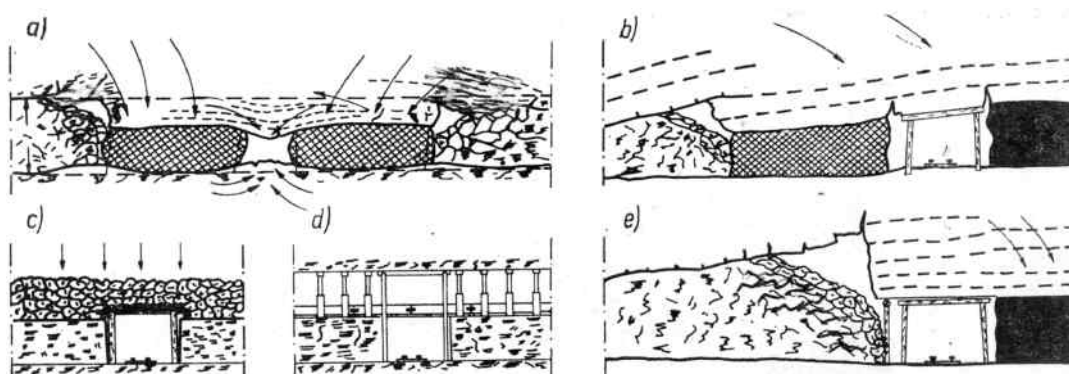
Wydarzenia, które wybrałem do tego krótkiego kalendarium ilustrują „przeciąganie liny”, ale i „kliniec” występujący między sowiecką satrapią a Zachodem. Moje zainteresowanie tymi wydarzeniami i przemianami zachodzącymi w „wielkim świecie” było niewielkie. To, co Tadeusz nazywał „górnictwym zacządem” – było autentycznym zaangażowaniem i badawczą pasją o wyjątkowej skali.

Praca doktorska i jej pokłosie

Problem wskazany mi przez profesora Krupińskiego do rozpatrzenia w pracy doktorskiej okazał się bardzo szeroki. Decyzję przesądzającą o kierunku prowadzenia ścian, którą trzeba ostatecznie podjąć, gdy pokład został już udostępniony strukturalnymi wyrobiskami – szybami i *przekopami* horyzontalnymi – jest brzemienista rozległymi skutkami. W przypadku eksploatacji *do pola*, chodniki obsługujące przodki ścianowe drażnią się równocześnie ze ścianami, co oznacza, że drogi transportu urobku i materiałów wydłużają się wraz z postępem przodków i trzeba je utrzymać w jednostronnym lub dwustronnym otoczeniu zrobów. Przyjmując kierunek *od pola*, najpierw drażnią się w pokładzie chodniki i dopiero, gdy zostają nimi osiągnięte granice *pola górnictwego* – są uruchamiane przodki wydobywcze. Oznacza to, że wprawdzie w tym drugim przypadku czas utrzymania chodników obsługujących przodki jest dłuższy, ale gdy przodki ścianowe ruszają, ich drogi odstawy urobku i transportu materiałów ulegają skróceniu, a chodniki są przez większość czasu utrzymywane w całkowitej.

W dysertacji zająłem się głównie wyjaśnieniem przyczyn wywołujących skrajnie trudne warunki utrzymania chodników w jednostronnym i dwustronnym otoczeniu zrobów oraz określeniem wpływu tych warunków na produktywność

(ton/zmianę i dobę) i pracochłonność (dniówek/tonę produkcji) prowadzonej eksploatacji. Zaproponowałem też chodniki *wglębne* (tak je nazwałem) jako alternatywę dla stosowanego wówczas sposobu zakładania chodników w rozpatrywanej eksploatacji *do pola*. Techniczną istotę tego rozwiązania wyjaśniam szkicem, który ilustruje zasadę funkcjonowania chodników *wglębnych*. Szkic „dokumentuje” równocześnie moje pierwsze niepowodzenie, które poniosłem w podejmowanych pracach badawczych – zmierzających do usprawnienia pracy kopalń. Podobnych niepowodzeń było później znacznie więcej, ale to pierwsze było szczególnie dotkliwe.



Szkice a) i b) ilustrują warunki utrzymania chodników chronionych pasami podsadzki. Szkice c) i d) przedstawiają chodnik *wglębny* w strefie odprężonej oraz w fazie „przejściowej” przed zawaleniem stropu; e) chodnik na skraju calizny bez pasa podsadzki

Uważałem wówczas i nadal zachowuję to przekonanie, że moja propozycja była racjonalna i perspektywiczna. Chodnik utrzymywany na skraju calizny, gdy od strony zrobów zawałowych *krótki odcinek stropu* zostaje zabezpieczony sztywnym podparciem i wysokim przerwaniem warstw stropowych (na szkicu sytuacja e) będzie zawsze łatwiejszy do utrzymania niż chodnik zabezpieczony tradycyjnym sześciometrowym pasem ściśliwej podsadzki, na którym strop się ugina (b). Podobnie, chodnik *wglębny* (c) – przeniesiony do odprężonych warstw skalnych spągu – będzie zawsze nieporównanie mniej narażony na zaciskanie niż chodnik tradycyjny w dwustronnym otoczeniu zrobów, zabezpieczony „wypiętrzonymi” pasami podsadzki, skupiającymi na sobie ciśnienie górotworu (a). Zakładając chodniki nie na skraju ściany prowadzonej *do pola*, a z ich przesunięciem w kierunku środka ściany – można całkowicie wyeliminować chodniki utrzymywane na skraju calizny i obsługiwać ściany tylko chodnikami *wglębnymi*.

Rozwój techniki górniczej i strategia rozwoju górnictwa przyjęta przez jego władze poszły jednak takim torem, że do eksperymentalnego sprawdzenia tak zaprojektowanego usprawnienia nigdy nie doszło. W kopalniach pojawiło się wyposażenie mechanizacyjne, które umożliwiało osiągnięcie dużych

i bardzo dużych dobowych postępów w chodnikach drążonych w całości pokładów – co zachęcało do eksploatacji *od pola*. Pojawiła się też stalowa obudowa lukowa o dużej podporności i dużym przekroju, zapewniająca chodnikom zadowalającą przepustowość nawet po znacznym zaciśnięciu ich pierwotnego przekroju. System prowadzenia ścian zawałowych *do pola* był więc z kopalń stopniowo wycofywany – co w praktyce uniemożliwiło eksperymentalną weryfikację skuteczności proponowanej technologii. Mimo opracowania i opublikowania w 1961 roku dość szczegółowych rozwiązań wskazujących sposób zastosowania chodników wglębnych w dwuwarstwowej, zawałowej eksploatacji grubych pokładów (ok. 4–6 m)⁴⁾ – nie zdołałem zainteresować tą technologią ówczesnych decydentów. Również późniejsze próby zainteresowania nią – podejmowane jeszcze w 2001 roku – nie były skuteczne⁸⁾.

Sądzę, że dopiero w drugiej dekadzie XXI wieku, gdy drastycznie wzrosło zagrożenie tapaniami (występują głównie w chodnikach drążonych w całości i nasilają się wraz z głębokością eksploatacji) – decydenci będą zmuszeni sięgnąć po możliwość wskazaną przed ponad pół wiekiem. Eksploatacja *do pola* z zastosowaniem chodników wglębnych w zasadzie eliminuje konieczność prowadzenia chodników przygotowujących do eksploatacji pokład w *polu górnym* – a właśnie w tych przygotowawczych chodnikach zagrożenie tapaniami jest największe. Do wykorzystania tej możliwości będzie zachęcać również szansa zmniejszenia kosztu robót związanych z drążeniem i utrzymaniem chodników przygotowujących eksploatację *od pola*. Koszt ten – przy aktualnie stosowanym systemie wykonywania robót przygotowawczych – stanowi niemal połowę całkowitych kosztów węgla kamiennego pozyskiwanego w polskich kopalniach.

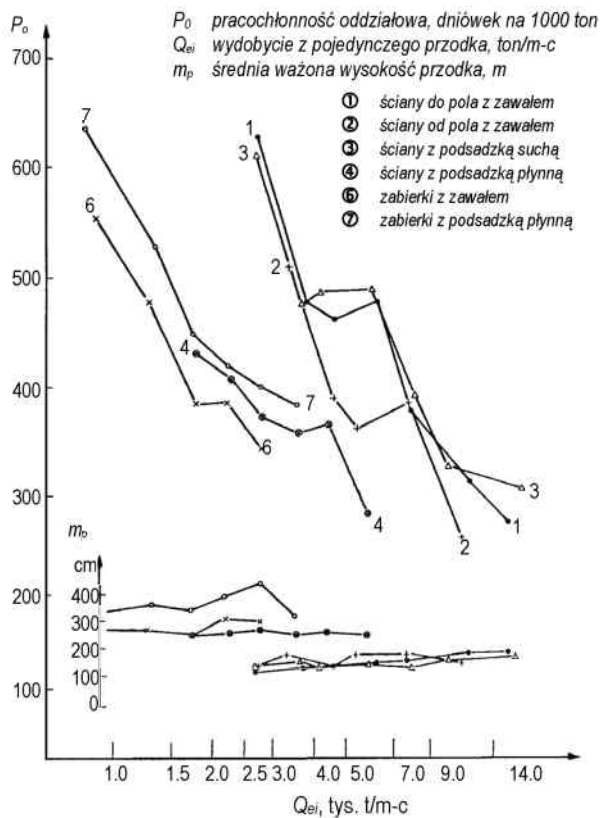
Chociaż praca doktorska nie doprowadziła do wdrożenia w kopalniach proponowanej technologii prowadzenia ścian zawałowych *do pola* z zastosowaniem chodników wglębnych – jej pokłosiem były badania, które wpłynęły istotnie nie tylko na poglądy kadr górniczych, lecz także na realizowany w praktyce kierunek rozwoju ówczesnych kopalń. Otóż w pracy doktorskiej udało mi się wskazać na wyraźny związek przyczynowy między wysokością zawału skał stropowych w przodkach ścianowych – oraz między sposobem zakładania chodników obsługujących te przodki – a ilością i pracochłonnością uzyskiwanej w nich produkcji. To ustalenie wzmogło mój krytycyzm w stosunku do rozpowszechnionego w owych latach poglądu, zgodnic z którym: „ilość wzajemnie współzależnych czynników wpływających na ekonomiczną efektywność podziemnych kopalń węgla kamiennego jest tak duża, że nie da się wskazać, które z nich są decydujące”. Nie godziłem się z tym poglądem! Byłem przekonany, że są jednak czynniki mniej i bardziej istotne! Twierdziłem, że da się je wyróżnić i ewidencjonować oraz mierzyć (dla potrzeb zarządzenia) ich wpływ na wyniki pracy kopalń.

Przekonanie to – będące niewątpliwie pokłosiem pracy nad doktoratem – nie dawało mi spokoju. Gdy od czerwca 1956 roku – po operacji przeprowadzonej w klinice profesora Grucy – przez wiele miesięcy przebywałem w domu, sprawdziłem czy funkcjonującą wówczas resortową *techniczno-ekonomiczną statystykę kopalń* da się wykorzystać do analiz potwierdzających moje przekonanie. Okazało się, że statystyka ta takich możliwości nie daje. Wszystkie istotne parametry techniczne oraz zależne od nich wskaźniki produktywności i pracochłonności – a w konsekwencji również kosztów (zł/tonę) – były w niej rozpatrywane w skali całej kopalni. Tak duży „wspólny worek”, uniemożliwiał wyselekcjonowanie mniejszych jednostek rozliczeniowych o określonej charakterystyce wyposażenia technicznego i rozwiązań technologicznych. W konsekwencji nie była też możliwa identyfikacja czynników kształtujących wyniki prowadzonej eksploatacji złoża oraz ilościowe określenie ich wpływu na te wyniki. To ten wadliwy system rozliczeniowy *kreował* wskazany wyżej pogląd, który odrzucałem!

W tej sytuacji zdecydowałem się sięgnąć po bardziej szczegółowe dane – do „wewnętrznej” ewidencji kopalnianej. Opracowałem ankietę, w której podstawową jednostką rozliczeniową był oddział produkcyjny, a nie cała kopalnia. W ankiecie zrezygnowałem ze zbierania danych o koszcie produkcji, który w tym czasie nie był w oddziałach produkcyjnych ewidencjonowany w sposób wiarygodny. Kierownictwo GIG zgodziło się, abym w ramach swej pracy aspiranta naukowego skierował ankietę do opracowania, a Ministerstwo Górnictwa przekazało do kopalni polecenie wypełnienia ankiety danymi za lipiec 1957 roku. Tym sposobem – tuż przed wyjazdem do Londynu na „zaprotezowanie” – wszedłem w posiadanie szczegółowych danych statystycznych charakteryzujących jeden miesiąc pracy 505 oddziałów produkcyjnych, prowadzonych w 74 kopalniach węgla kamiennego. Był to unikalny materiał faktograficzny – nikt bowiem wcześniej nie badał pracy oddziałów produkcyjnych w skali całego polskiego górnictwa węgla kamiennego.

Opracowaniem tych materiałów mogłem niestety zająć się dopiero po powrocie z Londynu, w drugiej połowie 1958 roku. Analizę prowadziłem w porozumieniu z Komisją Grubych Pokładów, kierowaną przez Dyrektora Technicznego Dąbrowskiego Zjednoczenia P.W., mgr. inż. Władysława Rymarskiego. Dyrektor już od wielu miesięcy udostępniał podległe mu kopalnie do badań, które prowadziliśmy z Jurkiem Wyszomirskim w zakresie technologii podsadzki hydraulicznej i był też zainteresowany badaniem materiałów statystycznych zgromadzonych na podstawie ankiety.

Wynikiem badań byłem poruszony i autentycznie uradowany. Nie mogło być wątpliwości, że pracochłonność oddziałowa $P_o - dn/1000 \text{ ton}$ – jako istotna miara ekonomicznej efektywności, z jaką pracuje oddział produkcyjny – jest tym korzystniejsza (tzn. mniejsza) im większe jest w tym oddziale miesięczne wydobyte z pojedynczego przodka ($Q_{et} - \text{ton/miesiąc}$). Jak wskazuje



Zależność między miesięcznym wydobywaniem oddziału produkcyjnego Q_{ei} a pracochłonnością oddziałową P_o głównych systemach eksploatacji stosowanych w 1957 r.

Piasecznego (1930), Andrzeja Smolarskiego i Adama Zyzaka (1948) oraz Jerzego Kolbego (1949, 1956). Tym sposobem *koncentracja* – stała się parametrem mierzalnym o potwierdzonym, niewątpliwym wpływie na wyniki prowadzonej eksploatacji – i uzyskała walor skutecznego weryfikatora racjonalności eksploatacji prowadzonej w podziemnych kopalniach.

Koncentracja „wchodzi na górniczą scenę”

Nie miałem wątpliwości, że wyniki przeprowadzonych badań mają nie tylko znaczenie poznawcze, ale mogą się również przyczynić do zasadniczej zmiany kopalnianej rzeczywistości ówczesnego górnictwa. Dałem temu wyraz w publikacji z grudnia 1959 roku, gdy wyniki te relacjonowałem w Przeglądzie Górniczym: „Idziemy do górnictwa charakteryzującego się

zamieszczony wykres – prawidłowość ta zaznaczyła się równie wyraźnie w oddziałach prowadzonych każdym ze stosowanych wówczas systemów eksploatacji – w czterech systemach ścianowych oraz dwóch zabierkowych (filarowych). Co istotne – na ujawnioną zależność nie miała większego wpływu miąższość (grubość) pokładów eksploatowanych przez oddziały, pokazana na wykresie z wykorzystaniem pomocniczej osi (m_p , cm).

Tak więc okazało się, że – wbrew rozpowszechnionej wówczas opinii – jest jednak parametrem decydującym o ekonomicznej efektywności podziemnej eksploatacji złóż. Jest nim *KONCENTRACJA PRODUKCJI*, którą zdefiniowałem jako „ilość wydobywania przypadająca w jednostce czasu na element kopalni”. Zaproponowana definicja – rozszerzyła i uogólniła treść terminu używanego już wcześniej przez: Henryka Czczotta (1924), Bolesława Krupińskiego (1929), Rudolfa

coraz większą koncentracją eksploatacji (produkcji), w którym wielka ilość wydobywania będzie uzyskiwana z niewielkiej liczby przodków skupionych wokół odpowiednio przelotowych (przepustowych) dróg odstawy. **Czy to się komuś podoba czy nie** – taki jest kierunek rozwoju nowoczesnego górnictwa wynikający zresztą z prostego faktu, że intensywna eksploatacja obniża bardzo wydajnie pracochłonność pozaprzodkową, i dzięki temu jest tańsza od eksploatacji ekstensywnej i zdekoncentrowanej⁴²⁾.

Ze zrozumiałych względów nie będę omawiał szczegółów badań⁴³⁾, które doprowadziły do tak „światoburczego” poglądu. Nie będę też relacjonował szczegółów trudnej i „zawilej” drogi, którą nasze górnictwo dochodziło do powszechnej akceptacji *KONCENTRACJI PRODUKCJI* jako niekwestionowanego miernika poziomu technicznego eksploatacji prowadzonej w podziemnych kopalniach. Ten proces trwał parę dziesięcioleci! Wyjaśnię jedynie co było znamienne dla upowszechniania *koncentracji* w owych latach.

Otóż, główną przyczyną rzeczywistych trudności w osiągnięciu zwiększonej *koncentracji produkcji* była niewątpliwie niezadowalająca jakość wyposażenia, którym dysponowały kopalnie zarówno w aspekcie zdolności produkcyjnej maszyn i urządzeń do urabiania i transportu, jak i w aspekcie jego niezawodności i trwałości. Jak wspominałem – ta jakość stopniowo ulegała poprawie, ale w tempie niewspółmiernym do potrzeb. Natomiast główną przyczyną „zawiloci” drogi, którą koncentracja upowszechniała się w kopalniach była specyfika PRL-owskiej gospodarki – znamiennej planowanym proilościowym rozwojem – oraz uzależnieniem plac kierownictwa i załóg górniczych od wykonania planu. Pozycja i „ważność” resortowego ministra zależała od wielkości i terminowości realizowanych planów (zwłaszcza inwestycyjnych). Równocześnie kierownictwo kopalń i załogi górnicze były zainteresowane nie tyle ekonomiczną efektywnością produkcji, co pewnością realizacji planu produkcji, gdyż od tego zależały ich zarobki. *Koncentracja produkcji* miała więc wielu przeciwników, bo eliminowała łatwe drogi do realizacji planów, takie jak utrzymywanie *ścian rezerwowych*, lokowanie części produkcji w *polach zabierkowych*, zwiększanie (drogą realizacji „dodatkowych inwestycji”) liczby czynnych *pól górniczych, poziomów* itd.

W tej sytuacji pierwsze wersje planu wydobywania węgla w dwudziestoleciu 1960–1980 przewidywały tradycyjne wydłużanie frontu wydobywanego i zwiększanie liczby przodków. W marcu 1961 roku – w ramach zespołu prowadzonego w Głównym Instytucie Górnictwa przez dyrektora Meissnera – opracowałem „Zarys perspektywicznego planu rozwoju techniki górniczej na lata 1960–1980”, w którym ten kierunek zakwestionowałem – wykorzystując zależności ujawnione przywołanymi badaniami. Zgodnie z założeniami resortu i Komisji Planowania, przyjmowałem wzrost dobowej produkcji węgla kamiennego z 334 tysięcy ton w 1960 roku do 518 tysięcy w 1980 roku, ale równocześnie prognozowałem zmniejszenie liczby prowadzonych

przodków eksploatacyjnych z 1964 do 893 oraz przodków chodnikowych z 3246 do 1022¹⁴⁷⁾. Ta wersja planu została wówczas odrzucona jako „nierealna”.

Podobnie, jeszcze w końcu lat 60. XX wieku, została odrzucona propozycja wdrożenia w kopalniach prostej, chronometrażowej metody wyznaczania dla ścian wyposażonych w kombajny – ich tzw. *potencjału*⁴⁷⁾ – czyli zdolności produkcyjnej przodka, przy pełnym wykorzystaniu jego dyspozycyjnego czasu pracy. Porównując wydobyte rzeczywiście osiągnięte z możliwościami określonymi *potencjałem* – metoda umożliwiała skuteczną kontrolę warunków pracy przodka oraz organizowanie (na tej podstawie) działań naprawczych. Argumentem, którym kierownictwo resortu uzasadniało brak zgody na wdrożenie metody w kopalniach, było „*niedopuszczalne ujawnianie istniejących w kopalniach możliwości produkcyjnych, co zagraża ograniczeniem funduszy przeznaczonych na rozwój mechanizacji*”. Metoda nie została wdrożona, a podobne możliwości kontroli pracy ścian pojawiły się dopiero po kilkudziesięciu latach wraz z upowszechnieniem czujnikowej rejestracji czasu ich efektywnej pracy⁹⁴⁾.

Jako ciekawostkę podam, że z metodą *potencjalów*, stosowaną już wówczas w Wielkiej Brytanii, zapoznawał mnie pan Cheetham, szef działu Badań Opera-



Dyskusja z panem Cheethamem w National Coal Board w Londynie (1967 r.)

cyjnych w zarządzie państwowego górnictwa brytyjskiego (National Coal Board), gdzie w 1967 roku byłem na półrocznym stypendium ONZ. W czasie drugiej wojny światowej, pan Cheetham jako oficer armii brytyjskiej dostał się do japońskiej niewoli. Żeby zapobiec ewentualnej ucieczce jeńca Japończycy przybili gwoździem do drzewa jego ręce podniesione nad głowę. Powiedział mi o tym, gdy korzystając z dłuższej już znajomości⁹⁵⁾ – spytałem Go, czemu ma tak fatalnie pokiereszowane dłonie. Był to bardzo miły, poważny pan, więc wierzę, że mówił prawdę. Choć dużo wiedziałem o zdolności do bestialstwa hitlerowskich i sowieckich oprawców – jednak ten „wyczyn” japońskiej armii po prostu nie chciał mi się „zmieścić w głowie”.

W latach 60. XX wieku następował szybki wzrost liczby kombajnów pracujących

⁹⁵⁾ Pana W.R. Cheethama spotykałem wcześniej na (wspominanych już) – zwolowanych przez profesora Krupińskiego – roboczych posiedzeniach Komitetu Organizacyjnego Światowych Kongresów Górnictwa (IOC).

w kopalniach (udział wydobycia pozyskiwanego kombajnami głównie wąsko-zabiorowymi, zwiększył się w tej dekadzie z około 4 do 40%). Narastało też własne doświadczenie kopalń wskazujące na korzyści wynikające ze wzrostu *koncentracji* – co stopniowo zmniejszało liczbę górników jej niechętnych. Bardzo istotny był sukces kopalni „Zabrze”, w której w 1962 roku – w *ścianie* wyposażonej w *indywidualne*, powszechnie stosowane, stojaki *obudowy ścianowej* – uzyskano w ciągu 25 dni średnie wydobycie 2287 ton/dobę. Było to osiągnięcie ogromne, biorąc pod uwagę, że w skali całego górnictwa węgla kamiennego średnie wydobycie przodka ścianowego wynosiło w tym czasie około 250–300 ton/dobę. Tadeusz Babisz dyrektor kopalni „Zabrze”, z którym kiedyś odbieraliśmy dyplom „Przodującego studenta” – także ja i jeszcze parę osób – otrzymaliśmy wówczas Nagrodę Państwową I stopnia (zespółową – 1964) w dziedzinie postępu technicznego. Najistotniejsze było jednak to, że wraz z tym rekordem górnicy musieli wycofać wiele tradycyjnych poglądów na racjonalność w prowadzeniu eksploatacji złóż.

Istotną rolę w usuwaniu przeszkód na drodze do powszechnej akceptacji *koncentracji produkcji*, jako podstawowego kierunku technicznego rozwoju kopalń, odegrało powołanie z inicjatywy profesora Krupińskiego w Komitecie Węglowym Europejskiej Komisji Ekonomicznej (EKE): „Stalej grupy ekspertów dla spraw mechanizacji i koncentracji”. *„Raport w sprawie koncentracji wydobycia w czasie i przestrzeni w przemyśle węglowym Polski”*⁶¹, który przedstawiłem w 1961 roku na pierwszym posiedzeniu tej grupy zapoczątkował kilkunastoletni okres, w którym z tego ONZ-etowskiego źródła płynęły do polskiego górnictwa informacje o pracach nad rozwojem *koncentracji* oraz nad racjonalizacją zarządzania w zachodnioeuropejskim i światowym górnictwie. W latach 1961–1976 piętnaście razy prezentowałem w Genewie raporty informujące – na zasadach wzajemności – kraje europejskie o pracach i osiągnięciach polskiego górnictwa w tym zakresie.

Dziś wspominam te parodniowe spotkania grupy ekspertów w pięknej Genewie – i także związane z pracami grupy, dwie wizyty w kopalniach brytyjskich i niemieckich – jako nie tylko znakomicie poszerzające moje przygotowanie zawodowe, lecz także jako „odświeżające” wypadki za „żelazną kurtynę”. Wprawdzie jechało się z paszportem służbowym, który otrzymywało się wraz z biletem kolejowym (rządziej lotniczym) i zwracało niezwłocznie po powrocie – ale było to jednak „*odetchnięcie powietrzem Zachodu*”.

Gdy posiedzenia grupy ekspertów odbywały się w tych samych terminach co posiedzenia Komitetu Węglowego EKE, któremu przewodniczył (lub współprzewodniczył) profesor Krupiński – te wspólne wyjazdy do Genewy stawały się wspaniałą przygodą intelektualną i turystyczną. „Honoru domu” pełnił w Genewie Zygmunt Falecki – brydżowy partner w okresach mojej

⁶¹ Coal (P) Working Paper nr 9, ECE/COAL., Genewa 1961.

„domowej” rehabilitacji – pracujący już w tym czasie w Genewie w obsłudze Komitetu Węglowego. Wyjazdy w niedalekie Dolomity lub do miasteczek otaczających Jezioro Genewskie – czy wspólne kolacje jedzone w urokliwych restauracjach Genewy – to były niezapomniane przeżycia. Wciąż pamiętam zaskoczenie i zdumienie, gdy w takiej restauracji – plastry wędzonej, surowej szynki podano z wiórkami chrzanu i słodkim melonem.

Pierwszego kwietnia 1962 roku została mi w Głównym Instytucie Górniczym „powierzona funkcja” kierownika Pionu Ekonomiki i Organizacji w Górnictwie. W resorcie pojawiło się w tym czasie zapotrzebowanie na poszerzenie badań z zakresu ekonomiki, organizacji i zarządzania, a Instytut – ze względu na charakterystykę moich dotychczasowych prac i dyplom WSE – mnie skierował do tego zadania. Ponieważ w moim rozumieniu górnictwa – aspekty techniki zawsze wiązały się ściśle z ekonomiką i organizacją – ten zwrot przyjąłem z zadowoleniem. Perspektywa organizowania w ramach Pionu kilku zakładów badawczych – a więc praca o znacznie powiększonym zakresie oddziaływania na przemysł – bardzo mi odpowiadała.

Oczywiście moje zainteresowanie *koncentracją* i jej wpływem na ekonomiczną efektywność kopalń – nie słabło. W pracy habilitacyjnej, którą w tym czasie przygotowywałem – wciąż drążyłem problem *koncentracji produkcji*⁴⁵³. Mówiąc najkrócej, uzupełniłem wcześniejsze badania przeprowadzone w skali oddziałów produkcyjnych i rozszerzyłem je na całą kopalnię. Jako kryterium wpływu *koncentracji* na ekonomiczną efektywność górnictwa produkcji wprowadziłem dodatkowo *pracoochłonność dolową* (określaną w skali całej kopalni) oraz wskaźniki *koncentracji*, od których zależała jej

wielkość. Udalo mi się też – po raz pierwszy – określić wpływ *koncentracji* produkcji na wyniki pracy kopalń w postaci funkcji matematycznych wielu zmiennych (obliczanych metodą regresji). Kosztu – jako miernika w owych latach ulegającego inflacji i nieporównywalnego w skali międzynarodowej (niewymienialność złotówki) – nadal unikałem w prowadzonych badaniach. Przewód habilitacyjny został przeprowadzony w Głównym Instytucie Górniczym. Stopień naukowy docenta uzyskałem uchwałą Rady Naukowej z dnia 8.11.1963 r. (zatwierdzoną przez Komisję Kwalifikacyjną – 8.01.1964 r.). Był to

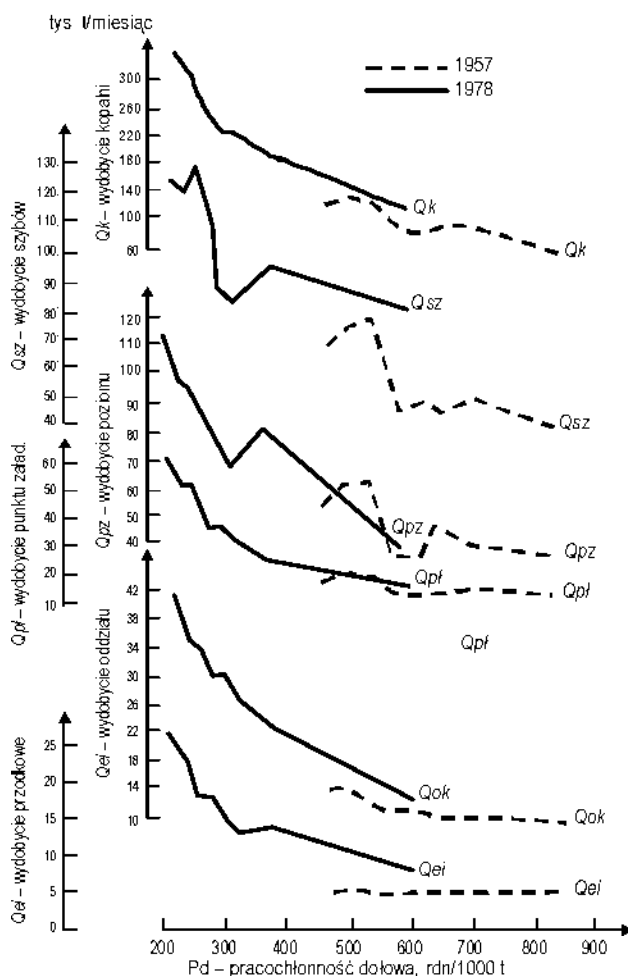


Uroczysta promocja habilitacyjna. Od lewej: przewodniczący Rady Naukowej profesor Krupiński, Dyrektor Instytutu profesor Borecki, ja – promowany. Członkowie Rady: Władysław Górka i Roman Dykacz oraz Sekretarz Rady Hanna Mazurkiewiczowa (1963 r.)

pierwszy przewód habilitacyjny przeprowadzony w GIG po uzyskaniu przez Instytut stosownych uprawnień, promocja była więc pamiętna.

Jako istotny moment w procesie uznania *koncentracji* produkcji (zdefiniowanej zgodnie z propozycją z 1959 r.) – za podstawowy miernik poziomu technicznego podziemnych kopalni i cel działań modernizacyjnych – można wskazać rok 1970. To wówczas Minister Jan Mitręga wydał książkę pt. „Koncentracja wydobycia podstawą intensywnego rozwoju górnictwa węglowego”, która została szeroko rozkolportowana. Zwolennicy eksploatacji zdekoncentrowanej – mniej efektywnej ekonomicznie, ale „bezpieczniejszej” w aspekcie realizacji planów produkcji – wprawdzie „nie zniknęli”, ale byli już w zdecydowanej mniejszości.

W 1983 roku, publikując w Przeglądzie Górnictwa nr 3 artykuł: „20 lat rozwoju *koncentracji* produkcji w polskim górnictwie węgla kamiennego (1960–1980)” mogłem skonstatować ogromny wzrost *koncentracji* osiągnięty w tych latach. Średnie – dla wszystkich kopalni – wydobycie przodka ścianowego wzrosło do 920 ton/dobę. Prognoza rozwoju górnictwa węglowego, którą opracowałem w 1961 roku – odrzucona jako *nierealna* – okazała się zbyt ostrożna. Wydobycie polskich kopalni w roku 1980 sięgnęło 612 tys. ton/dobę, przy czym liczba prowadzonych przodków eksploatacyjnych zmniejszyła się nie do 893, a do 805 (w tym około 50% ścian zmechanizowanych i tylko 4 zabierki) a liczba chodników nie do 1022, a do



Wzrost koncentracji produkcji, który nastąpił między rokiem 1957 a 1978 bardzo wyraźnie przesunął krzywe 1978 roku w stronę mniejszej pracochłonności dołowej Pd. Równocześnie ujawniła się wyraźna zależność: niska pracochłonność dołowa kopalni (Pd) wiąże się z wysoką koncentracją produkcji we wszystkich rozpastrzonych ogniwach struktury kopalni

746. Wyraźna zależność występująca między pracochlonością dolową kopalni a *koncentracją* osiągniętą w ich strukturalnych ogniwach została bardzo wyraźnie potwierdzona dwudziestoletnim doświadczeniem – co ilustruje wykres na poprzedniej stronie.

Oczywiście, moja „naukowa przygoda” z *koncentracją* nie zakończyła się na podsumowaniu opublikowanym w 1983 roku. *Koncentracja* stała się w górnictwie trwałym elementem nauki i praktyki – pozostała więc również trwałym przedmiotem zainteresowania w moich dalszych pracach badawczych i rozwojowych⁷²⁾.

Warto zauważyć, że po upływie następnego ćwierćwiecza – w 2005 roku – średnie wydobycie jednej ściany wzrosło w polskich kopalniach do 3200 ton/dobę. W kopalni „Bogdanka”, dysponującej w Lubelskim Zagłębiu Węglowym bardzo korzystnymi warunkami geologicznymi, uzyskiwano rekordowe wydobycie z jednej ściany rzędu 14 000–16 000 ton/dobę. Okazało się więc, że teza, którą w 1964 roku uzasadniałem w pracy habilitacyjnej: „Zasadniczym, perspektywicznym celem górnictwa jest kopalnia uzyskująca całe przypadające na nią wydobycie z jednego lub, co najwyżej kilku przodków, prowadzonych w jednym pokładzie, obsługiwanych przez jeden punkt załadowczy, jedną główną drogę transportu, podszybie i szyb” – nie była utopijna. Niestety – wraz ze wzrostem kosztu wyposażenia ścian (mimo szybkiego wzrostu koncentracji produkcji w dogodnych warunkach geologiczno-górnictwowych) – zaczął niestety narastać problem ścian, które nie uzyskują koncentracji zapewniającej ekonomiczną efektywność produkcji. Do tej sprawy jeszcze powrócę.

Technologia podsadzki hydraulicznej pozostała moją badawczą pasją

Zaangażowanie w badania nad różnymi aspektami wzrostu *koncentracji produkcji* – zapoczątkowane w okresie pracy nad doktoratem – wymagało dużego wysiłku analitycznego i rachunkowego. Wyznaczenie w pracy habilitacyjnej jednej funkcji określającej zależności między pracochlonością dolową (P_d) a czterema branymi pod uwagę wskaźnikami *koncentracji* i miąższością eksploatowanych pokładów – wymagało w owym czasie (gdy komputery nie były dostępne) paru tygodni cierpliwego kręcenia korbką „mechanicznego liczydła”. Pracę tę wykonywał głównie kolega Leon Palka – towarzyszył wcześniejszym pomiarów wysokości zawalu w przodkach ścianowych. Oczywiście – prace analityczne pochłaniały mnóstwo również mojej pracy koncepcyjnej (merytorycznej) i redakcyjnej, ale tę wykonywałem z reguły po godzinach pracy, w „wieczornej ciszy”. To w owym czasie – gdy zakończyłem blisko trzyletnie „szpitalowanie” – praca do godziny 23⁰⁰–24⁰⁰ stała się codziennością, a z upływem lat chyba niemal „nalogiem”. Mama,

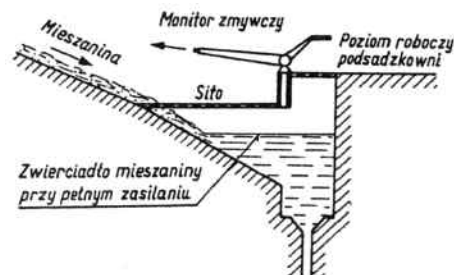
z którą w tym czasie mieszkałem, tolerowała moje *nocne siedzenie*, ale mówiła też często: „*Nie szanujesz synku zdrowia*”.

Dzięki takiemu wykorzystaniu mego „dyspozycyjnego” czasu – prace nad modernizacją technologii podsadzki hydraulicznej – wymagające głównie żmudnych badań poligonowych i prac organizacyjnych – mogły być wykonywane równocześnie, przy tym w czasie „służbowym”. Byłem już adiunktem, kierownikiem pracowni i współpracowałem nadal z Jurkiem Wyszomirskim. Mieliśmy do pomocy kilku techników. Dysponowaliśmy też wynikami pracy – wspomnianych wyżej: doświadczalnego separatora powietrza z rurociągu podsadzki (zainstalowanego w kopalni „Chorzów”) oraz eksperymentalnie stosowanych hydrocyklonów, instalowanych na wylocie rurociągów podsadzki (głównie w kopalni „Knurów”, gdzie stosowano do podsadzki piasek z dużą zawartością drobnych frakcji). Wiedzieliśmy już, że te rozwiązania nie „uzdrowią” technologii podsadzki hydraulicznej, choć – w szczególnych warunkach głębokich kopalń – mogą być przydatne. Zrewidowaliśmy wiele wcześniejszych poglądów i doszliśmy do wielu nowych – ukierunkowanych głównie na dostosowanie technologii podsadzki hydraulicznej do wymagań przodków o dużej *koncentracji* produkcji.

W styczniu 1959 roku opublikowaliśmy „Krótki raport⁷⁾ o stanie techniki i technologii podsadzki pływnej w górnośląskich kopalniach węgla”. Zarysowaliśmy w nim szeroki program modernizacji technologii podsadzki hydraulicznej wraz z zadaniami obejmującymi badania pomiarowe.

Decydujące dla sukcesu, z jakim wówczas ten program realizowaliśmy, okazały się trzy poligonowe badania. Przypomnę je, bo wiązały się z nimi ogromne emocje. Mieliśmy świadomość, że nie tylko poszerzamy wcześniejszą wiedzę podręcznikową, ale otwieramy też nowe perspektywy przed technologią hydraulicznego podsadzania wyrobisk w służbie podziemnej *skoncentrowanej* eksploatacji złóż.

- Wiosną 1959 roku w podsadzkiwni „Otwór III” w kopalni „Sosnowiec” – a następnie również w innych podsadzkiwniach Dąbrowskiego Zjednoczenia, *udostępnianych* nam przez dyrektora Rymarskiego – potwierdziliśmy eksperymentalnie możliwość uzyskiwania w praktyce kopalnianej, tak przez nas nazwanego: **pełnego zasilania**. W wielu użytkowanych wówczas podsadzkiwniach udawało się je osiągać, zwiększając tak długo wydajność pomp zasilających



Rysunek opublikowany w maju 1959 roku w *Wiadomościach Górniczych*, ilustrujący występowanie lustra mieszalniny w leju podsadzkiwnym podczas pełnego zasilania rurociągu

⁷⁾ W powielaczowym wydawnictwie GIG. „Krótki raport...” miał objętość 68 stron maszynopisu.

monitory zmywające ze zbiornika podsadzkowni materiał podsadzkowy do leja – aż cały rurociąg wypełnił się dwufazową mieszaniną materiału podsadzkowego i wody (z wycelminowaniem powietrza). Właśnie ten stopień zasilania nazwaliśmy *pełnym zasilaniem*. Potrafiliśmy je osiągać zarówno w instalacjach o wewnętrznej średnicy rur równej 150, jak i 185 mm (inne średnice nie były wówczas stosowane). Oznaką osiągnięcia pełnego zasilania było utworzenie się w leju lustra mieszaniny podsadzkowej. Przy zasilaniu niepełnym – lustro pojawiało się tylko w przypadku zatkania rurociągu. Z trudem trzeba było przekonywać obsługę podsadzkowni, że to, co demonstrowaliśmy to nie jest zatkanie rurociągu, a właśnie *pełne zasilanie*.

- W kopalni „Mysłowice” potwierdziliśmy eksperymentalnie, że *pełne zasilanie* – dzięki równomierności przepływu i zużyciu całej potencjalnej energii dwufazowej mieszaniny (pozbawionej powietrza) na jej transport rurociągiem – zapewnia warunki maksymalnej pewności przepływu. Dzięki temu staje się możliwe stosowanie gęstej mieszaniny podsadzkowej, co zwiększa wydajność rurociągu podsadzkowego i zmniejsza w podsadzonym przodku unoszenie spoza tamy frakcji ilastej, zawartej w materiale podsadzkowym. W doświadczeniu przeprowadzonym przy udziale kierownika oddziału podsadzki Franciszka Kempnego^{*)}, osiągnęliśmy tak dużą gęstość mieszaniny (ok. 0,65 m³ wody na 1 m³ piasku), że *„niemal cały szlam pozostawał w otamowanej przestrzeni”*.
- W kopalni „Miechowice”, w podsadzkowni wyposażonej w szybowy zbiornik materiału podsadzkowego, osiągnęliśmy wydajność około 900 m³ materiału podsadzkowego na godzinę. Gęstość mieszaniny wzrosła do 0,7 m³ wody na 1 m³ materiału, a ilość odpadów kopalnianych^{**)} dodawanych do piasku osiągnęła 50%. Później kopalnia „Miechowice” potrafiła podsadzać tylko odpadami górnictwymi, co było w owym czasie ewenementem. W kopalniach z reguły nie stosowano własnych odpadów górniczych jako materiału podsadzkowego, uzasadniając to najczęściej obawą przed zatkaniami rurociągów. Tego rodzaju awarie – powodowane głównie niepełnym zasilaniem (przepływem z udziałem powietrza) lub pękaniem „przetartych” rurociągów – stanowiło rzeczywiście ogromne utrudnienie ruchowe. Oczyszczanie zatkanego rurociągu z zalegającego w nim materiału podsadzkowego wymagało „rozpinania” wielokilometrowych tras rurowych i trwalo z reguły wiele godzin lub nawet roboczych zmian.

Po pięciu miesiącach wyężonej pracy mieliśmy już jasny i solidnie „utwardzony” – pogląd na zasady funkcjonowania zmodernizowanej technologii podsadzki hydraulicznej. Wymagania określone tymi zasadami były

^{*)} W następnych latach – został dyrektorem kopalni.

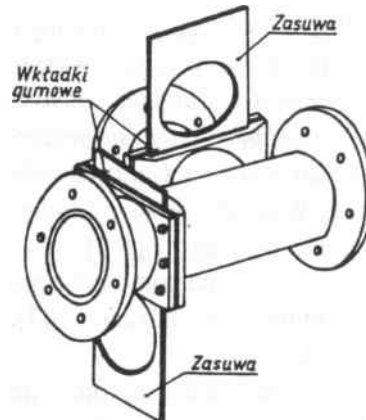
^{**)} Skala używana z robót dolowych oraz w procesie wzbogacania wydobytego węgla.

elementarnie proste: **Stosować pełne zasilanie rurociągów, żeby wyeliminować w nich przepływ powietrza. Podsadzać możliwie najgęstszą mieszaniną (również z dodatkiem odpadów górniczych), żeby – wykorzystując całą energię potencjalną mieszaniny podsadzkowej – zwiększać wydajność rurociągów i ograniczać ilość szlamów unoszonych z otamowanej przestrzeni. Proces podsadzania prowadzić w sposób ciągły (bez przerwy), aby maksymalnie skrócić czas podsadzania przodków.** Te proste wymagania rewolucjonizowały ówczesne poglądy!

Najbardziej praktyczna wskazówka dla kopalń – określająca sposób wykorzystania możliwości *pełnego zasilania* – została zawarta w zaleceniu: „Ściana, w której wybiera się jeden zabiór, a po południu drugi, w nocy powinna być podsadzona tak, aby rano mogło się w niej znowu odbywać wydobycie”. Celem zalecenia było osiągnięcie „ciągłego biegu ścian podsadzkowych” i wyeliminowanie powszechnej praktyki, w której z dwóch ścian prowadzonych z podsadzką hydrauliczną jedna była zawsze „w produkcji”, a druga była podsadzana (przez całą zmianę lub dwie, czy nawet trzy).

Proces opanowania przez kopalnie *pełnego zasilania* oraz wykorzystania związanych z nim możliwości – przebiegał nie bez trudności. W kopalniach musiano przede wszystkim nauczyć się korzystać na bieżąco z pomp rezerwowych, które na mocy przepisów zawsze były instalowane w podsadzownikach lub instalować dodatkowe pompy zmywcze.

W większości kopalń trzeba było niestety powiększać leje podsadzkowe i powierzchnię sit do oczyszczania zwiększonej ilości mieszaniny wprowadzanej do rurociągu. Także wymieniać rurociągi, które (gdy były osłabione w wyniku ścierania transportowanym materiałem podsadzkowym) – nie wytrzymały zwiększonego ciśnienia charakteryzującego technologię *pełnego zasilania*. Aby wyeliminować przerwy w procesie podsadzania ścian – związane z kierowaniem mieszaniny podsadzkowej do kolejnych odcinków otamowanego przodka ścianowego o długości 50–100 m – trzeba było upowszechnić stosowanie tzw. *przerzutnic*. Prosta spawana konstrukcja *przerzutnicy*, którą opracowaliśmy w Instytucie, umożliwiała jej wytwarzanie w warsztatach kopalnianych, co pozwalało „ominąć” powszechnie występujące trudności zaopatrzeniowe. Ponadto, trzeba było – prowadzonymi pomiarami – przekonywać tradycyjnie myślących *podsadzkarzy*, że zwiększanie gęstości mieszaniny dostarczanej za tamę „budowaną” w podsadzonym przodku – nie wywołuje ciśnienia grożącego jej przewróceniem.



Przerzutnica trójnikowa (konstrukcja spawana) lansowana przez GIG w latach 1959–1962



Dolowe pomiary naporu podsadzki hydraulicznej na tamę czołową w kopalni „Sosnowiec”. Wskazania manometrów obserwują inżynierowie z kopalni. Od lewej: Światowski i Sendor (później dyrektor kopalni) – oraz ja (1960 r.)

Dzięki zainteresowaniu i współpracy Komisji Podsadzki Płynnej – prowadzonej przez Wiceministra Franciszka Jopka – zadania związane z wdrażaniem technologii *pełnego zasilania*, mieliśmy ułatwione. Przygotowane przez nas „Wytyczne dla przystosowania podsadzkowni do pełnego zasilania”, „Instrukcja szczelnego (i ciągłego) podsadzania ścian”, „Instrukcja gospodarki wodą podsadzkową”³⁹⁾, i inne – trafiły do kopalń jako obowiązujące. Z informacjami o technologii *pełnego zasilania* docieraliśmy również do ogółu kadry inżynierskiej, publikując w latach 1958–1962 ponad 20 artykułów w Przeglądzie Górniczym i Wiadomościach Górniczych. Po upływie dekady – na przełomie lat 1967/1968 – z ogólnej liczby 670 czynnych wówczas ścian podsadzkowych – 46% podsadzano w czasie krótszym niż 4 godziny, a 70% w czasie krótszym niż 6 godzin – co w stosunku do wcześniejszej praktyki oznaczało ogromny postęp i upowszechnienie pełnego zasilania. W większości ścian wydajność rurociągów przestała już być zasadniczą przeszkodą w osiągnięciu „ciągłego postępu ścian podsadzkowych”, co było głównym celem wdrażania (wprowadzania do kopalnianej praktyki) technologii *pełnego zasilania*⁴⁸⁾.

Doświadczenia, które wiosną 1959 roku potwierdziły możliwość transportowania rurociągami podsadzkowymi mieszaniny o bardzo dużej gęstości i osiągnięcie w nich ogromnych wydajności – potwierdziły równocześnie pilną potrzebę przeprowadzenia (przewidzianych „Krótkim raportem...”) pomiarów oporu przepływu wodnej mieszaniny piasku i odpadów kopalnianych o zróżnicowanej gęstości i prędkości przepływu. Bez znajomości tych parametrów nie było możliwe obliczeniowe prognozowanie wydajności rurociągów podsadzkowych o różnej długości tras horyzontalnych (dochodzącej do 5 km) i różnej głębokości (dochodzącej do 800 m), która współdecyduje o prędkości przepływu mieszaniny podsadzkowej. Dotychczasowe metody obliczeniowe – w świetle wyników przeprowadzonych doświadczeń – przestały być miarodajne.

Dzięki współpracy naczelnego inżyniera kopalni „General Zawadzki” budowa potrzebnej instalacji pomiarowo-doświadczalnej, rozpoczęła się już w październiku 1959 roku, na terenie nieczynnego szybu „Koszelew”. Stawialiśmy sobie ambitne zadanie mierzenia na tej instalacji oporów przepływu mieszaniny o znanej gęstości *nadawcy*. W tym celu przewidzieliśmy objętościowe dozowanie piasku (o określonej w laboratorium GIG porowatości i ciężarze właściwym), za pomocą taśmowego dozownika o regulowanej

wydajności. Opór przepływu mieszaniny chcieliśmy mierzyć dla rurociągów o średnicy 185 mm (najpowszechniej używanych). Przy tym chcieliśmy, aby odcinki pomiarowe miały długość co najmniej 15 m, co zapewniało wiarygodny pomiar spadku ciśnienia różnicowymi manometrami rtęciowymi. Przewidzieliśmy pomiar na odcinkach: pionowym z przepływem w dół i w górę, na odcinkach nachylonych około 5–7° i około 40° – także z przepływem po wzniosie i nachyleniu – oraz oczywiście na odcinku horyzontalnym. Przygotowanie urządzenia dozującego materiał podsadzkowy oraz chodników umożliwiających zbudowanie rurociągu o wymaganej konfiguracji – trwało prawie 3 lata. Na szczęście zastosowanie wodomierza do pomiaru ilości wody dozowanej do piasku oraz zastosowanie na wylocie rurociągu zaworu do dławienia przepływu i regulowania jego prędkości – nie sprawiło większych kłopotów.

Najdłużej „męczyliśmy się” z przygotowaniem metody pomiaru gęstości mieszaniny w poszczególnych odcinkach rurociągu, objętych badaniami. Wiedzieliśmy, że gęstość mieszaniny (nadawy) określona na wlocie rurociągu, ulega zmianom i jest różna w odcinkach o różnym nachyleniu, ale to właśnie trzeba było stwierdzić pomiarami. W owym czasie mówiło się już o pomiarze gęstości mieszanin metodą izotopową – ale dostępne gęstościomierze były prototypami o niewiarygodnych wynikach. Zdecydowaliśmy się więc zastosować gęstościomierz „sławakowy” (tak go nazwaliśmy) własnej konstrukcji.

Funkcjonowanie gęstościomierza polegało na „błyskawicznym” usuwaniu z rurociągu, którym płynęła mieszanina podsadzkowa, krótkiego odcinka tego rurociągu (50 cm) wraz z zawartością i na wprowadzeniu w to miejsce innego, bliźniaczego odcinka. Wymiana odcinków następowała za pomocą potężnych sprężyn, które po naciągnięciu wykonywały tę operację, dosłownie w mgnieniu oka, z odgłosem przypominającym wystrzał z pistoletu. Pobieranie próbki można było powtarzać dowolną liczbę razy, wykorzystując przemiennie sprężyny umieszczone po przeciwnych stronach gęstościomierza. Po sprawdzeniu skuteczności prototypu zlecieliśmy wykonanie w warsztatach GIG siedmiu gęstościomierzy i zainstalowaliśmy je na każdym z pomiarowych



Gęstościomierz sławakowy zastosowany w instalacji pomiarowej „Koszelew” wraz z obsługą (1961)

odcinków instalacji. Budowę instalacji zakończyliśmy dopiero w kwietniu 1963 roku.

Kampania pomiarowa trwała trzy miesiące (do 11.07.1962 r.) i została niestety przerwana ze względu na zagrożenie pożarowe, które pojawiło się w zrobach otaczających szyb „Koszelew”. Nie zdążyliśmy wykonać pomiarów dla mieszanin piasku i odpadów kopalnianych. Jednak dla piasku podsadzkiego przeprowadziliśmy trzy udane kampanie pomiarowe, w których do piasku o objętości nasypowej 1 m^3 dodawaliśmy w przybliżeniu: 0,8; 1,5 i $2,2 \text{ m}^3$ wody, a prędkość przepływu zmienialiśmy w granicach od 2,57 do 5,90 m/s. W sumie wykonaliśmy 41 udanych serii pomiarowych, przy czym na każdym odcinku rurociągu były wykonywane trzy przerzuty gęstościomierzy i dziewięć odczytów manometrów. Żeby lepiej zobrazować podjęty wówczas wysiłek pracowników GIG i kopalni – podam, że pełna obsada stanowisk instalacji w czasie pomiarów wymagała zatrudnienia 33 ludzi: przy pomiarach bez pobierania próbek gęstościomierzami: 20–23 ludzi. Dodam też, że przewożąc w tym czasie do laboratorium w GIG ciężkie pojemniki z próbkami piasku *nadawny* i piasku pobieranego z gęstościomierzy – „zajeżdżilem” swego Wartburga kupionego w 1958 roku i wkrótce musiałem go wymienić na nowy – „szczęśliwie” *przydzielony* przez Ministerstwo.

Przeprowadzone pomiary były ogromną „badawczą przygodą”. Emocji z nią związanych, chyba już nigdy w późniejszych badaniach – nie przeżywałem tak silnie. W czasie trwania pomiarów formalnie pełniłem już funkcję Kierownika Pionu Ekonomiki i Organizacji i wiedziałem, że wkrótce cały swój czas będę musiał poświęcić nowej problematyce. Byłem jednak zdeterminowany zakończyć badania przygotowywane blisko trzy lata i opracować ich wyniki. Ujęliśmy je w obszernej pracy siedmiu współautorów⁴⁶⁾, jednym z nich był Andrzej Groyecki, mój jednoroczny kolega ze studiów, który (jako ówczesny naczelny inżynier kopalni) – udzieloną nam pomocą – zdecydował o sukcesie całego przedsięwzięcia.

Tym sukcesem było stwierdzenie, że bez względu na kąt nachylenia rurociągu – w miarę zbliżania się prędkości przepływu do około 6 m/s – dwufazowa mieszanina piasku i wody staje się mieszaniną niemal jednorodną^{*)}. Tym sposobem (pośrednio) został udowodniony pogląd (który głosiliśmy już wcześniej), że pełne zasilanie – zapewniając maksymalną prędkość przepływu dwufazowej mieszaniny podsadzkiej – zapewnia równocześnie największą niezawodność procesu podsadzania. Drugim istotnym sukcesem było wykazanie możliwości wyznaczania empirycznych funkcji jednostkowych strat energetycznych przepływu mieszaniny podsadzkiej, w kopalnianych rurociągach, o określonym nachyleniu. Także wyznaczania z ich pomocą zarówno optymalnej gęstości mieszaniny podsadzkiej, jak

^{*)} Niezmieniającą gęstości wraz ze zmianą nachylenia rurociągu podsadzkiego.

i osiągalnej wydajności projektowanej lub eksploatowanej instalacji pod-sadzkowej⁴⁶⁾.

Opowiedziane badania były ostatnim przedsięwzięciem realizowanym wspólnie z Jurkiem Wyszomirskim. Ja pogрузylem się w innej problematyce, a On zajął się badaniem zjawiska porywania powietrza w rurociągach pod-sadzkowych. Był to również temat Jego rozprawy doktorskiej, którą obronił w GIG w 1973 roku. Tak zakończył działalność „tandem”, który powstał w 1953 roku, w pociągu między Bytomiem a Katowicami. Trwając całą dekadę – w zgodzie i wielkiej przyjaźni – pracował nad unowocześnianiem wspa-niałej technologii, o której profesor Krupiński powiedział, że jest „*dziełem my-śli i rąk polskiego górnika*”. Kiedy w końcu lat 70. powróciłem do problematy-ki podsadzki hydraulicznej Jurek Wyszomirski niestety już nie żył.

Początki prac nad poprawą skuteczności zarządzania górnictwem

Wyjściową bazę do prac nad powierzoną mi (1.04.1962 r.) organizacją Pionu Ekonomiki i Organizacji w Górnictwie – miał stanowić zakład badaw-czy o tej samej nazwie. Liczył 18 pracowników. Prowadził go docent Wiktor Strzeszewski. Był to świetny przedwojenny inżynier. W 1935 roku kierował zespołem powołanym przez Stowarzyszenie Polskich Inżynierów Górnictwa i Hutnictwa, który opracował i wydał unikalną „Monografię górnictwa pol-skiego zagłębia węglowego”. Był dyrektorem kopalni „Król” w Chorzowie – osiągającej największą wydajność wśród ówczesnych kopalń Europy. Legenda mówi, że „*na dół zjeżdżał w białych rękawiczkach*”. Przy tym bar-dzo miły i przyjacielski – wówczas już starszy pan odchodzący na emeryturę.

Zakład, który po nim „odziedzyczylem” prowadził tradycyjne badania z zakresu ekonomiki i organizacji kopalń i całego górnictwa – bardzo poży-teczne – zwłaszcza w zakresie upowszechniania cyklicznej organizacji pracy przodków ścianowych (dobrze mi znanej z kopalni „Dymitrow”). Ja jednak, przewidywałem inny kierunek rozwoju powołanego Pionu – w istocie zespołu kilku przewidywanych zakładów ds. Ekonomiki i Organizacji w Górnictwie.

Dobrze pamiętałem trudności, na jakie napotykałem, gdy przed kilku laty próbowałem – na podstawie stosowanego wówczas systemu ewidencji zaszłości kopalnianych – określić czynniki decydujące o pracochłonności oddziałów i kopalń. Chciałem te trudności usunąć! Chciałem, aby przede wszystkim pracownicy kopalń – każdy na swoim poziomie odpowiedzialności – dysponowali precyzyjną informacją o tym, co decyduje zarówno o ekono-micznej efektywności ich pracy, jak i o wynikach całej kopalni. Chciałem też, aby dysponowali sprawnymi instrumentami, ułatwiającymi im podejmowanie racjonalnych decyzji – tak w operatywnym zarządzaniu, jak w plano-waniu działań długofalowych. Choć w tym czasie na Śląsku nie było ani

jednego komputera do masowego przetwarzania informacji – byłem zdecydowany te usprawnienia realizować, wykorzystując możliwości komputerów, o których „dużo dobrego” mówiono już w Genewie już na pierwszym spotkaniu grupy ekspertów ds. *koncentracji* i mechanizacji.

Zaczęła się więc stopniowa żmudna wymiana i nabór nowych pracowników – inżynierów, programistów (matematyków), ekonomistów – z uwzględnieniem ich przydatności do nowych zadań. Niektórzy – m.in. profesor dr Edward Rose, przedwojenny absolwent berlińskich uczelni – pozostali przy swych dotychczasowych badaniach, ale większość trzeba było kierować do nowych tematów realizowanych z wykorzystaniem komputerów. Wówczas mówiło się: *maszyn cyfrowych*, zgodnie z terminologią rosyjską. Kto nie chciał lub nie mógł się przestawić na „nowe tory” – odchodził. Leon Palka mój najdawniejszy współpracownik (również w pomiarach realizowanych na instalacji „Koszelew”) przekwalifikował się na konserwatora maszyny cyfrowej UMC-1, która została wówczas zakupiona dla potrzeb Pionu we wrocławskiej fabryce.

Pierwszym istotnym badaniem, które podjęliśmy w nowo powołanym Pionie – było eksperymentalne sprawdzenie czy w praktyce kopalnianej jest możliwe wprowadzenie do systemu ewidencyjno-rozliczeniowego nowego układu *terytorialnych obiektów i rejonów* wydzielanych we wnętrzu kopalni. Jak wspominałem – ze względu na brak takiego układu, w badaniach przeprowadzonych w roku 1957, musiałem posłużyć się *oddziałem produkcyjnym*. Ten jest jednak jednostką organizacyjną o niesprecyzowanym terytorium, na którym mogą przy tym pracować (i normalnie pracują) również inne *oddziały*, na przykład *maszynowy, elektryczny* itd. Byłem przekonany, że aby umożliwić precyzyjną ewidencję całkowitych kosztów produkcji w poszczególnych przodkach – łącznie z kosztami pozaprzodkowymi, powstającymi w całym *ciągu technologicznym* (tj. na drogach transportu urobku i materiałów oraz na powierzchni kopalni) – trzeba nieodzownie zastosować nowy (dotychczas niestosowany) *terytorialny* układ ewidencyjno-rozliczeniowy.

Badania zmierzające do wyjaśnienia realności tego zamysłu rozpoczęliśmy już jesienią 1962 roku. Za zgodą dyrektora kopalni „General Zawadzki” Jerzego Malary^{*)} (po latach: Wiceministra górnictwa i prezesa Wyższego Urzędu Górniczego), pracownicy kopalni przez kilka miesięcy – bez większych trudności (w normalnym składzie) – ewidencjonowali wszystkie zaszłości (dniówki, asygnaty materiałowe, środki trwałe itd.) w obowiązujących układach i dodatkowo również w układzie *terytorialnym*. Udowodniliśmy wówczas, że zaszłości mogą być ewidencjonowane na *obiekty i rejon*y identyfikowane przydzielanymi im **indywidualnymi, niepowtarzalnymi numerami**. Wykazaliśmy, że status *obektu* bądź *rejonu* można nadawać poszczególnym elementom kopalni: przodkom eksploatacyjnym i przygotowawczym, chodnikom, szybikom, przekopom itd. oraz, że tak zbudowanym

^{*)} Przypominam fotografię na str. 295.

terytorialnym układem rozliczeniowym – obejmującym wszystkie ciągi technologiczne – można „monitorować” całą kopalnię.

Przekonaliśmy się też, że przypisując (w specjalnej kartotece) do *obiektów i rejonów*, zestaw informacji o ich wyposażeniu, warunkach geologiczno-górnictwowych, parametrach użytkowych itd. – można będzie (przy wykorzystaniu komputerów) w sposób „skokowy” zwiększyć sprawność przyczynowo-skutkowego kojarzenia informacji o kosztach i o zużyciu środków – z informacjami o warunkach produkcji. W konsekwencji można będzie zapewnić „skokowe” usprawnienie zarówno zarządzania operatywnego, jak i planowania działalności inwestycyjno-produkcyjnej i gospodarki zasobami. W istocie było to „odkrycie” zupełnie elementarne, ale właśnie ono „otwarło drogę” do wieloletnich prac (do dziś nie zakończonych) nad zasadniczą przebudową systemu informowania o stanie *wnętrza kopalni* – kierowniczej kadry zarządzającej.

Pierwsze przetwarzanie danych ewidencyjno-rozliczeniowych z badań prowadzonych w kopalni „General Zawadzki” – musieliśmy wykonywać w Gdańsku na komputerze Elliot-600. W przemyśle węglowym i na Śląsku nie było potrzebnego komputera (dopiero pojawiały się „Odry” do obliczeń numerycznych). Centralne Biuro Rozliczeń Przemysłu Węglowego (CBRPW) z obsadą około 700 pracowników prowadziło dla wszystkich kopalń ogromny zakres rozliczeń (głównie gospodarki materiałowej), stosowało jednak technologię kart perforowanych i o komputerach dopiero „zaczynało myśleć”.

W tej sytuacji szansę na przyspieszone uruchomienie skomputeryzowanego systemu emitującego usprawnione informacje analityczno-rozliczeniowe dla zarządzania – dostrzegłem w podejściu *dwuetapowym*. W pierwszej kolejności opracowywaliśmy systemy zasilane *kartami informacyjnymi* – przeznaczone do zarządzania produkcją węgla (IOS) i działalnością inwestycyjną (ISB). Na kartach były kompletowane informacje, pochodzące z funkcjonujących, tradycyjnych systemów podstawowych kopalnianej ewidencji i rozliczeń. Dopiero w drugiej kolejności – a po pięciu latach już „równolegle” – komputeryzowaliśmy systemy podstawowe, sięgając aż *do dokumentów źródłowych (dowodów zarobkowych, asygnat materiałowych itp.)*. Karty informacyjne, początkowo wypełniane ręcznie – stopniowo zastępowaliśmy przekazem komputerowym z systemów podstawowych.

Idea komputeryzacji dwuetapowej – w warunkach drastycznego niedoboru komputerów przystosowanych do masowego przetwarzania informacji analityczno-rozliczeniowych – okazała się nadzwyczaj skuteczna. Dzięki niej – zwłaszcza rozbudowując system IOS – mogliśmy znacznie przyspieszyć proces usprawniania instrumentów zarządzania operatywnego oraz wyraźnie przyspieszyć prace nad komputeryzacją i racjonalizacją metod planowania w górnictwie węgla kamiennego (w ramach obowiązującej wówczas doktryny „socjalistycznej gospodarki planowej”).

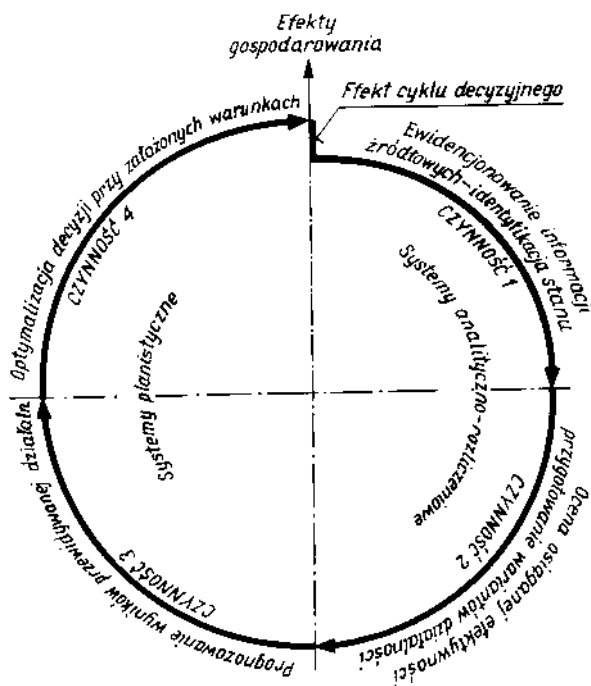
Powstanie i początkowe prace Ośrodka Naukowo-Badawczego

Od najwcześniejszej fazy organizowania prac Pionu wiedziałem, że opracowanie systemów umożliwiających bardziej precyzyjną ocenę ekonomicznej efektywności *wewnątrz* kopalń – ma usprawnić nie tylko zarządzanie operatywne, lecz także musi zapewnić przygotowanie dla kopalń i dla całej branży węgla kamiennego, sprawnych systemów planowania ich działalności inwestycyjno-produkcyjnej. Do prac nad usprawnieniem i komputeryzacją systemów planowania – przystąpiliśmy więc, gdy tylko umożliwiał to kadrowy rozwój Pionu.

Po sześciu latach, gdy Minister Jan Mitręga w piśmie nominacyjnym (20.02.1968 r.) napisał: „powierzam obywatelowi pełnienie obowiązków Dyrektora Ośrodka Naukowo-Badawczego ds. Ekonomiki i Organizacji w Górnictwie, Głównego Instytutu Górnictwa^{**1)} – Pion przekształcony w Ośrodek liczył już sześćdziesięciu pracowników. W opracowywanych

systemach zaczęliśmy realizować **zasadę zamykania elementarnych cykli decyzyjnych**, którą lansowałem w postaci poglądowego grafiku (obok). Zadanie systemów analityczno-rozliczeniowych polegało w tym cyklu na identyfikacji i analizie stanu kopalń w celu wyłonienia (kreowania) wariantów działań usprawniających oraz rozwojowych. W systemach natomiast planowania produkcji i inwestycji – zamykających cykl decyzyjny miała być dokonywana prognostyczna ocena ekonomicznej efektywności poszczególnych wariantów działalności oraz wybór wariantu optymalnego, na podstawie przyjętego kryterium (z uwzględnieniem występujących ograniczeń, na przykład dostępności środków pieniężnych lub zdolności produkcyjnej szybów).

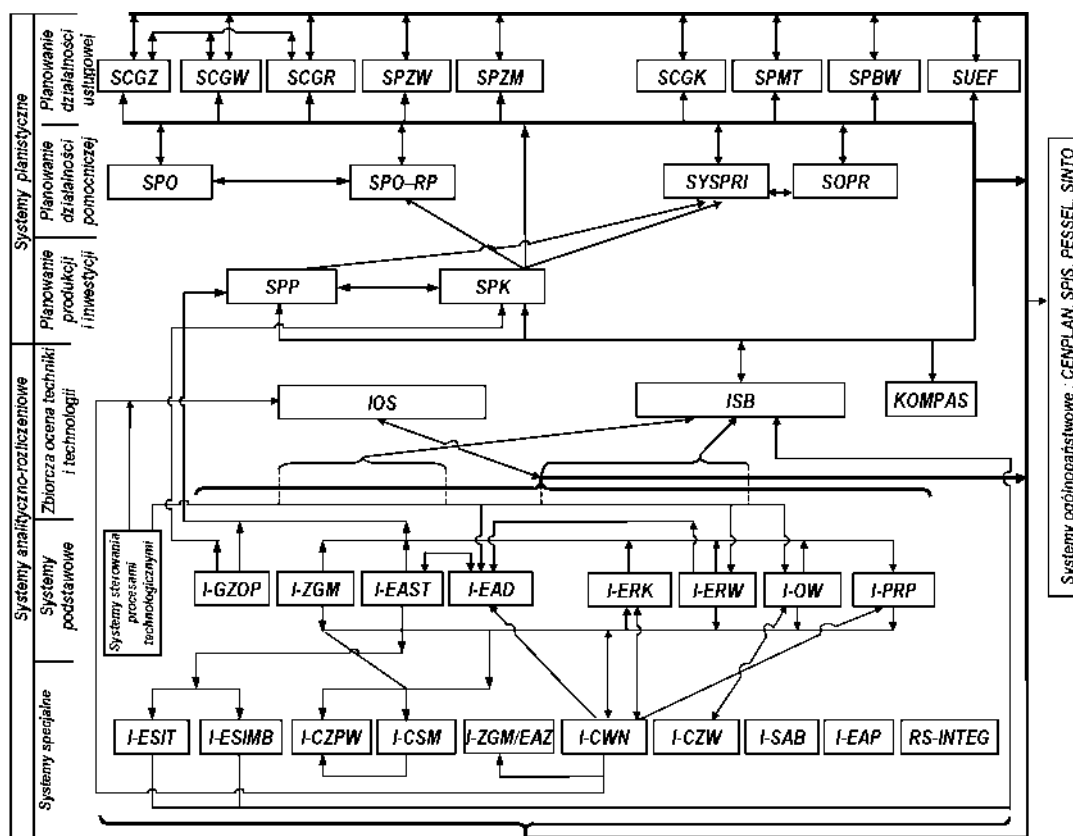
Programem przygotowania skomputeryzowanych systemów obsługujących pełny cykl decyzyjny



Elementarny cykl decyzyjny ujmujący graficznie podstawowy algorytm zarządzania, tj. sposób przejścia od poznania rzeczywistości gospodarczej do jej przekształcenia zgodnie z wymaganiami przyjętych kryteriów i ograniczeń

^{**1)} Jako bezpartyjny nie mogłem być wówczas powołany „na stanowisko” dyrektora, a jedynie do „pełnienia obowiązków”.

(łącznie z planowaniem) zostały objęte w pierwszej kolejności kopalnie i przedsiębiorstwa wykonawstwa inwestycyjnego. Następnie – w drugim etapie – również specjalistyczne jednostki obsługujące cały przemysł węgla kamiennego, takie jak: Centrala Zbytu Węgla, Centrala Zaopatrzenia, Biura Projektów i inne. W efekcie powstał tak nazwany „Model skomputeryzowanego, systemowego zarządzania w branży węgla kamiennego”⁸¹⁾, która była w istocie ogromnym, centralnie zarządzanym, socjalistycznym koncernem. Model był stopniowo „poszerzany”, aż w połowie lat 70. przybrał postać zilustrowaną poniższym schematem. Żeby lepiej uświadomić rozmiar „koncernu”:



Schemat ilustrujący wzajemne powiązanie systemów – opracowywanych w Ośrodku X-B GIG – w układzie „elementarnego cyklu decyzyjnego”. W formie przypisu podaje nazwy systemów, objaśniające ich merytoryczny zakres⁸¹⁾

⁸¹⁾ „Model skomputeryzowanego, systemowego zarządzania w branży węgla kamiennego”: wersja opublikowana w roku 1977 [129], gdy proces wdrażania systemów przewidzianych modelem był już znacząco zaawansowany we wszystkich jednostkach decydujących o produkcji i o efektywności centralnie zarządzanej branżą. Wdrażaniem były objęte wszystkie kopalnie i przedsiębiorstwa obsługujące branżę (np. Centrala Zbytu Węgla). Nazwy systemów: System SCGZ – Centralne planowanie gospodarki częściami zamiennymi do maszyn i urządzeń

dla którego *model* był przygotowywany – a więc również rozmiar realizowanego zadania – dopowiem, że branża węgla kamiennego zatrudniała wówczas około 400 000 pracowników w 74 kopalniach i ponad 30 jednostkach organizacyjnych obsługujących górnictwo.

Jak już podkreślałem – w pierwszym etapie – przewidywaliśmy opracowanie i wdrożenie dwóch systemów analityczno-rozliczeniowych: systemu IOS dla kopalń oraz ISB dla przedsiębiorstw wykonawstwa inwestycyjnego. W ślad za tymi systemami – na ich „fundamencie” – przygotowywaliśmy dwa systemy planowania produkcji i inwestycji: system SPP – planowania perspektywicznego oraz SPK – planowania pięcioletniego-rocznego.

Z uwagi na ekonomiczną efektywność zarządzania górnictwem węgla kamiennego były to systemy kluczowe – miały bowiem usprawnić zarówno działalność produkcyjną, jak i inwestycyjną. Trzeba wiedzieć, że w górnictwie podziemnym, gdzie wciąż sięga się po nowe partie złóż – a więc wyposaża

górnictwem: **System SCGW** – Centralne planowanie zaopatrzenia w podstawowe wyposażenie kopalni; **System SCGR** – Planowanie gospodarki remontowej; **System SPZW** – Centralne planowanie zbytu i dostaw węgla kamiennego; **System SPZM** – Centralne planowanie zaopatrzenia materiałowego; **System SCGK** – Centralne planowanie zatrudnienia, płac i rozwoju kadr; **System SPMT** – Planowanie rozwiązań w zakresie inwestycji produkcyjnych; **System SPBW** – Planowanie i kontrola efektywności prac badawczo-rozwojowych i wdrożeniowych; **System SUEF** – Planowanie usług eksportowych i gospodarki finansowej; **System SPO** – Operatywne planowanie produkcji w kopalniach; **System SPO-RP** – Operatywne planowanie i kontrola robót przygotowawczych; **System SYSPRI** – Centralne planowanie realizacji inwestycji i potencjału wykonawstwa; **System SOPR** – Krótkookresowe planowanie robót w wykonawstwie inwestycyjnym; **System SPP** – Planowanie perspektywiczne budowy i rozwoju kopalni; **System SPK** – Planowanie pięcioletnie i roczne produkcji i modernizacji kopalni; **System IOS** – Rozliczanie i analiza procesów produkcyjnych kopalni węgla kamiennego; **System ISB** – Rozliczanie i analiza działalności inwestycyjnej przemysłu węglowego; **System KOMPAS** – Centralna informacja kierownictwa; **System I-GZOP** – Ewidencja i analiza gospodarki zasobami węgla; **System I-ZGM** – Ewidencja, rozliczanie i analiza gospodarki materiałowej; **System I-EAST** – Ewidencja, rozliczanie i analiza środków trwałych; **System I-EAD** – Ewidencja i analiza informacji dyspozytorskich; **System I-ERK** – Ewidencja i rozliczanie księgowo; **System I-ERW** – Ewidencja zarobków, obliczanie i rozliczanie wynagrodzeń oraz analiza kadr; **System I-OW** – Ewidencja i rozliczanie obrotu węgla w kopalni; **System I-PRP** – Kalkulacja kosztów własnych produkcji; **System I-ESIT** – Ewidencja, rozliczanie i analiza scentralizowanej gospodarki transportowej; **System I-ESIMB** – Ewidencja, rozliczanie i analiza scentralizowanej gospodarki sprzętem budowlanym; **System I-CZPW** – Analiza i rozliczanie całokształtu gospodarki materiałowej oraz Centrali Zaopatrzenia; **System I-CSM** – Rozliczanie, analiza i kontrola scentralizowanej gospodarki zaopatrzeniowo-magazynowej; **System I-ZGM/EAZ** – Bank informacji o częściach zamiennych; **System I-CWN** – Rozliczanie, analiza i kontrola scentralizowanej gospodarki wyposażeniem górnictwem; **System I-CZW** – Rozliczanie i analiza zbytu węgla kamiennego; **System I-SAB** – Ewidencja, rozliczanie i analiza działalności zaplecza naukowo-badawczego; **System I-EAP** – Ewidencja, rozliczanie i analiza działalności zaplecza projektowego; **System RS-INTEG** – Resortowy system informacji naukowo-technicznej i ekonomicznej. **Uwaga:** Litera „I” rozpoczynająca symbol systemu, oznaczała jego funkcjonowanie w układzie *indywidualnych* (niepowtarzalnych) kont rozliczeniowych (rejonów i obiektów układu *terytorialnego*).

nowe przodki, otwiera kolejne pola górnicze... itp. – **działalność inwestycyjna jest nierozdzielnie związana z bieżącym wydobyciem**. Produkcyjne i inwestycyjne wnętrza kopalni węgla kamiennego w Górnośląskim Zagłębiu była przeważnie rozlokowane w złożu o powierzchni 10–30 km², na głębokości 300–1000 m i obejmuje sieć wyrobisk długości 50–250 km.

Znając dobrze z doświadczeń wyniesionych z kopalni „Dymitrow” – rażąco prymitywny sposób funkcjonowania obowiązującego wówczas *uznaniowo-przetargowego systemu socjalistycznego planowania* – widziałem konieczność usprawnienia tego systemu. W miejsce subiektywnej *uznaniowości* chciałem wprowadzać obiektywne kryteria ekonomiczne. Podobnie – zamiast *przetargu*, w którym jednostka nadrzędna stara się narzucać możliwie największe zadania planowe, natomiast jednostka realizująca plan stara się je maksymalnie zmniejszać (zawyżając równocześnie zapotrzebowanie na środki realizacyjne) – chciałem uruchomić system *przetargu o charakterystyce rynkowej*. Kopalnie miały (w tym systemie) przygotowywać swoje oferty (dla nich korzystne), z których skomputeryzowany system planowania wybierałby optymalny zestaw ofert – odpowiadający kryteriom i ograniczeniom przyjętym przez Ministerstwo (koncern), dla wszystkich kopalń lub ich grupy (np. grupy kopalń wydobywających głównie węgiel koksowy). Kopalnia, której propozycje nie byłyby przyjmowane – byłaby marginalizowana – co oczywiście nie leżało w interesie jej kierownictwa.

Przyjęcie tak pomyślanego kierunku usprawniania *socjalistycznego* systemu planowania produkcyjnej i inwestycyjnej działalności górnictwa węgla kamiennego – nie było trudne. Narzucało się – jako oczywista reakcja na *toporność* ówczesnej praktyki. Trudności zaczęły się piętrzyć dopiero na drodze do przygotowania konkretnych rozwiązań – doboru metod oraz przygotowania algorytmów i ich oprogramowania. Na szczęście pozostałe systemy przewidziane *modele*m – obsługujące głównie działalność analityczno-rozliczeniową oraz planowanie działalności jednostek obsługujących kopalnie – stwarzały mniej merytorycznych trudności.

Tak, więc w latach 70., gdy umożliwił to rozwój kadry Ośrodka – opracowywaliśmy: dwa systemy I etapu (IOS i ISB – środkowa część schematu na str. 337) realizujące zbiorczą analityczno-rozliczeniową ocenę kopalń i przedsiębiorstw wykonawstwa inwestycyjnego oraz dwa podstawowe systemy: planowania perspektywicznego (SPP) i pięcioletniego – rocznego (SPK). Ponadto osiem podstawowych i dziesięć specjalistycznych systemów analityczno-rozliczeniowych (pokazanych w dolnej części schematu) oraz 13 systemów planowania działalności jednostek pomocniczych i usługowych (górną część schematu). Łącznie 35 systemów.

Nie miałem wątpliwości, że do rozwiązania problemów planowania trzeba zastosować lansowane już w owym czasie – metody matematyczne i symulację komputerową. Dzięki wcześniejszym spotkaniom w genewskiej

grupie ekspertów Komitetu Węglowego EKE oraz informacjom uzyskanym w Dziale Badań Operacyjnych Zarządu brytyjskiego górnictwa węglowego (w czasie półrocznego stypendium ONZ w 1967 r.) – miałem dość dobre rozpoznanie możliwości „reprezentowanych” przez te metody. Byłem przekonany, że problem obiektywnej, ekonomicznej oceny różnych wariantów budowy i rozwoju poszczególnych kopalń – da się rozwiązać jedynie **przez zastosowanie komputerowej symulacji funkcjonowania kopalni, z równoczesną – dokonywaną przez komputerowy system – wyceną ponoszonych nakładów i kosztów.** Do sporządzenia natomiast perspektywicznych oraz pięcioletnich i rocznych planów inwestycyjno-produkcyjnej działalności **całego górnictwa węgla kamiennego (lub jego specyficznych części)** – przewidywałem **metodę zero-jedynkowego programowania liniowego** – w świecie już dość dobrze sprawdzoną w rozwiązywaniu problemu alokacji środków.

Na szczęście, w końcowych latach 60. funkcjonowała już uruchomiona w kopalniach – w postaci systemów analityczno-rozliczeniowych (IOS, ISB) – *baza informacji wsadowych* do przewidywanych skomputeryzowanych systemów, które miały usprawnić planowanie rozwoju poszczególnych kopalń i całego górnictwa. W Ośrodku był też zespół – częściowo przygotowany do podjęcia prac nad komputeryzacją planowania. Zespół ten wcześniej stosował już *siatki czynności PERT* do opracowywania harmonogramów wykonawstwa robót górniczych. Jego liderem i pracownikiem rozwiązującym najtrudniejsze problemy skomputeryzowanego planowania perspektywicznego (SPP) i pięcioletniego-rocznego (SPK) był Andrzej Czyłok, absolwent technikum górniczego i matematyk zatrudniony wcześniej w moskiewskim Instytucie Fizyki Jądrowej oraz wrocławskiej fabryce komputerów. Twierdząc, że był w GIG-u najlepszym matematykiem wśród górników i najlepszym górnikiem wśród matematyków.

W zespole, który prowadził, zostały zapoczątkowane i w następnych latach znacząco rozwinięte **prace przełomowe w rozwoju skomputeryzowanych systemów zarządzania podziemnym górnictwem węgla kamiennego – i również innych kopalni.** Przy wykorzystaniu zmodyfikowanych przez Czyłoka sieci typu PERT – został przez ten zespół przygotowany pakiet skomputeryzowanego Systemu Planowania Perspektywicznego (SPP.1), który *umiał symulować* funkcjonowanie kopalń. Symulacja była prowadzona z zachowaniem *logiki „dobrego gospodarza”* oraz wymagań przyjętego kryterium (np. minimalnego kosztu [zł/tonę] lub maksymalnego zysku) – przez dowolnie długi okres (np. do wyczerpania zasobów). Wyznaczaną w procesie symulacji techniczno-ekonomiczną charakterystykę badanych wariantów prowadzenia kopalni – system podawał w formie *wieloprzekrojowych* tablic. Tym sposobem umożliwiał przeprowadzanie porównawczej, ekonomicznej oceny rozpatrywanych wariantów. Uzyskiwane oceny były przy tym maksymalnie obiektywne, bo były dokonywane przez komputer według identycznej

procedury i przy wykorzystaniu tego samego *cennika* (w postaci tzw. *modelu kosztów*), uogólniającego doświadczenia całego górnictwa węgla kamiennego.

Zespół A. Czyłoka opracował też pakiety oprogramowania (SPP.2 i SPK), które (przy wykorzystaniu metody programowania zero-jedynkowego) – *umiały* spośród ogromnej liczby odpowiednio ocenionych wariantów kopalnianej działalności – kompletować zestawy *optymalne* (tzn. spełniające wymagania przyjętych kryteriów i ograniczeń). Skalę oceny mógł dobierać użytkownik tych pakietów. Mogła to być, na przykład skala Zjednoczenia kopalń lub całego górnictwa węgla kamiennego. Ze zrozumiałych względów rezygnuję z omawiania dalszych szczegółów.

Znamienny dla warunków, w których rozwijałem prace swego Zespołu – był nie tylko mój udział w pracach prowadzonych przez Komitet Węglowy Europejskiej Komisji Ekonomicznej ONZ (ECE – COAL) w Genewie, ale również zaangażowanie w prace jednej z agend RWPG. Od roku 1967, Pion, a później Ośrodek, był wykorzystywany w pracach RWPG-owskiej Rady Naukowo-Technicznej Nr 6, Ekonomiki i Organizacji Górnictwa Węglowego. Prace te były organizowane przez Ministerstwo Górnictwa oczywiście z większym „urzędowym rozmachem” niż prace genewskich Komitetów i grup ekspertów, po drugiej stronie „żelaznej kurtyny”. Nacisk był kładziony głównie na wymianę doświadczeń w zakresie prac nad usprawnieniem aktualnego systemu zarządzania przemysłem węglowym – podczas gdy w Genewie raczej na śledzenie tendencji rozwojowych i postępu naukowo-technicznego.

Spotkania wieloosobowych delegacji poszczególnych krajów były organizowane w formie dużych, kilkudniowych konferencji. Ich organizatorem była początkowo delegacja górnictwa radzieckiego. Później jednak spotkania odbywały się kolejno w poszczególnych krajach – a ich organizatorem były ministerstwa odpowiedzialne za funkcjonowanie górnictwa węglowego. Z uwagi na to, że brali w nich udział dyrektorzy Departamentu Planowania i inne ministerialne „szyszki” – funkcjonowała swoista rywalizacja między delegacjami – głównie w aspekcie wyboru ciekawego miejsca na spotkania i przygotowania dodatkowych atrakcji turystycznych.

Dobrze pamiętam dwa spotkania zorganizowane przez delegację radziecką. Jedno odbyło się w miejscowości Miedzureczeńsk^{*1} – położonej między dopływami rzeki Ob i Jenisej w ich górnym biegu. Tu autentyczną atrakcją stanowił wyjazd w syberyjską tajgę. To, co widziałem okazało się lasem – z dość rzadko rosnącym świerkowym „starodrzewiem” oraz świerkowymi i brzozowymi „młodniakami”. Uroda pokazanej nam tajgi nie mogła się równać z urodą naszej Puszczy Białowieskiej lub Augustowskiej. Drugie spotkanie było zorganizowane w Zagłębiu Rostowskim, a jego atrakcją był wyjazd do Stalingradu i na tamę, która spiętrza Wolgę powyżej tego miasta.

*1 Rejon Nowosybirsk, Kuźnieckie Zagłębie Węglowe.

Zabudowa całkowicie odbudowanego miasta nie robiła większego wrażenia. Imponujący był natomiast kolosalny monument z postacią zwyciężskiej Rosji, wzniesiony na wzgórzu Mamaja – wraz z muzeum upamiętniającym walki stoczone tu z Niemcami na przełomie lat 1942/1943. Niezwykle wrażenie robiło również ogromne „kłębowisko” jesiotrów i łososi tłoczących się pod tamą, przegradzającą ich wędrówkę w górę Wołgi. Obszerna klatka, do której wpuszczano to kłębowisko i wyciągano na poziom lustra zalewu za tamą – raziła nieporadnością w porównaniu z siłą natury pracą te ławice do źródeł Wołgi i jej dopływów.

Po latach swój udział w pracach Rady Naukowo-Technicznej Nr 6 – prowadzonej bardzo kulturalnie przez profesora Charczenkę – oceniam jako pozyteczny. Prace te umożliwiały określenie zaawansowania i skuteczności naszych badań na tle realizowanych w górnictwie innych socjalistycznych państw – co w wielu zakresach dawało podstawy do uzasadnionej satysfakcji. Kontakty nawiązane w wyniku tej współpracy owocowały też wieloletnią dwustronną współpracą między moim Zespołem a jego odpowiednikiem



Posiedzenie Rady Naukowo-Technicznej Nr 6. Za stołem (od lewej) siedzą: profesor Astachow i profesor Charczenko (przewodniczący)

w Zagłębiu Ostrowsko-Karwińskim i Moskwie.

Bezpośrednia współpraca z profesorem Astachowem i jego kolegami w moskiewskim instytucie – doprowadziła do kilku wzajemnych wizyt. W ich pozasłużbowym nurcie profesor Astachow pokazał nam Zagorsk – podmoskiewskie centrum tradycyjnego „carskiego prawosławia”. Widok „babuszek” i mężczyzn

padających na kolana i całujących rękę lub sutannę przechodzącego popa z trudem mieścił się w głowie, bo były to przecież lata szczytowej potęgi „sowieckiego socjalizmu”.

My pokazaliśmy Profesorowi i radzieckim kolegom Klasztor Jasnogórski wraz z jego biblioteką i skarbcem oraz Kraków – oczywiście z Sukiennicami i Wawelem. Pokazaliśmy też przełom Dunajca. Gdy robiliśmy tam spływ tratwami, była piękna złota jesień. Zbocza Sokolicy i jej szczyt, wznoszący się nad nurtem Dunajca, robiły ogromne wrażenie. Wszystko co pokazywaliśmy było dla nich nowe. Z satysfakcją patrzyliśmy, jak zmieniało się ich „patrzenie” na Polskę – która dla Rosji była kiedyś *Prywislenskim Krajem*.

Największa z moich badawczych pasji i jej „załamanie”

Nazwa Ośrodka po trzech latach funkcjonowania została skorygowana (1971 r.). Brzmiała: Ośrodek ds. Ekonomiki, Organizacji i Komputeryzacji Zarządzania. Ośrodek liczył już w tym czasie ponad 140 pracowników zgromadzonych w pięciu zakładach. Oprócz prac nad kolejnymi, wciąż usprawnianymi, generacjami systemów już funkcjonujących – trwały prace nad dalszymi systemami zarówno analityczno-rozliczeniowymi, jak i planistycznymi.

W 1969 roku w Centralnym Biurze rozliczeń został zainstalowany duży komputer ICL-1904E – wraz z wyposażeniem umożliwiającym masowe przetwarzanie danych. Znaczna część potencjału Ośrodka została więc skierowana do wdrażania systemów – bądź ich modułów i odcinków – gdy zostały już przetestowane i uznane za nadające się do przemysłowego stosowania.

Wraz z systemem IOS – do praktyki kopalnianych rozliczeń – został wdrożony nowy – *terytorialny* – układ rozliczeniowy *rejonów i obiektów*, identyfikowanych indywidualnymi (niepowtarzalnymi) numerami. Wdrożenie to nie napotkało w kopalniach żadnych trudności! Dzięki informacjom *względnie statym* przypisywanym do *rejonów i obiektów* – skuteczność kopalnianej analityki kosztów, pracochłonności, materiałochłonności... wzrosła w sposób „skokowy” (zgodnie z przewidywaniami). W ramach systemu zostały wdrożone kolejne odcinki realizujące między innymi: znacząco usprawnione rozliczanie i analizę efektywności oddziałów produkcyjnych i usługowych oraz poszczególnych przodków i systemów eksploatacyjnych (odcinki 1, 2, 3); rozliczanie i analizę pozaprodzokowych procesów technologicznych (odcinek 4); skomputeryzowaną statystykę techniczną kopalń (odcinek 6.1)... i in.^{50, 125)}

Szczególną satysfakcję sprawiło mi wdrożenie odcinka IOS.8 realizującego – zgodnie z zakresem określonym przez użytkownika – międzykopalniane analizy porównawcze efektywności oddziałów, przodków, ciągów technologicznych i układów mechanizacyjnych. Odcinek ten stwarzał możliwość upowszechniania w zarządzaniu kopalniami zasady „*równania do najlepszych*”, którą Bolesław Krupiński stosował przed wojną w kopalniach Rybnickiego Gwarectwa (str. 267–268). System wyszukiwał w całym górnictwie węgla kamiennego, i prezentował w obszernym arkuszu analitycznym, przypadki – na przykład oddziałów lub układów mechanizacyjnych, funkcjonujących w porównywalnych warunkach górniczych i technicznych – wraz z osiąganymi wskaźnikami: produkcji, kosztu, pracochłonności itp. Otwierał tym sposobem drogę do sięgania po najlepsze doświadczenia innych kopalń. Ograniczał też możliwość usprawiedliwiania niezadowolających wyników zarządzania – trudnymi warunkami – bez sprawdzenia, jak sobie w równie trudnych warunkach radzą inni.

Pomyślnie wdrożenie *terytorialnego* układu rozliczeń oraz usprawnionego rozrachunku oddziałowego (IOS.1) jako układu *organizacyjnego* – zachęcało do zastosowania rozwiązań docelowych. Rozpocząłem więc starania o wycofanie z kopalni, tzw. *Wykazu stanowisk kosztów* – stosowanego od lat 50. i już całkowicie przestarzałego – aby w to miejsce wprowadzić nowoczesny rozliczeniowy układ *procesów* (produkcyjnych i technologicznych). Niestety, ówczesny dyrektor Departamentu Planowania w Ministerstwie Górnictwa i Energetyki nie wyraził na to zgody, a interwencje u Ministra Mitreği okazały się nieskuteczne. Szansa wdrożenia już wówczas *trójukładowego modelu* ewidencji i analizy zaszczości w kopalniach węgla kamiennego – obejmująca układy: *organizacyjny, terytorialny i procesowy* – została niestety **zaprzepaszczona**. *Wykaz stanowisk kosztów* pozostał układem obowiązującym i wiodącym, a *terytorialny* układ *rejonów i obiektów* funkcjonował jako „podrzędny”. Doprowadziło to w latach 90. do bardzo niefortunnej modyfikacji układu *terytorialnego* – z fatalnym skutkiem dla dalszego rozwoju prac nad usprawnianiem zarządzania w górnictwie węgla kamiennego (do tej sprawy jeszcze powrócę).

Już na początku lat 70. znaczna część systemów określonych pokazanym *modelem komputeryzacji* (str. 337) funkcjonowała w przemyśle z oprogramowaniem I lub II generacji. Niektóre funkcjonowały z kompletem przewidzianych *odcinków i modułów*, inne tylko z tymi, które były gotowe do stosowania. We wdrożonych *systemach, odcinkach i modułach* użytkowano kilkaset programów, a łączna liczba informacji zgromadzonych w kartotekach stosowanych systemów, wyrażała się w setkach milionów¹²⁹⁾.

Kadra Ośrodka zaczęła w swych portfelach „odeczuwać” efekty wykonywanej pracy. Z tzw. *umów wdrożeniowych* zaczęły płynąć do Ośrodka poważne kwoty nagród, z czasem przekraczające wysokość „normalnych poborów” (lata 1972–1974). Dzieliąc te kwoty starałem się możliwie najsprawiedliwiej „wyważać” wkład poszczególnych zespołów i pracowników w merytoryczny i organizacyjny dorobek Ośrodka. Było to dla mnie nowe doświadczenie i obowiązek, którego nie lubilem. Sobie i swemu zastępcy, przydzielałem nagrody na poziomie tylko trochę wyższym niż kierownikom Zakładów.

Źródłem naszej pozafinansowej satysfakcji z działalności wdrożeniowej były też nagrody zespołowe przyznawane w formie dyplomów. Wymienię dwie: nagrodę drugiego stopnia za *Wdrożenie i upowszechnienie systemu centralnej gospodarki urzędzeniami górniczymi* (1971 r.) oraz nagrodę pierwszego stopnia za *Bank informacji o procesie inwestycyjnym w przemyśle węglowym* (1972 r.). Pierwszą przyznał Minister Górnictwa i Energetyki, drugą także szef resortu, wspólnie z Komitetem Nauki i Techniki.

W październiku 1970 roku wziąłem udział w całomiesięcznej wyprawie do Stanów Zjednoczonych – zorganizowanej przez Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa (TNOiK) – w drodze wymiany z Międzynarodo-

dowym Centrum Studiów Zarządzania (CIMS)⁷⁾. Grupa liczyła 8 osób pod przewodnictwem profesora Jerzego Doerffera z Instytutu Okrętowego w Gdańsku. Zadaniem grupy – jak to sformułował Prezes TNOiK, prof. Andrzej Zalewski – było „zapoznanie się z aktualnym stanem i metodami stosowania komputerów w zarządzaniu dużymi jednostkami gospodarczymi USA”. Byliśmy podejmowani przez zarządy trzech dużych firm produkujących komputery (w tym IBM zatrudniającej wówczas 300 000 pracowników), dziesięciu dużych firm użytkujących komputery w ponadprzeciętnej skali i trzy firmy doradcze w zakresie komputeryzacji zarządzania.

Powróciłem z tej wyprawy pod ogromnym wrażeniem skali, którą w dużych korporacjach osiągnęła komputeryzacja zarządzania. Tak na przykład w firmie IPCO⁸⁾ produkującej papier i opakowania, na jednej hali pracowało 46 dużych komputerów obsługujących zarządzanie korporacją. W systemie planowania strategicznego – optymalizowano alokację dostaw drewna z własnych plantacji oraz przesyłu wyrobów z fabryk do składów i do odbiorców, – przyjmując kryterium maksymalnego zysku i minimalnego ryzyka. Stosowano przy tym metodę programowania liniowego, co wymagało rozwiązywania układu około trzech tysięcy równań z dziesięciu tysiącami niewiadomych, a trwało około 12 minut. Utwierdziłem się też w przekonaniu, że wobec braku możliwości na zainstalowanie w branży węgla kamiennego kilkudziesięciu dużych komputerów – przyjęcie w naszych pracach *dwuetapowego* programu komputeryzacji było jedynym słusznym rozwiązaniem. W 1971 roku w pierwszym numerze tygodnika „Życie Gospodarcze” opublikowałem, po powrocie, obszerny artykuł, w którym zachęcałem również inne branże do stosowania takiego rozwiązania⁴⁹⁾.

Zupełnie niespodziewaną – dodatkową atrakcją tej wyprawy do USA był niedzielny wypad z Nowego Jorku nad wodospad Niagara, który „zafundowałem” sobie autobusową linią Greyhound (jazda nocą, w dzień zwiedzanie). Wrażenie było niezapomniane.

Zwiedzanie Bostonu, Nowego Jorku i nieodległych „zimowisk” armii Waszyngtona z okresu walk o niepodległość USA – zorganizował CIMS dla całej grupy.



Wodospad Niagara. Mało jest miejsc na Ziemi, które tak niemal „dotykalnie” ukazują potęgę natury

⁷⁾ Centre for International Management Studies.

⁸⁾ International Paper Co (IPCO).



Zwiedzanie Nowego Jorku – Statua Wolności widziana ze spacerowego statku

W pierwszej dekadzie funkcjonowania najpierw Pionu a później Ośrodka, opublikowałem kilkanaście artykułów lansujących problematykę usprawniania i komputeryzacji zarządzania. W niektórych – jako współautorzy występował współpracownicy, ale w 1971 roku kadra Ośrodka oraz jego dorobek badawczo-rozwojowy i wdrożeniowy zasługiwały już na szerszą prezentację. Edward Mikuła – dyrektor Departamentu Nowej Techniki, który w ramach, tzw. *problemu resortowego 104*, finansował

wówczas badania Ośrodka i przydzielał mu dodatkowe etaty – podchwycił tę myśl. Zainteresował nią Ministra Jana Mitręgę, wówczas również Wicepremiera. Minister, który zawsze popierał komputeryzację zarządzania – zdecydował, że w czerwcu 1972 roku ma się odbyć krajowe, międzybranżowe sympozjum poświęcone osiągnięciom przemysłu węglowego w tym zakresie.

Referaty przygotowane na sympozjum zostały opublikowane w wydawnictwie książkowym o objętości ponad 500 stron. Znalazło się w nim 28 referatów – w tym referat Ministra i 4 referaty dotyczące zarządzania zautomatyzowaną kopalnią „Jan”, która była Jego „pupilem”. W przygotowaniu, przez Ośrodek, dwudziestu trzech pozostałych referatów wzięło udział – z wkładem autorskim – trzydziestu dwóch pracowników, przy czym dla większości były to ich pierwsze publikacje. Doprowadzenie do wydania tej książki do dziś uważam za swój duży sukces. Zupełnie wyjątkowo – aby zakończyć w terminie jej przygotowanie do druku – poświęciłem na ten cel dwa tygodnie urlopu, który wówczas spędzałem w domu wczasowym w Krynicy. Treść książki stanowi – moim zdaniem – „twardy” dowód, że „fundament”, który wówczas założyliśmy pod komputeryzację zarządzania strategiczną branżą naszej gospodarki – był badawczo oryginalny i solidny. Cztery lata po jej wydaniu (w 1976 r.) Polskie Towarzystwo Ekonomiczne – w *IV Konkursie o Nagrodę Naukową PTE im. prof. Oskara Langego* – przyznało wszystkim współautorom wyróżnienie zbiorowe. Sympozjum wywołało duże zainteresowanie. Pamiętam, że „pokazał się” na nim redaktor Stefan Bratkowski – śledzący wówczas proces komputeryzacji przemysłu – i chwalił naszą „robotę”. Po dwóch latach (1975 r.) wydał świetną książkę pt.: „Skąd przychodzimy?”, którą uważam za jedną z najlepszych spośród wydanych w epoce PRL.

Miesiąc przed tym sympozjum – Rada Państwa, uchwałą z dnia 4 maja 1972 r. – nadała mi tytuł profesora nadzwyczajnego nauk technicznych^{*)}.

^{*)} Nominację otrzymałem ponad osiem lat po habilitacji. Podobno wniosek GIG w sprawie mojej nominacji „przeleżał parę lat w Komitecie Wojewódzkim PZPR”.

Wręczenie nominacji przez profesora Jabłońskiego – organizowane w Belwederze – robiło duże wrażenie (mimo, że odbywało się w wielkim tłumie).

Katastrofalna zmiana, której na naszym poziomie funkcjonowania nikt się nie spodziewał – nadeszła w końcu 1974 roku. Minister Mitrega został odwołany. Jego miejsce w resorcie zajął Jan Kulpiński – uprzednio Naczelny Dyrektor Bytomskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego. Ze studiów ledwie go pamiętałem (kończył AGH rok później), a w pracy nie miałem z nim kontaktu. Wiedziałem, że forsuje zawałową eksploatację pod miastem Bytom i dziwiłem się, że ekspertyzy AGH to „przyklepują”. Jak niosła nieoficjalna wieść – nowy Minister zobowiązał się wobec Biura Politycznego PZPR podwoić tempo przyrostu produkcji węgla, czemu Minister Mitrega – obawiając się rabunkowej gospodarki – był przeciwny.

Wkrótce po tej zmianie zostałem w Instytucie poinformowany, że Ośrodek, w którym pełniłem obowiązki Dyrektora zostaje z dniem 1 stycznia 1975 r. przeniesiony z GIG do dawnego Centralnego Biura Rozliczeń (CBR), przekształcanego w Centralny Ośrodek Informatyki Górnictwa (COIG) – ja natomiast mam być awansowany na Sekretarza Naukowego GIG. Od razu, przez sekretariat Ministra, poprosiłem go o rozmowę. Przyjął mnie w obecności Wiceministra Benona Stranza, do niedawna naczelnego Dyrektora GIG. Prosiłem o pozostawienie mnie z zespołem, który zorganizowałem i, z którym pracowałem przez 13 lat: chciałem pozostać w dotychczasowej problematyce niekoniecznie na pozycji szefa (wiedziałem, że ma nim zostać protegowany Ministra). Odmowa była oschła i zdecydowana. Profesor Stranz uspokajał mnie i zapewniał, że stanowisko Sekretarza Naukowego też może dać dużo satysfakcji.

To była największa klęska, jaką przeżyłem w karierze zawodowej. Traciłem świetny zespół naukowo-badawczy, z którym przez kilkanaście lat realizowałem największą ze swoich badawczych pasji. Gdy byłem usuwany z zespołu, liczył już 186 pracowników z wykształceniem: inżyniera górnika, matematyka lub ekonomisty – w równych proporcjach po około 30%. Co istotne, był dobrze przygotowany do prac prowadzonych w pełnym cyklu – od badań do wdrażania gotowych systemów profektywnościowego zarządzania (B+R+W). Dopiero teraz ten potencjał był *gotowy* do pełnego wykorzystania. Miałem już trzech wypromowanych doktorów (dr A. Czylok przygotowywał habilitację), a sześciu dalszych przygotowywało dysertacje – z reguły wykorzystując badania, w których tkwili. Choć w następnych latach zdołałem ich wypromować – pracowali już nie ze mną. Miałem świetnego zastępcę – Eugeniusza Pawelczyka (w 1973 r. obronił w GIG pracę doktorską), który miał niewątpliwie, bardzo duży udział w sukcesach Ośrodka^{*)}. Także sprawnych (niektórych,

^{*)} Ponieważ zastępca bezpartyjnego dyrektora Ośrodka musiał być partyjny, z trudem namówiłem go, by zapisał się do PZPR. Później był znaczącą postacią górniczej Solidarności.

znakomitych) – „wyrosłych” w Ośrodku – kierowników zakładów, pracowni i zespołów realizacyjnych.

Kiedy na ostatnim spotkaniu (kolacji) – żegnałem się z kierowniczą kadrą Ośrodka – nie byłem w stanie ukryć wzruszenia. Był to w moim życiu zawodowym – moment wyjątkowo trudny. Żalowałem nie czasu, który minął – bo ten został dobrze wykorzystany – ale brutalnie „zalamanej” perspektywy. Wiedziałem, że pracownik naukowy pozbawiany zespołu badawczo-rozwojowego i wdrożeniowego traci niemal wszystko, co przesądza o szerszych możliwościach dalszego rozwoju i wpływania na gospodarczą rzeczywistość. Mogłem się pocieszać tym, że również dla wielu Kolegów to rozstanie było dużym przeżyciem – czego nie ukrywali – ale nie była to pociecha skuteczna.

Gdy Koledzy już się zainstalowali w COIG – ósmego stycznia – otrzymałem od nich piękny album: „W renesansowej Florencji”. Gdy dziś czytam wpisaną w nim dedykację: *„Pamięć profesorowi Andrzejowi Lisowskiemu, z wyrazami serdecznego przywiązania i wdzięczności za wieloletnią naukę i opiekę”* – i przyglądam się złożonym pod nią podpisom (156) – wraca wzruszenie i żal utraconej szansy dalszej współpracy z tak świetnym zespołem.

W nowych warunkach – z oczywistych względów – kontakt z większością Kolegów został urwany. W 1977 roku udało się jeszcze doprowadzić do opracowania i wydania w GIG pracy zbiorowej¹²⁰⁾ z autorskim wkładem wielu Kolegów, (mówię o tym obszerniej na str. 379–380), ale później kontaktów było coraz mniej. Najtrwalsze okazały się okazjonalne spotkania z moimi doktorantami. Jedno z nich odbyło się w roku 2007 – po 33 latach od zerwania służbowych powiązań. Koledzy: Eugeniusz Pawelczyk, Antoni Madejski, Roman Mastej, Stanisław Jędrzychowski, Jerzy Syrkiewicz i Adam Hassa – zaprosili mnie na Barbórkowe przyjęcie i wraz z życzeniami znów wręczyli mi wspólny album *„Polska – bliskie podróże”*. Okazało się, że *fatalna decyzja fatalnego Ministra* nie wszystko zdołała zniszczyć.

Czas urlopów i świąt

Relację zacznę od lata 1959 roku – od znamiennej decyzji, którą potwierdzałem „twardą” wolę powrotu do NORMALNOŚCI. Kupiłem kajak – „następcę” tego, którym przed wojną pływałem w Lacku. Był to „Neptun” – składak bardzo udanej polskiej konstrukcji – wyposażony w *burty* nadmuchiwane powietrzem. Zarejestrowałem go 28 lipca w Rejonie Dróg Wodnych w Augustowie („dokument” zachował się w domowych *szpargałach*) – co było wówczas konieczne, aby legalnie ruszyć na spływ. Odbyłem go z Tadeuszem i Janką, którzy płynęli kajakiem pożyczonym od przyjaciół. Ja płynąłem z Dudkiem, bardzo miłym spanielem, który uwielbiał jazdę samochodem (na przednim siedzeniu) i także pływanie kajakiem. Dobrze wiedział, kiedy odpływamy i pierwszy zajmował swoje miejsce.



Biwak nad Jeziorem Studzienicznym. Poranna krzątania, a ja „ćwiczę” spartańskie golenie bez lusterka



Odpływamy! Tadeusz już gotowy, a mój Dudek czeka w kajaku

To był świetny spływ – klasyczną „pętlą”: z Augustowa przez Jezioro Białe i Studzieniczne. Suchą Rzeczkę oraz Serwy – z konną „przewózką” na Wigry – a dalej Czarną Hańczę do Kanalu Augustowskiego i Augustowa. Wówczas nie było płatnych biwaków. Stawało się „na dziko” – bez żadnych ograniczeń – tak jak to robił Tadeusz z Mietkiem w czasie sławnego „spływu giganta” (str. 42). Trzeba było tylko wybrać piękny brzeg i mieć ze sobą namiot oraz wszystko, co niezbędne na kajakowym spływie... Gdy w 2007 roku znów płynąłem szlakiem Czarnej Hańczy – chyba po raz dziesiąty (straciłem „rachubę”) – biwakowało się już w miejscach wyznaczonych – ale mimo to szlak Wigier, Hańczy i Kanalu Augustowskiego jest wciąż „unikalny”.

W 1960 roku, zrobiłem z Tadeuszem i z Dudkiem (bez Jany, która niedomagala) udany, choć krótki spływ szlakiem jezior Brodnickich oraz Drwęcą do Wisły i dalej Wisłą do Torunia. Zwiedziliśmy wówczas zamek w Gołubiu-Dobrzyniu i Toruń. Życie obrzydzała niestety wyjątkowa plaga komarów.



Biwak na spływie Drwęcą



Piaskowa łacha na Wiśle przed Toruniem

W latach 1958–1959 – byłem już dość oswojony ze swoją sytuacją – człowieka, który porusza się na protezie. Skończyłem 36 lat i zacząłem poważnie myśleć o małżeństwie. Uaktywniłem kontakty koleżeńskie i towarzy-



*Gizela Krzyżaniak – gdy ją
poznałem w 1959 roku*

skie. Zacząłem bywać w „Klubie NOT” w Katowicach, gdzie – znów z Zygmuntem Faleckim – czasem graliśmy w brydża. Tam poznałem Gizię. Korzystając z biura podróży zrobiliśmy wyprawę na Zakaukazie do Soczi, Gagry i Suchumi. Była dziewczyną miłą i pogodną. Byliśmy zgodni, że razem możemy być szczęśliwi. 11 lipca 1961 roku wzięliśmy ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego Warszawa-Śródmieście. Świadkiem był Pucio. W wyniku „trójzamiary” – ja pozostałem z Gizią w swoim dotychczasowym, dwupokojowym mieszkaniu na katowickiej Koszutce, a Mama zamieszkała w kawalerce (22 m²) w bardzo bliskim

sąsiedztwie. Przesuniętą o rok podróż poślubną zrealizowaliśmy „Batorym” do Helsinek i Petersburga.

Na statku spotkaliśmy lekarza z Częstochowy, za którego – na prośbę Jasia Gęcy mego przyjaciela z Bursy na Mikołajskiej – zdałem w 1949 roku humanistyczną, eksternistyczną maturę, chyba z siedmiu przedmiotów. Dziś ze wstydem wspominam ten epizod, ale wówczas, gdy zdawałem tą maturę byłem z siebie bardzo zadowolony. Spełniłem prośbę przyjaciela i potrafiłem zdać lacinę na poziomie humanistycznej matury – wprawdzie powojennej, ale jednak matury. Z wyprawy „Batorym” upamiętnił mi się „bal kapitański” z nadzwyczaj uroczystym ceremoniałem oraz carski Ermitaż w Petersburgu (wówczas Leningradzie) z jego niebywałym przepychem pielęgnowanym przez sowietów.

W 1963 roku zrealizowaliśmy pierwszą wyprawę samochodową do Bułgarii, nad morze inne niż nasz Bałtyk. Byłem z Gizią i Tadeuszami. Ówczesnymi drogami, Wartburgiem, jechało się nad Morze Czarne trzy dni – nocując po drodze – oczywiście „na dziko”, we własnych namiotach. Zanurzali-



Giziu na „Batorym” (1962 r.)



Nocleg po drodze – dwa namioty i Wartburg



*Węgierska Puszcza – a żuraw i branie wody ze studni
– jak na naszych Kresach*

śmy się w nieznaną świat, – bo wszyscy byliśmy po raz pierwszy na Węgrzech, w Rumunii i Bułgarii. Egzotyka Puszczy – gdzie miejscami wciąż trwał niemal pierwotny naddunajski step, zajęty niegdyś przez Madziarów – robiła przedziwne wrażenie.



Rumuńscy chłopcy zadziwiali oryginalnością



Takie obrazy wywoływały autentyczny zachwyt

W rumuńskim Siedmiogrodzie, zawsze kojarzącym się z królem Batorym – zadziwialiśmy się widokiem chłopów pracujących w polu – wyraźnie różnych od naszych mazurskich lub kresowych. Całkiem nowym przeżyciem był w Rumunii widok wozu ciągniętego przez woły i widok prawie wyschniętej rzeki, którą kobiety przekraczały, nie mocząc spódnicy. Także „piekielny” upał, który pod przydrożną studnią zwalczałyśmy, lejąc na siebie wodę całym wiadrzem! Wszystko było nowe i ekscytujące.

My też byliśmy nowością dla Rumunów – zwłaszcza dla dzieci, które oglądając naszego czarnego Wartburga, mówiły z uznaniem „*corpus dyplomatika*”. Turystyka była wówczas w głębi Rumunii i Bułgarii – znikoma. Wymiana naszych złotych na rumuńskie leje i bułgarskie lewy była bardzo korzystna. Byliśmy „bogaci” i czuliśmy się jak przysłowiowy „*Amerikanin w Paryżu*”. Obiad, który sobie zafundowaliśmy w restauracji w Brasov – był wystawny, a napiwek przekazany kelnerowi wprowił go w „zachwyt”.



„Prysznic” robiony wiadrzem przy przydrożnej studni, był nie lada „fajdą”

Ta pierwsza wyprawa zaowocowała później serią kolejnych wyjazdów do Rumunii lub Bułgarii. Czasem jeździliśmy samochodem – żeby po drodze coś zwiedzać i cieszyć się nieznanymi krajobrazami – ale korzystaliśmy też z wyjazdów organizowanych przez nasze biura podróży. Morze Czarne zawsze zachwycało ciepłą, przezroczystą wodą i łagodną falą. Ocenialiśmy, że Bałtyk nie wytrzymuje „konkurencji”!



Neseber. W wielu miejscach widziało się te przedziwne „poszerzenia” budynków, sięgające nad ulicę



Gizia i Tadeusz na czarnomorskiej plaży (1963 r.)

Pierwszy dwutygodniowy pobyt nad Morzem Czarnym spędziliśmy na kempingu w pobliżu Neseberu. Miasteczko było zaniedbane, ale robiło duże wrażenie swoją „wyjątkowością”. To była wyprawa niezapomniana.

Prywatne wyjazdy na Zachód – były wówczas ograniczone nie tylko możliwością uzyskania paszportu. Istotną przeszkodą była bardzo wysoka cena dolarów na „czarnym rynku” oraz ich niedostępność w banku po urzędowym kursie, tzw. turystycznym. Mogłem dostać paszport, bo przecież wracałem z podróży służbowych, ale nie należałem do wybrańców, którzy mogli nabywać dolary w banku. Jednak w Genewie u Zygmunta Faleckiego miałem trochę zdeponowanej waluty, zaoszczędzonej z diet przydzielanych na służbowe wyjazdy do Genewy. Ten fundusz zasiliłem też zakupem waluty (po godziwym kursie u Zygmunta), który potrzebował polskich złotych na swoje wydatki w kraju. W sumie fundusz zgromadzony w Genewie umożliwił

zorganizowanie ogromnej – jak na owe czasy – turystycznej wyprawy na Zachód. Dla Gizi i Sławka, któremu zaproponowałem udział w wyprawie – była to atrakcja zupełnie nadzwyczajna.

Ruszyliśmy 3.08.1964 roku przez Morawy – zwiedzając jaskinie „Macocha” – Wiedeń i Innsbruck. Po czterech dniach osiągnęliśmy Szwajcarię i Genewę, gdzie trzy dni bawiliśmy u Zygmunta. Dalej przez Prowansję, dotarliśmy na Francuską Riwierę. Następnego dnia 15.08.1964 roku wysłaliśmy do Mamy siódmą kartkę (pokazaną obok) – tej treści: „Kochana Mamo! Jesteśmy w San Remo, na Włoskiej Riwierze. Byliśmy w Nicei i Monte Carlo. Pogoda sprzyja i humory też. Jedziemy do Florencji i Rzymu. Całujemy...”. W kolejnej pocztówce meldowaliśmy Mamie zwiedzenie Rzymu, Neapolu i Monte



Riwiera – San Remo. Tu kąpałiśmy się dwa dni i własnoręcznie wyklepałiśmy bagażnik uderzony z tyłu przez „rozpedzonego Włocha”



„Postojne Jaskinie” w Słowenii zrobiły nieporównanie większe wrażenie niż „Morawski Kras”



Jeziro Bled, też w Słowenii, pokazywałem Gizi i Sławkowi jako „bywalec” (byłem tu w 1948 r.)

Cassino. W następnej: „Byliśmy w Rawennie. Dziś zwiedzamy Wenecję. Jest rzeczywiście bardzo piękna”. W ostatniej (dziesiątej) kartce pisanej 4.09.1964 roku donosiliśmy, że byliśmy w Słowenii i przez Monachium wracamy do domu.

Nie wiem, czemu z tej wyprawy zachowało się tylko parę zdjęć. Przechował się natomiast, w pamiątkach po Mamie, komplet kart pocztowych pisanych przeze mnie jako „szefa” wyprawy – i podpisywanych przez „załogę”. Dziś trudno w to uwierzyć – ale całą tę ponadmiesięczną podróż odbyliśmy, nocując na „dzikich” biwakach (jak rok wcześniej w drodze do Bulgarii). Jeszcze trudniej uwierzyć w to, że ani razu nie mieliśmy z tego powodu jakiegokolwiek trudności czy przykrości. Wybieraliśmy miejsca „ciche” – wyraźnie niestanowiące prywatnej własności – rozbijaliśmy namioty przed nocą, a rano jechaliśmy dalej. Z Rzymu, który zwiedzaliśmy trzy dni – jeździliśmy nad upatrzone, niewielkie jezioro pod miastem (30 km) i razem z „tubylecami” kąpaliśmy się w nim – wieczorem – zmywając pot upalnego lata. Pamiętam też dość wyjątkowy nocleg w północnych Włoszech – na wysokiej górze na obrzeżach ruin potężnego zamczyska rozłożonego na jej szczycie.

Podobnie udaną wyprawę – też znaną omijaniem drogich kempingów – zrealizowałem po trzydziestu pięciu latach do krajów Skandynawii (1999 r.), ale nieco inaczej. Z jednoosobową „załogą” jechaliśmy wówczas zwykłym Fordem Escortem. Były wyjęte tylne siedzenia, a podłoga samochodu była tak wyrównana (odpowiednio zamontowaną „sklejka”), że w ich



Widok na Geiranger fiord z naszego noclegu pod znakiem „ławeczki i świerczka”

miejsu leżały dmuchane materace. Po przesunięciu przednich siedzeń, można było spać w samochodzie zupełnie wygodnie. Dzięki temu rozwiązaniu mogliśmy w dowolnie wybranym miejscu nocować na pięknych „odpoczynkowych” parkingach oznaczonych „ławeczką i świerczkiem” – z reguły wyposażonych w ubikację i coś w rodzaju łazienki z ciepłą wodą i nawet (dość często) ze stołem do przewijania niemowląt. Rozkładane krzeselka i stolik chowało się na noc pod samochód – a rano znów rozstawiało „stolowy pokój” i zasiadało do śniadania.

Tym sposobem – ruszając promem ze Świnoujścia do Kopenhagi – zwiedziliśmy Danię, norweskie fiordy, od południowych aż po Trondheim oraz północne, bałtyckie wybrzeże Szwecji. Promem z Umea przepłynęliśmy do Vaasa, aby w Finlandii zwiedzić Tampere, rejon jezior i Helsinki (ponownie po wielu latach). Znów promem przepłynęliśmy Zatokę Fińską, aby dalej

przez Estonię, Łotwę i Litwę dotrzeć do Augustowa. Na całej – blisko miesięcznej wyprawie na kempingach spaliśmy tylko raz w Finlandii i trzykrotnie w krajach bałtyckich. Na splotwie Czarną Hańczę który zafundowaliśmy sobie dla wypoczynku (własnym kajakiem przesłanym do Augustowa) też płaciliśmy już za noclegi na polach namiotowych. Były to jednak opłaty „groszowe”.

Wracam do 1965 roku, który upamiętnił się wizytą pani Janiny Grabińskiej. Odwiedziła Mamę i mnie w Katowicach. Było to pierwsze

spotkanie od czasu wojny. Dopiero teraz dowiedzieliśmy się, że – wyrzucona z Osieka – do „skarbów” które razem zakopywaliśmy (str. 110–111) nigdy nie dotarła. Czy ocalały i wciąż tkwią w *matce ziemi* – czy ktoś je odnalazł – mogliśmy tylko spekulować. Pani Janina była pogodzona z myślą, że nigdy ich nie odzyska. Wozilem Ją wówczas samochodem do wsi, które wskazała na Opolszczyźnie. Szukała Polaków – autochtonów – z którymi organizowała Powstanie Śląskie na tamtych terenach. Było ich wielu ale znalazła – niestety – tylko jedną rodzinę. Gdy słyszę teraz o instalowaniu dwujęzycznych nazw miejscowości na Ziemiach Odzyskanych (głównie na Opolszczyźnie) – czuję złość. Twierdzę, że nazwy – jeżeli mają być historycznie poprawne – powinny być trójjęzyczne: w języku polskim, niemieckim i „staropolskim” używanym tam przed germanizacją.

Rok 1965 upamiętnił się też zorganizowaną przez biuro podróży, wakacyjną wyprawą samolotową na wyspę Brač, w pobliżu Splitu. Tym razem byliśmy z Mamą, która pierwszy raz leciała samolotem. Oceniała, że podróż tym środkiem lokomocji jest bardzo łatwa – „...niewiele trudniejsza niż bryczką z Łacka do Szczuczyna”. Pobyt nad Adriatykiem także chwaliła – choć w morzu się nie kąpała. Była pod wrażeniem pałacu Dioklecjana – jego ogromu i kościoła urządzonego w świątyni jednego z rzymskich bogów. Jednak już nigdy więcej nie dała się namówić na zagraniczne wojaże.

Zawsze najbardziej lubiła wakacyjne wyjazdy „do swoich”. Do stryja Wiktora, który w końcu lat czterdziestych wraz z Ciocią Wałą wrócił do Kraju z Kazachstanu (przez Palestynę z Andersem) i osiadł w Olsztynie – owszem „zaglądała”, ale na krótko. U stryjostwa – w małym dwupokojowym mieszkaniu – nie było warunków na dłuższy wypoczynkowy pobyt. Zosia („trzecia wojenna córka” Mamy), która wyszła za Józia Wernera miała już wówczas trzech synów, więc tam też było ciasno. Często jeździła natomiast do swego brata Bołka z Kulbaczyna (patrz str. 10), który był po wojnie cenionym administratorem poniemieckich, PGR-owskich majątków koło



Mama i Gizia nad Adriatykiem (1965 r.)

Elbląga. Gdy na przełomie lat 1940/1950 spędzała wakacje u brata – odwiedziłem ich tam w ramach swego „wakacyjnego programu”. Widziałem jak dobrze się czuła w otoczeniu rodziny i w atmosferze z dawnych lat. Wuj bardzo mnie wzruszył, gdy przy obiedzie – bez żadnego wyraźniejszego powodu – powiedział: „*Justynko nawet nie wiesz, jaki jestem z Ciebie rad!*” Później – gdy Wuj już nie żył (1952 r.), lubiła wakacyjne wyjazdy do Halina nad Liwcem koło Wyszkowa, gdzie (jak wspominałem, str. 85) – w PAX-owskim Ośrodku Wypoczynkowym gospodarzył Siwy Wujek z Malej Bobry i Ciocia Zosia. Gdy również ich zabrakło „wakacyjny urlop” lubiła spędzać w Ustroaniu u sióstr zakonnych, które prowadziły tam rodzaj domu wczasowego.

Jednak bardziej od długich wakacyjnych wyjazdów lubiła niedalekie, krótkie „wypadki” z Tadziami czy z nami – lub, jak mówiła: „*z całym kahałem*”. Jeździliśmy w Beskidy... czasem, w rejon Sławkowa lub choćby do lasku pod Katowicami. Z udziału w dalszych wyprawach (z noclegiem), przeważnie się „wykręcała” – twierdząc, że „*woli posiedzieć w domu*”, gdzie

zawsze miała „*pełno przyjaciółek i sąsiadek*”. Przeważnie były to panie znacznie młodsze od Niej – jednak przyjaźniły się z Mamą i lubiły Jej towarzystwo.

My „młodzież” natomiast – dla Mamy zawsze byliśmy młodzieżą – oprócz wielkich wypraw zagranicznych i parotygodniowych spływów kajakowych czy jesiennych *wypadów na grzyby* – zawsze organizowaliśmy też parodniowe wycieczki „*w Polskę*” – w strony już znane lub dopiero odkrywane. Takie wyprawy były możliwe wówczas, gdy niedzielę lub jakieś państwowe święto można było skojarzyć z jednym czy dwoma dniami „*urwanymi*” z urlopu.

Mój wyjazd w 1967 roku na stypendium ONZ w Wielkiej Brytanii – przerwał na pół roku praktykowane przez nas wypadki w „*plener*” i krajową turystykę. Po zakończeniu stażu zaprosiłem Gizię do Londynu. Przez kilka dni pokazywałem jej to piękne miasto, którego nie są w stanie zeszpecić nawet najbrzydsze dzielnice. Sobie też z przyjemnością przypominałem

obiekty widziane jeszcze w 1958 roku. Zwiedziliśmy więc Tower of London wraz z „*królewskim skarbem*”, British Museum, imponujące centrum miasta wokół kolumny Nelsona... „*Londyn w nocy*”, domy towarowe itd. Oczywiście „*zaliczyliśmy*” też obowiązkowy rejs spacerowym statkiem po Tamizie.

Najciekawszy był jednak wyjazd do północnej Anglii w rejon słynnych wrzosowisk oraz nad jezioro Loch Ness. Potwór z tego jeziora nam się nie pokazał, ale ten kraj rozległych wzgórz – w znacznej części pokrytych kwitnącymi właśnie krzewami „*tamtejszych*” rododendronów i oleandrow – robił



Strażnik z królewskimi znakami na uniformie – przed wejściem do Tower (z prawej Gizia)

ogromne wrażenie. Byłem natomiast trochę zawiedziony zamkiem słynnych królów Szkocji w Edynburgu. Czemuś spodziewałem się zamczyska większego i wspanialszego niż nasz Wawel – okazało się jednak, że mimo wyższego wzgórza – jest to zamek raczej skromny. Tę, w sumie, bardzo ciekawą wycieczkę samochodową – zorganizował nam zaprzyjaźniony pracownik zarządu brytyjskiego górnictwa – „koordynujący” mój ONZ-etowski staż w tym górnictwie. Był to bardzo przyjazny – starszy pan. W ramach oryginalnego hobby, własnoręcznie wykonywał bardzo piękne drewniane szkatulki, na przykład na biżuterię. Na pamiątkę naszej znajomości dostałem taką szkatulkę zamykaną na kluczyk, z bukietem kwiatów misternie inkrustowanym na wieczku (przykrywcę). Do dziś przechowuję w niej dokumenty.

Po powrocie, życie wróciło w stare koleiny. Latem 1968 roku (zrobiliśmy startując w Pisz) spływ kajakowy wielkimi jeziorami mazurskimi i dalej – po „przewózce” przez puszcę Borecką – Łażną Strugą do Elku.

Jesienią zrobiliśmy z Tadziami świetną wyprawę w Bieszczady. W samochodzie wieźliśmy pudło wspaniałych śliwek – węgiełek kupionych u jakiegoś gospodarza pod Nowym Sączem. Wcinaliśmy je „do pęknięcia”! Podziwialiśmy podkarpacką krainę, przybraną już barwami złotej jesieni i zasnutą dymami „kartoflanych łątowin”, palonych na polach



W Bieszczadach – mieliśmy upalną „złotą jesień” (Gizia, Jana, Tadeusz)

po wykopaniu ziemniaków. W Bieszczadach byliśmy pierwszy raz – i pierwszy raz jechaliśmy „wielką pętlą” przez Ustrzyki Dolne i najdalsze Ustrzyki Górne. W tym czasie – po wysiedleńczej akcji „Wisła” – Bieszczady były prawie puste. W opuszczonych przyzagrodowych sadach rwaliśmy bepańskie jabłka. Oglądaliśmy ślady spalonych wsi i cerkwi. Wspominaliśmy czasy naszej Kresowej partyzantki – ale tu w Bieszcza-

dach wszystko odbyło się inaczej. Kraina była przepiękna – niestety w owym czasie bardzo przygnębiająca. Nie spodziewałem się, że gdy przyjadę tu po 40 latach – w sierpniu 2008 roku – będzie to już zupełnie „inny świat”, zatłoczony turystami i tętniący życiem.

Przeszliśmy szlakiem turystycznym przez Poloninę Caryńską i z przełęczy, na którą prowadziła trasa „pętli” – weszliśmy na przygraniczny

Zamek Potockich w Łańcucie był w całkiem dobrym stanie



Zamek Potockich w Łańcucie był w całkiem dobrym stanie

szczyt Wielkiej Rawki (1304 m). Pech chciał, że gdy odpoczywaliśmy w słońcu na skałkach szczytu – z kieszeni wypadły mi kluczyki od Wartburga.



*Plitwickich jezior nie da się opisać
– trzeba je zobaczyć*

Stwierdziłem ich brak dopiero, gdy zeszliśmy do naszego biwaku na przełęczy. Tadzik „*blysnął wówczas kondycją*”, bo w ciągu paru godzin „*kopnął się*” na górę i jeszcze przed wieczorem był w obozie z kluczykami. W drodze powrotnej zwiedziliśmy zamek w Łańcucie (poprzednia strona). Wspaniałe parkiety pałacowych sal – podobno zrobione przez miejscowych stolarzy – podziwiałem bardziej niż bogate wyposażenie komnat i słynną kolekcję książęcych powozów.

W końcu lata 1969 roku udało mi się zorganizować wielką wyprawę samochodową z Tadziami. Chciałem pokazać im „trochę zgniłego zachodu”, którego wówczas w ogóle nie znali. Gizia nie mogła jechać, gdyż była unieruchomiona przez lekarzy – w domu i okresowo w szpitalu. Jadąc z namiotami – i jak zawsze unikając drogich kempingów – zwiedziliśmy Austrię, Szwajcarię, północne Włochy i północną Jugosławię. Za najciekawsze z widzianych „*cudów natury*” Tadzowie zgodnie uznali masyw Alp widziany z górnej stacji kolejki linowej na Mont

Blanc oraz Plitwickie Jeziora, które zwiedziliśmy, jadąc do Zagrzebia. Ja także *plitwicki kras* widziałem wówczas po raz pierwszy – i zaliczam go do miejsc wyjątkowo urodziwych.

Spośród zwiedzonych miast Tadzowie najwyżej *punktowali* Genewę z jej wspaniałym gmachem ONZ, bulwarami nad Jeziorem Genewskim i uliczkami „starego miasta” z mnóstwem jubilerskich sklepów i małych, przyjemnych restauracyjek, do których chodziłem nieraz z profesorem Krupińskim. Gościnność Zygmunta



W Genewie pokazałem Tadziom Pałac Narodów – w którym często bywałem – oraz otaczający go park z potężnym libańskim cedrem

Faleckiego, który nas podejmował w swoim wytwornym mieszkaniu też podnosiła uroki Genewy.

Z miast zwiedzonych w północnej Italii największe wrażenie zrobiła Padwa z jej uniwersytetem i aulą, w której na ścianie wisiało dużo herbów sławnych Polaków, którzy tu kiedyś studiowali. Wśród nich był również herb króla Batorego, który – jak się okazało – też studiował w Padwie. Wenecja – chociaż rzeczywiście piękna – trochę zniechęcała widokiem wilgoci obejmującej parter budynków stojących w wodzie. Wróciliśmy przez południową Austrię i Budapeszt – pełni wrażeń i zadowoleni z udanej eskapady.

Wszystko się zmieniło

18 lutego 1970 roku urodził się nam syn – od dawna oczekiwany. Gizia spisała się dzielnie. W domu – w pierwszym najtrudniejszym okresie pielęgnacji niemowlęcia – pomagała Jej siostra zakonna, którą poznała w szpitalu. Później nieocenioną pomocą okazała się pani Gienia – w tym czasie już starsza sześćdziesięcioletnia kobieta. Przed wojną, jako młoda dziewczyna – gdzieś z kieleczyzny – podjęła pracę u państwa Balcerów, którzy mieli w Katowicach willę i prowadzili „otwarty dom”. Służyła u nich całe życie. Gdy po wojnie zostali pozbawieni domu i pan Balcer już nie żył – Gienia mieszkała z panią Balcerową, żyjącą ze skromnej emerytury. Panie mieszkały dosłownie w sąsiedniej kamienicy. Gienia zaczęła nam pomagać w domu, wkrótce po naszym ślubie. Brała udział w wychowaniu dzieci państwa Balcerów – i dopiero teraz, gdy w naszym domu pojawił się mały Andrzej – była zachwycona swą nową pracą.

W tym czasie postanowiłem wyzwoić się z nałogu palenia papierosów. Palilem wówczas zupełnie „nieprzytomnie” – dwie paczki nie zawsze wystarczały na jeden dzień. Czulem, że się „zarzynam”, i rozumiałem, że nie mogę truć dziecka. Zaczęłem palić w partyzantce, w 1943 roku, więc miałem w tym nałogu blisko trzydziestoletni „staż”. Jednak po dwóch nieudanych



Pierwsze zdjęcie Andrzejka zrobione z opiekunką po przyjeździe ze szpitala

„podejściach” – w ciągu pół roku – skończyłem z papierosami. Przekonałem się, że jest to tylko kwestia woli i determinacji. W tym czasie – żeby mieć „towarzysza niedoli” – namawiałem Tadeusza (który też zaczął palić w partyzantce), żebyśmy się „razem męczyli”. Powiedział mi wówczas, – że „*mam silną wolę i palenia nie rzucę*”. Niestety – to właśnie papierosy były przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Masowego dzisiaj zjawiska palenia papierosów przez młodzież – również akademicką – zupełnie nie rozumiem. Kiedy my wchodziliśmy w nałóg o jego szkodliwości nie wiedzieliśmy nic! Dziś jednak – dobrowolne wchodzenie w ten nałóg, gdy już wiemy, jak niszczy zdrowie – można wytłumaczyć tylko skrajną głupotą! Nie mogę też nadziwić się Władzy Ustawodawczej, dlaczego nie wprowadza dla palaczy – przynajmniej dwukrotnie wyższej stawki „ubezpieczenia zdrowotnego” – skoro wymaga tego „elementarna logika” i społeczna sprawiedliwość.

Muszę przyznać, że w codziennych domowych zajęciach i kłopotach nie byłem w tym czasie zbyt pomocny. W GIG-u miałem już w swym zespole ponad setkę pracowników i głowę „nabitą” sprawami wcale niedomowymi. Ale moje zainteresowanie rozwojem malca i także zaangażowanie w sprawy domowe – stopniowo rosło. Rok minął szybko i na Wielkanoc 1971 roku Andrzejek siedział już z nami przy wielkanocnym stole. Ciocia Zosia Dochowa przysłała z Sejnu ogromnego sękacza. Był niemal tak duży jak ten, który własnoręcznie „kręciłem” w Lacku – co dodawało Świętom tradycyjnego nastroju. Andrzejek był już ruchliwym chłopakiem. Babcia mówiła, że „*wszędzie wlezie i wszędzie go pełno*”. Ciekawiła go nie tylko broda babci (na zdjęciu). Później zaczął go ciągnąć również świat za oknem – zupełnie podobnie jak kiedyś mnie. Pisałem o tym jako o swym pierwszym wspomnieniu z dzieciństwa (str. 5).



Wielkanoc 1971 roku świętowaliśmy już w powiększonym gronie



Świat za oknem ciągnął nieodparcie

Wiosną, dzięki kontaktom z zaprzyjaźnionym starszym kolegą z pracy – inżynierem Romanowiczem i jego żoną (muzykologiem) – postanowiliśmy założyć „wiejską rezydencję” w Jaworzu pod Bielskiem – gdzie oni od



Nie mogłem się nadziwić jak szybko w warunkach wiejskiej swobody Jaworza, malec potrafi rosnąć i się usamodzielniać



Mocny chwyt u palec u nogi był hasłem do zabawy w posypywanie pleców piaskiem

dawna spędzali wakacje. Gospodarze, u których wynajmowaliśmy na całe lato dwa pokoje – byli bardzo mili i uczynni. Gizia już nie pracowała, więc spędzała tam z Andrzejkiem większość czasu – okresowo, razem z babcią (moją Mamą). Ja dojeżdżałem w niedziele i dni wolne od pracy.

Następnego lata postanowiliśmy nie tylko nadal korzystać z „rezydencji” w Jaworzu, lecz także pojechać na dwutygodniowe wczasy nad morzem, do Świnoujścia. Plaża widziana przez Andrzejka pierwszy raz w życiu – stała się od razu ulubionym miejscem zabaw, które nigdy się nie nudziły.

Gdy był już bardziej samodzielny – wśród zabaw, które wymyślał sobie na plaży – najczęściej



Demonstracja samodzielności



„Głośnie burczenie samochodu” na plaży



Andrzejek z Mamą i rodzicami chrzestnymi przed kościółkiem w Szczyrku. Okolicznościowe przyjęcie, które czemuś odbyło się u Tadeków, zgromadziło najbliższych (już rozpoznawalnych)



Narciarskie „przedbiegi”

można było widzieć jazdę samochodem i słyszeć przy tym głośnie burczenie. Funkcję samochodu – jeżeli takiej zabawki nie było pod ręką – mógł spełniać zwykły kamień lub muszla znaleziona na plaży. Z tych wspólnych wyjazdów nad morze był często przywożony pamiątkowy okręcik. Jest ich cała kolekcja.

Jesienią 1972 roku Andrzejek został ochrzczony w drewnianym kościółku w Szczyrku. Do chrztu trzymali go: Sławek i jego młodsza córka Elżbietka. Z czasem różnica wieku między chrzestną mamą i chrześniakiem uległa zatarciu. Zaczęli być po prostu przyjaciółmi.

W zimie 1973 roku malec był już na tyle „dorosły” że kupiliśmy mu małe nartki. Próbował swych sił na tzw. „diablinie” pustym terenie ciągnącym się między dzielnicą Koszutka a Kopalnią „Eminencja”. Nie szło mu to najlepiej – ale „walczył” dzielnie. Gdy minęło parę lat, narty stały się jego ulubionym sportem zimowym – oprócz jazdy na łyżwach i gry w hokeja.

Lato 1973 roku było przełomowe w stopniowym włączaniu Andrzejkę w nasz wcześniej praktykowany sposób korzystania z czasu wygospodarowanego na prywatne życie i odpoczynek. Nadal rezydowaliśmy w Jaworzu, ale w lipcu i sierpniu wykupiłem dwa dwutygodniowe tumusy „wczasów pracowniczych” w Świnoujściu. Okazało się, że nie jest to trudne, gdy w kopalniach – na stanowiskach dyrektor-



W Świnoujściu w drodze na plażę

skich – ma się jednorocznych kolegów z AGH, a kopalnie mają własne domy wczasowe. Tak się złożyło, że między turnusami była czterodniowa luka. Postanowiliśmy wypełnić ją krótkim – rozpoznawczym – spływem kajakowym rzeką Iną (dopływ Odry koło Szczecina).



Rybak wędkujący z pomostu zrobił to „historyczne” zdjęcie



Z tego samego pomostu później Andrzejek uczył się wędkowania

Na odcinku, którym płynęliśmy przez Puszcę Goleniowską (około 22 km) – rzeka była łatwa. Dwa biwaki były bardzo udane. Andrzejek spisywał się „na medal”. Wszystko go cieszyło. Był chętny i aktywny.

Po „egzaminie”, który na rzece Inie wypadł pomyślnie, Andrzejek stał się nieodłącznym towarzyszem wszystkich naszych turystycznych wycieczek i „wypadów w plener”. Tadeusie byli naszymi najwierniejszymi towarzyszami w tych eskapadach.



Tak najczęściej wyglądał nasz „wypad w plener”. Picie nalewa Gizia. Tylko rowerzysta nie je kanapek



Tadeusz pomaga w rozwiązaniu jakiegoś ważnego problemu



To prawdopodobnie moment powierzenia Babci ważnego sekretu

Spośród wielu – wybrałem trzy powyższe zdjęcia, które dość dobrze pokazują nastrój tych swoistych „majówek” – urządzanych, gdy tylko udało się dogadać dogodny termin i sprzyjała pogoda.

* * *

W zrelacjonowanym wyżej piętnastoletnim okresie mego życia pod „władzą badawczych pasji” – prywatny czas urlopów i świąt był nieporównanie krótszy od czasu wypełnionego pracą. Okazało się jednak, że we wspomnieniach te proporcje nie są zachowane. Gdy sięgnąłem do starych fotografii stwierdziłem, że prywatnych jest wielokrotnie więcej niż dokumentujących pracę i wydarzenia służbowe. Wierząc, że fotografia często mówi więcej niż długie teksty – sięgnąłem po nie „obficie” niż dotychczas.

Staralem się wybrać te wspomnienia i fotografie, które możliwie najwierniej charakteryzują treść i koloryt czasu wypełnionego w całości prywatnym życiem – odpoczynkiem i przygodą. Nie wiem czy mi się to udało.

Rok 1974 – fatalny w życiu zawodowym – w życiu rodzinnym nie upamiętnił się niczym szczególnym. Latem zrobiliśmy, znów we trójkę, spływ rzeką Obrą (dopływ Warty). Był to niestety jeden z najmniej udanych spływów. Rzeka okazała się nieciekawa, z dużą liczbą przeszkód zmuszających do przenoszenia kajaka. Zakończyliśmy go – a właściwie przerwaliśmy – w Międzyrzeczu. Już nigdy więcej tą rzeką nie płynąłem.



Z lewej – Staś Kucewicz. Reszta to „sami swoi”. Skończyliśmy Wigilię. Andrzej będzie rozdawał prezenty czekające pod choinką

Jesień minęła niepostrzeżenie i bardzo szybko nadeszły Święta Bożego Narodzenia.

Wiedziałem już, że od pierwszego stycznia mój Ośrodek zostaje przeniesiony do COIG-u, a ja mam podjąć nowe obowiązki Sekretarza Naukowego GIG. Ani te fakty, ani ich konsekwencje nie bardzo mi się *mieściły w głowie*. Choć starałem się robić *dobrą minę* – pamiętam, że *„było mi niewesoło”*. Na szczęście Święta spędzaliśmy – jak zawsze – w gronie naj-

bliższych. Oprócz Mamy i Tadeusza był również Staś Kucewicz, kuzyn Tadeusza z Wileńszczyzny; także jego starszy kolega z Wydziału Prawa i z korporacji „Polesia”. Po wojnie wrócił z Anglii żeby opiekować się swą samotną matką. Jako człowiek politycznie „niepewny” we Wrocławiu *klepał biedę*. Wspominaliśmy czasy wojny... i wypadki minionych 30 lat. Związane z tym – raczej pesymistyczne oceny polityczne nieco łagodzone trwającą od paru lat gierkowską rynkową odwilżą – staraliśmy się bagatelizować. Wszystkim był potrzebny optymizm... i myśmy go mieli – mimo wszystko! To były udane Święta.

10. NOWE DOŚWIADCZENIA I AKTYWNOŚCI

Sytuacja, w której znalazłem się, gdy niemal z dnia na dzień zostałem oderwany od swego Zespołu i od największej ze swych badawczych pasji – nie była łatwa. Ta pasja pochłaniała moje zawodowe zainteresowania przez blisko piętnaście lat! Ale życie toczyło się dalej i trzeba było „iść do przodu”.

Najtrudniejsze były początki. Na szczęście obowiązki na nowym stanowisku Sekretarza Naukowego GIG oraz zadania, które sobie narzuciłem – wymagały dużego zaangażowania. Nie było czasu na rozczulanie się nad sobą. Decydowało przekonanie wyrażone przed laty przez profesora Krupińskiego, gdy po wojnie wracał do pracy w górnictwie: „nie ma co lamentować, trzeba pracować”.

Drugą okolicznością sprzyjającą „wygaszaniu stresu” stało się – zaskakująco duże zaangażowanie w działalność nienależącą do obowiązków służbowych, ale też niedającą się zaliczyć do aktywności prywatnej. Określam je zbiorczo jako działalność *pozainstytutową* – polegającą głównie na uczestnictwie w najróżnorodniejszych gremiach, do których byłem powoływany: Komisjach... Komitetach... Radach... Czy była to praca zawodowa? Chyba nie. Raczej praca społeczna lub może *społecznie-zawodowa*^{*)}. Różniła się wyraźnie od pracy społecznej, jaką prowadził Ojciec na kresowej wsi – traktowałem ją jednak poważnie, jako obowiązek, od którego nie wolno się uchylać. Jej użyteczność i skuteczność była – w mojej ocenie – dość różna, ale niewątpliwie zajmowała dużo czasu i niekiedy dawała sporo satysfakcji.

Trzecią okoliczność stanowiła możliwość wygospodarowania, w kalendarzu zajęć Sekretarza Naukowego GIG – czasu niezbędnego do podtrzymywania wcześniejszych zainteresowań – częściowo komputeryzacją zarządzania w przemyśle węgla kamiennego i znacznie więcej – technologią podsadzki hydraulicznej. Prace w tym zakresie – choć z ograniczeniami – prowadziłem niemal przez cały okres *sekretarzowania*.

Obowiązki Sekretarza Naukowego pełniłem przez ponad 6 lat – do 1 listopada 1982 roku, a więc także w burzliwym czasie *pierwszej* Solidarności. W okresie ogólnego „marazmu”, po wprowadzeniu stanu wojennego, pozostawałem w Instytucie na etacie profesora – bez formalnie sprecyzowanych obowiązków służbowych. Dopiero w listopadzie 1984 roku zostałem Kierownikiem Zakładu Technologii Podsadzki Hydraulicznej. Ustabilizowało to moją służbową pozycję i ułatwiło prowadzenie prac badawczych (wznovionych już wcześniej) – ukierunkowanych na modernizację technologii podsadzki hydraulicznej. Relację o wynikach tych prac i pozostałe wspomnienia

^{*)} Tym neologizmem usiłuję określić specyfikę pracy nienależącej formalnie do obowiązków służbowych – więc chyba społecznej – ale jednak ściśle związanej z pracą zawodową.

zakończę na roku 1988. Rok 1989 i „Okrągły stół” zapoczątkował, bowiem nowy – całkiem inny okres w historii Kraju i górnictwa węgla kamiennego a w konsekwencji również inny okres mego zaangażowania zawodowego.

Lata 1975–1988 – o których opowiadam w tym rozdziale – były więc w moim życiu zawodowym okresem podejmowania nowych obowiązków. Także wchodzenia na nowe pola aktywności o zasięgu wykraczającym często poza górnictwo i poza moje *obowiązki służbowe*. Był to niestety czas „mizერი” w potencjalnie badawczo-rozwojowym i wdrożeniowym, którym dysponowałem w prowadzonych badaniach. Także czas „wygasającego” udziału w urozmaicających życie wyjazdach do Genewy (na spotkania grupy ekspertów) oraz do krajów RWPG na posiedzenia Rady Naukowo-Technicznej Nr 6.

Czy w sumie był to okres udany? Moja ocena z perspektywy lat jest krytyczna. Było trochę sukcesów i satysfakcji, ale najdłużej trwające prace nad przelaniem podstawowej niesprawności technologii podszadzki hydraulicznej w kopalniach – okazały się bezowocne.

Także w życiu prywatnym poniosłem dotkliwą klęskę. Nie potrafiłem obronić małżeństwa z Gizią przed rozczerowaniem i rozwodem.

Jak w poprzednim rozdziale, tak i w tej relacji – w pierwszych podrozdziałach wspominam działalność zawodową, która – mimo „załamania” z końcem 1974 roku – nadal odgrywała w moim życiu ogromną rolę. Czas życia prywatnego wspominam w końcowych podrozdziałach – znów zastępując tekst możliwie największą liczbą fotografii.

Moje odniesienia do świata zewnętrznego nie uległy, w relacjonowanym okresie – większym zmianom. Nadal nie dawałem się *uwieść* polityce i broniłem swego statusu apolitycznego pracownika instytutu naukowo-badawczego. Jednak moje reakcje na wydarzenia toczące się przez Kraj były bardziej różnicowane niż w okresie, gdy byłem pod „władzą” badawczych pasji. W Instytucie byłem nadal apolityczny, pochłonięty obowiązkami służbowymi i badawczymi. W działalności pozainstytutowej natomiast coraz bardziej angażowałem się w problematykę proefektywnościowych przemian w górnictwie i całej gospodarce, a więc zbliżałem się do polityki. Także w życiu prywatnym, które toczyło się nurtem pozornie niezależnym od zawodowego – przeżywanie wydarzeń politycznych, znamienych dla tamtych czasów, charakteryzowało się większą skalą emocji niż dawniej.

Wydarzenia społeczne i polityczne – najwyraźniej przechowane we wspomnieniach, znamienne dla opowiadanego okresu – nie są liczne. Większość została *zatarta* przeżyciami zawodowymi i osobistymi, ale emocje związane z tymi nielicznymi są wciąż żywe. Może nawet z upływem czasu stają się bardziej wyraziste. Wymieniam najważniejsze.

- 10 lutego 1976 roku – wpisanie do Konstytucji PRL „przyjaźni i współpracy” ze Związkiem Radzieckim oraz *intronizacja* PZPR jako „przewodnej siły w budowie socjalizmu”. W całym moim środowisku – rodziny i przy-

jaciół – reagowaliśmy – złością i obrzydzeniem wobec jawnego serwilizmu rządzących.

- 16 października 1978 roku – wybór kardynała Karola Wojtyły na Papieża. Polak Papieżem!! To było niebywale zaskoczenie! Radość nie do opisaną!!
- 2–10 czerwca 1979 roku – pierwsza pielgrzymka papieża Jana Pawła II do Polski. Tadeusz i Jana zamieszkali na parę dni w Krakowie i chodzili wieczorami na ulicę Franciszkańską 3 pod papieskie okno. Ja z Andrzejkiem byłem tylko na Bloniach w Krakowie w czasie mszy i homilii. Poza tym tkwilem wytrwale przed telewizorem. Byliśmy jak zaczarowani!
- Lipiec–sierpień 1980 roku – fale strajków, narastające uczucie niepewności i ogromna ulga po podpisaniu porozumień sierpniowych. Nadzieja na radykalne przemiany!
- Grudzień 1981 roku – wprowadzenie stanu wojennego, czolgi na ulicach, pacyfikacja „Wujka”! Skrajne rozczerwanie i przygnębienie.
- 16–23 czerwca 1983 roku – druga pielgrzymka Jana Pawła II: spotyka się z Jaruzelskim, wzywa do dialogu, dodaje Polakom nadziei. Naród się coraz bardziej „prostował” – wszyscy zaczęliśmy odważniej patrzeć w przyszłość – mimo śmierci księdza Jerzego Popiełuszki i brutalnego tłumienia przez ubecję wyraźniejszych przejawów opozycji.
- 19 lutego 1987 roku – Reagan, którego ceniliśmy zwłaszcza za określenie ZSRR jako „imperium zła” – uznał, że w Polsce nastąpiła poprawa sytuacji i zniósł sankcje nałożone po wprowadzeniu stanu wojennego. Powiało nadzieją!
- 18–14 czerwca 1987 roku – trzecia pielgrzymka Papieża uaktywniła kościół w działaniach na rzecz przemian. Dojrzewiała świadomość, że coraz ostrzejszy kryzys gospodarczy, narastający sprzeciw społeczeństwa oraz pojawiające się objawy ustępliwości władz – zapowiadają przesilenie: (nadeszło w 1989 roku).

A jak zmieniał się świat w trzynastolecie 1975–1988, gdy kraj z determinacją wybijał się na bliską już niepodległość, a ja błądłem przez trudny okres nowych doświadczeń – po utracie potencjału warunkującego mój rozwój naukowy w specjalności, która była moją największą pasją?

Otóż epoka *przeciągania liny* w dwubiegunowym świecie – wciąż jeszcze trwała. Nie było też wyraźniejszych oznak słabnięcia sowieckiego bloku. W styczniu 1975 roku Wietnam Północny rozpoczął ofensywę i już w kwietniu zajął Sajgon – stolicę Wietnamu Południowego. W Chinach we wrześniu 1976 roku zmarł Mao Tse-tung, ale komuniści nie wypuścili władzy z rąk. 4 listopada 1979 roku nastąpiła okupacja ambasady USA w Teheranie – co wyraźnie obniżyło autorytet tego mocarstwa. W końcu grudnia wojska

sowieckie wkroczyły do Afganistanu. Związek Radziecki – gdzie trwała epoka Breżniewa – pokazał gdzie jest siła!

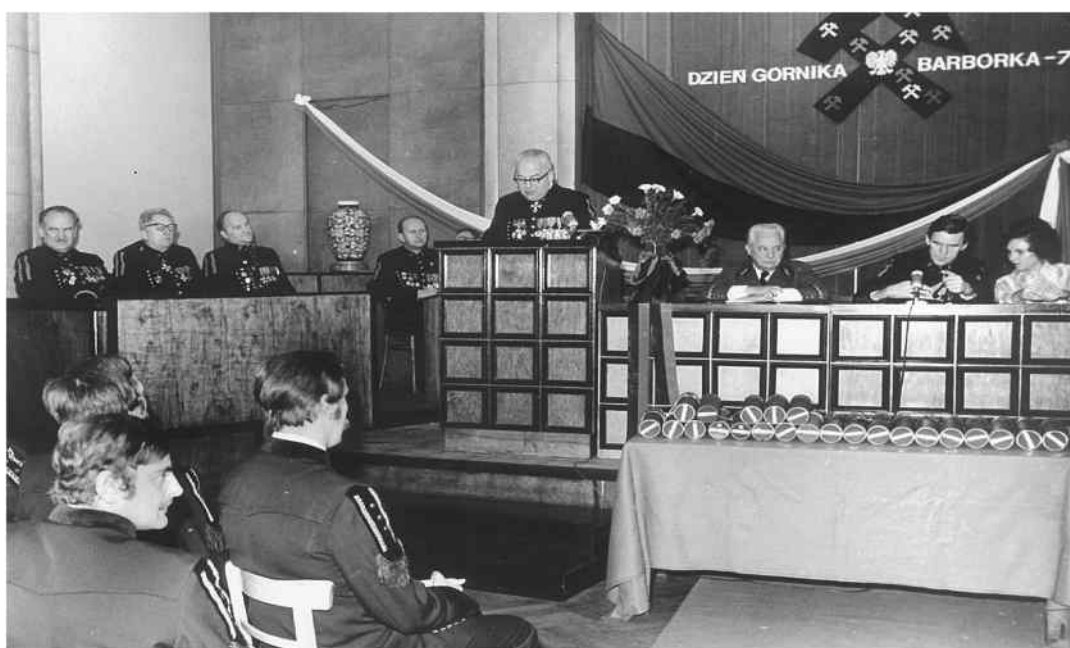
Równocześnie trwał jednak proces *konsolidacji* Zachodu i *tężenia* oporu przeciw sowieckiemu ekspansjonizmowi. W marcu 1977 roku – zgodnie z doktryną Cartera – Organizacja Narodów Zjednoczonych uzyskała prawo do kontroli przestrzegania w poszczególnych państwach – praw człowieka. W marcu 1979 roku został utworzony Europejski System Walutowy i wspólna waluta EURO, a w czerwcu odbyły się pierwsze wybory do Parlamentu Europejskiego. Olimpiadę w Moskwie – w lipcu i sierpniu 1980 roku – zbojkotowało 55 państw Zachodu.

Dopiero dekada lat 80. XX wieku – przyniosła oczekiwane zmiany w dotychczas dwubiegunowym świecie. Stany Zjednoczone, gdy Prezydentem został Ronald Reagan (4.11.1980 r.) – rozpoczęły politykę zbrojeń na ogromną skalę – co zmusiło Związek Radziecki do udziału w tym wyścigu. Pod ogromnym obciążeniem wydatków zbrojeniowych sowiecka gospodarka zaczęła ujawniać swą niewydolność, a władze ZSSR zaczęły wykazywać ustępliwość. W Polsce – robotnicze strajki zmusiły satelicki rząd Moskwy do podpisania porozumień sierpniowych. Oznaczało to wyraźne pęknięcie w sowieckim *monolicie*. W listopadzie 1982 roku zmarł Breżniew. W walce o władzę w ZSSR zaczął dochodzić do głosu nurt skłonny do liberyzacji reżimu. 10 marca 1985 roku Pierwszym Sekretarzem KPZR został Michail Gorbaczow. W 1987 roku rozpoczął politykę „glasnosti” (jawności) i „pierestrojki” (reform). W styczniu 1987 roku, dziewięć państw Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej (EWG) podpisało układ o utworzenia do końca 1992 roku jednolitego rynku. 8–10 grudnia 1987 roku Reagan i Gorbaczow podpisali w Waszyngtonie układ o likwidacji rakiet krótkiego i średniego zasięgu. Tak jak Polska, również świat dojrzał do WIELKICH PRZEMIAN – nareszcie wyraźnie POZYTYWNYCH.

W służbie planowania i organizacji badań

Na początku 1975 roku – gdy zacząłem przygotowywać się do przejęcia obowiązków Sekretarza Naukowego – zatrudnienie Głównego Instytutu Górnictwa osiągnęło najwyższy poziom w jego historii. W poprzednim roku wynosiło 2635 pracowników – w tym: 806 w Zakładach Budowy Urządzeń i Aparatury Naukowo-Badawczej (ZBUiAND), 423 w obsłudze porządkowo-administracyjnej i 1406 we właściwych jednostkach naukowo-badawczych. W nich pracowało 56 profesorów i docentów, 227 adiunktów, 279 starszych asystentów i asystentów oraz 775 pracowników inżynieryjno-technicznych⁶⁴⁾. Była to więc duża jednostka naukowo badawcza – jedna z największych w kraju.

Kierunki badań i szczegółowa tematyka prac prowadzonych w Instytucie była wypadkową różnych oddziaływań. Decydował jednak aktualnie funkcjonujący układ pracowni badawczych, laboratoriów i zakładów oraz grupujących je wewnętrznych – Instytutów lub Ośrodków Naukowo-Badawczych. W tym układzie istotny był oczywiście autorytet wiodących pracowników nauki, ich indywidualne preferencje oraz organizacyjna sprawność Kierownictwa Instytutu. Rada Naukowa GIG (której członkiem byłem od stycznia 1968 roku) była zajęta głównie prowadzeniem przewodów kwalifikacyjnych do stopni i tytułów naukowych. Choć opiniowała plan prac Instytutu i przy-



Uroczyste posiedzenie Rady Naukowej Głównego Instytutu Górniczego poświęcone promocji doktorantów. Przemawia Dyrektor GIG Adam Szczurowski. Za prezydijskim stołem: Wiceminister Górniczego Benon Stranz, prof. Andrzej Frycz (Z-ca Przewodniczącego Rady), mgr Anna Morawiec (Sekretarz Rady)

mowała sprawozdania z jego realizacji – wywierała w istocie niewielki wpływ na treść i wyniki badań. Podobnie – pojawiające się sporadycznie wymagania Ministerstwa jako jednostki założycielskiej, nie decydowały o zakresie i treści prac Instytutu. Istotny był natomiast wpływ ogólnej polityki eksploatacyjnej Ministerstwa, kształtowanej proilościową doktryną gospodarki planowej.

Sekretarz Naukowy podlegał bezpośrednio Naczelnemu Dyrektorowi^{*)}. Był odpowiedzialny głównie za planowanie podejmowanych prac i tym

^{*)} Dla uproszczenia w dalszym tekście często pomijam formalnie obowiązujący przymiotnik – Naczelny.

sposobem również – w pewnym stopniu – za ich organizację i finansowanie. Propozycja treści i zakresu prac zgłaszanych do planu – w formie problemów, tematów i zadań badawczych – wychodziła z reguły z jednostek organizacyjnych. W owym czasie były to dwa instytuty: Bezpieczeństwa Górniczego – Kopalnia Doświadczalna „Barbara”^{*)} (426 pracowników) i Karbochemii (164); cztery Ośrodki Naukowo-Badawcze: Techniki Górniczej (354), Mechanicznej Przeróbki Węgla (224), Badań Fizykochemicznych (101) i Inżynierii Materialowej (59) oraz kilka wydzielonych Zakładów i Laboratoriów (w pewnym okresie podległych Sekretarzowi Naukowemu).

Na podstawie wieloletniej obserwacji mechanizmu funkcjonowania Instytutu wiedziałem, że jeżeli chcę skutecznie oddziaływać na ekonomiczną



Kierownik pracy wykonanej przez Wojskową Akademię Techniczną w zakresie materiałów strzelniczych przyjmuje wyróżnienie z rąk Sekretarza Naukowego

efektywność prac realizowanych w Instytucie – powinienem to robić głównie poprzez wymagania egzekwowane już na etapie wprowadzania do planu poszczególnych problemów, tematów i zadań. Także – choć z mniejszą skutecznością – poprzez egzekwowanie wymagań na tzw. odbiorach, gdy zespoły realizacyjne przedstawiały odpowiednio skompletowanej Komisji przygotowane wyniki prac – z wnioskiem o ich akceptację; także o akceptację finansowego rozliczenia kosztów pokrywanych przez zleceniodawcę (przeważnie było nim Ministerstwo Górnictwa oraz centralny fundusz finansowania nauki). Wiedziałem też, że zwiększanie wymagań stawianych zespołom badawczym w zakresie

proefektywnościowej skuteczności ich pracy – nie będzie łatwe i w wielu zespołach może wywołać niechęć lub sprzeciw.

Nie miałem jednak wątpliwości, że chcę podjąć to nowe wyzwanie. Rozpoznanie, które zrobiłem do trzeciego marca 1975 roku – kiedy zostałem formalnie powołany na stanowisko Sekretarza Naukowego GIG – wykazało, że wiele zespołów swe zadania wprowadzane do planu prac formułuje niejasno i mało konkretnie. W szczególności z proponowanych zapisów często nie wynikało, czym ma się zakończyć podejmowana praca i jak będzie

^{*)} Zorganizowana w 1926 roku – po wojnie, w 1945 roku, została włączona do GIG.

udokumentowana. Mówiąc inaczej: co będzie jej *produktem* i w jakiej postaci ten *produkt* zostanie przekazany do wykorzystania.

W pracach, które wcześniej prowadziłem – za normalność uważałem dążenie do pełnej jasności w tym zakresie. Nie byłem przyzwyczajony do zaobserwowanej „beztroski”. W przypadku badań *poznawczych* ich naturalnym *produktem* były określone stwierdzenia i poglądy przekazywany zainteresowanym w formie publikacji. W badaniach nad usprawnianiem technologii podszadki – *produktem* była przeważnie określona zmiana technologii udokumentowana instrukcją *stosowania* lub *projektem konstrukcji* przekazywanej jednostce wdrażającej; publikacja była jedynie uzupełnieniem dokumentacji podstawowej.

W Ośrodku, który mi zabrano, *produktem* prac były głównie *skomputeryzowane systemy zarządzania*. Kopalnie otrzymywały je w postaci instrukcji sporządzania *wsadu informacji* poddawanych przetwarzaniu oraz instrukcji wykorzystania otrzymywanych *arkuszy wynikowych* – natomiast skomputeryzowany ośrodek obliczeniowy otrzymywał gotowe oprogramowanie wraz z instrukcją *operacyjną*. Publikacje, również w tym przypadku, stanowiły jedynie uzupełnienie podstawowej dokumentacji wdrożeniowej.

Tak więc jako „świeżo upieczony” Sekretarz Naukowy zacząłem lansować nieco przekorne hasło: „*Wyniki prac naukowo-badawczych nie są do czytania*”. Ogłosiłem, że „*nie będą przyjmował do planu prac Instytutu tematów i zadań, które nie rokują choćby niewielkiej szansy na wartościowy PRODUKT poznawczy lub użytkowy, usprawniający górnictwem rzeczywistość*”. Jednak ze względu na ogromne zróżnicowanie merytorycznej treści prac realizowanych przez poszczególne jednostki organizacyjne – nie było to łatwe. Okazało się, że jest nicodownie potrzebna szczegółowa „Instrukcja w sprawie struktury i klasyfikacji prac naukowo-badawczych oraz sposobu dokumentowania ich wyników”⁷¹. Opracowałem ją w „ekspresowym tempie”. Po uzyskaniu pozytywnej opinii Rady Naukowej GIG i po powieleniu – zarządzeniem nowego Naczelnego Dyrektora – została (już w jesieni 1975 roku) wdrożona do stosowania we wszystkich jednostkach badawczych Instytutu.

Nowym Dyrektorem GIG (od lipca 1975 r.), który zdecydowanie poparł kierunek wprowadzanych zmian – był Adam Szczerowski – mój szef w kopalni „Dymitrow”, gdy był tam Kierownikiem Robót Górniczych, a ja nadsztygarem. W następnym 1976 roku wprowadził zmiany w strukturze organizacyjnej Instytutu, które także zmierzały do zwiększenia efektywności realizowanych prac badawczo-rozwojowych i wdrożeniowych. W wewnętrznych Instytutach i Ośrodkach zlikwidował 29 zakładów naukowo-badawczych, a w ich miejsce powołał 34 zespoły badawczo-rozwojowe. Równocześnie 121 laboratoriów i pracowni funkcjonujących uprzednio w likwidowanych zakładach

⁷¹ Wewnętrzne wydawnictwo GIG, 1975.

– przekształcił w 90 laboratoriów podporządkowanych bezpośrednio dyrektorom wewnętrznych Instytutów i Ośrodków. Dział Planowania, podlegający Sekretarzowi Naukowemu, został przekształcony w Centrum Planowania i Organizacji Prac Badawczych, a jego sprawnym, wieloletnim Kierownikiem – został Jerzy Kobylecki. W pionie Sekretarza Naukowego powstał też nowy Dział Wynalazczości, Ochrony i Informacji Patentowej¹³¹⁾.

W tych warunkach wdrażanie proproduktowych wymagań było przyjmowane na ogół ze *rozumieniem* – choć nie bez komentarzy. W czasie obchodów „Barbórki” 4 grudnia 1975 roku jeden z adiunktów wystąpił z własną „Balladą o GIG-owskich Sekretarzach”. Moje krótkie „urzędowanie” (po trzech poprzednich Sekretarzach) opisał następująco:

*„Mąż o słusznej postaci, i duchem niezłomny,
Szczery GIG-u patriota, dobra jego pomny
Jak żeglarz, co poskramia grzmiące sztormu fale
Tak profesor Lisowski, nie bojąc się wcale
Pewną ręką kieruje statek razem z nami
Za pomocą Instrukcji z „n” załącznikami
Przez zawile władz zwierzchnich rafy i mieleziny
By dla dobra resortu, ludu i Ojczyzny
GIGowską pracochłonność, koszty i narzuty
Przekuć w dobro najwyższe o nazwie „PRODUKTY”...”.*

Mówię na ogół, bo pamiętam dość głośny incydent, który wskazywał, że ze *rozumieniem* dla zwiększonych wymagań bywało różnie. Profesor Ernest Konstantynowicz, gdy na odbiorach doprowadziłem do dyskwalifikacji jednej z prac jego Zakładu – wystąpił do Dyrektora GIG z wnioskiem o odwołanie Sekretarza Naukowego.

Przyznaję się jednak, że w owym czasie nie robiły na mnie wrażenia nawet najostrzejsze objawy niechęci do *proproduktowej* organizacji badań. Byłem już w tym czasie tak mocno zaangażowany w problematykę usprawniania prac naukowo-badawczych, że patrzyłem na nią z perspektywy szerszej niż GIG. W lipcu 1976 roku opublikowałem w „Polityce” (nr 23) artykuł pod tytułem „Wyniki badań nie są do czytania”, który był powtórzeniem hasła lansowanego w GIG już od ponad roku. Teraz usilowałem popularyzować to hasło w skali Kraju. Wskazywałem na potrzebę zmiany stosunku NAUKI do PRAKTYKI GOSPODARCZEJ. Postulowałem wprowadzenie w miejsce *„nadrzędności nauki”* – stosunków *„równoprawnego partnerstwa”*, z wyraźnie określonym zobowiązaniem NAUKI do wspierania PRAKTYKI. W tych postulatach pobrzmiwały niewątpliwie echa oczekiwań, które miałem w stosunku do NAUKI, gdy przechodziłem do niej z kopalni „Dymitrow” z bagażem trudnych doświadczeń młodego inżyniera.

Czytelników „Polityki” przekonywałem z zapalem: *„Czy to się komuś podoba czy nie, nauka staje się coraz wyraźniej jednym z działów gospodarki narodowej. Wynikają z tego liczne uciążliwe obowiązki, ale bez nich trudna*

jest do pomyślenia nauka prawdziwie nowoczesna i sprawna nie tylko indywidualnością wybitnych uczonych, ale także prawidłowym ukierunkowaniem i organizacją wysiłku tysięcy pracowników naukowo-badawczych". Równocześnie podkreślałem: „Instytuty nie mogą być jedynie wykonawcami poleceń administracji gospodarczej. Tendencja do oceny pracowników naukowo-badawczych na podstawie ich umiejętności udowadniania słuszności poglądów zleceńodawcy jest jawnym lekceważeniem badań”.

W następnych latach życie narzucało potrzebę dalszego usprawniania i rozwijania inicjalnych rozwiązań zastosowanych w Instytucie. W 1977 roku wprowadziłem do stosowania metodę i instrukcję „Systemowej oceny ekonomicznej efektywności prac badawczo-rozwojowych i wdrożeniowych oraz instytutów realizujących te prace”⁴¹. W roku 1978 – przy współpracy powołanego Działu Wdrożeń – wprowadziłem do stosowania „Instrukcję w sprawie zawierania i realizacji umów wdrożeniowych oraz dysponowania funduszem efektów wdrożeniowych”⁴². Później – w roku 1980 – przygotowałem syntetyczny poradnik prowadzenia prac badawczych⁴³ i uruchomiłem prace nad komputeryzacją procedur funkcjonujących w Centrum Planowania i w Dziale Wdrożeń.

Narastające w GIG doświadczenie w zakresie planowania i organizacji prac naukowo-badawczych starałem się też uogólniać i udostępniać do szerszego wykorzystania w środowiskach akademickich. W latach 1977–1981, oprócz kilku publikacji w wydawnictwach Instytutu – zamieściłem cztery artykuły w *Nauce Polskiej* i *Naukoznawstwie*⁴⁴. Przekonywałem w nich o potrzebie klasyfikowania produktów i różnicowania ich dokumentacji; także o celowości organizowania prac naukowo-badawczych oczekiwanych przez przemysł i o nieodzowności oceny ich ekonomicznej efektywności.

Czy te usiłowania miały jakiś wpływ na skuteczność nauki rozwijanej w Kraju w owych latach? Nie wiem i wątpię. Nie zauważyłem niestety pozytywnego odzewu na publikowane poglądy ani ze strony środowisk akademickich, ani decydentów przydzielających środki na badania naukowe. Skuteczność, z jaką prace naukowo-badawcze – zwłaszcza realizowane w wyższych uczelniach – wspierały rozwiązywanie problemów praktyki gospodarczej, była wciąż (w mojej ocenie) daleka od możliwości i od potrzeb.

W Głównym Instytucie Górnictwa natomiast – kolejne lata przynosiły coraz wyraźniejszą akceptację zwiększonych wymagań w zakresie organizacji badań i sposobu dokumentowania uzyskiwanych wyników. Równocześnie – zastosowane regulacje oraz sprawność Centrum Planowania i Organizacji Prac Badawczych – znacznie zmniejszyły czasochłonność podstawowych obowiązków Sekretarza Naukowego. W tych warunkach Jurek Kobylecki,

⁴¹ Wewnętrzne wydawnictwo GIG, Katowice 1977 i 1978.

⁴² *Nauka Polska*: 1977 nr 1, 1980 nr 7–8, 1981 nr 11–12; *Naukoznawstwo* 1979 nr 1.

kierujący „Centrum...”, mógł otrzymać „urlop od obowiązków służbowych” na dokończenie pracy doktorskiej, którą obronił w 1980 roku.

Tak więc, chociaż nie ubywało mi obowiązków wynikających z udziału w pracach Dyrekcji Instytutu – w najróżniejszych służbowych naradach... spotkaniach... akademiach – zacząłem mieć więcej czasu na obowiązki *pozainstytutowe* (niby niesłużbowe i niezupełnie społeczne). Zwłaszcza w pierwszych latach *sekretarzowania* – nagromadziło się tych obowiązków tak dużo, że zaczęły w moim życiu zawodowym odgrywać istotną rolę. Na szczęście ani obowiązki Sekretarza Naukowego, ani te *pozainstytutowe* nie pochłaniały mi całego czasu dyspozycyjnego. Wciąż jeszcze umiałem wygospodarować trochę swego *potencjału* na podtrzymywanie wcześniejszych zainteresowań badawczych, aby w większej skali wrócić do nich dopiero w 1982 roku, po odwołaniu z funkcji Sekretarza Naukowego.

Zaangażowanie w działalność pozainstytutową

Wybór tych *pozainstytutowych* działalności z lat 1975–1988, które są war-
te omówienia – okazał się dość kłopotliwy. W pierwszych latach tego okresu
byłem już członkiem „Rady Głównej” – kadencji powołanej w marcu 1973 ro-
ku przez Ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Byłem też w tym
samym roku (maj 1973 r.) powołany przez Ministra Przemysłu Ciężkiego
„w skład Rady Naukowo-Technicznej Kombinatu Górniczo-Hutniczego Miedzi
ZBiPM („Cuprum”), a przez Ministra Górnictwa i Energetyki „na członka
Rady Naukowo-Technicznej przy Centralnym Ośrodku Informatyki Górnictwa
i Energetyki w Katowicach”. W 1974 roku Minister Górnictwa i Energetyki
powołał mnie również „na członka” swojej Rady Techniczno-Ekonomicznej.
W następnych latach były jeszcze inne – niekiedy zupełnie niespodziewane
powołania, jak np. „w skład Rady Społeczno-Gospodarczej” Wojewódzkiej
Rady Narodowej w Katowicach (marzec 1987 r.) lub Rady Naukowej Instytutu
Systemów Sterowania w Katowicach (przez Ministra Przemysłu – maj 1988 r.).

Otóż, zdecydowałem się opowiedzieć o swej działalności *pozainstytuto-
wej* tylko w trzech gremiach – tych mianowicie, w których ta działalność była
– jak sądzę – dość istotna bądź w kategoriach społecznych, bądź w aspekcie
meo zawodowego rozwoju. Inne pominę – choć też brałem w nich udział
z dobrą wolą i oczekiwanym zaangażowaniem. Przyznając, że były to czasem
gremia fasadowe, w których od członków oczekiwano głównie obecności,
a nie merytorycznej i koncepcyjnej aktywności.

*

Pierwsza połowa lat siedemdziesiątych – była znamieną *gierkowskim
otwarcie na aktywność i zmiany* – oczywiście w ramach **niezmiennego**,
PRL-owskiego porządku. Mnie ta *partyjno-rządowa aktywność* ogarnęła

(żeby nie powiedzieć „dopadła”) już w marcu 1972 roku, gdy jeszcze kierowałem swym Ośrodkiem. To wówczas przewodniczący „Komisji dla unowocześnienia systemu funkcjonowania gospodarki i państwa”, towarzysz Jan Szydłak skierował do mnie imienne zaproszenie na plenarne posiedzenie tej Komisji. Oczywiście poprosiłem Dyrektora GIG o delegację i pojechałem do gmachu Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie. Mogę powiedzieć – bo dobrze to pamiętam – że jechałem z zainteresowaniem, choć nie bez wewnętrznego oporu.

Wróciłem z przekonaniem, że jeżeli zostanę powołany do współpracy z Komisją, to powinienem się na to zgodzić. Rozumiałem, że mimo iż byłem bezpartyjny, to co robiłem i jak robiłem wprowadzało mnie w orbitę zainteresowania PZPR. Na to nie miałem wpływu i musiałem się z tym godzić. Byłem zdecydowany, w tej ewentualnej współpracy, nadal zachowywać dotychczasowy status nieupolitycznionego pracownika nauki, inaczej mówiąc – status rzeczoznawcy. Chciałem, żeby Komisja była ewentualnie „kanałem” mojej pracy społecznej – lub ściślej *społecznie-zawodowej* – którym mógłbym choćby w niewielkiej skali, oddziaływać na poprawę sytuacji w całym Kraju. Takiej możliwości wcześniej nie miałem.

Rzeczywiście – wkrótce zostałem powołany do „Zespołu Nr 4. System funkcjonowania organizacji gospodarczych” – kierowanego przez profesora Andrzeja Zalewskiego z AGH. Nieco później (po reorganizacji prac Komisji) wszedłem w skład *Zespołu II: Zasoby surowcowe i ochrona środowiska naturalnego* prowadzonego przez profesora Stanisława Kuzińskiego, szefa GUS. Zespoły pracowały głównie w trybie naukowych seminariów organizowanych przeważnie w Jachronce, w ośrodku Konferencyjnym GUS. Na trzy z tych seminariów, poświęcone gospodarce zasobami naturalnymi, społecznym kosztom tej gospodarki oraz kierunkom jej rozwoju – przygotowywałem wystąpienia zamieszczane w konferencyjnych wydawnictwach GUS^[28].

Jak wiadomo ani prace Komisji Szydłaka, ani kolejne Plena i Zjazdy PZPR niewiele *unowocześniły* zarówno gospodarkę, jak i państwo. W latach 1977 i 1978 pojawiły się wprawdzie ustawy rozluźniające *doktrynalny gorset upaństwowionej, proflakcyjnej gospodarki*, ale ich wpływ na *socjalistyczną rzeczywistość* nie był znaczący. To rozluźnienie zapoczątkowało jednak, istotny proces wchodzenia działaczy partyjnych i pracowników służb specjalnych do *biznesu* (m.in. poprzez państwowo-prywatne spółki polonijne) i trochę ratowało fatalną sytuację zaopatrzeniową Kraju. Mimo to swój udział we wskazanych pracach oceniam pozytywnie. Sporo się nauczyłem i przy tym przekazałem sporo własnych poglądów ludziom, którzy często o górnictwie wiedzieli bardzo mało.

*

W 1975 roku – gdy jeszcze byłem całkowicie pochłonięty opanowywaniem nowych obowiązków Sekretarza Naukowego – otworzyły się nowe „kanały” *społecznie-zawodowej* współpracy w skali Kraju. Uchwałą Wydziału I Nauk Społecznych Polskiej Akademii Nauk, zostałem powołany na trzyletnią kadencję

(1975–1977) „do osobowego składu Komitetu Statystyki i Ekonometrii PAN”, a uchwałą Wydziału IV Nauk Technicznych do Komitetu Automatyki i Cybernetyki Technicznej PAN. Niemal równocześnie – Prezydium PAN powołało mnie w skład Komitetu Badań i Prognoz „POLSKA 2000”⁷¹). W owym czasie Polska Akademia Nauk jako KORPORACJA UCZONYCH aktywizowała swoje oddziaływanie na społeczny i gospodarczy rozwój Kraju, a Komitety powoływane na trzyletnie kadencje miały być sposobem na tę aktywizację.

W 1978 roku – uchwałą Wydziału IV zostałem powołany do Komitetu Górnictwa PAN. Zostałem też powołany na drugą kadencję do Komitetu Statystyki i Ekonometrii oraz Komitetu Badań i Prognoz „POLSKA 2000”.

W kolejnej kadencji 1981–1983 ponownie zostałem wybrany do Komitetu Górnictwa (z powołaniem do Prezydium Komitetu) oraz – na podstawie uchwały sesji plenarnej Wydziału Nauk Społecznych – znalazłem się w składzie Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania PAN. W pracach tych dwóch Komitetów uczestniczyłem przez szereg dalszych kadencji: w Komitecie Nauk Organizacji i Zarządzania do roku 1992, a w Komitecie Górnictwa do 2006 roku.

Liczba kadencji, mego *członkostwa* w pięciu Komitetach Polskiej Akademii Nauk była następująca: 1, 2, 2, 4, 9. Miałem więc sporo możliwości i czasu, aby zapoznać się z funkcjonowaniem tych gremiów. Muszę podkreślić, że w ich pracy zawsze brałem udział chętnie i z gotowością zaangażowania. Byłem i jestem przekonany, że tego rodzaju międzysrodowiskowa współpraca jest potrzebna, a w aspekcie społecznym wręcz konieczna. Gdy jednak po latach próbuję ocenić tę pracę i odpowiedzieć na pytanie, czy w Komitetach PAN pracowaliśmy ze skutecznością, której można by oczekiwać od tych gremiów – to niestety moja odpowiedź nie jest pozytywna.

Na początku lat 90. miała miejsce nieśmiała próba przybliżenia celów działalności Komitetu Górnictwa PAN do oczekiwań praktyki górniczej (o tym jeszcze opowiem). Jednak, uwzględniając także ten późniejszy incydent, moja ogólna ocena wpływu funkcjonowania tych Komitetów PAN, które obserwowałem – **na realizację podstawowych obowiązków NAUKI wobec społeczeństwa i gospodarki** – jest krytyczna. Tą oceną obejmuję nie tylko lata relacjonowane w tym rozdziale, ale również następne dziesięciolecia do 2006 roku, w którym przestałem uczestniczyć w pracach Komitetów PAN. Wpływ Komitetów, które poznałem, na „skutek użyteczny” funkcjonowania NAUKI – był moim zdaniem niewielki. Największą korzyść z pracy w Komitetach uzyskiwaliśmy my – ich członkowie. Poznawaliśmy środowisko (to była realna korzyść)... „ocieraliśmy” się o przypadkowo podnoszone problemy... czasem demonstrowaliśmy werbalne zainteresowanie jakąś

⁷¹ W dyskusji na forum „następnego pokolenia” tego Komitetu i później w bezpośrednich listach do władz lansowałem ideę „Międzynarodowej konwencji w sprawie nauczania prawdy historycznej w szkołach” (Świat Przyszłości i Polska, Wyd. Elipsa, W-wa 1995). Do dziś uważam, że jest to wciąż aktualne zadanie dla naszej dyplomacji.

bołączką przemysłu lub całej gospodarki... No i przydawaliśmy sobie „splendoru” uczestnictwem w elitarnych gremiach.

Za dużo było w funkcjonowaniu znanych mi Komitetów PAN podporządkowania oczekiwaniom władz politycznych – oraz władz Polskiej Akademii Nauk. Zbyt mało natomiast rzetelnej dyskusji i krytycyzmu w stosunku do kondycji oraz badawczo-rozwojowej i wdrożeniowej skuteczności „własnego podwórka” (odnośnych dyscyplin i całej nauki); także zbyt mało otwarcia zarówno na aktualny, jak i perspektywiczny – społeczny i gospodarczy – rozwój Kraju. Równocześnie zbyt dużo było tolerancji dla lokalnego partykularyzmu – znamiennego *niezauważaniem* dorobku innych autorów⁸⁸⁾.

Być może jest to pogląd niesprawiedliwy i nadmiernie surowy – może mam w tej materii zbyt małą wiedzę – ale nie znam znaczących argumentów i przykładów negujących taki pogląd.

*

W czerwcu 1976 roku – pojawiło się jeszcze jedno nowe pole działalności *społecznie-zawodowej*. Zostałem powołany przez ówczesnego Prezesa Rady Ministrów „na członka Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej do Spraw Kadr Naukowych” (CKK) – na trzyletnią kadencję. W 1979 roku nastąpiło ponowne powołanie na kadencję 1979–1982, ale w listopadzie 1982 – już w czasie stanu wojennego – ówczesny premier Wojciech Jaruzelski przedłużył kadencję Komisji do 31 grudnia 1983 roku. Tak więc członkiem CKK byłem siedem i pół roku – w czasie bardzo burzliwym, bo powołanie podpisywał jeszcze Piotr Jaroszewicz, a odwołanie Wicepremier Mieczysław Rakowski. Wskazuję na tę okoliczność, bo pracę w CKK wspominam jako niezwykle systematyczną i uporządkowaną – „niewrażliwą” na sytuację zewnętrzną.

Do obowiązków CKK należała weryfikacja zasadności oraz zatwierdzanie stopni i tytułów naukowych nadawanych przez Rady Wydziałów wyższych uczelni lub Rady Naukowe instytutów naukowo-badawczych. Także rozpatrywanie wniosków o przyznanie Radom Wydziałów lub Radom Naukowym – uprawnień do nadawania stopni i tytułów naukowych – oraz wnioskowanie cofnięcia tych uprawnień w przypadku stwierdzenia nieprawidłowego ich wykorzystania (np.: powtarzające się nominacje, które były następnie kwestionowane przez CKK).

Sekcja VI Nauk Technicznych, w której funkcjonowałem, pracowała bardzo sprawnie. W jej składzie były reprezentowane wszystkie znaczące w Kraju środowiska naukowe o profilu technicznym. Spotykaliśmy się w składzie około 25–35 osób (absencja była niewielka) – regularnie raz w miesiącu na posiedzeniach jedno lub dwudniowych – zależnie od liczby spraw do rozpatrzenia. Tak więc przez wszystkie lata członkostwa w CKK – co miesiąc pracowicie jeździłem do Warszawy (pociągiem, później częściej samolotem). Przygotowywałem zleczone mi opinie (za cały okres kilkadziesiąt)

i z pełnym przekonaniem o użyteczności tego, co robię – poddawałem się procedurze obowiązującej w pracach Sekcji.

A procedura była bardzo prosta. Dwóch recenzentów wskazanych przez kierownictwo Sekcji – przeważnie ze środowisk „neutralnych” wobec rozpatrywanej sprawy, ale o tożsamer lub pokrewnej specjalności – wygłaszało na posiedzeniu swoje opinie. Po dyskusji następowało tajne głosowanie. Jeżeli wynik nie był jednoznacznie pozytywny lub negatywny – Przewodniczący powoływał trzeciego recenzenta i na kolejnym posiedzeniu, znów dyskusja i głosowanie były powtarzane. Jeżeli Sekcja nadal głosowała niejednoznacznie – był powoływany specjalny zespół, który przygotowywał sprawę do ostatecznego rozstrzygnięcia.

W przypadkach wątpliwych, których nie brakowało – dyskusje i spory były bardzo „zażarte”. Ścierały się w nich bardzo różne poglądy na samą istotę naukowego dorobku, skalę wymagań uzasadniających nadanie stopnia bądź tytułu naukowego, granicę między dorobkiem nauki a rozwiązaniem technicznym lub zwykłym *pustosłowiem* itd. Echa tych dyskusji pojawiały się w moich (wspominanych wyżej) publikacjach w Nauce Polskiej i w Naukoznawstwie. Materia sporów nie była łatwa, zwłaszcza, gdy trzeba było sprowadzić ją do konkretnego przypadku: konkretnego pracownika uczelni lub instytutu, z mniej lub bardziej konkretnym dorobkiem, przy tym „przechylonym” bardziej lub mniej w kierunku „teoretycznych rozważań” lub potrzeb gospodarki. Przyznając się, że należałem do tych członków Sekcji VI, którzy najmniej cenili „teoretyczne rozważania”, najwyżej natomiast „punktowali” dorobek badawczy przydatny w PRAKTYCE, zwłaszcza wywodzący się z doświadczeń gromadzonych w działalności przemysłowej i w badaniach poligonowych.

Żyłem wówczas w przekonaniu – i nadal przy nim pozostając – że Sekcja VI CKK pracowała rzetelnie i pożytecznie. Była – tak jak cała Komisja – niezbędnym „sitem”, które „chroniło” NAUKĘ (choćby tylko częściowo) przed awansowaniem na wyższe „szczeble” jej pracowniczej hierarchii – osób niezasługujących na awans. Do CKK wpływały – niestety dość licznie – wnioski, które świadczyły o *beztrosce* gremiów wnioskujących, a niekiedy o ewidentnym *kumoterstwie* i tolerowaniu *tandety*. Mój krytyczny pogląd na ówczesne funkcjonowanie procesu awansów naukowych wyraziłem, w 1981 roku w liście do Przewodniczącego CKK profesora Witolda Czachórskiego – następująco: *Jedną z głównych (jeżeli nie główną) przyczyną słabości obserwowanych w »świecie nauki« jest zbyt niski poziom wielu doktoratów. Za słabymi doktoratami idą słabe habilitacje, a za nimi profesorowie, którzy »produkują« doktorów jeszcze słabszych od siebie*¹⁴⁸⁾. Gdyby nie było działalności CKK, kondycja NAUKI, którą odziedziczyliśmy po epoce PRL-u byłaby niewątpliwie znacząco gorsza. Tendencje, które pojawiały się po 1989 roku – aby ograniczyć lub nawet zlikwidować funkcje wypełniane kiedyś

przez CKK określam jako błędne i szkodliwe. Korespondowałem w tej kwestii z ówczesnym Ministrem Nauki i Szkolnictwa Wyższego – profesorem Stelmachowskim. Przekazanie naukowym gremiom uczelni i instytutów całej odpowiedzialności za poziom kwalifikacji kadr naukowych doprowadziłoby nieuchronnie do dotkliwej degradacji NAUKI i związanych z tym szkód – niewyobrażalnie wysokich.

Powrót do dawnych zainteresowań badawczych

W pierwszych miesiącach 1975 roku, gdy rozpoczynałem sprawowanie funkcji Sekretarza Naukowego GIG, ukazały się w miesięcznikach górniczych trzy moje publikacje.

W pierwszej popularyzowałem „komputeryzację jako czynnik przyspieszonego rozwoju przemysłu węgla kamiennego” w drugiej „zadania i metody komputeryzacji planowania”, a w trzeciej szczegółowy system „planowania gospodarki wyposażeniem (SCGW)”²⁵⁾. Ukazała się również czwarta publikacja w ogólnopolskim miesięczniku Gospodarka Planowania – przygotowana wspólnie z doktorem Paweleczykiem (do niedawna moim zastępcą) – poświęcona „kompleksowej komputeryzacji prac analityczno-rozliczeniowych i planistycznych w górnictwie węglowym”. Jednak wszystkie te publikacje były wynikiem „upłynniania remanentów”. Faktycznie były przygotowane jeszcze w 1974 roku, w okresie mego ogromnego zaangażowania w opracowywanie i wdrażanie tych rozwiązań.

Dopiero w 1976 roku – gdy uporałem się z przynajmniej wstępną organizacją swego nowego „warsztatu pracy” – zacząłem powoli wracać do dawnych zainteresowań. W tym czasie Ośrodek przeniesiony do COIG – funkcjonując pod bezpośrednim kierownictwem doktora Paweleczyka – powiększył liczebność swej kadry do około 230 pracowników i nadal realizował nasz wcześniejszy program badań i wdrożeń. Byliśmy zgodni, że w 1977 roku – po upływie pięciu lat od wydania pierwszej książki dokumentującej dorobek Zespołu według stanu na 1972 rok^{[25)} – trzeba zorganizować kolejną, analogiczną konferencję i znów opublikować przygotowane referaty w książkowym wydawnictwie GIG.

W związku z tym, że od 1975 roku byłem członkiem Komitetu Statystyki i Ekonometrii Polskiej Akademii Nauk – o czym już wspominałem – zainteresowałem to gremium pomysłem zorganizowania konferencji pod hasłem „Zastosowanie komputerów oraz metod statystyki i ekonometrii w zarządzaniu branżą – na przykładzie górnictwa węgla kamiennego”. Wiceminister Górnictwa i Energetyki Benon Stranz zaakceptował pomysł i hasło konferencji. Powołał też Komitet Organizacyjny konferencji – reprezentujący Ministerstwo.

²⁵⁾ Wiadomości Górnicze z 1975 roku nr 2, Przegląd Górniczy z 1975 roku nr 5 (dwa artykuły).



Dyrektor Departamentu Nowej Techniki Wojciech Łakomy otwiera w GIG naszą konferencję; obok Dyrektora, po lewej prof. T. Peche Komitet Ekonometrii i Statystyki PAN; po prawej Wiceminister B. Stranz

GIG, COIG oraz Komitet Ekonometrii i Statystyki PAN. Dwanaście – z ogólnej liczby 92 referatów – przygotowali przedstawiciele Komitetu PAN i Ministerstwa, a całą resztę pracownicy mego dawnego Zespołu. W przygotowaniu referatów – z wkładem autorskim – wzięło udział 90 pracowników, co świadczy o wyraźnym merytorycznym rozwoju Zespołu. Żmudną pracę merytoryczną i redaktorską, którą trzeba było włożyć, aby znaczna część materiałów (przygotowana przez początkujących autorów) nadawała się do druku – wykonaliśmy we dwóch z doktorem Pawelczykiem¹²⁹⁾.

Sześćsetstronicowe wydawnictwo było źródłem wielkiej satysfakcji, którą odczuwam również dziś, gdy biorę je do ręki. Przede wszystkim wykazało przodującą w owym czasie w skali kraju – pozycję górnictwa węgla kamiennego w pracach nad komputeryzacją zarządzania wielkimi organizacjami gospodarczymi. Wykazało też, że zespół, który powstał i uformował się w GIG – nadal się rozwija i stanowi duży potencjał zarówno badawczo-rozwojowy, jak i wdrożeniowy. Niestety – w latach osiemdziesiątych, po stanie wojennym, gdy zabrakło w nim Pawelczyka (wyrzucony z pracy za działalność w „Solidarności”) – potencjał Zespołu był degradowany, a w latach dziewięćdziesiątych został niemal doszczętnie zniszczony. Do tej sprawy jeszcze powrócę.

W 1977 roku – rozpatrując z pozycji Sekretarza Naukowego plan prac Instytutu i problemy górnictwa węgla kamiennego, które oczekiwały naukowo-badawczego wsparcia – konstatowałem ze zgrozą – systematyczne „rugowanie” z kopalń technologii podsadzki hydraulicznej. W ciągu 10 lat – od roku 1967, w którym tą technologią wydobyliśmy 62 mln ton węgla – wydobywanie z jej użyciem spadło do 47 mln ton, a udział tej technologii w całkowitym wydobyciu węgla kamiennego zmniejszył się z 50,2 do 25,4%.

Politykę „rugowania” podsadzki hydraulicznej z kopalń nadal uzasadniano jej wysokim kosztem – co z uporem negowałem.

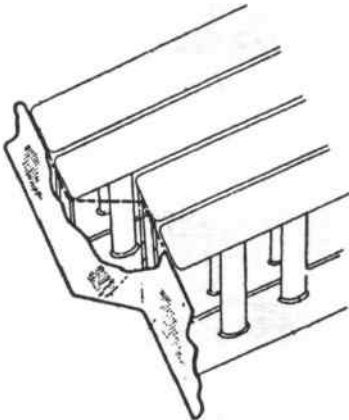
Twierdziłem, że koszt *własny* tej technologii jest kompensowany zmniejszeniem wielu innych kosztów cząstkowych. Gdyby w kopalniach funkcjonował prawidłowy rachunek kosztów – wówczas można by to łatwo wykazać (jak wspominałem – str. 344 – wdrożenie takiego rachunku kosztów zablokował brak zgody ówczesnego Ministerstwa Górnictwa na wprowadzenie układu rozliczeniowego *procesów* w miejsce tzw. „Wykazu stanowisk kosztów”). Podsadzka hydrauliczna w sposób ewidentny zmniejsza bowiem koszt szkód górniczych, koszt zwalczania zagrożenia tąpnięciami i wypływem metanu z górotworu, koszt wywołany stratami zasobów, koszt *utrzymania* wyrobisk, koszt składowania na powierzchni odpadów górniczych... itd. W warunkach Górnośląskiego Zagłębia Węglowego te zmniejszenia kosztu przeważnie z *nawiązką* pokrywają niewielki *koszt własny* tej technologii. Oznacza to niewątpliwie jej zdolność do konkurowania z dewastacyjną technologią zawalową – zwłaszcza w trudnych warunkach geologiczno-górniczych. Niestety – wobec braku *twardych* dowodów z rachunkowości kosztów – **falszywa teoria o wysokim koncie podsadzki hydraulicznej była wówczas (i jest nadal) powszechnie lansowana.**

Wiedziałem, że właściwą przyczyną zawyżonych kosztów eksploatacji pokładów z zastosowaniem podsadzki hydraulicznej tkwi nie w jej podstawowej charakterystyce, a w zaniedbaniach modernizacyjnych! Mówiąc inaczej – w zaniechaniu dostosowania technologii podsadzki do postępu, który w minionych dziesięcioleciach dokonał się w technice urabiania pokładu i obudowy *przodków ścianowych*. Wprawdzie w tym czasie do *ścian* podsadzkowych – tak jak do zawalowych – były już wprowadzane kombajny i obudowa zmechanizowana (*krocząca*), ale – cała technika podsadzania przestrzeni po wybranym węglu (za tą obudową) – pozostała niemal taka jak przed dziesiątkami lat.

Przestrzeń ta była wówczas – w latach 70. – zabezpieczana drewnianymi stropnicami i „lasem” drewnianych stojaków. Nadal wchodziła tam załoga, żeby zbudować *tamę podsadzkową* złożoną – jak wspominałem – z drewnianej konstrukcji i przybijanego do niej specjalnego płótna – umożliwiającego odpływ zza tamy wody użytej do hydraulicznego transportu materiału podsadzkowego. Dopiero po wykonaniu tych wszystkich czynności *ściana* mogła być *podsadzona* i ponownie urabiana. Dzięki upowszechnieniu *pełnego zasilania* (mówiłem o nim w poprzednim rozdziale) podsadzanie mogło być skrócone do paru godzin – jednak cały proces *likwidowania wybranej przestrzeni* trwał długo, a postęp *ścian* podsadzkowych i uzyskiwana w nich *koncentracja produkcji* stawała się coraz wyraźniej mniejsza niż w intensywnie modernizowanych *ścianach* zawalowych. **Właśnie to modernizacyjne opóźnienie i wywołana nim zmniejszona koncentracja produkcji uzyski-**

wanej w ścianach podsadzkowych była właściwą przyczyną zawyżonych kosztów i wycofywania z kopalń podsadzki hydraulicznej.

Wysiłek modernizacyjny kierowany w owych latach na usunięcie wskazanej – zasadniczej – wady technologii podsadzki hydraulicznej był podejmowany głównie w kopalniach, w trybie pracowniczej racjonalizacji. Ze zrozumiałych względów – mogło to dać i dawało tylko niewielką poprawę sytuacji. Natomiast Zakłady Konstrukcyjno-Mechanizacyjne Przemysłu Węglowego (ZKMPW) – właściwe do rozwiązywania tak istotnego problemu – były zajęte, zgodnie z polityką Ministerstwa, głównie modernizacją wyposażenia ścian zawałowych. Równocześnie Główny Instytut Górnictwa, choć na przełomie lat 1960/1970 przeprowadził udane próby skonstruowania prototypu przesuwnej tamy podsadzkowej¹¹³⁾ nie otrzymał zgody na kontynuowanie tych prac.



Schemat, którym w 1977 roku
ilustrowałem funkcjonowanie
tamy przeponowej⁵³⁾

W tej sytuacji w 1977 roku postanowiłem podjąć próbę rozwiązania problemu zwiększenia postępu ścian podsadzkowych i zahamowania fatalnego procesu eliminowania podsadzki hydraulicznej z kopalń. Punktem wyjścia do realizacji tego zamysłu była koncepcja **tamy przeponowej** (tak ją nazwałem i nadal symbol ES)⁵³⁾, która miała zapewnić ścianom podsadzkowym postulowany od dawna (1959 rok, str. 329) postęp ciągły, analogiczny do postępu ścian zawałowych. Tama przeponowa miała przemieszczać się wraz z obudową zmechanizowaną. Przestrzeń wybrana miała być zamknięta dla załogi. Strop niepodpierany obudową drewnianą miał się ugiąć na podsadźce, z dopuszczeniem ewentualnych *obwałów*. Nadmierne *obwały* skał stropowych miały być ograniczane lub eliminowane szczelnym podsadzaniem – **prowadzonym w ślad za postępem ściany** – w razie

potrzeby (przy słabym stropie) po wykonaniu każdego zabioru kombajnem.

Aby to umożliwić, rurociąg podsadzkowy prowadzony wzdłuż ściany – wyposażony w tzw. *wpusty* (kierujące mieszalinę za tamę co kilka metrów) – miał być elastyczny (gumowo-tkaninowy) lub stalowy, ale wyposażony w uelastyczniające *sprzęgła*. Taki rurociąg – podobnie jak tama – miał być trwale połączony z przesuwaną obudową zmechanizowaną. Kierowanie mieszaniny do kolejnych wpustów, w miarę podsadzania ściany, miało się odbywać za pomocą *przerzutnic* hydraulicznie sterowanych – co miało wyeliminować jakiegokolwiek niezamierzone przerwy w procesie podsadzania.

Także trwałość rurociągów podsadzkowych miała być wyraźnie zwiększona, aby umożliwić transport mieszaniny o dużej gęstości i zawartości górniczych odpadów – bez obawy, że związane z tym zwiększone ciśnienie będzie *rozrywać* rurociągi i utrudniać szybki postęp ścian.

Zamysł był śmiały i wielozadaniowy, ale niepozbawiony szans na sukces. Dyrektor Szczurowski zgodził się, abym zorganizował mały zespół współpracowników i prowadził prace „*murtem równoległym*” do obowiązków Sekretarza Naukowego. Na udział w zespole zgodził się inżynier Kazimierz Soltysck, z którym przed dziesięciu laty prowadziliśmy pomiary na instalacji „Koszelew”. Zorganizowany zespół ulokowałem przy zespole doktora Eugeniusza Bąka, który zajmował się głównie pompowym transportem mieszanin wody i materiałów stałych. Ta „lokalizacja” ułatwiała obydwóm zespołom wzajemną pomoc w badaniach poligonowych wymagających okresowo zwiększonej kadrowej obsady. W praktyce, ten mini zakład podsadzki hydraulicznej funkcjonował od 1978 roku pod moim kierownictwem – trochę nieformalnie, bo byłem w tym czasie Sekretarzem Naukowym GIG.

Tak odbył się mój powrót do prac nad rozwojem technologii podsadzki hydraulicznej. Wbrew trwałej tendencji decydentów do eliminowania tej technologii – prowadziłem je wytrwale do roku 1993, przez 16 lat. Staralem się *krok po kroku* eliminować przeszkody na drodze do realizacji zamysłu powszechnego osiągnięcia w praktyce kopalnianej ciągłego postępu ścian podsadzkowych. Wiedziałem, że to ujawniłoby – w bardzo wielu sytuacjach – zdecydowaną wyższość technologii podsadzki hydraulicznej nad technologią zawałową i zapobiegło eliminacji podsadzki z kopalń. W konsekwencji nasze górnictwo węgla kamiennego uzyskałoby ogromną szansę na wzrost ekonomicznej efektywności, racjonalną eksploatację swoich zasobów (zwłaszcza w filarach ochronnych) oraz zasadnicze ograniczenie szkód górniczych i naturalnych zagrożeń górniczych (głównie tępaków i wybuchów metanu).

Żeby nie *mdlić* – wskażę tylko na ważniejsze rozwiązania, które przybliżyły nas do przyjętego celu badań. Pominę całą resztę: trudności związane z przygotowaniem prototypowych rozwiązań, zmaganie się z procedurami badań poligonowych w kopalniach, bezsilność w zetknięciu ze *szluzową prywatą*^{*)} itd.

W pierwszej fazie prac skupiliśmy się nad możliwością zastosowania w tamie podsadzkowej tkaniny *elastyczno-sprężystej* z włókna lateksowego oraz poliuretanowego – wzmacnianej cięgnami gumowymi. Doświadczalne partie takich tkanin zostały przygotowane w laboratorium tkanstwa Instytutu „STOMIL” w Warszawie. W latach 1978 i 1979 były poddane próbom dółowym w kopalniach „Pokój” i „Wujek” – niestety z wynikiem negatywnym. Możliwości *uelastycznienia* tamy zaczęliśmy więc szukać w odkształcalnych konstrukcjach metalowych i przeponach nierozciągliwych. W 1980 roku przeprowadziliśmy w GIG próby powierzchniowe czterech sekcji tamy z dwoma rodzajami konstrukcji i trzema rodzajami jej *przykrycia*. Próby te dały wynik zachęcający – zaczęliśmy więc przygotowania do badań poligonowych w kopalni „Wujek”.

^{*)} Tak wówczas określałem dbałość głównie o własną pozycję na zajmowanym stanowisku, poprzez asekurancję i dogadzanie gustom „górnym”.

Zanim o nich opowiem, muszę jednak przywołać wydarzenia związane z powstaniem „Solidarności” i stanem wojennym, które doprowadziły do przerwania relacjonowanych badań na parę lat. Co ważniejsze – zapoczątkowały proces, który po kilku latach pchnął na nowe tory historię nie tylko górnictwa (wraz ze mną), lecz także historię całego Kraju (przypominam kalendarium wydarzeń podane na początku tego rozdziału).

„Solidarność” i wprowadzenie stanu wojennego

W życiu prywatnym, porozumienia zawarte między stroną partyjno-rządową a Międzyzakładowymi Komitetami Strajkowymi – 30 i 31 sierpnia 1980 r. w Szczecinie i Gdańsku oraz 3 września w Jastrzębiu – stanowiły ogromne przeżycie. To był autentyczny WYBUCH NADZIEI na zmianę PRL-owskiej rzeczywistości. Ale wpływ tych wydarzeń na codzienną pracę Instytutu był niewielki. Powstała oczywiście GIG-owska „Solidarność” – głównie z młodej kadry naukowo-badawczej i technicznej – ale Instytut pracował normalnie. Nowy Związek odnosił się do mnie z „rezerwą” – jako do członka Dyrekcji – a ja nie „nabijałem się” ze wstąpieniem w jego szeregi.

Po starciu starałem się egzekwować wymagania w zakresie efektywności prac badawczo-rozwojowych zarówno wprowadzanych do planu, jak



Tablica umieszczona w holu wejściowym do Instytutu, odsłonięta na uroczystym 160. posiedzeniu Rady Naukowej GIG

i przedstawianych na *odbiorach* – i po starciu wywoływałem tym pretensje niektórych zespołów. Jako (w tym czasie) przewodniczący Komitetu Obchodów 35-lecia Instytutu – mnóstwo czasu poświęcałem organizacji uroczystości upamiętniających tę rocznicę. W gmachu głównym Instytutu zostały odsłonięte dwie pamiątkowe tablice: jedna poświęcona pamięci profesora Krupińskiego, a druga niezręcznym już profesorom GIG. Wy-

emitowaliśmy rocznicowy medal XXXV-lecia Instytutu, wznowiliśmy edycję „Pierwszej polskiej ustawy Górniczej – Ordynek Gorny – z roku 1528”, uruchomiliśmy prace nad wydawnictwem dokumentującym pracę Instytutu w latach 1945–1980 itd. Niestety – wniosek, który przygotowaliśmy w Ko-

mitecie Obchodów, aby Instytutowi nadać imię Profesora Bolesława Krupińskiego – okazał się nieskuteczny (podobno ze względu na brak zgody Komitetu Wojewódzkiego PZPR).

Nadal funkcjonowałem w trzech Komitetach Naukowych PAN i w CKK. Angażowałem się normalnie w prowadzenie paru doktoratów moich byłych pracowników (zatrudnionych w COIG), uczestniczyłem w GIG w licznych wówczas zebraniach i naradach; także w aktywizującym się w tym czasie Towarzystwie Naukowym Organizacji i Kierownictwa (TNOiK). Przewodniczyłem wówczas Radzie Naukowej w jego Śląskim Oddziale. Co istotne – mimo obciążenia wielu obowiązkami – umiałem wygospodarować sporo czasu na pracę (wraz ze wspomnianym już mini zakładem) – nad *ratowaniem* technologii podsadzki hydraulicznej przed jej rugowaniem z kopalń.

Tak więc, życie zawodowe toczyło się *starą koleiną* – ale już wyraźnie inną. Pojawienie się „Solidarności” wprowadziło do ówczesnej rzeczywistości – nową *jakość*. Oprócz dotychczasowego, oficjalnie funkcjonującego poglądu partii (PZPR) i Rządu – na sprawy Kraju, polityki gospodarczej, organizacji górnictwa itd. – pojawił się inny, również oficjalnie funkcjonujący pogląd „Solidarności”.

Powstała więc możliwość wyboru i opowiadania się za jedną lub drugą oficjalną *opcją*. To mi jednak nie odpowiadało. Przyznałem sobie – wyraźniej niż robiłem to dotychczas – status „obserwatora” ogólnej sytuacji zarówno górnictwa, jak i całej gospodarki, który może dochodzić do własnego poglądu na występujące problemy – niekoniecznie zgodnego z jednym lub drugim poglądem oficjalnym. Mówiąc dokładniej – może zajmować, w zasadzie we wszystkich kwestiach – stanowisko niezależne i lansować je, gdy uzna, że okoliczności tego wymagają.

Tak ukierunkowanej ewolucji mojej zawodowej aktywności sprzyjał niewątpliwie udział w funkcjonowaniu ogólnokrajowych gremiów – takich jak Komisja Szydłaka, Komitety Naukowe PAN i CKK. O rozszerzeniu zainteresowań nie tylko na organizację nauki, lecz także na ogólne problemy górnictwa i Kraju – decydowała jednak przede wszystkim pogarszająca się sytuacja gospodarki w drugiej połowie „dekady Gierka”. Także występujące w związku z wprowadzonym stanem wojennym załamanie produkcji węgla kamiennego w latach 1980 i 1981 (odpowiednio o około 2 i 30 mln t/rok). Wprawdzie w latach 1982–1989 produkcja powróciła na poziom 190 mln ton, ale to załamanie ujawniło – niedostrzeżoną lub niezagłaśnianą wcześniej – niesprawność mechanizmu funkcjonowania tej gałęzi górnictwa.

Przyczyn „*kryzysu węglowego*” – tak go wówczas nazywano – szukali wszyscy zarówno środowiska partyjno-rządowe, jak i „solidarnościowe”. Dyskusja merytoryczna była przeważnie powierzchowna i przy tym zagłuszana wzajemnymi zarzutami i demagogią. W krytycznym 1981 roku – trzykrotnie zabrałem głos w tej dyskusji.

W czerwcu 1981 roku, w związku z występującym wówczas w kopalniach, powszechnym lekceważeniem zasad racjonalnej gospodarki zasobami eksploatowanych złóż węgla kamiennego (w rzeczywistości akceptowanym przez ówczesne władze górnictwa i Wyższy Urząd Górniczy), wystąpiłem na łamach Przeglądu Górniczego z krytyką tego stanu (1981, nr 6). Lansowałem ideę oparcia gospodarki złożem na rzetelnym rachunku kosztów – z wykorzystaniem skomputeryzowanych systemów planowania perspektywicznego i pięcioletniego-rocznego (SPP, SPK) oraz kryteriów ekonomicznej efektywności górniczej produkcji wbudowanych w algorytmy tych systemów. Była to równocześnie próba „torowania” drogi do wdrożenia w górnictwie wskazanych systemów (SPP, SPK), których wówczas nie chcieli ani decydenci Rządu, ani „Solidarność”. Systemy natomiast były już w tym czasie (w COIG) gotowe do inicjalnego – ale już przemysłowego – stosowania (oczywiście, z niezbędnym dalszym rozwojem inicjalnych rozwiązań).

Również w czerwcu 1981 roku – w katowickim Oddziale Polskiej Akademii Nauk wystąpiłem z referatem pt. „Prowynikowy system plac i organizacji w kopalniach węgla⁷¹”. W referacie, w czterech punktach, dość szczegółowo rozwinąłem propozycje, które scharakteryzuję następującymi cytatami. „Kryzys, który przezywamy, wymaga zastosowania nadzwyczajnych środków. Kopalniom należy przyznać kompetencję wyznaczania operatywnych planów produkcji bez nacisku zjednoczeń i Ministerstwa (...) Załogę zatrudnioną w procesie produkcyjnym wybierania węgla – w poszczególnym ciągu produkcyjnym – należy wynagradzać określoną stawką za każdą tonę wydobytą w ciągu dniówki (...) Zarobki innych grup można wiązać z zarobkami załóg obsługujących ściany (...) Prowydobywczy system plac powinien być wprowadzany (...) na zasadzie dobrowolności (...) Dozór i kierownictwo kopalni (...) powinny skupić uwagę na ewidencji i analizie wykorzystania kalendarzowego i dyspozycyjnego czasu pracy ciągów technologicznych (...) oraz wskaźnikach charakteryzujących **jakość pracy i organizacji**”.

Z dniem 1 listopada 1981 roku – na własną prośbę – zostałem odwołany ze stanowiska Sekretarza Naukowego GIG. Pismo odwołujące podpisał dr inż. Mieczysław Głanowski, pierwszy zastępca Ministra. Odszedłem bo czułem, że stałem się *niewygodny*. Dyrektorem Instytutu był już docent Paździora, który nie przydzielił mi żadnych nowych obowiązków – pozostawałem więc (jak wspominałem) na etacie profesora bez określonej funkcji. Znacznie więcej czasu mogłem teraz poświęcać problemom, które uznawałem w danym czasie za warte opracowania – no i oczywiście badaniom (już wcześniej rozpoczętym) nad konstrukcją przesuwnej, przeponowej tamy podsadzkowej.

Trzecie z omawianych wystąpień miało miejsce 3 grudnia 1981 roku w przeddzień „Barbórki” i 10 dni przed wprowadzeniem stanu wojennego.

⁷¹ Prace katowickiego Oddziału PAN. Zeszyt nr 6/1981, Katowice 1982.

Chociaż w tym czasie występowałem już z krytyką niektórych postulatów Górniczej „Solidarności” – Stefan Bratkowski, mocno zaangażowany w działalność opozycyjną – zwrócił się do mnie o udzielenie wywiadu dla „Życia i Nowoczesności” (wówczas dodatku do „Życia Warszawy”). Obszerne wywiad, przeprowadzony przez Henryka Kowalczyka – poprzedzony bardzo pochlebającym mi „wprowadzeniem” Redakcji „Życia...” – ukazał się pod tytułem: „Sposób na węgiel”.

Mówiąc najkrócej – tłumaczyłem w tym wywiadzie, że postulat „trzech S” lansowany wówczas przez „Solidarność” – czyli postulat kopalń „samorządnych, samodzielnych i samofinansujących” jest „utopijny”. Przekonywałem, że ze względu na występujące w procesie produkcji górniczej, zróżnicowane warunki zarówno geologiczno-górnice, jak i techniczne (np. inna miąższość pokładów i struktura udostępniania złoże) – występuje istotna „naturalna nieporównywalność kopalń...” co oznacza, że ich najżywotniejszy interes wymaga pracy pod wspólnym „Centralnym Zarządem”. Przekonywałem też, że „...Górnictwo węglowe to jest zbyt wielki biznes, aby kopalnie mogły działać w rozproszeniu”.

Wskazywałem ponadto na strategiczne znaczenie „usprawnienia w kopalniach systemu rozliczeń, aby w warunkach reformy zapewniał samorządowi i kierownictwu technicznemu pełną informację: co, gdzie, ile kosztuje, przy jakich technologiach, w jakich warunkach naturalnych itp.” Natomiast „na krótką metę”, jako na „najskuteczniejszy sposób zwiększenia produkcji” (i ekonomicznej efektywności) wskazywałem „usprawniony system płac i organizacji pracy”. Podkreślałem zwłaszcza celowość „zwiększenia odpowiedzialności za ciągłość procesu produkcyjnego” (w swoim oddziale) i zniesienie dotychczasowej zależności zarobków od wykonania planu produkcji przez całą kopalnię. „Należy skończyć z fetyszem stałej produkcji kopalni (...) Kopalnia, która może w danym momencie dać więcej (wydobycia) powinna to zrobić bez obawy, że każą jej po tym stałe utrzymywać ten poziom wydobycia i będą karać za jego spadek”.

Każdym z trzech wystąpień narażałem się zarówno władzom górnictwa, jak i „Solidarności”. Nie muszę dodawać, że wystąpienia te „utonęły” w ogólnej wrzawie toczonych wówczas sporów. Szanse rozwiązań, o które się dopominałem zostały pogrzebane „jaruzelską wojną”, która już *pukała do drzwi*.

W sobotę 13 grudnia 1981 roku, na nocnej zmianie, wykonywaliśmy w kopalni „Wujek” pomiary siły potrzebnej do przemieszczenia – do kolejnego zabioru ściany – doświadczalnego odcinka przeponowej tamy podsadzkowej (kolejnej wersji). Odcinek ten – po pomyślnie zakończonych próbach powierzchniowych w GIG – został w lipcu przekazany do kopalni „Wujek”, a od listopada przechodził próby dolowe w ścianie VI, w pokładzie 416. Nad ranem, gdzieś kolo godziny czwartej przyszedł shtygar zmianowy z in-

formacją, że na telefoniczne polecenie kierownictwa kopalni ekipa badawcza GIG ma wyjechać na powierzchnię. Takich poleceń się nie dyskutuje, więc poprosilem kolegę Soltyska, żeby dopilnował „zwijania” aparatury pomiarowej, a sam – w towarzystwie sztygara ruszyłem pod szyb. Gdy byliśmy już na *przekopie* – zaczęliśmy spotykać nielicznych górników, którzy właśnie zjechali z powierzchni i szli do miejsc wykonywania powierzonych im zadań. W większości byli to znajomi sztygara, więc rozpytywałem ich o sytuację na powierzchni. Z ogromnym przejęciem relacjonowali: *„Milicja była po Ludwiczaka”*¹ (...) *siekierami wyrąbali drzwi do mieszkania* (...) *nasz już poszli mu na ratunek* (...) *załoga nocnej i rannej zmiany zbiera się w cechowni* (...) *chyba będzie strajk* (...) *na dół puszczają tylko załogę do obsługi bezpieczeństwa*”. Wszyscy byli nadzwyczaj wzburzeni! Nam też udzieliło się to wzburzenie i... rosnący niepokój.

Na nadszybiu było dużo ludzi, ale zjeżdżali nieliczni. Wyczuwało się nadzwyczajne napięcie. W łaźni dla dozoru było prawie pusto. Gdy po „byle, jakiej” kąpieli wychodziłem za bramę kopalni, by przejść do budynku Dyrekcji – stali już przy niej górnicy z opaskami „Solidarności”, a na bramie były umieszczone sztandary: narodowy i górniczy. W Dyrekcji powiedziano mi tylko tyle, że mam opuścić teren kopalni. Żadnych wyjaśnień. Ktoś... po drodze... powiedział, że w cechowni ksiądz Bolezyk będzie odprawiał mszę... Gdy swoim Wartburgiem dojechałem do domu na Brynowie – Andrzej jeszcze spał. Rozebrałem się i wszedłem do wanny, żeby się „domyć”. Włączyłem radio. Nadawano wypowiedź Jaruzelskiego ogłaszającego stan wojenny... i wciąż ją powtarzano. Była już chyba godzina szósta...

Bieg tych zdarzeń dobrze pamiętam, ale to, co wówczas przeżywałem jest trudne do opisania. Było zaskoczenie... niepokój i dominujące uczucie, że dzieje się coś fatalnego. Uczucie czemuś podobne do tego w 1944 roku, gdy na nasze Kresy ponownie wkraczali Sowieci. Od sierpnia 1980 roku – żyłem w przekonaniu, że weszliśmy w końcu w fazę rzeczywistych PRZEMIAN – i to nie tylko w Kraju! Podobnie myśleli wówczas wszyscy, w moim otoczeniu!! Teraz – wraz z ogłoszeniem stanu wojennego to przekonanie

legło w gruzach. Czulem, że nadchodzi trudny okres *marazmu*. Że następne przesilenie nadejdzie po siedmiu latach – wraz z rozpoczęciem obrad „Okrągłego Stołu” – nikt wówczas nawet nie marzył.

Najwięksi optymiści nie przepuszczali, że za siedem lat jako pierwsi wyłamujemy się z Bloku Wschodniego. Że za nami pójdą: NRD, Czechosłowacja i pozostałe kraje satelickie – a wkrótce rozpadnie się również sowiecka satrapia.

¹Ówczesny Przewodniczący „Solidarności” kopalni „Wujek”.

W Instytucie pracowałem normalnie

Strajk, który organizował się w kopalni „Wujek”, gdy po nocnej zmianie wyjechałem z dołu, został po trzech dniach *złamany* znaną interwencją ZOMO (16.12.1981 r.). Koledzy z mego Ośrodka obserwowali tę akcję z okien „wysokościowca” COIG – zlokalizowanego w sąsiedztwie tej kopalni. Pawełczyk zaniepokojony kolumną czołgów jadących w kierunku kopalni poszedł do swoich Rodziców mieszkających w bloku usytuowanym dosłownie naprzeciw tej bramy kopalni „Wujek”, która była forsowana przez ZOMO. Obserwował pacyfikację z bliska! Jego relacje były porażające. Bezwzględność z jaką była prowadzona ta akcja... dziewięciu górników zabitych na miejscu i dziesiątki rannych... przypadki wyrzucania z karetki przygotowania rannych górników, żeby ułożyć w nich zomowców... brutalne traktowanie ludzi, którzy z przykopalnianego osiedla usiłowali iść z pomocą swoim bliskim – wszystko to potęgowało głębokie przygnębienie, jakim stan wojenny kładł się na naszą codzienność.

Na szczęście, moja służbowa sytuacja w GIG nie była specjalnie stresująca. O czołgu stojącym przy skrzyżowaniu ulic i żołnierzach grzejących się przy żelaznych „koszach” z płonącym węglem – mijanych w drodze do pracy – udawało się *nie myśleć*. Praca – mimo napięcia występującego wśród Kolegów – odrywała dość skutecznie od *wojennych emocji* wypełniających czas pozasłużbowy.

W rozmowach z Tadeuszem wspominaliśmy strajki i demonstracje, które tak niedawno wstrząsały Śląskiem. Jedną z nich oglądałem, gdy Andrzejek zaprowadził mnie na płaski dach, tzw. *galeriowca* zlokalizowanego na Koszutce, przy Placu Grunwaldzkim. On i jego podwórkowi koledzy mieli tam swój punkt obserwacyjny. Z niego widziałem wówczas jak ZOMO rozprawiało się z dużą demonstracją, z transparentami „Solidarności”. Strzały (na szczęście nie ostrą amunicją), chmury gazu łzawiącego i *palowanie* rozproszonych, uciekających demonstrantów! To był widok



Pomnik górników poległych w czasie „łamania” strajku w kopalni „Wujek”

przejmujący i złowrogi. To była autentyczna *wojna* wypowiedziana już wówczas społeczeństwu przez PZPR, kureczowo trzymającą się władzy.

Uwolniony z obowiązków Sekretarza Naukowego, w pracy miałem większą niż dawniej swobodę w dysponowaniu swym „służbowym” czasem. Tę swobodę przez pewien czas krępowała niezakończona praca, którą rozpocząłem jako przewodniczący Komitetu obchodów 35-lecia Instytutu. Wydawnictwo jubileuszowe wciąż nie było zakończone i wciąż mnie obciążało. Przyczyn opóźnienia było wiele, ale najważniejszą z nich była niewątpliwie koncepcja wydawnictwa, którą przeforsowałem. Chciałem mianowicie, aby została w nim przedstawiona zarówno historia powstania i funkcjonowania Instytutu, jak i – *WYNIK zrealizowanych prac* – przekazany do kopalń i innych jednostek górnictwa. Mówiąc inaczej chciałem, aby czytelnik dostał informację nie „*nad czym w Instytucie pracowano*”, ale „*co zrobiono*”. Chciałem też, aby ta informacja była autoryzowana nie przez kogoś, kto ten dorobek prezentuje w wydawnictwie, a przez właściwego autora lub zespół autorski.

Przyjęta koncepcja wymagała prezentacji dorobku *przekazanego przez naukę praktyce górniczej* – w postaci *produktów* – ze wskazaniem ich autorów oraz publikacji, w których *produkt* był lansowany. Nie było to łatwe – jednak okazało się możliwe. W pierwszych dwóch rozdziałach wydawnictwa został opisany organizacyjny rozwój Instytutu w latach 1945–1980 oraz rozwój kadry i działalność Rady Naukowej; w ostatnim rozdziale: działalność naukowo-usługowa i ogólnotechniczna. W siedmiu rozdziałach, stanowiących merytoryczny trzon książki, podano charakterystyki 350 *produktów* stanowiących podstawowy dorobek Instytutu w pierwszych 35 latach jego istnienia. Autorstwo *produktów* zostało wskazane odwołaniem do odpowiednich pozycji spisu literatury obejmującego 835 pozycji. Praca osób, które przygotowały „wyjściowe” materiały do wydawnictwa została potwierdzona następującym zapisem: „*Materiały do niniejszego wydawnictwa przygotowało społecznie kilkuset pracowników GIG*”^[31].

Wydawnictwo o objętości ponad 400 stron, w albumowym formacie, z licznymi fotografiami i wykresami – z mottem: „*Środowiska naukowe, które tracą pamięć – pozbywają się swojej tożsamości i skazują na degradację*” – sprawiło mi w owym czasie dużą satysfakcję. Nie zmniejszyło jej niezadowolenie niektórych pracowników Instytutu i nawet próby wstrzymania dystrybucji nakładu. Również dziś, gdy wydawnictwo zostało już niemal zapomniane – uważam je za swój udany wkład w dokumentowanie *merytorycznej historii Instytutu i jego dorobku*.

Mimo obciążenia wskazaną *zaległością* – większość czasu służbowego w Instytucie zużywałem na dalszą pracę ze swym minizakładem – nad przygotowaniem wyposażenia umożliwiającego ciągły postęp ścian podsadzkowych. Badania poligonowe kolejnych wersji tam przeponowych mogliśmy

rozpocząć w kopalniach dopiero w 1985 roku – ale prace konstrukcyjne nie przzerwaliśmy. Równocześnie rozwinęliśmy prace nad pozostałymi elementami technologii podsadzki hydraulicznej – warunkującymi osiągnięcie przyjętego celu. Założyliśmy przy tym, że prace nad rozwiązaniami konstrukcyjnymi opracowywanych elementów będziemy łączyć z pracami nad technologią ich wytwarzania na potrzeby kopalń. W tym celu nawiązaliśmy ściśle współpracę z GIG-owskim Zakładem Budowy Urządzeń i Aparatury Naukowo-Doświadczalnej – głównie z inżynierem Andrzejem Bierem – co istotnie wzmocniło nasz badawczy potencjał.

5 lipca 1984 r. uchwałą Rady Państwa został mi nadany tytuł profesora zwyczajnego nauk technicznych. Zadziwiła mnie i miłe zaskoczyła liczba otrzymanych wówczas pism z gratulacjami i życzeniami^{*}. Na „fali” tego wyróżnienia udało mi się namówić Dyrektora Paździurę do formalnego powołania w GIG Zakładu Podsadzki Hydraulicznej – nadal pod moim kierownictwem i nadal z udziałem zespołów inż. Soltyska i dr. Bąka. Ta zmiana nastąpiła 1.11.1984 roku, i choć była głównie natury *porządkowej* – ułatwiła intensyfikację prac nad usprawnieniem procesu tamowania ścian podsadzkowych. Umożliwiła też wznowienie prac pomiarowych, które przed dwudziestu laty prowadziliśmy na doświadczalnej instalacji „Koszelew”.

Wierzyłem, że tak wzmocnionym potencjałem potrafiemy zdecydowanie poprawić zdolność technologii podsadzki hydraulicznej do konkurencyjności z technologią zawałową i zdolamy skutecznie „przelamać” niechęć decydentów do jej stosowania. Aby jednak – niezależnie od rozwijanych prac – hamować tempo wycofywania podsadzki z kopalń – jeszcze w grudniu 1984 roku – opublikowałem w Przeglądzie Górniczym artykuł, w którym (posługując się danymi z praktyki kopalnianej) przeciwstawiłem się „konjunkturalnym” opiniom o tej technologii. Dopominałem się o zakończenie prac nad modernizacją „*obowiązującego w kopalniach systemu kontrowania zaszłości*”, i o decydowanie o przyjmowanym sposobie kierowania stropem (zawału bądź podsadzki) na podstawie „*rzetelnej oceny ekonomicznej*”.

Na przelomie lat 1986–1987 ponownie zabierałem głos w tej sprawie. Na podstawie danych statystycznych ewidencjonowanych w systemie IOS dla 430 oddziałów wydobywczych i 61 kopalń w okresie 3 miesięcy ich pracy – wykazałem, że nawet przy aktualnym stanie rozwoju technologii podsadzki hydraulicznej – „*gdy jest stosowana prawidłowo, zgodnie z... doświadczeniem przodujących kopalń m.in. „Wujek”, „General Zawadzki” zapewnia koncentrację wydobycia oraz wskaźniki całkowicie porównywalne z wynikami eksploatacji zawałowej (...) Technologia zmodernizowana będzie jeszcze skuteczniej konkurować z zawałem stropu, przynosząc*

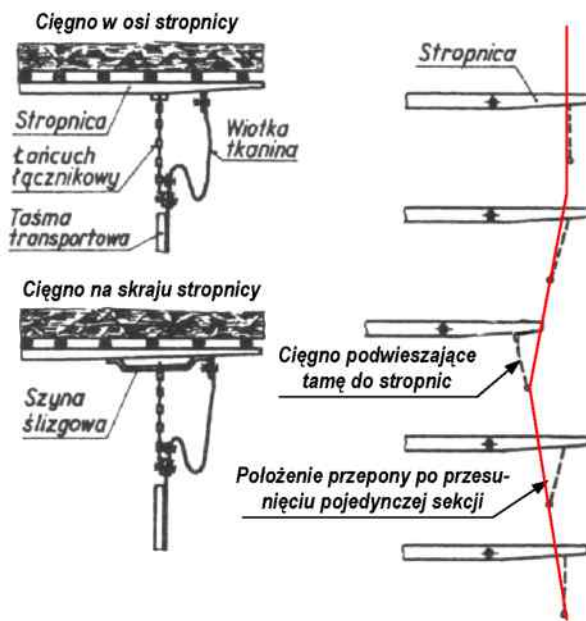
^{*} Jako ciekawostkę wskażę, że profesorowi zwyczajnemu przysługiwał wówczas I Stopień Generalnego Dyrektora Górniczego – mnie jednak ten stopień „ominał”.

wielomiliardowe efekty ekonomiczne oraz trudne do przecenienia efekty w sferze racjonalnego wykorzystania zasobów, ochrony powierzchni i bezpieczeństwa górniczego...⁵⁷⁾.

Nie będę relacjonował współpracy prowadzonej z kopalniami i wielu przedsiębiorstwami w celu przygotowania i przeprowadzenia poligonowych badań konstrukcji przygotowywanych dla potrzeb technologii podszadania ścian. Tym bardziej nie będę mówił ani o ogromnym zaangażowaniu całego zespołu, ani o nieuniknionych porażkach, które jednak nas nie zniechęcały.

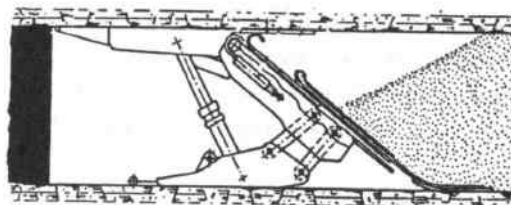
Powiem jedynie – co mieliśmy w ofercie GIG w końcu lat 80.

Otóż mieliśmy już wyniki badań poligonowych kilku typów tam przeponowych (ES-1 do ES-6), co wyloniło szereg pozytywnie zweryfikowanych rozwiązań cząstkowych, na przykład zasadę przemieszczania przepony w dwóch *krokach* – najpierw górną część razem z *sekcjami obudowy*, a później dolną – razem z *przenośnikiem ściannowym*; zasadę uszczelnienia dolnej części przepony za pomocą *dwuwarstwowego fartucha „poprzecinanego naprzemianlegle na zakładkę”* itd. Przygotowaliśmy metodę uelastyczniania górnej części przepony sporządzonej z taśmy transportowej – za pomocą nadzwyczaj prostej konstrukcji nośnej



Schemat zawieszania przepony tami ES-5 na stropnicach obudowy zmechanizowanej

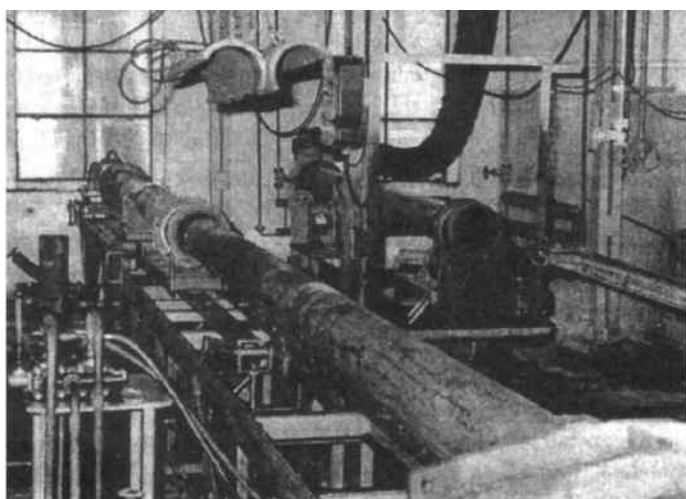
i mocnej, przepuszczalnej tkaniny (tama ES.5). Konstrukcja ta umożliwiała przesunięcie nawet pojedynczej stropnicy (sekcji) obudowy – gdy taka potrzeba zaistniała. Jako jeden z zachęcających wariantów była rozpatrywana przepona z taśmy transportowej leżąca bezpośrednio na obudowie osłonowej i dociskana do stropu (lub *tylnych stropnic*) dodatkowymi silownikami hydraulicznymi (tama ES.3). Z elementów sprawdzonych doświadczalnie można było w następnym lub co najwyżej w paru następnych *krokach* – doprowadzić



Schemat tami ES-3. Przepona leży bezpośrednio na obudowie osłonowej

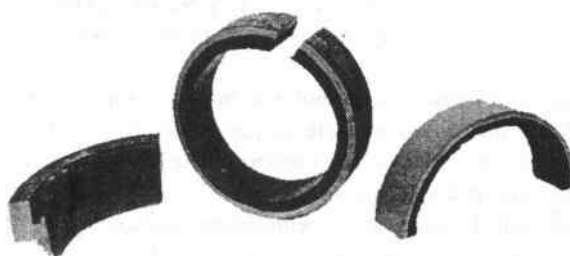
do w pełni sprawnego rozwiązania przemysłowego tamy przesuwnej – nawet w paru wariantach.

Mieliśmy opracowaną oryginalną, przemysłową technologię produkcji rur podsadzkowych z wykładziną gumową – o trwałości przekraczającej wielokrotnie trwałość tradycyjnych rur stalowych. W latach 1983–1987 inżynier Wojciech Jurkowski (ze swym podzespołem) uruchomił doświadczalną produkcję rur gumowanych (RSG) i następnie dostosował ją do gumowania, tzw. armatury podsadzkowej (rozgałęźniki, trójniki, łuki).



Specjalistyczna wylaczarka realizująca zintegrowany proces formowania wykładziny gumowej i jej układania we wnętrzu czterometrowej rury podsadzkowej (RSG)

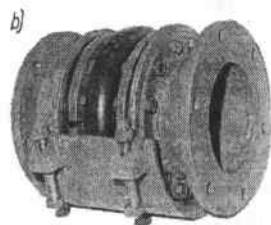
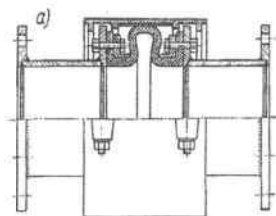
(wraz z technologią ich wytwarzania), które umożliwiały sprawne podsadzanie ściany wyposażonej w przesuwną tamę podsadzkową. Były to *rury tkaninowo-gumowe* (z płaszczem produkowanym w fabryce BEZALIN na specjalnie skonstruowanej oplatanie) oraz *łącze stalowo-gumowe ELR-1*, uelastyczniające rurociąg podsadzkowy w ścianie. Także *przerzutnicę klapową PPK-2*, sterowaną hydraulicznie, umożliwiającą momentalne skierowanie mieszanki podsadzkowej do następnego odcinka ściany z odcinka, na którym została osiągnięta wymagana szczelność podsadzania.



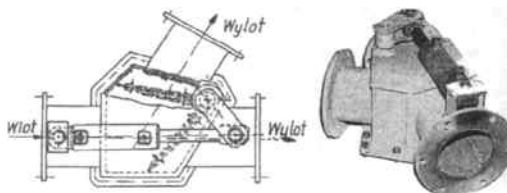
Wycinki stalowej, gumowanej rury podsadzkowej, którą w latach 1974–1986 przetransportowano w kopalni „Barbara-Chorzów” ponad 5 mln m³ piasku podsadzkowego z niewielkim dodatkiem kamienia

W 1992 roku przedsiębiorstwo BUDOSTAL-4 przejęło przygotowaną technologię i uruchomiło przemysłową produkcję stalowych rur gumowanych dla kopalń. Po wyprodukowaniu około 9 km rur – wobec nikłego zapotrzebowania zgłaszanego przez kopalnie, w których podsadzka była odgórnie eliminowana – produkcję przerwano.

Mieliśmy też opracowane uzupełniające elementy wyposażenia



Łącze ELR.1 uelastyczniające rurociąg (wpinane między rury stalowe): a) przekrój b) widok ogólny bez górnej osłony



Przerzutnica klapowa PPK-2, kierująca mieszanie podszkawką z rurociągu ścianowego na „wpust” skierowany za tamę

Tak więc zamysł podjęty w 1977 roku – po 15 latach wytrwałej pracy (22 patenty), przy zerowym ssaniu ze strony decydentów w Ministerstwie Górnictwa – został doprowadzony niemal do pomyślnego końca. Przygotowaliśmy zmodernizowane, podstawowe elementy wyposażenia technologii podszkawkowej hydraulicznej „kreującej” realną możliwość osiągnięcia przez ściany podszkawkowe ciągłego postępu – w pełni porównywalnego z postępowaniem ścian zawałowych. Technologia podszkawkowej hydraulicznej uzyskała tym sposobem szansę osiągnięcia przewagi konkurencyjnej nad technologią zawałową, w co najmniej 30–50% sytuacji eksploatacyjnych występujących w Górnośląskim Zagłębiu Węglowym.

W poszczególnych kopalniach nadal pojawiały się rozwiązania racjonalizatorskie, którymi starano się usprawnić *bezsensowne współwystępowanie* nowoczesnej obudowy kroczącej – z dostawianą dodatkowo obudową drewnianą oraz z tamą *niemal tradycyjną*, stawianą przez załogę, wprowadzaną do *zrobów* przeznaczonych do podszkawkowania. Te działania – czasami autentycznie racjonalizatorskie – nie były niestety w stanie zapewnić ścianom postępu wystarczająco dużego, aby obalić mit o ogromnym koszcie stosowania podszkawkowej hydraulicznej i zahamować proces jej rugowania z kopalń. Również nasze wysiłki okazały się nieskuteczne. W latach 1977–1988 – gdy, dysponując nikłym potencjałem badawczym, pracowaliśmy nad *ratunkiem dla niechcianej technologii* – wydobywanie uzyskiwane z jej zastosowaniem zmniejszyło się o dalszych 17 milionów ton – do około 30 milionów ton, co stanowiło już tylko około 15% całkowitej produkcji węgla kamiennego. Proces *rugowania* podszkawkowej hydraulicznej nadal się nasilał.

Dalsza działalność pozainstytutowa

Wprowadzenie stanu wojennego *przyhamowało* na pewien czas aktywność gremiów, w których funkcjonowałem poza Instytutem. Jednak, gdy minął rok – gremia te już prawie normalnie kontynuowały swą działalność. Również moje zaangażowanie w pracy *pozainstytutowej* powróciło do wcześniejszego poziomu. Wprawdzie kierunki i meritum zaangażowania uległy

modyfikacji – wynikającej między innymi z kryzysu ogamiającego PRL-owską rzeczywistość gospodarczą i społeczną – ale *pozainstytutowa* działalność nadal stanowiła znaczący składnik mojej zawodowej aktywności.

Zanim opowiem o dwóch najważniejszych kierunkach zaangażowania, które odgrywały wówczas w moim zawodowym życiu istotną rolę – o pracy w Komitecie Górnictwa PAN i w TNOiK – podkreślę wytrwałość, z jaką nadal drążyłem problem usprawniania organizacji badań i współodpowiedzialności nauki za gospodarkę.

W 1983 roku w artykule: *„Dylemat swobody i organizacji badań”* – opublikowanym w *Naukoznawstwie* (nr 1–2) – przeciwstawiłem się „modnym” wówczas tendencjom do zwalniania badaczy i całej NAUKI od obowiązku preferowania problematyki rokującej społeczną użyteczność. Później w roku 1986 i 1988 (także w *Naukoznawstwie* odpowiednio nr 2 i nr 2) w artykułach: *„Robocza definicja nauki jako instrument oceny jej dorobku”* oraz *„Uwagi do zagadnienia samooceny nauki”* – lansowałem potrzebę korekty poglądów na samo pojęcie nauki i jej dorobku oraz na odpowiedzialność pracowników nauki za ten dorobek.

W kadencji 1982–1984 Komitet Górnictwa Polskiej Akademii Nauk powołał 10 specjalistycznych Sekcji – wśród nich Sekcję Ekonomiki i Organizacji Górnictwa pod moim kierownictwem. Za główne krótkofalowe zadanie reaktywowanej Sekcji przyjęliśmy opracowanie RAPORTU o stanie specjalności w dwudziestoleciu 1965–1984. Także wskazanie jej podstawowych zadań na najbliższą dekadę do roku 1995. Celowość przygotowania takiego opracowania wynikała z faktu, że ostatni RAPORT o stanie specjalności był opracowany w 1966 roku. Przewodniczącym Komitetu Górnictwa PAN był wówczas profesor Krupiński, a przewodniczącym Sekcji profesor Kolbe.

Wobec braku w Akademii Nauk środków na sfinansowanie podjętych prac – Sekcja postanowiła wykonać je społecznie, natomiast obsługę organizacyjną i edytorską podjął się zapewnić Śląski Oddział TNOiK. W tym czasie byłem już Prezesem Śląskiego Oddziału. W pracach wzięło udział 32 członków Sekcji reprezentujących wszystkie gałęzie górnictwa węglowego, rud oraz surowców chemicznych i skalnych – w tym 13 profesorów i docentów oraz wielu wybitnych praktyków tej specjalności z kopalni i ich jednostek nadrzędnych.

RAPORT – jako praca zbiorowa – został wydany w dwóch częściach o łącznej objętości 713 stron¹³²⁾. W części I zostały zawarte informacje faktograficzne o złożach i zasobach, o środowiskach naukowo-badawczych i programach studiów wyższych uczelni w zakresie ekonomiki i organizacji górnictwa, o dorobku specjalności itd. W części II – analitycznej – zamieściliśmy 32 indywidualne lub współautorskie wypowiedzi na temat stanu specjalności, problemów jej rozwoju oraz zadań ukierunkowanych na zaspokojenie po-

trzeb przemysłu. Syntezę RAPORTU w postaci podsumowania i wniosków opublikowałem z Pawelczykiem (sekretarzem Sekcji) w Przeglądzie Górniczym, we wrześniu 1985 roku⁵⁵⁾.

Wspominam tę pracę z tak wielu szczegółami, gdyż uważam ją za jedną z ważniejszych spośród wykonanych w owym czasie. Dokonana w niej *samokontrola* dorobku specjalności oraz wskazanie trudnych problemów górnictwa – wraz z zadaniami badawczymi *adresowanymi* do specjalności – stanowiły wówczas istotny dorobek Sekcji. Specjalność Ekonomia i Organizacja Górnictwa – jako jedna z wielu w dyscyplinie Górnictwo – *demonstrowała* w niej wyraźnie swoją *szlachetność* wobec PRAKTYKI GÓRNICZEJ. Rok później na lamach Archiwum Górnictwa popularyzowałem takie (często kwestionowane) – rozumienie obowiązków NAUKI w stosunku do PRAKTYKI – głównie z myślą o pozostałych specjalnościach dyscypliny Górnictwo⁵⁶⁾.

Pomoc, którą Śląski Oddział TNOiK udzielał Sekcji Ekonomiki i Organizacji Komitetu Górnictwa PAN – stanowiła tylko ułamek jego działalności. Dopiero w czerwcu 1982 roku, gdy zostałem wybrany na prezesa Śląskiego Oddziału zacząłem aktywnie współorganizować tę działalność. Z racji członkostwa w Towarzystwie (od 1970 r.), a później przewodniczenia Radzie Naukowej Śląskiego Oddziału – częściowo znalazłem już to środowisko jako

ciekawe i *ożywione* ideą pracy organizatorskiej.

Jednak dopiero teraz *dowiedziałem się*, czym jest praca społeczna ... jak może wciągać. Sądzę, że moje ówczesne zaangażowanie w działalność TNOiK było trochę podobne do zaangażowania Ojca na rzecz rozwoju, w latach przedwojennych, *kresowej wsi*.

W znakomitym towarzystwie kilkunastu członków Zarządu – spotykaliśmy się przez parę lat w godzinach pozasłużbowych – czasem co tydzień. Zastępcami Prezesa byli wówczas docent Lucjan Zieliński i dr Marian Mrowiec. W zarządzie pracowali też moi dawni współpracownicy z Ośrodka, m.in. dr Pawelczyk i dr Roman Mastej, a Ryszard Hornik – wygrał konkurs na stanowisko Dyrektora



Seminarium zorganizowane przez Śląski Oddział TNOiK dla dyrektorów „jednostek wspierających”; Wisła październik 1982 r.

Biura Śląskiego Oddziału TNOiK. Lansowaliśmy wówczas pogląd, że dotychczasowe Biura Oddziałów powinny być „Ośrodkami Postępu Organizacyjnego”. Ich zadaniem miała być nie tylko obsługa Zarządu Oddziału, ale przede wszystkim działalność organizatorska: prowadzenie (na zlecenie przedsiębiorstw) różnych specjalistycznych *kursów doskonalenia kadr*, opracowywanie projektów usprawnień w zarządzaniu, organizowanie konferencji – w tym corocznych, *sztandarowych*, „Śląskich Dni Organizacji” itd. W 1983 roku, w ramach obchodów 50 rocznicy śmierci Karola Adamieckiego, wyemitowaliśmy w Państwowej Mennicy pamiątkowy medal i doprowadziliśmy do nadania Jego imienia jednej z ulic miasta Katowice.



Medal upamiętniający 50 rocznicę śmierci Karola Adamieckiego

Wszyscy pracowaliśmy z wielkim zaangażowaniem. Większość z nas była też przekonana, że w trudnych latach *srożenia* się a później *dogorywania* PRL-owskiego „realnego socjalizmu” – wprowadzamy do naszego życia społecznego i gospodarczego trochę *świeżego powietrza*. Patrząc z perspektywy lat na tę działalność – sędzę, że byliśmy optymistami i że nasze oddziaływanie na otoczenie było mniejsze niż się nam zdawało.

Lata upływające po zniesieniu stanu wojennego (22.07.1983 r.) były znamienne pogłębiającym się rozkładem PRL-owskiego porządku – czego wyraźnym objawem były polityczne mordy i procesy (sprawa Grzegorza Przemyska i księdza Jerzego Popiełuszki – 1984 r.) oraz regularne podwyżki cen żywności – wywołujące protesty i strajki. W środowisku Sekcji Ekonomiki i Organizacji KG. PAN oraz Śląskiego Oddziału TNOiK nastrój niepokoju i zniechęcenia próbowaliśmy redukować organizowaniem dyskusji i poszukiwaniem dróg wyjścia z kryzysu, który ogarniał całą gospodarkę, wraz z górnictwem.

W tym czasie, podczas „Barbórki” 1987 roku, zostałem w Głównym Instytucie Górnictwa odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Wyróżnienie to przyjąłem z satysfakcją, ale nie bez gorzkich refleksji. W Instytucie (w tym czasie) dysponowałem tylko niewielkim potencjałem badawczym – przy tym w nieco *bocznym nurcie* swoich



Po dekoracji na Barbórcie 1987 r. – „obowiązkowe”
zdjęcie do archiwum GIG

zainteresowań. Zarządzaniem natomiast – moją główną pasją badawczą – mogłem się zajmować tylko w bardzo małej skali, w działalności *pozainstytutowej*.

Ilustracją poszukiwania dróg wyjścia z kryzysu – prowadzonych przez Sekcję Ekonomiki i Organizacji Komitetu Górnictwa PAN przy współpracy Śląskiego Oddziału TNOiK – może być przygotowana wówczas praca zbiorowa pt. „Dyskusja nad systemem Ekonomiczno-finansowym w Górnictwie”. Na 455 stronach wydawnictwa są zawarte materiały z pięciu sympozjów poświęconych temu tematowi przez Sekcję E i O w latach 1985–1988 (35 referatów i wypowiedzi)¹³⁴⁾.

Sekcja pracowała niewątpliwie z zaangażowaniem i dobrą wolą, ale osiągnięte rezultaty nie były niestety satysfakcjonujące. Dalem temu wyraz w „Końcowych uwagach do dyskusji...” (zamieszczonych w ww. wydawnictwie)

– następującym stwierdzeniem i diagnozą: „Przedstawiciele przemysłu, którzy z racji zajmowanego stanowiska byli zapraszani do dyskusji (m.in. wszyscy dyrektorzy ekonomiczni Gwarectw górnictwa węglowego) (...) uchylali się od prezentowania swych poglądów. Także niektórzy przedstawiciele środowisk naukowych ze składu Sekcji (...) woleli powstrzymać się od głosu (...).

Otóż uważam, że podstawową przyczyną malej liczby proponowanych usprawnień i braku żywszej wymiany poglądów w podjętym temacie – jest ogólniejsze, groźne zjawisko: »zawodowej zapaści« (...) wywołane funkcjonowaniem przez cztery dziesięciolecia (...) klasycznych form nakazowo-rozdzielczego systemu gospodarowania (...) Istotą zjawiska, które umownie nazwałem »zawodową zapaścią« jest **głęboka niemożność koncepcyjnego oderwania się od rutynowych rozwiązań wdrożonych i stosowanych przez lata, połączona z głęboką niewiarą, że inny system jest w ogóle możliwy oraz, że warto formułować i dyskutować alternatywne rozwiązania...**»¹³⁴⁾.

Drugim przykładem poszukiwania dróg przeciwdziałania pogłębiającemu się kryzysowi gospodarki była dyskusja poświęcona w Śląskim Oddziale TNOiK: „Tożsamości Nauk Organizacji i Zarządzania”. Chciałem wówczas

doprowadzić bliskie mi Nauki do wyraźniejszego i *bardziej konkretnego* zaangażowania w reformowanie walącej się gospodarki. Z uwagi na to, że PAN-owski Komitet tych Nauk (w tym czasie byłem jego członkiem) – nie chciał podjąć tego problemu – dyskusję zorganizowałem w Śląskim Oddziale TNOiK.

Zaproszenie do dyskusji z jej programem i „kwestionariuszem” określającym węzłowe problemy do rozpatrzenia – podpisaliśmy z profesorem Jerzym Rokitą, Przewodniczącym Rady Naukowej Oddziału – ówczesnym Rektorem katowickiej Akademii Ekonomicznej. Rozesłaliśmy je 4 stycznia 1988 r. do 100 osób, głównie pracowników uczelni, uprawiających te Nauki. Wypowiedzi *inicyjalne* inspirowane kwestionariuszem uzyskaliśmy od 41 adresatów, w tym wiele obszernych referatów. Na dwa dyskusyjne seminaria zorganizowane w Szczyrku – w październiku 1988 roku i w czerwcu 1989 roku^{*1} – uczestnicy przygotowali dziewięć dalszych obszernych wypowiedzi. Całość materiałów z przeprowadzonej dyskusji została wydana przez Śląski Oddział TNOiK w czterech częściach o łącznej objętości 601 stron¹³⁵¹.

W dyskusji zabralo głos 16 profesorów – wśród nich Wojciech Gasparski, Janusz Gościński, Zbigniew Martyniak, Władysław Radzikowski, Stanisław Sudol i inni; także 15 docentów i paru młodszych pracowników nauki.

Czy przeprowadzona dyskusja wniosła coś pozytywnego do poglądu na tożsamość i obowiązki rozpatrywanych Nauk? Jeden z dyskutantów – doc. Piotr Płoszajski z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN – nadał swej wypowiedzi znamienity tytuł „Kto i po co obudził śpiącą królową?” Czy dyskusja przyczyniła się do zwiększenia skuteczności Nauk Organizacji i Zarządzania w ich oddziaływaniu na gospodarkę, która w czerwcu 1989 roku była już bliska *oficjalnego startu* do rynkowej transformacji?

Doprawdy nie wiem! Gdy w wypowiedzi na II symposium przekazywałem swoje uwagi do poglądów prezentowanych przez 26 dyskutantów – byłem przekonany, że wyszliśmy jednak poza spory o klasyfikację, paradygmaty... itd.; że zaczęliśmy wyraźniej widzieć obowiązek zwiększania skuteczności tych Nauk w PRAKTYCE – głównie w działalności przedsiębiorstw. Dziś wydaje mi się, że byłem nadmiernym optymistą.

W tym samym nurcie starań o aktywizację Nauk, które postrzegałem jako *zaniedbaną spuściznę* Karola Adamieckiego i innych klasyków zarządzania – przygotowałem artykuł pt. „O przyczynach kryzysu w aspekcie zarządzania”. Opublikowałem go w Przeglądzie Organizacji (nr 7, 1988) – w ramach przygotowań do III Kongresu Organizatorów. Diagnozę, którą wówczas sformulowałem na podstawie wcześniejszych prac nad usprawnianiem i komputeryzacją planowania w górnictwie węgla kamiennego – uważam do dziś za istotną, choć niedocenianą (a ściślej *niezauważaną*). Dotyczy oczywiście ówczesnej *gospodarki socjalistycznej*.

*1 Prace przeciągnęły się na rok 1989, który obszerniej wspominam dopiero w następnym rozdziale.

„Główną przyczyną niewydolności proefektywnościowych mechanizmów wewnątrz (ówczesnych) jednostek gospodarczych jest sprzęgnięcie dwóch funkcji zarządzania: **planowania i motywowania**^{*)} (...) wyrażające się uzależnieniem funduszu płac, a więc wynagrodzeń, od wykonania i przekroczenia planu – głównie ilościowego planu produkcji (...)

W fazie formowania planu (socjalistyczna jednostka gospodarcza) toczy walkę o niski plan i równocześnie o możliwie największe nakłady inwestycyjne na poprawę warunków wykonania planu. Ukryć zdolności produkcyjne już posiadane i stworzyć jak największe rezerwy za zaplanowane, a więc w pewnym sensie nie swoje pieniądze – to rzeczywisty cel pracy nad planem dla tych, którzy wiedzą, że od »pewnego« wykonania tego planu – a nie od efektu będzie w przyszłości zależeć ich wynagrodzenie (...)

W fazie realizacji planu omawiane zachowania są podobne. Przede wszystkim wykonać plan i nieznacznie go przekroczyć, bo wówczas zarobki będą najwyższe (...) nadmierne przekroczenie planu produkcji jest niepożądane, bo jednostka nadrzędna, która stale »śrubuje« plan, może to wykorzystać i zwiększyć zadania (...) Jakość produkcji oczywiście nie ma znaczenia (...) jednostka nadrzędna jest także rozliczana za ilość a nie jakość (...)

*Jest to mechanizm (...) »jazdy na zaciągniętym hamulcu« (...) **zdolny wyhamować** nawet najlepszą wolę podejmowania proefektywnościowych działań przez bardzo wielu członków kadry kierowniczej, inżynierskiej i załogi robotniczej...^{**)}*

Dziś mogę dodać do ówczesnego poglądu, że mechanizm ten okazał się zdolny nie tylko do „wyhamowania (...) woli podejmowania proefektywnościowych działań” w PRL-owskich przedsiębiorstwach – lecz także był jedną z głównych przyczyn **złamania całego systemu socjalistycznej, proilościowej gospodarki planowej**.

Żadna gospodarka nie jest w stanie normalnie się rozwijać, jeżeli w przedsiębiorstwach nie funkcjonuje *mechanizm* motywujący ich kierownictwo i załogi do technicznego postępu i ekonomicznej efektywności. Sądzę, że brak tego mechanizmu był również jedną z istotnych przyczyn – w łańcuchu wielu innych uwarunkowań wewnętrznych i geopolitycznych – upadku gospodarki Związku Radzieckiego. Prawidłowy rozwój społeczeństw potrzebuje gospodarki planowej w przedsiębiorstwach – i także w skali Kraju – ale nie jest możliwy bez proefektywnościowego wysiłku ogółu pracowników. „Niewidzialna ręka rynku” też nie wystarcza! W parze z rozwojem napędzanym przedsiębiorczością obywateli musi iść rozwój strategicznej infrastruktury gospodarczej i naukowo-edukacyjnej – kreowany inwestycjami ze środków publicznych. Dopiero tak zorganizowany zbiorowy wysiłek może dać i daje szybki rozwój (przykład: Chiny).

^{*)} Są to funkcje *autonomiczne*; w procesie zarządzania (zwłaszcza w gospodarce proilościowej) nie mogą być łączone.

Przedszkolne lata Andrzejka – jakże inne!

Przeoglądając swoje fotograficzne archiwum z lat 1975–1988, stwierdziłem, że zmiany, które zaszły w tym czasie w moim życiu zawodowym nie wywołały istotnych zmian w życiu prywatnym. Przy tym zarówno fotografie, jak i wspomnienia z tego okresu obejmują wydarzenia z pozoru podobne do wszystkich wcześniejszych: jakieś spotkania rodzinne i towarzyskie, wypadki w *plener*, wyprawy kajakowe i turystyczne... Ale to podobieństwo i „powtarzalność” zdarzeń to tylko pozór. Występuje specyficzna cecha tego okresu – mianowicie: ogromna większość fotografii i także wspomnień – wiąże się z Andrzejkiem. Całe pozostałe życie prywatne i rodzinne – Mama... Tadzio-wie... – pozostają jakby na drugim planie.

Czy jest w tym coś dziwnego? Chyba nie. Był to czas jego lat przedszkolnych i szkolnych – najpierw *podstawówki* (8 lat) a później liceum (4 lata). Piękny czas dzieciństwa i dorastania, aż do matury zdanej w 1988 roku! Dopiero, gdy uczęszczał do liceum i zaczął mieć coraz więcej *własnych spraw* – optyka moich wspomnień zaczęła wychodzić z głębokiego *andrzejkowego przechyłu*. Konstatuję to z pewnym żalem, bo czas tego *przechyłu* wspominam jako jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu. Choć nie był pozbawiony – niestety – trudnych zmian i przykrych przeżyć – przypominał mi często szczęśliwe lata własnego dzieciństwa. Ale jakże inne to były czasy i inne dzieciństwo?!

W 1975 roku Andrzejek miał już 5 lat i był bystrym chłopcem. Gizia nie pracowała i zapewniała mu świetną opiekę. Prowadzała go do nieodległego „artystycznego” przedszkola i woziła do Pałacu Młodzieży na tzw. warsztaty, czyli zajęcia prorozwojowe na dobrym poziomie edukacyjnym. W czasie spacerów na Placu



Andrzejek w przedszkolu (z prawej strony)

Grunwaldzkim – objaśniałem mu treść świetlnych reklam: „Spółdzielnia Mieszkaniowa”, „Kino Kosmos” i innych ... – co było w istocie nauką alfabetu. Bardzo szybko nauczył się rozpoznawać litery i już wkrótce bezbłędnie

odczytywał markę i typ samochodów stojących na ulicy. Bajki, które opowiadałem mu przed snem – potrafił nagrywać na magnetofonie i odsłuchiwał taśmy, gdy miał na to ochotę.

Muszę się przyznać, że nie były to bajki Andersena, popularne w moim dzieciństwie. Pamiętałem tylko niektóre i z ich opowiadaniem miałem kłopoty. Przeważnie opowiadałem prawdziwe historie, które dobrze znałem – ubierałem je jedynie w baśniowe szaty. Bajanie historyczne zaczynałem uroczystym zwrotem: „Dawno, dawno... przed stu wiekami ... gdy głucha puszcza szumiała nad nami... żył król Ćwieczek”... lub inny – bardziej prawdziwy król. Dalej toczyła się opowieść o królestwie dość wiernie przypominającym Polskę Piastów lub Jagiellonów... wyprawy Krzyżowców... itp. Często „bajałem” też o historiach ze swego dzieciństwa... o zwierzakach, które hodowaliśmy ze Sławkiem w Lacku ... o „walce” z kłusownikami, którzy zastawiali sidła na zajęce... o dokarmianiu kuropatw w czasie śnieżnej zimy itd. Takie opowieści lubił najbardziej i zasypiał dopiero po skończeniu bajania.



Słynne Delfy – zadziwiały „skromnością” zabytków, które przetrwały do naszych czasów

Na przełomie czerwca i lipca 1975 roku zrobiliśmy pamiętną samochodową wyprawę przez Węgry, Serbię i Bułgarię do Grecji. Zwiedziliśmy Maraton, Delfy, Mykeny i Akropol. Następnie z Pireusu popłynęliśmy promem do Izmiru. Na tureckim wybrzeżu Morza Egejskiego zwiedziliśmy Pergamon, Efez, Milet, Didymę (ze słynną świątynią Apolla) i legendarną Troję, bogacą się na kontroli cieśniny Dardanelskiej oraz na handlu z państwami rejonu Morza Czarnego. Zarówno Gizia jak i ja – byliśmy oszołomieni potęgą kul-



Niewielki pomnik spartańskiego wojownika przypomina w Maratonie bohaterką obronę Grecji



Efez imponował szerokością ulic i rozległością helleńskiego miasta

tury Helleńskiej – znanej z nauki szkolnej, ale jakże inaczej odbieranej, gdy się ją ogląda własnymi oczami, a ona – tam na miejscu – emanuje swój niepowtarzalny „genius loci”!

Po zwiedzeniu Troi, promem przeprawiliśmy się przez cieśninę Dardanelską i zwiedziliśmy Sztambuł. Tu dopiero zobaczyliśmy pełny wymiar islamu, który na wybrzeżu ongiś helleńskiej Azji Mniejszej nie rzucał się w oczy. Tam górowała współczesność i imponujący rozmach budownictwa mieszkaniowego, wielokrotnie przekraczający to, co obserwowaliśmy wówczas w PRL. W Sztambule natomiast zadziwiła ar-



Błękitny Meczet w Sztambule przytłacza swym ogromem



Biwak w podróży przez Bułgarię – na skraju pola kwitnących słoneczników

chitektura i ogrom meczetów, uroda miasta z licznymi śladami epoki Bizancjum i oczywiście niebywała barwność Wielkiego Bazaru z jego niezliczoną liczbą uliczek i kramów.

Po tej trzytygodniowej turystycznej włóczędze „padliśmy” na bułgarskim wybrzeżu na dodatkowy tydzień wypoczynku. Na bardzo przyjemnym kempingu koło Burgas – wciąż jeszcze przeżywaliśmy niedawne wrażenia i plażowaliśmy od

rana do wieczora. Droga powrotna wiodła znaną już trasą przez Rumunię i Węgry... a w Katowicach wróciła codzienność.



W drodze z Wierch Porońca na Rusinową Polanę odpoczywaliśmy przy ognisku górali likwidujących wiatrolomy



Nad Morskim Okiem z Tadziami

Przerwaliśmy ją jeszcze raz we wrześniu wyprawą w Tatry – oczywiście z Tadziami. „Odkryliśmy” wówczas Rusinową Polanę. Panorama wysokich Tatr oglądana z podnóża Gęsiej Szyi – to widok, który w naszych górach zaliczam do najpiękniejszych. Po tym „odkryciu” *pielgrzymowaliśmy* na tę polanę wiele razy, gdy tylko okoliczności pozwalały.

Byliśmy w czasie tej wyprawy również w Morskim Oku. Dla Andrzejką była to jego pierwsza wizyta w tym „sercu” polskich Tatr. W następnych latach bywaliśmy tu i zimą i latem. Do dziś – czasem wspominamy przejście, które robiliśmy w 1982 roku – z Pięciu Stawów Polskich przez Świstówkę do Morskiego Oka. Stał wóczas ciepły, letni deszcz. Ponieważ wszyscy mieliśmy nieprzemakalne foliowe płaszcze – nie on był dokuczliwy, a mokra kosaćka cisnąca się na ścieżkę. Woda z niej strącana bardzo skutecznie przemoczyła nam wówczas spodnie i napelniła buty, które w schronisku musieliśmy suszyć („odwadniać”) parę godzin.



W zmaganiach ze Stryjem były zaangażowane wszystkie siły

Święta Bożego Narodzenia 1975 roku, jak zwykle spędziliśmy z Mamą i Tadziami. Andrzej nie tylko rósł, ale też nabierał pewności siebie. W czasie świąt Wielkanocnych 1976 roku, podjął „walkę” ze Stryjem, który *wyzwał go na rękę*. Traktował walkę bardzo „serio” i zmagał się dzielnie (na poprzedniej stronie).

W tym miejscu przerwę wątek spraw *andrzejkowo-rodzinnych*, żeby przypomnieć dwa ważne wydarzenia z życia koleżeńskiego. Otóż wiosną 1976 roku – w porozumieniu z Jasiem Włoskiem, który pracował w tym czasie w Katowickim Zjednoczeniu – postanowiliśmy zorganizować Zjazd Koleżeński na 25-lecie ukończenia studiów przez nasz rocznik 1945–1950. Wcześniej odbyło się tego rodzaju spotkanie – ale było krótkie i na nasz gust za mało uroczyste (zorganizował je Zbyszek Strzelecki – profesor AGH – w Krakowie, w 1971 r.). My chcieliśmy zrobić Zjazd w bardziej *towarzystwiskim sosie*, z żonami. Flawian Cisek – wówczas dyrektor Kopalni „Katowice”, zaproponował na miejsce spotkania swój dom wczasowy w Tresnej



Pamiątkowe zdjęcie – 25 lat od zakończenia studiów. Siedzą koledzy: Jagiello, Babisz (kierownik domu), Pawłowicz; stoją (I rząd): Woźniak, ja, Włosok, Strzelecki, Wolf, Seweryn, Słomeżyński; II rząd: Śliwa, Zajdel, Cisek, Telęga, Biliński, Słobodziński



Na Koleżeńskim Zjeździe (1976 r.) Tazio Babisz, Gizia, ja i Manius Słomeczyński – słuchamy „mowy” Kazika Pawłowicza



Uroczysta kolacja na Koleżeńskim Zjeździe w 1979 roku

w Beskidach. Spotkaliśmy się w piątek wieczorem (7 maja), uroczysta kolacja odbyła się w sobotę, a pożegnalny obiad w niedzielę⁴¹.

Spotkanie było bardzo udane. Tazio Babisz, który był wówczas Naczelnym Dyrektorem Kombinat Górnio-Hutniczego Miedzi w Lubinie – ufundował okolicznościowy me-

dal, wręczony uczestnikom. Fotograf z GIG – pan Hajdas – robił zdjęcia, rozesłane później wszystkim Kolegom – nie tylko uczestnikom spotkania. Zdjęcia, które tu zamieszczam – tylko częściowo oddają wyjątkowy, niezapomniany koloryt tego spotkania. To był dobry powojenny rocznik, który umiał cenić uczucia koleżeństwa i przyjaźni zadziergnięte na studiach – przed ćwierćwieczem. Umiał też bawić się i biesiadować.

W 1979 roku zrobiliśmy kolejny Zjazd z liczniejszym udziałem

kolegów, ich żon i nawet dzieci. Był również Andrzejek. Zjazd zwolywaliśmy listem, który zaczynał się następująco: *„Prześwietny Jubilacie! Minęły właśnie 34 lata od chwili, gdy w pogodny jesienny dzień 1945 r. przekroczyliśmy próg »Alma Mater«! Piękny jubileusz! Z tej okazji, a także ku chwale górniczej BARBÓRKI 1979 r. Manius Słomeczyński miłościwie pamiętający w Kopalni »1 Maja« oby żył wiecznie! urządza kolejny zjazd w Wiśle Jaworniku Dom Wczasowy »Barbórka«... Zjazd odbył się 8 grudnia, z wielkim przyjęciem, po którym – następnego dnia – spacer doliną Jawornika, ratował wielu z nas od bólu głowy. Znow funkcjonowała fotogra-*

⁴¹ Udział w Zjeździe kosztował każdą „czeigodną Starą Strzechę” – 500 zł, a osobę towarzyszącą 200 zł.

ficzna obsługa i wszyscy otrzymali pamiątkowy komplet zdjęć^{*)}. Później – w latach 80. odbyły się jeszcze dwa Zjazdy Koleżeńskie... ale były to już Zjazdy ostatnie.

Wracam do letnich wakacji 1976 roku. Ponieważ w roku minionym – ze względu na grecką wyprawę – ominął nas splyw kajakowy – nie było wątpliwości, że tego lata chcemy płynąć. Stało na tym, że *robimy* klasyczną pętlę: Kanałem Augustowskim, Suchą Rzeczką, szlakiem Wigier, Czarną Hańczą i znów Kanałem – do Augustowa. Choć nie było upałów – pogoda nam sprzyjała. Dla Andrzejka zupełnie nowym przeżyciem była *przewózka*



Przewózka kajaka z jeziora Serwy na Wigry



*Rzucanie łabędziom chleba nie było
pozbawione obaw*



*Nasz Neptun z trzyosobową załogą – gdzieś na Szlaku
Czarnej Hańczy*

kajaka z jeziora Serwy na Wigry. Drabiniasty wóz, przyjazny – prawie *kresowy* – gospodarz i droga przez piękny las, to również dla nas była wielka *frajda*.

Było widoczne, że ten splyw Andrzejek przeżywa inaczej niż splywy poprzednie. To nie był już tylko pasażer. Teraz autentycznie uczestniczył w splywie. Próbował wejść w komitywę z parą starych łabędzi, które przyprowadziły swoje potomstwo na *żebry*. Usiłował pomagać mi w stawianiu

^{*)} Komplet zdjęć kosztował 100 zł, a „składka” wynosiła 500 i 300 zł.



Mury warowni rozpadały się w słońcu, ale były pracownie odbudowywane

namiotu, a swojej Mamie przy przyrządzaniu posiłków. Wyraźnie łapał „wodniackiego bakcyła” i turystycznej aktywności.

Owego lata, w upalnym sierpniu byliśmy jeszcze – z Biurem Podróży – na dwutygodniowych wczasach w rumuńskiej Eforii. Rumunia była wówczas modna i tania. Andrzejek dostał nowy zestaw foremek do budowy zamków z piasku i rzeczywiście budował je wytrwale. Gizia opalała się „na murzyna”, a ja próbowałem z prawego ramienia wypędzać reumatyzm zdobyty po

potyczce pod Pasiekami (str. 155–161). Kuracja borowinowa wyraźnie mi pomogła, więc ją w następnych latach powtarzałem.

Szkoła podstawowa

We wrześniu 1976 roku Andrzejek rozpoczął naukę w szkole podstawowej – na Koszutce – miał więc do niej bardzo blisko. Do nowych warunków i wymagań adaptował się bezproblemowo. Zawsze ciągnęło go do rówieśników, a w stosunku do koleżków młodszych od siebie był opiekuńczy. Do szkoły chodził chętnie. Nie miał kłopotów ani ze sprawowaniem, ani z zaspokajaniem wymagań nauczycieli. Z miny na zdjęciu, które mu zrobiłem w moim mundurze – w dniu Barbórki 1976 roku – widać, że był to „pierwszak” pierwszej klasy.

Ferie zimowe, w lutym 1977 roku spędziliśmy w Zakopanem. Wykupiliśmy wówczas dwutygodniowe wczasy w „Moszczeniczance”, przy ulicy Kościeliskiej – oczywiście dzięki znajomościom w rybnickim Zjednoczeniu KWK, do którego ten dom wczasowy



Mundur taty był zawsze magnesem ciągnącym do udawania dorosłości



Janusz Roszkowski, Zosia z Maćkiem i Gizia z Andrzejkiem (1977 r.)



Gizia i Zosia Roszkowska z chłopcami na sankach u wlotu do Doliny Olczyńskiej

należał. Okazało się też, że spotkany w „Moszczeniczance” Janusz Roszkowski (wcześniej znany mi przelotnie profesor AGH, później dziekan Wydziału Górniczego) i Zosia – jego bardzo miła żona z synem Maćkiem – chętnie wybierali się z nami na spacer i wycieczki. Tak zawiązała się zakopiańska przyjaźń, między rodzicami chłopców i chłopcami – aktywizowana przez szereg lat w okresie wspólnie spędzanych zimowych ferii.

Wielką atrakcją „Moszczeniczanki” był pan Grandys – dawny właściciel gruntu, na którym stanął ten duży dom wczasowy. Rodowity zakopiańczyk – w czasie wojny był w dywizji generała Maczka – a teraz pracował w „Moszczeniczance” jako instruktor narciarski wypoczywającej tu młodzieży. Przez parę lat – na „oślej łączce” zaraz „za płotem” „Moszczeniczanki” – uczył Andrzejka, Maćka i inne dzieci podstawowych umiejętności narciarskich. Później pomagał Andrzejowi w *przesiadce* z „oślej łączki” na Gubałówkę, Butorowy i Kasprowy Wierch. Cały okres szkoły podstawowej i liceum aż do matury – zimowe ferie spędzaliśmy w Zakopanem, podtrzymując kontakty z panem Grandysem jako starym znajomym i przyjacielem.

Andrzejek – gdy był już absolwentem I klasy szkoły podstawowej – rozpoczął wakacje od obozu harcerskiego w nieodległych Beskidach. Wyprawiając go na obóz – *blysnęłam naiwnością*, bo wyobraziłem sobie, że mieszkając w namiotach będzie mu wygodnie mieć swoje rzeczy w walizce lokowanej pod łóżkiem. Nie wiedziałem, że do obozowego rytuału należały alarmowe zbiórki, na których harcerze musieli się meldować ze wszystkimi



W czasie odwiedzin widzieliśmy, że „Walizka” był popularny i otaczany opieką (po prawej)



Koń chleb chętnie zjadał

swoimi rzeczami. Biedny Andrzejek biegał na te zbiórki ze swoją walizką – co zaowocowało nadanym mu przewiskiem: „Walizka”. Ale zniósł to dzielnie i z obozu był zadowolony. Lubił być w rówieśniczej gromadzie.

Mimo, że pierwszy pobyt Andrzejka na obozie harcerskim był udany, ani u niego, ani u nas, nie było wyraźniejszej tendencji do utrwalania jego udziału w harcerstwie. Czasem tego żałuję. Bogate tradycje przedwojennego harcerstwa – *zwieńczone* jego wspaniałym udziałem w Powstaniu Warszawskim – niestety nie przeniosły się w epokę PRL. Ale moja sympatia do harcerstwa – pozostała.

Wakacyjny spływ kajakowy postanowiliśmy *zrobić* Brdą. Zaczęliśmy go koło nadleśnictwa Stara Brda, w górnym biegu rzeki. Samochód zostawiliśmy w leśniczówce położonej w pobliżu rzeki. Gospodarze przyjęli nas uprzejmie. Andrzej usiłował zaprzyjaźnić się z koniem pana leśniczego i karmił go chlebem. Tuż za płotem leśniczówki zbieraliśmy grzyby. Andrzejek umiał już bezbłędnie odróżniać grzyby jadalne od *psich*.

Kajak nie mieścił już naszej trójosobowej załogi. Trzeciego pasażera przenieśliśmy więc do własnego pontonu. Płynął za nami na holowniczej linie. Andrzej miał tam trochę bagaży, ale także większą swobodę ruchów i *poczucie samodzielności*. Wykorzystywał ją na energiczne odpychanie się od brzegu (gdy ponton



Zupełnie niespodziewany – udany zbiór

zbyt się do niego przybliżył). Często na zrywanie nenufarów i na zwykłe *bombowanie*. Na spływach kajakowych nuda nie istniała.



Spływ Brdą w jej górnym biegu. Postój przy przeszkodzie. Andrzejek umiał cieszyć się nenufarami

Brdą była niestety na tym odcinku wąska i trudna. W czasie przepychania kajaka przez pień zwalonego drzewa – jego powłoka została rozdarta na długości prawie 20 cm. Musieliśmy zakończyć spływ przed jeziorem Szczytno – po przepłynięciu zaledwie 28 kilometrów. W następnym roku kupiłem drugiego „Neptuna”, a pierwszy – z wielkimi latami – stał się kajakiem rezerwowym.

W końcu sierpnia byłem jeszcze z Andrzejkiem – bez Gizi – na czasach w rumuńskiej Eforii. Mieliśmy wówczas prawie dwa tygodnie fatalnej pogody. Padał deszcz i było zimno – w kraju natomiast były upały. Borowinową kurację wzięli diabli! To był fatalny wyjazd!!

Wrzesień był piękny, więc rumuńską „klęskę” zrekompensowaliśmy sobie wyprawą w Pieniny. Zrobiliśmy spływ tratwami przez przełom Dunajca i weszliśmy na Trzy Korony. Gizia odwiedziła w Szczawnicy gospodarzy, u których była z Ojcem przed wojną na wakacjach. Wyprawa była bardzo udana.

W październiku 1977 roku przenieśliśmy się z dotychczasowego małego mieszkania na sąsiednią ulicę Broniewskiego, gdzie w jednym z luźno stojących bloków otrzymałem trzypokojowe mieszkanie (86 m²). Tak się zdarzyło, że blok, w którym teraz zamieszkaliśmy i blok, w którym mieszkała Mama – sąsiadowały niemal bezpośrednio. Tą zmianą, bardzo się cieszyłem nie tylko ze względu na *rozładowanie* ciasnoty mieszkaniowej, ale również ze względu na znacznie korzystniejsze otoczenie nowego mieszkania. To była nowa część dzielnicy Koszutka. Bloki były wysokie, ale o wiele mniejsze niż w części starej, przy ulicy Okrzei. Koło bloków były duże piaskownice...



Piekielna, rumuńska zimnica!

rozległe trawniki wykorzystywane przez dzieciarnię do ginitwy i gry w piłkę... Był także rozległy plac – na zapleczu sąsiedniego biurowca – który pełnił rolę placu zabaw.

Andrzejek już w pierwszych klasach podstawówki przekonał się, że w szkole warto na lekcjach uważać, bo wówczas mniej czasu zajmuje odrabianie zadań domowych i więcej czasu pozostaje na zabawę. Koleżków miał zawsze wielu – a że był jedynakiem – ciągnęło go z domu do podwórkowych zabaw. Uważałem – i Gizia się z tym zgadzała – że nie można mu tych zabaw zabraniać. Tak się szczęśliwie złożyło, że podwórkowym „wodzem” chłopaków był „Kempes” (przezvisko) – od Andrzejka starszy o parę lat. Choć fizycznie niepełnosprawny (nosił gorset i miał częściowy bezwład nóg) był jednak sprawnym i opiekuńczym organizatorem ich zabaw zespołowych, głównie gry w piłkę i hokeja.

Obserwowałem to środowisko „chłopców z jednego podwórka” i oceniałem je pozytywnie. Parę razy pomagałem chłopcom w noszeniu wiadrami wody na lodowisko *wylwane* na zapleczu biurowca. Obserwowałem Andrzejka jak *uzbrojony w kask i ochraniacze* stał w hokejowej bramce – mocno zmarznięty, ale cały szczęśliwy. W piwnicy, której moja Mama nie wykorzystywała – pozwoliłem i pomogłem chłopcom urządzić swoją „świetlicę” – coś w rodzaju „jaskini”, którą w Lacku drążyliśmy w sianie zwożonym do *lepianki* (str. 17). Do dziś uważam, że podwórkowe zabawy Andrzejka były dobrą szkołą koleżeńskiego współzycia i przyjaźni – bardzo daleką od obiegowej opinii o deprawacji niesionej przez wielkomicjskie podwórko.

W tym miejscu muszę zrelacjonować wydarzenia przykre, których nie da się niestety ani zapomnieć, ani w *osobistych wspomnieniach* pominąć. W okresie – gdzieś od lata 1977 do późnej wiosny 1978, stosunki między Gizią i mną uległy zalamaniu. Ludzkie uczucia są niewątpliwą zagadką, a czas ujawnia niedostrzegane wcześniej cechy charakterów. Nasz udany związek małżeński, który przetrwał 16 lat – tylko z nielicznymi oznakami zagrożenia – w tym czasie się rozpadł. To, co poprzednio było dobre, zaczęło być złe. Zamiast akceptacji zaczęły się obopólne pretensje, a te – tak jak zazdrość – są w stanie zniszczyć każdy związek. Życie stopniowo stało się zbyt trudne dla obydwóch stron i rozstanie było już jedynym wyjściem.

Wprowadziłem się z niedawno otrzymanego mieszkania, przenieśliśmy się do Mamy i rozpocząłem starania o nowe mieszkanie dla siebie. Gizia na rozwód się nie godziła, więc w lipcu uruchomiłem przewód sądowy, zakończony dopiero w listopadzie 1985 roku. Przez cały czas sądowego postępowania Gizia zgadzała się, abym ja sprawował zasadniczą opiekę nad Andrzejkiem – co wyrok sądu zatwierdził. Andrzejek mieszkał ze mną, ale miał zawsze swobodny kontakt z Matką i spędzał z nią dużo czasu. Nie było sporów majątkowych, bo zostawiłem Gizi niedawno otrzymane mieszkanie, a później, gdy pojawiła się taka możliwość – sfinansowałem uzyskanie przez nią statusu

własnościowego. Po latach – „sińce i okaleczenia”, z którymi wyszliśmy z tego związku – czas zbliznił. Osiągnęliśmy w naszych kontaktach stan, który można uznać za normalny. Andrzej zaczął opiekować się Matką, z czego jestem dumny. Do tej trudnej sprawy więcej w tych wspomnieniach nie wrócę.

Splyw kajakowy w 1978 roku robiłem z Andrzejkiem – Brdą. Płynęliśmy od jeziora Szczytno – była to więc kontynuacja spływu rozpoczętego w roku minionym. Brda na tym odcinku, aż do Zalewu Koronowskiego jest przepiękną rzeką. W miarę upływu lat – gdy odkrywanie nowych szlaków wodnych przestało być atrakcją – Brda (od jeziora Szczytno) weszła do „żelaznego repertuaru” moich spływów kajakowych, oprócz znanej już Czarnej Hańczy. Wówczas pierwszy raz widziane Jezioro Charzykowskie zadziwiło malowniczością brzegów i mnogością żaglówek, a jezioro Dybrzk liczbą nurkujących perkozów. W Mylofie jaz^{*)} spiętrzający Brdę – aby mogła zasilać kanały nawadniające – trzeba było pokonać uciążliwą *przenoską*, ale dla Andrzejka była to dodatkowa atrakcja. Olbrzymi „Kamień Jagielloński”, a później bystrza Brdy w słynnym „piekielku”, Bory Tucholskie i wreszcie Zalew Koronowski, na którym sprawdzaliśmy użyteczność żagla stanowiącego wyposażenie nowego „Neptuna” – wszystko to upamiętniło Brdę jako rzekę, na którą warto wracać.

Pamiętką z tego spływu jest „Dziennik pokładowy wyprawy kajakowej Brdą 1978 r.” – pisany przez Andrzejka i ilustrowany jego kolorowymi rysunkami. Pod datą 29.07.1978 r. widnieje zapis „Za samodzielne przepłynięcie na nowy biwak otrzymałem stopień kapitana” (zadany odcinek miał długość około 300 m). Dziennik kończy się następującym zapisem: „Ostatni wieczór na spływie niestety bez ogniska. Późnym wieczorem ostatnia kąpiel. Jutro:



Jaz wodny w Mylofie po przeprawie



Ognisko często towarzyszyło nam na tym spływie

^{*)} Rodzaj tamy spiętrzającej wodę w rzece do wymaganego poziomu.



Tak powstaje wal obronny potężnego zamku

Malbork, Westerplatte i dalej Międzyzdroje. Szkoda, że sływ już się skończył, ale za rok spotkamy się znów”.

W Międzyzdrojach w Ośrodku Wczasowym „Grodno” – mieszkaliśmy bardzo przyjemnie w dawnym „dworku” Bieruta. Na plażę chodziło się *schodkową pochylnią* z wysokiego urwistego brzegu. Pogoda sprzyjała, więc *piaskowemu budownictwu* nie było końca. Po dniu plażowania robiliśmy wycieczki w różne zakątki Wolińskiego Parku Narodowego – często nad nieodległe Jezioro Turkusowe z piękną spacerową ścieżką wzdłuż brzegu i starego lasu. Na asfaltowej drodze przez park często spotykaliśmy dziki oczekujące na dokarmianie przez turystów z przejeżdżających samochodów. To była niewątpliwa osobliwość tych czasów.

Rok szkolny 1978–1979 – minął szybko i bez kłopotów w nauce. Zimowe ferie oczywiście spędziliśmy w Zakopanem.



Nad jeziorem, na przedwieczornym spacerze



„Dzik mama i dzik tata” uczą „młodzież” przydrożnej zebrany

Andrzej – już bez wskazówek pana Grandysa – świetnie sobie radził na wszystkich mniejszych wyciągach.

Głównym punktem programu na wakacje letnie (1979) była wyprawa kajakowa z ukochanym stryjcem „Szmadzikiem” (Tadeuszem) – szlakiem Krutyni. Zналиśmy ten szlak tylko z opisu Wańkowicza w „Na tropach smętka” – więc ciekawość była wzmożona. Ja z Andrzejkiem płynąłem nowym, a Tadeusz starym kajakiem – czemuś bez Jany. Startowaliśmy w Sorkwicach i „jednym skokiem” – przez Jezioro Lampackie, strugę Sobiepankę, Kujno i Dłużec – wpłynęliśmy na Jezioro Białe. Stanęliśmy na wyspie ze świetną łączką na ustawienie namiotów i dogodnym miejscem kąpielowym. Ten biwak pamiętam doskonale, bo wczesnym rankiem do wyspy dopłynęli rybacy. W łodzi mieli już pełno ryb! Ciągnięty do brzegu, ogromnym *niewodem* – przy nas wybrali z sieci kolejny duży połów. Takiej obfitości ryb w jeziorze ani Tadeusz, ani ja jeszcze nie widzieliśmy! Wspominaliśmy wówczas nasze przedwojenne połowy w Spuszcance – na stawie w Jewłaszach (str. 47) – ale nie były to sukcesy porównywalne.

Nie będę tu opisywał dalszej trasy tego wspaniałego spływu, który zakończyliśmy na jeziorze Beldan. Nigdzie nie spotkaliśmy ani jednego potomka Mazurów opisywanych przez Wańkowicza. Po wojnie zostali skutecznie oduczeni polskości, gdy PRL-owska komuna zapędzała ich do „kolchozowych spółdzielni”. Prawie wszyscy – podając się za Niemców, wyjechali do NRF. Te obserwacje psuły nastrój, ale nie mogły obrzydzić spływu, który był



Na „orczyku” w Zakopanem



Tadeusz pokazuje jakie szczupaki są w łodzi



Ryby darowane przez rybaków jedliśmy dwa dni

nadzwyczaj udany. Zdziwiła na tym szlaku liczba łabędzi, które podpływały do biwaków i wyraźnie dopominały się o „danie” w postaci kawałków chleba. Andrzej czasem „pertraktował” z nimi w sprawie dostępu do wody i kąpeli. Wspaniałą atrakcją stanowiły



Golasowi, który szedł do kąpeli zagroził drogę „groźny” łabędź



Spacer o zachodzie słońca po plaży zalanej dużą falą

często małe kaczuszki, siedzące rządkiem na pniu zwałonym do wody. Przeważnie nie opuszczały swego stanowiska, nawet gdy płynęło się całkiem blisko. Już wówczas szlak Krutyni zaliczyliśmy do najpiękniejszych – oprócz Czarnej Hańczy i Brdy. Jak już wspominałem wracaliśmy tu wiele razy.

Wakacje 1979 roku – znów urozmaicił pobyt w Międzyzdrojach, ale tym razem w dużym „bloku”, a nie w „dworku” Bieruta. Mieliśmy piękną pogodę. Spacer o zachodzie słońca po rozległej plaży były ogromną atrakcją.

Ostatnim wakacyjnym akordem był jak przed rokiem wypad w Pieniny. Spłynęliśmy tratwami przez przełom Dunajca i weszliśmy na Sokolicę. Mama, która w latach 60. była z nami na Sokolicy powie-

działa wówczas, że jest to miejsce „najpiękniejsze na świecie”.

Rok 1980 był znamienny burzliwymi sporami, które wiodłem głównie z Tadeuszem na temat wybuchających strajków, a po podpisaniu porozumień sierpniowych – na temat „Solidarności” i możliwości zmiany „realnego socjalizmu” w coś bardziej „podobnego do ludzi”. Tadeusz z troską konstatował, że w przedsiębiorstwie, w którym wówczas pracował na fali „Solidarności” „wypływa i idzie w górę koniunkturalna miernota i podejrzane typy”. Ja wahałem się między optymizmem i sceptycyzmem. Wszyscy byliśmy oczywiście pełni nadziei na WIELKIE PRZEMIANY.

W życiu prywatnym – właśnie wówczas nadeszła całkiem inna zmiana, oczekiwana z niecierpliwością. Dzięki pomocy inżyniera Słupskiego – z którym podczas Kongresu Górniczego w Limie byłem w Cuzco (str. 310–311) – otrzymałem wreszcie mieszkanie. W tym czasie był już Naczelnym Dyrektorem Katowickiego Zjednoczenia KWK i jako szef jednego z przedsiębiorstw finansujących budowę osiedla 35-lecia PRL na Brynowie – dysponował na tym osiedlu określoną pulą mieszkaniowych przydziałów. Do dziś jestem mu wdzięczny za to mieszkanie. Jak na PRL-owskie standardy było wręcz luksusowe! Trzy pokoje z kuchnią w tzw. „tarasowcu” wykończone całkiem przyzwoicie, *pod klucz* – tylko się meblować i wprowadzać (76 m²). Świetna lokalizacja w bliskim sąsiedztwie Parku Kościuszki i leśno-parkowego Muchowca. Mieliśmy przy tym – i Andrzej i ja – świetny tramwajowy dojazd, on do swojej szkoły na Koszutce, a ja do GIG-u.

Latem 1980 roku żyliśmy więc „pod znakiem” urządzania się w nowym mieszkaniu. Trzeba było kupić meble do wszystkich pokoi i kuchni. Okazało się, że po okresie „konsumpcyjnej odwilży” Gierka – nie był to duży problem. Mimo ogólnej zaopatrzeniowej *mizerii* – był jednak wcale znośny wybór mebli na nasze potrzeby. Urządziliśmy się w ciągu paru tygodni. Każdy w swoim pokoju – miał już wygodne biurko, tapczan, meblościankę itd. Dekorowanie ścian postępowało wolniej, ale to jest proces, który nie ma końca. W nowe warunki *wrastaliśmy* szybko.



Sosna pod szczytem pienińskiej Sokolicy – wciąż trwa jakby „od zawsze”

Mimo *zalatania* – owego lata zdążyliśmy zrobić spływ kajakowy Drawą – rzeką, której nie znaliśmy. Trafiliśmy na „porę deszczową”. Nasz namiot nie *wytrzymał* długiej ulewy – musieliśmy więc przykrywać go folią. Za to poziom wody w rzece był *powodziowy*. Płynęło się wspaniale – z silnym prądem. Większość pni drzew – podmytych przez rzekę lub powalonych kiedyś przez burzę – znajdowała się pod wodą i tylko niektóre trzeba było *zgrabnie omijać*. Dzięki opanowaniu techniki pokonywania przeszkód *trawersikiem*^{*)} – płynęliśmy bez przygód. Widzieliśmy jak płynąca przed nami mniej wprawna załoga – po *wywrotce*^{**)} kajaka – usiłowała wyłowić z rzeki potopione *majątki*. Trasę długości 180 kilometrów – od Czaplinka do Krzyża



Ten spływ Drawą upamiętnił się dużą wodą i bystrym prądem



Gdy dokuczają deszcze ognisko na spływie – to nie tylko przyjemność lecz także „ratunek”

(przy ujściu Drawy do Noteci) – pokonaliśmy w ciągu 14 dni. W następnych latach jeszcze trzy razy wybierałem się na Drawę – bo jest to rzeka rzeczywiście piękna! Jednak ze względu na ogromną liczbę drzew leżących w rzece tylko raz potrafiłem przepłynąć tę trasę na całej długości.

Lata 1981–1984 mijaly szybko. Andrzejek sprawnie *zaliczał* drugą połowę *podstawówki* i zbliżał się już do *mety*. Dawne kontakty z podwórkowymi koleżkami uległy rozluźnieniu. Na Brynowie czekało niestety odrabianie lekcji. Pojawily się też nowe zainteresowania: gra w hokeja w Klubie Sportowym „Baıldon” Katowice^{***)}, szermierka i kompletowanie muzycznych „hitów” w swojej „grającej wieży”. Muszę mu przyznać, że umiał dość dobrze dzielić swój czas między obowiązki i przyjemności. Wyniki uzyska-

^{*)} Technika polega na wyhamowaniu prędkości kajaka – *wiosłowaniem do tyłu* – i takim jego ustawieniu, aby prąd sam powoli znosił kajak w nurt omijający przeszkodę.

^{**)} W kajakowym języku: nieprzyjemna, niespodziewana kąpiel.

^{***)} W sezonie 81/82 otrzymał dyplom za zajęcie II miejsca w rozgrywkach o memoriał B. Eberhardta.

wane w szkole utrzymywały się na zupełnie przyzwoitym poziomie – średnia około 4+ – więc z przechodzeniem do kolejnych klas nie było problemu.

Niedziele – *po staremu* – spędzaliśmy razem, często z Mamą i Tadziami – przeważnie na bliższych i dalszych wycieczkach. Mama coraz rzadziej wybierała się z nami *w plener* – ale na Brynów przywoziłem Ją często. W tym czasie odkryliśmy dwa bardzo piękne miejsca niedzielnych wyjazdów. Jedno dalsze w Jurze (około 65 km) – w Złotym Potoku, pod Częstochową. Poznaliśmy tam milego „tubylca” – pana Biela, który chętnie chodził z nami na grzyby. Znal rejonny lasu, w których najpewniej można było znaleźć borowiki bądź rydze, maślaki czy zielonki.



Z panem Bielem na grzybach w Złotym Potoku



Artur (przyjaciel z podwórka) i Andrzejek na wycieczce do Francesca Nullo. Stare koło wodne

Miejsce bliższe (około 35 km) odkryliśmy koło Sławkowa za wsią Krzykawka. Jest to teren sąsiadujący z Pustynią Błędowską, poprzecinany głębokimi polodowcowymi jarami i pokryty sosnowym lasem. Na skraju tego lasu, w czasie powstania 1863 roku rozegrała się bitwa między powstańczym oddziałem a carskimi kozakami. Zginął w niej Francesco Nullo, włoski pułkownik, który dołączył do powstania by walczyć za „*wolność naszą i waszą*” – co upamiętnia stojący tam pomnik. Do Francesca Nullo jeździliśmy najczęściej – po prostu, aby „odetchnąć świeżym powietrzem” – niezależnie od pory roku. Andrzejek czasem zapraszał na te wyjazdy swoich kolegów. W tym lesie Tadeusz uczył też Andrzejka *łazić po drzewach*. Wpajał mu zasadę „*trzech punktów podparcia*” – tę samą, którą przekazywał mnie i Sławkowi w Lacku. Stosowanie tej zasady rzeczywiście zabezpiecza przed twardym *lądowaniem* pod drzewem. Do Francesca nigdy nie przestałem *zaglądać*, bo jest to miejsce autentycznie urokliwe. Nigdzie nie widziało się równie pięknych kaczęć i tak obficie kwitnących drzew czeremchy.



Funkcję „wojennej” choinki spełniała w 1981 roku doniczkowa tuja (zdjęcie zrobił Andrzejek)

Święta Bożego Narodzenia – jak zawsze, spędzaliśmy z Mamą. Po ogłoszeniu stanu wojennego (1981) były to Święta fatalnie smutne i samotne – wszyscy siedzieliśmy w swoich domach. Jednak w następnych latach – coraz wyraźniej *utrwał* się zwyczaj urządzania wspólnej Wigilii na Brynowie, z udziałem Sławków z Warszawy i Tadziców z Chorzowa. Wszyscy byliśmy bardzo zżyci, więc Święta były dobrą – i przy tym wyjątkową okazją do spotkania.

Mama chciała żebyśmy spotykali się na Wigilii również po Jej śmierci – więc robimy to nadal – choć w uszczuplonym składzie,

często w domach dorosłych już córek Sławka.

Na czas ferii zimowych – „obowiązkowo” jeździliśmy do Zakopanego – w tym czasie już do „Jastrzębianki”, gdzie przenieśli się również Roszkowscy. Andrzejek zaczął coraz odważniej korzystać z dużych wyciągów na Butorowym i w Bukowinie. Gdy kończył podstawówkę w 1984 roku – zjazdy z Kasprowego nie były już żadnym wyczynem.



Ferie zimowe – w Dolinie Chochołowskiej (1984 r.)



Micio Cholewa z „Drozdkiem” (tak nazywał Andrzejka) – na Brynowie

Wakacji letnich nadal nie wyobrażaliśmy sobie bez spływu kajakowego. W kronice zrealizowanych spływów, którą prowadziłem w swoim „samochodowym atlasie” mam następujące zapisy: 1981 – Czarna Hańcza (z wyprawą na „Czerwone Bagna”, gdzie nad Biebrzą widzieliśmy losie!), 1982 – Brda od Szczytna, 1983 – Krutynia z Mietkiem Cholewą, 1984 – Brda z Mietkiem Cholewą. Ponieważ pływaliśmy szlakami już znanymi – nie będę ich obszerniej wspominał.

Wyjaśnię jedynie, że Mietek przeżył na Kresach czasy konspiracji i partyzantki, a po wojnie osiadł w Sopocie. Pracował w kancelarii adwokackiej i prowadził własną praktykę. Utrzymywał z Tadziami przyjacielskie kontakty. Gdy dowiedział się, że mam rezerwowy kajak, z którego Tadzowie akurat nie chcieli korzystać – zgłosił ochotę płynięcia z nami. Oczywiście przyjęliśmy tę propozycję z radością. Był przecież sławnym uczestnikiem *splywu giganta* (str. 42) – i świetnym kompanem. Andrzejek płynął czasem ze mną, czasem z Mietkiem i tu na pozycji sternika (to była wielka *frajda*).



Andrzejek jako „sternik” zaprasza Mietka do kajaka (1984)

Było bardzo przyjacielsko i bardzo przyjemnie. Po spływie Brdą, Mietek przyjechał do nas do Katowic i od tego czasu – co roku aż do śmierci Mamy – odbywał do niej *pielgrzymkę* (tak określał swoje wizyty). Także ja – gdy czasem w czasie urlopu bywałem na Helu lub w Krynicy Morskiej odwiedzałem Mietka jako starego, najlepszego przyjaciela.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia 1984 roku odwiedził nas w Katowicach Pucio – Adam Wisłoki. Nadal pracował w Warszawie, *latał służbowo* po świecie i nie pokazywał się od lat. Mama od czasu wspólnych wycieczek do pana Kwaśnego – w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – bardzo lubiła Pucia. Gościliśmy go serdecznie.



Pucio w odwiedzinach u Mamy

Liceum i matura

Koniec nauki w podstawówce – w czerwcu 1985 roku – nie upamiętnił się niczym szczególnym. Problemem było natomiast dostanie się do liceum imienia Mikołaja Kopernika w Katowicach, które Andrzejek sobie *upatrzył*.

Obowiązywał egzamin, a na jedno miejsce było wielu chętnych. Tak się złożyło, że na czas egzaminu przypadł mi jakiś wyjazd.



Andrzej z Agatką w Zakopanem

Gdy wróciłem – Andrzejek miał już za sobą pomyślnie zdany egzamin. Był licealistą – już raczej Andrzejem niż Andrzejkiem. Miał już pierwszą szkolną sympatię – bardzo miłą i ładną Agatkę. Ja w tym czasie – coraz bardziej zbliżałem się do towarzystwa w którym funkcjonowali Tadzio wie. Był to w istocie tandem dwóch bardzo gościnnych domów: właśnie Tadzio w i Fuglewiczów. Ola Fuglewiczowa i Janka były koleżankami w pracy. Kazio Fuglewicz był parę lat starszy od Tadeusza. Kończył podchorążówkę artylerii konnej we Włodzimierzu Wołyńskim. Jego bateria w kampanii wrześniowej 1939 roku – ogniem „na wprost” – zniszczyła kilka niemieckich czołgów. Długo namawiałem go, żeby spisał swoje wojenne wspomnienia – i w końcu to zrobił¹⁵⁵⁾.

Na przyjęcia urządzone w olbrzymim mieszkaniu Fuglewiczów (ponad 200 m²) – zajmowanym przed wojną przez inżyniera Micewicza, Ojca Oli, dyrektora kopalni „Andaluzja” – bywałem przez

Tadzio w wprowadzany sporadycznie, ale zażyłość z tym towarzystwem stopniowo wzrastała. W 1985 roku, o którym opowiadam – krąg przyjaciół Tadzio w i moich był już w znacznym stopniu „zintegrowany”. Oprócz Ady Słomczyńskiej – przyjaciółki Tadzio w, którą poznałem już wcześniej na imieninach Kazia – i oprócz Fugli (takim skrótem określało się Kazia i Olę) znaleźli się w nim również Weiglowie (luźniej „zintegrowani”).

Lekarz Wiktor Weigl był synem lwowskiego profesora Weigla – słynnego twórcy szczepionki przeciwtyfusowej. W czasie wojny szczepionka produkowana przez Profesora uratowała od śmierci dziesiątki tysięcy ludzi. W procesie produkcyjnym szczepionki występowała specyficzna czynność „karmienia wszy”^{*)} przez wolontariuszy – tym znamienna, że zabezpieczała przed *wywózką* na przymusowe roboty do Niemiec. Jednym z wolontariuszy był Kazio Fuglewicz.

Ze świeżo upieczonym licealistą – latem 1985 roku wybrałem się na spływ Drawą. Startowaliśmy na Jeziorze Drawskim. Niestety po paru dniach zachorowałem. Pojawiła się gorączka i ból gardła. Czulem, że to paskudne przeziębienie i że nie powinienem go lekceważyć. Spływ musieliśmy przerwać. Andrzej zgłosił wówczas chęć „pływania pod żaglami”. Pomysł wyda-

^{*)} Pojemnik zawierający wszy hodowane w laboratorium był umieszczany na ciele wolontariusza, żeby mogły pożywiać się jego krwią.

wał mi się sensowny. Wiedziałem, że Wojtek Jurkowski – mój wspomniany już (str. 393) współpracownik w badaniach nad technologią produkcji gumowanych rur podsadzkowych – jest starym *żeglarskim wygą* w randze jachtowego kapitana. To on załatwił wówczas Andrzejowi udział w jego pierwszym żeglarskim rejsie po Wielkich Jeziorach Mazurskich.

Po tym dwutygodniowym *chrzcie bojowym* zapal Andrzej do żeglarstwa wzrósł jeszcze bardziej. Ukończył kurs szkoleniowy prowadzony na wodach Pogorii (koło kopalni „General Zawadzki”) przez Akademicki Klub Żeglarski „Armada”. W roku 1986, po kolejnym rejsie po Wielkich Jeziorach Mazurskich – otrzymał stopień żeglarza jachtowego (2.07.1986 r.). Tak odbyła się *przesiadka* Andrzeja z kajaka na żaglówkę. Ja straciłem partnera spływów kajakowych, a On znalazł nowy sposób na spędzanie letnich wakacji. Żeglarstwu był wierny przez kilkanaście następnych lat.

Z nauką w liceum Andrzej radził sobie bez większych „stresów”. Na starcie pomagałem mu trochę w opanowaniu algebry i trygonometrii – nie dlatego, że trzeba było ratować go od dwój. Starłem się jedynie *ułatwić mu życie*, pokazując – jak to robił kiedyś profesor Gołąb na AGH – jakie to wszystko jest łatwe i proste, gdy się opanuje podstawy.

Spokojny przebieg nauki zakłócił w pewnym momencie problem noty ze sprawowania. Andrzej zbyt energicznie zaangażował się jako „sekundant” w „honorowym pojedynku bokserkim” swoich klasowych kolegów. Jednemu z *pojedynkowiczów* i Andrzejowi zagroziło *wylanie* ze szkoły (drugi był synem „człowieka ustosunkowanego”), ale na szczęście sprawa *rozeszła się po kościach* i zakończyła obniżonym stopniem ze sprawowania.

Starym obyczajem, gdy niedziele udawało się łączyć z innym dniem wolnym od pracy wybieraliśmy się na dalsze wycieczki z Tadziami. Mama nie wybierała się już dalej niż do Tadzów, którzy w tym czasie mieszkali w Chorzowie (foto na następnej stronie) i do mnie na Brynów. Czasem gościła u nas nawet parę dni. Lubiła posiedzieć na tarasie.

Latem 1986 roku – po rejsie żeglarskim Andrzeja na Mazurach – zrobiliśmy wyprawę do Bułgarii. Ten wyjazd upamiętnił mi się jego skokami do



Mama na Brynowie. a. Andrzejek w oknie swego pokoju: to była jego najkrótsza droga na taras (balkon)



*Tadeusz i Sławek, który przyjechał z Warszawy – z Mamą
– w ogródkach działkowych w Chorzowie*

morza z wysokiej nadbrzeżnej skały koło Sozopola oraz nauką surfingu na desce wypożyczonej na plaży.

Niepostrzeżenie nadszedł fatalny 1987 rok. W pierwszych dniach lutego wybierałem się z Andrzejem do Zakopanego – jak zwykle – na zimowe ferie. Ten wyjazd był zawsze atrakcją oczekiwaną z dużą niecierpliwością. Andrzej był już w tym czasie zamiłowanym i sprawnym narciarzem. Wszystkie



*W drodze do Bułgarii – na promie
przez Dunaj*



Skok Andrzeja do morza z przybrzeżnej skały



*Andrzej w Bułgarii na
surfingowej desce, która
stała się jego ulubionym
sportem na wiele lat*

duże wyciągi – łącznie z Kasprowym Wierchem – były *dostępne*. Miał towarzystwo, z którym umawiał się na wspólne eskapady. Ja też lubiłem te zimowe ferie i nie żałowałem na nie urlopu. Taki odpoczynek w „środku zimy” był konieczny choćby ze względu na „ratowanie kondycji”. Z Tadeuszem umówiłem się, że przyjedzie na Brynów, żeby nas pożegnać i wziąć klucze od mieszkania. Miał w czasie naszej nieobecności podlewać kwiaty. Czuł się źle! Narzekał na ból trzustki. Cekał na powrót z urlopu zaprzyjaźnionej lekarki i obiecywał, że do niej pójdzie. Po kilku dniach Jana zadzwoniła do Zakopanego, że Tadeusz jest

w szpitalu w Chorzowie i przeszedł operację jamy brzusznej. Od razu wsiedliśmy z Andrzejem do samochodu i wróciliśmy do Katowic. Odwiedziłem Tadeusza w szpitalu. Wyglądał źle, ale był ożywiony i czuł się nie najgorzej – jak na stan pooperacyjny.

Jednak informacje przekazane Janie przez operującego chirurga były groźne. Stwierdzono rozległy „zawał” na styku żołądka i dwunastnicy – typowy dla palaczy papierosów. Był potrzebny możliwie najsilniejszy antybiotyk, aby opanować stan zapalny jamy brzusznej. Zaczęły się gorączkowe poszukiwania. W końcu potrzebny antybiotyk udostępnił nam ze swoich zapasów – doktor Sakiel – szef „Siemianowickiej Oparzeniówki”. Chciał mi pomóc, bo gdy przygotowywał pracę naukową z problematyki leczenia górników poparzonych w kopalnianych katastrofach – ułatwiłem mu kiedyś uzyskanie potrzebnych materiałów dokumentacyjnych z Wyższego Urzędy Górniczego. Twierdził, że jest to antybiotyk amerykański najnowszej generacji – „*mocniejszych nie ma*”.

Tadeusz rzeczywiście poczuł się lepiej, więc po czterech dniach nieobecności wróciliśmy z Andrzejem do Zakopanego, żeby wykorzystać końcówkę wykupionych wczasów. Niestety po paru dalszych dniach Jana przysłała wiadomość o śmierci Tadzia – 14 lutego 1987 roku. Cios był tym dotkliwszy, że – jak się nam zdawało – zagrożenie zostało zażegnane. Oczywiście natychmiast wróciliśmy, żeby pomagać Janie w tych najgorszych dniach.

Pogrzeb odbył się w Warszawie na cmentarzu Kościola pod wezwaniem św. Katarzyny na Służewie. Tadeusz już wcześniej miał tam przygotowaną kwatery – wspólną ze swymi wileńskimi kolegami: Witoldem Świeżewskim^{*}, Stefanem Pacanowskim i Jerzym Przyłuskim. O przygotowaniu kwatery właśnie na tym cmentarzu zdecydowali – bo były tu potajemnie grzebane (głównie w latach 1945–1948) ciała AK-owców mordowanych w Warszawskich ubeckich więzieniach. Na długim cokole łączącym cztery rodzinne groby umieścili odlany w brązie wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej i łacińską sentencję – motto korporacji „Polesia”. Tym sposobem wyrażali swe przywiązanie do Wilna – miasta swojej młodości, akademickich studiów i działalności w AK.

Jana trzymała się dzielnie. Mówiła, że jest „*strasznie samotna*”. Ja czułem się podobnie.

Gdy nadeszło lato, Andrzej – w tym czasie już z patentem sternika jachtowego – zaproponował wspólny rejs żeglarski na Mazurach z Elżbietą (swoją matką chrzestną) i Józim jej mężem. Jana odmówiła: „*nie czuję się na siłach*”. Tak więc – niestety bez niej – jachtem „Mak 707” wypożyczonym w Piszku – włożyliśmy się po Wielkich Jeziorach Mazurskich podziwiając rozległość i urodę tego unikalnego pojezierza.

* Świeżewski był w pewnym okresie bliskim współpracownikiem „Wilka”



Sternik na posterunku



Odpływamy w dalszy rejs

Rejs upamiętniły biwaki zakładane w pięknych miejscach, które Andrzej znał już dość dobrze... wieczorne ogniska... zawody strzeleckie organizowane przez Józia (zamilowanego myśliwego)... i świetnie dobrane towarzystwo. Jednak – choć miałem stopień żeglarza – nie polknąłem bakcyła żeglarskiej włóczgi. Jedyne



Mama coraz częściej lubiła „postędkieć sobie w fotelu”

kajak daje możliwość kontaktu z urodą malej rzeki i małego jeziora – jest więc bezkonkurencyjny.

Gdy wróciliśmy z rejsu – okazało się, że stan Mamy wyraźnie się pogorszył. Dotychczas, chociaż już ukończyła 98 lat – trzymała się dobrze. Była coraz słabsza i coraz więcej czasu spędzała w swym ulubionym fotelu. Umysłowo była jednak w pełni sprawna i nie chorowała. Dwie panie, które od ponad roku zapewniały jej całodobową opiekę – nie miały kłopotliwego zajęcia. Nadszedł niestety moment, w którym serce odmówiło dalszej pracy. Zmarła nie cierpiąc – jakby we śnie – 1 sierpnia 1987 roku. Przez 45 lat od tragicznej śmierci Ojca – nikt z najbliższej rodziny nie odchodził! A teraz druga śmierć w jednym roku!! Pochowaliśmy Mamę w Warszawie na Starych Powązkach w rodzinnym grobie – już wcześniej wykupionym przez Sławka. Była tam pochowana Jego teściowa i był „symboliczny grób” Ojca spoczywającego na Lackowskim cmentarzu.

Życie – choć trudniejsze niż dawniej – toczyło się dalej. Po wyjątkowo smutnych Świątach Bożego Narodzenia i Wielkanocy – nadeszła wiosna

1988 roku i czas przedmaturalnej „gorączki”. Andrzej nie bał się matury, ale był to czas *powtarzania materiału* i wzmoczonego *kucia*. Najbardziej bał się języka polskiego. Gdy był w III klasie liceum, zmieniła się nauczycielka tego przedmiotu. Po paru klasówkach powiedziała mu, że przy takiej znajomości ortografii i języka – nie przejdzie do IV klasy. Wówczas Ada namówiła swoją przyjaciółkę – polonistkę z solidnym stażem gimnazjalnego nauczania – żeby przerwała swój „błogi spokój” młodej emerytki i zgodziła się Andrzeja „*podciągnąć*” z języka polskiego. Zrobiła to skutecznie. Andrzej bez dalszych trudności przeszedł do IV klasy, ale bał się *polaka* na maturze i nadal korzystał z pomocy Pani Izy.

Okazało się, że strach był niepotrzebny. Maturę zdał z przyzwrotną lokatą – w tym również dzięki dobrej nocie z języka polskiego.

Wynik uzyskany na maturze był istotny, bo nie mając *punktów za pochodzenie*^{*)} chciał się dostać na Wydział Transportu Politechniki Śląskiej. Na tym Wydziale, na jedno miejsce *startowało* trzech kandydatów. Znowu było więc gorączkowe *kucie*. Także „szukanie ratunku” w *samopomocowych spółkach* z kolegami, którzy też przystępowali do egzaminu. Gra toczyła się o bardzo wysoką stawkę! Nie tylko o dostanie się na upatrzone Wydział, ale też o *wywiniecie się* od wojska. Andrzej ukończył już 18 lat i tylko dostanie się na studia mogło go obronić przed odbywaniem dwuletniej służby wojskowej.

W czasie, gdy Andrzej zdawał egzamin na Politechnikę Śląską prowadziłem wyprawę do Chin. Trzyosobowa delegacja Zarządu Głównego Towarzystwa Naukowego Organizacji i Kierownictwa (TNOiK) – w trybie wy-



Andrzejek – maturzysta – w „cywilu” na wycieczce i w maturalnym garniturze na brynowskim balkonie (1988 r.)

^{*)} Pochodzenie *robotnicza-chłopskie* dawało wówczas punkty ułatwiające wstęp na uczelnię.

miany – miała zapoznać się z działalnością chińskiego odpowiednika naszego TNOiK-u. Polska delegacja jechała pierwsza, chińska miała przyjechać do Polski później. W służbowym programie tej parotygodniowej wizyty upamiętniło mi się najbardziej ogromne zainteresowanie Chińczyków – zarówno



Chiński Mur jest słusznie zaliczany do siedmiu cudów świata



W Szanghaju, po ogromnym parku byliśmy obwożeni zabytkowym „wehikulem”. Siedziałem obok naszego chińskiego „partnera”. Od niego dostałem to zdjęcie

Gospodarzy w Pekinie, jak i kadry kierowniczej licznych przedsiębiorstw, które wizytowaliśmy – polskim *ruchem* „Solidarności”. „*Swobodnyje prafzajuzy*”^{*)} to był temat, któremu we wszystkich spotkaniach poświęcano dużo uwagi. Nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym mówić Chińczykom o ogromnym zaangażowaniu polskiego społeczeństwa w tym *ruchu* i o skutkach wprowadzenia stanu wojennego. Pytań, zadawanych z reguły po rosyjsku, było dużo. Nie było natomiast żadnych komentarzy, które by ujawniały poglądy pytających.

Z turystycznego programu dobrze zapamiętałem ogrom i nowoczesność pokazywanego nam Pekinu. Choć był to wówczas dopiero początek nowych, w istocie kapitalistycznych Chin z komunistyczną władzą – rozmach budownictwa realizowanego w stolicy był imponujący. Oczywiście pokazano nam Chiński Mur, niedaleko Pekinu. Mimo, że na podstawie wcześniejszych Informacji spodziewałem się czegoś ogromnego – byłem zaskoczony tym co zobaczyłem. Chiński Mur przerasta wyobraźnię Europejczyka! Najciekawszy był jednak przejazd koleją do Szanghaju i sam Szanghaj. Dopiero ta podróż uświadomiła mi rozległość i różnorodność „Państwa Środka”. Także bogactwo jego starożytnej kultury oraz oglądaną z okien pociągu biedę i *szarzyznę* chińskiej wsi.

^{*)} Wolne Związki Zawodowe.

Na szczęście egzamin Andrzeja zakończył się sukcesem. Maturę i ten sukces uczciliśmy „uroczystym” spotkaniem z udziałem pani Izy (zdjęcie obok). Dodatkowym źródłem satysfakcji był świetny wynik uzyskany na egzaminie z matematyki. Na 100 możliwych punktów osiągnął ponad 90. Tak więc dostał się na upatrzone Wydział i ominęło go wojsko.



„Przyjęćko” na Brynowie: ja, pani Iza, Kazio Fuglewicz, maturzysta, Jانا

Wakacje rozpoczął w lipcu rejsem żeglarskim – znów na „Maku 707” – ale z załogą młodzieżową, którą sam sobie skompletował. Ja w tym czasie robiłem spływ z Adą szlakiem Krutyni.

* * *

1988 rok dobiegał końca. Andrzej zdążył jeszcze zrobić w sierpniu z kolegami rajd, trzema „Maluchami” do Bułgarii. Biwakowali na tym samym kempingu pod Sozopolem, na którym przed dwoma laty byliśmy razem. We wrześniu – już w ramach programu obowiązującego na Politechnice – odbył praktykę robotniczą w warsztatach PKS-u. W październiku rozpoczął swój pierwszy rok akademickich studiów.

Minione lata przyniosły w naszym życiu prywatnym wiele istotnych zmian. Odeszła Mama i odszedł Tadeusz. Andrzej zakończył lata szkolne i był już studentem. Ja „pozbiierałem się” po podwójnej „życiowej wywrotce” – w pracy zawodowej oraz w małżeństwie.

WIELKIE PRZEMIANY dopiero nadechodziły – aby zmienić całe nasze życie zarówno społeczne, jak i zawodowe oraz prywatne. Od stycznia 1988 roku „Wolna Europa” nie była już zagluszana. W kwietniu i maju fala strajków ogarnęła niemal cały kraj, a na przełomie sierpnia i września wystąpiła druga fala, która dotarła do Śląska. Po VIII Plenum KC PZPR (27 i 28 sierpnia) nastąpiło spotkanie Wałęsy i Kiszczaka. 30 listopada odbyła się słynna telewizyjna dyskusja między Wałęsą i Miodowiczem – przywódcami *nowych* i *starych* Związków Zawodowych. Proces odchodzenia starego PRL-owskiego porządku już się rozpoczął. Trwały polityczne przygotowania do „Okrągłego Stołu”.

11. CZAS RYNKOWEJ TRANSFORMACJI – OTWARCIE NA ŚWIAT

W poprzednim rozdziale wspominałem wydarzenia roku 1988, a więc znalazłem się już bardzo blisko *niemal teraźniejszości*. Tylko 20 lat minęło od przelomu, który nastąpił w 1989 roku – a to przecież przeszłość całkiem niedawna. Gdy jednak wracam do niej pamięcią – obraz wydarzeń wcale nie jest ostrzejszy niż z przeszłości znacznie odleglejszej. Przyczyną jest chyba szybkość, z jaką w owych latach toczyła się historia oraz równocześnie skala zmian zachodzących w świecie, w całej polskiej gospodarce i w górnictwie. W latach 1989–2009 – na drodze od rzeczywistości PRL-owskiego socjalizmu i stanu wojennego do rzeczywistości dnia dzisiejszego w Kraju i w międzynarodowym otoczeniu – natłok wydarzeń był wyjątkowy. Wybór wydarzeń najbardziej znaczących – w aspekcie relacjonowanych wspomnień – choć całkowicie subiektywny – okazał się nielatwy.

Dziś wiemy już, że ustalenia „Okrągłego Stołu” – obradującego od szóstego lutego do piątego kwietnia 1989 roku – były aktem *pieczętującym* zgodę ówczesnych władz PRL (partyjno-rządowych i służb specjalnych) na porzucenie drogi „*realnego socjalizmu*” i zdecydowane rozpoczęcie rynkowej transformacji we współpracy z *wiodącymi* („lewicowymi”) ludźmi „*Solidarności*”. W tym czasie „*Solidarność*” była już nie tyle Związkiem Zawodowym, co ogólnonarodowym opozycyjnym ruchem obywatelskim, który wyrażał dążenie społeczeństwa do samorządności, do zniesienia ograniczeń w działalności prywatnej, do równości wobec prawa, do wolności mediów... Władza natomiast pod naciskiem powtarzających się protestów i strajków oraz załamania gospodarczego – widząc niezdecydowanie *sowieckiego mocodawcy* – straciła wiarę w możliwość utrzymania swych dotychczasowych pozycji.

Jak wspominałem, przechodzenie do biznesu wielu działaczy aparatu partyjnego i służb specjalnych – jako proces zabezpieczający *nomenklaturę* przed skutkami utraty władzy – rozpoczął się (1982) na wiele lat przed „Okrągłym Stołem” i w kolejnych latach permanentnie się nasilał. Przykładem mogą być ustawy wprowadzone przez Ministra Wilezka – milionera w rządzie Mieczysława Rakowskiego (1988) – liberalizujące gospodarkę i nasilające jej prywatyzację, głównie w trybie uwłaszczania nomenklatury; także ustawy „*O działalności gospodarczej*” uchwalone przez sejm PRL 13 grudnia 1988 roku oraz przyjęta w styczniu 1989 roku ustawa o prawie bankowym, umożliwiająca zakładanie prywatnych banków. Przykłady tego rodzaju aktów prawnych i działań administracyjnych można mnożyć¹¹⁾.

Jednak dopiero porozumienie sfinalizowane przy „Okrągłym Stole” sankcjonowało **rynkową transformację** jako uzgodniony z opozycją kierunek dalszych przemian. Kierunek ten dawał społeczeństwu organizującemu

się w powszechnym ruchu „Solidarności” – szansę odzyskania wolności obywatelskiej i gospodarczej, a *nomenklaturze* PZPR i służb specjalnych – perspektywę uwłaszczenia z wykorzystaniem państwowego majątku oraz (specyficznym dla tej *formacji*) sieci wzajemnych powiązań i *kooperacyjnych znajomości* w „Służbach”, Izbach Skarbowych, bankach, sądach itd.

Dzięki pomyślnemu rozwojowi wypadków w Związku Radzieckim – a później również w innych krajach Bloku Wschodniego – polskie społeczeństwo tę szansę wykorzystało. Zrobiło to sprawniej niż się spodziewała partyjno-rządowa nomenklatura PZPR i z efektem przekraczającym nawet optymistyczne oczekiwania większości obywateli. Czwartego czerwca 1989 roku odbyły się pierwsze niefalszowane – rzeczywiście wolne – wybory do „sejmu kontraktowego”^{*)} i do senatu. Przemówił Naród i nie pozostawił żadnych wątpliwości, że chce zmiany! Że dotychczasowi *władcy Polski* mają odejść!!

Trzeciego lipca 1989 roku w Gazecie Wyborczej ukazał się artykuł Adama Michnika pt. „Wasz prezydent nasz premier” – co zapowiadało realizację nieformalnych uzgodnień „Okrągłego Stolu”. Dziewiętnastego lipca, obie Izby Zgromadzenia Narodowego, wybrały jednym głosem Wojciecha Jaruzelskiego na Prezydenta Rzeczypospolitej – jak się okazało tylko na rok, a nie na dłuższy okres spodziewany przez „stronę Rządową”. Drugiego września został powołany pierwszy niePZPR-owski (choć z udziałem PZPR-u) Rząd Tadeusza Mazowieckiego! Pierwszy w Polsce i równocześnie pierwszy wśród satelickich państw Związku Radzieckiego!!

Dwudziestego ósmego września Leszek Balcerowicz – Minister Finansów w Rządzie Mazowieckiego – przedstawił plan radykalnej, wolnorynkowej reformy PRL-owskiej gospodarki. Plan ten – nazywany Planem Balcerowicza – już w grudniu został uchwalony w postaci pakietu podstawowych ustaw i niezwłocznie skierowany do wdrożenia. Nie była to już praktykowana w latach wcześniejszych implementacja rozwiązań rynkowych do gospodarki socjalistycznej – zgodnie z potrzebami uwłaszczanej *nomenklatury*. To było zdecydowane „przestawienie zwrotnicy” i skierowanie gospodarki „*realnego socjalizmu*” na drogę przekształcania w „neoliberalną”, kapitalistyczną gospodarkę rynkową; niestety w wariacie wadliwym, obciążonym doktrynalnymi błędami, z którymi usiłowałem walczyć – zwłaszcza w pierwszym okresie transformacji.

Tak więc w ciągu kilku miesięcy – między „Okrągłym Stołem” a grudniowymi uchwałami sejmu kontraktowego, które pchnęły Kraj na drogę rynkowej transformacji – ziszcili się nigdy nieutracone nadzieje większości Polaków. Te nadzieje, w rozmowach z Tadeuszem – przez długie dziesięciolecia PRL-owskiej rzeczywistości – różnie odczuwaliśmy i różnie określaliśmy. Przeważnie była to nadzieja na POWRÓT DO NORMALNOŚCI... na

^{*)} Liczba mandatów opozycji była ograniczona do 161 (35%).

WIELKIE PRZEMIANY! Czasem była to po prostu – nawet nienazywana – tęsknota za pozbyciem się sowieckiej dominacji narzuconej Polsce siłą w 1945 roku – niestety za zgodą naszych zachodnich Sojuszników.

Szybkość i skalę zmian graniczącą z CUDEM należy przypisywać nie tylko szczęśliwemu splotowi okoliczności na arenie międzynarodowej i w Kraju, lecz także – przede wszystkim – determinacji większości Polaków, którzy nigdy w pełni nie zaakceptowali PRL-owskich porządków. Gdy w czerwcu 1979 roku Jan Paweł II w czasie pierwszej pielgrzymki do Polski wypowiedział pamiętne zdanie: „*Niech wstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi! Tej Ziemi!*” – Polacy zaczęli odważnie *podnosić się z kolan*. W postulatach Robotniczych Komitetów Strajkowych, oprócz żądań socjalnych, pojawiły się również postulaty wyraźnie polityczne. W środowiskach młodej inteligencji coraz liczniej zaczęły się pojawiać organizacje opozycyjne – współpracujące z robotnikami. Kościół katolicki – zwłaszcza po III pielgrzymce Papieża – zaczął coraz aktywniej wspierać społeczny ruch „Solidarności”. Tak ruszyła LAWINA WOLI PRZEMIAN i w końcowym rachunku to ona była główną, sprawczą siłą PRZEŁOMU, który nastąpił w 1989 roku.

Później – w latach 90. i w pierwszej dekadzie trzeciego tysiąclecia historia była dla nas łaskawa. Te dwie dekady – po trudnym pierwszym okresie – były czasem bezprecedensowego rozwoju, znamiennego szeregiem historycznych wydarzeń. Oto najistotniejsze:

- Wyprowadzenie z Polski wojsk radzieckich (od 26.10.1991 r. do 18.09.1993 r.).
- Odklamanie roli, jaką Rząd Polski w Londynie i nasza Armia na Zachodzie oraz Armia Krajowa i Powstanie Warszawskie odegrały w walce o naszą suwerenność (1.08.1994 roku odbyły się uroczyste obchody 50 rocznicy Powstania Warszawskiego).
- Uchwalenie i przyjęcie w referendum nowej Konstytucji (25.05.1997 r.).
- Przyjęcie Polski do NATO (12.03.1999 r.) – mimo protestów Rosji!
- Uroczyste otwarcie polskiego cmentarza w Katyniu (28.07.2000 r.), symbolizującego pamięć o zbrodni wymordowania ponad 24 000 przedstawicieli polskiej inteligencji na podstawie decyzji Biura Politycznego KPZR (Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego) – ciągle jeszcze nie uznawanej za organizację przestępczą.
- Przyjęcie Polski do Unii Europejskiej (1.05.2004 r.) – akt przywracający Polsce należne jej miejsce w Europie, po 60 latach sowieckiego zniewolenia.

W tych wspaniałych dekadach miały niestety miejsce również fakty zawstydzające. Podaję przykłady:

- Wywołanie przez Lecha Wałęsę wojny na „górze” (9.05.1990 r.), a następnie oddanie przez Polaków w wyborach prezydenckich więcej głosów na Stana Tymińskiego (człowieka „znikąd”, *naślanego* przez „niewiadomo

kogo”) niż na Tadeusza Mazowieckiego, co zaowocowało wyborem Wałęsy na prezydenta R.P. (9.12.1990 r.). W dalszej konsekwencji zaowocowało m.in. uchynieniem dopiero w 1997 roku, wyroku śmierci wydanego na pułkownika Kuklińskiego w stanie wojennym.

- Rażąca „niezdolność” do rozsądnego i rzetelnego rozliczenia się z PRL-owską przeszłością (wadliwa ustawa lustracyjna została uchwalona dopiero w czerwcu 1997 roku, a Instytut Pamięci Narodowej powstał w 1998 roku).
- Fatalne zaniechania w uczciwym rozwiązaniu problemu powojennych wywłaszczeń dokonanych w PRL, w uporządkowaniu *poniemieckich ksiąg wieczystych*, na *ziemiach odzyskanych* oraz w rozumnym rozwiązaniu problemu zarządzania poPRL-owskim – olbrzymim – majątkiem państwowym.
- Rozpasane *partyjniactwo* – zapoczątkowane rozwiązaniem przez Wałęsę Komitetów Obywatelskich i wzmacnianiem „lewej nogi” (w marcu 1995 r. zarejestrowano 270 partii) – co skutkowało permanentnie niestabilną sceną polityczną i chaotycznymi zmianami ekip rządowych.
- Niezdolność do podjęcia strategicznych zadań w zakresie budowy autostrad oraz utrzymania i rozwoju innych strategicznych ogniw gospodarczej infrastruktury – od której zależy rozwój Kraju.
- Realizacja błędnej, antysurowcowej polityki gospodarczej państwa – co zrujnowało wielkoobszarowe rolnictwo (PGR-y) i przez *likwidacyjną restrukturyzację* górnictwa węgla kamiennego – wprowadziło zagrożenie bezpieczeństwa energetycznego Kraju (do tej sprawy wróć obszernie w najbliższych podrozdziałach).

Okazało się jednak, że żadne błędy i zaniechania rządzących nie były w stanie powstrzymać gospodarczego rozwoju społeczeństwa, które weszło na drogę rynkowej transformacji. Co istotne – transformacji prowadzonej w warunkach coraz szerszej współpracy z państwami Zachodu, tkwiącymi w systemie rynkowym „od zawsze”. **Polacy w ogromnej większości wykazali zadziwiającą przedsiębiorczość, kreatywność i wytrwałość w dążeniu do poprawy swego losu.** W ciągu dwóch dekad Kraj zmienił się *nie do poznania!* Wystarczy popatrzeć na liczbę samochodów w miastach i na wsi; porównać zabudowę i wygląd wsi i miasteczek w epoce PRL i dziś: wejść tam do „pierwszego z brzegu” mieszkania, a w większych miastach – wejść do supermarketu z niewyobrażalną kiedyś ilością towarów... Z takiej perspektywy trudno oprzeć się przekonaniu, że *per saldo*, „Okrągły Stół” – „pieczętujący” rynkową transformację – Polsce się opłacił. W aspekcie *historycznej sprawiedliwości* można oczywiście mieć zastrzeżenia, ale *realizm doradza* zastrzeżenia te „temperować” – zachowując oczywiście w pamięci prawdę o realiach PRL i o wadliwym przebiegu transformacji.

A jak ja – w tym wspaniałym dwudziestolecu – radziłem sobie w życiu zawodowym i prywatnym?

Otóż mimo upływu kolejnych lat zaangażowanej pracy zawodowej i występowania okoliczności, które zachęcały do redukcji swego zainteresowania sprawami górnictwa – nie umiałem ograniczyć poświęcanej mu uwagi. „Wznenienie” w górnictwo dokonane kiedyś przez profesora Krupińskiego okazało się nadzwyczaj trwale. Nie umiałem pogodzić się ze szkodliwą, **antywęglową polityką** uprawianą przez kolejne Rządy i z **fatalnym zarządzaniem** realizowanym w górnictwie węgla kamiennego przez nowego – już **RYNKOWEGO WŁAŚCICIELA**. W miarę swych sił i możliwości starałem się **bronić górnictwa** – zwłaszcza węgla kamiennego – przed degradacją. Proponowałem rozwiązania alternatywne i uzasadniałem ich racjonalność – wykorzystując przy tym wyniki badań, które w GIG-u nadal prowadziłem. Czasami przedstawiałem swoje poglądy w formie opinii, o które zwracały się bądź agendy rządowe, bądź górnicze Związki Zawodowe (głównie „Solidarność”). Najczęściej były to jednak publikacje udostępniane środowiskom górniczym i decydentom. Choć mój formalny status pracy w Głównym Instytucie Górnictwa – z upływem lat ulegał rozluźnieniu – zaangażowanie w sprawy górnictwa nie malało. Od biurka nadal wstawiałem przeważnie o godz. 24⁰⁰. O swoim zawodowym zaangażowaniu w tamtych burzliwych latach opowiem w najbliższych podrozdziałach – choć nie miałem wówczas sukcesów, którymi mógłbym się chwalić.

Na moje życie prywatne – **PRZEŁOM** 1989 roku wpłynął głównie w dwóch aspektach.

Przestałem przykrywać mileżeniem swoją AK-owską przeszłość i nawiązałem kontakty z kombatanckim środowiskiem Nowogródzkiego Okręgu AK. Zrobiłem z Andrzejem, i bez niego, kilka wypraw na Kresy i w *rodzinne kąty*. Temat Lacka... wspomnień wojennych i powojennych perypetii – zaczął być wyraźniej obecny zarówno w domu, jak i w kręgu przyjaciół, z którymi dzieliłem prywatne życie. Atmosfera tego życia – choć w moim środowisku nigdy nie daliśmy się *stłamsić* PRL-owskim historycznym i politycznym zaklamaniami – wróciła do pełnej **NORMALNOŚCI**. Zaczęło się lżej i swobodniej oddychać ... i myśleć.

Jednak od partii politycznych nadal trzymałem się z daleka. Gdzieś na początku 1990 roku wstąpiłem w GIG do „Solidarności”, ale gdy Lech Wałęsa rozwiązał Komitety Obywatelskie – ze Związku wystąpiłem (1.12.1990 r.), podając ten fakt jako uzasadnienie. Tak jak w okresie „I Solidarności” – zajmowałem pozycję rzeczoznawcy w zakresie górnictwa i zarządzania, który może owszem zabierać głos w kwestiach polityki gospodarczej, ale bez angażowania się w politykę uprawianą przez poszczególne partie polityczne. Największą sympatię czułem do Unii Wolności, gdy walczyła o władzę z postkomunistami (1994) i nawet zdecydowałem się wówczas wesprzeć ją swoim członkostwem. Jednak (chyba po roku) – widząc *jałowość* mego udziału – z Unii wystąpiłem. Później już nigdy podobnych prób nie podejmowałem.

Drugi aspekt był *innej natury*. Pojawiła się mianowicie nieznana dawniej możliwość poznawania świata nie tylko w trybie wyjazdów służbowych i indywidualnie organizowanych wypraw, lecz także „objazdowych wycieczek” oferowanych przez biura turystyczne. Świat stał się łatwiej dostępny – wyraźnie się skurczył.

Istotny wpływ na bieg mego życia prywatnego – oprócz przemian zachodzących w otoczeniu – miał niewątpliwie stopniowy zanik *andrzejkowego przechyłu*. Andrzej już na studiach wykazywał samodzielność. Ożenił się, gdy był jeszcze na IV roku Politechniki Śląskiej, ale dyplom uzyskał bez komplikacji (23.12.1993 r.). Szybko znalazł pracę w dobrej firmie i rozwinął się w swym zawodzie. Podobnie jak kiedyś ja – *wpadł w małżeńskie tarapaty*... jednak z nich wyszedł, ożenił się powtórnie i zbudował piękny dom... Choć jesteśmy nadal sobie bardzo bliscy i pozostajemy w stałym kontakcie – naturalnym rzeczy porządkiem – jego życie zaczęło płynąć własnym, odrębnym nurtem. Ja natomiast znalazłem w Adzie świetnego partnera kajakowych spływów i turystycznych wypraw. Co ważniejsze – z czasem – również serdeczną towarzyszkę życia codziennego.

Obydwoje – Ada i ja – mieliśmy za sobą małżeństwa, z których wyszliśmy *dotkliwie poobijani*. Miałem wątpliwości czy dla ludzi już „nie pierwszej młodości” małżeńska *recydywa* jest sensownym rozwiązaniem na wspólne życie. Zachowaliśmy więc swoje niezależne mieszkania i zaczęliśmy razem szukać takich sposobów spędzania czasu, który nam najbardziej odpowiadał. Mieliśmy wspólnych przyjaciół – zaczynając od najdroższej Jany (mojej bratowej) i najmilszych Fugli... – jednakowe zainteresowania i sporo *włóczęgowskiej żyłki*. Niewątpliwie – czas wolny, który sobie wydzielalem na życie prywatne (już w okresie *górniczego*, a nie *andrzejkowego przechyłu*) – był dzięki Adzie czasem, który się wspomina jako dobrze wykorzystany, urozmaicony... i bardzo udany! Postaram się o tym opowiedzieć, kończąc te wspomnienia.

A co działo się w świecie w dwudziestoleciu 1989–2009 – znamienym osiągnięciem przez Polskę niepodległości... dokonaniem transformacji rynkowej i przystąpieniem do Unii Europejskiej? Równocześnie – w dwudziestoleciu, które w moim **życiu zawodowym** było znamienne przegrywaną *walką* o niemarnowanie *zupełnie przyzwoitego* potencjału górnictwa węgla kamiennego zbudowanego w PRL, a w **życiu prywatnym** było znamienne dążeniem do możliwie pełnego wykorzystania życiowych możliwości, które wraz z rosnącą zamożnością pojawiły się w już wolnej Polsce?

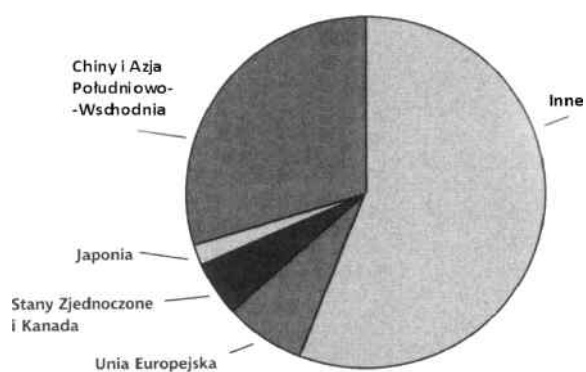
Otóż w dwudziestoleciu, o którym w tym rozdziale opowiadam – zakończyła się „zimna wojna” rozpoczęta w 1946 roku (patrz strony 227–230) i trwająca niemal dokładnie pół wieku. Zakończył się proces powojennej odbudowy światowej gospodarki po straszliwych skutkach „totalnej” wojny i także dramatyczny okres zmagania toczących się w *dwubiegunowym świecie* między *blokiem sowieckiej satrapii* i światem Zachodu. Już na początku lat

80. wystąpiły wyraźne oznaki zbliżającej się klęski gospodarki socjalistycznej i destrukcji bloku sowieckiego. Rok 1989 *pieczętował* tę klęskę. Po *wylamaniu się* Polski (4.05.1989), upadł mur berliński (9.11.1989 r.), w Czechosłowacji nastąpiła „aksamitna rewolucja” (15.12.1989 r.), w Bułgarii i Rumunii rozpoczęły się obrady „okrągłego stołu” (styczeń 1990 r.).

Wkrótce rozkład ogarnął też sam Związek Radziecki. Jako pierwsze niepodległość ogłosiły państwa bałtyckie – kolejno: Litwa (11.03.1990 r.), Estonia (30.03.1990 r.) i Łotwa (4.05.1990 r.). Następnie – już 12 czerwca 1990 roku – suwerenność ogłosiła Federacja Rosyjska, a za nią, w lipcu, Ukraina i Białoruś. W marcu następnego roku został w Moskwie rozwiązany Układ Warszawski, a 8 grudnia 1991 roku zniknął z mapy świata Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich.

To był rzeczywisty koniec wojującego komunizmu i sowieckiego imperium! Także koniec dwubiegunowego świata!!

Stany Zjednoczone, które tym sposobem stały się jedynym supermocarstwem, miały okazję objąć światowe przywództwo. Okazję tę – jak twierdzi Zbigniew Brzeziński⁸⁾ – zmarnowali trzej prezydenci USA: George H.W. Bush (wybrany 8.11.1988 r.), William J. Clinton (wybrany 3.11.1992 r. i powtórnie 5.11.1996 r.) oraz George W. Bush (junior – 13.12.2000 r. i 2.11.2004 do 2008 r.). Nie potrafili poprowa-



Tym wykresem ilustrującym liczebność populacji świata w 2005 roku, Zbigniew Brzeziński uzasadniał konieczność organizowania coraz szerszej międzynarodowej współpracy⁸⁾

dzić świata w kierunku skutecznej współpracy z rosnącą w szybkim tempie potęgą Chin, Indii, Brazylii... i Rosji wciąż silnej bronią nuklearną oraz masową produkcją ropy, gazu i innych surowców. Także w kierunku zorganizowanego współdziałania z resztą świata (patrz wykres), która – choćby z racji rozmiaru swej populacji – musi zyskiwać na znaczeniu w coraz bardziej globalnej gospodarce.

W okresie ich prezydentury świat był pełen konfliktów, a wiarygodność polityki Stanów Zjednoczonych i ich pozycja na arenie międzynarodowej – ulegały drastycznemu obniżeniu. Zostały owszem umocnione i rozszerzone organizacje, które mogą się stać trzonem przyszłego globalnego porządku, takie jak Unia Europejska i NATO oraz unia gospodarcza Stanów Zjednoczonych z Kanadą i Meksykiem. Została też powołana (1.01.1995 r.) Światowa Organizacja Handlu (WTO) z udziałem Chin, które dołączyły (2001 r.) do gospodarczych potęg. Te pozytywy w rozwoju świata w kierunku

nieuchronnej globalizacji zostały jednak w znacznym stopniu zredukowane takimi wydarzeniami, jak wejście w posiadanie broni nuklearnej przez Indie, Pakistan i Koreę Północną. Także uwikłanie się Stanów Zjednoczonych w trudną „rozgrywkę” na Bliskim Wschodzie i w Afganistanie – w ramach wojny wypowiedzianej terroryzmowi.

Objęcie urzędu Prezydenta Stanów Zjednoczonych przez Baracka Obamę zbiegło się z *wybuchem* w USA kryzysu finansowego, który w ciągu kilku miesięcy rozlał się na cały świat i przerodził w głęboki kryzys gospodarczy. Czy w tych okolicznościach – pierwszy *kolorowy* prezydent Stanów Zjednoczonych okaże się przywódcą, który potrafi poprowadzić świat do zorganizowania sprawnej, globalnej gospodarki rynkowej? Czy będzie to gospodarka zapewniająca ludzkości pokój, stabilny rozwój oraz przyspieszoną likwidację obszarów głodu, zacoiania, tyranii i ludobójstwa? Najbliższe dziesięciolecie to pokaże – a może dziesięciolecia? Wierzę jednak, że tak będzie, bo taka jest *logika globalizacji* i logika WIELKICH PRZEMIAN kreowanych przez ludzkość w coraz szybszym tempie.

Podobnie wierzę również, że gospodarka rynkowa – która niewątpliwie będzie się doskonalić – doprowadzi, w warunkach tworzonych Unią Europejską, do *renesansu* gospodarki surowcowej w Polsce. Tak jak chciał tego profesor Krupiński³⁴⁾ – na bazie własnych bogatych złóż – będziemy rozwijali górnictwo jako mocny filar dobrobytu i bezpieczeństwa surowcowego kraju. Będziemy również przywracali właściwą pozycję górnictwu węgla kamiennego, które obok węgla brunatnego jest i pozostanie w przewidywalnej przyszłości – naszą ogromną szansą. Wierzę też, że przynajmniej niektóre z rozwiązań, o których opowiadałam w tym rozdziale – jako o instrumentach proponowanych do wykorzystania w „obronie” górnictwa przed degradacją – okażą się przydatne... lub przynajmniej inspirujące do dalszych poszukiwań.

Jak w poprzednim rozdziale – aby nie komplikować relacji – rozdzielałam wspomnienia z życia zawodowego i prywatnego.

Te pierwsze – poprzedzam przypomnieniem zmian, które w okresie rynkowej transformacji zaszły w Głównym Instytucie Górnictwa i również w mojej pozycji jako pracownika tego Instytutu. Ze zrozumiałych względów zmiany te określały możliwość mego angażowania się zarówno w prace badawcze wynikające z moich obowiązków służbowych, jak i w działalność, którą w poprzednim rozdziale określiłam jako *społecznie-zawodową (pozainstytutową)*.

Otóż po 1988 roku, życie tak się potoczyło, że moja działalność badawcza – w znacznej części *splotła się* z działalnością *pozainstytutową*. Główną przyczyną był nikły – i stopniowo *gasnący* – potencjał badawczy którym dysponowałam w Instytucie oraz ogromne zaangażowanie w problematykę rynkowej transformacji górnictwa węgla kamiennego. Zaangażowanie to

zdominowało w tym okresie całą działalność zawodową – co określiłem jako *przechył górniczy*.

Takie były realia tego bardzo trudnego czasu – i to one określiły układ tej wspomnieniowej relacji. Po podrozdziale, w którym przypominam ówczesne warunki mojej pracy w GIG – w **czterech kolejnych, obszernych podrozdziałach relacjonuję swoje zaangażowanie w batalię o kształt i kondycję górnictwa węgla kamiennego**. Przez dwie dekady dopominałem się o zmianę fatalnej (moim zdaniem) *doktryny i metody transformowania* tego górnictwa do gospodarki rynkowej! Relacja o tej *batalii* zawiera sporą *dawkę* najnowszej – *porażającej* – historii tego dużego sektora naszej gospodarki. Sądzę, że ze względu na jej *przedziwny* przebieg – może zainteresować nie tylko górników. Mój pozbawiony sukcesów udział w tej historii kosztował mnie dużo wysiłku, zawiedzionych nadziei i zaangażowania. Tym tłumaczę rozmiar relacji.

W kolejnym piątym podrozdziale wspominam prace badawcze, które udało mi się zrealizować – mimo zaangażowania we wskazaną *batalię* i mimo pogarszających się warunków mego zatrudnienia w GIG. W szóstym podrozdziale wspominam również niektóre aktywności *pozainstytutowe*, które po epoce PRL, w sposób naturalny kontynuowałem w czasach rynkowej transformacji.

Trzy końcowe podrozdziały – to dalszy ciąg wspomnień z życia prywatnego. Pisząc je dziwiłem się, że mogę je tak łatwo oddzielić od życia zawodowego. W codziennej praktyce, nigdy nie było to łatwe. W moim przypadku te dwa nurty splatały się w jedną całość... prawie nierozdzielną...

Zmiany w GIG i w warunkach mojej pracy

16 stycznia 1989 roku do GIG-u został wprowadzony nowy Naczelny Dyrektor – mgr inż. Adam Graczyński. *Poczta pantoflowa* donosiła, że miał objąć w Katowicach funkcję I Sekretarza KW PZPR, ale jakieś komplikacje uniemożliwiły ten awans. Nie był górnikiem i nie miał stopnia naukowego. Przed podjęciem pracy w GIG był dyrektorem w paru przedsiębiorstwach niezwiązanych z górnictwem. Ostatnio pracował na stanowisku Podsekretarza Stanu w Urzędzie Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń w Warszawie.

Nowy Dyrektor okazał się sprawnym administratorem Instytutu. Do mnie odniósł się poprawnie. Pozostawił mi pełną swobodę zarówno w badaniach, które prowadziłem w Zakładzie Podsadzki, jak i w zaangażowaniu *pozainstytutowym*. Jednak po dwóch latach – 15 lutego 1991 roku – Dyrektor „*Z uwagi na... przedterminowy upływ kadencji 1988-1991*” podziękował mi za „*wieloletnią pracę w Radzie Naukowej GIG*”^{*)}. Następnie, od 1 kwietnia 1991 roku – „*ze względu na wejście w wiek emerytalny*” – zostałem odwołany ze stanowiska Kierownika Zakładu Technologii Podsadzki.

^{*)} Członkiem Rady byłem 23 lata. Po tym odwołaniu już do niej nie wróciłem.

Wprawdzie byłem nadal zatrudniony najpierw na etacie konsultanta naukowego, a później profesora i miałem wpływ na dalszą pracę Zakładu – jednak moje możliwości intensyfikowania prac nad modernizacją technologii podszadzki hydraulicznej – wyraźnie zmalały. Po dwóch latach – 15 lipca 1993 roku Dyrektor Graczyński – Zakład zlikwidował. W piśmie, które do niego skierowałem dnia 9.03.1993 r. – wskazywałem, że z zastosowaniem podszadzki wciąż jeszcze wydobywamy 17 milionów ton węgla, że rozwiązania modernizacyjne przygotowane w GIG wymagają dalszego rozwoju oraz prac wdrożeniowych, że technologia podszadzki hydraulicznej jest najsukcesyjniejszą technologią ochrony środowiska itd.

Wszystkie argumenty trafiły w próżnię. Dyrektor był *wrażliwy* na tendencje idące z *góry* – a tam podszadzka jako rzekomo „bardzo droga” – była technologią **niechcianą**.

W tym czasie było już widoczne, że Dyrektor Graczyński – administrując Instytutem – nie dostrzega jego kluczowej roli w kształtowaniu perspektyw rozwoju górnictwa. Wprawdzie GIG miał już za sobą świetny okres „pączkowania”, w którym przygotował powołanie sześciu odrębnych jednostek naukowo-badawczych (wśród nich: Instytutu Mechanizacji Górnictwa – 1954, Instytutu Chemicznej Przeróbki Węgla – 1955, Zakładów Badawczo-Projektowych Górnictwa Odkrywkowego POLTEGOR, i odrębnego Zakładu Górnictwa Miedzi CUPRUM – 1967...) – wciąż jednak był jednostką odpowiedzialną za podejmowanie i rozwiązywanie **problemów strategicznych** – zwłaszcza górnictwa węgla kamiennego. Przewidywałem Instytutu głównie na **komercyjną, usługową działalność dla górnictwa – oceniałem negatywnie**.

W tej sytuacji – w sierpniu 1991 roku – gdy Dyrektor Graczyński – w ramach konkursu organizowanego przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu ubiegał się o wybór przedłużający jego pracę na dotychczasowym stanowisku – zaangażowałem się w *stoperowanie* tej kandydatury. Wraz z paru podobnie myślącymi profesorami wystąpiliśmy do Państwowej Agencji Węgla Kamiennego – współorganizatora konkursu – zwracając uwagę na nieprawidłowości występujące w składzie Rady Naukowej GIG, do której została wprowadzona „duża liczba osób bez stopni naukowych”. Wskazywaliśmy także na podobnie nieprawidłowy skład komisji konkursowej oraz działania Dyrektora, który „w swoich zabiegach o »przedłużenie kadencji« stosuje metody budzące zdecydowany sprzeciw” – co uzasadnia obawę „że stanowisko dyrektora GIG może być ponownie obsadzone przez osobę (...) bez kwalifikacji naukowych i spoza branży górniczej”¹⁵¹.

Mając poparcie Agencji, doprowadziliśmy do formalnego wystąpienia, które Prezydium Komitetu Górnictwa PAN skierowało do Pani Henryki Bochniarz jako organizatora konkursu – Sekretarza Stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Wystąpienie kończyło się następującym zdaniem: „Prezydium Komitetu podkreśla z pełnym przekonaniem, że degradacja Głównego

*Instytutu Górnictwa jako wynik nieprawidłowej selekcji kandydatów na stanowisko dyrektora tej zasłużonej jednostki badawczej stanowiłaby niepowetowaną stratę dla nauki górniczej i dla górnictwa jako jednej z podstawowych gałęzi gospodarki kraju*¹⁵²⁾.

Wystąpienie okazało się nieskuteczne. Profesor Adam Lipowczan, którego wysunęliśmy jako kontrkandydata na stanowisko dyrektora GIG – wybory przegrał. Dyrektor Graczyński – przywieziony w 1989 roku na to stanowisko w PZPR-owskiej teczce – potrafił zapewnić sobie poparcie GIG-owskiej „SOLIDARNOŚCI” i większości członków Komisji Konkursowej. Utrzymał stanowisko i pozostał na nim do 2001 roku. Ja nadal pracowałem w GIG – na pełnym etacie do 1996 roku, a później na pół etatu.

Formalne skrócenie w Instytucie czasu pracy do połowy etatu nie miało istotnego wpływu na moje zaangażowanie w prowadzone badania. Ta decyzja wiązała się głównie z potrzebą skompletowania pełnoetatowej kadry profesorskiej w katowickiej Wyższej Szkole Zarządzania Marketingowego i Języków Obcych – co warunkowało prowadzenie w tej uczelni studiów magisterskich. Usilne prośby Rektora, dość atrakcyjne warunki i perspektywa prowadzenia prac magisterskich w zakresie ekonomiki przemysłu – tylko na studiach wieczorowych*³⁾ – zachęcały do zgody na tę propozycję. Zdecydowały argumenty profesora Jana Pyki z Katowickiej Akademii Ekonomicznej (od 2008 roku Rektora Akademii). Z profesorem Pyką współpracowałem w Śląskim Oddziale TNOiK. W maju 1991 roku został wybrany na Prezesa Oddziału. Nie żałuję, że dałem się namówić do podjęcia tych obowiązków. W ciągu 10 lat pracy w Szkole prowadziłem co najmniej kilkadziesiąt prac dyplomowanych, które oceniam pozytywnie, i które dały mi dużo satysfakcji. Podręcznik wydany przez Szkołę do wykładów, które prowadziłem przez pewien czas – oceniam jako „korzyść” tego zatrudnienia³¹⁾.

W Instytucie – nie mając własnego zespołu badawczego pracowałem w *pojedynkę*. Niezbędną pomoc techniczno-organizacyjną uzyskiwałem głównie w trybie koleżeńskej współpracy. Był to czas mego ogromnego zaangażowania w *obronę* górnictwa węgla kamiennego przed *likwidacyjną restrukturyzacją*, a w pracy badawczej – głównie czas, w którym starałem się zakończyć i podsumować wcześniejszy dorobek. Także – w miarę możliwości – zaawansować prace nad rozwiązaniem problemów, które w świetle doświadczeń gospodarki rynkowej nabierały szczególnego znaczenia. Dyrektor Graczyński tolerował moją obecność w Instytucie. Nadal nie byłem administracyjnie krępowany w tym, co robiłem.

Po kilku latach zatrudnienia na pół etatu – 10 stycznia 2000 roku – Dział Organizacji i Zarządzania GIG (dawny Dział Kadr) zwrócił się do mnie z propozycją zmierzającą do *zmniejszenia obciążenia Instytutu kosztami składek*

³¹⁾ Zajęcia w soboty lub niedziele.

ZUS¹. Następnego dnia wystąpiłem do Dyrektora Graczyńskiego z pismem, które zaczynało się następująco: *„Kierownik Działu (...) zwróciła się do mnie wczoraj z propozycją, abym w trybie niezwłocznym, z datą wsteczną 7.01.2000 r. wystąpił do GIG z prośbą o rozwiązanie mego ponad 45-letniego zatrudnienia w tym Instytucie. Nie zgodziłem się wprawdzie na taką formę, w której byłbym stroną inicjującą przerwanie mojej pracy w GIG ale rozumiejąc, że pani Kierownik działa na polecenie pana Naczelnego Dyrektora podpisałem załączoną zgodę. Zgodziłem się również na fikcyjne uznanie, że wykorzystałem już cały swój urlop...”*. Następnie prosiłem o *„zachowanie możliwości dalszej pracy w GIG, abym mógł zakończyć rozpoczęte prace badawcze...”* i precyzowałem w tej sprawie swoje postulaty.

Tak zakończyło się moje zatrudnienie w Instytucie jako etatowego pracownika naukowego. Później miałem wątpliwości (i mam je do dziś) czy zrobiłem mądrze, dając się tak łatwo usunąć z Instytutu na 3 lata i 2 miesiące przed jubileuszem 50-lecia pracy w jednej naukowo-badawczej placówce. Pretensje o to mogę mieć głównie do własnej urażonej ambicji, która nie pozwoliła mi na wszczęcie formalnego sporu. Okolicznością łagodzącą niesmak i trudności wywołane tym incydentem – była miła współpraca z doktorem Konradem Tauszem i Jego Zakładem Badań Ekonomicznych i Społecznych. To ona – zwłaszcza, gdy w 2002 roku dyrektorem GIG został profesor Józef Dubiński – przez kilka lat umożliwiła mi (w trybie umów o dzieło) kontynuację prac, które realizowałem w GIG od dziesięcioleci.

Wspominając charakterystykę organizacyjnych aspektów mojej współpracy z Zakładem – gdy nie byłem już etatowym pracownikiem GIG – podkreślę, że o treści i zakresie podejmowanych prac decydowało zdobycie niezbędnych funduszy. Ich głównym źródłem były bądź środki statutowe GIG, bądź środki ze źródeł zewnętrznych, przeważnie Komitetu Badań Naukowych (KBN). Dopiero te tematy lub problemy badawcze, dla których udało się zapewnić finansowanie – mogły znaleźć się w planie prac Zakładu. Duże projekty – ukierunkowane na wdrożenie wyników w przemyśle – wymagały ponadto znalezienia jednostki (kopalni) podejmującej się wdrożenia przygotowanych rozwiązań.

Nie było to łatwe! Ze środków statutowych nie można było opłacać pracowników spoza GIG, a właśnie takich potrzebowałem do prac w obszarze komputeryzacji zarządzania²). Możliwość pozyskania środków z KBN była rozstrzygana w procedurze opiniowania wniosków i przyznawania im określonej liczby punktów – a ta, była niestety (i jak sądzę jest nadal) obciążona znany *partykularyzmem*. Prowadziło to do sytuacji, w których moje wnioski przeważnie przegrywały konkurencję z propozycjami preferowanymi przez uczelnianych opiniodawców powoływanych przez KBN.

¹ Po przekazaniu w końcu 1974 roku mego Ośrodka do COIG, w Instytucie brakowało takiej kadry.

Na szczęście dysponowałem nie tylko czasem służbowym, który musiał być finansowany. Dysponowałem też własnym czasem pozasłużbowym i to on – przynajmniej w zakresie pracy koncepcyjnej i redakcyjnej – umożliwiał pokrywanie niedoborów w oficjalnie finansowanym potencjalnie badawczym. W efekcie – również po roku 1999, gdy nie byłem już etatowym pracownikiem GIG – udało mi się zrealizować parę projektów badawczych – jak sądzę – pożytecznych. O nich opowiem później.

Podstolik górniczy „Okrągłego Stołu” – 1989 rok*

W przełomowy rok 1989 wchodziłem z obciążeniem intensywną pracą w dwóch nurtach. W Zakładzie Technologii Podsadzki Hydraulicznej GIG, pracowaliśmy nad doprowadzeniem tej technologii do stanu umożliwiającego powszechne osiągnięcie w przodkach ścianowych koncentracji produkcji (ton/dobę) porównywalnej z osiąganą w dewastacyjnej technologii zawalowej. W nurcie prac pozainstytutowych – w środowisku Sekcji Ekonomiki i Organizacji Górnictwa, Komitetu Górnictwa PAN oraz TNOiK-u – szukaliśmy dróg wyjścia z wszechobecnego kryzysu socjalistycznej gospodarki¹³⁴⁾.

Informacje, które w tym czasie do mnie docierały o prowadzonych w górnictwie przygotowaniach do obrad „Okrągłego Stołu” – oraz o pierwszej fazie tych obrad (rozpoczętych 6.02.1989 r.) – były skąpe. Dopiero, gdy 20 lutego profesor Włodzimierz Bojarski wystąpił na Podzespole ds. górnictwa z referatem prezentującym stanowisko Strony Opozycyjno-Solidarnościowej – zostałem włączony do prac tego Podzespołu (mówiło się wówczas: *podstolika górniczego*). Referat, który przygotowałem i wygłosiłem 24 lutego, zacząłem od zdania: „*Status rzeczoznawcy zaproszonego przez Stronę Rządową do wzięcia udziału w obradach tego Zespołu umożliwia mi zabranie głosu nie w konwencji »formułowania stanowiska« lub »oświadczenia« lecz raczej w konwencji prezentacji dyskusyjnego poglądu, który mam nadzieję – mimo akcentów polemicznych – przyczyni się do porozumienia obradujących stron.*”¹³⁵⁾

W referacie odniosłem się do poglądu, który został przez profesora Bojarskiego sformułowany w 24 punktach. Stwierdziłem, że większość tych punktów „*może stanowić dobrą płaszczyznę porozumienia...*”. Podniosłem natomiast „*trzy sprawy jako dyskusyjne...*” i przeciwstawiłem się proponowanym rozwiązaniom¹³⁶⁾.

1) Nie godzilem się z tezą, że „*nasza gospodarka musi wycofać się z eksportu węgla*” – rzekomo nieopłacalnego. Argumentowałem, że „*Eksport węgla do II obszaru (tzn. na rynki zachodnie) zapewnił powojennej gospo-*

¹³⁴⁾ Tekst tego i czterech następnych podrozdziałów (str. 442 do 484) został wykorzystany w artykułach opublikowanych w Przeglądzie Górniczym: 2010 nr 1-2 i 2011 nr 1-2.

¹³⁵⁾ W referacie wykorzystałem niektóre dane przygotowane w październiku 1988 roku w formie aneksu do pracy zbiorowej¹³⁴⁾.

darce wpływy w wysokości 17 miliardów (ówczesnych) dolarów...”. Ceny uzyskiwane w eksporcie przewyższały koszty – w okresie 1965–1987 (przez 22 lata) – średnio o 155%. „Dolar nabywany w wyniku eksportu węgla był w tym okresie 1.7 razy tańszy od średniego kosztu nabycia dolara w całym eksporcie do II obszaru...”. Podkreśliłem również: „Chociaż prominentni przedstawiciele Rządu deklarowali gotowość do rezygnacji z eksportu węgla z realizacją tych deklaracji nie należy się spieszyć...”. (Dopowiem, że wielkość wpływów dolarowych z eksportu węgla była porównywalna z całym zadłużeniem „odziedziczonym” po gospodarce PRL).

2) Oprotestowałem wysuwany postulat – cytuję: „przyjęcia generalnej zasady pięciu dni pracy tygodniowo w górnictwie”. Twierdziłem, że: „Dążąc konsekwentnie do zagwarantowania górnikom pracy przez pięć dni w tygodniu trzeba szukać rozwiązań umożliwiających wykorzystanie potencjału produkcyjnego kopalń stosowanie do wymagań rynku”.

3) Najwięcej miejsca poświęciłem wyjaśnieniu nieracjonalności i szkodliwości „sztandarowego” postulatu Strony Opozycyjno-Solidarnościowej, mianowicie: „przyjęcie, wspólnego, uzgodnionego kursu na realizację pełnej reformy gospodarczej w górnictwie, tzn. kursu na „3U” Usamodzielnienie górnictwa Urentownienie górnictwa – Urynkowanie górnictwa”. Pod tak sformulowanym hasłem, postulowano funkcjonowanie kopalń na rynku jako **SAMODZIELNYCH, SAMOFINANSUJĄCYCH i SAMORZĄDNYCH** przedsiębiorstw, podporządkowanych bezpośrednio jednostce założycielskiej (Ministerstwu) – był to więc powrót do hasel, których racjonalność kwestionowałem już w roku 1981 w okresie „I Solidarności”. W proponowanym rozwiązaniu, jednostka założycielska „miałaby wyznaczać poszczególnym kopalniom rentę górniczą lub dotację. Renta to rodzaj podatku od warunków naturalnych, tym wyższa im warunki lepsze, koszt wydobycia niższy, a zysk wyższy. Dotację miałaby uzyskiwać kopalnia »w przypadku eksploatacji nierentownych zasobów na zamówienie organu założycielskiego«...”.

Tłumaczyłem, że renta i dotacja jako instrument zapewniający kopalniom **SAMODZIELNOŚĆ** nie może się sprawdzić, bo – wobec braku metody ich wyznaczania na poziomie „obiektywnie słusznym” – będzie wyznaczana w trybie „uznaniowo-przetargowym”. To zaś oznaczałoby „podtrzymanie, uznaniowego, nakazowo-rozdzielczego systemu zarządzania z okresu poprzedzającego reformę”. Tłumaczyłem, że **URENTOWNIENIE** górnictwa proponowaną metodą „likwidacji nierentownego eksportu” oraz likwidacji wydobycia na „nierentownych poziomach i kopalniach” prowadzi do „pogłębienia nierównowagi rynkowej” i do ewidentnych strat. Rentowność trzeba osiągać nie likwidacją niektórych kopalń, a „systematyczną działalnością prowadzoną we wszystkich kopalniach. Sednem tej działalności powinna być racjonalizacja techniczna i doskonalenie organizacji w powiązaniu ze skutecznymi systemami motywacyjnymi funkcjonującymi na zasadzie partycypa-

cji”. Tłumaczyłem, że URYNKOWIENIA górnictwa „nie osiąga się poprzez (jego) rozdrabnianie (...) do skali pojedynczej kopalni”. Nie do przyjęcia jest proponowana zasada: „Górnictwo będzie wydobywać tyle węgla ile będzie racjonalne i opłacalne dla **poszczególnych kopalń**, przy cenach jakie zaakceptują odbiorcy”. Przekonywałem, że: „Węglem nie można handlować na tej samej zasadzie, co pietruszką lub »Polonezami« wystawianymi na przetarg na katastrofalnie wygładzonym rynku (...) Trzeba owszem tworzyć stabilny rynek paliw, silnie powiązany z rynkiem międzynarodowym, ale nie wewnętrzne „targowisko” na węgiel z poszczególnych kopalń...”.

W zakończeniu referatu zgłosiłem następującą uwagę: „Profesor W. Bojarski proponując kurs na »3U« mówi, że jest to kurs na demonopolizację (...) i mówi równocześnie o »rozwoju inicjatywy (...) i gospodarności w górnictwie«, co prowadzi myślenie na fałszywą ścieżkę wiary, że przyczyną braku inicjatywy i gospodarności jest monopolistyczna pozycja gospodarującego podmiotu (...) (Jest to) pogląd mylący, gdyż jak świadczą osiągnięcia światowych koncernów monopolizujących, np. produkcję niektórych specjalistycznych wyrobów – o inicjatywności i gospodarności decyduje cały zestaw zupełnie innych czynników, wśród których rozdrobnienie jednostek gospodarczych występuje raczej rzadko”.

Omawiam tak szczegółowo tamtą znamieną dyskusję na górnictwym podstoliku „Okrągłego Stolu”, gdyż to wówczas po Stronie Opozycyjno-Solidarnościowej formowała się fatalna (żeby nie powiedzieć złowroga) doktryna określająca w następnych latach sposób transformacji PRL-owskiego górnictwa do gospodarki rynkowej. Było oczywiste, że transformacja jest konieczna, bo górnictwo PRL funkcjonowało w systemie gospodarki nakazowo-rodzicielszej (wolę określenie: przetargowo-uznaniowej) – równocześnie z bardzo ograniczonym dostępem do nowoczesnego wyposażenia z Zachodu. Jednak to górnictwo charakteryzował olbrzymi potencjał ekonomicznej efektywności w postaci bogatych złóż udostępnionych funkcjonującymi kopalniami i także świetnych załóg górniczych. Niewątpliwie nie zasługiwało, więc na transformację realizowaną przez nowego (już niesocjalistycznego) WŁAŚCICIELA górnictwa – według *doktryny likwidacyjnej!* W miarę upływu czasu doktryna ta „obrastala” dalszymi niezrozumiałymi działaniami i zaniechaniami WŁAŚCICIELA, jednak jej zasadniczy aksjomat pozostawał niezmienny i obowiązywał przez cały okres, tzw. restrukturyzacji⁴¹. Jej istotę określa hasło: GÓRNICTWO WĘGLA KAMIENNEGO JEST NIERENTOWNE! JEGO RENTOWNOŚĆ NALEŻY OSIĄGAĆ DROGĄ LIKWI-

⁴¹ Tym mylącym terminem nowy rynkowy WŁAŚCICIEL określał swe działania w górnictwie niemal przez cały okres jego rynkowej transformacji. Według słownika – termin *restrukturyzacja* oznacza *przywracanie dawnej struktury, dawnej postaci czegoś...* – co w przypadku górnictwa nie miało ani miejsca, ani sensu.

DACJI KOPALNÍ bądź, tzw. „trwale nierentownych”, bądź (w późniejszym okresie) tworzących „nadmierne zdolności produkcyjne”!

Twierdziłem i nadal twierdzę, że formująca się wówczas doktryna była fatalnie błędna. Po dwudziestu latach doprowadziła polskie górnictwo węgla kamiennego do katastrofalnej degradacji – o czym *będę mówił* w następnych podrozdziałach. Wysiłek kilku pokoleń górników, którymi po 1945 roku kierowali świetni przedwojenni inżynierowie – z profesorem Bolesławem Krupińskim – został w ogromnej części zmarnowany! Nie wiemy niestety, kto jest OJCEM (a może mocodawcą?) tej doktryny – wiem jednak (nie ja jeden!), że nie służyła w najmniejszym stopniu ani rynkowemu rozwojowi i efektywności polskiej gospodarki, ani jej energetycznemu bezpieczeństwu.

Wówczas – na szczęście – ta przygnębiająca przyszłość nie była znana. Dalsze prace Podzespołu ds. górnictwa „Okrągłego Stolu” – w których wziąłem udział jeszcze tylko parę razy – były burzliwe i nie rokowały uzgodnienia poglądów. Upamiętniło mi się spotkanie, na którym w czasie toczonych dyskusji przyszedł Jan Lityński i do Strony Opozycyjno-Solidarnościowej powiedział głośno: „*Na nie się nie zgadzać*”. Było to prawdopodobnie „echo” jakiegoś zaognienia sytuacji na wyższym lub najwyższym szczeblu obrad „Okrągłego Stolu” – ale incydent *dawał do myślenia*. Ogólny nastrój – choć pełen nerwowości – był jednak optymistyczny. Pomyślnie komunikaty ogłoszone po zakończeniu obrad (5.04.1989 r.) odbierałem – tak jak większość społeczeństwa – z ogromną ulgą i nadzieją na WIELKI PRZEŁOM, który rzeczywiście nadechodził.

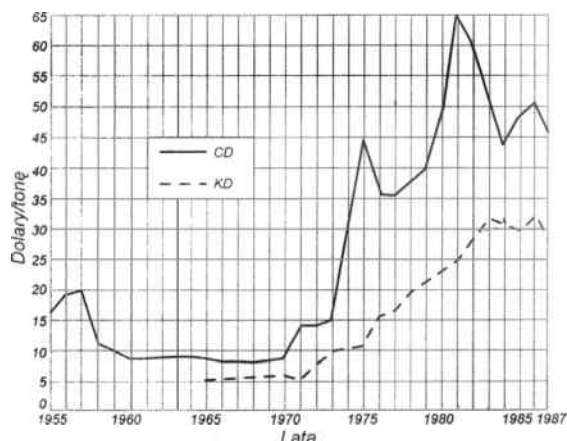
Jednak zarzut nierentowności i tendencja do zniszczenia zintegrowanej struktury górnictwa węgla kamiennego (nazywanej wówczas „monopolistyczną”) nie zostały wycofane. W mediach trwała *nagonka na węgiel* jako na przemysł surowcowy, a więc rzekomo nienowoczesny i bez perspektyw. *Nagonka* obejmowała również „lobby węglowe”, które rzekomo, poprzez niedopuszczalne naciski na CENTRUM, zapewnia sobie różnorodne preferencje – przede wszystkim inwestycyjne, finansowe, placowe, socjalne itd. Lansowano też twierdzenie, że „*wymuszenia te są kryzysogenną przyczyną krytycznej sytuacji naszej gospodarki*”. W tych okolicznościach zdecydowałem się wystąpić z szerszym wyjaśnieniem nieracjonalności dwóch kluczowych haseł dominujących w myśleniu Strony Opozycyjno-Solidarnościowej w toku obrad „Okrągłego Stolu”. Mianowicie: hasła głoszącego „*nierentowność węgla*” oraz hasła „*demonopolizacji górnictwa*”, czyli pozbawienia go zintegrowanej struktury zarządzania. Hasła te dominowały też w *nagonce* prowadzonej przez media.

W artykule: „Efektywność górnictwa węgla kamiennego w świetle faktów”⁵⁹⁾ – opublikowanym wkrótce po zakończeniu obrad – w maju 1989 roku, w Przeglądzie Górniczym i Przeglądzie Technicznym – wskazywałem, że źródłem fałszywego poglądu na kwestie opłacalności produkcji i eksportu

węgla kamiennego jest – funkcjonujący w PRL – **zakłamywany** system informacji o ówczesnej proinflacyjnej gospodarce. „Zgodnie z przyjętą przez

CENTRUM polityką gospodarczą węgiel miał być **tani i dotowany**. Przemysł przetwórczy – główny odbiorca węgla – nie musiał się liczyć z jego kosztem i oszczędzać; nie musiał dążyć do stosowania energooszczędnych, nowoczesnych technologii – byle się »rozwickała«, a zadaniem górnictwa było dostarczanie węgla, »za wszelką cenę«⁵⁹⁾. O tym, że taka była polityka gospodarcza i energetyczna PRL – społeczeństwo nie było informowane, wiedziało natomiast, że węgiel jest dotowany, co skutkowało fałszywym przekonaniem o jego nieopłacalności.

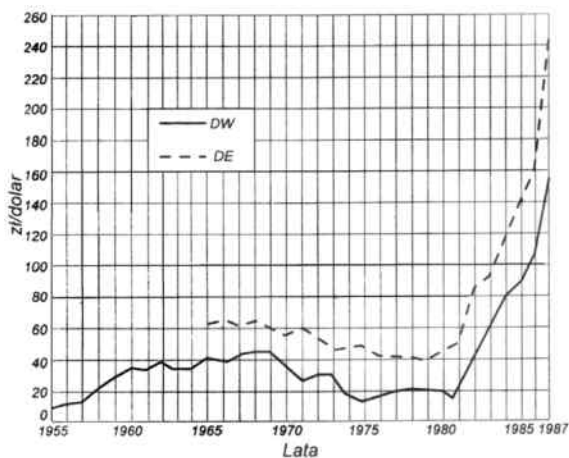
Rozszerzając argumentację, prezentowaną na podstoliku górnictwym



Średnia cena sprzedaży (CD) polskiego węgla w II obszarze płatniczym oraz całkowity koszt (KD) pozyskania tego węgla w dolarach na tonę (obliczony przy wykorzystaniu wartości DE z następnego wykresu)

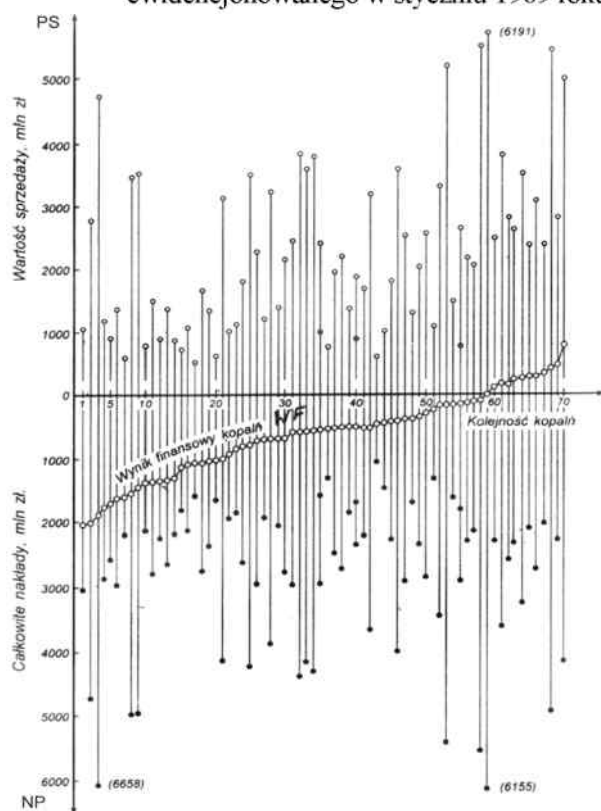
– w artykule opublikowałem dwa prezentowane tu wykresy. Dzięki przeniesieniu oceny na płaszczyznę rynku międzynarodowego – wpływ zakłamania wywołanego dotowaniem węgla został wyeliminowany. Wymowa wykresów jest jednoznaczna: **węgiel nie był deficytowy – był opłacalny!** W artykule podałem ponadto niepublikowane dane Głównego Urzędu Statystycznego (GUS) wykazujące, że w latach 1985–1987 ekonomiczna efektywność eksportu węgla była najwyższa w całej gospodarce, wyższa odpowiednio o: 10, 20, 31, 95 i 124% ... niż w przemyśle: chemicznym, precyzyjnym, hutnictwa żelaza, lekkim i spożywczym.

W następnym opracowaniu pt. „Integracyjny wariant proefektywnościowej reformy w górnictwie węgla kamiennego” – przedstawionym na Sympozjum zorganizowanym 28–29 września 1989 roku i następnie opu-



Koszt nabycia dolara (DW) w wyniku eksportu węgla do II obszaru płatniczego oraz tzw. wynikowy kurs dolara (DE) osiągnięty w całym naszym eksporcie do tego obszaru; (DE – suma złotych wydanych na wyprodukowanie eksportowanych towarów podzielona przez sumę uzyskanych dolarów)

blikowanym w Przeglądzie Gómiczym⁶¹⁾ – kontynuowałem sprzeciw wobec niezwykle groźnej tendencji do „rozproszkowania” górnictwa do skali pojedynczej kopalni. Za najistotniejszy z wielu argumentów przytoczonych wówczas w przywołanym opracowaniu – uważam kolejny wykres. Został na nim przedstawiony *wynik finansowy 70 funkcjonujących wówczas kopalń*, według stanu zaewidencjonowanego w styczniu 1989 roku.



Wynik finansowy (WF) kopalń węgla kamiennego, uszeregowanych według wzrastającej wartości tego wskaźnika. Ogromna zmienność wartości sprzedaży (PS) osiąganej przez poszczególne kopalnie – i także wartości ponoszonych nakładów (NP) – wskazuje na skalę zróżnicowania warunków naturalnych i technicznych, w których pracują poszczególne kopalnie

Jeżeli weźmie się pod uwagę, że wynik finansowy jest różnicą między wartością węgla sprzedanego a całkowitym kosztem jego pozyskania – wówczas nie trzeba być znawcą ekonomii, aby rozumieć, że kopalnie o tak zróżnicowanym wyniku finansowym nie mają szans na konkurowanie na rynku jako jednostki SAMODZIELNE, SAMORZĄDNE i – co najważniejsze – jako jednostki SAMOFINANSUJĄCE. W takiej sytuacji, która jest sytuacją normalną, możliwość SAMOFINANSOWANIA SAMODZIELNYCH kopalń jest oczywistą fikcją. Wobec braku „obiektywnej metody” wyznaczania dla jednych kopalń „renty” (podatku) od „niezasłużonych” zysków, a dla innych „dotacji” pokrywającej straty – jedyną możliwością uniknięcia dotychczasowego systemu NAKAZOWO-ROZDZIELCZEGO i normalnego funkcjonowania górnictwa węgla kamiennego konkurującego z importem i innymi paliwami – otwiera zarządzanie nim w układzie **zintegrowanym**.

Wykorzystując ten i wiele innych argumentów twierdziłem, że wszystkie kopalnie produkujące węgiel na rynek, powinny tworzyć jeden podmiot gospodarczy SAMODZIELNY, SAMORZĄDNY i autentycznie SAMOFINANSUJĄCY. „Nie powinniśmy się bać epitetu „monopol” (...) nie należy wpadać w skrajność i dążyć do zniszczenia wszystkiego co jest duże – mimo że jest racjonalne (...) Temperaturę sporów, w których bronilem integralności gór-

nictwa węgla kamiennego – zilustruję tekstem z którym bezskutecznie usiłowałem dotrzeć do polityków i mediów zaangażowanych w „nagonkę” na węgiel: *„Zastanawiam się czy warszawscy i krakowscy »postsocjalistyczni apostołowie« gospodarki rynkowej wpadną także na »genialny pomysł rozproszkowania Polskiej Miedzi« na pojedyncze kopalnie? Wszystko jest możliwe! Prawdopodobnie zapomnieli a może w ogóle nie wiedzą że oprócz »konkurencji i niewidzialnej ręki rynku« istnieje jeszcze ZARZĄDZANIE!! Zostało »wymyślone« w gospodarce kapitalistycznej jako wcale skuteczna »droga« do efektywności zarówno jednostek małych jak dużych i ogromnych koncernów! Nawet takich specyficznych struktur jak państwo.*

Jako ciekawostkę przypomnę, że swój pogląd na sposób reformowania górnictwa oraz argumentację ujawniającą fałszywość antywęglowej *nagonki* – niezależnie od publikacji – udostępniałem również górnictwej „SOLIDARNOŚCI”. Mimo, że w *górnictwym podstoliku „Okrągłego Stolu”* występowałem po Stronie Rządowej – znalazłem się na liście 31 osób, którym 11 lipca 1990 roku *„Delegaci zebrani na I-szym Zjeździe Krajowej Komisji Górnictwa NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” w Katowicach”* wyrazili *„podziękowanie za społeczne i bezinteresowne zaangażowanie jako eksperta i doradcy”*.

Publikacje i opinie przekazywane „SOLIDARNOŚCI”, którymi starałem się *odwrócić* groźne tendencje ujawnione w toku obrad „Okrągłego Stolu” – okazały się nieskuteczne. W kwietniu 1990 roku – w procesie reform uruchomionych „Planem Balerowicza” – kopalniom węgla kamiennego został nadany status odrębnych „przedsiębiorstw państwowych” podlegających bezpośrednio Ministerstwu Przemysłu jako jednostce założycielskiej. Przedsiębiorstwa, które wcześniej obsługiwały kopalnie w zakresie zaopatrzenia, zbytu węgla, remontów itp. – zostały *zdezorganizowane*. Strategiczna branża, która wraz z węglem brunatnym zapewniała krajowi bezpieczeństwo energetyczne (95–98% dostaw prądu) została *ustawiona na równi pochyłej*, po której zaczęła się osuwać ku nieuniknionej degradacji.

Niezrażony tym niepowodzeniem – przez kilkanaście następnych lat NIE CHCIAŁEM pogodzić się z *namowianiem* szansy, którą rynkowa transformacja otworzyła przed górnictwem węgla kamiennego. Wiedziałem, że jest to ogromna szansa na postęp i *dopracowanie się* nowej generacji kopalń – bardziej bezpiecznych i efektywnych!! Swoistą kroniką owych starań są dwie książki, w których zebrałem ważniejsze artykuły wcześniej publikowane w różnych czasopismach. Obydwie mają wspólny tytuł: **Górnictwo węgla kamiennego w Polsce** – odmienne są natomiast ich podtytuły.

- pierwsza z podtytułem: **Efektywność, rekonstrukcja, zarządzanie (1989–1995)** – 20 artykułów – ukazała się w oficynie „Śląsk” w 1996 roku⁷³⁾,
- druga z podtytułem: **Ku następnej generacji kopalń i sektora (1996–2005)** – zawierająca 25 artykułów – została wydana przez Główny Instytut Górnictwa w 2006 roku⁷⁴⁾.

Tam znalazło się wiele szczegółów ówczesnych *syzyfowych działań*, którymi starałem się zatrzymać lub przynajmniej ograniczyć proces marnowania dorobku kilku pokoleń górników węgla kamiennego – wprawdzie PRL-owskich, ale *innych wówczas nie było*. W trzech następnych podrozdziałach – w wielkim skrócie i tylko w ważniejszych fragmentach – wspominałem podejmowane wówczas działania.

Pierwsze lata rynkowej transformacji (1990–1993)

Już w początkowym okresie wdrażania „Planu Balcerowicza” – hasła PRYWATYZACJI i DEMONOPOLIZACJI sektora państwowego zaczęły być *wszechobecne* w wypowiedziach polityków i w mediach. Zgodnie z tym hasłem prywatyzować należało wszystko co państwowe (a więc „z definicji” rzekomo nieefektywne) i demonopolizować – tzn. rozdrabniać wszystko co duże, aby tak organizowaną KONKURENCJĄ między jednostkami gospodarczymi osiągać wzrost efektywności i dobrobytu społeczeństwa. Na sympozjum, które zorganizowałem w maju 1990 roku – w środowisku TNOIK oraz Sekcji EiO Komitetu Górnictwa PAN – zdecydowanie przeciwstawiłem się tym tendencjom⁶²¹. W XII tezach sformulowałem pogląd, który – w wielkim skrócie – przedstawiał się następująco.

„Ekonomiczna efektywność nie jest »przyrodzoną« (niezbywalną) cechą własności prywatnej (...) W wysoko rozwiniętych, sprywatyzowanych demokracjach Zachodu, prawo i poczucie własności daje bezpośrednio motywację do efektywnej pracy tylko stosunkowo niewielkiej części społeczeństwa”. W dążeniu do efektywności są wykorzystywane „bardzo różne bodźce oraz związane z nimi strategie, metody i techniki zaliczane do nowoczesnego, szeroko rozumianego ZARZĄDZANIA (...) Pieniądz (kapitał) nie zmienia swych naturalnych właściwości w zależności od tego, kto jest jego właścicielem – człowiek prywatny, spółka, koncern (...) czy państwo rozumiane jako KAPITALISTA (właściciel) a nie rząd i budżet. Efektywność kapitału zależy jedynie od tego jak jest zarządzany (użytkowany) (...)”.

„Sektor sprywatyzowany w naszej gospodarce to na razie tylko znaczna część rolnictwa, trochę drobnego przemysłu i handlu (...) i rzemiosło. Praktycznie cały liczący się przemysł jest nadal »socjalistycznie« państwowy, tzn. poprzez swe jednostki założycielskie powiązany z budżetem (...) W tej sytuacji nie ma innej realnej i szybkiej drogi dojścia do sprywatyzowanej gospodarki rynkowej jak odcięcie przedsiębiorstw państwowych od budżetu, całkowite zniesienie pojęcia jednostki założycielskiej i (...) (tym sposobem) ich zamiana w SPRYWATYZOWANE PRZEDSIĘBIORSTWA SKARBOWE.” (Później mówiłem o nich jako o „prywatnej własności Skarbu Państwa”).

„Sektor (kapitał) SKARBOWY, całkowicie niedyspozycyjny wobec rządu (analogia z bankiem emisyjnym) powinien mieć strukturę dwuszczeblową.

Zarząd centralny powinien przede wszystkim kształtować alokację i skalę udziału kapitału skarbowego w gospodarce kraju i za granicą, współpracując w tych kwestiach bardzo ściśle z parlamentem – któremu powinien podlegać (...) Na niższym szczeblu powinny funkcjonować maksymalnie samodzielne SKARBOWE PRZEDSIĘBIORSTWA I KONCERNY, całkowicie odpowiedzialne za wykorzystanie swego kapitału (majątku) według kryterium ekonomicznej efektywności, a więc odpowiedzialne również za nowoczesność technologii, jakość towarów, ich cenę, zbył itd. (...)

„Przekształcenie w SEKTOR SKARBOWY przedsiębiorstw dotychczas określanych jako państwowe, zamknie w krótkim czasie proces PRYWATYZACJI GOSPODARKI NARODOWEJ I JEJ URYNKOWIENIA. Przedsiębiorstwa uniezależnione ustawowo od administracyjnej ingerencji tzw. jednostek założycielskich i od powiązań z budżetem zostaną bardziej rygorystycznie poddane twardym prawom rynku (...) W gospodarczych kontaktach z państwami Zachodu nastąpi przełamanie znanej nieufności, jaką państwa te żywią do niesprywatyzowanych systemów gospodarczych (...) Równocześnie zostanie otwarta wyraźniejsza możliwość szerokiego USPOŁECZNIENIA sprywatyzowanych przedsiębiorstw skarbowych – jakby drugi etap pogłębiający („skarbową”) prywatyzację – poprzez stopniowe ich przekształcenie w „mieszane” spółki akcyjne, pracownicze towarzystwa kapitałowe... itd.

„(...) Powołanie sprywatyzowanego sektora własności Skarbowej zahamuje postępujący proces rozdrabniania również tych sfer gospodarki (np. górnictwa), w których poszczególne przedsiębiorstwa w sposób naturalny wymagają INTEGRUJĄCEGO WSPARCIA (...) w sferze inwestycji, postępu technicznego, zbytku itp. Najlepszym dowodem, że pojedynczym przedsiębiorstwom takie wsparcie jest nieodzownie potrzebne jest pojawienie się w XX wieku (...) dużych i nawet olbrzymich jednostek, zwłaszcza w kapitałochłonnych i naukochłonnych przemysłach. To one – u nas bardzo często do dziś określane pejoratywnym hasłem MONOPOLIE – okazały się najbardziej efektywne, kreowały najnowsze technologie, najnowocześniejsze rozwiązania organizacyjne, robotyzację itd. (...) Zahamowanie procesu „rozdrabniania gospodarki” zahamuje bardzo niekorzystny proces przejmowania (...) przez pracowników (urzędników) ministerstw »INTEGRACYJNYCH OBOWIĄZKÓW«, które są normalnie wypełniane przez duże jednostki gospodar-
cze...”⁶²⁾

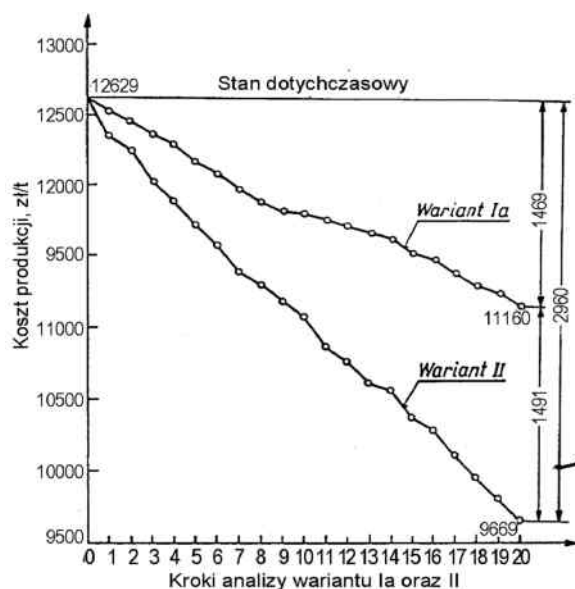
Mam nadzieję, że – mimo dokonanych skrótów – sens poglądu, który wówczas lansowałem jest zrozumiały. Ponieważ tak określony kierunek rynkowej transformacji był wyraźnie odmienny od kierunku wdrażanego „Planem Balcerowicza” – wiedziałem, że szanse na jego szerszą akceptację są znikome. Liczyłem jednak na to, że prezentując możliwość alternatywnego kierunku rynkowej transformacji zwiększam szanse na przekonanie decydentów do zastosowania zintegrowanego zarządzania przynajmniej w SKAR-

BOWYM górnictwie. Wycofanie się z dokonanego niedawno „usamodzielnienia” kopalń wciąż było wówczas możliwe.

Gdy prezentowałem scharakteryzowany pogląd, dysponowałem już wynikami dużej pracy badawczej, którą wspólnie z kolegami z mego dawnego Ośrodka: Franciszkiem Stośkiem i Romanem Mastejem – rozpocząłem jeszcze na przełomie roku 1988 i 1989⁶³⁾. Merytoryczny koncept tej rozległej i żmudnej pracy był bardzo prosty. Założyliśmy trzy zasadnicze warianty poprawiania ekonomicznej efektywności górnictwa węgla kamiennego. Pierwszy (I) wariant – przewidywany wcześniej przez Stronę Opozycyjno-Solidarnościową, a teraz przez Rząd – zakładał zamykanie najmniej efektywnych kopalń. Drugi (II) wariant zakładał likwidację w poszczególnych kopalniach oddziałów produkcyjnych o najwyższym koszcie jednostkowym (zł/tonę). W obydwu wariantach produkcja górnictwa była zmniejszana. W komputerze symulowaliśmy (odtworzaliśmy) realizację założonych wariantów na danych rzeczywistych ze stycznia 1989 roku. Obliczając wartość podstawowych mierników ekonomicznych (jednostkowy koszt produkcji, wynik finansowy, zyskowność produkcji) – oraz mierników technicznych (stan zatrudnienia, koncentracja produkcji, rodzaj wyposażenia ścian i in.) – określaliśmy skutki realizacji przyjętych wariantów tak, jakby były one realizowane w rzeczywistości.

Wynik przeprowadzonej symulacji dwóch pierwszych wariantów był jednoznaczny. Jeżeli już (wbrew rozsądkowi) decydent chce poprawiać wyniki górnictwa węgla kamiennego drogą zmniejszania jego produkcji – to niewątpliwie lepszy rezultat uzyska, likwidując we wszystkich kopalniach oddziały produkcyjne o najwyższym koszcie jednostkowym (zł/tonę) niż likwidując kolejno kopalnie o najwyższym koszcie. Ilustruje to powyższy wykres.

Analiza wykazała jednak, że najbardziej atrakcyjny jest trzeci (III) wariant polityki eksploatacyjnej (modernizacyjny) „w której utrzymuje się dotychczasową produkcję – w celu natomiast poprawy technicznej i ekonomicznej efektywności kopalń likwiduje się (jak w drugim wariantcie) oddziały produkcyjne



Zmniejszenie jednostkowego kosztu produkcji węgla kamiennego (zł/tonę) osiągnięte polityką zamykania kopalń o najwyższym koszcie (wariant I) bądź polityką zamykania we wszystkich kopalniach oddziałów produkcyjnych o najwyższym koszcie (Wariant II)

o najwyższym koszcie oddziałowym (164 oddziały – 31% wszystkich). Równocześnie, aby utrzymać dotychczasową produkcję – w ich miejsce – uruchamia się nowe oddziały o **wydajności równej średniej z pozostałych czynnych oddziałów kopalni**, a nadmiar załogi zwalnia na rynek pracy. Wariant ten „zapewnia w stosunku do stanu dotychczasowego następujące efekty:

- obniżenie jednostkowego kosztu produkcji o 810 zł t (6.4%).
- poprawę wyniku finansowego z (-) 43.7 miliarda (ówczesnych) zł na (-) 30.4 miliarda zł.
- podniesienie koncentracji w ścianach o 306 t dobę (do 1152 t dobę).
- zmniejszenie liczby maszyn urabiających z 939 do 645.
- zmniejszenie liczby ścian z obudową zmechanizowaną z 818 do 575.
- zmniejszenie zatrudnienia o około 24 000 pracowników...⁶³⁾

Przypomnę jeszcze trzy wnioski opublikowane w omawianej analizie, gdyż z jednej strony stanowią nawiązanie do prawidłowości, które lansowałem od dziesięcioleci – z drugiej zaś zapowiadają moje dalsze starania o ich uznanie i uwzględnianie w zarządzaniu górnictwem węgla kamiennego.

- „Trudności, na które napotkała przeprowadzona analiza (...) potwierdziły, że niska obecnie sprawność wewnętrznego rozrachunku gospodarczego kopalni jest istotną przeszkodą w przechodzeniu od polityki proilościowej do polityki proefektywnościowej, opartej na wzroście koncentracji produkcji”.
- „Wszystkie doświadczenia własne oraz doświadczenia krajowego i światowego górnictwa powinny się w kopalniach integrować w ich indywidualnych programach uruchamiania ścian o produkcji rzędu 2-5 tys. t dobę i eliminacji oddziałów, które nie osiągnęły przyjętego minimum efektywności”.
- „Kluczowymi punktami tych programów (...) powinno być: egzekwowanie od dostawców gwarantowanej niezawodności wyposażenia i sprawnego serwisu części zamiennych, podnoszenie sprawności własnych służb utrzymania ruchu (...) prowadzenie systematycznej kontroli wykorzystania czasu pracy ciągów technologicznych, m.in. »metodą potencjałów«⁶³⁾ oraz konsekwentne motywowanie (nie tylko placowe) zespołów górniczych do uzyskiwania maksymalnej produkcji z czynnych przodków...”.

Z wyników omówionego badania byłem bardzo zadowolony. Został znacząco powiększony arsenał przekonujących argumentów, którymi można było przeciwstawiać się dezintegracji górnictwa oraz – wprawdzie „zakamuflowanym”, ale wyraźnie likwidacyjnym – tendencjom w przyjętym sposobie rynkowego przekształcania górnictwa.

W lipcu 1990 roku, gdy byłem na kajakowym spływie Szlakiem Krutyni – przez radio została nadana wiadomość, że mam się pilnie skontaktować

⁶³⁾ Nieprzyjęta do stosowania w roku 1968 w epoce PRL. (patrz str. 322).

z Państwową Agencją Węgla Kamiennego SA (PAWK SA) w Katowicach. Była to nowo powołana spółka akcyjna Skarbu Państwa – taki miała formalny status – która z ramienia Ministerstwa Przemysłu, jako jednostki założycielskiej wszystkich kopalń węgla kamiennego – miała mu pomagać w zarządzaniu tym górnictwem. Mówię: *pomagać*, bo *prawne umocowanie* do podejmowania wiążących decyzji miało jedynie Ministerstwo, a mówiąc ściślej: jej urzędnicza hierarchia. Zadaniem Agencji natomiast było wykonywanie prac pomocniczych, związanych z przygotowaniem decyzji i uzasadnianiem ich słuszności oraz następnie pomaganie w ich wdrażaniu. Okazało się, że zostałem powołany w PAWK SA na Przewodniczącego Rady Nadzorczej przewidzianej Kodeksem Handlowym dla tego rodzaju spółek.

Nominację na roczną kadencję przyjąłem z nadzieją, że na tej *urzędowej pozycji* będę mógł skuteczniej zabiegać o poprawę sytuacji górnictwa skazanego – niedawnymi decyzjami Rządu – na nieuchronną degradację. W składzie Rady miałem 15 członków – przeważnie przedstawicieli różnych ministerstw i urzędów zainteresowanych gospodarką paliwowo-energetyczną, oraz paru przedstawicieli Związków Zawodowych i innych organizacji. Byliśmy zespołem ludzi o najróżniejszym przygotowaniu zawodowym i zróżnicowanej – mówiąc ogólnie – znajomości problematyki górnictwa węgla kamiennego. Żeby przynajmniej częściowo wyjaśnić sytuację – wszystkim członkom Rady przekazałem tekst czterech swoich (publikowanych ostatnio) artykułów poświęconych reformie górnictwa.

Rada bardzo blisko i dobrze współpracowała z Zarządem PAWK SA – głównie z Generalnym Dyrektorem Tadeuszem Demelem i jego Zastępcą d/s Ekonomicznych, Eugeniuszem Pawelczykiem – moim doktorantem i kiedyś zastępcą w Ośrodku EiO GIG^{*)} – oraz ich *sztabem*. Współpraca z Członkami Rady także na ogół układała się poprawnie. Odbiliśmy 6 plenarnych posiedzeń, na których rozpatrzyliśmy 30 dokumentów przygotowanych przez Zarząd bądź samą Radę – rozpoczynając od „Regulaminu Organizacyjnego” PAWK SA oraz Rady Nadzorczej. Sprawozdanie z tej działalności od 1 sierpnia 1990 do 31 lipca 1991 (wraz z protokołami posiedzeń)¹⁵⁰⁾ zostało przyjęte bez zastrzeżeń przez panią Minister Przemysłu i Handlu, Henrykę Bochniarz – można by więc sądzić, że powinienem być zadowolony z tego okresu swej pracy dla górnictwa. Niestety nie byłem i także dziś – nie jestem.

Nie potrafiliśmy doprowadzić do żadnej istotnej zmiany w sytuacji kopalń, które funkcjonując „w pojedynkę”, na statusie „przedsiębiorstwa państwowego”, były uwiklane w fatalny układ trójwładzy: Dyrektor, Rada Załogi i Związki Zawodowe. Przy drastycznym niedoborze środków finansowych – walczyły o przetrwanie i pokrycie placowych aspiracji załóg – ograniczając

^{*)} Dr E. Pawelczyk, gdy po wprowadzeniu stanu wojennego został wyrzucony z pracy w COIG – *przechowywał się* na podrzędnym stanowisku w jednej z kopalń i dopiero teraz mógł podjąć pracę w PAWK SA.

przede wszystkim wydatki na rozwój i postęp techniczny. W efekcie znalazły się w stanie „zapaści technologicznej” i osuwały się szybko w bardzo groźne *inwestycyjne wyjąłowanie*.

Z zażenowaniem wspominam próby nawiązania bezpośrednich rozmów z Ministrem Przemysłu Syryjczykiem – nadzorującym wówczas górnictwo węgla kamiennego. Miał podzielną uwagę i gdy rozmawiał ze mną, równocześnie załatwiał jakieś inne sprawy. Gdy mówiłem o sytuacji w górnictwie – miałem wrażenie, że w ogóle nie rozumie, co do niego mówię. Pomimo zgodnych starań Agencji (PAWK SA) i jej Rady Nadzorczej nie potrafiliśmy – doprowadzić do powołania banku *regionalno-węglowego*, który miał obsługiwać wszystkie kopalnie. Bank, operując funduszami kopalń miał usprawnić ich finansowanie (w pewnym sensie *integrować*) oraz uwolnić je od wysokich opłat i prowizji. W ramach prowadzonych wówczas prac nad dostosowaniem systemu wewnątrzkopalnianej ewidencji i analityki do nowych wymagań w rozliczeniach finansowych i sprawozdawczości – nie udało się wdrożyć przygotowywanego od dawna systemu wyznaczania kosztu produkcji węgla w ciągach technologicznych (produkcyjnych i przygotowawczych) obejmujących przodek i wszystkie dalsze *ogniwa* aż do ekspedycji sprzedanego węgla.

Opracowaliśmy w tym czasie i wdrożyliśmy w kopalniach – bardzo prostą, i skuteczną metodę prac projektowo-analitycznych nad programem głębokiej, proefektywnościowej rekonstrukcji poszczególnych kopalń (opublikowałem ją w Przeglądzie Górniczym⁶⁸¹). Nie zdolaliśmy jednak uzgodnić programu proefektywnościowej modernizacji całego sektora i co najgorsze – ocalić w COIG od rozproszenia zespół dr. A. Czyłoka, pracujący od dawna nad skomputeryzowanym, symulacyjnym systemem perspektywicznego prognozowania wyników eksploatacji głębinowych kopalń^{128, 129}.

Nie udało się też usprawnić funkcjonującej wówczas metody finansowania kopalń – poprzez zastosowanie tak zwanej *renty różniczkowej*, wyznaczonej metodą *bezpośrednich obliczeń*. Opracowanie tej metody i jej eksperymentalne zastosowanie w kopalniach – kosztowało mnie i Kolegów mnóstwo pracy. Metoda okazała się jedynie dość ciekawym dorobkiem poznawczym nieprzydatnym w praktyce zarządzania *usamodzielnionymi* kopalniami⁶⁶⁾ (co zresztą przewidywałem).

Najistotniejsza – brzemienna negatywnymi skutkami w całym górnictwie węgla kamiennego – była porażka w staraniach o integrację wszystkich kopalń w jednym holdingu. Na V posiedzeniu Rady Nadzorczej, 29 maja 1991 roku, przedstawiłem „Stanowisko w sprawie docelowego modelu i restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego”. W tym wystąpieniu wnioskowałem jednoznacznie: „*Model górnictwa, w którym tzw. »samodzielne kopalnie«, mają funkcjonować na rynku i w wyniku konkurencji mają zwiększać swą efektywność – całkowicie się nie sprawdził* (co także było do przewidze-

nia) (...) Podstawową metodą osiągania efektywności w poszczególnych kopalniach nie jest ich wzajemna konkurencja na rynku, lecz... »twarde proefektywnościowe zarządzanie« (...) Doświadczenie wskazuje jednoznacznie, że w górnictwie głębinowym – gdzie (...) zróżnicowanie między rentownością poszczególnych oddziałów produkcyjnych i kopalni jest bardzo duże – koncentracja kapitału i ZINTEGROWANE ZARZĄDZANIE (holding lub koncern) zapewnia najwyższą efektywność (...) W możliwie najkrótszym terminie – III kwartał 1991 r. – należy przeprowadzić proces obligatoryjnego przekształcenia kopalń węgla kamiennego w jednoosobowe spółki Skarbu Państwa⁷⁸⁾».

W omawianym „Stanowisku...” przestrzegalem decydentów przed przyjęciem dla naszego górnictwa zdeintegrowanego modelu przygotowanego, na zlecenie Banku Światowego, przez ekspertów (anonimowych) firmy konsultacyjnej Artur Anderson. Według ich koncepcji: „Przy naszym niskim poziomie zarządzania trzeba (...) zrezygnować z efektu »dużej skali«, który jest dyskontowany przez górnictwa Wielkiej Brytanii i Niemiec (...) i zastępować go bezpośrednią »zewnętrzną konkurencją« między grupami kopalń złączonych w jedno przedsiębiorstwo. Dopiero w przyszłości, w trybie konkurencji i naturalnego przejmowania przedsiębiorstw (grup kopalń) słabszych przez przedsiębiorstwa silne, mogłoby ewentualnie nastąpić połączenie całego górnictwa w jedną organizację...⁷⁹⁾». Argumentacja „ekspertów” i absurdalność ich wniosku nie chciały mi się zmieścić w głowie!

Przestrozę formułowałem następująco: „Droga, którą należy wyprowadzić polskie górnictwo węgla kamiennego z aktualnej krytycznej sytuacji, powinna być możliwie najprostsza i najkrótsza. Nie należy się godzić na drogę »okrężną«, która w procesie rynkowego pochłaniania słabszych przedsiębiorstw (grup kopalń) przez mocniejsze – miałaby w końcu doprowadzić do tego samego docelowego stanu, co droga prostsza. Wybór drogi »okrężnej« jest nieracjonalny i niebezpieczny...⁸⁰⁾».

Ludzilem się, że stanowisko Przewodniczącego Rady Nadzorczej PAWK SA zostanie zauważone. Wszak Agencja była wówczas głównym fachowym zapleczem Ministerstwa jako jednostki założycielskiej górnictwa węgla kamiennego. Niestety, nie wywołałem tym wystąpieniem żadnej reakcji! Kopalnie nadal – przez ponad dwa lata – funkcjonowały „w pojedynkę”. W warunkach znamienych występującym na rynku gwałtownym wzrostem plac oraz cen materiałów zaopatrzeniowych i usług – przy równoczesnej urzędowej regulacji cen węgla na poziomie niepokrywającym kosztów – górnictwo osuwało się ku gospodarczej katastrofie. Ta regulacja cen miała być w „Planie Bałecrowicza” kotwicą powstrzymująca inflację – jednak jej skutki w górnictwie musiały być i były katastrofalne!

⁷⁸⁾ Podkreślę, że ten termin oznaczał w ówczesnym porządku prawnym jednostkę organizacyjną funkcjonującą na podstawie kodeksu handlowego. Właścicielem jej akcji był urzędnik ministerstwa, co jednak nie zamykało możliwości integracji kopalń.

Dopiero na początku 1993 roku pojawiły się wyraźniejsze oznaki *otrzeźwienia = doktrynalnego zaczerpnięcia* (tak to łagodnie określe). Ministerstwo rozpoczęło proces integrowania kopalń, w jednoosobowych Spółkach Skarbu Państwa. W Senacie Rzeczypospolitej została powołana Nadzwyczajna Komisja do spraw Górnictwa, która miała zbadać jego stan. Na prośbę Przewodzącego Komisji opracowałem wówczas „Ocenę postępów restrukturyzacji przemysłu górniczego”. W pierwszym wniosku tej oceny stwierdziłem: „*Górnictwo węgla kamiennego nasz największy przemysł górniczy w wyniku błędnej strategii poniósł największe straty*”⁵³. Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Przemysłu i Handlu Eugeniusz Morawski – w połowie maja 1993 roku – poinformował senacką Komisję⁵⁴, że przygotowuje „**Raport o stanie i perspektywach programu restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego w Polsce**”.

Dalej informował, że „*Zrealizowano przekształcenie kopalń węgla kamiennego z przedsiębiorstw państwowych w 6 koncernów spółek akcyjnych Skarbu Państwa i 14 samodzielnych spółek pojedynczych kopalń...*”; że jest przygotowywany „*system monitorowania i wspomagania przebiegu restrukturyzacji spółek jak również weryfikacji założeń ekonomiczno-finansowych procesu restrukturyzacji*”; że został przygotowany „*10-letni biznesplan dla górnictwa węgla kamiennego oraz poszczególnych koncernów*”.

„Raport...” zapowiedziany przez Ministra E. Morawskiego otrzymałem do zaopiniowania – 22 maja 1993 roku. We wstępie do „Uwag...”, które niezwłocznie opracowałem – wyraziłem pogląd, że „*na ile innych opracowań z poprzednich lat, dokument (...) jest niewątpliwie najbardziej wszechstronny i wyczerpujący*”. Dziś mogę to potwierdzić z pełnym przekonaniem! Równocześnie przekazałem oczywiście uwagi krytyczne i swój wcześniej scharakteryzowany pogląd, którego nie będę tu ponownie objaśniał.

W lipcu Minister przekazał mi do zaopiniowania projekt „Programu powstrzymania upadłości górnictwa węglowego w Polsce”. Gdy dowiedziałem się, że na naradzie Prezesów Spółek „*zabronił sprzedaży węgla po cenach niepokrywających kosztów produkcji*” – zacząłem wierzyć w odmianę losu górnictwa. We wrześniu powołał pod moim przewodnictwem zespół, który miał zaproponować „*program prac badawczo-rozwojowych wspierających proces efektywnościowej rekonstrukcji górnictwa węgla kamiennego...*” – co jeszcze bardziej wzmogło mój optymizm.

Wspominam dość szczegółowo prace podejmowane przez ministra Morawskiego i zadania, które stawiał, bo był to okres, w którym pracowałem nie tylko z wielkim zaangażowaniem, ale również z nadzieją, że po latach skrajnego marazmu może jednak nastąpi w górnictwie węglowym zwrot ku efektywności i rynkowemu, WŁAŚCICIELSKIEMU zarządzaniu. Niestety te nadzieje szybko się rozwiały. Gdy Minister wkrótce odszedł z resortu – polityka prowadzona w górnictwie węgla kamiennego wróciła w stare *doktrynalne koleiny*.

⁵³ Oprócz członków Senackiej Komisji, informacje otrzymały 22 osoby, w tym również ja.

Przypomnę jeszcze, że w 1993 roku podjąłem nieudaną próbę *stąpienia* doktrynalnej niechęci ówczesnych elit gospodarczych i mediów, do idei zintegrowanego górnictwa SKARBÓWEGO i SKARBU PAŃSTWA jako *kapitalisty*. W nawiązaniu do artykułu profesora Leszka Balcerowicza w Gazecie Wyborczej z 3–4 lipca 1993 roku: „*Fundamenty i nonsensy*” – przygotowałem polemiczny tekst pt. „Instytucja skarbu państwa – polemika z prof. Leszkiem Balcerowiczem”. Tekst niezwłocznie wysłałem do tejże gazety. Dostałem niestety odmowę publikacji (pismo z 9.08.1993 r. k.59144) z uzasadnieniem, że „*tekst nie był zamówiony*”. Jego skrót udało mi się opublikować w Przeglądzie Technicznym 1994 nr 6, a oryginał dopiero w późniejszym wydawnictwie książkowym⁷³⁾. Te opóźnione publikacje nie wywołały oczywiście żadnej reakcji adresata polemiki. Później nigdy już nie próbowałem w tej gazecie prezentować swych poglądów, chociaż specjalizowała się w *antywęglowych publikacjach*.

Zasadniczy etap tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego (1994–2004)

W tym okresie Rząd uchwalal kolejne „Programy restrukturyzacji...” o różnych nazwach, ale ciągle o tej samej merytorycznej charakterystyce. W 1994 roku był to „Program tzw. II etapu restrukturyzacji na lata 1994–1995”. W 1996 roku został przyjęty „Program na lata 1996–2000...”, ale w czerwcu 1998 roku został zastąpiony programem skorygowanym na lata 1998–2002. W styczniu 2003 roku Rada Ministrów przyjęła „Program restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego w Polsce w latach 2003–2006”.

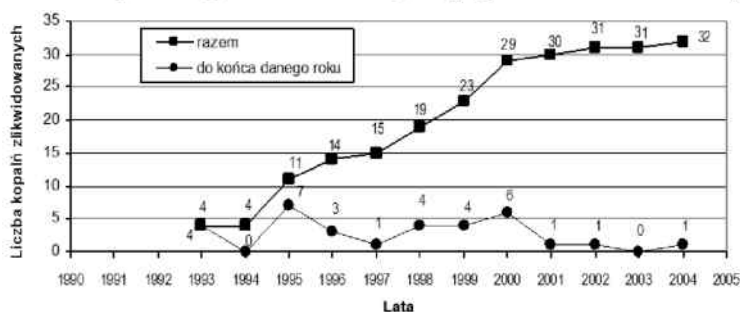
Oficjalnie głoszonym – podstawowym celem wszystkich „Programów restrukturyzacji...” było osiągnięcie rentowności górnictwa węgla kamiennego. Sposób osiągania tego celu sprowadzał się zawsze do dwóch podstawowych zadań realizacyjnych: do **zamykania kopalń** – w początkowym okresie, tzw. „*trwale nierentownych*”, a później, tworzących tzw. „*nadmierne zdolności produkcyjne*” oraz do **zwalniania z kopalń określonej liczby zatrudnionych**. Oprócz tych zadań podstawowych pojawiały się również drugoplanowe zadania cząstkowe dotyczące, na przykład osłon socjalnych, ochrony środowiska, procesu prywatyzacji... itp. – jednak nigdy nie było wśród nich istotnych zadań z zakresu **technicznej modernizacji kopalń** oraz z zakresu **usprawnienia metod zarządzania kopalniami i sektorem**⁹²⁾.

Nie było... choć zupełnie elementarna wiedza wskazuje, że bez takich działań w żadnym przedsiębiorstwie czy branży nie da się uzyskać ani technicznej sprawności, ani rentowności! Nowy, już RYNKOWY, ale wciąż *urzędniczy* WŁAŚCICIEL górnictwa, wyznaczał zadania w istocie *doktrynalne*. Nie uwzględniał rzeczywistej – technicznej i organizacyjnej sytuacji kopalń! Realizował *zarządzanie nakazowe*, a w zakresie finansów, w znacznym stopniu *rozdzielcze*. Niewątpliwie – przypominało (w tym aspekcie)

raczej gospodarkę socjalistyczną (w nieudolnej wersji) niż rynkową!! Niezależnie od tej specyfiki wszystkie wskazane programy były realizowane bardzo konsekwentnie bez względu na zmianę ekip rządowych i zmianę osób pełniących obowiązki WŁAŚCICIELA górnictwa⁶⁾.

Jeżeliby ktoś podejrzewał, że mijam się z prawdą, podając taką charakterystykę realizowanych w owych latach programów restrukturyzacji górnictwa – niech zajrzy do tablicy 38, którą w swojej pracy „Restrukturyzacja górnictwa węgla kamiennego w Polsce w latach 1990–2002” zamieścił profesor Jan Szlązak¹¹⁵⁾. Gdyby natomiast chciał poznać bardziej szczegółowo alternatywne propozycje, które przeciwstawiłem „Programom...” realizowanym przez WŁAŚCICIELA – może je znaleźć w zbiorze artykułów publikowanych w owych latach⁹⁴⁾; oraz w książce: Podstawy ekonomicznej efektywności podziemnej eksploatacji złóż (2001),⁸¹⁾ dedykowanej profesorowi Bolesławowi Krupińskiemu.

W opracowanie tej książki – co zajęło mi niemal 2 lata – włożyłem wiele wysiłku. Widząc fatalne wyniki WŁAŚCICIELSKIEGO ZARZĄDZANIA górnictwem węgla kamiennego, starałem się zsyntetyzować w niej wiedzę niezbędną do osiągnięcia technicznej i ekonomicznej efektywności w tym górnictwie. Chciałem dotrzeć z tą wiedzą zarówno do decydentów *wysokiego szczebla* jak do szerszego ogółu pracowników nauki i praktyki. Niestety wpływ tej książki na eliminację zarówno doktrynalnego (żeby nie powiedzieć *patologicznego*) zarządzania WŁAŚCICIELSKIEGO – jak też na dalszy przebieg tzw. restrukturyzacji górnictwa – okazał się *zerowy*.



Liczba kopalń zlikwidowanych w latach 1991–2004 w procesie tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego

Otóż zadania przyjęte w programach restrukturyzacji – w zakresie likwidacji kopalń oraz liczby zwolnionych pracowników górnictwa – zostały wykonane. Do 2004 roku, spośród 70 kopalń *odziedziczonych* po PRL-u – funkcjonujących

Przypomnę teraz, jakie były rezultaty tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego – realizowanej przez WŁAŚCICIELA w latach 1990–2004? Podstawową treść odpowiedzi na to pytanie – prezentują trzy wykresy zamieszczone w tekście.

⁶⁾ WŁAŚCICIELAMI górnictwa węgla kamiennego byli kolejno: H.L. Gabryś (1994–1995), J. Markowski (1995–1997), J. Szlązak (1997–1999), A. Karbownik (2000–2001), M. Kossowski (2001–2002), J. Piechota (2003–2004) (podany okres sprawowania funkcji właścicielskich jest przybliżony).

w 1990 roku – zlikwidowano 32 (w tej liczbie, 11 kopalń zlikwidowano po wcześniejszym przyłączeniu do kopalń nie podlegających likwidacji)⁹⁴⁾.

W podanej liczbie 32 zlikwidowanych kopalń nie uwzględnilem kopalń „Jaworzno” i „Janina”, które uniknęły likwidacji dzięki przejęciu przez energetykę.

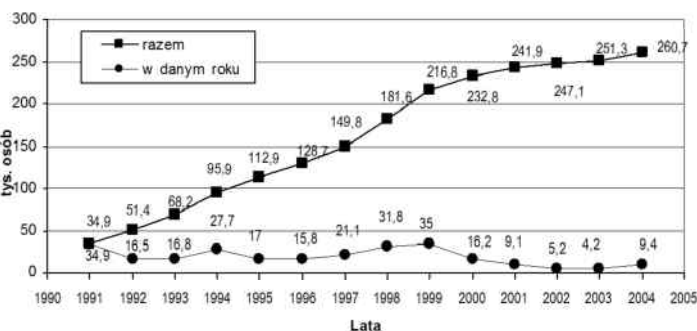
Produkcja zmniejszyła się ze 137,9 miliona ton w 1990 roku do 99,2 miliona

ton w 2004 roku. Spośród około 387 tysięcy zatrudnionych w 1990 roku – zwolniono 260 tysięcy (patrz wykres). Ponieważ górnictwo w swym bliskim i dalszym otoczeniu tworzy *długie łańcuchy zatrudnienia* (każdy pracownik zatrudniony w górnictwie generuje zatrudnienie 3–4 pracownikom w jego zapleczu) – w gospodarce ubyło w tym czasie około 700–1100 tysięcy miejsc pracy.

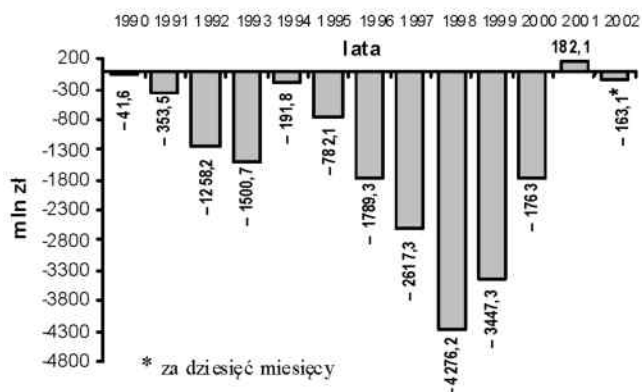
Wskazane zmniejszenie zatrudnienia obejmuje również ubytek w *zatrudnieniu socjalnym*⁹⁵⁾, które występowało w dużej skali w całej gospodarce socjalistycznej – a w gospodarce rynkowej musiało oczywiście ulegać redukcji. Jednak, uwzględniając również tę okoliczność, zmniejszenie produkcji węgla w omawianym okresie transformacji o blisko 50 milionów ton oraz drastyczne

zmniejszenie liczby kopalń i zatrudnienia w górnictwie węgla kamiennego – oznacza niewątpliwie jego ogromną degradację. Rentowność sektora (stałe deklarowaną jako cel prowadzonej restrukturyzacji) – która została osiągnięta za tę cenę – ilustruje trzeci z zapowiadanych wykresów. Sądzę, że jego wymowa jest dostatecznie jasna. Komentarz jest zbędny.

Omówienia wymaga natomiast inny aspekt restrukturyzacji prowadzonej wówczas przez WŁAŚCICIELA. Otóż w



Redukcja zatrudnienia w górnictwie węgla kamiennego w latach 1991–2004



Wynik finansowy netto górnictwa węgla kamiennego osiągnięty w latach 1990–2002⁹⁴⁾

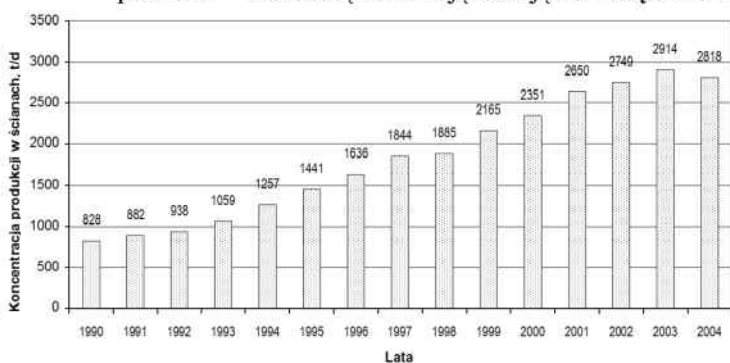
specyficznych warunkach, które tworzyła

⁹⁵⁾ Zatrudnienie stanowiące *nadwyżkę* w stosunku do potrzeb racjonalnie prowadzonego procesu produkcyjnego.

– w kopalniach i grupujących je Spółkach – występowały dwa nurty działalności. Nurt dominujący był oczywiście kształtowany kolejnymi programami rządowymi oraz decyzjami podejmowanymi przez WŁAŚCICIELA w trybie aktów notarialnych^{*)} bądź zwykłych urzędowych poleceń. Nurt *równoległy* był kształtowany przez kadre kopalń i spółek, która w warunkach determinowanych nurtem *dominującym* – aby **funkcjonować i „utrzymać się na powierzchni”** – realizowała techniczną i organizacyjną modernizację procesów produkcyjnych. Wprowadzała też te usprawnienia w zarządzaniu, które doraźnie służyły prowadzonej modernizacji.

Rozwiązywanie strategicznych problemów górnictwa, zwłaszcza problemu skomputeryzowanych systemów planowania działalności inwestycyjno-produkcyjnej kopalń (wraz z niezbędnymi usprawnieniami w rozliczaniu i analizie procesów produkcyjnych) oraz problemu nowych technologii eksploatacji pokładów i usprawnionych metod gospodarki zasobami – **znalazło się na polu niczym!** WŁAŚCICIELA te problemy nie interesowały, a kadre kopalń i spółek – „przerastały”!!

Wyróżnienie wskazanych nurtów jest istotne, zwłaszcza w związku z tendencją do uznawania osiągniętego w owych latach – znaczącego postępu w zakresie technicznej modernizacji kopalń za **efekt restrukturyzacji prowadzonej przez WŁAŚCICIELA**. Tendencję tę wykazują przede wszystkim ci autorzy, którzy kreowali ówczesną politykę w sektorze górnictwa węgla kamiennego lub aktywnie ją wdrazali. Niestety – tendencję tę wykazują również autorzy *politycznie ukladni*, którzy w imię dobrych stosunków z władzami przemysłu (często występującymi w roli oczekiwanego zleceniodawcy) – *wolą nie wchodzić w szczegóły* i nie narażać się władzy. W obydwóch przypadkach – wskazaną tendencję uznaję za **rażące nadużycie**.



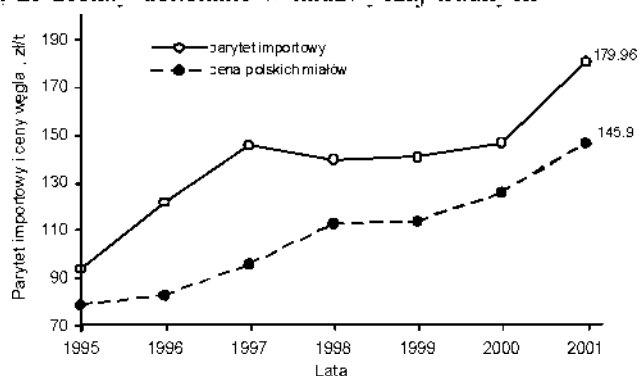
Wzrost koncentracji produkcji w przodkach ścianowych najlepiej charakteryzuje postęp osiągnięty w kopalniach w zakresie modernizacji procesów produkcyjnych

Twierdzę, że osiągnięta w latach 1994–2004 – znacząca modernizacja techniczna górnictwa węgla kamiennego – co ilustruje wykres obok – jest niewątpliwym **efektem wysiłku kierownictwa kopalń i grupujących je Spółek, a nie WŁAŚCICIELA**⁹²⁾.

^{*)} Zgodnie z obowiązującą procedurą, właściciel akcji jednoosobowych spółek Skarbu Państwa wszystkie istotne decyzje podejmuje w formie aktu notarialnego.

Równocześnie podkreślę, że wraz ze wzrostem średniej (w skali sektora) wartości wskaźnika koncentracji, zaznaczało się coraz większe zróżnicowanie jego wartości w poszczególnych ścianach i średnio w poszczególnych kopalniach. Rekordowe wyniki w ścianach zaczęły sięgać 12–16 tysięcy ton/dobę. Średnia koncentracja w trzech najlepszych kopalniach osiągnęła w 2004 roku wartość: „Bogdanka” – 8165,^{*)} „Budryk” – 5582, „Jaworzno” – 5368 ton/dobę; w trzech kopalniach o najniższej koncentracji: „Śląsk” – 1150, „Centrum” – 1646, „Wujek” – 1686 ton/dobę. Oznacza to oczywiście, że wraz z unowocześnieniem (i wzrostem kosztu) wyposażenia stosowanego w ścianowym systemie eksploatacji ujawnia się przydatność tego systemu tylko w określonych warunkach. Równocześnie oznacza też, że tam, gdzie takie warunki nie występują, system ścianowy jest nieefektywny i **powinien być zastępowany systemem alternatywnym**. W USA system alternatywny jest wprowadzany, gdy ściana nie zapewnia produkcji 5000 ton/dobę. Opracowanie i wdrożenie alternatywnego systemu wybierania pokładów nie jest oczywiście problemem kopalń, a ich WŁAŚCICIELA. Ten obowiązek był permanentnie ignorowany!

Osiągnięcia kopalń i Spółek w zakresie wzrostu koncentracji w ścianach są tym bardziej godne podkreślenia, że zostały dokonane w nadzwyczaj trudnych warunkach tworzonych przez WŁAŚCICIELA. Bodaj najwięcej trudności wynikało z utrzymywania górnictwa w stanie – wskazanego wyżej – **permanentnie ujemnego wyniku finansowego**. Skutkowało to w kopalniach niedoborem środków nie tylko na modernizację procesów produkcyjnych, lecz także na niezbędne inwestycje i niekiedy nawet na płace załogi. Ten stan był utrzymywany przez 12 lat, mimo że ceny importowanych miałów węglowych by-



Cena miałów węgla kamiennego płaconą kopalniom przez energetykę oraz cena, którą placiliby, gdyby ten węgiel importowali (według Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią P.A.N.⁸³⁾)

ły wciąż znacząco wyższe od cen płaconych kopalniom przez energetykę – co ilustruje wykres, a **sowiecka doktryna taniej energii** była już dawno skompromitowana wywoływaniem marnotrawstwa energii i degradacji środowiska!

Warto podkreślić, że w Unii, do której już wówczas aspirowaliśmy, funkcjonowała dyrektywa zabraniająca sprzedaży krajowego węgla po cenie

^{*)} W początkowym okresie transformacji WŁAŚCICIEL typował kopalnię „Bogdanka” do likwidacji jako *trwale nierentowną*. Kopalnia „Jaworzno” uniknęła likwidacji dzięki przejęciu przez energetykę. Te przypadki dość dobrze ilustrują poziom *właścicielskiego zarządzania* górnictwem i zasadność decyzji o likwidacji kopalń.

niższej od ceny węgla importowanego. U nas natomiast – chociaż energetyka, koksownictwo i znaczna część ciepłownictwa należały do tego samego WŁAŚCICIELA co górnictwo – była lansowana *teoria*, że to „rynek umożliwia podniesienie cen węgla” do wysokości zapewniającej opłacalność produkcji i rentowność sektora.

Dużo utrudnień wynikało również z dezorganizacji rynku węgla „wydanego na lup pośrednikom”⁸³⁾. Indywidualni odbiorcy płacili za węgiel cenę wielokrotnie wyższą od ceny uzyskiwanej przez kopalnię. Utrudnienia stwarzał też niedobór własnej załogi robotniczej – redukowanej programami restrukturyzacji – co zmuszało kopalnie do powszechnego zatrudniania załogi odrębnych firm usługowych, często niewydolnych... itd. W pewnym okresie zgodę na zatrudnienie każdego pracownika – kopalnia musiała uzyskiwać od WŁAŚCICIELA górnictwa, a koszty usług zlecanych firmom „obcym” sięgały w niektórych kopalniach 30% całkowitych kosztów produkcji.

Dowody na to, że kopalnie modernizowały swe procesy produkcyjne w skrajnie trudnych warunkach kreowanych przez WŁAŚCICIELA – można mnożyć. W *twardej górniczej rzeczywistości*, te warunki zmuszały niestety kierownictwo kopalń i spółek do *przyspieszonego* sięgania po najkorzystniejsze partie złóż: głównie pokłady grube o najlepszych jakościowych parametrach węgla i malej skali zaburzeń geologicznych. Tym sposobem za zgodą WŁAŚCICIELA kopalń i WŁAŚCICIELA złóż (Ministerstwa Środowiska, a wykonawczo Wyższego Urzędu Górniczego) – realizacji programów restrukturyzacji towarzyszyła **niedopuszczalnie marnotrawna (rabunkowa) gospodarka złożem**. Jej rezultatem było drastyczne zmniejszenie ilości posiadanych w naszym górnictwie zasobów *przemysłowych* (tzn. uznawanych za nadające się do opłacalnego pozyskania) oraz „skokowe przesunięcie” prowadzonej eksploatacji na większe głębokości (o ok. 170 m).

W kopalniach przeznaczonych do likwidacji całe ich zasoby były „automatycznie” przeklasyfikowywane do *nieprzemysłowych*. W niektórych sytuacjach zasoby te można będzie wybrać z czynnej kopalni sąsiedniej (przynajmniej częściowo). Jednak ewentualne ponowne udostępnienie zasobów zlikwidowanych kopalń będzie najczęściej wymagało wielomiliardowych nakładów – co przy podejmowaniu decyzji o likwidacji kopalń nie było uwzględniane.

W kopalniach, które przetrwały *likwidacyjną restrukturyzację*¹⁰¹⁾ – zmniejszenie ilości zasobów nastąpiło głównie w wyniku rezygnacji z wybierania pokładów o *miąższości* mniejszej od 1,5 m oraz z zasobów zalegających w filarach ochronnych i w partiach o niekorzystnej tektonice (np. występowanie *uskoków*). Dodatkowym efektem rezygnacji z wybierania pokładów uznanych w danym czasie za *nieprzemysłowe* (nieopłacalne) – jest (wskazane wyżej) przyspieszone „schodzenie” prowadzonej eksploatacji do następnych pokładów zalegających na większych głębokościach.

Ten proces skutkuje z reguły wzrostem zagrożeń górniczych, głównie zagrożenia łąpaniami i wybuchami metanu oraz zagrożenia wynikającego z rosnącej temperatury złoża. W konsekwencji, modernizacja techniczna procesów produkcyjnych, towarzysząca restrukturyzacji została utrudniona, a koszty produkcji wzrosły. Stawia to pod znakiem zapytania sensowność zgody WŁAŚCICIELA kopalń i złóż na marnotrawną gospodarkę zasobami. Zgoda ta, oczywiście zapewniała kopalniom doraźne ułatwienia w realizacji zadań produkcyjnych oraz w prowadzonej przez nie modernizacji technicznej procesów produkcyjnych. Równocześnie potęgowała jednak trudności eksploatacyjne, narastające wraz z głębokością eksploatacji. Już w nieodległej przyszłości trudności te mogą doprowadzić albo do wybierania pokładów uprzednio zaniechanych, albo do zamknięcia niektórych kopalń – jeżeli pokłady zaniechane zostały zniszczone *podbieraniem* zawalową eksploatacją.

Tak więc WŁAŚCICIEL – najpierw wywołując swą polityką, a później akceptując **rabunkową** gospodarkę złożem – nie tylko znacząco zwiększył zagrożenia górnicze i uruchomił jeszcze jedno źródło trudności występujących w procesie modernizacji kopalń, ale też doprowadził do fatalnego uszczuplenia zasobów *przemysłowych* górnictwa węgla kamiennego. Zasoby te w wyniku prowadzonej restrukturyzacji zmniejszyły się z 16,1 w roku 1990 do 6,92 miliarda ton w roku 2004 (tj. do 43% stanu uprzedniego).

Pozorowanie zmian – krajobraz po klęsce

Można by się spodziewać, że WŁAŚCICIEL górnictwa – widząc osiągnięte rezultaty prowadzonej restrukturyzacji zrewiduje jej **zasady i metody**. Niestety – jedyna zmiana, która wystąpiła polegała na tym, że w roku 2006 Ministerstwo Gospodarki przygotowało na lata 2007–2015 – nie „program szczegółowych działań restrukturyzacyjnych” a tylko „kierunki w zakresie strategii działalności górnictwa, które powinny stanowić podstawę do budowy strategii przez Spółki węglowe producentów węgla”¹⁶⁰⁾.

Formalne sędowanie **niezbywalnego obowiązku właścicielskiego zarządzania** na podległe mu jednostki produkcyjne^{*)} oraz „kierunki” wskazane w przygotowanej „Strategii...” – jedynie **pozorowały** zmianę uprzedniej polityki Rządu i charakterystyki dotychczasowego **właścicielskiego zarządzania**. Nie byłem tym zaskoczony, ale też wciąż nie godziłem się ze skrajnie przygnębiającą sytuacją górnictwa.

^{*)} W tym czasie funkcjonowała: Kompania Węglowa, grupująca 17 kopalń, Katowicka Grupa Kapitałowa (Holding) – 7 kopalń, Jastrzębska Spółka Węglowa – 5 kopalń, dwie kopalnie – spółki („Budryk” i „Bogdanka”) oraz dwie kopalnie przekazane do energetyki. Razem 33 kopalnie. Prywatnej kopalni „Siltech” – o znikomym wydobyciu – nie zaliczam do potencjału górnictwa.

W tym czasie (luty 2007 r.) na prośbę Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność” opracowałem „Uwagi...”¹⁶¹⁾ do „Strategii...” przygotowanej przez Ministerstwo. Podjąłem wówczas kolejną próbę dotarcia ze swym poglądem do decydentów – nie poprzez publikację, a przekazem bezpośrednim – aby przekonać ich o konieczności zmiany dotychczasowej polityki. Przypominam ten pogląd jako charakterystyczny dla owego czasu. Mam nadzieję, że będzie zrozumiały – mimo, że cytuję skróconą treść tylko niektórych spośród przekazanych uwag.

- W pierwszym zdaniu dokumentu¹⁶¹⁾, Ministerstwo deklarowało: *„Celem polityki Państwa w stosunku do Sektora górnictwa węgla kamiennego jest racjonalne i efektywne gospodarowanie złożami węgla (...) tak aby zasoby te służyły kolejnym pokoleniom Polaków”*. Moja uwaga – 1: *„Powyższa deklaracja bez stwierdzenia, że dotychczasowa »polityka państwa« doprowadziła do utraty ponad 50% zasobów przemysłowych węgla kamiennego w sytuacji, gdy w dokumencie nie są proponowane żadne działania, aby zmienić aktualne realia – jest niestety niewiarygodna (zakrawa na kpinę). Przy tej gospodarce zasobami, która miała miejsce w okresie 17 lat, tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego, około roku 2030 możemy zamykać ostatnie kopalnie!”*.
- We „Wprowadzeniu” do „Strategii” Ministerstwo wskazało na: *„obserwowany obecnie spadek cen węgla i wzrost kosztów jego produkcji”* i zapowiedziało wprowadzenie *„nowej ustawy górniczej”*. Uwaga – 3: *„Zagrożeniom wynikającym ze »spadku cen węgla i wzrostu kosztów jego produkcji« nie należy się przeciwstawiać uchwalaniem kolejnych »programów restrukturyzacji« a wdrożeniem normalnego proefektywnościowego zarządzania na poziomie WŁAŚCICIELA górnictwa węgla kamiennego oraz na poziomie kopalń i grupujących je jednostek gospodarczych. Rozwiązanie problemu cen i ich relacji z kosztami jest zadaniem WŁAŚCICIELA!¹⁶²⁾ Dotychczasowe sprawowanie obowiązków WŁAŚCICIELA przez kadencyjnych polityków i urzędników działających z ich nadania jest rozwiązaniem PRL-owskim, które się nie sprawdziło”*.
- W drugim rozdziale „Strategii...” stwierdzono: *„Rozwój nowych technologii (produkcji paliw z węgla) (...) może stworzyć szansę dodatkowego wykorzystania węgla kamiennego na poziomie 5-8 mln ton rocznie w 2015 roku”*. Uwaga – 5 do tej deklaracji: *„Uważam, że w polskim górnictwie węgla kamiennego sytuacja, w której produkcja paliw z węgla jest opłacalna – wystąpiła dawno (...) W budowie przetwórstwa węgla jesteśmy*

¹⁶¹⁾ Jak już zaznaczałem zarówno jednostki produkujące węgiel, jak i główne jednostki kupujące go – miały w owym czasie wspólnego właściciela. Udawanie, że to rynek regulował wówczas ceny węgla miało ukryć przed społeczeństwem niezrozumiałą antywęglową politykę (niezrozumiałą, bo węgiel był wciąż najtańszym paliwem i dawał efektywne zatrudnienie ogromnej liczbie oczekujących na pracę!).

bardzo opóźnieni! Należy badać możliwość przerobu na paliwa nie 5-8 milionów ton węgla rocznie, a 15-25 milionów ton z równoczesnym, maksymalnym skróceniem terminów realizacyjnych". **Uzupełniająca informacja:** W RPA, Kombinat SASOL przetwarzał wówczas i nadal przetwarza 25 milionów ton węgla na 6 milionów ton paliw płynnych i to się mu opłaca. Gdybyśmy zamiast likwidować 50 milionów ton mocy produkcyjnych (tzw. *nadmiernych*) przerabiali tę ilość węgla na 12 milionów ton paliw płynnych i gazowych nasza zależność od dostaw rosyjskich – wyglądałaby dziś zupełnie inaczej.

- W rozdziale piątym „Strategii...” znalazł się następujący zapis: *„należy dążyć do zmiany struktury organizacyjnej górnictwa poprzez fuzję niektórych spółek w sektorze”*. Uwaga – 10 do tego rozdziału: *„Kierunek na integrację i tworzenie silnego sektora gospodarczego pozyskującego węgiel ze złóż (...) jest prawidłowy”*. Powinien objąć również *„przetwórstwo węgla na prąd, ciepło, koks, gaz, paliwa płynne i inne produkty rynkowe”*; także objąć *„jednostkę przewozu węgla własnym taborom kolejowym na eksport i do odbudowanej, (własnej) sieci handlu paliwem węglowym”*. **Uzupełniająca informacja:** W tym czasie, gdy WŁAŚCICIEL kopalni i media nagłaśniały problem rzekomej nieopłacalności eksportu węgla, PKP pobierało za jego przewóz ze Śląska do Szczecina opłatę znacząco wyższą od kosztu przewozu węgla z USA do Europy!!
- Uwaga – 12. Hasło tzw. *„dostosowywania zdolności produkcyjnych» górnictwa węgla kamiennego do potrzeb rynku, które towarzyszyło likwidacji kopalń przez minione dziesięciolecie (i jest powtarzane w „Strategii”) jest fałszywe i szkodliwe. Do potrzeb rynku trzeba dostosowywać najbardziej kosztochłonną zdolność produkcyjną utrzymywaną we froncie robót przygotowawczych i eksploatacyjnych i ta zdolność powinna być wykorzystana w maksymalnym stopniu (niestety, przeciętne wykorzystanie rzadko przekracza 50%). Natomiast w zdolności produkcyjnej szybów i ewentualnie zakładów wzbogacania, która w górnictwie węgla kamiennego obciąża koszty produkcji stosunkowo niewielkim udziałem – powinna być utrzymywana nawet znaczna, strategiczna rezerwa umożliwiająca dostosowanie produkcji do rosnącego popytu...”*
- Uwaga – 13. *Nie ma czegoś takiego jak wskazywany w dokumencie »nominalny« lub »optymalny« poziom zatrudnienia – a jeżeli zostanie wyznaczony to będzie ustaleniem uznaniowym bez znaczenia (...)* Poziom zatrudnienia (...) zależy głównie od **JAKOŚCI ZARZĄDZANIA** opartej na **WIEDZY** – a ta gromadzi się w doświadczeniu całego górnictwa węgla kamiennego (...) Obowiązkiem **WŁAŚCICIELA** jest zapewnienie kierownictwu kopalni odpowiedzialnemu za bezpieczeństwo, za produkcję i za ekonomikę kopalni takich skomputeryzowanych systemów zarządzania, które... realizując międzykopalnianą wymianę informacji stymulując osiągnięcie zatrudnienia

tylko **niezbędnego** w danych warunkach, określonych wyposażeniem, geologią, strukturą kopalni itd. **Uzupełniająca informacja:** Odrębnym aspektem komplikującym w kopalniach osiąganie **niezbędnego** zatrudnienia było wymaganie polityczne: zapewnienia na Śląsku „spokoju społecznego”, nawet kosztem utrzymywania zatrudnienia socjalnego.

- Uwaga – 14 do podrozdziału: „Zagospodarowanie terenów górniczych”. „Naturalnym obowiązkiem WŁAŚCICIELA górnictwa węgla kamiennego (dotychczas fatalnie zanedbywanym) jest organizowanie i realizacja we współpracy z Samorządami szerokiego programu REKULTYWACJI ŚLĄSKA. Podjęcie i realizacja tego programu ciągle jeszcze może odegrać istotną rolę w rozwiązywaniu problemów zatrudnienia załogi, która nie znajduje efektywnego zatrudnienia w kopalniach i innych jednostkach górnictwa”.
- Uwaga – 15 do podrozdziału: „Oddziaływanie... na środowisko naturalne”. „Jedynym rzeczywiście skutecznym i najtańszym środkiem minimalizacji negatywnego oddziaływania górnictwa węgla kamiennego na środowisko jest podsadzka hydrauliczna, w której powinny być zużywane wszystkie kopalniane odpady górnicze. Ignorowanie tego faktu w omawianym dokumencie jest zupełnie niezrozumiałe” – tak, jak dotychczasowe i dalsze rugowanie podsadzki z kopalń.
- Uwaga – 16. W górnictwie węgla kamiennego proces inwestycyjny jest integralnie (synchronicznie) związany z procesem produkcji. Jeżeli WŁAŚCICIEL tego górnictwa (jak deklaruje w „Strategii...”) chce »budować przewagę konkurencyjną opartą na wiedzy i innowacjach« (co jest oczywiście w pełni słuszne) powinien przewidzieć opracowanie i wdrożenie w trybie pilnym skomputeryzowanych systemów planowania działalności inwestycyjno-produkcyjnej kopalń i ich grup w cyklu operacyjnych planów ruchu oraz w średniookresowej i długiej perspektywie. Dopóki ten krok nie zostanie zrobiony – na fundamencie gruntownie usprawnionego analityczno-rozliczeniowego monitoringu bieżącej działalności kopalń – wszelkie deklaracje o »budowie przewagi konkurencyjnej opartej o wiedzę i innowacje«, pozostaną pustosłowiem!.
- Uwaga – 18, do podrozdziału „Strategie spółek węglowych. „Wymaganie w myśl, którego »Poszczególne przedsiębiorstwa (...) powinny szczegółowo określić obszary kosztotwórcze, uwzględniając te, w których może nastąpić redukcja...”« jest w pełni zasadne – z tym jednak że obowiązuje nie tyle w strategii co w CODZIENNYM ZARZĄDZANIU! Postulowane »...obszary kosztotwórcze« (w praktyce: **terytorialne rejony rozliczeniowe** i tworzone nimi **ciągi produkcyjne**) powinny być monitorowane w obowiązującym systemie rozliczeniowym i w bieżącym zarządzaniu, a nie »od święta« z okazji prac nad strategią (...) Strategicznym obowiązkiem WŁAŚCICIELA jest zapewnienie swym jednostkom »jednolitych« powszechnie

obowiązujących skomputeryzowanych systemów, które takie PROEFEKTYWNOŚCIOWE ZARZĄDZANIE umożliwiają! Postulowane systemy nie są wdrożone (choć częściowo były już przygotowane i stosowane).

- Uwaga – 20 do rozdziału „Pomoc publiczna...”. „W tym rozdziale ujawnia się z całą wyrazistością wadliwość funkcjonujących rozwiązań, w których pieniądze budżetu państwa są »splątane« w jednych »rządowych rękach« z państwowym kapitałem, który powinien być wyodrębniony i zarządzany, tak jak każdy kapitał, a nie budżet. W tych warunkach w »Strategii« proponuje się jako coś normalnego, np. finansowanie z budżetu państwa kosztów »naprawiania szkód górniczych wywołanych ruchem zakładu górniczego« i także kosztu »... monitorowania procesów restrukturyzacyjnych przez Ministra Gospodarki«, co oznacza, że WŁAŚCICIEL górnictwa węgla kamiennego płaciłby swej obsłudze (swym urzędnikom) nie z własnych pieniędzy, a z pieniędzy podatników! Uważam, że po 17 latach rynkowej transformacji nadszedł czas na podjęcie działań porządkujących »strategiczną sytuację górnictwa węglowego w gospodarce kraju« w kierunku wzmocnienia tej pozycji, co ułatwi też dostosowanie się do wymagań Unii w kwestii tzw. »pomocy publicznej«. Uważam, że (...) górnictwo węgla kamiennego prawidłowo zintegrowane z przetwórstwem węgla i PRAWIDŁOWO ZARZĄDZANE (na poziomie kopalń oraz jednostek je grupujących i WŁAŚCICIELA) nie będzie potrzebowało »pomocy publicznej«! (...) Dotychczasowe dofinansowywanie górnictwa węgla kamiennego z budżetu nie było »pomocą publiczną« a wyrównywaniem skutku błędów popełnianych w nieudolnym zarządzaniu (np. utrzymywaniem cen węgla nie tylko poniżej parytetu importowanego węgla, ale również poniżej kosztów jego produkcji)”. **Uwaga uzupełniająca:** Gdyby górnictwo było „prywatną własnością Skarbu Państwa” (przypominam postulaty na stronach 449 i 450), mogłoby też o wiele łatwiej sięgać po kapitał dostępny na giełdzie.
- Uwaga 21 – końcowa: „rozpatrzona wersja dokumentu przygotowana przez WŁAŚCICIELA powinna być gruntownie przepracowana lub napisana od nowa. Górnictwo węgla kamiennego rzeczywiście znalazło się w punkcie zwrotnym i rzeczywiście potrzebuje nowej strategii, a nie brnięcia dotychczasową »koleiną« ...”¹⁶¹.

Nie wiem, w jakim stopniu działacze „Solidarności” chcieli i mogli wykrzysnąć pogląd, który im przekazałem. Obserwując *układność*, z jaką przez kilkanaście lat godzili się na masową likwidację miejsc pracy górników i *umieranie* jakże wielu górniczych przykopalnianych osiedli mieszkaniowych – przypuszczam, że w stopniu niewielkim. Wiem natomiast, że WŁAŚCICIEL górnictwa nie zmienił swej zupełnie niezrozumiałej (patologicznej) antywęglowej polityki. W styczniu 2005 roku potwierdził to przyjętym przez Radę

Ministrów, dokumentem „Polityka Energetyczna Polski do 2025 roku”⁹¹⁾. Nie zmienił także scharakteryzowanej wyżej **jakości właścicielskiego zarządzania**.

Skutek kontynuacji zarówno zasad prowadzonej polityki, jak i metod jej realizacji – był nieunikniony! W roku 2008 funkcjonowało w Polsce już tylko 31 kopalń, które – zatrudniając około 115 tys. pracowników – z trudem dostarczyły na rynek 83,4 milionów ton węgla⁹²⁾. W stosunku do 1988 roku – poprzedzającego „Okrągły Stół” ubyło 39 kopalń, produkcja zmniejszyła się o 109,3 milionów ton, a w stosunku do lat 1983–1987 – o 120 milionów ton. Zatrudnienie zmniejszyło się o około 290 tys. pracowników, a w skali kraju ubyło około miliona miejsc pracy. Eksport, który w 1997 roku wciąż jeszcze wynosił 30,6 miliona ton⁹³⁾ – w roku 2008 zmniejszył się do 8,2 milionów ton. Import ze wschodu – po cenach *jawnie dumpingowych* – wzrósł do około 10 milionów ton.

Oznacza to, że Polska stała się importerem węgla... z kraju, który w roku 1984 eksportował ponad 42 miliony ton węgla, z zyskiem przekraczającym 10 dolarów na każdej tonie. Niewątpliwie było to zgodne z intencją Banku Światowego, który stale domagał się od Polski zaniechania eksportu i udzielał pożyczek tylko na pokrycie kosztu likwidacji kopalń. Czy jednak tego chciał również nasz RYNKOWY WŁAŚCICIEL kopalń? Czy to było rzeczywistym celem *reformy, a później, tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego, prowadzonych od 1989 roku z niebywałą konsekwencją?*!

Najdziwniejsze jest to, że wskazany wynik działań WŁAŚCICIELA – określający skalę dokonanej dewastacji górnictwa węgla kamiennego – znalazł się poza społeczną świadomością. Wszystko odbyło się w atmosferze dezinformacji nagłaśniającej w mediach rzekomą nieopłacalność naszego węgla i szkodliwe oddziaływanie jego spalin na ocieplanie klimatu. Także w atmosferze zapewnień WŁAŚCICIELA, że RYNEK wymusił zamykanie kopalń... że powinniśmy się unowocześniać i budować elektrownie atomowe, które przecież otaczają nas ze wszystkich stron... itd. Społeczeństwo to przyjmowało i przyjmuje! Wszystko w porządku... nie się nie stało...!!

Otóż – nie godzę się na tak organizowaną *amnezję*. Uważam, że stało się złe i że **mogło być inaczej!** Trzeba więc mówić otwarcie, że WŁAŚCICIEL zmarnował szansę, która pojawiła się w 1989 roku, aby na fundamencie górnictwa węgla kamiennego odziedziczonego po PRL-u – **zbudować nową generację kopalń i sektora!** Nie zbudowaliśmy – choć mogliśmy – ani kopalń bardziej nowoczesnych i bezpieczniejszych od tych, które ocalały po *likwidacyjnej restrukturyzacji*... ani potężnego sektora wykorzystującego proefektywnościowe możliwości zintegrowanego zarządzania zarówno

⁹¹⁾ Uwzględniam w tym bilansie dwie kopalnie przekazane do energetyki oraz ich produkcję i przybliżone zatrudnienie.

⁹²⁾ Kopalnie, aby ratować swą sytuację finansową, długo opierały się naciskom WŁAŚCICIELA i póki mogły nie rezygnowały z eksportu.

kopalniami, jak i energetyką, koksownictwem i masowym przetwórstwem węgla na paliwa płynne i gaz.

Trzeba też mówić nie tylko o błędach WŁAŚCICIELA górnictwa i złóż – lecz także o nieskuteczności tych, którzy mieli **niezbywalny obowiązek** bronięcia górnictwa przed fatalnymi decyzjami i skutkami *urzędniczego zarządzania*. *Górnicy wżenieni⁸⁷⁾ w górnictwo* – a więc również ja – mogli być bardziej skuteczni i bardziej zdeterminowani. Teczka wystąpień, którymi starałem się dotrzeć ze swymi poglądami do osób w danym czasie *znaczących* – zawiera ponad 60 pozycji. Zaczyna się listem wysłanym do profesora Leszka Balcerowicza 12 października 1992 r. (na ten list otrzymałem odpowiedź). Kończy się listem Naczelnego Redaktora Przeglądu Górniczego, który z własnej inicjatywy, 9 kwietnia 2007 roku wysłał lutowy zeszyt (w tym również mój artykuł⁹⁵⁾) do ówczesnego Premiera, Ministra Gospodarki, Marszałków Sejmu i Senatu oraz Wojewody Śląskiego. Może jednak należało nie tylko krytykować *likwidacyjną restrukturyzację* górnictwa węgla kamiennego i lansować rozwiązania alternatywne – oraz wysyłać odnośne opinie i publikacje do decydentów¹⁶²⁾ – lecz także domagać się odpowiedzi i zajęcia stanowiska? Może była potrzebna większa natarczywość, której zabrakło?

Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Górnictwa (SITG), swoją wyraźniejszą akcją sprzeciwu wobec antywęglowej polityki¹⁴¹⁾, mogło zacząć nie w 2000 roku (gdy zlikwidowano już 23 kopalnie), a znacznie wcześniej. Podobnie – „świat nauki górniczej” mógł wcześniej i bardziej stanowczo domagać się oraz uzasadniać konieczność zmiany przyjętej przez WŁAŚCICIELA antywęglowej i antysurowcowej polityki. Najbardziej znane jest wystąpienie (publikowane w TRYBUNIE NA ŚLĄSKU) Rektora AGH wraz z grupą pracowników nauki do ówczesnego premiera Leszka Millera, w którym domagano się „*zaprzestania likwidacji kopalń posiadających zasoby*” i postulowano stosowanie *modelu* tzw. *kopalni „uspiionej”* (tzn. nieprowadzącej eksploatacji złoża, ale nielikwidowanej).

Niestety wystąpienie to miało miejsce 3 grudnia 2002 roku, gdy zlikwidowano już 31 kopalń i *opanowano metodę* przeklasyfikowywania zasobów odpowiednio wcześniej, tak, aby likwidować kopalnie i uzasadniać to tym, że nie mają zasobów (klasyczny przykład: likwidacja nowej kopalni „Czechcrott”, z dużymi zasobami). Związki Zawodowe, które inicjowały fatalną dezintegrację górnictwa – nie wypełniały swego elementarnego obowiązku: bronięcia nie tylko doraźnych interesów zwalnianych załóg górniczych (korumpowanych wysokimi „odprawami”), ale przede wszystkim obowiązku walki o istnienie kopalń (a więc o ich ekonomiczną efektywność) jako miejsc pracy górników oraz „generatora” zatrudnienia w licznych jednostkach obsługujących górnictwo.

⁸⁷⁾ Przypominam, że jest to określenie profesora Krupińskiego, który mówił o sobie, że został *wżeniony* w górnictwo przez swoich profesorów i starszych kolegów (str. 266).

Nie mogę pozbyć się przekonania, że gdyby górnicy utworzyli w owych latach szeroki i zdecydowany front sprzeciwu – sięgając nawet do strajków i starań o postępowanie prokuratorskie – historia potoczyłaby się inaczej. Ale takiego frontu nie było... a historii nie da się zmienić, tak jak nie da się cofnąć czasu. Pozostaje więc jedynie eliminować *amnezję* i otwarcie dyskutować o **klęsce**, która w minionym dwudziestoleciu wydarzyła się w sektorze polskiego górnictwa węgla kamiennego. **Problem przyszłości tego górnictwa jest wciąż aktualny i oczekuje na rzetelne i logiczne rozwiązanie.**

Upowszechnianie informacji o prawdziwej faktografii tego okresu jest istotnym warunkiem wykorzystania szansy, jaką węgiel kamienny nadal daje naszej gospodarce. Wciąż jest to szansa realna i znacząca! Ogromna część zasobów, które uznano za nieprzemysłowe – i poprzez likwidację kopalń pozbawiono udostępnienia – jest nadal gospodarczo atrakcyjna. Przy odpowiednio szerokim stosowaniu określonych rozwiązań modernizacyjnych (patrz niżej i następny podrozdział) – zasoby te mogą być w znaczącej części konkurencyjne w stosunku do zasobów słabiej rozpoznanych, w *polach rezerwowych* (dotychczas nieudostępnianych).

Elementarna logika każe pamiętać o czterech podstawowych faktach:

- Mamy duże zasoby węgla, w dogodnych warunkach geologicznych, oraz wciąż jeszcze znaczny potencjał kadrowy. Kraj – *jak powietrza* – potrzebuje więcej efektywnego zatrudnienia, a górnictwo węgla kamiennego ma duży *potencjał rentowności!* Przy tym każdy górnik generuje miejsca pracy dla 3–4 pracowników poza górnictwem...
- Energia uzyskiwana z węgla jest znacząco tańsza od energii z ropy, gazu i uranu oraz od energii słonecznej i „zielonej”^{**1}. Dysponujemy przy tym własnym znaczącym doświadczeniem i potencjałem budowy energetyki węglowej oraz przetwórstwa węgla (w mniejszym stopniu).
- Świat nie odchodzi od węgla – a odwrotnie – wciąż zwiększa produkcję i wydobywa już blisko 5 miliardów ton, rozwijając równocześnie coraz skuteczniejsze technologie proekologicznego wykorzystania tego powszechnie występującego surowca...
- Kopalnie Górnośląskiego Zagłębia Węglowego – potrzebują najpilniej czterech rozwiązań (o nich obszerniej w następnym podrozdziale):
 - zintegrowanego proefektywnościowego zarządzania, z wykorzystaniem autentycznie nowoczesnych, skomputeryzowanych systemów analityczno-rozliczeniowych, gromadzących wiedzę doświadczeniową ze wszystkich kopalń – i także komplementarnych systemów planistycznych, umożliwiających jej wykorzystanie w działalności inwestycyjno-produkcyjnej^{**2}.

^{**1} Wolalbym, żeby węgiel przegrywał konkurencję z energią słoneczną i „zieloną”, ale na razie nie przegrywa.

^{**2} Fundament pod takie systemy – realizujące podstawowy algorytm zarządzania (str. 336) – został założony w GIG jeszcze w latach 1960–1970.

- sprawnej technologii podszadzki hydraulicznej, która w bardzo wielu sytuacjach jest w stanie zapewnić niższe koszty produkcji niż dewastacyjna technologia zawalowa, a w powszechnym zastosowaniu jest w stanie zlikwidować plagę szkód górniczych i hald, zmniejszyć zagrożenia górnicze i umożliwić *bezpieczną* eksploatację filarów ochronnych⁷⁶⁾,
- alternatywnego systemu eksploatacji, który zapewni efektywną eksploatację, tam gdzie system ścianowy jest nieopłacalny⁷⁴⁾,
- usprawnionej metody klasyfikowania zasobów do opłacalnego wydobycia (opartej na symulacyjnym prognozowaniu kosztów), która wyeliminuje metodę dotychczasową i rabunkową gospodarkę złożem⁸¹⁾.

Oprócz braku woli i działań WŁAŚCICIELA górnictwa węgla kamiennego – nie ma innych przeszkód, aby kopalnie otrzymały te rozwiązania do stosowania.

Elementarna logika każe też wyciągać ze wskazanych faktów prosty wniosek: nasze górnictwo węgla kamiennego może i powinno znów – jak przed laty – stać się napędową siłą rozwoju gospodarczego Kraju i nadal stanowić fundament jego energetycznej niezależności. Mimo poniesionej klęski – węgiel kamienny i górnicze kadry wciąż są naszą niewykorzystaną szansą!

Badania w okresie rynkowej transformacji

Przypomnę, że prace badawcze, rozwojowe i wdrożeniowe (B+R+W), które przez 35 lat prowadziłem w epoce PRL – były ukierunkowane głównie na **konkretne rozwiązania** dla potrzeb ekonomizacji technologii i zarządzania w podziemnej eksploatacji złóż. Dzięki zainteresowaniu resortowych ministrów nadzorujących górnictwo oraz dzięki dobrej współpracy z kopalniami – wdrażanie przygotowanych rozwiązań przeważnie nie napotykało na formalne trudności. W tamtym czasie o szersze problemy gospodarki Kraju – tylko się ocierałem – głównie w „Komisji Szydłaka”. Instytucjonalnie rozumianym problemem organizacji prac naukowo-badawczych (B+R+W) żyłem kilka lat, gdy byłem Sekretarzem Naukowym GIG. Ogólniejszymi problemami funkcjonowania nauki trochę się zajmowałem, pracując w Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej (CKK) i biorąc udział w Naukowych Komitetach PAN.

W okresie moich studiów – **gospodarka rynkowa** była tylko przedmiotem studenckich, nierealistycznych marzeń. Tak się jednak wydarzyło, że mogłem w niej prowadzić badania przez blisko 20 lat. Nowe warunki okazały się wyraźnie inne – ale w aspekcie osiąganego skutecznego badań niestety nie lepsze. Uczestnictwo w nurcie działań kształtujących rynkową transformację górnictwa węgla kamiennego – najpierw w roli dyskutanta w *podstoliku górniczym*, a później na pozycjach *oponenta* oficjalnego kierunku transformacji

– nasiliło moje zaangażowanie w badania ówczesnej kondycji górnictwa węgla kamiennego oraz warunków, w których funkcjonowało. Ich rezultatem był głównie materiał faktograficzny i analityczny, potrzebny w zrelacjonowanej już *batalii* o kształt reformy rynkowej i pozycję górnictwa węgla kamiennego w gospodarce Kraju.

W aspekcie merytorycznym, badania prowadzone dla tych potrzeb – ukierunkowane na kluczowy sektor oddziałujący na gospodarkę całego kraju – były czasochłonne. Jednak największego wysiłku wymagało dotarcie z uzyskanymi wynikami do WŁAŚCICIELA górnictwa i innych decydentów – czemu służyły głównie publikacje oraz (w mniejszym stopniu) opinie i ekspertyzy. Niektóre z nich przywoływałem w poprzednich podrozdziałach. Podkreślę więc jedynie, że wbrew logice – transformacja rynkowa nie ułatwiła transmisji wyników badań do wykorzystania w górniczej praktyce.

Odwrotnie! W poprzednich podrozdziałach opisywałem obszernie, z jakim skutkiem *docierało się* z wynikami badań do rynkowego WŁAŚCICIELA górnictwa węglowego. Jestem daleki od *wybielania* gospodarki PRL, ale ówczesny resortowy Minister przeważnie potrafił wykazywać więcej właścicielskiego instynktu niż autentyczny, rynkowy WŁAŚCICIEL akcji wszystkich spółek i kopalń. Dobrym przykładem może być Jan Mitrega⁹⁶). Również kopalnie – pogrążone w *walce o przetrwanie* – wykazywały (w porównaniu ze swymi *socjalistycznymi* odpowiednikami) mniej zainteresowania udziałem w badaniach i nowych wdrożeniach (jeżeli w ogóle wykazywały!).

W bilansie mego czasu pracy, **badania nad konkretnymi rozwiązaniami** (dominujące w PRL) – w warunkach rynkowych – miały znacząco mniejszy udział. Mimo tego uszczuplenia (wymuszonego niedoborem potencjału badawczego i zwrotem aktywności w kierunku *palących* problemów rynkowej transformacji) – nadal prowadziłem badania nad konkretnymi rozwiązaniami potrzebnymi (moim zdaniem) górnictwu. Wraz ze zmianą WŁAŚCICIELA te potrzeby nie uległy zresztą istotnym zmianom. W latach rynkowej transformacji kontynuowałem więc prace przeważnie zapoczątkowane jeszcze w epoce PRL.

Opowiem możliwie najkrócej tylko o czterech badawczych problemach, które uważam za najważniejsze. Będę się przy tym trzymał ich *własnej chronologii*. Ponieważ wszystkie były prowadzone w tym samym czasie – i także równocześnie z *batalią o rozsądek* w rynkowej transformacji górnictwa węgla kamiennego – ogólny obraz moich badawczych wysiłków w omawianym okresie może wydawać się dość skomplikowany. Jednak nie na to nie poradzę. Tak było!

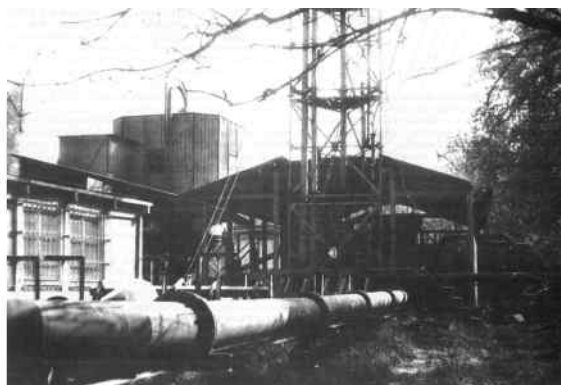
1.

Zacznę od problemu **usprawnienia technologii podszkapy hydraulicznej**. Jak już relacjonowałem – w końcu lat 80., prace nad przygotowaniem kompletu wyposażenia umożliwiającego osiągnięcie w ścianach podszkapy

wych koncentracji produkcji porównywalnej z koncentracją w ścianach zawałowych – były już bliskie zakończenia. Do realizacji pozostała głównie faza uruchomienia produkcji doświadczalnej i przeprowadzenia koniecznych prób dolowych. Jednak kryzys lat 1988–1989 – zakończony *rozproszkowaniem* górnictwa w 1990 roku – uniemożliwił prowadzenie tych prac. Ich koszt był niewielki – nie przekraczał kosztu wyposażenia jednej z ponad 500 czynnych wówczas ścian – jednak nie było ani tych pieniędzy – od WŁAŚCICIELA górnictwa – ani kopalń gotowych do współpracy.

Wysilek Zakładu podsadzki – który w tych latach jeszcze istniał – skupiłem głównie na pomiarach zależności strat energetycznych, występujących w rurociągach podsadzkowych o różnym nachyleniu – podczas przepływu z różną prędkością materiału podsadzkowego o różnej zawartości odpadów kopalnianych i piasku. Były to pomiary, których kiedyś nie dokończyliśmy na instalacji Koszelew (strona 330–333). Teraz realizowaliśmy je na specjalnie wybudowanej instalacji pomiarowej (ZIP.1M), z wykorzystaniem najnowszej, dostępnej wówczas aparatury. Instalacja została zbudowana głównie wysiłkiem zespołów dr. inż. E. Bąka i mgr. inż. J. Kamińskiego, który w I połowie 1990 roku przeprowadził też na tej instalacji pionierską kampanię pomiarową²²⁾. Jej wyniki umożliwiły mi zakończenie prac nad „Metodą optymalizacji wykorzystania odpadów kopalnianych i energii potencjalnej w podsadźce hydraulicznej – metodą OG⁶⁷⁾”. Wreszcie stało się realne analityczne wyznaczanie *optymalnej gęstości* (stąd skrót „OG”) mieszaniny podsadzkowej – zawierającej odpady kopalniane – która w danej instalacji kopalnianej zapewnia największą wydajność podsadzania (m^3 materiału podsadzkowego na godzinę).

Weryfikacja metody „OG” na instalacji podsadzkowej kopalni „Miechowice” – dała wynik pozytywny. Wykazała jednoznacznie, że po odpowiednim uzupełnieniu wyników pionierskiej kampanii pomiarowej na instalacji ZIP.1M – metoda „OG” będzie gotowa do stosowania w praktyce kopalnianej. Został więc zrobiony następny znaczący krok. Technologia *pełnego zasilania*, którą z kolegą Wyszomirskim wprowadziliśmy do kopalń w latach 1960–1970 – wyeliminowała z rurociągów podsadzkowych porywane powietrze. Metoda OG miała przyspieszyć eliminację nadmiaru wody (tzn. zwiększyć wydajność podsadzania oraz zmniejszyć unoszenie szlamów z podsadzanych przodków i koszt pompowania wody). Miała też – i to jest bodaj najważniejsze – przela-



Instalacja ZIP.1M. Na pierwszym planie – rurociąg pomiarowy

mać niechęć kopalń do masowego lokowania na dole odpadów kopalnianych. Tym sposobem miała jeszcze bardziej obniżyć koszt podsadzki i uwolnić środowisko od górniczych hald. W końcowych krokach algorytmu Metody OG⁶⁷⁾ miał być obliczany efekt ekonomiczny, uzyskany dzięki zastosowaniu zoptymalizowanych parametrów zasilania rurociągów podsadzkowych.

Niestety, gdy w 1992 roku metoda została opublikowana, górnictwo było już zdeintegrowane i praktycznie pozbawione WŁAŚCICIELA, a los Zakładu Technologii Podsadzki Hydraulicznej w GIG (więc także los dalszych pomiarów) – był już przesądzony. 24 lutego 1993 roku udało się jeszcze zorganizować duże sympozjum naukowe pod hasłem „100 lat technologii podsadzki hydraulicznej w Górnym Śląskim Zagłębiu Węglowym”. Dorobek Zakładu – prezentowany na Sympozjum i opublikowany w Przeglądzie Górniczym⁶⁹⁾ – wykazywał, że istnieje w pełni realna możliwość takiej modernizacji technologii podsadzki hydraulicznej, aby mogła z powodzeniem wygrać konkurencję z dewastacyjną technologią zawałową.

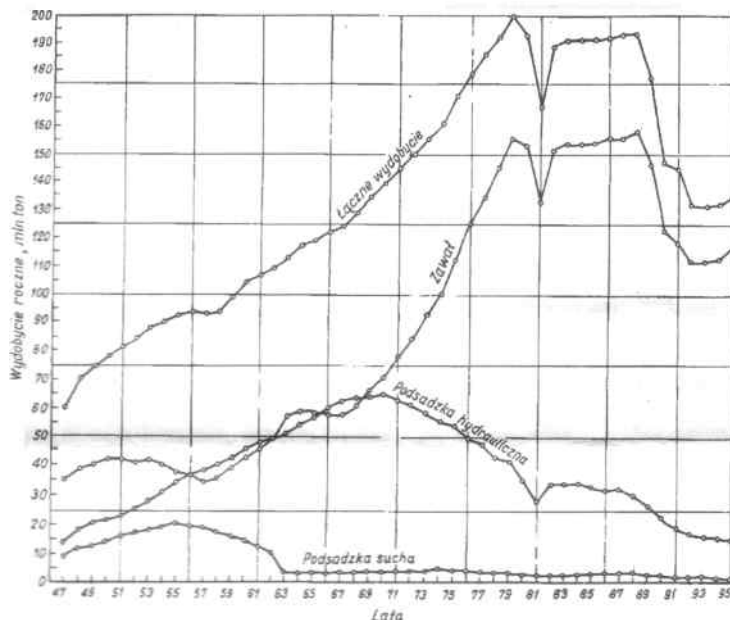
Nie powstrzymało to ówczesnych decydentów od likwidacji w GIG Zakładu Technologii Podsadzki – co, jak wspominałem nastąpiło 15.07.1993 roku. Równocześnie zostały wstrzymane prace nad dalszym *rozwojem* i *wdrażaniem* metody „OG” oraz prace nad wdrożeniem rozwiązań usprawniających technologię podsadzania przodków ścianowych – rokujących wyraźną szansę sukcesu – przygotowanych wcześniej w wyniku wieloletnich badań.

W tej sytuacji zdołałem jeszcze zorganizować pięciodniową „Szkołę technologii podsadzki hydraulicznej” (od 6 do 10.12.1993 r.) – dla kadry kierowniczej i dozoru kopalń – i rozpocząłem pracę nad monografią tej **niechcianej technologii**. Nie miał to być „nagrobek” technologii skazanej przez WŁAŚCICIELA górnictwa węgla kamiennego na dalsze „rugowanie” z kopalń – a odwrotnie! Chciałem pokazać atrakcyjność tej *genialnie prostej i skutecznej* technologii i przygotować dogodny punkt startu do jej dalszego rozwoju w przyszłości. W ten przyszły rozwój wierzyłem i nadal wierzę.

Pracę nad monografią zakończyłem w ciągu trzech lat. Ponieważ Dyrektor Graczyński wstrzymał finansowanie z funduszu statutowego GIG, końcowego etapu tych prac – co uważałem za działanie nieczym nieuzasadnione – dokończyłem monografię *w trybie zajęć domowych* i wydałem nie w GIG, a w oficynie „Śląsk” w 1997 roku⁷⁰⁾. W tym czasie, w paru artykułach próbowałem zachęcić decydentów funkcjonujących w górnictwie do zmiany ich negatywnego stosunku do technologii podsadzki hydraulicznej. W roku 1997 i 1998 lansowałem analityczny „System MKK” – ułatwiający minimalizację kosztów kolizji między działalnością górnictwa podziemnego a funkcjonowaniem gospodarki na powierzchni, nad eksploatowanym złożem^{75, 77)}.

Jeszcze w 1999 roku zachęcałem decydentów do takiego usprawnienia analityki kopalnianych kosztów produkcji, aby wynikała z niej wyraźna odpowiedź na pytanie o opłacalność stosowania podsadzki hydraulicznej bądź

zawału⁸⁰⁾. Jednak była to już moja ostatnia publikacja poświęcona specjalnie podsadźce hydraulicznej. Okazała się podobnie nieskuteczna, jak wszystkie poprzednie. *Rugowanie* podsadzki pokazane na wykresie – trwało nadal. W 2008 roku, z zastosowaniem tej technologii wydobyliśmy już tylko niecałe 3 miliony ton węgla. WŁAŚCICIEL górnictwa węglowego miał chyba powody do zadowolenia – osiągnął już tylko szczątkowe



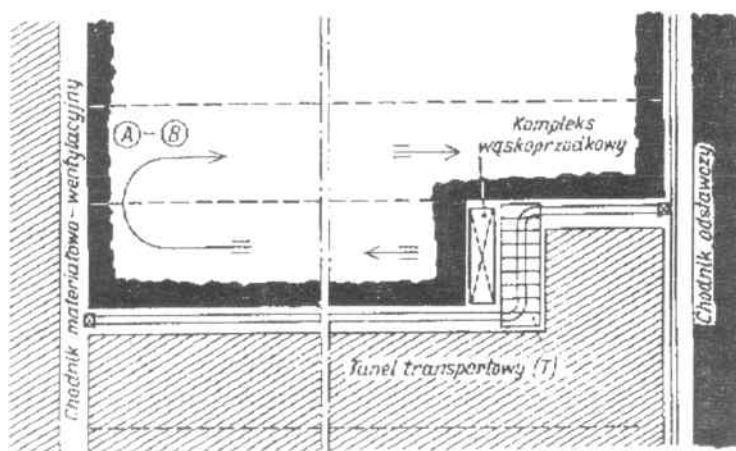
Rugowanie podsadzki hydraulicznej z kopalń węgla kamiennego

zastosowanie *niechcianej technologii* (poniżej 4% całkowitej produkcji). Wyższy Urząd Górniczy (WUG) – nadzorujący prawidłowość eksploatacji złóż – niestety konsekwentnie uczestniczył w nieodpowiedzialnym rugowaniu podsadzki hydraulicznej z kopalń.

2.

Problem alternatywnego systemu eksploatacji pokładów w polskim górnictwie węgla kamiennego. Problem ten zacząłem dostrzegać już w czasie prac nad doktoratem, gdy nie był jeszcze tak nabrzmiały, jak w latach 1990 i 2000. Zainteresowałem się wówczas *głośną* modyfikacją *ścian „Jankowickich”* – lansowaną pod nazwą systemu Be-Ge – i dość dokładnie analizowałem możliwości tej propozycji⁴⁰⁾. Jednak później – mimo że w publikacjach wskazywałem na wady systemu ścianowego – nie potrafiłem zmobilizować się do pracy nad systemem alternatywnym. Zachęciła mnie do tego dopiero koncepcja systemu *siemianowickiego*¹⁸⁾, zgłoszona w GIG przez młodego inżyniera Krzysztofa Gralikowskiego na wspomniane wyżej sympozjum: „100 lat technologii podsadzki hydraulicznej...” (24.02.1993 r.). Myśl zawarta w zgłoszonej przez niego koncepcji (trochę przypominająca rozwiązania systemu Be-Ge) – nałożyła się na wyniki analizy sprzed niemal półwiecza. W ówczesnych okolicznościach zaowocowało to niezwłocznym podjęciem intensywnych prac koncepcyjnych i projektowych nad potrzebnym od dawna sposobem wyeliminowania systemu ścianowego tam, gdzie nie rokuje skuteczności.

Prace te prowadziłem, z dużym zaangażowaniem, przez ponad 3 lata – z udziałem mgr. inż. Andrzeja Decowskiego (specjalizującego się w transporcie taśmowym) oraz Krzysztofa Gralikowskiego. Prace doprowadziliśmy do fazy opublikowanego projektu koncepcyjnego – wraz z obszernym, faktograficznym uzasadnieniem celowości proponowanych rozwiązań i prognozą ich ekonomicznej efektywności⁷⁴⁾. Projekt został wsparty konkretnymi – wariantowymi – rozwiązaniami technologicznymi i konstrukcyjnymi, których oryginalność została potwierdzona dwunastu patentami⁷⁵⁾.



Schemat objaśniający sposób funkcjonowania systemu ubierkowo-zabierkowego (DF-KP)

Nie będę oczywiście opisywał opracowanego systemu – powiem jedynie, dlaczego tę propozycję oceniam jako zasługującą na doświadczalną weryfikację w kopalniach. Otóż sedno koncepcji polega na tym, aby pozostać przy systemie eksploatacji pokładu długim frontem⁷⁶⁾, ale równocześnie uwolnić go od wad dotychczas

stosowanego systemu ścianowego.

- Jak to już wcześniej wyjaśniałem, kompleksowo zmechanizowana ściana (ubierka) jest na całej swej długości (150–300 m) wyposażona w bardzo drogą obudowę krocząca. Pod nią przesuwa się po przenośniku zgrzeblowym kombajn o zabiorze urabiania około 0,6–0,9 m (ewentualnie strug o zabiorze znacznie mniejszym). Obsługę ściany zapewniają co najmniej dwa chodniki (odstawczy urobku i wentylacyjno-materialowy) – wykonywane niemal z reguły z wyprzedzeniem, w fazie przygotowania pokładu do wybierania *od pola*.
- W proponowanym *ubierkowo-zabierkowym* systemie natomiast (otrzymał roboczą nazwę: Długi Front-Krótki Przodek, DF-KP) – kosztowna obudowa krocząca jest instalowana tylko w krótkim przodku (*zabierce*) o długości 8–12 m. *Zabierka* wyposażona w kompleks urabiająco-ladujący nowej generacji – o przewidywanej zdolności produkcyjnej co najmniej 2–3 ty-

⁷⁴⁾ Pierwszy został zgłoszony w GIŁG we wrześniu 1993 r. (nr 169733) a ostatni w czerwcu 1995 roku (nr 175 661).

⁷⁵⁾ Amerykański system eksploatacji pokładów krótkim frontem komorowo-lilarowym (room and pillar) – w złożach europejskich się nie sprawdził.

siące ton/dobę – przesuwa się wzdłuż wyrobiska tworzącego „długi (ubierkowy) front eksploatacyjny”⁷³⁾ (jego długość może przekraczać nawet 500 m). Ponieważ wyrobisko to znajduje się na skraju calizny i wciąż się przemieszcza jest w stanie zapewnić utrzymanie sprawnej drogi transportowej między chodnikiem odstawczym a dostawczym (materialowo-wentylacyjnym) – mimo że jest wyposażone w taną obudowę stojakową. „Długi front” – to jest istotne – jest wyposażony w przenośnik specjalnej konstrukcji, który umożliwi nieskrępowany postęp *zabierki* wzdłuż *ubierki*. W opracowanym projekcie preferuje się prowadzenie frontu eksploatacyjnego *do pola* z zastosowaniem *chodników wglębnych*, które lansowałem w pracy doktorskiej (str. 316–318).

Łatwo widoczne „atuty” proponowanego, niskonakładowego, systemu to przede wszystkim znaczące zmniejszenie ogromnego kosztu obudowy instalowanej na froncie ścianowym oraz kosztu robót chodnikowych poprzedzających uruchomienie ścian. Mniej widoczne, ale równie istotne źródła jego efektywności, to większa łatwość pokonywania zaburzeń tektonicznych, zmniejszenie strat zasobów oraz zmniejszenie zakresu robót chodnikowych, które nie tylko obciążają koszty dużym udziałem, lecz także zwiększają zagrożenie tąpnięciami. Najważniejszym „atutem” jest oczywiście szansa wyeliminowania ścian, które nie zapewniają nawet 1000 ton pozyskiwanego węgla na dobę (w 1995 roku udział tych ścian przekroczył 30% ich ogólnej liczby).

W przygotowanej koncepcji systemu DF-KP⁷⁴⁾ stwierdziłem: *„Nakłady niezbędne na szczegółowe projektowo-konstrukcyjne opracowanie postulowanej wersji systemu ubierkowo-zabierkowego, a następnie na wytworzenie potrzebnego wyposażenia i uruchomienie poligonu doświadczalnej eksploatacji pokładu” zostały oszacowane na 4–5 mln zł (ówczesnych). Jest to równowartość wyposażenia i uruchomienia (przy wykorzystaniu obudowy z odzysku) jednej z ponad 100 ścian kompleksowo zmechanizowanych... funkcjonujących w I kwartale 1995 r., które nie osiągały 1000 ton dobowej produkcji...”*

Koszt weryfikacji proponowanego systemu – był więc nikły – zwłaszcza w skali sektora. Nie było też wówczas – i prawdopodobnie nadal nie ma – żadnej innej propozycji *systemu alternatywnego*. Mimo to WŁAŚCICIEL górnictwa węgla kamiennego nie zdobył się na proponowany wydatek i nadal toleruje stosowanie systemu ścianowego w warunkach, w których – przy aktualnych kosztach wyposażenia – jest on ewidentnie nieopłacalny.

3.

Problem profektywnościowego usprawnienia i rozwoju komputeryzacji zarządzania w górnictwie węgla kamiennego. Po roku 1990 – w wyniku „usamodzielnienia” kopalń oraz dezorganizacji w COIG mego dawnego

⁷³⁾ Na tym froncie *zabierka* wykonuje pracę gigantycznego kombajnu o zabiorze 8–12 m.

Ośrodka – wszelkie *systematyczne* prace nad wskazanym problemem – zostały przerwane. Co gorsze – niektóre z funkcjonujących wcześniej skomputeryzowanych systemów zarządzania – przestały być użytkowane ze względu na rzekomo „zbyt wysoki koszt przetwarzania danych” (!) lub rzekomą nieprzydatność wyników przetwarzania.

Jako *kuriozum* w gospodarce rynkowej można wskazać rezygnację z korzystania w kopalniach z podsystemu *rozliczania rejonów i oddziałów* (IOS.1) – podstawowego instrumentu kontroli działalności oddziałów produkcyjnych i innych wewnętrznych jednostek organizacyjnych kopalń. WŁAŚCICIEL górnictwa „zauważył” brak tego instrumentu i nakazał jego ponowne wdrożenie w całym sektorze dopiero, gdy w 2000 roku Rudzka Spółka *reaktywowała*^{*)} w swoich kopalniach ten system zaniechany niemal od dekady.

Jako drugi przykład *kuriozalnej* rezygnacji z podstawowego instrumentu proefektywnościowego zarządzania w podziemnym górnictwie – można wskazać wspomniany już wcześniej (str. 343) podsystem *międzykopalnianych analiz porównawczych* – IOS-8. WŁAŚCICIEL, który *rozproszkował* górnictwo, uznał, że **wiedza dostarczana tego rodzaju analizami jest mu niepotrzebna!!** Zarządom kopalń, które miały toczyć między sobą *konkurencyjną walkę o przetrwanie*, ta wiedza też miała być niepotrzebna. Gdy w 1993 roku rozpoczął się proces łączenia kopalń w spółki – aby umożliwić korzystanie z analiz porównawczych w międzykopalnianej skali, trzeba było przywrócić stosowanie powszechnie obowiązujących zasad wydziałania *rejonów rozliczeniowych* oraz monitorowania jednolitych informacji o warunkach eksploatacji (zasady te – chociaż wcześniej obowiązywały – w usamodzielnionych kopalniach były ignorowane). W tym czasie nie było jednak żadnej spółki, która chciałaby podjąć to zadanie. Analizy porównawcze poszły, więc w zapomnienie.

Warto podkreślić, że proces formowania spółek węglowych (po 1993 roku) oraz później proces ich częściowej integracji – zaowocował powstaniem odrębnych ośrodków elektronicznego przetwarzania danych. Ośrodki te były wyposażane przeważnie w różne komputery i różne oprogramowanie. Nie współpracując ze sobą, zaczęły „usprawniać” użytkowane systemy i dostosowywać je do swych aktualnych, „potrzeb”. W efekcie skomputeryzowane systemy obsługujące zarządzanie kopalniami – utraciły zdolność do dostarczania *porównywalnych* informacji o prowadzonej eksploatacji i uzyskiwanych w niej wynikach. Oznaczało to, że skuteczne (powszechne) wykorzystanie doświadczenia kopalń w proefektywnościowym zarządzaniu ich działalnością – stało się niemożliwe.

Równocześnie kadra Centralnego Ośrodka Informatyki Górnictwa (COIG – kiedyś GIG) uległa rozproszeniu (była w znacznej części przejmowana

^{*)} Został ponownie wprowadzany jako system nowy, pod nazwą ORK.

przez ośrodki tworzące się w spółkach). Ogólny poziom proefektywnościowej obsługi kierowniczej kadry i dozoru kopalń przez skomputeryzowane systemy – zamiast się poprawiać zgodnie z wymaganiami gospodarki rynkowej – ulegał degradacji. *Horyzont potrzeb* w zakresie **skomputeryzowanych systemów planowania działalności inwestycyjnej i produkcyjnej kopalń** – zaczął się „zamykać” na metodzie *businessplanu* – bardzo cennej, ale w górnictwie zupełnie niewystarczającej. Obszerną krytykę ówczesnego stanu komputeryzacji opublikowałem w pracy: „O skuteczności komputeryzacji zarządzania w polskim górnictwie węgla kamiennego. „Diagnoza” i „Leczenie”⁷⁰⁾.

Patrzyłem na ówczesny stan komputeryzacji z uczuciem gorczy i bezradności. W niemal wszystkich publikacjach, którymi starałem się korygować przebieg rynkowej transformacji górnictwa węgla kamiennego dopominałem się o uruchomienie niezbędnych prac i wdrożenie w kopalniach skutecznych skomputeryzowanych systemów – wspomagających proefektywnościowe zarządzanie⁷¹⁾. Publikowałem też odrębne prace poświęcone tej problematyce. Przypomnę dwie: „Rozszerzona ocena ekonomicznej efektywności przedsiębiorstw – metoda bilansu dochodów publicznych”⁸⁴⁾ oraz „Szanse na wdrożenie w górnictwie węgla kamiennego *trójukładowego* monitoringu i analityki wnętrza podziemnych kopalń”⁸⁷⁾.

Odnosnie do pierwszej z przypomnianych prac – dopowiem, że jej celem było wyeliminowanie **kryterium braku zyskowności (rentowności) jako wystarczającej podstawy do likwidacji kopalń** oraz innych przedsiębiorstw o strategicznym znaczeniu dla gospodarki Kraju. Jako alternatywne kryterium i podstawę do ewentualnego udzielenia przedsiębiorstwu pomocy publicznej – proponowałem wartość różnicy między ewentualną dotacją a kwotą dochodów publicznych wpływających do funduszy parabudżetowych (np. ZUS) oraz do budżetu w postaci podatków placonych przez to przedsiębiorstwo: także podatków placonych wcześniej przez jego pracowników tracących zatrudnienie w przypadku likwidacji przedsiębiorstwa, podatków stanowiących część ceny placonej przez rozpatrywane przedsiębiorstwo za materiały, usługi itp. Propozycja wywołała zainteresowanie – m.in. w Komitecie Prognoz „Polska w XXI wieku” przy prezydium PAN⁸⁰⁾. Nie zainteresowała niestety WŁAŚCICIELA kopalń, który *wmontowując* metodę w systemy analityczno-rozliczeniowe funkcjonujące w kopalniach mógł uzyskać bardzo konkretne argumenty negujące zasadność likwidacji kopalń (rzekomo wymuszanej przez rynek).

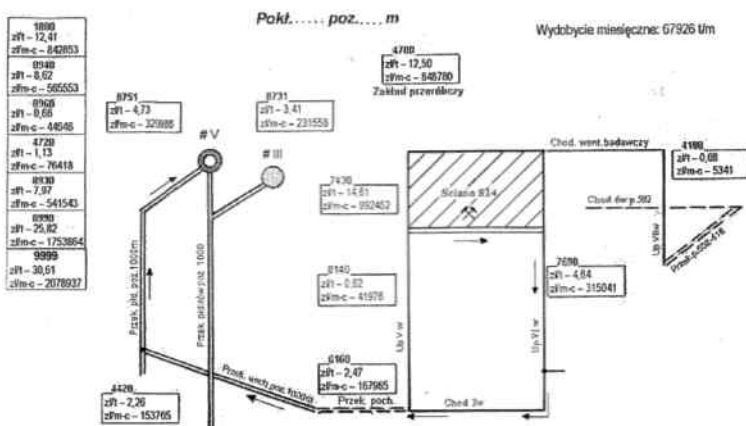
Przyczyną największego poczucia klęski było jednak niepowodzenie dużej pracy badawczej, którą w okresie transformacji udało mi się zakończyć nie tylko publikacją, lecz także znaczącym zaawansowaniem fazy wdrożeniowej. Praca ta została wykonana w latach 2002–2003, wspólnym wysiłkiem:

⁷¹⁾ Jako przykładowe wskazuję w spisie źródeł pozycje 78, 79, 83, 86.

- GIG, w którym – w Zakładzie doktora Tausza i z Jego udziałem – udało się uruchomić projekt celowy finansowany przez KBN.
- COIG, w którym główną siłą wykonawczą byli pracownicy mego dawnego Ośrodka EIO GIG,
- Rudzkiej Spółki, która włączyła do prac kopalnię „Bielszowice”.

W wyniku prac został w tej kopalni uruchomiony sprawny – postulowany od dziesięcioleci: „System strukturalnego⁹⁾ rozliczania kosztów SRK¹⁸⁵⁾”.

Cztery uruchomione moduły systemu – wyposażone w instrukcje stosowania i pełne oprogramowanie¹³⁷⁾ – dostarczają kierownictwu kopalni informacje **dotychczas nieosiągalne** – istotne nie tylko w aspekcie skuteczności operatywnego zarządzania:



Schemat rejonizacji ciągu produkcyjnego przykładowej ściany wraz z wizualizacją kosztu powstającego w poszczególnych wyrobiskach (Moduł SRK.1)

- Koszt produkcji w poszczególnych ciągach produkcyjnych kopalni wraz ze schematem wizualizującym rozkład kosztów na poszczególne wyrobiska (SRK.1). Nigdy wcześniej nie było możliwe tak precyzyjne rozliczanie kosztów i ich powiązanie z naturalnymi i technicznymi warunkami eksploatacji złoża.

• Arkusz porównawczy wszystkich ciągów produkcyjnych kopalni w podziale na koszty występujące w podstawowych elementach struktury kopalni (SRK.2).

- *Progi zyskowości* obliczane dla wszystkich przodków eksploatacyjnych – wskazujące, jaka wielkość uzyskiwanej w nich produkcji zapewnia zyskowość ciągu produkcyjnego (SRK.3).
- Monitoring (w cyklu godzinowym) wykorzystania czasu przodków (ciągów produkcyjnych) z produkcyjnym obciążeniem – z podaniem czasu przerw w efektywnej pracy kombajnu oraz liczby i kosztu tych przerw.

Tak, więc marzenie o monitoringu wnętrza kopalni w *układzie strukturalnym (terytorialnym)* – stało się faktem! Nareszcie koszty kopalni przestały być

⁹⁾ Podstawę tego układu rozliczeniowego (zwanego inaczej układem *terytorialnym*) stanowią tzw. *rejonny rozliczeniowe*, które wprowadziliśmy do kopalni na przełomie lat 1960/1970 – wraz ze skomputeryzowanymi systemami zarządzania (str. 333–335). Nadal funkcjonują w postaci „zdegenerowanej”, ale nie spełniają zakładanej roli.

rozliczane „w jednym worku”⁷¹⁾ obejmującym całą kopalnię – mimo że poszczególne jej składowe są bardzo różne i elementarna logika wskazuje, że tak określony przekrój analityczny nie może być instruktywny!! Nie była to docelowa wersja systemu SRK – ale opracowane moduły były sprawne.

Najdziwniejsze jest jednak to, że System SRK uruchomiony w kopalni „Bielszowice” w roku 2003 i funkcjonujący w niej do roku 2008 – nie był przez Kompanię Węglową (do której kopalnia została włączona) zaakceptowany do dalszego rozwoju i upowszechniania. Nawet wystąpienie Naczelnego Dyrektora GIG profesora Dubińskiego z dn. 27 stycznia 2007 roku do Wiceprezesa Zarządu Kompanii Węglowej SA mgr. inż. Głanowskiego¹⁵⁸⁾ – z propozycją udzielenia licencji na powszechne użytkowanie systemu SRK w kopalniach Kompanii oraz w sprawie wspólnego prowadzenia dalszych prac nad ekonomizacją zarządzania⁹⁾ – nie było skuteczne. System SRK nie był przez Kompanię krytykowany jako wadliwy. Był po prostu *niechciany* przez decydentów – jako niepotrzebny!

Okazało się, że system, który od przełomu lat 1960/1970 uważałem za niezbędny⁷¹⁾, aby kopalnie mogły efektywniej prowadzić eksploatację złoża – jest nieprzydatny w warunkach rynkowych – w kopalniach największego producenta węgla kamiennego w Unii Europejskiej! Niepotrzebny także WŁAŚCICIELOWI całego polskiego górnictwa węgla kamiennego!! Nie umiałem tego zrozumieć i do dziś nie rozumiem.

4.

Problem skomputeryzowanego planowania inwestycyjno-produkcyjnej działalności kopalń oraz problem gospodarki zasobami. Jak podkreślałem – omówiony wyżej system SRK – utworzył możliwość dostarczania kierownictwu kopalni nie tylko informacji potrzebnych w operatywnym zarządzaniu. Utworzył też możliwość pozyskiwania informacji niezbędnych do rozwiązania dwóch innych – kluczowych – problemów zarządzania górnictwem.

Pierwszy to problem wieloletniego – strategicznego planowania – przy wykorzystaniu komputerowej symulacji działalności inwestycyjnej i produkcyjnej kopalń. Problem ten – w zakresie koncepcji i algorytmów realizacyjnych – został rozwiązany jeszcze w latach 1960–1970. Już w owych latach – jak to wspominałem (str. 340–341) – wykorzystując oprogramowanie systemu SPP.1, przygotowane przez zespół dr. hab. A. Czyłoka, umieliśmy **symulować funkcjonowanie kopalni na zmodyfikowanych sieciach typu PERT, z równoczesnym określaniem w komputerze ekonomicznego efektu uzyskiwanego**

⁷¹⁾ Tytuł projektu celowego proponowanego przez GIG: „Skompletowanie skomputeryzowanych systemów trójukładowego monitoringu i proefektywnościowej analityki kosztów ponoszonych w podziemnej kopalni oraz na tej podstawie uruchomienie symulacyjnego systemu ekonomizacji jej inwestycyjno-produkcyjnej działalności”. Na znaczenie tych prac wskazywałem w specjalnym artykule: „Czym mierzyć jakość zarządzania – jak ją oceniać i poprawiać w górnictwie węgla kamiennego, Przegląd Górniczy 2006 nr 11.

w przypadku zastosowania w praktyce konkretnego – symulowanego w komputerze – wariantu struktury kopalni i porządku eksploatacji złóż.

W marcu 2002 roku – przyjmując za punkt wyjścia wskazany system SPP.1 (kreowany bardzo dawno i zepchnięty w zapomnienie, ale wciąż możliwy do odtworzenia) oraz zaawansowanie prac nad wdrożeniem strukturalnego (*terytorialnego*) układu rozliczania kosztów (SRK) – opublikowałem: **„Koncepcję systemu symulacyjnego, zintegrowanego planowania inwestycyjno-produkcyjnej działalności podziemnych kopalń – system SZP”**³²⁾. Stwierdziłem wówczas, że proponowane rozwiązania – stanowiące syntezę i uogólnienie wcześniejszych prac – *„otwierają szansę kreowania w zarządzaniu podziemną eksploatacją złóż nowej jakości, znamiennej (...) przechodzeniem najkrótszą drogą od poznania rzeczywistości kopalnianej (w systemie SRK) do symulacyjnego prognozowania efektywności przewidywanych działań i do optymalizacji podejmowanych decyzji”*.

Drugi z problemów – który również nie da się rozwiązać bez systemu SRK i SZP – to **gospodarka zasobami**. Problem ten tym pilniej potrzebował badań i propozycji *naprawczych* im większe „sukcesy” odnosiła prowadzona przez WŁAŚCICIELA *likwidacyjna restrukturyzacja* górnictwa węgla kamiennego..., *znamienna rabunkową gospodarką zasobami*. W roku 2002 – nawiązując do swojej pracy z roku 1981³⁴⁾ i do faktograficznej analizy dramatycznego *topnienia* zasobów naszych kopalń węgla kamiennego – zaproponowałem rozwiązania, które nazwałem „Zrównoważonym szerpymaniem złóż kopalni”. Opublikowałem je w miesięczniku Wyższego Urzędu Górniczego nadzorującego gospodarkę zasobami (WUG, 2002 nr 9).

Sednem tego rozwiązania jest wymaganie, aby decyzja o wyborze do eksploatacji kolejnych partii pokładów – była podejmowana nie na podstawie tak zwanego „doświadczenia” i analizy parametrów technicznych, a **na podstawie „komputerowo” prognozowanego, pełnego kosztu eksploatacji zlokalizowanych tam zasobów** – z wykorzystaniem systemów SRK i SZP. Równocześnie ma być przestrzegana zasada, że w przypadku sięgania po korzystniejsze zasoby – w sposób, który wywołuje w innych parcelach zwiększenie kosztu eksploatacji (np. ze względu na *podebranie* pokładu czasowo zaniechanego) – **koszt eksploatacji tych korzystniejszych zasobów zostaje powiększony (zrównoważony) o prognozowany przyrost kosztu w tych innych parcelach**.

Nie chcę nikogo *uczyć górnictwa* – usiłuję jedynie wyjaśnić zasadę działania systemu, do którego starałem się przekonać decydentów. Propozycja tylko z pozoru jest trudna. Po wdrożeniu systemu strukturalnego rozliczania kosztów (SRK) i zintegrowanego planowania inwestycyjno-produkcyjnej działalności kopalni (SZP) – **odejście od kwalifikowania zasobów do eksploatacji bez żadnej analizy kosztów (a więc odejście od rabunkowej gospodarki zasobami) – byłoby dość proste i realne**.

Podobnie jak systemy SRK i SZP – również metoda *zrównoważonego szerpymania złóż* nie zainteresowała ani WŁAŚCICIELA, ani Wyższego

Urzędu Górniczego, ani kierownictwa spółek, producentów węgla. Wprawdzie po roku 2004 tempo zamykania kopalń i przeklasyfikowywania zasobów przemysłowych (do nieprzemysłowych) nieco się zmniejszyło – jednak gospodarka zasobami nadal pozostała w znacznym stopniu rabunkowa i pozbawiona – ze strony WŁAŚCICIELA ZŁÓŻ – elementarnej kontroli w zakresie jej ekonomicznej zasadności.

*

Relację o tym jak w okresie rynkowej transformacji – *wdrożeniowa klęska* dosięgała wszystkie moje badawcze wysiłki – zakończę epizodem, który miał miejsce, gdy już pisałem te wspomnienia. Otóż w jesieni 2008 roku – już po przeniesieniu kopalni „Bielszowice” do Kompanii Węglowej i zaprzestaniu w niej użytkowania systemu SRK – postanowiłem sprawdzić, czy jest jeszcze możliwość *ekshumowania* systemu SPP.1, który od lat 90. osuwał się w zapomnienie. Narady z uczestnikami dawnego zespołu dr. hab. Andrzeja Czyłoka – głównie z dr. inż. Antonim Madejskim, mgr. inż. Tomaszem Kujawą dr. Czesławem Dzedzejem oraz głównym programistą systemu SRK mgr. Lechem Lisakiem – wykazały, że taka możliwość istnieje.

Zachowały się w archiwum COIG wewnętrzne dokumentacje... notatki... i wiedza członków dawnego zespołu. Oznaczało to, że wciąż jest jeszcze szansa na stosunkowo szybkie przygotowanie do wdrożenia do praktyki zarządzania inicyjalnej wersji systemu SZP – co stworzyłoby równocześnie dobry punkt wyjścia do dalszego rozwoju metody symulacyjnego planowania podziemnej eksploatacji złóż i klasyfikowania zasobów do eksploatacji na podstawie skomputeryzowanej oceny ich ekonomicznej efektywności. Postanowiłem więc wykorzystać tę wyjątkową możliwość i ponownie^{*)} wystąpić do Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego o sfinansowanie prac nad systemem SZP. Aby tym razem uzyskać zgodę Kompanii Węglowej na zajęcie w tym projekcie pozycji *jednostki wdrażającej* – zwróciłem się do Naczelnego Dyrektora GIG profesora Dubińskiego z prośbą o doprowadzenie do rozmowy w tej sprawie *na najwyższym szczeblu*.

Do wspólnej wizyty u Prezesa Zarządu, mgr. inż. Mirosława Kugieła, doszło 20 stycznia 2009 roku. W notatce przygotowanej na to spotkanie, precyzowałem podstawowy zakres przewidywanych prac i proponowałem skład zespołu realizującego. Czas realizacji określiłem na 15–20 miesięcy, a całkowity koszt na około 750–950 tys. zł, w tym na umowy o dzieło z zasadniczym zespołem wykonawczym, około 250–300 tys. zł (zależnie od ostatecznego sprecyzowania zakresu prac, wspólnie z przedstawicielem Kompanii).

Na wstępie zreferowałem istotę propozycji. Dalsza rozmowa dotyczyła głównie warunków pomyślnej realizacji przewidywanych prac. Odnośnie do propozycji wdrożenia w Kompanii systemu SRK – który miał zapewniać

^{*)} Poprzednia próba¹⁵⁸⁾.

informacyjny wsad do systemu SZP – Prezes zauważył, że kopalnia „Bieliszowice” zrezygnowała ze stosowania tego systemu. Gdy zwrócił uwagę na wzrost zagrożeń górniczych występujący wraz z powiększaniem głębokości eksploatacji – a ja wskazałem na konieczność szerszego stosowania podsadzki hydraulicznej – stwierdził, że koszt podsadzki jest bardzo wysoki. Zauważył też, że w Górnośląskim Zagłębiu Węglowym górnictwo zmierza do likwidacji – podobnie jak w Zagłębiu Ruhry.

Przyznaję, że byłem poruszony i przerażony poglądami Prezesa Zarządu Spółki – największego producenta węgla w Górnośląskim Zagłębiu Węglowym – równocześnie decydenta obdarzonego zaufaniem WŁAŚCICIELA całego górnictwa węgla kamiennego. Notatkę z propozycjami Instytutu pan Prezes zatrzymał... i to był jedyny rezultat tej wizyty.

Tak zakończyły się moje próby organizowania badań i usprawniania praktyki zarządzania w górnictwie węgla kamiennego w okresie rynkowej transformacji. To była próba ostatnia. Niestety nieskuteczna, podobnie jak wiele poprzednich podejmowanych zarówno w zakresie komputeryzacji zarządzania, jak i usprawnienia systemów eksploatacji złóż.

Działalność pozainstytutowa – społecznie-zawodowa

W końcowych dekadach epoki PRL – mojej pracy zawodowej towarzyszyła duża *aktywność pozainstytutowa*, którą wspominałem jako pracę *społecznie-zawodową*. Zajmowała sporo czasu, ale dawała satysfakcję wynikającą z poczucia, że się uczestniczy w czymś społecznie pożytecznym. Co stało się z tą aktywnością, gdy weszliśmy w czas rynkowej transformacji?

Otóż w pierwszych latach tej nowej epoki nasilenie pracy *społecznie-zawodowej* nie malalo. W jej nurcie podejmowałem nie tylko problemy górnictwa. *Walczyłem* (niestety bezskutecznie) m.in. o usunięcie z naszego języka hasła: „koktajle Molotowa” – jako oburzającego reliktu anglosaskiego *nieuctwa i lizusostwa* z czasów ostatniej wojny (mówilem o tym na str. 99). Występowałem w tej sprawie do profesora Miodka (1998), władz radia i telewizji (2006) i nawet Prezydenta Kaczyńskiego (2006). *Walczyłem* też o kreowanie „*Międzynarodowej konwencji w sprawie przestrzegania prawdy historycznej w edukacji*” (1994 – Komitet „Prognoz...” przy Prezydium PAN). Widziałem w tym najskuteczniejszą drogę do poprawy stosunków sąsiedzkich między państwami – w tym również między Polską i Rosją. Później występowałem w tej sprawie do Ministra Rosatiego (1996) i Prezydenta Kwaśniewskiego (2002) – także bezskutecznie!

Oczywiście – problemy rynkowej transformacji górnictwa i gospodarki – zajmowały najwięcej miejsca. Wspominałem już konferencje, które w latach 1989–1990 organizowałem w środowisku TNOiK oraz Sekcji Ekonomiki i Orga-

nizacji Komitetu Górnictwa (PAN)⁷⁾. Wszyscy w tym środowisku byliśmy zaangażowani emocjonalnie w obronę górnictwa węgla kamiennego przed *degradacją*.

W latach 1992–1993 w Komitecie Górnictwa PAN – gdzie pełniłem w tym czasie funkcję Wiceprzewodniczącego – zorganizowaliśmy prace nad „Raportem o stanie i zadaniach nauki w górnictwie”. Podobny raport – ale dotyczący tylko specjalności „Ekonomika i Organizacja Górnictwa” – opracowaliśmy w naszej Sekcji w latach 1983–1985 (o czym już wspomniałem). Tym razem Komitet Górnictwa PAN zdecydował się opracować analogiczne raporty we wszystkich dziewięciu specjalnościach składających się na DYSCYPLINĘ GÓRNICZTWO. Przygotowane raporty zostały opublikowane¹³⁶⁾ i przedyskutowane na dwudniowej konferencji – 22 i 23 czerwca 1994 roku.

Zostały też wykorzystane do opracowania OCENY POZIOMU DYSCYPLINY¹³⁷⁾ – zleconej do wykonania wszystkim Komitetom PAN, przez Sekretarza Naukowego Polskiej Akademii Nauk profesora Andrzeja Wycańskiego (pismo z dn. 26 stycznia 1994 roku).

We wnioskach OCENY^{**)}, zaakceptowanej przez Przewodniczącego Komitetu Górnictwa profesora Stanisława Knothe i przekazanej Prezydium PAN – napisałem wówczas: *„Bezpieczeństwo surowcowe Kraju – zwłaszcza bezpieczeństwo energetyczne – oraz społeczne względy zatrudnienia, wymagają dalszego funkcjonowania polskich przemysłów górniczych. Przemysły te oraz DYSCYPLINA GÓRNICZTWO stoją przed wspólnym, olbrzymim wyzwaniem. Polega ono na osiągnięciu takiego wzrostu ekonomicznej efektywności produkcji kopalin, aby (...) polskie surowce górnicze były konkurencyjne na rynku krajowym i w eksporcie (...) W warunkach racjonalnej polityki gospodarczej i naukowej Państwa są realne szanse, że wskazanemu wyzwaniu sprosta zarówno przemysł, jak i nauka”*.

Nie będę omawiał szczegółów przygotowanej OCENY. Podkreślę jedynie, że rezultaty wysiłku, który został wówczas zrobiony, aby DYSCYPLINĘ GÓRNICZTWO *zmobilizować* do autentycznego zaangażowania w prace na rzecz konkurencyjności i ekonomicznej efektywności naszego górnictwa – oceniałem jako nie dość skuteczny. Zespół prowadzony przez profesora Jakuba Bodzionego w toku prac nad I częścią „OCENY...” ustalił, że w dyscyplinie górnictwo, w 17 dużych jednostkach organizacyjnych „pracowało ogółem 2645 pracowników, w tym 655 pracowników naukowych”. Uważałem, że zaangażowanie dużej części tej kadry na rzecz konkurencyjności i efektywności naszego górnictwa – było i pozostaje niedostateczne. Przyznając, że nadal obstaję przy tym poglądzie.



Prof. Stanisław Knothe – wieloletni Przewodniczący Komitetu Górnictwa PAN

⁷⁾ Sekretarzem Sekcji był wówczas – od paru kadencji – dr inż. E. Pawełczyk.

^{**)} Byłem autorem części II OCENY, zawierającej jej SYNTEZĘ i wnioski.

Niezależnie od prac prowadzonych w skali Komitetu Górnictwa PAN – Sekcja EiO, w kadencji 1991–1993, zorganizowała 5 sympozjów poświęconych problematyce transformacji rynkowej⁶⁵⁾.

W następnej kadencji zorganizowaliśmy 3 konferencje:¹³⁸⁾ w grudniu 1994 roku – we współpracy z Głównym Instytutem Górnictwa konferencję poświęconą „Problemom kosztów produkcji górniczej”; w czerwcu 1995 roku sympozjum, na którym rozpatrywaliśmy naszą specjalność „jako przedmiot nauczania akademickiego”; w marcu 1998 roku zorganizowaliśmy konferencję poświęconą problemowi tzw. kosztów stałych.

Jednak były to już lata, w których warunki prowadzenia aktywnej działalności *społecznie-zawodowej* zaczęły być coraz trudniejsze i coraz mniej zachęcające. Jak wspominałem – w 1991 roku zrezygnowałem z kandydowania w wyborach na Prezesa Śląskiego Oddziału TNOiK i przekazałem tę funkcję profesorowi Janowi Pyce, który wygrał wybory. W konsekwencji przestałem być również członkiem Zarządu Głównego TNOiK w Warszawie. W 1993 roku – wraz z końcem *burzliwej* kadencji lat 1990–1992 – przestałem też być członkiem Komitetu Nauk Organizacji i Zarządzania (po czterech kadencjach).

Podobnie – po zakończeniu kadencji 1996–1998 – nie kandydowałem na przewodniczącego Sekcji Ekonomiki i Organizacji Górnictwa, Komitetu Górnictwa PAN. Prowadziłem ją przez 17 lat. Na przewodniczącego Sekcji rekomendowałem profesora Kazimierza Czopka, który pełnił tę funkcję przez kilka następnych kadencji.

W 2006 roku – po ponad dwudziestu latach uczestnictwa w pracach Komitetu Górnictwa PAN – przestałem być jego członkiem. Z dużą sympatią wspominam regulaminowe zebrania Członków tego Komitetu, którym z ogromną kulturą przewodniczyli kolejno profesorowie: Jerzy Litwiniszyn, Stanisław Knothe i Waclaw Trutwin. To były zawsze spotkania pożyteczne w aspekcie środowiskowej wymiany poglądów i równocześnie przyjemne w aspekcie koleżeńskim. O swoim krytycznym poglądzie na skuteczność, z jaką Komitety Polskiej Akademii Nauk wpływały na gospodarczą rzeczywistość Kraju – już mówiłem (str. 376–377).

Gdy w 2007 roku rozpoczynałem pisanie tych wspomnień – w zasadzie cała moja działalność społecznie-zawodowa była już *wygaszona*. Aktywnym członkiem pozostałem jedynie w Komitecie Redakcyjnym Przeglądu Górniczego. W comiesięcznych spotkaniach Komitetu – prowadzonych przez kilkadziesiąt lat przez Naczelnego Redaktora Jerzego Malarę – później dość krótko przez Profesora Władysława Konopko, a od 2008 roku przez Profesora Wiesława Blaschke – zawsze chętnie uczestniczyłem. Przyznaję, że przez wiele lat miało to związek z gawędziarskim talentem Jerzego Malary, który pamiętając *nieskończoną liczbę* różnych anegdotycznych sytuacji z życia naszego *górniczego świata* i umiał nimi urozmaicać obrady w sposób bezkonkurencyjny!!

W październiku 2009 roku, Komitet Redakcyjny Przeglądu Górniczego – zaakceptował moją propozycję, aby ustanowić i od 2010 roku przyznawać Nagrodę imienia Profesora Bolesława Krupińskiego za: „Najlepszy artykuł upowszechniający doświadczenia kopalń podziemnych w zakresie działań skutkujących poprawą bezpieczeństwa górniczego i ekonomicznej efektywności eksploatacji złóż”.

Starania, które podejmowałem z okazji 35-lecia i 40-lecia Głównego Instytutu Górniczego, aby nadać Instytutowi imię profesora Bolesława Krupińskiego – nie były skuteczne. W 1993 roku – z okazji 100-lecia urodzin Profesora wznowiłem te starania⁹⁰⁾. Do przewodniczącego Rady Naukowej GIG profesora Jerzego Kwiatka – pisałem wówczas: „wyraźne związanie GIG z nazwiskiem profesora Krupińskiego, który ma olbrzymie zasługi w ukierunkowaniu nauki górniczej na zagadnienia ekonomiki i organizacji, w służbie efektywności kopalń miało by duże znaczenie dla aktualnej pozycji GIG i jego dalszej pracy”¹⁵⁴⁾. Niestety – również to wystąpienie nie było skuteczne.

W tej sytuacji, nagrodę imienia Profesora Krupińskiego przyznawaną przez Przegląd Górniczy – czołowe naukowo-techniczne czasopismo górnicze o ponad 100-letniej tradycji – uznałem za skromny substytut upamiętnienia, które od dawna Mu się należało. Równocześnie fakt ten odebrałem jako optymistyczny sygnał, że przynajmniej niektóre z moich starań – chociaż po wielu latach – mają szansę przynieść przynajmniej częściowy „skutek użyteczny”.

* * *

Czy mogę się tego spodziewać również w odniesieniu do „niechcianych” rozwiązań w zakresie technologii i zarządzania w górnictwie (głównie węgla kamiennego) – które relacjonowałem w pięciu poprzednich podrozdziałach – a w zainteresowanych środowiskach lansowałem przez cały okres rynkowej transformacji ... i wcześniej? Doprawdy nie wiem! Po doświadczeniach minionego 20-lecia moja wiara w racjonalność przemian – bardzo osłabła. Co zmieni się w polityce i metodach zarządzania górnictwem – nie umiem przewidzieć – choć w dłuższej perspektywie wciąż wierzę w zwycięstwo rozsądku.

Sądzę jednak, że jeżeli nawet rozwiązania, które lansowałem, nadal będą *niechciane* i nie będą wdrażane (a na tym zawsze najbardziej mi zależało), to i tak – wraz z publikowanym dorobkiem analityczno-poznawczym⁹¹⁾ – pozostaną jako *ślad* inspirujący do podejmowania dalszych usiłowań.

Znaczną część tego dorobku zsyntetyzowałem w przywoływanym już – podręczniku: „Podstawy ekonomicznej efektywności podziemnej eksploatacji złóż”⁸¹⁾. Mam nadzieję, że mimo rozplenionego *partykularyzmu*⁸⁸⁾ – to wy-dawnictwo będzie czasem docierać do studentów i kadry pogłębiającej swą wiedzę. Mam też nadzieję, że wraz z przynajmniej niektórymi pozostałymi

⁹¹⁾ Opublikowałem 17 pozycji książkowych (w tym 2 wskazane na str. 448 i 7 „pod redakcją”) oraz ponad 200 artykułów i referatów (bez publikacji popularyzatorskich i „małej poligrafii”).

pracami analityczno-poznawczymi – dołączy do olbrzymiego dorobku badawczego i doświadczalnego naszego górnictwa. Chcę wierzyć, że w końcowym rachunku to WIEDZA i DOŚWIADCZENIE – a nie opaczna *antysurowcowa* (straganiarska⁹¹) *doktryna i niezrozumiała polityka energetyczna* – będą decydować o przyszłości polskiego górnictwa.

Znów na Kresach

Ostatnia dekada wieku XX i pierwsza XXI – były zdominowane zmianami związanymi z agonią PRL-u i „Okragłym Stołem” oraz formowaniem się III Rzeczypospolitej. Po wejściu gospodarki na drogę rynkowej transformacji oraz politycznym i gospodarczym otwarciu Kraju na kontakty ze światem – w życiu prywatnym uformowały się trzy nurty.

Nurt *podstawowy* stanowił kontynuację tego wszystkiego, czym było wypełnione życie prywatne w epoce PRL-u – oczywiście ze zmianami, które niósł upływ lat i nowa rzeczywistość gospodarki rynkowej. Ten nurt będę wspominał później.

W pierwszej kolejności opowiem o dwóch nurtach, które wniosły do życia w postPRL-owskiej epoce wydarzenia całkiem nowe wcześniej niemal niewyobrażalne! Będą to wspomnienia z wypraw na nasze Kresy oraz (w kolejnym podrozdziale) z wycieczek, tzw. *objazdówek* organizowanych przez biura podróży. Wszystko, co niesły obydwaj wyróżnione nurty wykraczało poza *powседневność* charakterystyczną dla nurtu *podstawowego*. Wnosiły też do życia – jakże potrzebny – element urozmaicenia i niezwykłości.

* * *

Po rozpadzie Związku Radzieckiego i proklamowaniu *niezależnej* Białorusi (1990) Okręg Nowogródzki Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej (ŚZZAK) – uruchomił szeroką akcję odbudowy partyzanckich, AK-owskich ementarzy na Nowogródczyźnie. We wrześniu 1991 roku, Prezes Okręgu Stanisław Karolkiewicz („Szczęsny”) i Sławek (członek Zarządu) prowadzili, związaną z tym, autokarową *pielgrzymkę*^{**} kombatanatów na Białoruś. Okazało się,



Od lewej: Stanisław Karolkiewicz („Szczęsny”) i Sławek na postoju pielgrzymki, z którą pierwszy raz po wojnie jechałem na Kresy

⁹¹ O zintegrowane, koncernowe zarządzanie „Skarbowym Górnictwem” dopominałem się, twierdząc, że nie można zarządzać nim, tak jak straganami czy budkami z piwem.

^{**} Tak nazywaliśmy wyprawy na nasze partyzanckie ementarze.

że jest możliwość dołączenia do niej własnym samochodem – co otwierało szansę zboczenia z trasy autokaru i odwiedzenia rodzinnych kątów. Miałem je zobaczyć pierwszy raz po 48 latach!!

Tę pierwszą wizytę pamiętam jako ogromne przeżycie. Sławek był w takim stanie ducha, że wówczas – i jeszcze przez kilka następnych lat – nie chciał widzieć Lacka. Ja chciałem! Jechałem z Andrzejkiem, żeby pokazać mu, gdzie są jego *korzenie*. Białoruś *postsowiecka* była wówczas terenem słabo rozpoznanym a poruszanie się polskim samochodem osobowym po bocznych drogach określano jako niebezpieczne. Wizyta w Szczuczynku i Lacku miała więc trwać krótko. Chcieliśmy możliwie najszybciej dołączyć do autokaru, który podążał do Lidy i Surkont, gdzie 8.09.1991 roku miał być poświęcony cmentarz żołnierzy poległych w 1944 roku – wraz z „Kotwiczem” – w nierównej walce z NKWD (przypomniałem tę walkę na str. 197).

Z szosy Grodno – Lida skręciliśmy najpierw do Szczuczynka. Wspaniałe lipy, które kiedyś górowały nad folwarkiem – ledwie przypominały dawną chwałę – ale wciąż trwały. Pokazywałem ich ówczesny stan – na stronie 61 wspominając czasy gimnazjalnej nauki. Pokazywałem także kamienną stodołę, która zawsze wydawała się wprost niezniszczalna i także leszczynową aleję – jakby cudem ocalałą (str. 60). Dodam, że w czasie tej pierwszej



W 1991 roku spichrz w Szczuczynku wciąż jeszcze trwał – w głębi widoczna kamienna stodoła

wyprawy mogłem jeszcze pokazać Andrzejowi szczuczynkowski magazyn (spichrz) – ale cała reszta: dom, pozostałe zabudowania dworu i rozległy sad – wszystko to już nie istniało. W następnych latach również te pozostałości, które wówczas oglądaliśmy – stopniowo znikaly. W Szczuczynku powstała „Mleczna farma Janczuki” (od nazwy sąsiedniej wsi) więc w latach 2000, nawet miejscowość (jako nazwa) przestała istnieć.



To zdjęcie dość dobrze opisuje ruinę, którą w roku 1991 oglądaliśmy w Szczuczynku. W głębi widnieje resztkę lip

Jadąc do Lacka minęliśmy Domuciuowce, gdzie najprawdopodobniej zginął Ojciec. Gdy wyjechaliśmy z lasu ukazał się DOM, który wciąż trwał w otulinie drzew. To wówczas zrobiłem zdjęcie, które pokazałem na str. 117 – wspominając nasz powrót w 1941 roku z Generalnej Gubernii do Lacka. Wrażenie – tym razem – było chyba większe niż wówczas!

Wjechaliśmy na dziedziniec dworu i dość pośpiesznie zaczęliśmy oceniać stan aktualny. Dom był zamieszkały. W kuchni i w stołowym pokoju gnieździła się sowiecka rodzina „wastoczników”^{*)}. Pozostałe pokoje były zdewastowane, a okna zabite deskami. Stał również magazyn (spichrz). Z lepianki pozostał tylko dość duży kawał narożnej ściany. Ten budynek, gdy znalazł się pod kolcho-

zowym dziurawym dachem po prostu się rozsywał. Trwały też szpalery drzew, które kiedyś otaczały dwór i budynki – teraz nieistniejące – z wyjątkiem spichrza. To wówczas – opuszczając Lack (w drodze na cmentarz) – utrwaliłem zarys dworu wciąż widoczny na zdjęciu zamieszczonym na stronie 14.

Kwatery rodziny Skawinskich i Lisowskich – znajdujące się po przeciwnej stronie głównej alei lackowskiego cmentarza – zastaliśmy zaniedbane i zarośnięte chwastami. Ale pomniki nie były zdewastowane. Z ogromnym wrzuceniem zapaliliśmy



Tak wyglądał nasz DOM w Lacku, gdy byliśmy tam w 1991 roku



Andrzejek zapala znicze pod pomnikiem Dziadka i Pradziadka Lisowskiego na lackowskim cmentarzu



Wśród zielska zapalam znicze na kwaterze Skawinskich. Pomniki Dziadka Józefa i wuja Wilhelma

^{*)} Nasiedleńcy ze wschodu.

przywiezione znicze. Zdążyliśmy jeszcze uzgodnić z panem Bolesławem Szoci-kiem – w tym czasie *kościelnym* lackowskiej parafii – sprawę uporządkowania obydwoch kwater oraz opieki nad nimi w następnych latach. Pan Bolesław bar- dzo rzetelnie wywiązał się z zawartej wówczas niepisanej umowy. Później ak- tualizowaliśmy ją wielokrotnie.

Suma wrażeń z tej pierwszej po wojnie wizyty w Szczuczynku i Lacku była ogromna. Pobyt trwał jednak zbyt krótko, aby odświeżyć w pamięci roz- legły obraz *rodziny kątów* opisany w pierwszych rozdziałach tych wspo- mnień. Pełna ostrość obrazu wracała stopniowo – dopiero w wyniku kolej- nych wypraw.

Tymczasem następnego dnia czekały nas nowe przeżycia na cmentarzu „Kotwicza” i jego żołnierzy. Uroczystość była bardzo podniosła z udziałem dużej grupy naszych kombatantów i miejscowej ludności. Obecna była rów- nież żona „Kotwicza” pani Irena Kalenkiewiczowa. W powrotnej drodze przez Szczuczyn – „pielgrzymka” złożyła kwiaty na mogile partyzantów „Ponurego” poległych podczas nieudanej próby opanowania Szczuczyna (wspominam ją na stronie 145). Pomnik na tej mogile został postawiony dopiero w następnych latach.



Partyzancki cmentarz w Surkontach po odbudowie i poświęceniu



Kombatanci przy – jeszcze nieuporządkowanej – mogile żołnierzy VII batalionu na cmentarzu w Szczuczynie

W 1992 roku znów dołączyłem do pielgrzymki na „Kresowe cmentarze”. Tę wyprawę robiłem z Adą i Henrykiem Wilkojciem („Sakoliczem” odnalezionym we Wrocławiu); także z Wisią Bolczykówną (towarzyszką zabaw w dzieciństwie – str. 48), która po wyjeździe z Kresów zamieszkała z Matką w Krakowie. Wszyscy mieli kresowe korzenie i wszystkich ciągnęły tam wspomnienia. Także ten wyjazd do Lacka był krótki – *jak po ogień*. Ale wspomnienia wracały nową falą w coraz większych szczegółach.

Z kombatanką pielgrzymką byliśmy wówczas na partyzanckim cmentarzu w Stryjówce, gdzie zginęło 30 żołnierzy UBK podczas ich przejścia



Pomnik żołnierzy UBK w Stryjówce, stoją: Ada, Sławek, Wisia i „Sokół”, mój partyzancki przyjaciel



Cmentarz „Ragnerowców” w Niecieczy – ich mateczniku. Zidentyfikowano ponad 40 mogił

z Podlasia na Nowogródczyznę. Wzięliśmy też udział w uroczystości poświęcenia cmentarza „Ragnerowców” w Niecieczy (20.09.1992 r.). Starsza już kobiecina, która stała wówczas koło Ady – płakała ze wzruszenia rzewnymi łzami; powiedziała do niej: „Pani – ja nawet nie myślała że doczekam żeby zobaczyć polskiego żołnierza”. W ceremonii brał wówczas udział poczet Wojska Polskiego z Warszawy, a cała uroczystość rzeczywiście robiła duże wrażenie.

Prawdziwie wspomnieniową wyprawę w rodzinne kąty zrobiliśmy z Andrzejem dopiero w sierpniu 1994 roku. Wcześniej nie było warunków.



Andrzej z Joasią – cały szczęśliwy

Andrzej zbliżał się do dyplomu i – co istotne – w styczniu 1992 roku założył rodzinę. Jednak wykazywane wcześniej zainteresowanie Kresami i losem miejsc, z których się wywodził – nic zmałało! Znow granicę przekraczaliśmy z kombatanką pielgrzymką, ale w Grodnie odłączyliśmy się od niej. Nocując u księdza Budyna w Lacku Kościelnym – przez prawie dwa dni odwiedziliśmy *stare kąty* w Lacku, Szczuczynku i Szczuczynie. Po tej szczegółowej *podróży w przeszłość*, odwoziłem Andrzeja na dworzec kolejowy w Grodnie, a sam pojechałem do Nowogródka. Tam

zrobiłem wypad nad jezioro Świtez i dołączyłem do *pielgrzymki*, aby udać się z nią do Nalibok i na końcu do Szczuczyna. Andrzej natomiast wracał do Katowic, żeby podjąć swą pierwszą pracę w firmie i w zawodzie.

Gdy z Andrzejem dotarliśmy do Lacka zastaliśmy DOM nadal zamieszkały – w kuchni i stołowym pokoju. Aktualni gospodarze pozwolili obejrzeć wnętrza – także w zrujnowanej części domu. Byłem więc znów – po całym półwieczu – w tych pomieszczeniach, które z trudem dawały się identyfikować jako nasz pokój dziecienny... pokój Babci... salon... Później – obchodząc dom od strony sadu – widzieliśmy parę ocalałych jabłoni i resztkę jaśminów, które wspominam



Andrzej obok rozwalonego pieca w przedwojennym lackowskim salonie

na stronie 27. Magazynu (spichrza), który oglądaliśmy przed trzema laty już nie było. Stercząca wówczas dość duża ściana *lepianki* znacznie się zmniejszyła. Wszedłem do środka (za tę ścianę) i znalazłem się wśród młodych drzew, które rosły dokładnie tam, gdzie jako dzieci bawiliśmy się *na sianie!!* Przyszło mi, że gdy to sobie uświadomiłem... wzruszenie ścisnęło mi gardło*.



Resztkę ściany widocznej w głębi – poświadcza, że to tutaj był labirynt nor i jaskinia Ali Baby

Następnie pojechaliśmy do młyna w Jewłaszach. Droga w tym miejscu została poprowadzona nową trasą (obok dawnej). W chaszczach z trudem odnaleźliśmy ślady starej grobli, resztki obydwóch mostów oraz zarys fundamentów młyna. Po stawie pozostał rozległy teren, porośnięty krzakami. Spuszanka – gdy zniknął staw – zamieniła się w rzeczkę nieporównanie mniejszą niż kiedyś.

Jadąc z młyna do Lacka Kościelnego (przypominam szkic na stronie 13) sfotografowałem to, co pozostało po niegdyśniejszym moście (pod którym lapało się



Zamiast drewnianego mostu – betonowa rura, a zamiast dość dużego stawku – kaluża

* Gdy w 2007 roku czytałem przywoływane już wspomnienia „dziecka” Spuszy¹¹⁰ uświadomiłem sobie zbieżność przeżyć, które są udziałem ludzi Kresów.

kielbie i mięsą) oraz po małym stawku, który w moim i Sławka dzieciństwie zajmował ważne miejsce.

Zanim dotarliśmy do kościoła i na cmentarz – zatrzymaliśmy się przy wielkim kamieniu i poszliśmy nad Spuszankę. W miejscu, gdzie było kiedyś kąpielisko pod olchą (str. 41), Spuszanek – pozbawiona spiętrzenia – była le-



Tylko to pole zostało po Karalowszczyźnie... i wspomnienia...



Kościół w Lacku Kościelnym – wybudowany przez księdza Szkopa – przetrwał czasy sowieckiej ateizacji

dwie widoczna. Zboczyliśmy z drogi i pojechaliśmy do Karalowszczyzny. Na miejscu, gdzie kiedyś był ładny dworek i sad – gdzie przecież był dość duży folwark – nie zostało nic! Równe pole!! Tylko widok z tego wzgórza trochę przypominał ten sprzed lat.

Kościół w Lacku – broniony twardo przez miejscową ludność – przetrwał nadspodziewanie dobrze zarówno czasy Związku Radzieckiego, jak i Łukaszenki. Te same ołtarze projektowane przez Ojca... ambona... ławki... Nawet kolatorska ławka Rodziców – przetrwała – została jedynie przestawiona w inne miejsce. Ksiądz Budyn, który nam pokazywał kościół – gdy go spytałem „*jak przetrwała polskość tych stron*” – odpowiedział: „*polskość przetrwała, ale jest białoruska*”. Nie jest łatwo zrozumieć tę diagnozę – kto wie czy nietrafną?

Nie będę opowiadał o tym, jak w czasie tej podróży w przeszłość – nocowaliśmy z Andrzejem

w gościnnej plebani... jak byliśmy na cmentarzu, gdzie kwatery były już odnowione... jak pojechaliśmy pod lackowski las, gdzie wciąż były widoczne ślady okopów z pierwszej wojny światowej... jak byliśmy w Szczuczynku i w Szczuczynie... To była wielka wyprawa... i nareszcie było sporo czasu na dzielenie się powracającymi wspomnieniami.



Kwaterna Lisowskich na lackowskim cmentarzu – po renowacji (1994 r.)

Kolejną wielką wyprawę w *lackowską przeszłość* – także z prawie całym dniem na *penetrację i wspomnienia* – zrobiliśmy dopiero po dziesięciu latach, w 2004 roku. Była to wyprawa prywatna. Granicę przekroczyliśmy koleją, a w Grodnie wynajęliśmy taksówkę. Tym razem nie tylko ja, ale również Andrzej pokazywał nasze *rodzinne kąty* swojej córce z pierwszego małżeństwa Dominice i Kasi – swojej *nowej żonie*. To Ona zrobiła nam wówczas *historyczne* zdjęcie przed lackowskim domem w układzie, który przypominał sytuację z mego dzieciństwa. Dokładnie w tym miejscu – w 1927 roku, a więc przed osiemdziesięciu laty – pozowałem ze Sławkiem i panią Olgą do zdjęcia pokazanego na stronie 24. Wspomnienia... wspomnienia...



Po 80 latach stanąłem znów w tym miejscu – ale z synem i wnuczką

W 2007 roku – gdy z pielgrzymką kombatanatów Okręgu Nowogródzkiego AK byliśmy w Grodnie – po uroczystościach na tamtejszym cmentarzu – znów wzięliśmy taksówkę (hylem bez samochodu) i pojechaliśmy do Lacka. Tym razem nie było Andrzeja, ale był Sławek z córkami: Majką i Elżbietką^{*)} oraz dziećmi Elżbiety: Mieszkiem i Justyną (foto na następnej stronie). Ruszyliśmy po południu – było więc mało czasu. Zdążyliśmy jednak młodemu pokoleniu pokazać jeszcze to, co w Lacku zostało z przedwojennego rodzinnego gniazda. Tuż przed wieczorem byliśmy na cmentarzu... Pokolenie wnuków zapaliło znicze na grobach dziadka i dwóch pradiadków. Przejęło też trochę *obrazów* z naszej kresowej przeszłości... by zabrać je w swoją przyszłość.

We wrażeniach z *powrotu na Kresy* (o którym opowiadam) wyróżniły się dwa obszary. W pierwszym okresie – wspomnienia z dzieciństwa i lat szkolnych były chyba najistotniejsze. Później wspomnienia kombatanckie zaczęły być równie ważne, jeżeli nie ważniejsze.

W sierpniu 1994 roku (w czasie już relacjonowanej wyprawy) wspomnienia kombatanckie zostały wzbogacone o przeżycie zupełnie wyjątkowe. Zawdzięczam je Wackowi Grygielewiczowi, koledze ze szczuczyńskiego

^{*)} Przypomnę, że obie urodziły się, gdy Sławek ukrywał się pod fałszywym nazwiskiem (str. 294).



W 2007 roku zrobilem to zdjęcie na laskowskim cmentarzu. W środku Sławek z panem Bolesławem Szocikiem. Z prawej: Elżbietka i Maja (z aparatem). Z lewej Justynka i Mieszko

dzierżawca naszego młyna w Jewłaszach, z całą rodziną.

Jadąc po strasznych wertepach – przez zakazane tereny „zapasowego lotniska wojskowego” – z trudem odnaleźliśmy ogromną mogiłę z dość okazałym sowieckim pomnikiem. Wacek – jako członek poczty sztandarowego



Pomnik na grobie 2060 ofiar masakry żydów ze szczuczyńskiego getta – 9 czerwca 1942 roku

gimnazjum i kombatantowi z AK-owskiej partyzantki. Gdy kończąc wyprawę znaleźliśmy się w Szczuczynie Wacek zaproponował, żebyśmy w parę osób – moim samochodem – zawieźli kwiaty na grób żydów zamordowanych przez Niemców w Szczuczynie w czerwcu 1942 roku. Jak wspominałem (str. 136) byli wśród nich nasi jednoklasowi koledzy: Gołub, Lewicki... bardzo przystojna Frydmanówna, córka szczuczyńskiego czapnika... Była też nasza świetna nauczycielka łaciny panna Smuszkinówna („Habere”)... i pan Chona,

– był w mundurze wojskowym... Postawiliśmy butelkę z polnymi kwiatami – bo innych nie było. Czułem się dziwnie!! Dotychczas – dokonaną tu makabryczną zbrodnię miałem w swojej świadomości ulokowaną w zbiorze jakże wielu podobnie wstrząsających zbrodni minionej wojny. Dopiero ten skromny gest – zainicjowany przez Wacka – uświadomił mi jej wyjątkowość. Przecież ta unicestwiona wówczas żydowska społeczność stanowiła istotną część naszej kresowej rzeczywistości!

W moich kombatanckich wspomnieniach – zupełnie wyjątkowo – upamiętnił się też lipiec 2000 roku. Zostałem wówczas włączony do delegacji Nowogródzkiego



Na dworcu kolejowym w drodze do Katynia. W mundurach poczet sztandarowy Nowogródzkiego Okręgu SZŻAK: Wacek Grygielewicz, Zbigniew Ardziński, Romuald Bardziński



W głębi pomnik Katyńskiego Cmentarza. Sławek stoi przy grobie generała Bronisława Bohaterowicza

Okręgu AK na państwową uroczystość poświęcenia cmentarza naszych oficerów zamordowanych w Katyniu. Przejazd pociągiem do Smoleńska... później na stację w Gniezdowie, gdzie wylądowywano skazańców... później

Katyński Las... Ogromne wrażenie robił pięknie zaprojektowany cmentarz i tysiące tabliczek z nazwiskami... Także doły śmierci, nieco oddalone, wśród sosen... uroczysta msza..., wzruszające kazanie i przemówienia prominentów. Gdy słyszałem, jak w tych przemówieniach zbrodnia Biura Politycznego – **zbrodni-**



Poczty Sztandarowe w czasie katyńskich uroczystości (nasz poczet w środku. 28.07.2000 r.)

czej organizacji, jaką była KPZR, na czele ze Stalinem, Mołotowem i Bериą – była wciąż ukrywana za *szylde*m zbrodni NKWD – ogarniała mnie wściekłość zupełnie niepasująca do tych uroczystości. Tych uczuć i przeżyć nie da się opowiedzieć! Ci, którzy wówczas tam byli z pewnością to potwierdzą.

Nie będę przedłużał relacji z wypraw na nasze Kresy. Gdy robiliśmy je na początku lat 90., były wyprawami po odległe wspomnienia z czasów mego dzieciństwa i wojny. Teraz – po latach – już i te wyprawy stały się wspomnieniem... wciąż żywym i bliskim. Czy można się *wyleczyć* z przywiązania do RODZINNYCH STRON? Boję się, że z tej *choroby* – ludzi z Kresów – nie daje się *wyleczyć*! Andrzej też został nią *zarażony*... czasem pyta: „*kiedy znów robimy wyprawę?*”

Otwarcie na daleki świat

Od czasu pamiętnej samochodowej wyprawy w roku 1963 – do Bulgarii nad morze Czarne (str. 350–352) – tego rodzaju wyprawy weszły na stałe do programu letnich urlopów. Także po roku 1990 pozostały trwałym elementem *podstawowego* nurtu życia prywatnego – tym bardziej, że wymienialność złotówki i własny „paszport w kieszeni” odesłały do lamusa PRL-owskie ograniczenia turystyczne. Niektóre z tych wypraw będę wspominał w następnym podrozdziale.

Jednak wraz z rozwojem gospodarki rynkowej pojawiła się nowa możliwość urozmaicenia czasu przydzielanego sobie na przyjemności i na poznanie świata. Była nią – wcześniej niedostępna – możliwość korzystania z wycieczek turystycznych (właśnie wspomnianych wyżej *objazdówek*) organizowanych przez biura podróży, coraz liczniej pojawiające się na rynku. Wczasy pobytowe (najczęściej nad Morzem Czarnym), które kiedyś były wielką atrakcją kupowaną w „Orbisie” lub „Sport Turystycie” – dawno przestały interesować zarówno Adę, jak i mnie.

W 1996 roku, gdy w GIG-u zacząłem pracować na pół etatu, a sobotnio-niedzielnie zajęcia w Wyższej Szkole... mogłem dość łatwo przesunąć na



Panorama Toledo – zadziwia malowniczością

dogodny terminem – czas przeznaczony na turystykę znacznie się wydłużył i uelastyczył. To wówczas po raz pierwszy – wraz z Janą (bratową) wykupiśmy wycieczkę *objazdową* do Hiszpanii. Uznaliśmy, że na jazdę własnym samochodem jest to trasa zbyt nużąca. W tamtą stronę jechaliśmy autokarem – przez Pilzno i Lyon – a powrót odbył się samolotem z Malagi do Warszawy. W Hiszpanii zwiedziliśmy Barcelonę, Saragossę, Madryt, Toledo, Kordobę, Sewillę, Granadę, Gibraltar i na końcu

– Malagę. W ciągu 12 dni otrzymaliśmy ogromną *dawkę* historii i kultury przepięknej Hiszpanii. Przy tym, zwiedzaliśmy kraj nie według własnego amatorsko obmyślanego „rozkładu jazdy” a zgodnie z fachowo przygotowanym programem i z dobrym przewodnikiem. Byliśmy zgodni, że tak organizowana turystyka jest *świetnym wynalazkiem*.

Jednak w następnym roku nie skorzystaliśmy z tego *wynalazku*. Przy okazji samochodowego wyjazdu na chorwackie środkowe wybrzeże – na dwutygodniowe *leżenie* nad Adriatykiem – zafundowaliśmy sobie gruntowne odświeżenie wspomnień ze Splitu, Dubrownika, Szybeniku... Postojnych Jam i Plitwickich Jezior. W powrotnej drodze przez parę dni zwiedzaliśmy

Wiedeń. Byliśmy na wzgórzu, z którego husaria Sobieskiego realizowała „Wiedeńską odsiecz” – *niepotrzebną* – jak w 1939 roku twierdził profesor Dańko w grodzieńskim liceum (str. 72–73). Jadąc z centrum Wiednia do „Schönbrunn” – widziałem wówczas świetnie działającą „zieloną falę” – u nas w tamtym czasie prawie nieznaną. Zwiedziliśmy też Grinzing i Prater – z jego „*Tunel Strachów*” i „*Kolem Olbrzyma*”, z którego można było podziwiać cały Wiedeń. Włoczyliśmy się po *Starówce* i odwiedzaliśmy wspaniałe austriackie muzea. Przed tym pobytem – i także po nim – przejeżdżaliśmy przez Wiedeń wiele razy, ale nigdy nie zwiedzaliśmy go tak gruntownie.

Po rocznej przerwie znów skorzystaliśmy z *wynalazku* już wypróbowanego. Wykupiliśmy *objazdówkę* do Turcji. Ada nie była w tym kraju. Ja odświeżałem dawne wrażenia z pięknego Stambułu i greckiego wybrzeża Azji Mniejszej. Odświeżałem – ale też uzupełniałem o wiele szczegółów przekazywanych przez świetnego przewodnika. Dawny podziw dla wspaniałych zabytków Pergamonu, Efezu, Miletu... wzrósł jeszcze bardziej.

Nowe wrażenia pojawiły się dopiero w środkowej Turcji – głównie w baśniowo malowniczej Kapadocji. Przedziwne skalne relikty łączą się tu z relikdami wczesnego chrześcijaństwa. Zwiedzaliśmy parę skalnych kościołów (z ogólnej liczny paru tysięcy) podziemne miasta, które były schronieniem prześladowanych chrześcijan... Wycieczkę kończyliśmy w Antalyi – nadmorskim kurorcie z piaszczystymi plażami... urokliwą *starówką* i pięknym portem.

W kolejnym 1999 roku wykupiliśmy samolotową wycieczkę do Izraela – znów bez Jany, która pielgrzymowała tam przed nami. Była to wyprawa nie tylko do niedawno odbudowanego państwa żydowskiego, ale przede wszystkim pielgrzymka do Ziemi Świętej – znanej jeszcze ze szkolnej nauki religii. Niemal wszystkie zwiedzane miasta i miejsca kojarzyły się z Biblią: Nazaret z Bazyliką Zwiastowania i Grotą Świętej Rodziny; Betlejem ze wspaniałą



W Splicie – mury Palacu Dioklecjana



Zaczarowany świat Kapadocji



Krużganki Bazyliki Narodzenia

Bazyliką Narodzenia i jej krużgankami, w których Armia Andersa pozostawiła ufundowaną tablicę; Góra Oliwna z katedrą i gajem drzew oliwkowych z czasów Chrystusa; wreszcie Jerozolima z monumentalną Bazyliką Grobu i Golgotą oraz uliczkami i stacjami „Via Dolorosa”.

Widzieliśmy też historyczny i współczesny Izrael. W Jerozolimie byliśmy pod wrażeniem „Ściany Płaczu” wzniesionej przez Heroda na fundamencie Świątyni Salomona. Zwiedziliśmy górę

i fortecę Massada bohatercko bronioną przez Żydów przed rzymskimi legionami... Labirynt uliczek starej

Jerozolimy... Muzeum Holokaustu... nowoczesne centrum Hajfy i wzorowy „kibuc”, zadziwiający swą wyjątkowością i społeczną specyfiką.

Po krótkim odpoczynku w Katowicach, zrobiliśmy z Adą wielką wyprawę samochodową, którą wspominałem na str. 354. Zwiedziliśmy wówczas kraje skandynawskie i postsowieckie „republiki nadbałtyckie”. Zakończyliśmy ją spływem kajakowym. Mając świeżo w pamięci wrażenia z Izraela, dyskutowaliśmy swoje oceny trzech wypróbowanych sposobów spędzania czasu przeznaczonego na wypoczynek i rekreację. Stało na tym, że do *żelaznego repertuaru* spływów kajakowych i indywidualnych wypraw samochodowych włączamy *objazdówki*.

Zgodnie z tym postanowieniem przez wszystkie następne lata – gdy w GIG-u przestałem pracować na etacie – *fundowaliśmy* sobie wycieczki *objazdowe* jako najskuteczniejszy, coraz wyżej oceniany, sposób na wzbogacanie swego życia poznawaniem dalekiego świata. Ponieważ w tym czasie miałem już opanowaną *trudną sztukę* bieżącego dokumentowania w porządnym albumach fotograficznych wszystkich ważniejszych wydarzeń *uciekającego czasu* – mógłbym dokładnie zrelacjonować największe atrakcje tych wycieczek. Oczywiście – nie jest to możliwe. Ograniczę się do zarysowania trasy kolejnych wypraw i pokazania fotografii paru obiektów, które uznałem za najciekawsze. Tych wrażeń było tak wiele – i tak dużo zaczęły znaczyć w moim i Ady życiu – że chcę pokazać przynajmniej ich *reprezentatywne fragmenty*.



Przed „Ścianą Płaczu”

Rok 2000 – Maroko i Portugalia. Znów z Janą. Lot do Malagi. Przejazd autokarem przez Gibraltarię do hiszpańskiego portu Algaciras i przeprawa promem do Tangeru – już w Maroku. Jadąc wielkim łukiem w kierunku Gór Atlasu, a później Atlantyku, zwiedziliśmy Fez i Marakesz. Byliśmy pod wrażeniem historii tych miast, barwności wąskich uliczek i kramów w średniowiecznych *Medynach*... także architektonicznej finezji meczetów. Casablanca i Rabat – to już mieszanina islamskiego orientu i nowoczesności, wszędzie widocznej. Byliśmy oczywiście w słynnym „Barze Casablanca”, w którym rozgrywała się filmowa historia Bogarta i Ingrid Bergman.



Świadomość, że znaleźliśmy się na krańcu Europy – najdalej wysuniętym ku Ameryce – była wówczas źródłem niemałej satysfakcji

nas w jakże inny świat kultury łacińskiej. Zwiedziliśmy oczywiście Sanktuarium w Fatimie i Lizbonę z jej wspaniałą katedrą i monumentalnym „Pomnikiem odkrywców” – nowych ładów. Później było zwiedzanie Porto – słynącego produkcją znakomitego *ciężkiego* wina... zwiedzanie największej portugalskiej jaskini „Mira de Aire”... podziwianie skalnych urwisk półwyspu Św. Wincentego... a na koniec – przed odlotem do Warszawy – wypoczynkowy dzień na plażach Portimo i kąpiel w Atlantyku. To była bardzo udana wyprawa, znamienna zderzeniem wrażeń z marokańskiego orientu i *kraju Fatimy*.

Rok 2001 – Italia – częściowo już znana. Jechaliśmy autokarem przez Brno i Austrię. Zwiedzanie zaczęliśmy od Wenecji – później była Florencja z jej wspaniałym renesansem („Dawid” na następnej stronie) i Rzym z Forum Romanum i Colloseum oraz kompleksem Watykanu i trzema bazylikami ufundowanymi przez Konstantyna Wielkiego. Wspaniale odbudowany klasztor Benedyktynów na Monte



Meczet Hassana II w Casablance, zaliczany do cudów współczesnej architektury

Powtórny rejs promem przez Zatokę Gibraltarską przeniósł



Urok Placu św. Marka nie zmniejsza się wraz z ilością wizyt

Cassino z Polskim Cmentarzem. Wykopaliska Pompei. Rejs statkiem po Zatoce Neapolitańskiej. Przejazd przez Apeniny. Zwiedzanie Rimini, Rawenny, San Marino. Na zakończenie znów Wenecja – wielokrotnie odwiedzana przy okazji samochodowych wypraw nad Adriatyk – nigdy się nam nie znudziła.

Rok 2002 – najstarsze biblioteki górnej Austrii, kraje Beneluksu i Egipt. To były trzy różne *objazdówki*. Pierwsza w czerwcu została zorganizowana przez Bibliotekę Śląską, a my znaleźliśmy się na niej dzięki znajomościom Ady. Nikt, kto nie widział tych klasztorów i bibliotek nie jest w stanie sobie wyobrazić ich średniowiecznej potęgi i wspaniałości: Melk, Krems i Admont – trzy Benedyktynskie Opactwa; później Schlierbach – Opactwo Cystersów oraz St. Florian – Opactwo Augustynów. Po drodze zwiedziliśmy Zamek w Lednicach na Morawach i czeski Kremłow – miasteczko autentycznie piękne,



„Dawid” Michała Anioła zaskakuje prostotą i równocześnie wspaniałością



opasane rzeką jak nasz Kamieniec Podolski, ale niewarowne. Ta wyprawa była bardzo udana. Wyniesione z niej wrażenia były turystycznie zupełnie wyjątkowe.



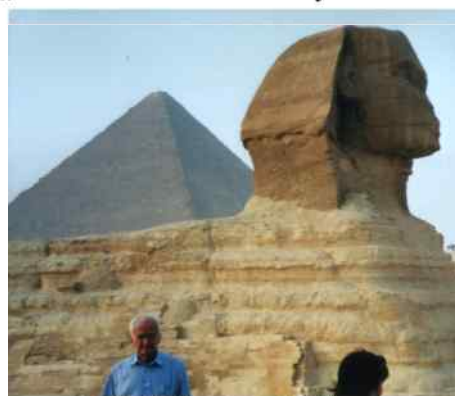
Opactwo Benedyktynów w Melk i słynna biblioteka (pocztówki)

Druga wyprawa w początkach lipca – znów z Janką – z Krakowa do Krajów Beneluksu, a po drodze Berlin z Muzeum Pergamon i pałacem Sans-Souci oraz zamek Goslar w górach Harzu, w którym Bolesław Chrobry, w wieku chłopięcym, przebywał jako zakładnik. Ale „konfitury” tej *objazdówki* były w Amsterdamie, starej Hadze, Antwerpii, Gandawie, Brugii, Brukseli i Luksemburgu. A na *dołatkę* był jeszcze francuski Metz z najsłynniejszą rozetą w gotyckiej katedrze. Dopiero, gdy się zobaczy te miasta – z ich wspaniałymi ratuszami... katedrami... muzeami... pomnikami i nigdy niezburzonymi *starówkami* – dociera do świadomości wspólnota europejskiej kultury i dramatyzm naszej historii *załamanej ponad stuletnią niewolą*. W czasie tej *objazdówki* byliśmy już w przedsionku Unii, a za dwa lata mieliśmy stać się jej członkiem. Historyczne refleksje były więc bardzo *na czasie*.



Dom Rubensa w Antwerpii

Trzecia wyprawa – do Egiptu – odbyła się w październiku, po grzybobraniu w Starej Jabłonce. Po wylądowaniu w Hurgadzie zrobiliśmy ogromną pętlę przez cały Egipt. Zwiedzanie rozpoczęliśmy w Memfis – pierwszej stolicy (XXIX w. p.n.e.) i Sakkarze (piramida schodkowa). Później zwiedzaliśmy Kair, z muzeum *pełnym* Tutenchamona, z „Wielkim Bazarem” i starym „Centrum” oraz Gizę z jej wspaniałymi piramidami (Cheopsa, Chefrena) i Sfinksem, który *pilnował* położonej obok świątyni. W niej rozpoczął się pogrzebowy ceremoniał Faraonów^{*)}. Z Kairu zrobiliśmy wypad nad Kanał Sueski do Ismailii. Po powrocie – nastąpił nocny przejazd koleją do Asuanu. Tu zwiedzaliśmy starą angielską tamę na Nilu, nową Wielką Tamę Nasera, „odtworzoną” wyspę Philae z zespołem świątyń Izdy i wspaniały ogród botaniczny na wyspie H. Kitchenera, angielskiego gubernatora Egiptu.



Wielki Sfinks i piramida Cheopsa

^{*)} Bloki kamienne w ścianach tej świątyni są ułożone tak szczelnie, jak w Cuzco, stolicy Inków.



Skalna świątynia Ramzesa II w Abu Simbel



Dolina Królów w Tebach Zachodnich

Z Asuanu zrobiliśmy autokarowy rajd do Abu Simbel (280 km) w pobliże granicy z Sudanem. Skalne świątynie Ramzesa II i jego *boskiej* żony – przeniesione z terenów zalanych spiętrzeniem Wielkiej Tamy – nie dają się z niczym porównać. Ale rejs statkiem z biegiem Nilu z Asuanu do Kom Ombo i do Edfu (ze świątyniami Horusa z czasów Ptolemeusza, III–II w. p.n.e.) i dalej do Luksoru – też był niezapomniany.

Świątynia Amona Ra w Karnaku, Dolina Królów w pobliskich Tebach (62 skalne grobowce z około XV w. p.n.e.) i świątynia Hatszepsut – to skarby całej ludzkiej cywilizacji. Nigdy w następnych latach nie byliśmy w kraju, który by równie silnie jak Egipt – przemawiał swą starożytną kulturą. Wielką pętlę egipskiej *objazdówki* zamknęliśmy autokarowym

rajdem (250 km) przez Wschodnią Pustynię do Hurgady. Przed odlotem – zdążyliśmy jeszcze wynająć łódź i nurkować na koralowej rafie.

Rok 2003 – Meksyk. Pierwsza *objazdówka* po drugiej stronie Atlantyku. Lot: Warszawa – Amsterdam – Mexico City. Zaczęliśmy ją od zwiedzania stolicy. „Pałac Narodu” (siedziba prezydenta) został zbudowany na ruinach pałacu Montezumy – obok ruin azteckich piramid. Później – trasą liczącą 5500 km – zwiedzaliśmy cały południowy Meksyk i jego wspaniałe centra prekolumbijskiej kultury (największy jej rozkwit przypadł na okres 300 p.n.e. do 600 n.e.). Zaczęliśmy od tajemniczego miasta Teotihuacan, które przed zniszczeniem około roku 700 n.e. liczyło ponad 200 tysięcy mieszkańców i było prawdopodobnie największym miastem ówczesnego świata. Później było Taxco rozbudowane przez Cortésa i świetne zabytki przyniesionej tu kultury hiszpańskiej. Ta mieszanina kultur była doskonale widoczna na całej trasie od Acapulco nad Pacyfikiem aż po Cancun nad Atlantykiem – na Jukatanie. Autokarowy rajd przez kraj tak rozległy jak Meksyk umożliwia najlepszy ogląd tej mieszaniny.



Teotihuacan – widok na „Aleję zmarłych” między „Piramidą Księżyca” a „Piramidą Słońca” (3 km)



Największe drzewo obu Ameryk, gatunek *Taxodium* (kolo Monte Alban), średnica pnia 14 m, 2000 lat. Kościół stojący obok – wskazuje proporcje

Zabytki kultur przedkolumbijskich Olmeków, Zapoteków, Tolteków, Azteków i Majów – podziwialiśmy w Xochicalco („Czoczikalco”), Cholula, Monte Alban, Mitli oraz Yaxchilán („Jachczilan”). Także w Kabah i Uxmal – perłach klasycznego okresu Majów na północy Jukatanu. Wszędzie – obok, albo na ruinach dawnych miast i świątyń – podziwialiśmy też zabytki kultury chrześcijańskiej – folklor miasteczek i w pełni nowoczesne kurorty, imponujące wspaniałymi hotelami. Niepowtarzalnym tłem tej meksykańskiej specyfiki jest przyroda: płatanina górskich grzbietów pokrytych lasem kaktusów, a w niższych partiach – autentyczną dżunglą. Ten kraj trzeba zobaczyć – opisy są „bezsilne”.



Chichén Itzá – centralna świątynia Majów (900–1182). Cztery ciągi schodów po 91 stopni plus górna platforma dają w sumie 365 dni

Rok 2004 – Indie – Nepal (3 tygodnie). Im dalej wchodzę w historię zrealizowanych *objazdówek* – z tym większym przerażeniem patrzę na rosnącą objętość tego podrozdziału! Nie ma rady – muszę skracać relację – a jest tyle do opowiedzenia!! Lot odbył się przez Moskwę, gdzie na lotnisku podziwialiśmy w sklepowej witrynie męskie półbuty za 1790 euro; mówiłem wówczas: „dla postsowieckich gangsterów i nowobogadzkich złodziei”.

Zwiedzanie zaczęliśmy od Delhi. Później trasa długości ponad 3000 km, wiodła przez północne Indie i południowy Nepal. Wszędzie w hotelach ceremonialne powitania, często z wieńcem kwiatów zawieszanym gościom na szyjach. W Delhi zwiedziliśmy „Meczet Piątkowy”, „Czerwony Fort” (1638 r.), „Złotą Świątynię” Sikhów... Grobowiec Humayana, założyciela dynastii Mogołów (1562 r.)... nowoczesną Dzielnicę Rządową. Poza stolicą: wciąż zmieniające się krajobrazy... biedne wsie i miasteczka ze „świątyniami



Delhi – „Meczet Piątkowy”
– największy w Indiach



Wjazd do Fortu Man Singha (XVI w.)
– olbrzymiego obronnego kompleksu



Zachodnia Grupa Świątyń w Kadzuraho



Gdy w Varanasi zaraz po wschodzie słońca płynęliśmy Gangesem widzieliśmy pątników w rytualnej kąpieli i palące się kremacyjne stosy

jących obrazów: dwukolowy *wehikul* ciągnięty przez wielbłąda, derwisz z fletem zaklinający przy drodze ogromną kobrę...

i zabytki wciąż od nowa zadziwiające wspaniałością. Tylko wspomnę:



Z takiego słonia odbywało się fotograficzne safari

Dżajpur – „Różowe Miasto” z pałacem i nekropolią maharadzów; Agrę z grobowcem Tadž Mahal (1634–1653, najslawniejszą „perłą” Indii) i z „Czerwonym Fortem” (1625–1715), właściwą siedzibą Mogolskich Władców; Gwalior z ogromnym fortem Man Singha mieszczącym całą armię; Khajuranho („Kadzuraho”) z zespołem świątyń zbudowanych w latach 950–1050 opuszczonych około 1250 roku i odkrytych dopiero w XVIII wieku. Wreszcie święte miasto buddyzmu – Varanasi nad Gangesem. Mrowie pątników, ludzka ciżba i niestety – nierzadko – straszliwy brud.

Gdy opuściliśmy Indie i wjechaliśmy do Nepalu, drogi stały się wyraźnie lepsze. Zwiedziliśmy Lumbini – miejsce narodzin Buddy (556 p.n.e.). Na kilku słoniach z hodowlanej farmy w Chitwan Parku, penetrowaliśmy dżunglę, oglądając z bliska pasące się nosorożce, dzikie pawie, daniela, *malpiszony*... Wrażenie było niesamowite, bo zwierzęta nie boją się człowieka na słoniu (foto na poprzedniej stronie). Później był rajd przez himalajskie przełęcze i doliny (z uprawami ryżu) – do Pokhary z widokiem na Annapurnę. Następnie do historycznego Katmandu, ze wspaniałymi zespołami świątyń i pałaców – w trzech stolicach dawnego Nepalu. Kropkę nad „i” nepalskich wrażeń postawił lot specjalnym turystycznym samolotem nad Himalajami!!

Rok 2005 – Tunezja – Libia. Ograniczenie relacji z poprzedniej *objazdówki* zakończyło się niepowodzeniem. Choć Tunezja i Libia są pełne wspaniałych zabytków z czasów starożytnej Kartaginy, Rzymu i średniowiecznego islamu – tym razem *cięcie wspomnień* jest niemiłosierne. Zwiedzaliśmy starożytny Sousse i Monastir z warownym klaszturem Rabat i mauzoleum Burgiby – I prezydenta Tunezji. W miasteczku Tataouine zadziwiły nas siedemnastowieczne „ksary” (magazyny), w których przechowywano towary transportowane karawanami wielbłądów. W sąsiedztwie miasteczka zwiedzaliśmy podziemne domy Berberów – tubylczych mieszkańców tego kraju przed jego podbojem przez arabów. Są to jakby *szyby* o średnicy 8–10 m i głębokości 4–5 m – z komorami (pokojami) wydrążonymi w skalnych ścianach na dnie *szybu*. W aspekcie klimatyzacji jest to rozwiązanie niebywale pomysłowe. Zarówno w przyległych komorach (pokojach) jak i w „łączącym je” szybie nie jest gorąco.



Pilot samolotu pokazywał tę górę jako Mont Everest



*Luk Adriana w „Oja”
– drugim członie starożytnego Trójmiasta*

Na płaskowyżu oddalonym od morza o kilkadziesiąt kilometrów – koło miasteczka Tarchunach – podziwialiśmy liczne ryty skalne sprzed 10 tysięcy lat. Idąc nieważnie można było nadebrać na „podobiznę” lwa lub nosorożca. Później zwiedziliśmy największą atrakcję Zachodniej Libii – rzymski Trypolis. To potężne „trójmiasto” jest najlepszą wizytówką Rzymskiego Imperium na tym wybrzeżu Afryki. Libijskie drogi, którymi wracaliśmy do Tunisu – budowane jeszcze w epoce PRL przez nasze przedsiębiorstwa – były nieporównanie lepsze od polskich dróg, budowanych przez te same firmy.



Ten nosorożec jest „jak żywy” – choć „ma” 10 tysięcy lat



Te bliźniaki jeszcze nie mają 3,0–3,5 tysiąca lat i 100–115 m wzrostu, ale dobrze reprezentują sekwojową młodzież

Rok 2006 – 10 Parków Narodowych USA. Po locie potężnym „Dżambo-Dżetem”, z Amsterdamu do Los Angeles – trasą autokarową zrobiliśmy 6600 km (informacja kierowcy) – głównie przez Stany: Kalifornia, Arizona, Utah i Kolorado. Różnorodność i piękno krajobrazów od pustyni Sonora poprzez płaskowyż Kolorado (2200 m) i góry Sierra Nevada (3700–4200 m – dobrze znane z opowieści Karola Maya i kowbojskich filmów) aż po wybrzeże Pacyfiku między San Francisco a Los Angeles – nie dają się z niczym porównać. Z natłoku wspomnień

odświeżonych grubym albumem fotografii – wybieram trzy najtrwalsze obrazy. Pierwszy – to Wielki Kanion Kolorado



Tam w dole, gdzie „Male colorado” wpada do „Wielkiej Rzeki” – według wierzeń Indian – „Wielki Duch wydobyl człowieka z głębin ziemi”

– prawdziwy amfiteatr Pana Boga! Drugi – to Park Narodowy Sekwoi z rosnącymi tu niewyobrażalnie potężnymi pomnikami przyrody, a trzeci – Park Narodowy Kanionu Bryce („Bris”) – koronkowa robota sędziwej geologii.

Przeżycia związane ze zwiedzaniem parkami narodowymi były dominujące. Ale bardzo atrakcyjny był też cały zwiedzany kraj: barakowa zabudowa przydrożnych osad i miasteczek oraz imponujący ogrom amerykańskich miast i metropolii. Nie da się zapomnieć nocnego, wielogodzinnego zwiedzania Las Vegas z labiryntem jego przebogatych kasyn gry; San Francisco z jego stromymi ulicami starej dzielnicy, olbrzymim mostem nad zatoką oraz wyspą Alcatraz ze słynnym więzieniem. Niepowtarzalnych wrażeń dostarczył rajd wzdłuż malowniczego wybrzeża Pacyfiku i aglomeracja Los Angeles obejmująca 80 miast, w tym – Beverly Hills z najdroższymi magazynami świata (buty potrafią kosztować 5000 USD) i Hollywood ze słynną *promenadą gwiazd*. Podziw dla specyficznej urody i siły tego kraju, który przywożem z pierwszej wizyty w Nowym Jorku, nad Niagarą i w Bostonie (str. 345–348) – wzrósł bardzo wyraźnie.



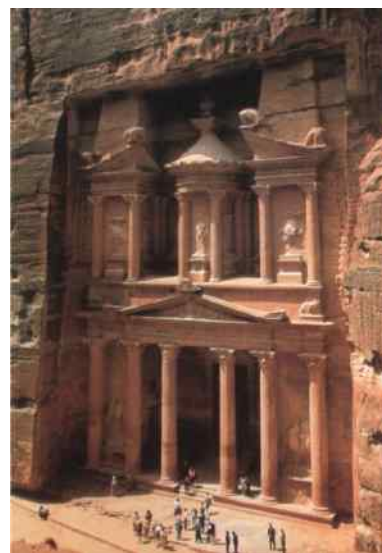
Misterność tych skalnych grzebieni w kanionie „Bris”. z trudem dociera do wyobraźni

2007 – Syria i Jordania. U nas październik, a tam jeszcze lato. Znaleźliśmy się na wschodnim zapleczu „Ziemi Świętej”. Przez Wielką pustynię dotarliśmy do starożytnej



Drogę autokarowi przez pustynię przecina ogromne stado wielbłądów

Palmiry – rozbudowanej przez Aleksandra Wielkiego i Rzymian – oazy na szlaku karawan z Jerozolimy i Damaszku do Mezopotamii i Persji. Kolumnady rzymskich budowli – rozciągają się tu *jak okiem sięgnąć*. Później – w pobliżu granicy z Turcją – zwiedziliśmy Aleppo z kolosalnym Meczetem Omajadów (kiedyś świątynią rzymską, a później chrześcijańską) i jeszcze wspanialszą twierdzą – nigdy niezdobytą. W jej wnętrzu – niewielka *świątynia* upamiętnia miejsce, w którym „biblijny Abraham dołł swoją krowę”. Dalej – jadąc na południe – zwiedziliśmy



Petra – grobowiec władcy wykuty w lutej skale z fasadą o wysokości 40 m i szerokości 27 m



Tylko widok z lotu ptaka (pocztówka) na zamek Krzyżowców „Krak des Chevaliers” daje wyobrażenie o jego potędze

liśmy kolejno: miasto Hama zamieszkałe już przed 8000 lat – z akweduktami i kołami wodnymi z epoki aramejskiej (3000 p.n.e.); Damaszek z grobowcem Aladyna (który zjednoczył Arabów, choć był Kurdem) i niepowtarzalnym „Starym Damaszkiem”, dalej – górę Nebo, z której Mojżesz (zanim umarł) patrzył na „Ziemie Obiecane” i depresję Morza Martwego; wreszcie Amman – nowoczesną stolicę Jordanii i Agabę, jej jedyny port morski w Zatoce Synajskiej Morza Czerwonego.

Byliśmy z Adą zgodni, że spośród wielu zwiedzanych obiektów – jako najwspanialszy i najbardziej zaskakujący – trzeba wskazać starożytną „Petrę” w Jordanii (foto na poprzedniej stronie). Jest to przedziwny wynik wykorzystania przez Nabatejczyków – pustynnych nomadów – naturalnej *skalnej szczeliny* do budowy grobowców kutyh w skale i także dużego miasta, ukrytego za nią w górskiej dolinie. Na drugim miejscu lokowaliśmy dwa przepiękne zamczyska zbudowane przez krzyżowców na wschodnich rubieżach „Królestwa Jerozolimskiego”: „Krak des Chevaliers” oraz „El-Kerak” (XII w.n.e.). Nigdy i nigdzie nie widziałem obronnych zamków o równie potężnych murach i basztach. Tak rozdane „palmy pierwszeństwa” podkreślają *bogactwo kulturowej mieszanki* znamiennej dla Bliskiego Wschodu – tego *międzymorza* trzech kontynentów.



Sukhatai – pierwsza stolica Syjamu. Ten Budda na tle pradawnej „stupy” był wyjątkowo urodziwy

2008 – Tajlandia, Malezja, Singapur. Lot Warszawa – Bangkok przez Amsterdam; powrót z Singapuru przez Paryż. Strasznie daleko – ale mówię od razu: wyprawa była warta nawet znacznie większego wysiłku! Tajlandia to dawne królestwo Syjamu – jedyne w tamtym rejonie, które (przynajmniej formalnie) nie zostało poddane europejskim kolonizatorom. W architektonicznych zabytkach jest wyraźnie widoczna przynależność do kręgu kulturowego Indii i buddyzmu. Olbrzymie zespoły świątyń z kolosalnymi *stupami* – najwyższa 121 m! W folklorze hoteli i restauracji

– wyróżniają się zespoły taneczne w fantastycznych historycznych strojach i wszechobecność kwiatów – przeważnie oderwanych od łodyg i pływających w wodzie.

Z Bangkoku (7 milionów mieszkańców) trasa autokarowa wiodła przez teren słynnego (z wojennego filmu) „Mostu na Rzece Kwai” – gdzie przy budowanej przez Japończyków linii kolejowej – zginęło 50 tysięcy tubylców i 5983 brytyjskich jeńców wojennych. Dalej przez Ajutęję – oraz sanktuarium Prang i San Rakarn (zamieszkałe przez setki małp) – dotarliśmy do Sukhotai, pierwszej stolicy Syjamu (1200–1400 n.e.). Jadąc przez bezkresne pola ryżowe osiągnęliśmy rejon Złotego Trójkąta, gdzie zbiegają się granice Tajlandii, Birmy i Laosu. Ze statku – płynąc rzeką Mekong – podziwialiśmy birmańskie hotele i zwiedziliśmy malowniczą wioskę na terytorium Laosu.

Tajlandię opuściliśmy na lotnisku Chiang-Rai. Wylądowaliśmy w Krabi – malezyjskim kurorcie nad Oceanem Indyjskim. Kąpiel na miejskiej plaży – w wodzie „cieplej jak herbata” – nie zostawiła przyjemnego wspomnienia... Później był lot do Kuala Lumpur – stolicy Malezji – i zwiedzanie tej metropolii. Największe wrażenie zrobiło sanktuarium Buddy w „Jaskini Batu” (na przedmieściach stolicy), nowoczesny „Meczet Narodowy” mieszczący 80 tys. modlących się muzułmanów (Malezja jest muzułmańska), „Centrum” miasta z budynkami dawnych brytyjskich władz kolonialnych i widok na nowoczesną metropolię z „Wieży Telewizyjnej”. Stolica Malezji niewątpliwie dobrze reprezentuje kraj, w którym – zgodnie z wiedzą przekazywaną mi w gimnazjum – żyli wówczas na Borneo ludożercy.

Singapur, do którego dotarliśmy autokarem, nie upamiętnił się swymi nowoczesnymi „drapaczami chmur” – bo tych widzieliśmy mnóstwo w owym do niedawna „Trzecim Świecie”. W aspekcie nowoczesności miejskich metropolii – to my, Europa



„Bliźniaki” w Kuala Lumpur (451 m) widziane z tarasu wieży telewizyjnej. W 2008 roku był to najwyższy budynek świata



Za „wizytówkę” Singapuru uznaliśmy „Narodowy Ogród Orchidei” – jest ich podobno 300 gatunków!

– staliśmy się *po trosze* „Trzecim światem”. Singapur – oglądany z kolejki linowej biegnącej nad jednym z największych portów świata, oglądany z autostrad przecinających miasto na wysokich estakadach i także ze statku, którym opływaliliśmy centralną wyspę tego „państwa-miasta” – jawi się przede wszystkim jako oaza zieleni i niebywalej czystości. Tutejsza społeczność to przede wszystkim Chińczycy (75%). W sposób pokojowy odłączyli się od Malezji! Z ogromną determinacją budują swą przyszłość w oparciu o zasadę społecznej samodyscypliny, ale egzekwowanej drakońskimi mandataami (rzucenie niedopałka papierosa lub innego śmiecia „kosztuje” setki dolarów). Warto pojechać do Singapuru... również po *naukę*.

Rok 2009 – RPA i nasze Kresy na Ukrainie. Leciliśmy do Johannesburga, który wyrósł na bogactwie złóż złota i diamentów. U nas kwiecień, tu ciepła jesień na płaskowyżu – przeważnie o wysokości 1800–2200 m. Pobieźnie zwiedziliśmy brzydki Johannesburg (7 mln mieszkańców) i ruszyliśmy w trasę długości 5750 km. Najpierw Pretoria – wspaniałe, bardzo europejskie miasto. Nicopodal zwiedziliśmy Sun City – południowoafrykańskie Las Vegas (pokój w pałacu – hotelu kosztuje 5500 USD/dobę).

Jadąc na północny wschód – dotarliśmy do Parku Krugera. Całodzienne fotograficzne safari otwartymi 9-osobowymi *dżipami* – to niewątpliwie jedna z największych atrakcji RPA. Na terenie o bokach około 100 na 200 km *zwierzęta są pod ochroną i nie boją się ludzi – a ludzie... muszą uważać!!* Stada antylop (kilkanaście gatunków), żyraf, zebra... i słoni! W rzece przecinającej park – duże grupy hipopotamów i krokodyli. Lwy mignęły w zaroślach, ale nie chciały pozować do zdjęć. To było nasze pierwsze w życiu samochodowe safari! Wrażenia nadzwyczajne!



Stado słoni bez pośpiechu przechodziło przez drogę

Dalsza trasa wiodła na południe, wzdłuż wybrzeża Oceanu Indyjskiego i Gór Smoczyc. Uroda „Drogi Panoramicznej” wiodącej przez unikalne formacje geologiczne w kanionie rzeki Blade River („Cholernej Rzeki”) – trochę przypomina Wielki Kanion Kolorado. Przez kraj Zulusów i „Wybrzeże Delfinów”

dotarliśmy do bardzo nowoczesnego Durbanu (4,5 mln mieszkańców). Później znów ruszyliśmy w głąb kontynentu na tereny Parku Narodowego „Złota Brama”, ze skansenem (wioską) plemienia Sotho. W RPA oficjalnie obowiązuje 12 języków – w tym angielski i burski. Wśród 10 języków plemiennych jest też język sotho. Krajobrazy malownicze – na horyzoncie

pojawiają się wciąż nowe łańcuchy gór i wzgórz.

Znów nad Oceanem Indyjskim – zwiedziliśmy piękny Port Elizabeth, Park Narodowy u ujścia Rzeki Sztormowej, i półpustynną krainę z ogromnymi stadami pasących się strusi (podobno hoduje się ich tu około 200 tysięcy na mięso, jaja, pióra i skóry). Nadmorską „Drogą Ogrodów” – słynną wyjątkowo pięknymi widokami – osiągnęliśmy Kapsztad. Oprócz centrum tej metropolii (4 mln mieszkańców) zwiedziliśmy Przylądek Dobrej Nadziei. Jest to wyjątkowo *urodziny* grzbiet górski, wybiegający w ocean chyba na odległość 30 km – z ulokowaną na cyplu wieżą obserwacyjną – do której jedzie się kolejką, jak na Gubałówkę. Kolory oceanu, w zatoczkach otaczających skalny cypel, układają się – jak zaczarowane – od białego na piasku plaży, poprzez jasną zieleń do ciemnego błękitu.

W zatoce „Falszywej” (koło Przylądka) zwiedziliśmy rezerwat afrykańskich pingwinów. Małym stateczkiem odwiedziliśmy też skalistą wysepkę – dosłownie *przykrytą* setkami wypoczywających fok. Kapsztad zegnaliśmy wycieczką na Górę Stołową (1000 m) – z której roztacza się wspaniały widok na Atlantyk i dużą część miasta. Opuszczaliśmy RPA pełni podziwu dla tego pięknego kraju i mądrego społeczeństwa. Po ponad 100 latach brutalnej „segregacji rasowej”, potrafili uniknąć krwawych porachunków z białą mniejszością (4 mln białych, ponad 40 mln czarnych i kolorowych). Razem – mimo trudności – budują swą przyszłość na fundamencie powszechnej oświaty i efektywnego wykorzystania zasobów naturalnych. Obowiązek szkolny jest bezwzględnie egzekwowany – nawet pod rygorem odebrania dziecka rodzicom!



Bajeczne skały i ogromne morskie fale – to ujście „Rzeki Sztormowej” do Oceanu Indyjskiego



Stado afrykańskich pingwinów wraca z morskiej wyprawy na piaszczystą plażę

Po powrocie do Katowic i miesięcznym wypoczynku – w początkach czerwca – zrealizowaliśmy jeszcze jedną *objazdówkę* – reklamowaną przez biuro turystyczne – hasłem: „Podróż na Kresy”. Kiedyś przez Lwów i Zaleszczyki jechałem do Rumunii, a w roku 1999 byliśmy z Adą na cztero-dniowej wycieczce do Lwowa i zamków „Złotej Podkowy” – Olesko, Podhorce, Złoczów. Dopiero teraz mieliśmy 8 dni na zwiedzanie z przewod-



Lwów – żegnaliśmy na cmentarzu Orląt

nikiem terenów znanych tylko z historii. Trasa tej „Podróży...” znów prowadziła przez Lwów i Podhorce, ale sięgała też znacznie dalej. Zwiedziliśmy Krzemieniec z zamkiem królowej Bony, muzeum Słowackiego i słynnym liceum. Do *protoplasty* tego liceum podobno uczęszczał książę Jarema i Chmielnicki. Także Zbaraż z dobrze zachowanym zamkiem i ciekawym muzeum eksponującym nie tych, co się tam bronili a tych, co go zdobywali.

Dalsza trasa wiodła przez Tarnopol, Trembowłę i Czortów do Skały. Tu na Zbruczu przekroczyliśmy granicę II Rzeczypospolitej, żeby dotrzeć do Kamieńca Podolskiego – niegdyś „perły” naszego Podola. Jest to unikalne miasto – twierdza, dokładnie opasane głębokim jarem (o niemal pionowych ścianach) rzeki Smotrycz i bronione (od strony „wejścia”) potężnym „Starym Zamkiem”. Większość jego baszt i murów jest w dobrym stanie. Jedynie z baszty „prochowej” wysadzonej przez Wołodyjowskiego i Ketlinga pozostały tylko fundamenty.



Stary Zamek w Kamieńcu Podolskim – widok od bram miasta

Miasto było bardzo zniszczone w czasie minionej wojny, ale ostatnio *odbudowa ruszyła*. Zwiedziliśmy najstarszą cerkiew ormiańską z XII w., katedrę katolicką Piotra i Pawła z wysokim minaretem wzniesionym przez Turków, gdy Kamieniec pozostawał w ich rękach w latach 1672–1699. Podziwialiśmy wspaniały kościół Dominikanów... Ratusz... „Basztę Batorego” strzegącą

murów miasta i średniowieczną synagogę przylegającą do tych murów (teraz przerobioną na restaurację). Z jej balkonu można podziwiać przepaścisty jar Smotryczy. Legendarny Kamieniec Podolski nie zawiódł oczekiwań swą potęgą i urodą.

Po przekroczeniu Dniestru na tureckim brzegu zwiedziliśmy Zamek Chocimski, pod którym wojska Rzeczypospolitej dwukrotnie rozprawiły się z turecką nawałą. Później wielkim łukiem przez Czerniowce,

Kołomyję, Stanisławów, Stryj i Truskawiec – znów dotarliśmy do Lwowa. Tu wizytą w Operze, w pałacu Sobieskich (przy Rynku) i na Cmentarzu Orłąt Lwowskich (foto na poprzedniej stronie) – kończyliśmy udaną *sentymentalną podróż* na Kresy; wprawdzie nie nasze Nowogródzkie i Wileńskie, ale jakże bliskie sercu dzięki „*nieśmiertelnej Sienkiewiczowskiej Trylogii*”.



Zamek Chocimski nad stromym brzegiem Dniestru

Objazdówki, które przez kilkanaście ostatnich lat – bardzo skutecznie przybliżały nam *daleki świat* i uprzyjemniały życie – były również znakomitą *lekcją pokazową* szybkości i skuteczności, z jaką zmienia się świat w epoce WIELKICH PRZEMIAN. Nie tak nie przekonuje o zmianach zachodzących w *globalnej wiosce*, jak najwyższy budynek świata wzniesiony w Malezji, całkiem porządny skuter, który stał pod nędzną chatą w Laotańskiej osadzie lub telewizor widziany w murzyńskiej glinianej chacie w RPA! A za postępem cywilizacyjnym – wprawdzie z opóźnieniem – ale idzie jednak postęp społeczny... a za nim kulturalny... a za nim...

Wyprawy w daleki świat – do których staram się wszystkich zachęcać – dowodzą niezbicie, że mimo fatalnych wpadek – takich jak sowiecki komunizm, nazizm, maoizm, islamski terroryzm, ludobójstwo w walce afrykańskich plemion... ludzkość coraz sprawniej wspina się po szczyblach swej historii... pozostawiając potomnym wspaniałe dziedzictwo!!

Ekspozycję, która przypomina mi optymizm płynący ze świata – mam „na co dzień” w korytarzu swego mieszkania na Brynowie. Przed bardzo wielu laty zacząłem kolekcjonować ceramiczne, metalowe lub drewniane talerze, jako pamiątkę z odwiedzonych krajów. Jeden z każdego kraju. Kończąc te wspomnienia mam ich 49. Nie wszyscy podzielają moje odczucia, ale mnie WIELKIE PRZEMIANY obserwowane w *dalekim świecie* – napawają optymizmem. Ludzkość – jak widać to *gołym okiem* – coraz skuteczniej wykorzystuje niewyobrażalne (do niedawna) osiągnięcia nauki i techniki – do organizowania lepszego bytu społeczeństw i sprawniejszego światowego la-

du. Droga do lepszej przyszłości rysuje się dość jasno. Potrzebna jest tylko odwaga i wytrwałość. Nie brakowało jej dotychczas – więc chyba tym bardziej nie zabraknie jej teraz, gdy człowiek został *ustokrotniony!*^{*1}

Podstawowy nurt życia prywatnego

Wspomnienia relacjonowane w dwóch poprzednich podrozdziałach charakteryzowały się jasno zarysowanym zakresem i chronologią. Ich treść nie jest skomplikowana. Cała pozostała rzeczywistość życia prywatnego była znacznie rozleglejsza – a więc nielatwa do opowiedzenia. Z konieczności zdecydowałem się zarysować wspomnienia tylko z ważniejszych *obszarów* aktywności, które składały się na podstawowy nurt życia prywatnego. W obszarach tych występowała swoista – niekiedy *coroczna powtarzalność przeżyć*. Zachęciło to do przywołania spośród nich tylko wybranych fragmentów, charakterystycznych dla codziennego życia w całym okresie rynkowej transformacji.

Życie rodzinne i towarzyskie toczyło się w mieszkaniu na Brynowie, w którym zastał mnie koniec epoki PRL. Z upływem lat mieszkanie to stawało mi się coraz bliższe. Atmosfera osiedla mieszkaniowego o niskiej zabudowie, duże zadrzewienie oraz dwa bardzo bliskie miejskie parki – wszystko to sprawiło, że mieszkanie na Brynowie zacząłem uważać za swój drugi **DOM RODZINNY**. Lack był domem pierwszym – niewątpliwie najważniejszym i niepowtarzalnym. Później były: *miejsca postoju...* kwatery... zwykle mieszkania. Dopiero Brynów przywrócił poczucie *zakorzenienia*.

Do uznania Brynowa za *prawdziwy dom* przyczyniła się niewątpliwie, wspomniana już tradycja urządzanych tu – dopóki Mama żyła – rodzinnych spotkań na uroczystej *Wigilii* Bożego Narodzenia. Duża choinka – przypominająca tę w Lacku, osobiście wyszukiwaną w lesie – wzmacniała sentymenty związane z **DOMEM**. Gdy Mama zmarła – zgodnie z Jej wolą – podtrzymujemy tradycję urządzania rodzinnych *Wigilii*. Kolejka, która uformowała się między córkami Sławka: Mają i Elżbietką a mną na Brynowie – była ściśle przestrzegana. Z upływem czasu – wraz z powiększaniem się rodziny o następne pokolenia wnuków i prawnuków – *dysciplina* udziału w tych wigilijnych spotkaniach rozluźniła się z różnych względów – zwłaszcza na Brynowie, odległym od podwarszawskich siedzib rodziny Sławka. Zawsze są to jednak spotkania liczne i uroczyste! Moment wyciągania spod choinki i rozdawania całej *góry prezentów*, był i jest – zwłaszcza dla dzieci – ogromnym przeżyciem. Z prezentów, które otrzymywałem „pod choinkę”, wyjątkowo mi się upamiętniło wydawnictwo z roku 1928: **Dziesięciolecie Polski Odrodzonej. Księga pamiątkowa 1918–1928** (format A3, 1207 stron). Był to dar pana Józefa Radziuna przekazany po Jego

^{*1} Jako chłopak czytałem przed wojną książkę pt. „Człowiek ustokrotniony” – nie pamiętam autora.



Wigilia u Elżbietki w Wilanowie (na Zawadach). Od lewej: „Autorka” Wigilii, Sławek, Maja, Justyna, Mieszko, Tonia, Ada. Jana siedzi tyłem a ja zrobiłem to zdjęcie (2004 r.)



Wigilia na Brynowie w uszczuplonym składzie (2007 r.). Tonia, Maja, Ada, Sławek, Elżbietka

śmierci przez Huberta „pogrobowca” Stacha Januszewicza (str. 141–143 i 205) i wręczona mi przez Janę w 1999 roku. Wspaniałości tego zadziwiającego dzieła nie umiem opowiedzieć. Opisane tam fakty dowodzą niezbicie że w okresie opisanym w „Księdze” – po 120 latach niewoli – wykonaliśmy gigantyczną pracę! Wykazaliśmy też godną podziwu odwagę, mądrość i skuteczność!! Kto nie wierzy – niech przeczyta książkę Melchira Wańkowicza p.t. „Sztafeta” napisaną w 1938 roku!

Tak więc mieszkanie na Brynowie – stało się moją trwałą siedzibą. Tu pracowałem – po dawnemu – w czasie „nienormowanym”. Tu toczyło się życie rodzinne i towarzyskie. Już na początku lat 90. – rzeczywistą Panią na Brynowie (choć mieszkała u siebie) – stała się Ada. Ona urządziła Świąteczne spotkania, urodzinowe przyjęcia i zwykle spotkania z przyjaciółmi. Do najbliższych – jak podkreślałem – zaliczała się Jana (bratowa) oraz Oleńka i Kazio Fuglewiczowie, z którymi najczęściej umawialiśmy się na sobotnio-niedzielne wypady w plener (foto na następnej stronie). Grono przyjaciół było oczywiście znacznie szersze. Na początku lat 90. – towarzystwo, któ-



Spotkanie Przyjaciół z okazji moich osiemdziesiątych urodzin (2003 r.). Prof. Pawłowiczowa, żona już nieżyjącego Kazika; profesor Lipowczan z żoną (na prawym skraju zdjęcia) – najbliżsi sąsiedzi; Lusja i Henio („Sokolicz”) Wilkojciowie; Ada (stoi) i Jana



Młodzież na 80 urodzinach Ady (2007). Z osób dotychczas nie prezentowanych jest Ania, siostrzenica Ady z mężem Lolkiem i ich córka Joasia (z prawej) koło Kasi

re podejmowaliśmy z Adą na okolicznościowych przyjęciach z trudem mieściło się w mieszkaniu. Niestety – *czas uszczuplał grono przyjaciół*.

Andrzej – gdy się ożenił – zamieszkał najpierw w „kawalerce”, którą odziedziczył po Mamie (swojej Babce), a później w innych mieszkaniach. Na Brynów



Ucieczka z miasta w plener z Fugłami i Janą – najczęściej do Francesca Nullo lub w Jurę Krakowsko-Wieluńską (2002 r.)

już nigdy nie wrócił. W latach 2004–2005 wybudował piękny dom w Mikołowie, a ściślej w jego *wiejskiej dzielnicy*, na wyniosłym wzgórzu. Sam nigdy nie zdecydowałem się na budowę własnego domu i tym serdeczniej gratulowałem mu zarówno decyzji, jak i sprawnej realizacji. W tym pięknym domu rosną dwie bardzo udane córeczki: Majka (X.2007) i Martynka (VII.2009).

Choć zarówno Ada, jak i ja lubiliśmy rodzinne i towarzyskie spotkania – ich udział w ogólnym bilansie czasu prywatnego – nie był duży. Zdecydowanie przeważał czas, który spędziliśmy we dwójkę – ewentualnie we trójkę z Janą. Nie da się ukryć, że w sposobie zagospodarowania tego czasu było dużo swoistej rutyny – związanej zresztą ściśle z naturalnym biegiem pór roku i dat kalendarza. Także z przyzwyczajeniami, które sięgały daleko w epokę PRL.

Choć zarówno Ada, jak i ja lubiliśmy rodzinne i towarzyskie spotkania – ich udział w ogólnym bilansie czasu prywatnego – nie był duży. Zdecydowanie przeważał czas, który spędziliśmy we dwójkę – ewentualnie we trójkę z Janą. Nie da się ukryć, że w sposobie zagospodarowania tego czasu było dużo swoistej rutyny – związanej zresztą ściśle z naturalnym biegiem pór roku i dat kalendarza. Także z przyzwyczajeniami, które sięgały daleko w epokę PRL.

Święta Wielkanocy – jak przez wiele wcześniejszych lat – nadal spędzaliśmy z Janą w Zakopanem. Domy wczasowe naszych kopalń odeszły w przeszłość – ale znaleźliśmy wygodny dom „Wodnik” – prawie w centrum Zakopanego. Nie serwował posiłków – stanowił więc niekrępującą bazę wypadową do wędrówek po tatrzańskich dolinkach. Samochodem – zawsze dojeżdżało się do wylotu dolinki wybranej na dany dzień i wędrowało trasami świetnie znanymi, które nigdy się nie nudziły. Strażyska, tradycyjnie inaugurowała wędrówki. Kolejność następnych dobieraliśmy bardzo różnie... a w drodze powrotnej jadło się obiad w jednej z uroczych zakopiańskich gospód. I tak – dzień po dniu



Andrzej z Kasią, małą Majką (w wózku) i Harym. Na górce jego nowy dom

ność następnych dobieraliśmy bardzo różnie... a w drodze powrotnej jadło się obiad w jednej z uroczych zakopiańskich gospód. I tak – dzień po dniu



Na Siwej Polanie – wśród krokusów. W czasie Świąt Wielkanocy odwiedzili nas Kasia i Andrzej (2003 r.)



Śniadanie wielkanocne w „Wodniku” w 2004 roku: Jana, Dominika, Andrzej, Kasia i Ada

– co najmniej 7–10 dni przed właściwymi Świętami albo po nich (zależnie od pogody).

Święcenie koszyczka ze *święconym* – w dużym kościele na Krupówkach i uroczysta rezurekcja w drewnianym kościółku przy ulicy Kościeliskiej – stanowiły kulminację *wielkanocnych wypraw*.

Ta tradycja była źródłem zawsze podobnych... i zawsze wzruszających przeżyć. Do nich należały również życzenia składane po Rezurekcji – przed kościółkiem – Roszkowskim i Trutwinom, którzy także od wielu lat Święta spędzali przeważnie w Zakopanem.

Dodatkową atrakcją tak spędzanych Świąt był czasem przyjazd do Zakopanego Andrzejka z Dominiką i Elżbietki z dziećmi. Wówczas ułatwiliśmy „młodzieży”

organizowanie narciarskich eskapad na Kasprowy i na inne wyciągi. Parę razy przyjeżdżał również Sławek – gdy Hala już nie żyła (2005). Z atrakcji, które mu proponowaliśmy bardzo chwalił wyjazd samochodem na Gubałówkę i spacer jej



Wyjazd na Kasprowy należał do niemal obowiązkowego „repertuaru”

grzbietem tuż przed zachodem słońca – z widokami na Tatry – zupełnie bajkowymi. Tatry to autentyczna perła naszej przyrody – i to głównie one ciągnęły nas do Zakopanego na każde Wielkanocne Świąta.

Wyprawy nad morze fundowaliśmy sobie przeważnie na przełomie wiosny i lata – rzadko zdarzały się inne terminy. Cel był zawsze ten sam: „wygrzać kości,



Dotarliśmy do Pakostane! Czekają nas postawienie namiotu i urządzenie biwaku

gdy w kraju wciąż trzyma zimnica”. Najchętniej – przez wiele lat – jeździliśmy nad Adriatyk, na któryś z kempingów. Ponieważ również Andrzej robił wypadki z Dominiką nad Adriatyk – czasem spotykaliśmy się tu i zgodnie chwaliliśmy ciepłe morze. Gdy Chorwacja wybudowała autostradę między Zagrzebiem a Splitem – ulubionym miejscem biwakowania stały się Pakostane. Rozległy las nad pięknym wybrzeżem... świetne miejsca kąpielowe... urocza nadmorska „promenada” do nieodległego miasteczka... czarowne zachody słońca nad wyspami ciągnącymi się aż po horyzont. Czasem udawało się rano „wystartować” samochodem z Katowic, a pod wieczór stawiać namiot w cieniu nadmorskich pinii.

gdy w kraju wciąż trzyma zimnica”. Najchętniej – przez wiele lat – jeździliśmy nad Adriatyk, na któryś z kempingów. Ponieważ również Andrzej robił wypadki z Dominiką nad Adriatyk – czasem spotykaliśmy się tu i zgodnie chwaliliśmy ciepłe morze. Gdy Chorwacja wybudowała autostradę między Zagrzebiem a Splitem – ulubionym miejscem biwakowania stały się Pakostane. Rozległy las nad



W Hurgadzie na tym cyplu kąpiel była najprzyjemniejsza, ale daleko jej do adriatyckiego wybrzeża



Kretę pożegnaliśmy spacerem po plaży o zachodzie słońca

W latach 2006 i 2007, w czasie naszego pobytu w Pakostanach, pojawiły się w morzu nieprzyjemne algi i wodorosty. Więc w latach 2008 i 2009 *szukaliśmy szczęścia* kolejno w egipskiej Hurgadzie i ostatnio na Krecie (zdjęcia na poprzedniej stronie). Choć i tam morze było ciepłe, a słońce dogrzewało *niemiłosiernie* – załłowaliśmy Chorwacji. Podziw dla urody dalmatyńskiego wybrzeża, który przywiozłem ze studenckiej praktyki wakacyjnej (1948 r., str. 248–252) – nigdy nie uległ zatarciu. Norweskie fiordy są może równie piękne, ale to inny świat – surowy i zimny.

Splywy kajakowe (indywidualne), które organizowaliśmy każdego roku – były atrakcją najbardziej oczekiwaną. Nie wyobrażaliśmy sobie lata bez dwuty-



Na szlaku Czarnej Hańczy zachód słońca na jeziorze Mikaszewo (1999 r.)

godniowego spływu – przeważnie na przełomie lipca i sierpnia. Z upływem lat wygasła ochota na poznanie nowych rzek. W *żelaznym repertuarze* pozostały wspomniane wielokrotne spływy szlakiem Czarnej Hańczy, bądź Krutyni oraz Brdą. To, że byliśmy tu bardzo niedawno (czasem przed rokiem) i dobrze znaliśmy



Na Beldanie po przepłynięciu Krutyni (2001 r.)

całą trasę – wcale nie zmniejszało radości z ponownej „wizyty”. Z przyjemnością płynęło się

na ulubione biwaki i stało na nich nawet po kilka dni. Nigdy się nie nudziły!



Splyw Brdą (2002)

Świat jest piękny! Jego atrakcje w postaci zabytków historii i kultury oraz parków narodowych i *pomników przyrody* – staraliśmy się poznawać, korzystając z wciąż chwalonych *objazdówek*. Ale ani Ada, ani ja – za żadną z tych atrakcji nie oddalibyśmy przeżyć, które dają spokojne

płynięcie bliską nam rzeką... oraz *nanizanymi* na niej jeziorami i jeziorkami. Przez Puszcę Augustowską... mazurskie lasy czy... Bory Tucholskie... W bezpośredniej bliskości majestatycznie płynącego łabędzia, perkoza nurkującego *nerwowo* i stada kacząt chroniących się w sitowiu lub drzemiących na konarze sterczącym z wody.



Z czym da się porównać taką przedpołudniową kawkę na Brdzie? (2005 r.)



...albo taki zachód słońca na Mikaszówce? (2006 r.)

A oprócz płynięcia jest przecież biwakowanie na wybranym brzegu, wśród wspaniałych sosen! *Rozbijanie* namiotu... przygotowywanie posiłków... kąpiel, gdy tylko przychodzi na nią ochota... dobra książka czytana w cieniu drzew... wieczorne ognisko... Nie umiem opisać urody kajakowego spływu naszymi wodnymi szlakami, ale wiem, że dostarczają niezapomnianych przeżyć... i że niczym nie dadzą się zastąpić.



Jana Wajglowa i Zbyszek przy swym udanym zbiorze

Grzybobranie w naszej hierarchii ocen – lokowało się za kajakowymi spływami, ale na niezbyt odległym miejscu. W początkowych latach 90. do *wypraw na grzyby* zachęcili nas Kazio i Ola Fuglewiczowie. Jeszcze w epoce PRL wraz z Janą Wajglową – jeździli do Wierzby położonej u zbiegu jezior: Beldan, Mikołajskie i Śniardwy. Już po pierwszym wyjeździe wraz z nimi i naszą Janą – połknęliśmy *bakcyła*. Obok praktykowanych wcześniej i miło wspomnianych jednodniowych *wypadów na grzyby* – pojawiły się parotygodniowe grzy-

bobrania. Puszcza Piska sąsiadująca z Wierzbą, to leśny kompleks ogromny i wyjątkowo piękny. Codzienne wielogodzinne *łazenie* po tych lasach – nawet, gdy grzyby *niedopisywały* – to była autentyczna frajda.

Ale grzybów nie brakowało! Jana Wajglowa ze swym Zbyszkciem, najlepiej znała te lasy i to Ona osiągała rekordowe zbiory (zdjęcie na poprzedniej stronie). Dopiero plaga kleszczy, które pojawiły się w tamtych lasach w roku 1996 – wystraszyła nas z Wierzby.

Nadal z Janą – zaczęliśmy penetrować południowo-zachodnie obrzeża Puszczy Noteckiej – znane z dawno zapomnianego – nieudanego splywu Obrą. Szczęśliwie trafiliśmy do wsi Stara Jabłonka, położonej 8 km od Trzciana. Gospodarstwo agroturystyczne państwa Kusków okazało się idealną bazą grzybowych wypraw. Wygodne pokoiki, łazienka, kuchenka do dyspozycji... a dookoła piękne lasy i jeziora... czy trzeba szukać lepszego miejsca?

Do Starej Jabłonki jeździliśmy 10 lat! Nie zawsze trafialiśmy na *wysyp prawdziwków i podgrzybków*, ale zawsze jednak „*coś się zebrało*”. Czas całkowitego *bezgrzybienia* – co zdarzyło się parę razy gdy *uderzyła* susza – spędzaliśmy nad któryś z leśnych jezior. Normalnie – grzyby jednak były. Czas płynął więc na wielogodzinnym chodzeniu po lesie... na przygotowywaniu zbiorów do suszenia lub marynowania... na leniuchowaniu. Zawsze braliśmy ze sobą *zaległą* literaturę – i oczywiście Daviesa – gdy tylko ukazała się jakaś nowa pozycja! Starą Jabłonkę wspominamy jako wyjątkowo ciche i dobre miejsce na *zażywanie* polskiej złotej jesieni.

Jednak w roku 2005 postanowiliśmy zmienić rejon grzybobrania. Biorąc pod uwagę zaawansowanie budowy autostrady w kierunku Zielonej Góry i dobrą opinię o tamtejszych lasach – poprzez internet – *namierzaliśmy* agroturystykę państwa Michalaków w miejscowości Bojadła. Rozległa wieś – na dużym polanie – a dookoła lasy... piękne zielonogórskie lasy niezakrzaczone i przewiewne – przeważnie w średnim wieku, głównie sosnowe. Sieć leśnych dróg umożliwia łatwy dojazd w wybrane rejony lasów, które „są wszędzie”. I rzecz najważniejsza – w tych lasach jest dużo grzybów. Pierwsze penetracje ułatwił nam uprzejmy miejscowy grzybiarz, ale już po kilku dniach – korzystając z mapy topograficznej (1:50 000) – zaczęliśmy czuć się w Bojadłach



W Starej Jablonce (1998 r.). Adka zrobiła to zdjęcie



Jana odpoczywa w lesie w czasie ostatniego grzybobrania (2006 r.)

jak u „siebie w domu”. Również agroturystyka okazała się gościnną i dobrze urządzoną. Atrakcją był rozległy ogród i niewielka winnica owocująca czarnymi, słodkimi gronami. Gospodarz robił z nich dobre wino. Goście mogli korzystać z wygodnej suszarni grzybów – opalanej drewnem przez gospodarza. Swojskości nadawały gospodarstwu dwa psy: ogromny „Reksio” (podobny do sienkiewiczowskiej „Saby” z filmu „W pustyni i puszczy”) oraz mały „Asik” spokrewniony z jamnikiem. Do tego gromadka małych kotów żyjąca z psami w wielkiej komitywie.

Polubiliśmy Bojadła i miłych gospodarzy. Także Jana, czuła się tu dobrze. Niestety – drugie grzybobranie w Bojadłach było jej grzybobranie ostatnim. Gdy w październiku 2006 roku byliśmy w Stanach Zjednoczonych na wspomnianej już *objazdówce* – Jana zmarła we śnie (14.10.2006 r.). Odeszła tak cicho jak żyła. Po powrocie pochowaliśmy ją obok Tadzia na kwaterze, którą On i jego koledzy z korporacji Polesia – zajmowali już od dawna na służewieckim cmentarzu.



Reksio przyszedł pomagać mi w obieraniu grzybów (2007 r.)



Prawdziwki, które zbieraliśmy w Bojadłach potrafiły być godne wystawy (2009 r.)

W następnych latach nadal jeździliśmy do Bojadeł. Nieznośnie brakowało nam Jany – jej pogody ducha, życzliwości i dobroci. Nie były to już te niezapomniane grzybobrania z nieodżałowaną Janiszką – ale życie toczyło się dalej. Staraliśmy się z Adą wieść normalny *żywoł grzybiarzy* – jakby nadal była z nami. Wybrałem trzy zdjęcia z ostatnich lat (na poprzedniej stronie), które dość dobrze ilustrują atmosferę Bojadeł.

Kończąc tę relację o sposobie spędzania czasu w podstawowym nurcie życia prywatnego, wspomnę jeszcze **krótkie wycieczki**, które – oprócz większych wypraw – bardzo nam uprzyjemniały życie. Choć niektóre z nich powtarzaliśmy wielokrotnie... zawsze były atrakcją. Wspominałem już częste wycieczki w Jurę – zwłaszcza majowe – aby przejść jej grzbietem między piastowskimi zamkami w Mirowie i Bobolicach i słuchać śpiewu słowików *zawieszonych pod błękitem nieba*.

W czerwcu czasem udawało się pojechać na Wykus do Puszczy Jodłowej, gdzie na kombatanckich uroczystościach – poprzez osobę „Ponurego” – historia AK-owskiej partyzantki w Górach Świętokrzyskich spletała się z naszą – Nowogrodzką (patrz str. 68, 145, 184).

W powrotnej drodze z Czarnej Hańcy – staraliśmy się zaglądać do Rezerwatu Puszczy Białowieskiej, gdzie potęga i piękno naszej przyrody są zupełnie wyjątkowe.

Pieniny, Karkonosze, Góry Stołowe, Góry Świętokrzyskie... wszystko to są miejsca *odkryte* bardzo dawno, do których nas zawsze ciągnęło. Najczęściej zaglądaliśmy oczywiście w nieodległe Beskidy. Wyjazd kolejką na Skrzyczne i 3–4 godzinne przejście grzbietem masywu przez Malinowskie Skalki na przełęcz Biały Krzyż – to w latach 2000 był niemal coroczny sprawdzian naszej kondycji. Pokonywaliśmy ten szlak przeważnie w czerwcu lub późnym latem. Następnego dnia – po noclegu w góralskich „gościnnych pokojach” – odwiedzaliśmy restaurację na Stożku i *fundowaliśmy sobie* widoki z linowej kolejki na Czantorię.



Zawsze niezawodny Romuald Bardziński⁵⁾ („Pajak”) – z proporcem „Krysiaków” na Wykusie w 2005 roku



Na Malinowskich Skalkach, w drodze na przełęcz „Biały Krzyż” lato 2006 r.

Wspaniałego, tysiącletniego „Bartka” (kolo Zagnańska) i Bieszczady udało się odwiedzić tylko parę razy. Ale może dlatego te „odwiedziny” wspominam ze szczególnym sentymentem.



Wspaniały platan kolo nieistniejącej cerkiewki w Wołosatym za Ustzykami Górnymi w najdalszym kącie Bieszczad (2008 r.)

Kiedyś próbowaliśmy z Adą ocenić, który z praktykowanych przez nas sposobów spędzania wolnego czasu – najbardziej nam odpowiada. Byliśmy zgodni, że spływy kajakowe i *objazdówki* przybliżające daleki świat – choć reprezentują skrajnie odmienne przeżycia – są najbardziej oczekiwane. Ale bez rodzinnych i towarzyskich spotkań... bez tych najzwyklejszych spacerów do ogródków działkowych lub do katowickiego parku na Muchowcu... bez krótkich wycieczek w jakże piękne zakątki Kraju... i bez grzybobrania – życie byłoby nieporównanie uboższe. To, że umieliśmy je *komponować* z różnych elementów – że „nie zaglądaliśmy do metryki” i woleliśmy *ruchliwość* od *gmuśności* – było naszym wielkim sukcesem. Sądzę, że w takim podejściu do codzienności tkwi też znacząca część *ciętej recepty* na udane życie – jeżeli taka *recepta* w ogóle istnieje?!

OD AUTORA – ZAKOŃCZENIE

(dotyczy całego dwutomowego wydawnictwa)

Powzięty zamysł spojrzenia na bieg mego życia i opisanie go we wspomnieniowej relacji – został zrealizowany. Zajęło mi to *pełne* trzy lata.

Dopiero teraz, gdy przeglądam tę relację w postaci, do której postanowiłem nie wnosić już większych uzupełnień i korekt – widzę jak zapisana historia jest niepełna... jak daleko jej do całej prawdy o minionej rzeczywistości.

Czy jednak jest w ogóle możliwe zawarcie we wspomnieniach całego *bagażu* życiowej drogi? Zwłaszcza, gdy jest długa i przypada na EPOKĘ WIELKICH PRZEMIAN?

Utwierdzam się w przekonaniu, że nie jest to możliwe. Życie jest niepowtarzalne i nie da się go *odtworzyć* we wspomnieniach. Można osiągnąć za ledwie jakiś zarys... jakiś ślad dążeń i usiłowań... sukcesów i klęsk – ale zawsze będzie to obraz niepełny. Muszę się z tym pogodzić. Pozostaje pytanie o sens i przydatność tej wersji, która powstała – choć jest niekompletna i *dziurawa*.

Otóż, mimo wielu wątpliwości, chcę wierzyć, że Czytelnicy moich WSPOMNIEN OSOBISTYCH – będą je odbierać jako historię jednej z wielu kresowych rodzin i jej najbliższego otoczenia. Jako historię charakterystyczną dla ludzi z tamtych *ziem utraconych* i dla czasów, w których było im dane układać swą życiową drogę.

Bylbym bardzo usatysfakcjonowany, gdyby te WSPOMNIENIA zostały uznane za choćby niewielki wkład w zasób historycznej pamięci – i doświadczeń gromadzonych przez całe polskie społeczeństwo. Zasób ten został wyraźnie zubożony i w znacznym stopniu zaklamany – głównie w epoce PRL, ale też niestety – także w następnych dekadach. Dotyczy to głównie wiedzy o losie Kresów i ich obrońców. W całkiem innej i odpowiednio mniejszej skali – dotyczy też losu polskiego górnictwa węgla kamiennego, które w okresie rynkowej transformacji starałem się bronić przed skutkami fatalnego WŁAŚCICIELSKIEGO zarządzania.

W czasach, które opisałem – gromadzące się doświadczenia były pozytywne i negatywne... negatywne i pozytywne... w bardzo różnych proporcjach. W sumie prowadziły jednak ku rzeczywistości i przyszłości zasługującej na ocenę optymistyczną.

Chciałbym, aby te wspomnienia – choć jest w nich zapis wielu moich niepowodzeń – zwłaszcza w pracy zawodowej – stymulowały optymizm. Mówiłem o tym we wprowadzeniu. Chciałbym też, aby stymulowały determinację stawiania sobie niełatwych celów i wolę ich realizacji – wbrew trud-

nościom. Profesor Krupiński miał niezaprzeczalną rację, gdy mówił: „*Nie ma co lamentować – trzeba pracować!*”¹⁹⁾

Wraz z Europą, która zdecydowanie zmierza do budowania wspólnej, lepszej przyszłości – i ze ŚWIATEM, który poszukuje nowych rozwiązań w globalnym ładzie – zmierzamy ku przyszłości rysującej się w barwach optymistycznych. Na niezbyt odległym horyzoncie – na fali wspaniałych osiągnięć nauki i techniki – pojawia się coś, co być może, będzie można określić jako CYWILIZACJĘ WARTOŚCI, nie tylko materialnych. Wierzę, że w porównaniu do dotychczasowej – jakże burzliwej i nierzadko zawstydzającej historii naszego gatunku – będzie to nowa – lepsza – jakość!!

Katowice – Brynów, maj 2011–2013 rok

Andrzej Lisowski

Publikacje i źródła przywołane w II tomie

a) Publikacje autorskie w alfabetycznym układzie nazwiska autora (lub pierwszego współautora), a następnie w układzie chronologicznym

1. Adamiccki K.: O nauce organizacji. Wybór pism dokonany przez Zb. Heidricha. PWE. Warszawa, 1985.
5. Bolewski A., Czujowa M., Folkierski W., Kleczkowski A.St., Matl K., Pierzchała H., Żychoń S.: Trudne lata Akademii Górniczej. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1980.
8. Brzeziński Zb.: Druga szansa. Trzej prezydenci i kryzys amerykańskiego supermocarstwa. Świat Książki, Warszawa, 2008.
10. Davies N.: Europa – rozprawa historyka z historią. Wydawnictwo Znak, Kraków 1998. Europa Walczy. 1939–1945. Nie takie proste zwycięstwo. Wydawnictwo Znak, Kraków, 2008.
11. Dudek A.: PRL bez makijażu. Wydawnictwo Znak, Kraków, 2008.
12. Dusza Z., Lisowski A., Słomeczyński M., Wyszomirski J.: Niektóre doświadczenia z prac nad unowocześnieniem podsadzki plynnej. Przegląd Górniczy 1956 nr 3.
17. Garlicki A.: 1815–2004. Historia. Polska i Świat. Wydawnictwo Naukowe SCHOLAR, Warszawa, 2005.
18. Gralikowski K.: Perspektywy osiągania dużej koncentracji produkcji w eksploatacji z podsadzką hydrauliczną (konceptcja systemu). Materiały z sympozjum zorganizowanego w GIG, dnia 24.02.1993. Katowice, GIG, luty 1993.
19. Jarocki R.: Z Niwki do Genewy. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1980.
22. Kamiński J., Plonka M., Supernak J., Drabik G., Zajac M. i inni: Stoiskowe pomiary strat energetycznych przepływu mieszaniny dla potrzeb metody OG. Zestawienie wyników pomiarów w I półroczu 1990 r. Dokumentacja GIG w temacie 200F.01. Katowice, czerwiec 1990.
33. Krupiński B., Lisowski A.: Zasady projektowania kopalń. Część III. Projektowanie eksploatacji pod obiektami. WGH, Katowice, 1958.
34. Krupiński B.: Rodzime surowce mineralne w gospodarce narodowej Polski. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice, 1971.
36. Lisowski A.: Wahadłowy system eksploatacji zawałowej. Przegląd Górniczy 1953 nr 7. Wahadłowy systemu eksploatacji warstwami z zawałem. Przegląd Górniczy 1953 nr 9.
37. Lisowski A.: Uwagi o projektowaniu urządzeń podsadzkowych. Przegląd Górniczy 1954 nr 7/8.

38. Lisowski A., Słomczyński M., Wyszomirski J.: Niektóre doświadczenia z prac nad unowocześnieniem podsadzki płynnej. *Przegląd Górniczy* 1955 nr 11.
39. Lisowski A.: Trzeba ulepszyć metody oczyszczania wody podsadzkowej. *Wiadomości Górnicze* 1956 nr 3.
40. Lisowski A.: Przyczynek do zagadnienia kierunku urabiania w przodkach typu ścianowego (na tle analizy systemu Be-Ge). *Zeszyty Naukowe AGH Górnictwo* 1957 nr 4.
41. Lisowski A.: Kierunek eksploatacji ścian zawałowych. *Prace Głównego Instytutu Górnictwa*, Komunikat 201, WGH, Katowice, 1958.
42. Lisowski A.: Kierunki rozwoju metod i systemów wybierania grubych pokładów w gómośląskich kopalniach węgla. *Przegląd Górniczy* 1959 nr 12.
43. Lisowski A.: O koncentracji robót górniczych. *Wiadomości Górnicze* 1960 nr 5.
44. Lisowski A., Klenczar H.: Chodniki wglębne i ich znaczenie dla wzrostu koncentracji. *Wiadomości Górnicze* 1961 nr 9. Chodniki wglębne dla ścian pojedynczych oraz sprzężonych. *Wiadomości Górnicze* 1961 nr 11.
45. Lisowski A.: Koncentracja czynnikiem decydującym o oddziałowej i dolowej pracochłonności głębinowych kopalń węgla kamiennego. *Prace GIG*, Komunikat Nr 361, Katowice, 1964.
46. Lisowski A., Groycecki A., Soltyszek K., Wyszomirski J., Prymula J., Starzyński S., Palka L.: Możliwość opracowania empirycznych równań przepływu oraz wyznaczanie za ich pomocą optymalnego ciężaru właściwego mieszaniny podsadzkowej i wydajności rurociągów podsadzki hydraulicznej. *Prace GIG*, Komunikat nr 380, Katowice 1965.
47. Lisowski A.: Potencjały jako narzędzie operatywnej analizy i kontroli pracy ścian kombajnowych. *Przegląd Górniczy* 1968 nr 9.
48. Lisowski A.: 10 lat stosowania technologii pełnego zasilania rurociągów podsadzkowych. *Przegląd Górniczy* 1970 nr 10.
49. Lisowski A.: Co i jak komputeryzować. *Życie Gospodarcze* 1971 nr 1.
50. Lisowski A., Pawełczyk E.: Plan wdrażania systemów analityczno-rozliczeniowych i planistycznych w latach 1971–1975. W pozycji 125.
51. Lisowski A., Pawełczyk E.: Kompleksowy model komputeryzacji prac analityczno-rozliczeniowych i planistycznych w polskim przemyśle węglowym. *Prace III krajowej konferencji informatyki*, Katowice 1974. *Gospodarka Planowa* 1975 nr 10–11.
52. Lisowski A.: Wzelenianie młodzieży w górnictwo. W pozycji 126.
53. Lisowski A.: Tama do ciągłego tamowania i podsadzania ścian z obudową kroczącą. Opis patentowy 107049, zgłoszony w GIG 14.07.1977 r.

54. Lisowski A.: Gospodarka zasobami złóż surowców mineralnych. Przegląd Górniczy 1981 nr 6.
55. Lisowski A., Pawełczyk E.: Raport o stanie specjalności – Ekonomia i Organizacja Górnictwa (Podsumowanie i Wnioski). Przegląd Górniczy 1985 nr 9.
56. Lisowski A.: Tożsamość specjalności Ekonomia i Organizacja Górnictwa. Archiwum Górnictwa 1986. Tom 31, zeszyt 43.
57. Lisowski A.: Wpływ stosowania podsadzki hydraulicznej na techniczną i ekonomiczną efektywność eksploatacji w górnoląskich kopalniach węgla. Przegląd Górniczy, część I – 1986 nr 10; część II – 1987 nr 1.
58. Lisowski A.: O przyczynach Kryzysu – w aspekcie zarządzania. Przegląd Organizacji 1988 nr 7.
59. Lisowski A.: Efektywność górnictwa węgla kamiennego w świetle faktów. Przegląd Górniczy 1989 nr 5; Przegląd Techniczny 1989 nr 5 i 6; także w pozycji 73.
60. Lisowski A.: Niektóre problemy górnictwa węglowego dyskutowane w podzespole ds. górnictwa „Okrągłego Stolu”. Wypowiedź na posiedzeniu podzespołu dnia 24.02.1989 r. w nawiązaniu do referatu prof. Włodzimierza Bojarskiego z dnia 20.02.1989 r. Materiały sympozjum nt. „Organizacja Górnictwa”. Wydawnictwo TNOiK, Katowice, 1989, także w pozycji 73.
61. Lisowski A.: Integracyjny wariant proefektywnościowej reformy w górnictwie węgla kamiennego. Referat na sympozjum Sekcji EiO Komitetu Górnictwa PAN. 28–29.09.1989 r. Przegląd Górniczy 1990 nr 1; także w pozycji 73.
62. Lisowski A.: Uwagi o prywatyzacji i monopolach (górnictwo skarbowe). Wydawnictwo TNOiK, maj 1990. Skrót: O prywatyzacji – inaczej. Przegląd Techniczny 1992 nr 49; także w pozycji 73.
63. Lisowski A., Stosiek F., Mastej R.: Symulacyjna analiza wariantów polityki eksploatacyjnej górnictwa węgla kamiennego. Przegląd Górniczy 1990 nr 10; także w pozycji 73.
64. Lisowski A.: Organizacyjny rozwój Głównego Instytutu Górnictwa. 1945–1990. Wydawnictwo GIG, Katowice, 1991.
65. Lisowski A.: Tożsamość nauk organizacji i zarządzania – głos w dyskusji. Organizacja i Kierowanie 1992 nr 1–2 (67–68).
66. Lisowski A.: Metoda oceny ekonomicznych skutków zróżnicowania naturalnych i strukturalnych warunków pracy kopalń i jej zastosowanie do wyznaczania *renty* w kopalniach węgla kamiennego. Przegląd Górniczy 1992 nr 6; także w pozycji 73.
67. Lisowski A.: Metoda optymalizacji wykorzystania odpadów kopalnianych i energii potencjalnej w podsadce hydraulicznej – metoda OG. Prace Głównego Instytutu Górnictwa, Komunikat nr 768, Katowice, 1992.

68. Lisowski A.: Programowanie rekonstrukcji kopalń węgla kamiennego. *Przegląd Górnictwa* 1993 nr 2.
69. Lisowski A.: 100 lat technologii podsadzki hydraulicznej; możliwości poprawy efektywności technicznej i ekonomicznej. *Przegląd Górnictwa* 1993 nr 7–8. Dodatek do zeszytu P.G.: Komunikaty Zakładu Technologii Podsadzki GIG – dziewięć opracowań, pracowników Zakładu. Także: materiały sympozjum 24.02.1993 – wydane przez GIG. Katowice, luty 1993.
70. Lisowski A.: O skuteczności komputeryzacji zarządzania w polskim górnictwie węgla kamiennego „Diagnoza” i „Leczenie”. *Materiały Szkoły Ekonomiki i Zarządzania w Górnictwie „95”*. AGH. Kraków, 22–23 listopada 1995 r.
71. Lisowski A.: Wojna trzydziestoletnia o usprawnienie systemu identyfikacji elementarnych zasobności gospodarczych w kopalniach węgla kamiennego. *Przegląd Górnictwa* 1996 nr 10.
72. Lisowski A.: 2000 t/d – węgla kamiennego z jednej ściany – wymagane minimum efektywnej eksploatacji w górnośląskich kopalniach. *Wiadomości Górnictwa* 1996 nr 12.
73. Lisowski A.: Górnictwo węgla kamiennego w Polsce. Efektywność, rekonstrukcja, zarządzanie 1989–1995. Od „Okrągłego Stolu” do „Wyzwań końca XX wieku”. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice, 1996.
74. Lisowski A.: Badanie przyczyn niskiej koncentracji i wysokich kosztów produkcji w ścianach kompleksowo zmechanizowanych oraz prognoza efektywności opracowanego systemu ubierkowo-zabierkowego. Główny Instytut Górnictwa, Katowice 1996–1997.
75. Lisowski A.: Prowadzić czy nie – górnictwem eksploatację złóż, gdy powierzchnia wymaga ochrony? *Przegląd Górnictwa* 1997 nr 3.
76. Lisowski A.: Podsadzka hydrauliczna w polskim górnictwie. Technologia górnictwa – technologia ochrony środowiska. Monografia (rozwój – stan – perspektywa). Wydawnictwo Śląsk, Katowice, 1997.
77. Lisowski A.: System MKK – szansa przystosowania do wymagań XXI wieku procedur decyzyjnych w zakresie ochrony powierzchni przed szkodami górnictwem. *Miesięcznik WUG* 1998 nr 4.
78. Lisowski A.: Przesłanki, cele i zadania, istotne dla skuteczności programu rekonstrukcji górnictwa węgla kamiennego w latach 1998 do 2002 i 2020. *Przegląd Górnictwa* 1998 nr 6.
79. Lisowski A.: Spór o kierunki polityki eksploatacyjnej w programie reformy górnictwa węgla kamiennego w latach 1998–2002. *Przegląd Górnictwa* 1998 nr 9.
80. Lisowski A.: O kosztach i szansach stosowania podsadzki hydraulicznej w górnictwie węgla kamiennego. *Przegląd Górnictwa* 1999 nr 2.

- 81 Lisowski A.: Podstawy ekonomicznej efektywności podziemnej eksploatacji złóż. Wydawnictwo GIG i PWN, Katowice – Warszawa, 2001.
- 82 Lisowski A.: Koncepcja systemu symulacyjnego, zintegrowanego planowania inwestycyjno-produkcyjnej działalności kopalń – System SZP. Przegląd Górniczy 2002 nr 3.
- 83 Lisowski A.: Transformacja polskiego górnictwa węgla kamiennego w latach 1990–2002 – dyskusja i konkluzje. Przegląd Górniczy 2003 nr 1.
- 84 Lisowski A.: Rozszerzona ocena ekonomicznej efektywności przedsiębiorstw – metoda bilansu dochodów publicznych (BDP). Przegląd Górniczy 2002 nr 6. Także: w pozycji 94.
- 85 Lisowski A.: Szansa na nowoczesność monitoringu i stymulacji ekonomicznej efektywności wnętrza podziemnych kopalń – System SRK. Przegląd Górniczy 2003 nr 8.
- 86 Lisowski A.: Alternatywny program naprawy polskiego górnictwa węgla kamiennego w celu dostosowania go do funkcjonowania w Unii Europejskiej. Przegląd Górniczy 2003 nr 11.
- 87 Lisowski A.: Szanse wdrożenia w górnictwie węgla kamiennego trójukładowego monitoringu i analityki wnętrza podziemnych kopalń. Szkoła Ekonomiki i Zarządzania w Górnictwie „2004”. Przegląd Górniczy nr 9.
- 88 Lisowski A.: O nieodzowności spolaryzowanego wsparcia przez naukę ekonomicznej efektywności polskiego górnictwa. Przegląd Górniczy 2004 nr 12.
- 89 Lisowski A.: Niezauważane (ignorowane?) problemy funkcjonowania gospodarki i państwa. Szkoła Ekonomiki i Zarządzania w Górnictwie 15–17.09.2004. Materiały Konferencyjne, Kraków 2004. Także: w pozycji 94. Skrót: Polska w obliczu wyzwań przyszłości. Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus”. PAN, Warszawa, 2004.
- 90 Lisowski A.: W 100-lecie urodzin O Bolesławie Krupińskim. Wspólne Sprawy. Organ SITG, 1993 nr 3. Także: Profesor Bolesław Krupiński. Biuletyn Informacyjny Szkoły Eksploatacji Podziemnej 2005 nr 15.
- 91 Lisowski A.: Uwagi do dokumentu „Polityka Energetyczna Polski do 2025 roku”. Przegląd Górniczy 2005 nr 10.
- 92 Lisowski A.: Miejsce modernizacji kopalń w programach restrukturyzacji polskiego górnictwa węgla kamiennego w latach 1990–2004. Przegląd Górniczy 2005 nr 12.
- 93 Lisowski A.: Zarządzanie w przemyśle wydobywczych. Wydawnictwo Wyższej Szkoły Zarządzania i Języków Obcych w Katowicach, Katowice, 2005.
- 94 Lisowski A.: Górnictwo węgla kamiennego w Polsce. Ku następnej generacji kopalń i sektora (1996–2005). Wydawnictwo GIG, Katowice, 2006.

- 95 Lisowski A.: Podstawowe błędy w rynkowej transformacji polskiego górnictwa węgla kamiennego i szanse pomyślnego zakończenia tego procesu. *Przegląd Górniczy* 2007 nr 2.
- 96 Lisowski A.: Gospodarz socjalistycznego koncernu. W pracy zbiorowej: *Od hajera do premiera, Jana Mitręgi portret ze wspomnień*. Katowice 2009.
- 101 Malara J.: Restrukturyzacja czy likwidacja polskiego przemysłu węglowego? *TKT Czasopismo Techniczne*, nr 140, lipiec-sierpień, Kraków, 2009.
- 103 Najberg M.: 50 lat Światowych Kongresów Górniczych. Wydawnictwo XXI Kongresu, Kraków 7–12 wrzesień 2008.
- 110 Sapicha E.: Tak było. Niedemokratyczne wspomnienia Eustachego Sapichy. Wydawnictwo SAFARI POLAND 1999.
- 113 Sikora W., Malara J.: Kompleksowa, zmechanizowana ściana podsadzkowa KZSP-I w kop. General Zawadzki. *Przegląd Górniczy* 1968 nr 2.
- 114 Steckel M.: *Czarne diamenty*, zdjęcia artystyczne kopalń górnosląskich wraz z opisem. Katowice, 1929.
- 115 Szlązak J.: Restrukturyzacja górnictwa węgla kamiennego w Polsce w latach 1990–2002. Analiza skuteczności realizowanych programów. Biblioteka Szkoły Eksploatacji Podziemnej. Kraków, 2004.

b) Publikacje – prace zbiorowe – w układzie chronologicznym

- 123 Odbudowa Górnicza. Wykłady dla wyższego dozoru. Praca zbiorowa pod kierunkiem B. Krupińskiego: *Biuro Wydawnicze Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego*, Katowice, 1948.
- 124 Drogi postępu w Górnictwie. Referaty Zjazdu PAN-NOT. Stalinogród 20–22 maja 1954. Wydawnictwo PWN. Tom I Warszawa, 1956, Tom II Warszawa, 1957.
- 125 Komputeryzacja Zarządzania – z doświadczeń Przemysłu Węglowego. Praca zbiorowa pod redakcją A. Lisowskiego. Główny Instytut Górnictwa, Katowice, 1972.
- 126 Bolesław Krupiński 1893–1972. Praca zbiorowa: Wydawnictwa Geologiczne, Warszawa, 1975.
- 127 Studium Polski Podziemnej. AK w dokumentach 1930–1945. tom III i IV. Londyn. 1977.
- 128 Trzy prace studialne opublikowane w Wydawnictwie Komisji Partyjno-Rządowej dla unowocześnienia systemu funkcjonowania gospodarki i państwa Jachranka (GUS), 1973–1977. przygotowane przez A. Lisowskiego: Ocena wpływu eksploatacji surowców na ochronę środowiska (1973). Wystąpienie na temat metod rachunku społecznych kosztów i efektów rozwoju gospodarki surowcowej (1974). Wystąpienie na temat

- podstawowych problemów i kierunków rozwoju gospodarki surowcami mineralnymi w Polsce (1977).
- 129 Zastosowanie komputerów oraz metod statystyki i ekonometrii w zarządzaniu branżą. Praca zbiorowa pod redakcją A. Lisowskiego i E. Pawelczyka. Główny Instytut Górnictwa, Katowice, 1977.
 - 130 Kronika i spis absolwentów Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica 1919–1979. Praca zbiorowa: Pion górnictwa. AGH, Kraków, 1979.
 - 131 Nauka Praktyce Górniczej. XXXV lat pracy Głównego Instytutu Górnictwa 1945–1980. Praca zbiorowa pod redakcją A. Lisowskiego: Wydawnictwo GIG i PWN, Katowice, 1984.
 - 132 Raport o stanie specjalności ekonomika i organizacja górnictwa. Praca zbiorowa pod redakcją A. Lisowskiego i E. Pawelczyka. Praca Sekcji EiO, Komitetu Górnictwa PAN. Wydawnictwo Śląskiego Oddziału TNOiK. Część I i II. Katowice, 1984 i 1985.
 - 134 Dyskusja nad systemem ekonomiczno finansowym w górnictwie. Praca zbiorowa pod redakcją A. Lisowskiego i E. Pawelczyka: Sekcja Ekonomiki i Organizacji Komitetu Górnictwa PAN. Wydawnictwo Śląskiego Oddziału TNOiK, Katowice, 1988.
 - 135 Dyskusja nad tożsamością Nauk Organizacji i Zarządzania. Praca zbiorowa. Materiały robocze. Część I – odpowiedzi na kwestionariusz z 4.01.1988 nadesłane do 1.07.1989. Część II – odpowiedzi nadesłane do 17.10.1988, Część III wypowiedzi na sympozjum IV 28–29.1988 i odpowiedzi nadesłane do 30.01.1989. Część IV wypowiedzi w dyskusji nadesłane do 14.04.1989.
 - 136 Archiwum Górnictwa. Volume 39 (Special Issue). Zeszyt specjalny pod redakcją A. Lisowskiego zawierający analizę stanu i kierunków rozwoju dyscypliny Górnictwo 1994.
 - 137 Ocena poziomu dyscypliny GÓRNICTWO. Praca zbiorowa. Komitet Górnictwa PAN, Wydział IV, Kraków–Katowice, wrzesień 1994.
 - 138 Trzy konferencje: a) Problem kosztów produkcji górniczej. Sympozjum dnia 8.12.1994 r. Sekcja Ekonomiki i Organizacji K.G.PAN. Wydawnictwo GIG, Katowice, grudzień 1994. b) Ekonomia i Organizacja Górnictwa jako przedmiot nauczania akademickiego. Wydawnictwo TNOiK, Katowice, 1995. c) Stosowane i postulowane przekroje analityczne kosztów produkcji w kopalniach wraz z oceną ich przydatności w efektywnościowym zarządzaniu (ze szczególnym uwzględnieniem tzw. kosztów stałych i zmiennych). Sympozjum dnia 10.03.1998. Wydaw. GIG, Katowice, 1998.
 - 139 Najnowsza historia świata 1945–1995. Tom I, II i III. Praca zbiorowa pod redakcją A. Patka, J. Rydla, J.J. Węca. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1997.

- 141 Stanowisko Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa w odniesieniu do polityki państwa wobec problemów krajowej gospodarki paliwowo-energetycznej. Materiały konferencyjne. Wydawnictwo SITG, Katowice, 2000. Uwaga Ta publikacja SITG zapoczątkowała wieloletnią serię wydawniczą materiałów z konferencji organizowanych pod hasłem „Górnictwe Forum Dyskusyjne”.

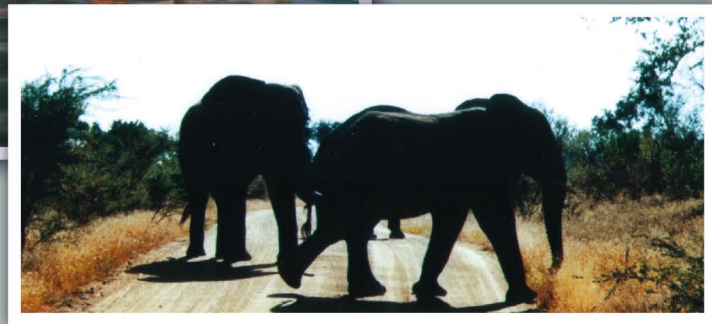
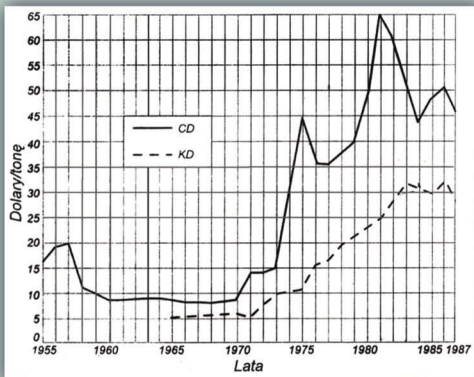
c) Materiały niepublikowane i dokumenty, w układzie chronologicznym

- 145 Lisowski A. (z Zespołem, który wykonał podstawowe prace III części): Organizacja procesu badań i rozwoju w Głównym Instytucie Górnictwa (zasady organizacji, klasyfikacja prac i ich wyników oraz wymagania w zakresie dokumentacji: poradnik – instrukcja). Wewnętrzne wydawnictwo GIG, s. 58.
- 147 Lisowski A.: Zarys perspektywicznego planu rozwoju techniki górniczej (praca wykonana w ramach zespołu prowadzonego przez doc. mgr. inż. K. Meissnera. Powielaczowe wydanie GIG, Katowice, marzec 1961 r.
- 148 List wysłany 16 stycznia 1981 roku, w którym usprawiedliwiałem swą nieobecność w dyskusji organizowanej przez CKK na temat poziomu nauki i prac doktorskich. W liście proponowałem (w 9 punktach) konkretne sposoby poprawy naukowego poziomu prac doktorskich. Archiwum autora.
- 150 Protokoły i dokumenty Rady Nadzorczej Państwowej Agencji Węgla Kamiennego – Spółka Akcyjna – od 1.08.1990 do 31.07.1991 (I Kadencja). Katowice 1991; sporządzono trzy egzemplarze przekazane do akt: Ministerstwa Przemysłu i Handlu, PAWK.SA oraz archiwum autora – około 600 stron maszynopisu).
- 151 Wystąpienie z dnia 10.08.1991 r. do Generalnego Dyrektora Państwowej Agencji Węgla Kamiennego dr. inż. Eugeniusza Pawełczyka w sprawie „rozwoju sytuacji w GIG i konkursu na stanowisko dyrektora”, podpisali: A. Lisowski, R. Zahaczewski, B. Zyska, E. Konstantynowicz.
- 152 Pismo Komitetu Górnictwa PAN z dnia 27.08.1991 do Pełnomocnika Rządu ds. Organizacji Ministerstwa Przemysłu i Handlu, Sekretarza Stanu. Pani Henryki Bochniarz w sprawie konkursu na stanowisko dyrektora GIG. Podpisał Przewodniczący Komitetu prof. St. Knothe oraz profesorowie H. Bystron, Z. Kleczek, A. Lisowski, T. Ryncarz, J. Siemek, L. Szklarski, K. Sztaba, W. Trutwin.
- 153 Lisowski A.: Ocena postępów restrukturyzacji przemysłów górniczych. Ekspertyza (opinia) opracowana na zlecenie Nadzwyczajnej Komisji do Spraw Górnictwa Senatu R.P. Zlecenie z dnia 18.02.1993 r. (BPS/G/4/93).

- 154 Lisowski A.: Pismo do Przewodniczącego Rady Naukowej GIG z dnia 18.05.1993 r. w sprawie: 100-lecia urodzin profesora Krupińskiego i nadania Instytutowi Jego imienia.
- 155 Fuglewicz K.: Wrzesień... wrzesień... Komputerowy pierwopis wspomnień Kazimierza Fuglewicza o objętości 149 stron, znajduje się w zbiorach autora, 2000.
- 157 Dokumentacja systemu SRK. Podręcznik użytkownika (2003). Praca zbiorowa pod redakcją A. Lisowskiego. Nieopublikowana. Dostępna w trybie licencji lub umowy wdrożeniowej zawartej z GIG. Także: System SRK – syntetyczna informacja wdrożeniowa. GIG, październik 2003.
- 158 Pismo Naczelnego Dyrektora GIG (ND-SE/33/2005) do Wiceprezesa Zarządu Kompanii Węglowej S.A. mgr inż. W. Głanowskiego z dnia 27.1.2005 r.
- 160 Ministerstwo Gospodarki. Strategia działalności górnictwa węgla kamiennego w Polsce w latach 2007–2015. Warszawa 4 września 2006 r.
- 161 Lisowski A.: Uwagi do „Strategii działalności górnictwa węgla kamiennego w Polsce w latach 2007–2015” – przekazane dnia 7.02.2007 do Sekretariatu Górnictwa i Energetyki, Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego (NSZZ) Solidarność w Katowicach.
- 162 Archiwalna teczka autora zawierająca korespondencję oraz różne opinie opracowywane dla władz górnictwa i wyższych uczelni.



Cena 20,24 zł



ISBN 978-83-61061-41-0 Tom 2



9 788361 061410

ISBN 978-83-61061-33-5

Andrzej Lisowski
W górnictwie – czas sukcesów i klęsk

T.II

